

BRZEMIĘ WŁADZY
Richard Herman

Moim dzieciom – Ericowi, Susan, Marianne oraz Neilowi

Prolog

St. Louis, Missouri

– Generale, proszę się cofnąć.

Robert Bender obrzucił agenta służby wywiadowczej chłodnym spojrzeniem. Mijał siódmy miesiąc wzmożonego panoszenia się ludzi ze służb specjalnych w instytucjach rządowych i Bender czuł się już zmęczony tym, że wciąż przesuwają się go z kąta w kąt jak niepotrzebny mebel. Ale to wszystko nie dzieje się bez potrzeby, tłumaczył sobie. Odsunął się do tyłu, skąd nadal mógł widzieć panią wiceprezydent stojącą na podium. Jednocześnie obserwował agentów i słuchał przemówienia.

– ...ta administracja w pełni popiera walkę o równe prawa.

Rozległy się głośne brawa i okrzyki aprobaty. Turner mówi delegatom to, co chcą usłyszeć, pomyślał Bender, jak każdy dobry polityk. Większość zebranych dała się już wcześniej nabrać na starannie skonstruowany *image* pani wiceprezydent jako „najbardziej inteligentnego i zaangażowanego amerykańskiego polityka”. Zdaniem Bendera może ona i była zaangażowana, ale nic więcej.

Pojawił się jeszcze jeden agent. Mówił coś szeptem do mikrofonu ukrytego w rękawie. Rzucił niespokojne spojrzenie na Bendera i przystanął.

– Byłoby lepiej, generale, gdyby pan zszedł ze sceny.

– Wiceprezydent niepokoi się, kiedy nie ma mnie w pobliżu – odparł Bender. Nie będę kręcić się wokoło jak tresowany piesek, pomyślał.

Agent energicznie przytaknął głową. Obstawie pani Turner żal było trzygwiazdkowego generała – kiedy nie wyśmiewali się z kłopotliwego położenia, w jakim się znajdował. Wiceprezydent życzyła sobie, by jej osobistym doradcą był generał-porucznik lotnictwa, a obecność agentów schlebiała jej próżności...

– Proszę pokazać swój identyfikator, generale.

Bender wyciągnął przepustkę umożliwiającą wejście do Białego Domu; dynała mu teraz na klapie niebieskiego, wyjściowego munduru. Co ja tutaj robię? – zastanawiał się chyba po raz setny. Żona Bendera twierdziła, że pani wiceprezydent podobał się jego wygląd: jej mąż był wysoki i szczupły, o szpakowatych wło-

sach i stalowoniebieskich oczach. Nancy Bender zrobiła wszystko, żeby jej mąż dostał tę pracę. Droczyła się z nim:

– Przynajmniej nie przewróci ci się w głowie, a w dodatku wskoczysz na spokojną i lukratywną posadkę.

Chuck Sanford, agent z ochrony pani wiceprezydent, wyszedł ze znajdującej się piętro niżej garderoby, gdzie służba wywiadowcza zorganizowała prowizoryczny punkt dowodzenia.

– Generale, czy widział pan pana Shawa? – zapytał lekko zdenerwowanym głosem.

Bender zmarszczył czoło na wspomnienie szefa doradców pani Turner.

– Jakiś czas temu – odparł krótko i szorstko. Dlaczego Sanford jest taki spięty? – myślał. To przecież najbardziej opanowany z tych facetów i nigdy nie traci chłodu; nie pokazał nic po sobie nawet wtedy, gdy tamten szalony kaznodzieja strzelał do prezydenckiej limuzyny.

– Musimy przekazać meldunek Magikowi – główny komputer w Departamencie Obrony wybrał taki kryptonim dla Turner w dzień po jej zaprzysiężeniu – a nie możemy znaleźć Shawa.

Generał złągodniał. Zrobiło mu się prawie żal ludzi ze służb specjalnych. Irytował go sposób, w jaki Patrick Shaw kontrolował dostęp do pani wiceprezydent. Tajniacy nie chcieli ryzykować karier i nie próbowali wyprowadzać Shawa w pole; nawet sam Bender liczył się z tą szarą eminencją z otoczenia pani Turner. Shaw bezwzględnie usuwał z drogi każdego, kto podważał jego autorytet.

– Widziałem Shawa, jak wychodził z taką brunetką w krótkiej czarnej sukience.

– Cholera – jęknął Sanford. – Wkurzy się, jak go znowu znajdziemy ze spuszczoneymi portkami... – Odbiegł i szepnął coś do mikrofonu w rękawie. Bender ściągnął brwi. Dotychczas nie zdarzyło mu się słyszeć takich słów z ust Sanforda – agent musiał mieć niezłe kłopoty, skoro tak się rozgadał. Generał rozejrzył się wokoło i stwierdził, że szykuje się coś niezwykłego.

Zaczął też rozmyślać o prywatnych sprawkach Shawa.

Czemu ten sukinsyn Shaw nie potrafi utrzymać swojego dziecięcia w gaciach? Ilu gości w tym hotelu trzeba będzie obudzić czy niepokoić tylko dlatego, że Shawowi podskakuje ciśnienie, kiedy tylko przejdzie blisko niego jakaś ładna i chętna panienka?

Sanford wbiegł na schody z dwoma agentami i polecił im z dogodnego miejsca obserwować słuchaczy. Jakiś dureń pewnie nastraszył Turner, pomyślał Bender. Starszy sierżant wojsk lotniczych, jeden ze specjalistów od łączności przydzielony do Air Force Two – czyli samolotu wiceprezydenta – ruszył za tamtymi z telefonem komórkowym w garści. Kiwnął w stronę Sanforda, usiłując zwrócić jego uwagę. Nim mu się to jednak udało, dwaj agenci chwycili sierżanta pod pachy i sprowadzili go na dół.

„Fitzgerald to dobry żołnierz, nie zasługuje, by używano wobec niego siły, kiedy wykonuje swoją robotę” – powiedział do siebie Bender. A poza tym, tamci dwaj powinni go znać. Generał zrobił parę kroków i dostrzegł, że tajniacy przy-ci-

snęli sierżanta do ściany i teraz go przeszukują. Bender z trudem opanował kipiącą w nim złość.

– O co chodzi? – zapytał groźnie. Agenci zignorowali go i odwrócili sierżanta, nadal go obszukując.

– Agencje Adams – odezwał się głośniejszym głosem Bender – zadałem panu pytanie.

Wayne Adams zerknął na Bendera, słysząc ostry ton jego głosu.

– Przepraszam, generale – Adams urwał, zaczerpnął powietrza i w końcu powiedział: – Pewnie pan nie wie... Prezydent nie żyje.

Bender zamrugał szybko; nowina spadła na niego jak grom. Po chwili jednak odzyskał panowanie nad sobą i spytał:

– Sierżancie Fitzgerald, czy właśnie dlatego mieliście przy sobie telefon?

– Tak jest – odpowiedział Fitzgerald. – Centrum dowodzenia sił zbrojnych chce potwierdzenia zmiany na stanowisku głowy państwa.

Bender powiedział:

– Proszę więc to uczynić.

– Nie możemy na to pozwolić – stwierdził Adams.

– Dlaczego?

– Bo pani wiceprezydent jeszcze o tym nie wie – odparł agent.

– Jak to?

– Pan Shaw... – padło lakoniczne wyjaśnienie.

Bender pokręcił głową.

– Aż tak bardzo się go obawiacie?

Milczenie.

– Powiedźcie jej teraz – rozkazał Bender. – Nie czekajcie, aż odnajdziecie Shawa.

Adams wykonał przeczący ruch głową. Bender spojrzał na Fitzgeralda.

– Opowiedzcie mi ze szczegółami, co zaszło – zażądał. Sierżant zdał mu relację. Bender kiwnął głową.

– Dajcie mi swój notatnik – polecił Fitzgeraldowi. Szybko coś napisał, wyrwał kartkę i oddał notes. Ruszył schodami mijając Sanforda i innych ochroniarzy stojących przy ścianach.

– Generale! – warknął Sanford.

– Przecież wiecie, kim jestem – odparł Bender, wskazał na swój identyfikator i nie zatrzymując się wszedł na podwyższenie.

Madeline Turner zauważyła zamieszanie. Bender wręczył jej notatkę i wycofał się.

– Niech pana diabli – rzucił Sanford.

– Spokojnie – odrzekł niewzruszony Bender. Skierował wzrok ku podium. Turner trzymała w dłoni kartkę i zerknęła w bok. Potem przeczytała jej treść. Tak więc tworzy się historia – pomyślał generał; pamiętał dokładnie słowa, które napisał przed chwilą:

„Pani prezydent, prezydent Roberts zmarł na wylew krwi do mózgu dzisiaj, o czternastej osiemnaście w Białym Domu. Powinna pani niezwłocznie znaleźć się na pokładzie Air Force One”.

Madeline O'Keith Turner popatrzyła nań z rozchylonymi ustami. Łzy zamigotały w jej oczach i spłynęły po policzkach.

– Na Boga, kobieto – jęknął Sanford. – Nie tutaj, nie teraz. Nie przy ludziach. – Nie spuszczać oczu z Turner powiedział do generała: – Trzeba było poczekać, aż znajdziemy Shawa.

Część pierwsza

Łagodzenie

Kim jest właściwie Madeline O'Keith Turner? Określono ją jako „najinteligentniejszą i najbardziej zaangażowaną osobowość” amerykańskiej sceny politycznej. Z pewnością to prawda. Charakteryzuje ją jednak także pewna beztroska, zwłaszcza co do problemów krajowych. Harry S. Truman ostrzegał: „Zła polityka wewnętrzna może uczynić krzywdę, zła polityka zagraniczna – może unicestwić”. Jaki kurs przyjmie więc prezydent Turner w obliczu realiów nowego ładu na świecie? Czy będzie to polityka izolacjonizmu czy też zaangażowania? Tylko czas to pokaże.

ELIZABETH GORDON
Wiadomości CNC-TV

Rozdział pierwszy

Waszyngton

Robert Bender wstał, gdy reporterka zjawiła się w jego podziemnym gabinecie pod zachodnim skrzydłem Białego Domu. Człowiek od kontaktów z mediami dokonał formalnej prezentacji:

– Panie generale, czy mogę przedstawić Elizabeth Gordon z dziennika CNC?

– Trudno pana znaleźć – stwierdziła Gordon wyciągając rękę na powitanie. Kamerzysta stanął w progu i zastanawiał się, jak tu filmować w takim ciasnym, pozbawionym okien pomieszczeniu. Tymczasem adiutant generała od kontaktów z prasą i telewizją pomknął już na górę, by powrócić do innych obowiązków.

Bender zdobył się na półuśmiech ujmując dłoń reporterki.

– Nie jestem kimś, kto dobrze wypada w telewizji, pani Gordon.

Istotnie, nie był w tym dobry. Niemniej polecono mu, podobnie jak innym figurom z otoczenia prezydent, by udzielał reporterom wywiadów w owym – jak to określił Patrick Shaw – „dniu burzy informacyjnej”.

Dziennikarze dosłownie oszaleli, odkąd Turner została zaprzysiężona na urząd prezydencki na pokładzie Air Force One. Jednakże Shaw, teraz już szef sztabu doradców nowej głowy państwa, trzymał ich przez dziesięć dni w niepewności, rzucając tylko strzępy informacji podczas pogrzebu i żałoby po zmarłym prezydencie. Czas ten Shaw wykorzystał również bardzo sprawnie na zaprowadzenie nowych porządków w Białym Domu, do którego wprowadził swoich ludzi. Teraz nadeszła pora, aby rzucić tym hienom z mediów kość z mięsem.

– Mam na imię Liz – powiedziała reporterka. – Co o tym sądzisz, Ben? – zwróciła się do kamerzysty.

– Za ciasno – stwierdził tamten. – Może coś by wyszło na zewnątrz, w parku.

– Doskonale – odrzekł Bender biorąc lotniczą czapkę i wskazując drzwi. Gordon przybrała zatroskaną minę; Bender podejrzewał, że ze strachu, żeby sierpniowy upał i wilgoć nie zniszczyły jej makijażu.

– Znam pewne chłodne miejsce – powiedział do niej. Poprowadził obydwoje na górę, dalej przez korytarz zapchany dziennikarzami, reporterami telewizyj-

nymi i kamerzystami, których akurat wpuszczano do sali, gdzie odbywały się konferencje prasowe.

Agent ochrony przytrzymał dla nich otwarte drzwi, wiodące na werandę w zachodnim skrzydle kompleksu budynków.

– Dziękuję – rzucił mu Bender i pomyślał, że od powrotu z St. Louis przez dziesięć dni nie widział ani Chucka Sanforda ani Wayne’a Adamsa.

Gorący podmuch wilgotnego powietrza dosłownie wpełznął Liz Gordon z powrotem do wnętrza.

– Już niedaleko – stwierdził Bender nakładając na głowę czapkę i odruchowo sprawdzając, czy leży prosto. Został mu ten nawyk z czasów, kiedy latał jako pilot w zespole lotników akrobatów sił powietrznych, zwanych „Thunderbirds”.

Zeszli teraz z werandy i znaleźli się nagle w chłodniejszym miejscu koło Białego Domu.

– Świetnie – stwierdził kamerzysta. Wziął się szybko do pracy, ustawiając dziennikarkę tak, by możliwie najkorzystniej wypadła w telewizji.

– Całkiem tu miło – przytaknęła Elizabeth Gordon. – Jak pan odkrył taki zaułek?

– Staram się wychodzić na zewnątrz tak często, jak się da – wyjaśnił Bender. Nancy, jego żona, twierdziła, że te jego przechadzki po prezydenckim parku to podświadoma próba wyrwania się z klatki, jaką stanowił Biały Dom. Generał przyznawał jej rację.

Kamerzysta dał Gordon umówiony znak i reporterka spojrzała w obiektywy. Łagodny wietrzyk poruszał blond włosami, z czym było jej bardzo do twarzy.

– Generał-porucznik Robert Bender był doradcą wojskowym Madeline Turner, odkąd objęła urząd wiceprezydencki. Jak wiemy, to właśnie on powiadomił ją o zgonie prezydenta. – Zwróciła się do Bendera i podsunęła mu mikrofon.

– Jak to wielokrotnie wyjaśniał pan Shaw – powiedział Bender – jedynie przekazałem tę smutną wieść...

– ...którą zanotował pan przedtem na kartce – podjęła Gordon nie chcąc odpuszczać tematu.

– Nie mogę dodać nic ponad to, co oznajmił już pan Shaw – odparł Bender. – Po prostu akurat byłem na miejscu.

Gordon pojęła, że nie wyciągnie już z generała nic ciekawego w tej kwestii – mimo że w Białym Domu aż huczało od plotek, co naprawdę działo się za kulisami konferencji.

– Panie generale, znalazł się pan na pokładzie Air Force One tamtego feralnego wieczoru. Nie widziałam pana, gdy prezydent Turner składała przysięgę.

Bender zerknął na reporterkę; Gordon sugerowała widzom, że sama uczestniczyła w tym wydarzeniu, podczas gdy w rzeczywistości tylko wielokrotnie oglądała nagranie wideo ze składania przez Turner przysięgi przed sędzią Sądu Najwyższego, panią Lorraine Worthing. No, panienko, pomyślał teraz, żeby mi to było ostatni raz.

– Mówiąc ściśle – odezwał się znudzonym tonem – wspomniany samolot staje się Air Force One tylko wtedy, gdy na pokładzie znajdzie się prezydent. Było tam bardzo tłoczno, więc ja przeszedłem do kabiny załogi.

Nie dodał, że tylko kabina załogi nie przypominała wtedy domu wariatów.

– Jaka była pańska reakcja na to, że pierwsza kobieta prezydent została zaprzysiężona przez panią Lorraine Worthing?

– To symbol nowych czasów – stwierdził Bender i miał nadzieję, że nie zabrzmiało to zbyt pompatycznie – ale jednocześnie trochę zbieg okoliczności. Sędzia Worthing leciała akurat na konferencję z prezydentem Turnerem i zrozumiała, że przyjęła przysięgę w drodze do bazy sił powietrznych w Andrews.

– Na taśmie wideo – powiedziała Gordon – widziałam niewielu mężczyzn uczestniczących w tej ceremonii.

Brawo, pomyślał Bender.

– Byli tam i mężczyźni – odparł. – Tyle że nie znaleźli się w obiektywie kamery. – Nie dodał, że Patrick Shaw z rozmysłem otaczał Turnera kobietami.

– Wygląda na to, że łączy pana z prezydentem Turnerem specjalne więzy... – podjęła Gordon i urwała widząc wściekłe spojrzenie Bendera.

Nie przeciągaj struny, panienko, pomyślał generał. Wolałbym nie usłyszeć następnego niezręcznego pytania na temat jej wdowieństwa... Mąż Turnera zmarł na atak serca podczas gry w tenisa w początkowej fazie kampanii prezydenckiej; Shaw nagłośnił to maksymalnie, przedstawiając wizerunek pogrążonej w żałobie wdowy u boku trzynastoletniego syna i dziewięcioletniej córki. Dzięki temu tandemem Roberts–Turner uzyskał w wyborach głosy damskiego elektoratu.

Gordon zmieszała się na chwilę, zbita z tropu chłodnym milczeniem generała. Normalnie wzięłaby to za oznakę słabości rozmówcy i zadała następny cios. Teraz intuicja przestrzegała ją jednak, aby zbyt nie naciskać.

– Och... – odchrząknęła. – To znaczy... miałam na myśli jej znaną nieufność wobec wojskowych. Niektórzy mówią wręcz o niechęci...

Bender rozluźnił się nieco.

– Pełniłem funkcję oficera łącznikowego. Przede wszystkim jednak wyjaśniałem pani prezydent niektóre terminy żargonu wojskowego i tłumaczyłem, jak działa Departament Obrony.

– A czym zajmuje się pan obecnie? – spytała Gordon.

– Nie mam zbyt wielu zadań. Pani prezydent uczy się bardzo szybko, a jej głównym doradcą został przewodniczący Połączonego Komitetu Szefów Sztabów. Mam nadzieję, że wkrótce otrzymam konkretny przydział... kiedy tylko ustabilizuje się sytuacja i okaże się, że jestem tu zbyt cenny.

– Wyobrażam sobie, że wszystko będzie dla pana nudne po doświadczeniach zdobytych w Białym Domu. Jakiego rodzaju przydział interesowałby pana?

Ciepły uśmiech rozjaśnił oblicze Bendera. Czyż generała też się ożywiły. Chciał zakończyć swą karierę jako dowódca ACC, czyli lotnictwa bojowego, tej uderzeniowej części amerykańskich sił powietrznych.

– Cokolwiek, co miałoby związek z operacjami powietrznymi, z lataniem.

Gordon zdała sobie sprawę, że ten wywiad nie okazał się zbyt ciekawy, a Bender zasługuje na swoją reputację – milczkowatego, gburowatego sukinsyna. Chciała jak najprędzej zakończyć tę rozmowę. Wyłączyła dyktafon i powiedziała:

– Dziękuję, panie generale. – Ale wcale nie odczuwała wdzięczności.

– To ja pani dziękuję, pani Gordon, i panu, Ben – odparł Bender. Zerknął na zegarek: dziesięć po piątej – do konferencji prasowej z udziałem nowej prezydent pozostało dwadzieścia minut. Generał nie został zaproszony, więc ruszył ku południowo-zachodniej bramie i dalej ku parkingowi, gdzie stał jego samochód. Bender lubił ciche, boczne uliczki.

Gordon patrzyła za nim, jak odchodził.

– Ten generał nie jest szczęśliwym facetem – stwierdziła.

– Chce się stąd wyrwać – dodał kamerzysta. – Nie można go za to winić. – I uzupełnił w myślach: zapamiętał, jak mam na imię.

* * *

Maura O'Keith siedziała cierpliwie w saloniku na pierwszym piętrze Białego Domu. Podobał się jej ten pokój, którego okna wychodziły na południowy zachód; oczekiwanie na córkę też jej nie męczyło. Usadowała się wygodniej na miękkiej kanapie.

– No – mruknęła, gdy znalazła pozycję, w której mniej bolały ją plecy.

Nalała sobie następną filiżankę herbaty i spojrzała na małe ciasteczka, które szef kuchni Białego Domu upiekł specjalnie dla niej. Uległa pokusie i poczęstowała się jednym z nich. Maura O'Keith była otyłą sześćdziesięcioośmioletnią niewiastą, pozbawioną większych złudzeń co do siebie samej, swojej córki oraz, przede wszystkim, wnucząt.

Myślała właśnie o swoim czternastoletnim wnuku. Brian niech lepiej zostanie w szkole z internatem. To miejsce zupełnie go zdeprawuje. Inaczej z Sarah – jej pobyt tutaj się przyda. Już ja się o to postaram, żeby nie zawrócili jej w głowie aroganccy głupcy, ważni tylko dlatego, że pracują w takim miejscu... Uśmiechnęła się na myśl o dziesięcioletniej wnuczce. Dziewczynka odznaczała się zmysłem praktycyzmu, jaki odziedziczyła najwyraźniej po babci – i choć nie była tak bystra jak Brian, to jednak znała się na ludziach.

Otworzyły się drzwi wiodące do sypialni obok i wyszła z nich Madeline O'Keith Turner – czterdziesta czwarta na stanowisku prezydenta Stanów Zjednoczonych. Maura O'Keith popatrzyła na córkę z uznaniem.

– Ładnie wyglądasz, Maddy – pochwaliła.

– Mogę tak iść na swoją pierwszą konferencję prasową? – zapytała Turner.

Maura obrzuciła ją krytycznym spojrzeniem. Makijaż córki był bez zarzutu; podkreślał jej wydatne kości policzkowe i piwne oczy. Szara letnia garsonka uwypuklała zalety figury pani prezydent. Skromna spódnica kończyła się tuż nad kolanami. Jasny jedwabny szal wokół szyi kontrastował z barwą garsonki, nie zasłaniając przy tym pojedynczego sznura małych pereł na białej bluzce.

– W porządku – stwierdziła Maura. – Usiądź, trzeba trochę poprawić fryzurę. – Wygrzebała z torebki grzebień.

– Mamo, to specjalne uczesanie – powiedziała Madeline siadając w fotelu; wiedziała, że z matką i tak nie wygra.

– Kiedy uczyłaś się w szkole średniej i wyższej, zawsze zastępowałam ci fryzurkę...

– Teraz fryzjerów nazywamy stylistami – stwierdziła pani prezydent.
– Dla mnie zostaną fryzjerami – odparła Maura. Przeczesała szybko kasztanowe włosy córki, czyniąc wyrafinowaną fryzurę nieco skromniejszą. – Te perłowe kolczyki są urocze, ale zasłaniają ci uszy. Są za duże.

Turner zaśmiała się. Jej śmiech był stonowany i w jakiś sposób zaraźliwy.

– Dziękuję, mam. Nie wiedziałam.

Maura lekko postukała córkę grzebieniem po ramieniu.

– Tylko się teraz nie rozklejaj.

Znowu śmiech.

– Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła.

Maura nagle spowaźniała.

– Och, sama nie wiem... Denerwuję się. Widziałam, co reporterzy robią z prezydentami. Biedny pan Reagan...

– Nie porównuj mnie z prezydentem Reaganem – przerwała jej Madeline. – Ta konferencja została starannie przygotowana. – Rozległo się pukanie do drzwi. – Proszę – powiedziała.

W uchylonych drzwiach ukazała się duża głowa Patricka Shawa.

– Czy jest pani gotowa, pani prezydent? – zapytał. Mówił z południowym akcentem; Maura uważała, że jego twarz przypomina oblicze błazna. Ale szef doradców pani Turner nie był komediantem. Wszedł teraz do pokoju. Był krępy, miał zaokrąglone ramiona. Ubrany był w niezbyt elegancki brązowy garnitur, a jego włosy domagały się interwencji fryzjera.

– Tak – odrzekła Turner.

– Czy coś trzeba powtórzyć po raz ostatni? – spytał Shaw. – Może ostatnia mała próba? – Turner pokręciła przecząco głową, a na obliczu Shawa wykwitł szeroki uśmiech. – Wspaniale – westchnął z ulgą. – Jestem zdenerwowany jak młoda klaczka, na którą zerka ogier, bo ma ochotę...

– Proszę, Patricku – zaśmiała się Madeline. – Tylko bez koszarowych dowcipów dzisiaj. Jesteśmy w Białym Domu, a nie w obozie wojskowym.

– Jasne, jasne – zgodził się Shaw i dodał ukrywając południowy akcent: – Wygląda pani znakomicie. Wszystko pójdzie jak z płatka. Będziemy gotowi za piętnaście minut.

– Nie spóźnię się.

– Proszę pamiętać o efektownym wejściu – przypomniał.

– Znam scenariusz na pamięć – zapewniła go. Shaw kiwnął głową i zniknął za drzwiami.

Zapanowało milczenie.

– Nie ufam mu – stwierdziła w końcu Maura.

– Bez niego zapanowałyby tu chaos – odparła Turner i tym samym zamknęła temat pod tytułem Patrick Flannery Shaw.

Starszej z kobiet nie dawało jednak spokoju kołaczące się po głowie pytanie: „Och, Maddy, dlaczego nie dostrzegasz, do czego ten Shaw zmierza?”

Maura O’Keith nie znosiła Shawa.

Patrick Shaw omiół wzrokiem reporterów, którzy zjawili się w Gabinetcie Wschodnim na pierwszej konferencji prasowej prezydent Turner. Elegancki salon pełen był dziennikarzy, dźwiękowców i fotografów – lecz towarzyszyło im zaledwie trzech kamerzystów. Ekipy telewizyjne bowiem znajdowały się pod specjalnym nadzorem Shawa, a nagrania podlegały cenzurze w jednym z piwnicznych pomieszczeń Białego Domu.

Shaw odezwał się do dwóch asystentów, stojących tuż za nim:

– Jak mawiają ludzie w przemyśle rozrywkowym: „Dajmy im, czego chcą, to będą się zjawiali na zawołanie”.

Asystenci wybuchnęli służalczym śmiechem, a jeden nawet zapisał słowa Shawa w notatniku. Shaw lubił porównywać politykę do show-biznesu – to był dlań premierowy występ i nie chciał niczego pozostawić przypadkowi. Jeszcze raz przebiegł oczami pomieszczenie; ten pokaz miał wypaść bez zarzutu. Gęste brwi Shawa uniosły się w udawanym zdziwieniu, kiedy spostrzegł Elizabeth Gordon siedzącą pośrodku pierwszego rzędu ustawionych krzeseł. To miejsce nie było przeznaczone dla niej, a w Białym Domu obowiązywał protokół.

– Co ty, Liz, robisz w CBS-ie? – zapytał.

Jeden z jego pomocników pospieszył z wyjaśnieniami, gdy Shaw wbił weń wściekle spojrzenie:

– Usiadła tu w ostatniej chwili.

Shaw popatrzył na gromadkę reporterów.

– To miejsce Whiteside’a. Gdzie on się podział?

– Na własną rękę zamienił się z Gordon i wycofał się do tylnych rzędów.

– No to mnie urządził – mruknął Shaw. – Wygrał zakład. Będzie chciał coś więcej, niż młodą panienkę do łóżka podczas następczej prezydenckiej podróży – urwał i zamyślił się. – Whiteside zadaje ostatnie pytanie. Nie, dwa ostatnie. Tak ma być – zarządził. Asystent oddalił się, zadowolony, że ocalił głowę. Shaw powiedział coś do małego mikrofonu w klapie marynarki, połączonego z pomieszczeniem w piwnicy. – Wpiszcie Liz Gordon na listę – dodał na tyle głośno, by mógł go usłyszeć drugi z pomocników.

Oznaczało to, że wkrótce reszta obsługi Białego Domu dowie się o tym, że Liz Gordon trafiła na czarną listę i odpowiedni przeciek trafi do prasy – w ten sposób Shaw wymuszał posłuszeństwo reporterów. Nazwisko Elizabeth Gordon figurowało już po chwili w spisie osób, które nie miały odtąd wstępu do Białego Domu. Gdy tylko Gordon wyjdzie z dzisiejszej konferencji, nigdy już tu nie wróci – a to może oznaczać załamanie jej kariery dziennikarskiej.

Spóźniony reporter nerwowo szukał w tłoku swojego krzesła.

– Ale nas pan tu upakował, panie Shaw – powiedział.

Shaw roześmiał się.

– Biały Dom przypomina parę ciasnych spodni – odezwał się swoim południowym akcentem na tyle głośno, by paru dziennikarzy mogło go dosłyszeć. – Nie da rady się tu swobodnie majtać. – Asystenci znali już to powiedzonko, mimo to zaśmiali się zgodnie razem z reporterami. Shaw wymknął się tymczasem do

Zielonego Gabinetu. Skierował się stamtąd ku ekipie telewizyjnej, która znajdowała się w podziemiach.

– Jasne, śmieście się, śmieście – mruknął do siebie.

Pomimo ciężkiej postury poruszał się nadzwyczaj żwawo. Wkrótce dotarł do pomieszczenia, gdzie znajdowały się kontrolne ekrany telewizyjne. Wcisnął na uszy słuchawki i stanął o krok za technikami. Odezwał się do mikrofonu:

– Dobra, ludzie. Jedziemy.

Starannie zaplanowaną konferencję prasową otworzyło wejście sekretarza prasowego, za którym z Gabinetu Zielonego wyszło czternastu sekretarzy oraz przewodniczący dowództwa połączonych sztabów. Ludzie ci rozdzielili się na dwie grupy i stanęli po obu stronach drzwi do głównego holu. Sekretarz prasowy zbliżył się do podestu w pobliżu owego wejścia i spojrzał stamtąd na tłumek reporterów. Wtedy Shaw uznał, że pora na zasadniczy punkt programu. Rzucił do mikrofonu tylko jedno słowo:

– Teraz!

Obiektyw kamery skierował się powoli ku głównemu holowi. Madeline Turner szła samotnie po czerwonym dywanie, trzymając pod pachą notatnik w skórzanym oprawie. Głowę trzymała wysoko, szła pewnie. Dziewięciu reporterów wyselekcjonowanych przez Shawa rzuciło się w jej stronę, opuszczając wyznaczone im krzesła. Reszta zebranych, jakby pod wpływem tego impulsu, podawała się na nogi.

– Panie i panowie – odezwał się głębokim modulowanym głosem sekretarza prasowy – oto prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki.

Reporterzy czekali cierpliwie, aż Turner wejdzie na podium. Ta splotła dłonie i przez moment obserwowała zebranych. W pomieszczeniu zapanowała absolutna cisza.

– Trudne okoliczności postawiły mnie dziś tu przed wami – zaczęła.

Oplaceni przez Shawa osobnicy wybuchnęli brawami i okrzykami, reszta się przyłączyła. W kącikach oczu Turner zamigotały łzy; czekała, aż owacja ucichnie. Wreszcie podjęła:

– Trzeba jednak kroczyć dalej. Drogę znamy.

I znowu aplauz, tym razem szczery, rozbrzmiał w sali.

– Świetnie – rzucił Shaw do mikrofonu. Uśmiechnął się, kiedy Madeline znalazła się w obiektywie kamery. Po łzach nie było nawet śladu; Turner otworzyła notatnik i zaczęła przemowę. Zatem konferencja rozpoczęła się bezbłędnie. – Najgorsze za nami – stwierdził Shaw.

Pierwsze pytanie zadał dziennikarz agencji ABC:

– Pani prezydent, po zmarłym prezydencie Robertsie odziedziczyła pani nie rozwiązany problem chiński, zwany popularnie kryzysem tajwańskim. Opozycja w Kongresie uważa, że nie powinniśmy byli dopuścić do okupacji Tajwanu przez Chińską Republikę Ludową. W ten sposób daje się Chińczykom wolną rękę do kolejnych podbojów. Czy zamierza się pani czynnie przeciwstawić zajęciu przez nich tej strategicznej wyspy?

Shaw uśmiechnął się półgębkiem; oczekiwał tego pytania i zdołał się na nie przygotować.

– Jak państwo wiedzą – odpowiedziała Turner – Chińczycy wysłali z Pekinu na Tajwan, w dniu śmierci prezydenta Roberta, swojego gubernatora wraz z pomocnikami. Są to jednak przedstawiciele władz cywilnych, a zatem nie można mówić o okupacji. Chińska Republika Ludowa nie uciekła się do działań zbrojnych... Zaledwie osiem godzin po zgonie prezydenta Roberta wezwaliśmy chińskiego ambasadora do Departamentu Stanu. Złożył on zapewnienie wobec sekretarza stanu, że jego rząd nie zamierza wykorzystywać obecnej sytuacji, przepraszał, że przyłączenie Tajwanu zbiegło się ze zgonem amerykańskiego prezydenta. W świetle historycznych żądań Chin wobec Tajwanu, uwzględniając fakt, że Tajwańczycy nie stawiają oporu, a sąsiednie kraje nie protestują otwarcie, Stany Zjednoczone nie mogą podjąć militarnej interwencji.

– Świetna odpowiedź – ucieszył się Shaw. Konferencja prasowa przebiegała na razie wedle jego scenariusza.

Wtedy jeden z dźwiękowców z mikrofonem w rękę przeszedł obok Elizabeth Gordon. Ta zawołała:

– Pani prezydent!

– Słucham panią, Liz – odezwała się Madeline.

– Po co ona zwraca uwagę na tę sukę? – warknął Shaw w reżyserce. – Tego nie było w scenariuszu.

– Pani prezydent – powtórzyła Gordon – mówią o pani jako o polityku, który uzyskał mandat swojej partii tylko dlatego, by zdobyć głosy kobiecego elektoratu. Działając w Kalifornii nie miała pani większych osiągnięć, koncentrując się głównie na jednym problemie: prawach kobiet. Pani prezydent, jakie są teraz konkretne zamiary pani administracji?

– Wydaje mi się – odrzekła Turner – że gdyby dokładniej prześledziła pani moją karierę polityczną, to uznałaby...

Shaw z wrzaskiem zerwał się na równe nogi.

– Do diabła! – ryknął. – Każdy z tych tępaków zna twoją karierę ze szczegółami. – Tama pękła, zapanował chaos.

Za plecami Shawa ktoś rzucił:

– To się wymknęło spod kontroli.

Shaw nie słuchał, co się dzieje na górze, tylko rzucił do mikrofonu:

– Ruszcie Whiteside’a, powiedzcie mu, żeby zmienił temat. Turner go rozpozna, gdy wstanie. – Odepchnął jednego z technicznych i z furią przekazał jednemu ze swoich ludzi na górze:

– NAMIERZYĆ PETERA WHITESIDE’A! Z TYŁU! I TO ZARAZ!

Spojrzał na monitory telewizyjne. Jeden z jego ludzi rozmawiał z Whiteside’em, który po chwili wstał i podniósł prawą rękę. Rozległ się głos Turner:

– Proszę... Pan Whiteside.

Dźwiękowiec był już na miejscu i podsunął mikrofon Whiteside’owi.

– Dziękuję, pani prezydent.

– Peter – powiedziała Turner zdumiewająco spokojnie – co pan robi tak daleko z tyłu?

Przez zgromadzonych przebiegł dreszcz. Na sylwetkę Whiteside’a padły światła; ten zareagował bez emocji.

– Sam nie wiem, pani prezydent. Tu, z tyłu, jest jednak bezpieczniej niż na pierwszej linii. – Tu i ówdzie rozległ się śmiech, a Shaw odetchnął z ulgą. Whiteside podjął: – Przede wszystkim, pani prezydent, nie interesuje mnie przeszłość, lecz przyszłość. Gospodarka naszego kraju przeżywa kryzys. Rośnie bezrobocie, a na ulicach widać coraz więcej bezdomnych. Jak zamierza pani rozwiązać te problemy?

Odpowiedź Turner uspokoiła reporterów.

– Już po strachu – skomentował Shaw, ocierając spoconą twarz wielką chustką. Pozostał spokojny aż do końca konferencji prasowej, kiedy to Madeline Turner wyszła samotnie do głównego holu. Tak, jak to było zaplanowane w scenariuszu.

* * *

Sztab Shawa zebrał się w obszernym narożnym gabinecie, aby przedyskutować przebieg konferencji. Ludzie byli zaskoczeni, że ich szef jest w tak dobrym nastroju, mimo że omal nie doszło do katastrofy z winy Elizabeth Gordon.

– No – stwierdził Shaw – było gorąco. Musimy uczyć się na błędach, bo szczęście nie będzie sprzyjać wiecznie.

Na biurku odezwał się brzęczyk; Shaw nacisnął guzik, ale bezskutecznie.

– Cholerne urządzenia – warknął i nacisnął ponownie. Tym razem zadziało.

– Panie Shaw – odezwała się sekretarka – pani prezydent chce pana widzieć za dziesięć minut. Jest w swoim prywatnym gabinecie. Poza tym akurat pokazują Petera Whiteside’a w dzienniku CBS.

Młody asystent już znalazł się przy odbiorniku telewizyjnym, czekając na skinienie Shawa. Ten odłożył słuchawkę i kiwnął głową. Na ekranie ukazała się twarz Petera Whiteside’a i rozległ jego głos:

– Prezydent Turner wystąpiła dziś godnie i z wdziękiem na swej pierwszej konferencji prasowej. Jej elegancki i zarazem skromny strój...

Shaw wyłączył pilotem odbiornik.

– Nadal tańczą, jak im zagramy – powiedział. – No i znów nam się udało. Następnym razem nie chcę jednak żadnych wpadek. Pamiętajcie, żadnego chrzanienia, gdy ktoś na chwilę straci jaja. – Rozejrzał się po pokoju. Obecni mężczyźni zgodnie skinęli. – Albo cycki – dodał Shaw; teraz już wszyscy kiwali głowami. Shaw zaśmiał się. – Równość, ludzie, dziś panuje równość. – Sztab zeszytniał traktując ten pomysł bardzo poważnie. Shaw znów połączył się z sekretarką. – Proszę powiedzieć pani prezydent, że już idę.

Wychodząc z pokoju mruknął jeszcze pod nosem:

– O mój Boże, jak ta forsa kręci światem...

Madeline Turner pracowała w niewielkim gabinecie nad swoją sypialnią – na drugim piętrze Białego Domu. Panowała tam przyjemna atmosfera, mniej sztywne niż w oficjalnych pomieszczeniach, co bardzo odpowiadało pani prezydent. Książki i gazety leżały w nieładzie na podłodze, a Turner siedziała na kanapie w kącie, ubrana w luźny niebieski dres i porozciągane skarpetki.

– A, Patrick – odezwała się, gdy wszedł. – Niech pan siada tutaj.

Poklepała miejsce na kanapie obok siebie i zdjęła z nosa okulary do czytania. Odłożyła na podłogę gruby kalendarz, który właśnie przeglądała.

Shaw spostrzegł teraz, że odbiornik telewizyjny jest włączony na kanale CNC – sieci, dla której pracowała Elizabeth Gordon. Co ona znowu czyta? – zerknął na porozrzucane książki. Turner czytała szybko i zachłannie, mając zwyczaj jednocześnie oglądać telewizję, co Shawa dosyć irytowało.

– Poszło dzisiaj nieźle, prawda? – zaczęła.

Shaw usadowił się na kanapie i rozluźnił krawat.

– Mogło być gorzej.

– Chodzi o Liz Gordon?

Shaw dotknął podbródkiem piersi, unikając wzroku Turner.

– Nie powinna była pani pokazywać, że ją zna. To żadna sensacji baba, miała zamiar wysadzić w powietrze tamę. – Wstał i zaczął spacerować po pokoju. Było to jawna oznaka zdenerwowania. – Przejrzałem nagranie wideo. Mamy problemy z prasą i...

– Patricku – przerwała mu – nie mamy kłopotów z prasą. Jeszcze nie... To miesiąc miodowy, proszę o tym pamiętać.

Ton jej głosu nakazywał zmianę tematu. Patrzyła, jak Shaw krąży po dywanie.

Wreszcie zatrzymał się przy kominku, zerkając na miedziany dzwoneczek stojący na ceglanej obudowie.

– To ten sam dzwonek, co? – Turner potakująco skinęła głową – Nie widziałem go całe lata – dodał w zadumie Shaw przywołując wspomnienia.

Maddy Turner była młodą, idealistycznie nastawioną panią senator z Kalifornii, kiedy się poznali. Dwa lata wcześniej ukończyła studia prawnicze i z beztrojskim optymizmem wystartowała w wyborach senackich z okręgu East Bay w San Francisco. Ku jej własnemu zaskoczeniu – wygrała. W kalifornijskim senacie stare wygi robiły wszystko, by zepchnąć ją na margines; nie była w stanie wiele wskórać. W przyszłych wyborach czekała ją niechybna klęska.

Sfrustrowana zwróciła się do Patricka Shawa, swojego partyjnego kolegi. Od początku stanowili zgrany duet. Turner wzbudzała sympatię wyborców, a Shaw świetnie się znał na zakulisowych machinacjach. Ona roztaczała urok, a on gromadził fundusze. Kiedy nadal nikt w senacie jej nie słuchał – Shaw dał jej ten dzwonek.

Odtąd, gdy tylko podczas obrad Turner wyczuwała, że inni senatorzy ją ignorują, sięgała po dzwonek i głośno zwracała nim na siebie uwagę. Szybko stała się znana, a Shaw zasiliał jej kasę pieniędzmi. Powtarzał przy tym zapożyczone powiedzonko:

– Pieniądze to krew i mleko polityki. – Często żałował, że sam tego nie wymyślił.

Podczas kolejnych wyborów Turner zmiołła przeciwników i wprowadziła do senatu jeszcze dwóch swoich kandydatów – a wszystko to dzięki Shawowi. Dzwonek nie był już potrzebny. Turner była na prostej drodze do władzy, a Shaw stanął jakby silnik jej pojazdu.

Teraz Shaw pogładził hebanową rączkę dzwonka; nagle podniósł go i zadzwonił. Turner popatrzyła na niego, czując przypływ nostalgii za starymi, dobrymi czasami.

– To było tak dawno – powiedziała cicho.

Shaw wiedział, że teraz będzie go słuchała uważnie.

– Mamy problemy z prasą. I to dziennikarki robią najwięcej zamieszania. – Turner milczała, Shaw mówił więc dalej: – Kobiety nie uznają już pani za swoją stronnicekę i rzeczniczkę. Uważają, że je pani zdradziła na rzecz władzy. Próbuja coś zakomunikować.

– Co takiego, Patricku?

– Ich przesłanie brzmi: „Pozostań z nami, zajmuj się naszymi sprawami, albo cię przyszpilimy”. Wiem, co pani czuje do ruchu feministek, ale teraz stoi pani na czele wszystkich Amerykanów. Trzeba porzucić dawne sentymenty.

Turner przechyliła głowę i zerknęła nań z ukosa.

– Dobra, Pat. Jak naprawdę wygląda sytuacja?

Shaw opadł ciężko na kanapę naprzeciw Madeline i znów dotknął podbródkiem piersi.

– Panuje przekonanie, że akcja militarna odbierze pani poparcie. Należy odciąć się od wszelkich ugrupowań przeciwnych umiarkowanej polityce.

– Zwłaszcza od tych sterowanych przez te, jak pan mówi, sukii? – dodała.

Shaw uśmiechnął się.

– Ja się tak nie wyrażam. Dzisiaj jednak miała pani okazję przekonać się, jak potrafią kąsać.

– A może to po prostu zdolna dziennikarka? – odparła Turner. – Nie martwmy się o to... Jeszcze nie. – Spojrzała na Shawa. – Gdzie był generał Bender? Nie widziałam go na konferencji.

To dlatego chciałaś się ze mną widzieć, pomyślał Shaw. Dlaczego ona zawraca sobie głowę Benderem? Co ich łączy?

– Och, udzielił jednego czy dwóch wywiadów i po prostu się ulotnił. – Urwał i zastanowił się, czy przypadkiem nie nadeszła pora, aby pozbyć się tego sztywniaka Bendera. – On tu właściwie nie ma nic do roboty, więc oszczędźmy mu cierpień. Odeślijmy go z powrotem do Pentagonu. W pani otoczeniu nie ma dla niego miejsca.

– Myślisz, że on jest znudzony?

– Gorzej.

– No to niech pan znajdzie mu jakąś pracę – poradziła; Shaw milczał, więc podjęła: – Żadnych propozycji? Cóż, w takim razie niech opracuje dokładny raport na temat tego, co dzieje się na Dalekim Wschodzie. Nie mam najmniejszego pojęcia, co knują Chińczycy.

A więc ona czyta książki o Chinach, domyślił się Shaw. Jemu samemu zgłębienie tej tematyki zajęłoby długie tygodnie.

– Mogą to zrobić Rawlings albo Murchison.

William Rawlings był doradcą do spraw narodowego bezpieczeństwa, a Clement Murchison pozostał po śmierci Roberta na stanowisku sekretarza stanu.

– Chciałabym poznać to zagadnienie także z wojskowego punktu widzenia.

– To działka Overmeyera. – Generał Overmeyer był głową dowództwa połączonych sztabów. – Jest znakomicie obeznany z tematem i...

– Muszę znaleźć Benderowi zajęcie – wtrąciła Turner.

Shaw uśmiechnął się. Wiedział, kiedy skapitulować.

– Dobra. Generał Bender będzie miał mnóstwo roboty. Coś jeszcze?

Pokręciła głową, dając znak, że Shaw jest już wolny. Skierował się ku drzwiom. Zatrzymał go jej głos:

– Patrick, umieściłeś Liz Gordon na liście osób, które nie mają wstępu do Białego Domu? – Potwierdził. Turner dodała: – Skreśl ją z niej, proszę.

– Tak jest – odrzekł zamykając za sobą drzwi. Pogwizdując wrócił do swojego gabinetu. Myślał o Madeline O’Keith Turner. Nowa pani prezydent z jakiejś przyczyny chciała zatrzymać przy sobie Bendera i ciekawiła ją kwestia chińska. Z pewnością zainteresuje to przewodniczącego senackiego komitetu spraw zagranicznych.

Gdy wszedł do swego biura w zachodnim skrzydle Białego Domu, niejasno zdał sobie sprawę, że zapada już zmrok. Cierpliwa sekretarka nadal tam była i czekała na niego z planem jutrzejszych zajęć pani prezydent oraz listą spodziewanych gości. Rzucił okiem na terminarz i oddał go bez słowa.

– Elizabeth Gordon dzwoniła dwukrotnie na pański prywatny numer – oznajmiła sekretarka. – Chce wiedzieć, dlaczego trafiła na czarną listę.

– Niech pani już idzie do domu, Alice – polecił. Poczekał, aż sekretarka wyjdzie, a później wzięł telefon i wystukał numer. Powiedział: „Cześć, Liz”, zanim dziennikarka zarzuciła go potokiem obelg.

– Ty sukinsynu! – wrzeszczała mu do ucha. – Wpakowałeś mnie na czarną listę!

Pogłoski rozchodzą się tu stanowczo za szybko, pomyślał. Uśmiechnął się do siebie i pozwolił reporterce się wykrzyzczeć.

– Masz nieścisłe wiadomości, moja droga. Ja cię z tej listy skreśliłem. – Znowu się uśmiechnął. W ten sposób dezinformuje się dziennikarzy i trzyma się ich w ryzach. Sugerował, że to Turner umieściła Liz na liście, a on sam użył swoich wpływów, żeby zmienić tę decyzję. – Nieźle dziś zaszalałaś.

Gdy skończyła się ta rozmowa, rzucił okiem na listę jutrzejszych gości. Naraż ściągnął brwi i skreślił nazwisko pewnego senatora. Nie ma mowy, pomyślał. To drań, który połknie gwóźdź, a wysra śrubę. Uśmiechnął się. Muszę sobie zapamiętać to powiedzonko, pomyślał. Wezwał urzędnika i oddał mu skorygowaną listę. Potem wybrał jeszcze jeden numer telefoniczny.

– Mam nadzieję, że myślisz to samo co ja – powiedział niskim, ścisłym głosem. Uśmiechnął się usłyszawszy odpowiedź i wyszedł na opustoszały korytarz.

Dzisiejszy dzień należał jednak do nie najgorszych, pomyślał, mijając samotnego agenta służb specjalnych, kręcącego się w pobliżu Gabinetu Ovalnego.

Rozdział drugi

Okinawa, Japonia

Było jeszcze ciemno, gdy samolot F 15E Strike Eagle powrócił z lotu do bazy amerykańskich sił powietrznych w Kadenie na Okinawie w Japonii. Właz hangaru rozsunał się, a mechanicy podbiegli do maszyny. Z dwuosobowego odrzutowca pierwsza wysiadła kobieta zajmująca tylny fotel; sprawdzała mapy i listę zadań oczekując na dowódcę. Wkrótce po dostawionej drabince wyszedł z kabiny kapitan Chet Woods.

- Skąd ten pośpiech, Laurie? – zapytał. – Masz randkę?
- O tej porze? – odpowiedziała. – Jasne.

Chet rozumiał jej chęć wyrwania się z bazy, zwłaszcza po okresie długotrwałego szkolenia. Niestety, problemy natury logistycznej powodowały opóźnienia; często trzeba było czekać w pełnym pogotowiu przez dwadzieścia cztery godziny na stosunkowo krótki lot.

Dowództwo wycofało samolot tankowania powietrznego i po paliwo trzeba było się udać do bazy Osan w Korei Południowej. Powrót na Okinawę także nie przebiegł gładko, bo Laurie sprawdzała możliwości pilotażu w warunkach awarii pokładowego komputera nawigacyjnego – najwyraźniej szukała rozrywki.

Szef mechaników podjechał na napędzanej silnikiem elektrycznym platformie, a starszy sierżant zawołał:

- Wszystko gra, panie kapitanie?
- Maszyna sprawna, sierżancie Contreras – odpowiedziała za Cheta Laurie. – Co was tak wcześniej wyrwało z łóżek?

Starszy sierżant Ralph Contreras zmarszczył czoło na ten żart. Odpowiadał za zaopatrzenie dla osiemdziesięciu pilotów 44. Dywizjonu Myśliwskiego oraz za stan dwudziestu maszyn F 15E. Słyszał już o problemach, jakie mieli Laurie i jej dowódca podczas poprzedniego lotu.

- Tamta sprawa to wina moich ludzi, kapitanie. To się więcej nie powtórzy. Laurie krzyknęła do pilota:
- Chet, co nas teraz czeka?

- To, co w pisemnym rozkazie.
- My zajmiemy się maszyną.

Chet myślał przez chwilę. Właściwie powinni teraz razem z Laurie przejrzyć nagranie wideo dokonane podczas wypełniania misji i zdać raport końcowy. Ale mieli za sobą wyczerpujące oczekiwanie i męczący lot.

– Laurie, trzeba trochę ochłonąć. Złożymy meldunek po południu, po uroczystej zmianie dowództwa.

Laurie powiedziała więc – po japońsku – do widzenia.

Pilot i Contreras patrzyli za nią, jak odchodziła.

- Niezła sztuka – stwierdził sierżant.
- Prawdziwy kłębek energii, z którym muszę latać – odparł Chet.
- Podobno świetnie się zna na systemach broni.
- O, tak – przyznał pilot. Była to prawda. Laurie była znakomitym oficerem specjalistą od systemów broni.

Laurie skierowała się do kwatery; wbiegła po schodach i zrzuciła buty, zanim jeszcze weszła do swojego pokoju. Nie zapalając światła rozpięła suwak kombinezonu i zsunęła go z bioder – szczupłych i wysportowanych. Laurie lubiła swoje ciało; miała pięć stóp i cztery cale wzrostu i ważyła sto czterdzieści funtów. Zrzuciła teraz stanik od kostiumu do aerobiku, jaki zakładała na loty; jej drobne piersi nie sprawiały problemu, nawet podczas przeciążeń panujących w F 15E po przekroczeniu bariery dźwięku. Laurie była silna i wytrenowana – i była w stanie znieść przeciążenie wartości dwunastu g, a to już imponujący wynik. Zsunęła majtki i przesunęła palcami po ciemnych, krótkich włosach łonowych. Teraz jej ciało oczekiwało emocje innego rodzaju.

Wsunęła się do łóżka i przywarła do męskich pleców. Nic się nie działo, więc szepnęła:

– No, Robercie Juniorze, zbudź się. – Znowu nic. – Trzeba się uciec do planu B – powiedziała do siebie. Sięgnęła do jego spodenek. Mężczyzna wreszcie się obudził.

- Która godzina? – wymamrotał.
- Po piątej.
- Lot był trudny?
- Cholernie – odpowiedziała całując go w kark. Mężczyzna poruszył się.
- Czy zawsze wracasz taka napalona?
- Zawsze – odrzekła.
- To latanie cię tak podnieca – stwierdził.
- Jesteś rutyniarzem i wiesz, jak to jest.
- Lepiej, żeby mnie tu nie było, jeżeli masz walczyć.
- Dlaczego? – mruknęła.

Powiedział na wdechu:

– Z tego, co czytałem... – urwał starając się ustabilizować oddech – popęd płciowy doprowadza do nadpobudliwości w walce.

- Mam nadzieję, że mi to teraz udowodnisz.

Sznur oficerów z żonami – lub też kobiet oficerów lotnictwa z mężami – wytoczył się przez drzwi klubu do holu. Laurie szła powoli, licząc na to, że Robert przybędzie na czas i pozna nowego dowódcę pułku, w którym służyła. Pewnie ma jakieś kłopoty w klinice, pomyślała. Miała na sobie spodnie, pantofle na wysokim obcasie i niebieską bluzę odświetłego munduru. Jednak pomimo obcasów nie była w stanie dostrzec niczego ponad lasem głów.

Odnalazł ją niemal w ostatniej chwili. Rozejrzał się, tłumiąc w sobie ochotę pocałowania wysokiej i zgrabnej pani kapitan. Ona zastanawiała się właśnie, czy ich dzieci będą miały jego błękitne oczy i jasne włosy.

- Szczęściarz z ciebie – zażartowała. – Spóźniłeś się na ceremonię przekazania dowództwa. Było nudno.
- Już widywałem takie imprezy.
- Nie różnią się od siebie.

Wreszcie przysłała ich pora, by poznać nowego dowódcę pułku. Najpierw zaszczyt ten spotkał starszego rangą od Laurie Roberta. Oficer dokonał oficjalnej prezentacji:

- Generale Martini, oto kapitan Robert Ryan Junior, jeden z naszych latających doktorów. Kapitan Ryan prowadzi też badania psychiatryczne w Kadenie.

Generał brygady David Martini wyciągnął rękę. Był to krępy człowiek, mierzący niemal sześć stóp; miał masywny, otłuszczony tors i szopę czarnych, z trudem tylko dających się zaczesać włosów. Jego małe piwne oczy biegały na boki niespokojnie; uścisk dłoni był mocny, lecz krótki.

- Kapitanie Ryan – powiedział. – Słyszałem, że jest pan specjalistą w dziedzinie stresu.
- Specjalista to za duże słowo, panie generale – odrzekł Ryan – ale pracuję nad fizycznymi i psychicznymi aspektami stresu oraz nad tym, jak stres wpływa na sprawność pilota i zdolność właściwej oceny sytuacji.

Martini nieznacznie kiwnął głową, co przypominało tik. Tych parę chwil wystarczyło Robertowi Ryanowi: wiedział już, że generał to klasyczny przykład osobowości typu A – twardogłowy, ambitny, zacięty typ. Martini zajął się następną osobą w kolejce.

- Generale Martini – zaczął oficer – pozwoli pan przedstawić sobie kapitan Laurie Bender, specjalistę od systemów broni pokładowej z 44. Dywizjonu.

Uścisk dłoni.

- Czy ma pani coś wspólnego z generałem Robertem Benderem? – spytał Martini.

– To mój ojciec, panie generale.

Pentagon

Generał Robert Bender wysiadł ze sztabowego samochodu przed Pentagonem. Wspiął się po schodach, przekroczył bramę, ruszył korytarzem i minął biuro

szefa połączonych sztabów. Wjechał windą na trzecie piętro i skierował się ku pokojom zajmowanym przez dowództwo sił powietrznych. Skręcił w lewo i znalazł się w gabinecie generała Charlesa, zwanego „Dzikim Wayne’em” – szefa sztabu lotnictwa wojskowego.

Od lat nikt oczywiście nie ośmielił się w towarzystwie zwracać się doń po przydomku. Jednakże energia, dzięki której zdobył ten przydomek, cztery generalskie gwiazdki oraz obecne stanowisko, stanowiła istotny element osobowości Charlesa.

– Witaj, Bob – odezwał się Charles wskazując Benderowi krzesło. – Rozumiem, że masz jakiś problem.

Bender opowiedział mu o odprawie u pani prezydent i o tym, że Turner chce dokładniej zapoznać się z sytuacją na Dalekim Wschodzie. Charles obrócił się w fotelu i wyjrzał przez okno. Wody Potomacu lśniły w letnim słońcu, a pod prąd płynęła motorowa łódź.

– Hmm... To przewodniczący powinien informować o tym głowę państwa. Rzeczywiście mamy problem.

– A to dopiero – stwierdził Bender ze zjadliwą ironią.

Charles odwrócił się i roześmiał.

– Niech mnie diabli, Bob. I co ty na to wszystko?

– Ktoś musi zawiadomić szefa.

Charles kiwnął głową.

– Zrobię to od razu. Będzie niezłe zamieszanie.

Tym razem Bender przytaknął, bo wiedział aż za dobrze, jak zareaguje generał Tennyson Overmeyer, obecny szef połączonych sztabów. Overmeyer w lot wszystko zrozumie: oto trzygwiazdkowy generał bawi się w Białym Domu w politykę i znalazł dojście do pani prezydent z pominięciem jego, Overmeyera. Bender spodziewał się, że Overmeyer będzie chciał się na nim odegrać, może nawet zmusić do przejścia w stan spoczynku. A więc Bender nigdy nie doczeka się czwartej gwiazdki i nie dostanie funkcji, jaka mogłaby stanowić zwieńczenie całej jego kariery – dowództwa amerykańskich lotniczych sił uderzeniowych; funkcji, której od dawna tak bardzo pragnął.

– Szefie – zauważył Bender – to nie był mój pomysł. Ja chcę się tylko wyrwać z Białego Domu.

– My pragniemy tego samego – zapewnił go Charles.

– A więc co mam robić?

Charles milczał rozważając problem. W końcu poradził:

– Przedstaw jej sytuację.

– Dzięki, szefie.

– Może jakoś z tego wybrniemy – powiedział mu Charles. – Ostatecznie nie znasz pewnych szczegółów, a skoro pracujesz z politykami, to szef połączonych sztabów może cię uznać za swojego rzecznika. Postaram się tak nasświetlić sytuację.

– Liczę, że się uda – mruknął Bender, choć w istocie nie żywił większych nadziei.

– Bob, znam tylko jednego faceta z tak twardym kręgosłupem jak ty: właśnie Overmeyera. On potrafi odróżnić prawdę od fałszu. A teraz wal na dół, do operacyjnego. – Charles miał na myśli zastępcę szefa połączonych sztabów do spraw operacyjnych. – Ja postaram się pogadać z Overmeyerem.

Bender wstał.

– Dziękuję, szefie. Szczerze dziękuję.

Charles zerknął na niego. Tylko się nie rozplącz, dodał w myślach.

Bender wyszedł z gabinetu Charlesa, skręcił w lewo i wstąpił do biura wydziału operacyjnego. Krótko przedstawił sprawę trzygwiazdkowemu generałowi, który kierował kwestiami organizacyjnymi biura. Ten zwięźle wyjaśnił, że Chiny bez wątpienia stają się militarną potęgą. Wydział operacyjny ustalił, że jeżeli Chiny utrzymają dotychczasowe tempo zbrojeń, to w ciągu trzech do pięciu lat mogą zacząć stanowić realne zagrożenie dla Stanów Zjednoczonych.

– Ile osób o tym wie? – zapytał Bender.

– Szef poinformował o tej sprawie ludzi na najwyższych stanowiskach. Jednak nikt nie przyjmuje tego do wiadomości. My zajmujemy się kwestiami czysto wojskowymi, a nie politycznymi intencjami... Jak mówiłem, Chiny dysponują w tej chwili możliwościami rozciągnięcia militarnej potęgi na strefę Pacyfiku i opanowania Japonii. Stosunek sił układa się tak, jak między Niemcami a Anglią na progu dwudziestego wieku. Japonia to supermocarstwo gospodarcze ze słabymi siłami zbrojnymi; w porównaniu z Japonią Chiny są ekonomicznym karłem, lecz dysponują bardzo silną armią.

Bender wyrabiał sobie jasny obraz sytuacji.

– A zatem opanowanie przez Chińczyków Tajwanu to próba wchłonięcia nowoczesnej gospodarki wyspy, a w przyszłości możemy się spodziewać podobnych posunięć?

– Przymuszczalnie takie są właśnie zamiary Chin – padła odpowiedź. – Przynajmniej my tak sądzimy. Niestety, Departament Stanu i doradca pani prezydent do spraw narodowego bezpieczeństwa mają odmienny pogląd na owo zagadnienie. – Rozmowę przerwało pukanie do drzwi. W progu ukazał się podpułkownik i wręczył trzygwiazdkowemu generałowi notkę. – Generał Charles chce się z panem widzieć – usłyszał Bender.

Zdenerwowany Bender wrócił do gabinetu szefa sztabu lotnictwa. Humoru nie poprawił mu fakt, że zastał tam generała Tennysona Overmeyera, szefa Połączonego Komitetu Szefów Sztabów.

– Generale – odezwał się Charles – zna pan chyba Boba Bendera.

– Owszem – mruknął Overmeyer i wskazał Benderowi krzesło. – Nie podoła mi się pomysł, by składał pan relacje pani prezydent.

– Zapewniam pana, generale – odparł Bender – że nie ja to wymyśliłem. Ciężko mi atmosfera w Białym Domu.

– Już to słyszałem – powiedział Overmeyer – ale musi pan postępować z rozważą. – Wyjął cygaro i odciął końcówkę. Nie zapalił go jednak, tylko obracał w ustach. Przyglądał się chwilę Benderowi. – Nie wolno pokpić tej sprawy. – Generał zerwał się z fotela i zaczął krążyć po pomieszczeniu, nadal ściskając cygaro

w zębach. – Wayne zapewnia mnie, że powie pan pani prezydent dokładnie to, co chcemy jej przekazać.

– Z pewnością – obiecał Bender.

– Mamy do czynienia z wieloma niewiadomymi – powiedział Charles do Overmeyera. – Lepiej zdajmy się na Bendera. Można mu zaufać.

– Oby – warknął Overmeyer. – Zbuduję szubienicę na parkingu i powieszę sukinsyna, jeśli nie wywiąże się z zadania.

Bender domyślił się, że to on jest owym „sukinsynem”, o którym wspomniał Overmeyer.

– Panie generale – odezwał się – proszę zlecić opracowanie pisemnego raportu, a ja powtórzę jego treść nowej pani prezydent słowo w słowo. Dobrze by było, gdyby pan też uczestniczył w spotkaniu z panią Turner.

Overmeyer i Charles wymienili spojrzenia. Ten pierwszy usiadł.

– Kilka dni przed śmiercią Roberta – Bender posłyszał lekceważącą nutę w głosie Overmeyera, gdy ten wspomniął o zmarłym prezydencie – prowadziliśmy satelitarną obserwację zgrupowania chińskiej floty w okolicach Tajwanu. Znaliliśmy sytuację ze szczegółami. Widać było, że to nie zwyczajne manewry, tylko przegrupowanie całej chińskiej Ludowej Armii Wyzwolenia... marynarki, sił lądowych, lotnictwa. Coś więcej od pobrękiwania szabelkami na postrach pod koniec lat dziewięćdziesiątych. Zadzwońłem do Roberta, podzieliłem się z nim swoimi obawami i zasugerowałem postawienie naszych wojsk w stan podwyższonej gotowości. A on na to, cytuję: „Niech pan się tym nie martwi. Proszę odwołać zarządzenia i przywrócić stan pokojowy w armii. Niezwłocznie”... Drań dobrze wiedział, że nakazałem wzmoczoną gotowość naszym siłom zbrojnym, ale podciął nam skrzydła i mogliśmy się tylko biernie przyglądać. Naturalnie, rozmawiałem o tym z chłopakami z DIA. – Overmeyer miał na myśli supertajną organizację wywiadowczą pracującą na usługi Pentagonu. – Ci szybko dostarczyli wszelkich informacji. – Generał powoli przeżuwał cygareto, niczym byk rozcierający zębami trawę. – Roberts za naszymi plecami dogadał się po cichu z Chińczykami. Można się domyślać, że oddał im Tajwan. Tylko za co? Co my z tego mamy? – Generałowi podskoczyło ciśnienie; jego twarz stała się purpurowa jak burak. – Nasz prezydent chciał ugłaskać Chińczyków, jak niegdyś Chamberlain Hitlera, gdy oddał mu w Monachium Czechosłowację.

To było w tysiąc dziewięćset trzydziestym ósmym roku, pomyślał Bender. Czy przez sześćdziesiąt trzy lata niczego się nie nauczyliśmy?

Overmeyer szybko się opanował, powściągając emocje.

– Roberts zmarł na wylew i zostawił Turner poważny problem.

– Panie generale – powiedział Bender – szczerze mówiąc nie sądzę, aby prezydent Turner była tego świadoma.

– Też tak uważamy – przyznał Charles.

– Oznacza to, że cokolwiek bym jej powiedział na temat Dalekiego Wschodu, ona może wyciągnąć fałszywe wnioski.

Overmeyer wyrzucił zmiętoszone cygareto do kosza na śmieci.

– Słusznie. Właśnie w tym rzecz. – Wstał i podszedł do drzwi. – Proszę ją oświecić – mruknął i dodał patrząc na Bendera: – A potem niech pan się wyrwie z Białego Domu. Żywy lub martwy.

Waszyngton

Drzwi do małego gabinetu Roberta Bendera były otwarte. Generał zdjął płaszcz i usiadł przy biurku, usiłując ułożyć w myślach treść raportu o sprawie chińskiej dla Madeline Turner. Pentagon zarzucił go taką masą informacji, że niełatwo było wybrać z nich te najistotniejsze. Postanowił zacząć od nowa. Najpierw trzeba zapracować konia do wozu, pomyślał. Co prawda wątpił, czy Turner potraktuje jego relację, lub nawet jego samego, ze stosowną powagą. Zeszłego wieczoru zwierzył się Nancy, czyli swojej żonie:

– Chciałem robotę, no to ją mam.

Krótkie „cześć” wyrwało go z zadumy. Odwrócił się i ujrzał stojącą w progu dziesięcioletnią Sarah Turner.

– Mogę wejść? – zapytała dziewczynka.

Wskazał jej wolne krzesło.

– Jasne. Tylko że niezbyt tu wygodnie.

Sarah weszła do środka i wdrapała się na krzesło. Miała na sobie lekki błękitny dres i białe adidasy. Jaka ona podobna do swej matki, pomyślał. Te jasne włosy... Wyrośnie z niej śliczny podłotek.

– Co cię tu sprowadza?

Mała pomachała beztrąsco nogami.

– Tak sobie spacerowałam.

Obok gabinetu przeszedł agent tajnych służb i uśmiechnął się na widok Sarah.

– Proszę nie zamykać drzwi – powiedział do Bendera i ruszył dalej korytarzem. Bender dostrzegł, że agent unosi lewą rękę i mówi coś do mikrofonu w mankiecie. Sarah wierciła się niespokojnie.

Bender uśmiechnął się ciepło, przypominając sobie Laurie za młodu.

– Szukałaś takiego miejsca?

Sarah przytaknęła ruchem głowy. Tak jak wiele jej rówieśniczek, szukała spokojnego kąta, gdzie nie dochodziłyby odgłosy burzliwego świata dorosłych. Niższy, w której mogłaby schronić się przed wścibstwem opiekunów.

– Ciężkie życie tu, w Białym Domu – stwierdził Bender – ale dobrze, że masz przy sobie babcie.

– Babcia... – westchnęła Sarah marszcząc czoło. – Babcia nie pozwala mi nigdzie chodzić. Ona rozmawia ze wszystkimi. Ludzie mamy się boją, ale babcia nie. Każdy jej wszystko opowiada.

– Takie jest życie – powiedział Bender. – No, ale twoja babcia cię przecież uwielbia.

Te słowa rozweseliły dziewczynkę, która przestała majtać nogami.

– Mama wybiera się na wielki objazd w Święto Pracy, ale ja z nią nie pojadę. Może wtedy babcia znajdzie dla mnie jakieś fajne miejsce.

– Tu, na dole, jest się gdzie schować – zapewnił Bender.

Sarah spojrzała na niego poważnie.

– Dlaczego nie lubi pan mojej mamy?

Czy to widać? – zastanowił się Bender. Owszem, nie przepadał za panią Turner, ale właściwie trudno powiedzieć, że jej nie lubił. W czym więc tkwił problem? Starał się dojść do sedna sprawy. W wojsku obracał się wśród mężczyzn, a teraz kobiety, na przykład Madeline Turner, wstrząsnęły podstawami męskiego świata. Nie buntował się wprawdzie przeciw takim zmianom, ale uważał w duchu, że kobiety nie powinny kierować polityką, operować w brutalnej, pełnej przemocy rzeczywistości. Modne stało się hasło głoszące równouprawnienie płci, lecz dla Bendera osiągnięcie sukcesów wiązało się ze ściśle militarną terminologią: zdobywaniem celów, skutecznością w boju, redukowaniem własnych strat. Jak jednak mógł to wytłumaczyć małej, niewinnej dziewczynce?

– Lubisz swoją nauczycielkę? – zapytał. Potwierdziła. Pewnie lubisz wszystkich nauczycieli, pomyślał, a oni ciebie, bo jesteś uroczym dzieckiem. – A dyrektorkę?

– Nie znam jej.

– Mówię o kimś, kto kieruje szkołą, kto w szkole naprawdę rządzi i rozstawia innych po kątach.

Dziewczynka uśmiechnęła się; najwyraźniej przypadł jej do gustu obraz ko- goś, kto stawia innych do kąta.

– Chyba tak.

– A więc jak się zachowujesz w jej obecności?

– Przy niej wszyscy są grzeczni i nikt nie rozmawia.

– Czy to znaczy, że jej nie lubisz? – zapytał. Pokręciła głową. – No widzisz.

Twoja mama – podjął – jest moją dyrektorką.

Takie wyjaśnienie zadowoliło małą. Zmieniła temat.

– Dlaczego pan lubi samoloty?

– Dobrze sobie...

– Czy to znaczy to samo, co „o rety”? – zaciekała się.

Po raz pierwszy, odkąd trafił do Białego Domu, Bender roześmiał się serdecznie.

– Tak. No więc, o rety, trudno na to odpowiedzieć. – Jak mógł wyjaśnić dziecku swoją miłość do latania? Co go w tym pociągało? Wyzwanie? Niezrównane poczucie kontrolowanej wolności w powietrzu? Urok chmur widzianych z góry pod czystym błękitem nieba? Ten jedyny w swoim rodzaju spokój...?

– Samoloty, a zwłaszcza odrzutowe myśliwce, są wspaniałe i świetnie się na nich lata – stwierdził w końcu.

– Mama mówi, że myśliwce i bombowce zabijają ludzi.

– Owszem, ale niekoniecznie.

– Czy zestrzeliłby pan inny samolot?

– Gdybym musiał... tak. – Już miał jej opowiedzieć, jak to zestrzelił irackiego MiG-a podczas wojny w Zatoce Perskiej w 1991; jak widział nieprzyjacielskiego

pilota, który katapultował się za późno i zginął, bo nie rozwinął mu się spadochron. Bender ugryzł się w język i rzekł tylko: – Ale nie chcę tego robić.

– Mój brat, Brian, chce iść do akademii lotniczej i zostać pilotem myśliwskim, ale mama mówi, że nie pozwoli wojskowym zabić jej syna. – Bender nie wiedział, co na to odpowiedzieć. – Czy ma pan syna? – spytała nagle Sarah.

Bender uniósł palec.

– Mam córkę.

– Aha. Dziewczyny nie muszą latać, prawda?

Uśmiechnął się.

– Nie, nie muszą. – Ale dzieci zawsze buntują się przeciwko pragnieniom swoich rodziców, dodał w myślach.

– No to cześć – powiedziała nagle Sarah i wybiegła.

Agent natychmiast za nią ruszył. Zatrzymał się na moment i rzucił Benderowi:

– Ten dzieciak wszędzie się wkręci.

– Tak – odparł Bender. – Nie widziałem tu ostatnio Chucka Sanforda ani Wayne’a Adamsa. Co się z nimi stało?

Agent rozejrzał się wokoło, aby się upewnić, że nikt ich nie podsłuchuje.

– Ja tego panu nie powiedziałem. Obaj zostali wylani z roboty w trybie administracyjnym.

Bender ściągnął brwi.

– Sprawka Shawa? – spytał. Agent zamrugał powiekami. Generał podjął: – Za to, co się stało w St. Louis, kiedy przekazałem pani Turner, że zmarł prezydent Roberts?

Agent mruknął potwierdzająco i zniknął w korytarzu.

Bender rozsiadł się wygodnie i pogрузzył w myślach. Powinien był wcześniej zainteresować się tą sprawą. Powoli zaczynał już pojmovać, dlaczego Madeline O’Keith Turner nie cierpiała wojskowych.

Rozdział trzeci

Waszyngton

Lokaj stanął za dwiema kobietami i dziewczynką, gotowy na ich skinienie. Lubił tę beztroską, ciepłą, rodzinną atmosferę śniadań. Usługiwał w Białym Domu od ponad trzydziestu lat, lecz właśnie rodzina Turnerów najbardziej przypadła mu do gustu. Lubił nawet dzieci – Briana i Sarah – przy czym Sarah była jego zdecydowaną faworytką. Księżniczki można rozpoznać już za młodu, myślał. Sarah z pewnością wyrośnie na księżniczkę.

– Panie Williamie – zagadnęła go teraz dziewczynka – kiedy pan je śniadanie? Jego ciemną twarz rozjaśnił dobroduszny uśmiech.

– Jem w kuchni, wczesnie rano, panienko Sarah. Jak tylko zaczynam pracę.

– Dlaczego nie może pan jadać z nami?

– No cóż, dziękuję bardzo – odpowiedział – ale moim zadaniem jest pilnowanie, żeby panie dostały gorący posiłek. Każdy musi robić to, co do niego należy.

Madeline Turner uśmiechnęła się do niego.

– Dziękujemy, Williamie.

William uklonił się i wyszedł.

– Nie chcę mieć służby – oznajmiła Sarah. – To niesprawiedliwe.

– Oni należą do obsługi, a nie służby – wyjaśniła jej Maura O’Keith. – Pomagają twojej mamie w drobnych sprawach, aby miała czas zająć się ważniejszymi. A my z tego korzystamy, bo jesteśmy z twoją mamą.

– Babcia ma rację – powiedziała Madeline. – Nie można być prezydentem bez pomocników takich jak William. On o tym wie i jest dumny z tego, co robi. A teraz pospiesz się, bo się spóźnisz do szkoły.

– Ja ją odprowadzę – powiedziała Maura wstając.

– Dzięki, mamó – Turner wstała i zerknęła na zegarek: była siódma dwadzieścia. Miała teraz czterdzieści minut dla siebie; bezcenne czterdzieści minut spokoju u progu burzliwego dnia. Musiała jednak przyznać się przed sobą, że uwielbia pośpiech i ruch, gromadę ludzi wokół i natłok obowiązków.

William czekał w nią na korytarzu, obeznany z porannymi zwyczajami pani prezydent. Ruszył za nią do jej prywatnego gabinetu, pchając przed sobą wózek z imbryczkiem gorącej kawy. Turner, już u siebie, usiadła na narożnej kanapie i nalała sobie płynu do filiżanki.

– Williamie, co robiłeś w święto pracy?

– Cała rodzina zjechała się do brata, w Bethesda – odpowiedział. – A moja rodzina jest bardzo liczna.

– O czym rozmawialiście?

– Głównie o pani. Oczywiście, byłem dyskretny. Jak zawsze.

To była prawda. Łatwiej było wyciągnąć informacje z CIA niż od ludzi z obsługi Białego Domu. William stał nieruchomo nad wózkiem. Wreszcie dodał:

– Opowiadałem o Sarah, o tym, jak ona biega po całym budynku, próbując uciec od ochroniarzy, czym doprowadza ich do szału. Mam nadzieję, że nie wypalałem za wiele?

Turner uśmiechnęła się.

– Sam dobrze wiesz, ile ci wolno, Williamie.

William miał oficjalny zakaz mówienia czegokolwiek postponującego pierwszą rodzinę Ameryki. Madeline była pewna, że milczkowaty Afro-Amerykanin nie będzie rozmawiał z prasą. Wolno mu było od czasu do czasu przekazać bliskim i znajomym jakiś pozytywny szczegół z codziennego życia Turnerów.

– Dziękuję za szczerść, Williamie. Rozmawialiście o polityce?

William rozumiał ciekawość pani prezydent. W Białym Domu mogła czuć się wyizolowana, odcięta od zwykłego toku wydarzeń. Pojmował, że Madeline Turner potrzebuje okna na świat. I on został tym „oknem”. Tyle że Patrick Shaw zabronił obsłudze rozmawiać z panią prezydent na osobności. To też już się zdarzało w przeszłości. Dostęp do prezydenta USA oznaczał posiadanie wielkich wpływów.

William jednak wszedł już w wiek emerytalny; w chłodne, wczesne poranki wstawanie z łóżka stanowiło dla niego coraz większy problem.

– Gadaliśmy głównie o robocie, pani prezydent. Ludzie nie mają pracy albo pracują tylko dorywczo. Nie pragną bogactwa, tylko chcą uczciwie pracować. Zarabiać na utrzymanie rodzin.

Kiwnęła głową. William potwierdził jej obserwacje z ostatniego objazdu.

– Dziękuję. Proszę, nie powtarzaj nikomu, o czym rozmawialiśmy. Gdyby wypytywał cię pan Shaw, powiedz mu, że pytałam cię, jak spędziłeś wolny dzień.

– Tak jest, proszę pani – odrzekł William. Na pewno tak będzie, dodał w myślach, wychodząc i zamykając za sobą drzwi.

Po trzydziestu minutach natknął się koło kuchni na Shawa.

– O czym mówiliście dziś rano? – spytał Shaw miłym, przyjaznym tonem.

– Pani prezydent spytała, jak mi minął urlop – odpowiedział William sztywnym, formalnym głosem. – Powiedziałem, że spędziłem go u brata.

– To wszystko?

– Podziękowała mi za kawę – dodał William.

Shaw podjął tym samym, sympatycznym tonem:

- Pamiętaj, masz być szczerzy, bo inaczej wykopię cię na bruk.
- Muszę odpowiadać na pytania pani prezydent, panie Shaw.
- A ja chcę, żebyś zapamiętywał jej pytania. – Shaw skierował się do

prywatnego apartamentu Turner i sprawdził czas. Jackie Winters, osobista asystentka pani prezydent, już tam była z nieodłącznym czarnym notatnikiem. Winters towarzyszyła Madeline Turner podczas godzin pracy, była cieniem prezydent, nie odstępowała jej na krok. Jackie Winters wyglądała i zachowywała się jak mysz, niemniej była pełna poświęcenia dla pani Turner i o choczko oddałaby za nią życie.

Dokładnie o ósmej Shaw zapukał dwukrotnie i wszedł. Jackie ruszyła jego śladem. Zaczął się na dobre kolejny dzień.

Shaw usiadł naprzeciw Turner i wręczył jej rozkład dziennych zajęć, tymczasem Jackie zajęła krzesło w kącie. Potem Shaw pokazał wydruk raportu przygotowanego przez specjalistów z CIA. Prezydent przeczytała dwudziestostronicowy dokument w ciągu zaledwie trzech minut. Następnie Shaw przedstawił listę osób, z którymi tego dnia miała się spotkać prezydent, krótko opisując ludzi, o których nic nie wiedziała. Wreszcie spis spraw, które wymagały podjęcia decyzji w najbliższej przyszłości. Przede wszystkim chodziło o wybór nowego wiceprezydenta. Turner podniosła wzrok i powiedziała:

- Patrick, chcę skorygować dotychczasową politykę.
- Słucham, pani prezydent – odezwał się formalnie, ale nie spodobał mu się jej ton.

- Podczas święta pracy zorientowałam się, że sytuacja ekonomiczna kraju jest gorsza, niż nam się zdawało.

- Dane statystyczne są bardzo dokładne.

Zdjęła okulary, jakich używała do czytania.

- Pewnego razu, podczas obrad komisji senackiej w Kalifornii, miałam okazję posłuchać wystąpienia naukowców z uniwersytetu. Przygotowali je na podstawie danych statystycznych i wykresów komputerowych. Ale żaden z nich nigdy nawet nie zajrzał do fabryki.

Shaw uśmiechnął się na to.

- Nasze dane opierają się na ulicznych sondażach.
- To za mało, Patricku. Trzeba porozmawiać też z ludźmi, którzy szukają pracy. – Przerwała na moment. – Musimy stworzyć program redukcji bezrobocia.
- Będzie trudno, pani prezydent, bez zwiększenia dotacji rządowych.
- Żadnych dotacji. Nie mówię o otwarciu nowej sieci barów z hamburgerami. Chcę stworzenia porządných, dobrze płatnych miejsc pracy.

- Co konkretnie pani proponuje, pani prezydent?
- Trzeba zreformować system podatkowy w celu zwiększenia wydajności i podniesienia poziomu zatrudnienia.

Shaw rzadko tracił rezon, tym razem jednak zabrakło mu słów.

- Hm, no... Tego już próbowano. Nie przyniosło skutków, za to wywołało spore zamieszanie. – Spojrzała na zegarek, pragnąc skończyć już tę rozmowę. – Pani sztab zbiera się za...

– Za dziesięć minut – powiedziała Turner. – Reformy podatków nie da się przeprowadzić od razu, ale trzeba rozpocząć odpowiednie przygotowania. Już dziś. Wieczorem chcę mieć na biurku zarysy planu. Mamy trzy lata na wprowadzenie zmian. – Jackie zanotowała to w notatniku. Turner wstała, podeszła do drzwi i dodała: – Patricku, proszę też o raport na temat Dalekiego Wschodu. Chcę się zapoznać z sytuacją.

– Pracujemy nad tym, pani prezydent. – Wyszedł za Turner, a Jackie znowu coś zapisała. Trzy lata? – pomyślał. Co to za głupie gadanie? A co z następnymi wyborami? Tak to jest, jak się uprawia politykę z amatorami. Oni zawsze chcą naprawiać świat...

* * *

Grube palce Shawa wystukiwały na blacie biurka uparty rytm, podczas gdy jego asystenci wbiegali i wybiegali z gabinetu, nie chcąc się narazić na wybuch jego złości. Gromadzili materiały, jakie miały stanowić podstawę planu reformy podatkowej. Zachodnie skrzydło Białego Domu aż huczało od plotek, nikt jednak dokładnie nie wiedział, co aż tak bardzo wyprowadziło z równowagi Patricka Flannery'ego Shawa. W pewnej chwili wyrzucił z gabinetu swoją sekretarkę, Alice Fay, ze słowami:

– Wolałbym być dziwką niż politykiem. Dziwka czuje niesmak dopiero po wszystkim.

Ten wybuch nasunął Alice Fay podejrzenie, kto się kryje za wściekłością Shawa. Wolała jednak siedzieć cicho, nie ryzykując posady.

– Dać mi Bendera! – wrzasnął ku otwartym drzwiom.

Alice Fay odpowiedziała niemal od razu:

– Generał Bender na linii pierwszej.

– Chcę się z nim widzieć osobiście! – Potrzebna mu była prawdziwa ofiara. Wkrótce Bender zawitał do jego biura. – Co z raportem, który miał pan przygotować dla pani prezydent? – zapytał skrywając złe emocje.

– Będzie gotowy dziś po południu – odparł Bender.

Shaw nie zwracał większej uwagi na Bendera. Jego umysł nadal zaprzętał problem, który Madeline Turner postawiła przed nim tego ranka. Im więcej o tym myślał, do tym gorszych wniosków dochodził. Obecny system nastawiony był na przynoszenie korzyści finansowym mocarzom, a katastrofa systemu zmiotłaby animatorów polityki – takich jak Patrick Shaw. Dla Shawa liczyło się bowiem w życiu jedno: władza. Pragnął jej i potrzebował jak narkoman heroiny czy alkoholik pełnej butelki. Ze wszystkich nałogów najtrudniej wyleczyć się z polityki, a Shaw nie miał zamiaru popełniać politycznego samobójstwa, tracić wszystkiego, na czym mu zależało, dla realizacji jakichś tam utopijnych mrzonek.

– Jest pan pewien, że będzie gotowy?... O której godzinie? – zapytał jeszcze.

– Po południu – powtórzył Bender. – Po czternastej. – Musiał jak najprędzej porozumieć się z generałem Charlesem, szefem sztabu sił powietrznych, i skłonić generała Overmeyera do zaakceptowania treści raportu. Nie było to jednak niewykonalne.

– To dobrze. Proszę być przygotowanym, kiedy zadzwonię. Zreferuje pan sprawę w Gabinetcie Sytuacyjnym. Pani prezydent dotychczas z niego nie korzystała.

– Chce pan, by najpierw przedstawić główne punkty raportu? – zapytał Bender.

– Do licha! Proszę się po prostu dobrze przygotować.

– Proponuję, aby wezwać też doradcę do spraw bezpieczeństwa narodowe-
go oraz sekretarza stanu – podsunął Bender.

Shaw w odpowiedzi mruknął coś niezrozumiale. Bender odwrócił się i ruszył do wyjścia.

– Zostawić otwarte drzwi? – spytał.

Shaw zignorował to pytanie i powrócił do roztrząsania głównego problemu. Skutki propozycji Turner mogły okazać się przerażające. Co za gówno! – zaklął w myślach. Zreformować system podatkowy dla podniesienia wydajności i redukcji bezrobocia! Może uda mi się odwrócić jej uwagę od kwestii podatkowych. Już wcześniej ratowałem ją przez jej własnymi pomysłami. Jednak jeśli mi się nie uda, to czas pakować manatki...

– Jezu Chryste – jęknął. – Jak stąd wylecę, to wielu zechce dobrać mi się do tyłka.

* * *

Strażnik w mundurze piechoty morskiej otworzył drzwi do Gabinetu Sytuacyjnego w podpiwniczeniu zachodniego skrzydła Białego Domu. Włączył światło i odsunął się, by zrobić przejście dla Bendera. Była to stosunkowo nieduża salka – jakieś piętnaście na dwanaście stóp. Znajdował się w niej duży stół oraz wygodne fotele, a także ekran do prezentacji przezroczy i filmów wideo. Poza tym brakło tu innych elektronicznych gadżetów, wbrew temu, co ukazywano na fabularnych filmach, których akcja miała się dziać w Białym Domu. Nieopodal jednak mieściło się centrum łączności, a tam roilo się już od najnowocześniejszych urządzeń telekomunikacyjnych.

– Będę potrzebował trzydziestopięciomilimetrowego projektora do slajdów – zapowiedział Bender.

– Zaraz go ustawię – rzekł strażnik.

– Nie, ja to zrobię – odparł Bender. – Dopasuję go do ostrości swojego wzroku.

Strażnik otworzył drzwi do kabiny projekcyjnej tuż obok sali i poczekał na zewnątrz, aż Bender włoży slajdy do rzutnika. Generał przejrzał przezrocza i sprawdził, czy są włożone odwrotnie, tak by na ekranie obraz ukazał się właściwie. Wreszcie wyszedł, a strażnik pokazał mu klucz do kabiny.

– Postaram się, by nie wszedł tam nikt niepowołany – zapewnił generała.

Bender wrócił do Gabinetu Sytuacyjnego, uruchomił ręcznym pilotem projektor i sprawdził, czy urządzenie działa. Był bardzo metodycznym człowiekiem; wiedział, że wszystkie trybiki muszą się obracać, by machina odpowiednio funkcjonowała. Czasem też wołał sam dopilnować drobiazgów. Teraz położył akta w teczce przed prezydenckim fotelem i wrócił na swoje miejsce koło ekranu, gdzie miał referować sytuację na Dalekim Wschodzie. W pamięci powtórzył

kwestie, które powinien poruszyć. Nie o takich zadaniach marzył, gdy dawno temu wstępował do lotnictwa wojskowego.

Przymknął na parę chwil oczy i wyobraził sobie, że znowu jest w kabinie samolotu F 16, wysoko nad ziemią, wolny i samotny... że wrócił do zespołu akrobacji lotniczej. Odrzutowce stały w równym rzędzie na pasie startowym, a piloci dokonywali ostatniej kontroli mechanizmów. Potem w słuchawkach rozległ się głos dowódcy zespołu: „Wszystko gotowe”... Krótkie słowa potwierdzenia z kabin pozostałych pilotów. „Jeden... Dwa... Trzy... Cztery... Pięć.... Sześć...” Potem śmiech prowadzącego: „No to w górę...” I spektakl się rozpoczął. „Dymy”. Odrzutowce pozostawiały na niebie zawijasy barwnego dymu, wykonując akrobacje na krawędzi dopuszczalnego ryzyka. Zespół był tak zgrany, że każdy pilot mógł liczyć na pozostałych, a jego koledzy na niego...

Głos prezydent Turner przywrócił go do rzeczywistości.

– Przerwałam panu drzemkę, generale?

Bender podniósł wzrok i spaśował.

– Tylko pograżyłem się we wspomnieniach, pani prezydent. – Uśmiechała się do niego od drzwi. Bender szybko wstał. Znowu w pełni nad sobą panował. Stał w milczeniu, ze złożonymi przed sobą rękami, trzymając w dłoniach pilota do projektora i wskaźnik.

– Od dosyć dawna nie mieliśmy okazji porozmawiać – zagadnęła Madeline, siadając. Bender nie odpowiedział.

W progu zjawił się Shaw, usunął nieco na bok i przepuścił sekretarza stanu Clementa Murchisona oraz doradcę do spraw bezpieczeństwa narodowego, Williama Rawlingsa. Shaw obdarzony był rzadką umiejętnością odczytywania emocji, które inni wyrażali w słowach czy gestach; zwłaszcza Madeline Turner był w stanie przejrzeć na wylot. Ona lubi tego gościa, pomyślał teraz. Dlatego trzyma go przy sobie. To najbardziej zacięty, sztywny dupek w całym amerykańskim lotnictwie wojskowym, a mimo to ona go lubi... Jak to się stało, że nie dostrzegł tego wcześniej?

Wiedziony instynktem Shaw przyjrzał się Benderowi uważnie. Mój Boże, pomyślał, on rzeczywiście wygląda jak prawdziwy generał... Szczupły, groźny, władczy... Czy sterując nim, można kierować poczynaniami Maddy Turner? Shaw szybko odrzucił tę myśl. Nie ze względu na Turner, ale raczej na Bendera. Bender najwyraźniej nie przepadał za panią prezydent. Tylko dlaczego? Shaw usiadł obok Rawlingsa, doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego. Miał nadzieję, że odprawa nie zajmie zbyt dużo czasu.

– Cóż, generale – powiedziała Turner. – Co pan dzisiaj ma dla nas?

Shaw wyczuł ciepłą nutę w jej głosie. Cholera, pomyślał, kiedy babki tak do mnie gadają, to robię się miękki jak wosk. Patrickowi przyszła do głowy także inna refleksja: może ona celowo opuszcza gardę, żeby mi coś pokazać?

– Pani prezydent – zaczął Bender – zażądała pani przedstawienia sytuacji na Dalekim Wschodzie. Główne zagadnienia zostały streszczone w dokumencie, leżącym na stole przed panią.

Jakim dokumencie? – zdziwił się Shaw. Do diabła, nie zauważyłem tych papierów. Następnie wspomniał wcześniejszą rozmowę z generałem. Sam był wte-

dy wzburzony i nie zajął się szczegółami. Bender nie pogrywał wobec niego nieuczciwie.

Shaw słuchał, jak Bender omawia główne punkty. Na razie nic nowego, pomyślał. Standardowe opinie Pentagonu: ekspansjonistyczne Chiny szybko zwiększają swe siły wojskowe i obecnie stanowią zagrożenie dla swoich sąsiadów oraz dla światowego pokoju. Potem trochę militarnych szczegółów; coś o zwodowaniu sześciu najnowszych okrętów podwodnych klasy Xia, uzbrojonych w pociski z głowicami nuklearnymi; o wejściu do służby pierwszego chińskiego lotniskowca; wreszcie długi wywód o zasobach chińskich środków masowego rażenia. Wedle najświeższych ustaleń Pentagonu zarazki wyhodowane w chińskich laboratoriach były znacznie bardziej zabójcze od trujących gazów paraliżujących system nerwowy. Skąd to niby wiadomo? – zastanawiał się Shaw.

Madeline Turner spodobał się sposób referowania przyjęty przez Bendera: zwięzły, szybki, logiczny. Słuchała go i jednocześnie kartkowała dokument. Czytała niezwykle prędko i doszła do końca jeszcze przed Banderem.

Uniosła głowę.

– Generale Bender, przejdźmy od razu do tematu ze strony, hmm... sześćdziesiątej siódmej. – Zerknęła na Shawa. – Patricku, proszę wyjrzeć za drzwi i odesłać Jackie do jej biura. Proszę się też upewnić, że strażnik nie wpuszcza nikogo na ten korytarz, a następnie zamknąć drzwi na klucz.

– Jesteśmy tu bezpieczni, pani prezydent – powiedział, lecz wyraz jej twarzy poderwał go zaraz z fotela. O co, do licha, tu chodzi? – dziwił się. Bender milczał, póki Shaw nie usiadł z powrotem na miejscu. Wtedy generał uruchomił przyciskiem projektor. Na ekranie ukazały się słowa „Pakt pekiński”.

– Pakt pekiński? Co to takiego, u diabła? – mruknął Shaw.

– Zaraz się przekonamy – odpowiedziała Turner. Shaw drgnął na dźwięk jej głosu. W tonie pani prezydent pojawiła się nowa nuta. Rawlings wyglądał, jakby spieszo mu było do toalety.

– W tym interesie – szepnęła porozumiewawczo Shaw – trzeba się zawczasu odlać. Nigdy nie wiadomo, kiedy się nadarzy następna okazja.

– Pani prezydent – odezwał się Clement Murchison, sekretarz stanu – to nie czas ani miejsce na dyskusję nad tą sprawą. Muszę zaprotestować.

– No cóż – odparła Turner – spodziewałam się po panu podobnej reakcji. Generale Bender, proszę kontynuować.

– We czwartek, drugiego sierpnia – oznajmił Bender – szesnaście dni przed śmiercią prezydenta Roberta... – Tu na ekranie pojawiła się szara sylwetka Boeinga 707 – ...pozbawiony znaków rozpoznawczych wojskowy samolot typu KC 135 wylądował w Shahe, chińskiej bazie lotniczej, znajdującej się mniej więcej o godzinę jazdy na północ od Pekinu.

Kliknięcie; kolejny slajd. Niewyraźne zdjęcie przedstawiające Rawlingsa i Murchisona wysiadających z tegoż samolotu.

– To zdjęcie wykonano z odległości prawie jednej mili i zostało wyostrzone z wykorzystaniem techniki komputerowej.

Kliknięcie. Murchison wchodzi za Rawlingsem do czarnej limuzyny.

– Auto skierowało się do Pekinu.

Kliknięcie. Rawlings i Murchison wchodzi do jakiegoś budynku.

– Tam doszło do spotkania z premierem Chińskiej Republiki Ludowej, Lu Zoulinem. – Ekran zrobił się biały. Głos Bendera, ostry i stanowczy, odbijał się od ścian. – To spotkanie odbyło się w najwyższej tajemnicy. Osiągnięte zostało wzajemne porozumienie, które, z braku lepszego określenia, nazwaliśmy „paktem pekińskim”. Nie znamy treści podpisanego dokumentu, ale wiemy, jakimi zaowocował skutkami.

Murchison wstał, jakby zamierzał wyjść.

– Proszę usiąść – powiedziała Turner. Murchison usłuchał.

– Trawka się wysmyknęła, babcia w gówno fiknęła – odezwał się szeptem Shaw. Rzadko i w taki właśnie osobliwy sposób przypominał swoich przodków. – Ładne buty, nie ma co.

– Generale Bender, dlaczego właśnie pan mnie o tym informuje? – zapytała Madeline Turner.

– Ponieważ CIA o tym nie wie, pani prezydent, a Pentagon zdobył te materiały dopiero po śmierci prezydenta Roberta. Z tego, co zdołaliśmy ustalić, tylko dwie osoby z obecnej administracji... siedzące w tym pokoju... maczały w tej sprawie palce.

– Pani prezydent, znowu jestem zmuszony zaprotestować – przemówił Murchison drżącym głosem. – Ta kwestia wychodzi poza kompetencje wojskowych.

– Czyżby? – odparł Bender i zaprezentował następny slajd. – Oto zapis telefonicznej rozmowy odbytej przez prezydenta Roberta z generałem Overmeyerem wieczorem we czwartek szesnastego sierpnia, czyli na dwa dni przed śmiercią prezydenta.

GENERAL OVERMEYER: Panie prezydencie, Chińczycy gromadzą siły przeciwko Tajwanowi. Musimy zapoznać pana z sytuacją. Chcemy zarządzenia stanu podwyższonej gotowości sił zbrojnych.

PREZYDENT ROBERTS: Proszę się o to nie martwić. Powróćcie do wykonywania normalnych zadań i odwołajcie wydane dyrektywy. Niezwłocznie.

Shaw musiał dwukrotnie przeczytać te słowa, zanim w nie uwierzył.

– Czy to znaczy, że...? – urwał; nie był w stanie dokończyć zdania. Doznał wstrząsu.

Bender zachowywał się natomiast jak uniwersytecki profesor wyjaśniający prosty problem wyjątkowo tępemu studentowi.

– To znaczy, panie Shaw, że były prezydent Stanów Zjednoczonych, przy współdziałaniu z sekretarzem stanu oraz doradcą do spraw bezpieczeństwa narodowego, zawarł tajny układ z Chińczykami i oddał im Tajwan.

W Shawie ponownie obudził się polityk.

– I to było z góry zaplanowane?

– Nie wiemy – odrzekł Bender. – Możemy tylko zgadywać, a zgadywanie nie jest zajęciem dla wojskowych. Będzie pan musiał zapytać obecnych tu panów.

Rawlings i Murchison chcieli przemówić, lecz Turner uciszyła ich uniesioną dłonią. Kończyła czytanie dokumentu.

– Proszę zaprezentować resztę slajdów – poleciła Benderowi. – Tak, rozumiem... – stwierdziła wstając. – Patricku, proszę załatwić ten problem i nie wychodzić z tej sali, dopóki sprawa nie zostanie rozwiązana. – Wzięła dokumenty i powiedziała: – Generalne Bender, proszę ze mną.

– Muszę zabrać przezrocza, pani prezydent.

Turner kiwnęła przyzwalająco głową; strażnik wpuścił Bendera do kabiny projekcyjnej, skąd generał zabrał slajdy. Turner nie spuszczała z niego wzroku. Potem ruszyli oboje po schodach, prosto do Gabinetu Owalnego.

Przed drzwiami czekała Jackie. Turner wręczyła jej spisany raport i slajdy Bendera.

– Proszę to natychmiast zniszczyć. Osobiście... To bardzo ważne – powiedziała. Jackie skinęła głową i odeszła korytarzem. – Proszę usiąść – Turner zwróciła się teraz do Bendera wskazując kanapę. Podniosła słuchawkę aparatu. – Kawę i herbatę, proszę. – Rzuciła słuchawkę na widełki, spojrzała na Bendera, skrzyżowała ramiona na piersi i oparła się biodrem o krawędź biurka.

Czekali w milczeniu. Bender pogrążył się w rozmyślaniach. Spodziewał się po Turner gwałtowniejszej, bardziej emocjonalnej reakcji, może nawet łez; był zaskoczony, że przyjęła to z takim spokojem i opanowaniem. Może nie do końca pojęła, jakie to istotne? – zastanawiał się. Zerknął na panią prezydent. Była bez wątpienia bardzo atrakcyjną kobietą. Nancy spodobałby się jej kostium, pomyślał. Choć pewnie nie wyglądałaby w nim tak dobrze. W tym rzecz. Turner robi świetne wrażenie... I przyszło mu do głowy jeszcze jedno: ona lubi komenderować.

– Robercie – odezwała się. – Musimy poważnie porozmawiać.

* * *

Shaw czuł się teraz w swoim żywiole. Rzadko miewał bowiem okazję wypróbować prawdziwość starego powiedzenia: można kogoś zabić w sensie politycznym nie pozbawiając go życia.

– Panowie, czy uczestniczyliście kiedyś w autopsji? – zapytał przyjaźnie i spokojnie. – Paskudny widok.

– Shaw – odezwał się Murchison usiłując nad sobą zapanować – co ty sobie, do cholery, wyobrażasz?

– Wydaje mi się, że jestem człowiekiem, który zaraz przystąpi do sekcji zwłok. Murchison wstał.

– Dosyć tych żartów.

– To nas czeka sekcja – wyjaśnił mu Rawlings. Murchison usiadł.

Wstał za to Shaw i zaczął spacerować po pomieszczeniu niczym wytresowany niedźwiedź. Zatrzymał się za Rawlingsem i położył mu na ramionach swoje wielkie dłonie. Wiedział, że Rawlings jest słabszy i „pęknie” szybciej.

– Najpierw ustalmy przypuszczalną przyczynę zgonu... Nielojalność?

William pojawił się z zastawionym wózkiem w Gabinetcie Ovalnym.

– Woli pan kawę czy herbatę? – zapytała Madeline.

– Kawę – odrzekł Bender.

Po wyjściu Williama połączyła się z sekretariatem.

– Proszę wprowadzić pana Shawa, kiedy tylko się zjawi. – Nalała kawę i zerknęła na Bendera. – Robercie, mam dwa problemy: jeden dotyczy składu obecnej administracji, drugi natomiast kwestii polityki zagranicznej. Patrick rozwiązuje właśnie pierwszy, mnie pozostał drugi. Nie muszę dodawać, że podejmując decyzję, muszę brać pod uwagę zagadnienia wojskowe. I dlatego poprosiłam pana tutaj.

– Pani prezydent, należałoby o tym porozmawiać z generałem Overmeyerem, a nie ze mną.

– Ja chcę jednak mówić o tym z panem.

– Dlaczego? Wedle prawa pani wojskowym doradcą jest szef połączonych sztabów.

– Pogadam i z nim... – długa pauza – ...kiedy on pogodzi się wreszcie z myślą, że jego zwierzchnikiem została kobieta.

– Ależ on traktuje panią z całym poważaniem...

– Bo jest dobrze wychowany? Proszę bez żartów.

– Ponieważ jest pani jego przełożoną.

Overmeyer nie będzie zachwycony, dodał w myślach Bender, ale pozostanie lojalny.

– Z mlekiem czy z cukrem? – zapytała Madeline, odgrywając rolę uprzejmej gospodyni.

Dziwne, myślał Bender. Mamy do czynienia z głębokim kryzysem, a bawimy się w zbyteczną kurtuazję.

– Lubię czarną, bez cukru – powiedział. Turner wręczyła mu filiżankę, muskając przy tym jego dłoń.

– Czemu generał Overmeyer nie powiedział mi o wszystkim wcześniej? – zapytała.

– Ponieważ my...

– My?

– Departament Obrony – wyjaśnił i podjął z innej beczki: – Ponieważ nasze służby wywiadowcze nie...

– Wasze służby? Konkurencja dla CIA?

Tylko spokojnie! – upomniał siebie Bender i powiedział:

– Nazywamy ich chłopcami z piwnicy. – Dostrzegł jej zdumioną minę, więc wyjaśnił: – Niektóre organa wywiadu znalazły się pod skrzydłami Departamentu Obrony, aby uniknąć kontroli ze strony Kongresu. Zaczęło się to za czasów prezydenta Reagana.

– Dlaczego dopiero teraz się o tym dowiaduję?

Chciał odpowiedzieć: bo nie kontaktowałaś się z właściwymi osobami, ale zamiast tego rzekł:

– Należało zapytać o to dyrektora CIA albo generała Overmeyera. Odpowiem jednak na wcześniejsze pytanie: nasi ludzie poskładali do kupy wszystkie informacje dopiero parę dni temu. Generał Overmeyer sądził, iż dzisiejsze spotkanie stwarzało dobrą okazję do...

- Overmeyer przypuszcza, że sama tkwię w tej sprawie po szyję.
- Nie mogę mówić za niego, ale...
- Proszę więc mówić za siebie, Robercie.

* * *

– Lojalność – powiedział Shaw przymilnym tonem – to rodzaj waluty obowiązującej w polityce. Kupuje się za nią wpływy, władzę. Nie ma lojalności, nie ma władzy. Gdy ktoś odbiera wam władzę, może komuś innemu sprzedać swoje usługi. A więc kto wam ją odebrał? Czym się kierowały dwa takie gnojki jak wy?

- Porozumienie było pomysłem prezydenta Roberta – stwierdził Murchison.
- No tak, wina zawsze spada na nieobecnego – mruknął Shaw.
- Działaliśmy w jego imieniu – dodał Rawlings.

– Nic w tym złego – rzekł Shaw – tylko że w chwili, gdy Chińczycy skierowali się na Tajwan, powinniście wyskoczyć z Gabinetu Ovalnego i wszystko lojalnie wyznać, natychmiast złożyć rezygnację z zajmowanych stanowisk i pokazać nam treść tego cholernego paktu pekińskiego.

– Układ nosi nazwę technicznego porozumienia w sprawie powrotu Tajwanu do Chin.

– Techniczne porozumienie? – spytał Shaw niczym wzburzony czyjaś nieprawością ministrant. – I co? Wynegocjowaliście je przez Internet? – Bez odpowiedzi. – Chcę kopię tego dokumentu. Natychmiast.

Na twarzy Murchisona pojawił się napięty półuśmiezek.

– Jeden z protokołów porozumienia głosi, że jeśli jedna z układających się stron zostanie, bez względu na powód, odsunięta od władzy, umowa zostaje anulowana, a obie strony zniszczą egzemplarze traktatu. Co też miało miejsce po śmierci prezydenta Roberta.

– No to jesteście czyści, co? – stwierdził Shaw z ironicznym rozbawieniem. – Żadnych wyrzutów sumienia. I jak wam się zdaje, dlaczego Lu Zoulin jednak połknął Tajwan? Myślicie, że spalił swoją kopię układu? Wyobrażam sobie konferencję prasową i pytania w stylu: „Pani prezydent, co z tym tajemniczym przehandlowaniem Tajwanu? Tak samo Chamberlain sprzedał Hitlerowi Czechosłowację?”. Turner raczej nie odpowie: „Podoba mi się to pytanie”. Wystawiliście do wiatru naszą prezydent. I to ma być lojalność?

– Prasa może tylko spekulować – rzekł Murchison. – Nie ma co się zbytnio przejmować dziennikarzami.

– W czym więc rzecz? – spytał Shaw. – Co nam zaoferowali Chińczycy w zamian za Tajwan?

Murchison odparł z uśmiechem:

- Układ stracił moc, a więc żadne...

Wtedy wtrącił się Rawlings:

- Ja mam kopię porozumienia.

* * *

Mówić za siebie? – zastanawiał się Bender. Do czego to doprowadzi?

– Overmeyer jest pewien, że pani o niczym nie wiedziała. I skorzystał z tej okazji, żeby panią powiadomić.

Prezydent łyknęła herbaty.

– A zatem, kto w Pentagonie orientuje się w położeniu?

– Bardzo niewiele osób. Sprawa otoczona jest ścisłą tajemnicą.

– Sekretarz obrony?

– Nie mam pojęcia – odrzekł Bender – ale znając generała Charlesa...

– Generał Charles?

Bender przygryzł wargę. Mocno. Ona nawet nie zna Charlesa. Co robiła przez ostatnie siedem miesięcy?

– Generał Wayne Charles piastuje stanowisko szefa sztabu lotnictwa wojskowego – wyjaśnił. – W krytycznych sytuacjach ma on prawo wyřęczać w pewnych obowiązkach sekretarza obrony. – I pomyślał: „Czy politycy nie rozumieją, co to takiego lojalność?”

– Mam kiepską pamięć do nazwisk – powiedziała. – Muszę je najpierw skojarzyć z twarzami. – Następny łyk herbaty. – A więc, czy mówi pan, Robercie, także w imieniu generała Charlesa? – Jej głos był cichy i łagodny.

– W tym wypadku, owszem.

– W takim razie, w czym tkwi sens owego układu z Chińczykami?

* * *

Shaw usiadł i zaczął bębnić palcami w stół. Nadszedł czas podjęcia decyzji; decyzji, która zaowocuje ważkimi konsekwencjami.

– Panowie, mamy problem. Mogę zwrócić się do Departamentu Sprawiedliwości, aby wziął sprawę w swoje ręce. Albo...

Murchison zaśmiał się przerywając mu.

– Żeby rozpoczęli dochodzenie, tak? Nie pogwałciliśmy aktu Logana. W istocie konstytucja daje mi prawo negocjowania w imieniu prezydenta. Niech pan się zapozna z obowiązującym prawem, panie Shaw.

Shaw udawał zdumienie.

– Kto mówi, że złamaliście konstytucyjne przepisy? – Westchnął głośno. – To właśnie kłopot z wami, prawnikami: jesteście cholernie formalistyczni. Departament Sprawiedliwości tak czy owak może wam się dobrać do skóry. Wiecie co, przypominacie mi dojrzałe melony: zrobić małą dziurkę, a melon rozpadnie się na kawałki. Jeśli zachowacie się rozsądnie i będziecie mnie słuchać, to pomogę wam się wypłatać; podpiszecie antydatowane listy z rezygnacjami oraz szczegółowy opis całej nieszczęsnej akcji.

– Rozumiem – powiedział Rawlings – że chce pan zeznać i listów rezygnacyjnych, żeby zrobić z nas kozłów ofiarnych, kiedy sprawa wyjdzie na jaw?

– Widzę, że błyskotliwie rozumujecie – zadrwił Shaw.

Murchison również przejrzał zamiary Shawa.

– W ten sposób będzie nas miał pan w ręku.

– Powiedzmy, że będziecie chodzić na moim pasku – ujął rzecz Shaw. – No, ale nie spadniecie ze stołków. Chyba że zechcecie kombinować z prezydent Turner za moimi plecami. Posłuchajcie: lepiej kontaktujcie się z nią za moim pośrednictwem, mówiąc tylko to, co sam zaakceptuję. Chcę też dokładnych relacji z rozmów, jakie z nią odbędziecie, słowo w słowo. A ja, w stosownym czasie, wystawię z odpowiednią datą waszą rezygnację i wyjdziecie cało z zamieszania. Jak będziecie grzeczni, znikną raporty z waszej wyprawy do Pekinu. Znikną, ale na wszelki wypadek nie zostaną zniszczone.

– Shaw – odezwał się Murchison – nie mogę na to pozwolić. Co to za kombinacje?

– Robię igły z widły, co? – Cholera, pomyślał Shaw. Po co rzucam im takie celne powiedzonka? Shawa zmęczyła już sztuczna uprzejmość i wytoczył ciężką artylerię. – Pozwólcie mi opisać sytuację w słowach, które będą zrozumiałe nawet dla prawników. – Dodał chłodno i stanowczo: – Macie niewielki wybór. Albo postąpiacie tak, jak sobie tego życzę, albo znajdziecie się w niezłym szambie. Wybór należy do was.

– Natychmiast mogę złożyć swoją rezygnację i szczegółowy raport – oświadczył Rawlings.

Murchison wstał, usiłując zachować resztkę godności, i powiedział:

– Ja również.

Szeroki uśmiech rozjaśnił oblicze Shawa. Znowu stał się miły i dobrotliwy.

– Panowie, chcę dostać w swoje ręce kopie waszego... technicznego porozumienia. Powiedzmy, za pięć minut.

– Ja swoją zniszczyłem – zaprotestował Murchison.

Shaw znowu zaczął bębnić.

– Naprawdę?

– To zajmie kilka godzin – odrzekł Murchison zgorzkniałym tonem. Po raz pierwszy w życiu poznał na własnej skórze znaczenie słowa „szantaż”.

* * *

Madeline Turner usiadła na sofie naprzeciw Bendera i założyła nogę na nogę. Generał dopiero teraz dostrzegł, że ona ma, jak na kobietę, wyjątkowo duże stopy.

– Pani prezydent, mogę się tylko domyślać istoty porozumienia zawartego przez prezydenta Robertsa z Chińczykami.

– A więc chciałybyśmy poznać pańskie przemyślenia.

Bender zerknął na swoje ręce; żałował, że nie znajduje się teraz w jakiejś bazie sił powietrznych, gdzie panują względnie zdrowe układy.

– Przypuszczam, że oddaliśmy Tajwan w zamian za pewne obietnice.

– Jakież to obietnice?

– Zahamowanie przez Chiny ekspansji terytorialnej i uhonorowanie obecnego *status quo*.

Milczenie. Wyraz twarzy Turner nie zdradzał nic. W końcu przerwała ciszę:

– Jeżeli to prawda, to powiedziałabym, że warunki są do przyjęcia.

– Pod warunkiem, że ufamy Chińczykom.

- Wnoszę – powiedziała – że pan im nie ufa.
- Nie, pani prezydent. Nie dowierzam ich zapewnieniom.

Wstała i podeszła do biurka.

- Proszę, zaczekajmy, aż dołączy do nas Patrick. To długo nie potrwa.

Wezwała Jackie Winters, która przyniosła jakieś dokumenty i prezydencki notatnik, po czym zapytała, czy jest jeszcze potrzebna.

Bender spojrział na notatnik i stłumił westchnienie. Sam nie lubił posługiwać się zapiskami. Rzucił okiem na księgę na biurku i przeczytał tytuł: „Reforma podatkowa”.

Zgodnie ze słowami Turner, Shaw zjawił się wkrótce. Uśmiechnął się jowialnie i rzucił na blat cienki, oprawiony w skórę dokument.

– Techniczne porozumienie w sprawie powrotu Tajwanu do Chin – obwieścił. Turner wzięła dokument i zaczęła go przeglądać, a tymczasem Shaw nalał sobie kawy i usiadł. Powiedział do Bendera: – Pani prezydent wyjątkowo szybko czyta. Tysiąc pięćset słów na minutę, bez opuszczania szczegółów.

Madeline odłożyła lekturę.

– Tak jak oczekiwałam – stwierdziła. – Generale, pańskie wnioski się potwierdziły. Oddaliśmy Tajwan za zachowanie *status quo*.

– Mogę? – zapytał Bender. Turner przyzwoliła skinieniem, a generał zaczął czytać treść porozumienia. Układ był zdumiewająco prostoliniowy i opisywał szczegółowo relacje pomiędzy Chinami, Tajwanem i Stanami Zjednoczonymi. Bender starał się jednocześnie czytać dokument i słuchać rozmowy pani prezydent z Shawem.

– ...układ został zawarty, pani prezydent. Nie jest taki straszny... Chodzi tylko o to, żeby jego treści nie poznała opinia publiczna.

Bender zatrzymał wzrok na paragrafie zatytułowanym „Strefy wpływów”. Zupełnie jakby czas się cofnął, skonstatował. Powrót do polityki równowagi między mocarstwami, znanej z drugiej połowy dziewiętnastego wieku.

– ...chiński ambasador chyba pomyślał, że oszalałam, gdy wezwałam go do siebie – to powiedziała Turner.

– ...wątpliwe, czy znał treść tego porozumienia – odparł Shaw.

Bender doszedł do tekstu załączonych protokołów, które, w razie zmiany rządów u sygnatariuszy, unieważniały literę układu. A więc dlaczego nie zniszczono dotąd tych kopii? – zdziwił się.

– ...nie trzeba się już martwić o Rawlingsa i Murchisona, pani prezydent... Złożą rezygnacje i zdadzą szczegółowy raport ze swojej wyprawy. Na studiach prawniczych nauczono ich paru pożytecznych rzeczy... Lepiej zatrzymajmy ich na stanowiskach, a potem wyprawimy im uroczyste pożegnanie. Tu, w Waszyngtonie, są już skończeni.

Bender studiował ostatni protokół, przyglądając się dołączonej do układu mapie. Przerzywanymi liniami oznaczono tak zwane strefy interesów. Nagle zamarł.

– Sukin... – zaczął, lecz roztropnie nie dokończył przekleństwa. Podniósł wzrok. Turner uśmiechała się do niego.

– Ponoszą pana emocje, Robercie?

Bender poczuł, że się czerwieni.

– Mamy poważny problem – stwierdził i oddał porozumienie prezydent Turner. Shaw wybuchnął śmiechem.

– Niby dlaczego, panie kolego?

Generał poczuł, jak marszczy mu się czoło na dźwięk tego pobłażliwego „panie kolego”.

– Ta mapa. – Obaj mężczyźni podeszli do pani Turner. – Czyżby Japonia znalazła się poza strefą naszych wpływów? – Palcem wskazującym lewej dłoni Bender wskazał na przerywaną linię, która przebiegała tuż za wyspą Guam na Pacyfiku.

– Poza chińską strefą także – zauważył Shaw.

Bender przebiegł teraz paznokciem wzdłuż linii oznaczającej strefę chińskich interesów.

– Tyle że – zauważył – w ich strefie jest Okinawa i Półwysep Koreański.

– Co z tego wynika? – spytała Turner.

– O ile, zgodnie z załącznikiem, dokument utracił ważność, nie – rzekł na to Shaw. – Mają Tajwan, a teraz chcą spokojnie zgarnąć wygraną i siedzieć cicho.

– Tak samo postąpili wcześniej w kwestii niewielkich, bezludnych, lecz bogatych w złoża ropy naftowej wysepek na Morzu Południowochińskim. Już w latach dziewięćdziesiątych opublikowali mapy, według których wyspy te należały do kontynentalnych Chin.

– Tak, tak – mruknął Shaw. – Chińczycy od dawna uważają ten akwen za własny obszar. Stamtąd daleko jednak do Okinawy.

– A teraz zerkają ku Korei i Okinawie – dodał Bender.

Turner powoli pokręciła głową.

– I to z tego powodu Pentagon domaga się zwiększenia wydatków na wojsko i podwyższenia gotowości naszej armii? Słyszałam już podobne ostrzeżenia. Wy, wojskowi, życie przesadne obawy.

Shaw przechadzał się po pomieszczeniu; wyglądał na wielce strapionego. Zerknął na dokumenty i mapy na biurku. W duchu pragnął, by zniknęły.

– Generał, niestety, ma trochę racji, pani prezydent – stwierdził.

– W takim razie poczekamy i zobaczymy – powiedziała Madeline. – Nie mam zamiaru doprowadzać naszego kraju na skraj bankructwa przez nieuzasadnione wydatki na zbrojenia. A teraz muszę się udać na posiedzenie. Dziękuję wam, panowie.

Shaw odprowadził Bendera do drzwi Gabinetu Owального.

– Był pan bardzo pomocny, generale, bardzo pomocny. – Następnie ruszył korytarzem do swojego biura, pogwizdując przy tym bezgłośnie. Zamknął za sobą drzwi gabinetu, wziął przenośny telefon i wybrał numer.

– Cześć, kochanie – powiedział. – To ja. – Długa pauza. – Wiem, że dawno się nie odzywałem, ale przez cały czas myślałem o tobie. Chciałbym, żebyśmy dziś wieczorem dali upust naszym chuciom. – Kolejna pauza. – Daj sobie spokój. Nie pożałujesz.

Rozdział czwarty

Waszyngton

Robert Bender z trudem przedzierał się przez popołudniowe korki na ulicach; był już blisko bazy sił powietrznych w Bolling, w okolicy której mieszkał, gdy odezwał się telefon komórkowy. Wzywali go szefowie z Pentagonu. Natychmiast zawrócił i zatelefonował do żony. Nancy Bender odebrała już po pierwszym sygnale.

– Znowu mam dziś pracowity dzień – powiedział. – Właśnie wezwali mnie do Pentagonu i nie wiem, o której zjawię się w domu. Nie czekaj na mnie z kolacją.

– Dobrze, tylko nie strać na mnie ochoty – odrzekła.

Uśmiechnął się usłyszawszy te dobrze znane słowa. Na domowym froncie bez zmian. Nancy była osobą, która wprowadzała w jego życie element stabilności – zawsze w domu, zawsze zajęta, roztropna i nieodmiennie gotowa na powtórkę miodowego miesiąca. Powtórkę? Ich miesiąc miodowy trwał właściwie od ślubu. Nancy zawsze mu towarzyszyła, gdy kariera wojskowa rzucała go z miejsca na miejsce. Bender czuł, że bez niej nie poradziłby sobie, nie zniósł takiego bytowania.

Na ulicach koło mostu George’a Mansona było mnóstwo samochodów, ale na szczęście korki godzin szczytu już się nieco rozrzedziły. Parę minut później Bender wchodził już do Pentagonu, gdzie czekał nań podpułkownik lotnictwa.

– Generale Bender, oczekują pana w „czołgu”. – Odprowadził Bendera na drugie piętro; przeszli przez podwójne drzwi do siedziby Połączonego Komitetu Szefów Sztabów. Sądząc po liczbie adiutantów biegających po korytarzach, szykowało się bardzo burzliwa narada.

Kiedy wkroczył do sali konferencyjnej, zwróciło się nań sześć par oczu – szefowie sztabów w komplecie. Panowało głucho milczenie. Taki początek nie wróży nic dobrego, pomyślał Bender.

– Panowie – odezwał się generał Charles, szef lotnictwa wojskowego – sądzę, że wszyscy znacie generała Bendera. – Zimne oczy nadal świdrowały przybysza. – Bob, czekamy na sekretarza obrony. Jest w swoim biurze i zjawi się tu za kilka chwil. – Charles urwał, jakby szukał właściwych słów. – Właśnie otrzymaliśmy informację z Zarządu Finansowego, że prezydent Turner zamierza w ciągu nadchodzących

dwóch lat obciąć budżet sił zbrojnych o trzydzieści procent. Najwyraźniej Shaw sprzymierzył się z naszymi przeciwnikami w Kongresie...

– Co tam się właściwie dzieje w Białym Domu? – warknął Overmeyer.

– Ta wiadomość mnie samego zaskakuje – przyznał Bender. – Odkąd złożyłem tamten raport na temat Chin, stałem się w Białym Domu kimś w rodzaju niemile widzianej osoby... – Bender urwał, nie orientując się, ile wiedzą wszyscy obecni.

Overmeyer zatoczył krąg ręką, w której trzymał nie zapalone cygaro, wskazując na pozostałych dowódców.

– Oni znają sprawę. Wzniecił pan burzę i oto skutek. – Przełamał cygaro na pół i jedną część wcisnął sobie między zęby. – Turner bez uprzedzenia obciął wydatki na obronę. O trzydzieści cholernych procent! Kolejna „krwawa środa”! Boję się, że na tym nie koniec; ona nas porąbie tasakiem do mięsa! Są plany likwidacji wszystkich jednostek specjalnych, z wyjątkiem Delta Force. No i rozpedzenia chłopaków z piwnicy, naszego wywiadu. – Wypluł tytoniowe wióry i wsadził w usta świeże cygaro. – Okazało się, że dyrektor CIA nie poinformował jej zawnazusa o naszej komórce wywiadowczej i to ją zdrowo wkurzyło.

– Istotnie, to ja jej o tym powiedziałem – przyznał Bender.

Znowu zaległa cisza. Potem odezwał się szef operacji morskich:

– Sądziłem, że potrafi pan przemówić do rozsądku naszej pani prezydent.

– Nie należę bynajmniej do osób z jej najbliższego otoczenia – odparł Bender. – Współpracowałem z nią, gdy zajmowała jeszcze wiceprezydencki fotel. – Bender rzucił okiem na Overmeyera i sam widok zmiętoszonego cygara sprawił, że wyczuł niebezpieczeństwo: oto wkraczał na grząski grunt. – Nie rozmawiałem z nią od czasu tamtej czwartkowej odprawy, a pismo, w którym domagam się przeniesienia mnie na inne stanowisko, leży na biurku Shawa.

– A więc wszystko przechodzi przez ręce Shawa? – spytał Overmeyer.

– To dosyć prawdopodobne.

– No tak – warknął Overmeyer. – Przecież ona z nami nie rozmawia. Jednak pana wysłuchała.

– Wysłuchała – przyznał Bender – ale naprawdę wątpię, czy coś dobrego z tego wyszło. – No, dodał w myślach, może wreszcie mnie stąd gdzieś przeniosą.

– Proszę wycofać tę pisemną prośbę o przeniesienie – polecił Overmeyer.

Zaszokowany Bender rozejrzył się po pokoju. Wszyscy wpatrywali się w niego; nawet wzrok Charlesa nie był tym razem przyjazny. Benderowi zdało się nagle, że jest jak jagnię prowadzone na rzeź.

– Nie ma powodu, bym tam pozostawał – zaoponował.

– Jest pan jedynym głosem rozsądku w Białym Domu – rzucił Overmeyer. Gestem wskazał drzwi; nie trzeba było zachęcać Bendera do wyjścia.

Overmeyer miał rację, pomyślał. To druga „krwawa środa”.

Na zewnątrz czekał na niego ten sam podpułkownik.

– Panie generale, szef prosił, aby się pan na razie nie oddalał, na wypadek, gdyby przewodniczący chciał z panem jeszcze porozmawiać. – Zerknął na ze-

garek. Minęła siódma wieczorem. – Może przejdziemy do stołówki. Czy zechce pan zjeść ze mną posiłek?

Bender potakująco kiwnął głową.

– O której pan dziś przyszedł do pracy? – zapytał wchodząc za podpułkownikiem na czwarte piętro.

– O piątej rano – padła odpowiedź.

– Ciężki dzień, co?

– Pewnie podczas ataku na Pearl Harbor albo od zrzucenia bomby na Hiroszimę nie panowało tu takie zamieszanie.

– Wyobrażam sobie – odparł Bender. On sam uważał ten dzień za całkowicie zmarnowany i zazdrościł podpułkownikowi nawału obowiązków.

* * *

W sypialni nadal paliło się światło, gdy Bender wrócił wreszcie do swej kwatery przy bazie lotniczej w Bolling. Wszedł do mieszkania, zajrzał do kuchni i otworzył lodówkę. Znalazł tam butelkę ulubionego niemieckiego piwa przykrytą odwróconą szklanką. Uśmiechnął się. W ten sposób Nancy dawała mu znak. Napił się piwa i skierował na górę.

Nancy Bender leżała w łóżku i czytała książkę. Jej gołe nogi wystawały spod koca, a okulary tkwiły na czubku nosa. Nancy była drobną, ciemnowłosą kobietą, miała wielkie piwne oczy i odznaczała się niewyczerpaną energią. Przywitała męża zaciekawionym spojrzeniem. Bender rozwiązał krawat i zrzucił mundur, wreszcie nalał piwa do szklanki. Był to niezmienny rytuał.

– Kiepski dzień? – zapytała.

– Beznadziejny – odrzekł Bender. Wypił jeszcze łyk. – Cały czas pisałem na maszynie i odpowiadałem ludziom Shawa na bezsensowne pytania... Bezsensowne przynajmniej dla mnie. Potem to wezwanie do Pentagonu. Aż pięć minut u szefa połączonych sztabów, a potem całe trzy godziny wyczekiwania, czy aby nie przyjdzie mu ochota wezwać mnie ponownie. – Łyknął piwa. – Co to za książka?

– Opisuje, jak należy postępować w przypadku rodzin, w których ktoś uległ ciężkiemu urazowi – odpowiedziała. Spojrzała na niego; jej ciemne oczy wypełniała troska. – Pracuję ochotniczo, a muszę pomagać w przypadkach, kiedy powinno się zastosować roczną terapię. Mnie dają pół godziny na pocieszenie wstrząśniętych matek i żon. To nie w porządku. – W ubiegłych latach, w trakcie nieustannych przeprowadzek, Nancy zdołała jakoś uzyskać tytuł magistra psychologii. To jej nie wystarczyło; wyrobiła w Kalifornii licencję, jaka pozwalała jej na dorywczą społeczną pracę w klinikach. Teraz pomagała na pogotowiu w samym sercu Waszyngtonu.

– Służbie zdrowia też obcięto budżet – powiedział.

Nancy słusznie się domyśliła, że Roberta tak nagle wezwano do Pentagonu w związku z cięciami budżetowymi.

– Każdy krzyczy o więcej – mruknęła. A potem dodała żywiej: – Złożyłeś podanie o przeniesienie?

– Jest na biurku Shawa. Jednak przewodniczący chce, abym je wycofał.

Teraz wyraz prawdziwej troski odmalował się na obliczu Nancy. Zbyt dobrze znała męża i obawiała się, iż przymusowa bezczynność w Białym Domu doprowadzi go do szaleństwa.

– Skąd ta zmiana? Myślałam, że oni chcieli cię stamtąd wyciągnąć.

– Mnie też się tak zdawało – rzekł Bender. – Wygląda jednak na to, że nie otrzymam nowego przydziału. Nie mam pojęcia, czego Overmeyer ode mnie oczekuje. W Białym Domu nie obowiązują żadne zasady, tam rządzi Shaw. Nie jestem politykiem i nie znam się na zakulisowych gierkach. Na emeryturze miałbym więcej zajęć niż w Białym Domu. – Skrzywił się, albo raczej kwaśno uśmiechnął. – Wtedy ty poszłabyś do pracy i utrzymywała mnie, jak już bywało podczas minionych dwudziestu ośmiu lat.

– Nie licz na to. To ty miałaś się mną opiekować. – Przetoczyła się na bok i odłożyła książkę na stolik przy łóżku. Koc odsunął się i Bender dostrzegł nagie plecy żony. Nancy podniosła list i podała go Robertowi. – Od Laurie – powiedziała.

Generał rozsiadł się w fotelu i zaczął czytać list, popijając przy tym piwo. Od czasu do czasu na twarzy Bendera pojawiał się uśmiech. Czuł się już rozluźniony; był znów z Nancy, a troski związane z Białym Domem na parę godzin zeszły na dalszy plan. Powoli złożył list, wcisnął go z powrotem do koperty, wreszcie rzucił na stół obok fotela.

– Myślisz, że ona za niego wyjdzie?

– W swoim czasie – odrzekła Nancy. Rzuciła okiem na list. – Czy ty zawsze musisz być taki konkretny? Myślę, że w ten sposób usiłujesz stłumić jakieś wewnętrzne niepokoje.

– Nic mi o tym nie wiadomo. To ty znasz się na psychologicznych terminach.

– Cóż, jeśli masz zamiar odejść w stan spoczynku i zająć się domem, to musisz najpierw udowodnić, że się do tego nadajesz.

Odrzuciła koc i zaczęła, aż Robert znajdzie się w łóżku. Potem zgasiała światło.

* * *

– Ślubowaliście dochować wierności głupocie, czy co? – zapytał Shaw. Przycisnął telefon ramieniem do ucha i słuchał odpowiedzi, grzebiąc jednocześnie w papierach na biurku i myśląc o posiedzeniu u prezydent Turner, jakie miało się rozpocząć o ósmej rano.

– Tu nie Afryka – zaprotestował dyrektor CIA. – My nie prowadzimy działań na własną ręką, raportujemy tylko o rozwoju sytuacji. Dopóki jestem dyrektorem CIA...

– Przystanie pan nim być – przerwał mu Shaw – o ile nie zaczniecie bacznie obserwować poczynąń Chińczyków.

– Jak już mówiłem – podjął dyrektor – dopóki jestem dyrektorem, codzienne raporty dla pani prezydent będą zawierały wyłącznie najświeższe i najistotniejsze informacje zdobyte przez nas. W Chinach nie dzieje się nic, co byłoby godne uwagi pani prezydent Turner.

Shaw spojrzął na zegarek.

– Dokładnie za dwadzieścia siedem minut zamierzam przekazać pani prezydent wasz raport. Bardzo ją obchodzi kwestia dalekowschodnia, więc radzę, byście dołączyli relację w sprawie Chin. – Uśmiechnął się do siebie. – Biorąc pod uwagę przeoczenie przez waszych ludzi paktu pekińskiego, będzie lepiej, jeżeli dacie jej do zrozumienia, że w ogóle coś wiecie o Chińczykach.

Shaw spodziewał się, że zaraz usłyszy zgrzytanie zębów dyrektora CIA. On prędzej czy później połapie się, że sprawa chińska znalazła się na ostrzu noża i wyleci z posady – stając się przy tym obiektem kpin i pogardy za zlekceważenie kwestii tak istotnej dla polityki międzynarodowej.

– O takich rzeczach nie wolno rozmawiać na normalnej linii telefonicznej – sapnął dyrektor.

Trzeba go trochę oświecić, pomyślał Shaw.

– Pani prezydent przełknie złe nowiny – stwierdził – ale nienawidzi przykrych niespodzianek. Naprawdę nienawidzi. Sam pan się przekonał, jak potraktowała wojskowych... – Tu rozmyślnie zawiesił głos. Dyrektor CIA mógł sobie dopowiedzieć resztę.

– Stosowny raport znajdzie się na pańskim biurku w ciągu godziny – oznajmił dyrektor – wraz z informacjami wywiadu na temat Chin.

– Bardzo lubię się z wami dogadywać, jajogłowi – powiedział Shaw, przerywając połączenie. Skończył układanie papierów, które miał zanieść na posiedzenie, a potem podniósł list. – Co ja mam z tym zrobić? – mruknął pod nosem. Połączył się z sekretariatem. – Dajcie mi tu Bendera. – Jeszcze raz spojrzął na zegarek. Trzy minuty, pomyślał.

Bender istotnie stanął w progu po niespełna trzech minutach. Shaw trzymał jego list między kciukiem a palcem wskazującym, niby coś odrażającego.

– Chcę z panem o tym pomówić – zaczął Bender.

– Nie ma nic do gadania – odparł Shaw przerywając mu. – Prezydent Turner potrzebuje pańskiej pomocy. – Rzucił list na biurko. – Co z pańską lojalnością, generale?

Coś podobnego! – pomyślał Bender. On chce, żebym wycofał podanie! Może przyszedł czas na małą zagrywkę polityczną we własnej sprawie?

– Jednym z powodów mojego wystąpienia o przeniesienie jest sprawa Chuca Sanforda i Wayne’a Adamsa.

– Co to za jedni, o licha?

– Dwaj agenci służb specjalnych, których usunął pan z prezydenckiej ochrony po St. Louis. Słyszałem, że ukarano ich w trybie administracyjnym.

Shaw zaczął stukać prawą dłońią w blat. Cholera, racja, sam ich wylałem, pomyślał. A teraz Bender chce coś za coś. Da się zrobić. Byle tylko Maddy była zadowolona... I zapomniała o przekłętej reformie podatkowej...

– Nie wtrącam się do wewnętrznych spraw tajnych służb – skontrował Bendera. Generał spojrzął na niego z wymownym niedowierzaniem. Shaw podjął: – Jednak zobaczę, co da się wskórać. Musimy dbać o naszych pracowników, nie?

Interes został ubity.

– Cieszę się – odpowiedział Bender. Zabrał list i skierował się do wyjścia. – Czy mam zostawić drzwi otwarte, panie Shaw?

– Proszę je zamknąć – zdecydował Patrick. Przechylił w bok wielką głowę i z ukosa popatrzył na wychodzącego generała. A więc chcesz zagrać na serio, Bender? – pomyślał. Robisz błąd, bo to twój przeciwnik rozgrywa piłkę...

* * *

Sarah Turner wybiegając z jadalni o mało nie wpadła na wózek, który William toczył po korytarzu.

– Przepraszam – zawołała. Ruszyła dalej, lecz rozmyśliła się i wróciła. – Bardzo przepraszam, panie Williamie. Wiem, że nie powinnam tu biegać.

– Nic nie szkodzi, panienko Sarah. Wygląda dziś panienka tak radośnie.

– Brian, mój brat, wraca ze szkoły. Będzie tu mieszkał i chodził do akademii w Georgetown – zawiadomiła go i ruszyła w podskokach korytarzem. William uśmiechnął się i pokręcił głową. Obsługa Białego Domu już od pewnego czasu powtarzała pogłoski o powrocie syna pani prezydent ze szkoły z internatem. Plotkowano, że został z niej wyrzucony dyscyplinarnie. Inni twierdzili jednak, że stało się tak na prośbę pracowników służb specjalnych, według których Brian byłby bezpieczniejszy w Białym Domu.

Madeline Turner wyszła z saloniku wraz ze swoją matką. Dwie kobiety rozmawiały cicho przez chwilę, a potem rozeszły się w przeciwną stronę. Prezydent weszła do prywatnego gabinetu, a za nią udał się William – jak co dzień. Turner usiadła na kanapie.

– Cóż, Williamie, wyobrażam sobie, że ploteczki już krążą?

– Owszem, pani prezydent.

Turner spoważniała.

– Co sądzi większość?

William nalał do filiżanki świeżą herbatę.

– Że poszło o problemy z dyscypliną.

– A ty? Jak uważasz?

– Ja nie myślę o takich sprawach – odrzekł William.

– Powiedzmy, że w grę wchodziły sprawy związane z bezpieczeństwem – powiedziała Turner.

William uśmiechnął się, uklonił i wyszedł tuż przed pojawieniem się Shawa i Jackie Winters.

– Dzień dobry, pani prezydent – przywitała się Jackie, która weszła pierwsza.

– Pani prezydent – odezwał się Shaw siadając na kanapie. Podał Turner rozkład dnia; Jackie zajęła swe miejsce na krześle w kąciku. Prezydent zainteresowała się przede wszystkim raportem wywiadu. Przebiegła wzrokiem cienki dokument.

– W Chinach, jak się zdaje, panuje spokój – stwierdziła.

– Zgodziłbym się z wnioskiem, że Pekin na razie sonduje naszą nową administrację. Niemniej musimy trzymać rękę na chińskim pulsie. Harry Truman ostrzegał niegdyś, że zła polityka wewnętrzna może wyrządzić krzywdę, ale zła mię-

dzynarodowa może zabić. – Przeszedł do kwestii związanych z rozkładem dzisiejszych zajęć. – Pani prezydent, nie można się już dłużej ociągać z mianowaniem wiceprezydenta. Mogę przygotować listę kandydatów i polecę sprawdzić ich ludziom z FBI.

– Jackie, proszę, zaczekaj na mnie na dole. – Osobista asystentka szybko wyszła, zostawiając Turner i Shawa samych. Prezydent powiedziała: – Już podjęłam decyzję. Gwen Anderson.

– „Pani Prawość”?

Shaw wyglądał na krańcowo zdumionego; wyraz jego twarzy przypominał minę podstarzałej dziewczycy, która dowiedziała się akurat, że nową chorobę weneryczną ochrzczono od nazwiska jej ulubionej siostrzenicy. Gwen Anderson, dotychczasowa kierowniczka resortu zdrowia, uważana była za najbardziej zagorzałą feministkę w całej administracji – a ponadto uchodziła za osobę nieprzekupną. Dla Shawa pierwsza z tych cech była groteskowa, druga zaś – niebezpieczna.

– Ależ, pani prezydent, trzeba to przemyśleć. Dobór ludzi na centralne stanowiska powinien być staranny...

– Dla mnie liczą się przede wszystkim kompetencje – ucięła Turner. – Już z nią rozmawiałam i omówimy tę kwestię bardziej szczegółowo na popołudniowym posiedzeniu. Pani Anderson wykazała pełną gotowość do objęcia funkcji i zapewniła mnie, że jej kartoteka jest czysta jak łąza.

– Chyba nie wystarczy uwierzyć jej na słowo – zaprotestował Shaw.

– Słusznie. Niech FBI ją sprawdzi. Tylko szybko. Niemniej jej wizerunku nie psują żadne skandale.

– Tak, tylko musimy znaleźć klucz do jej pasa cnoty – mruknął Shaw.

– Czy masz wątpliwości co do trafności wyboru, którego dokonałam, Patricku?

– Owszem. Naturalnie. Należy pomyśleć o przyszłych wyborach prezydenckich i dobrać zastępcę pod tym kątem. Mieć na względzie jak największy elektorat. Nie ma sensu zapalać silnika, gdy w zbiorniku brakuje paliwa.

– Czy mam to potraktować jako wykład na temat gromadzenia i wydawania politycznego kapitału? – zapytała Madeline Turner.

– Owszem. W tej chwili w naszym zbiorniku znajduje się resztką benzyny. Ryzykownym posunięciem było już pozostawienie Anderson na czele Departamentu Zdrowia. Mianowanie jej na stanowisko wiceprezydenckie po prostu nas dobieje. Nie na to powinniśmy przeznaczyć rezerwę paliwa.

– Ufam jej – odpowiedziała Turner. – I chcę, żeby pokierowała realizacją nowego programu. – Shaw już się spał oczekując, że zaraz padną słowa „reforma podatków”. Nie usłyszał ich jednak. Turner dodała: – Obecnej administracji trzeba nadać konkretne oblicze. – Ożywiła się. – Na czele władzy powinny stanąć wyraziste osobowości, a nie anonimowi kunktatorzy i karierowicze. Społeczeństwo pragnie znać ludzi, jakim powierzyło rządy... Ludzi, którzy zajmą się rozwiązywaniem realnych problemów.

Turner mówiła dalej, a Shaw zaczął się przechadzać po pokoju. Kiedy wyczuł, że chwila po temu odpowiednia, stanął przy kominku i dotknął dzwonka,

k którym Madeline posługiwała się dawniej na obradach kalifornijskiego senatu. Teraz ona uśmiechnęła się, gdy Shaw podniósł dzwonek.

– Patricku, naprawdę chcę, aby tak się stało.

Dzwonek zadzwonił cicho. Turner przestała mówić; Shaw wiedział, że teraz pora na jego kwestię.

– To rzeczywiście ambitne zadanie dla wiceprezydenta. Tyle że trzeba wybrać kogoś umiarkowanego. Co zaś się tyczy „władzy z twarzą”, to tylko kostium. Opowiadają historię o prezydencie Carterze, który chciał wszystko unormować, nawet kwestię kortów tenisowych. Proszę mądrze korzystać z czasu, w którym sprawuje się władzę. Sprawy szczegółowe to już moje zmartwienie.

Madeline uśmiechnęła się do niego.

– Tobie zawdzięczam codzienną dawkę realizmu – powiedziała. – Proszę umieścić generała Bendera w dzisiejszym rozkładzie. Chcę też, żeby spotkał się z Gwen i przedyskutował inny problem.

– A jakież to problem?

– Szklany klosz nad armią. Potrzebujemy więcej kobiet w dowództwie sił zbrojnych.

No, to dopiero Bender będzie zachwycony, pomyślał z ironią Shaw. Spytał:

– Coś jeszcze?

– Nie. Weźmy się do pracy – Podeszła do drzwi. – Och... Chciałabym przejrzeć wstępny plan reformy podatkowej. Dzisiaj.

– A o co konkretnie chodzi?

– Obiecałeś, że sam rozpracujesz szczegóły – przypomniała mu.

Muszę chyba rozejrzeć się za jakąś inną robotą, pomyślał Shaw z goryczą.

* * *

– Proszę wejść – powiedziała sekretarka. – Pan Shaw oczekuje pana.

– Dziękuję, pani Raskin – odrzekł Bender. Kobieta uśmiechnęła się do niego. Każdy tutaj nazywał ją Alice Fay i podejrzewała, że Bender należy do bardzo nielicznych osób, które znają jej prawdziwe personalia. Na biurku nie miała tabliczki z nazwiskiem. Albo się wiedziało, kto jest kim, albo nie miało się czego tutaj szukać.

Shaw siedział przechylony w fotelu z przenośnym telefonem przyciśniętym ramieniem do ucha. Gestem wskazał Benderowi miejsce.

– Senatorze, zrobimy, co się da, ale będzie nam potrzebna pomoc – rzucił telefonicznemu rozmówcy i słuchał przez moment. – Proszę tego tak nie traktować. Dobra, niebawem się skontaktujemy. – Odłożył słuchawkę i powiedział: – Ci senatorowie są jak psy: jedni uczą się szybciej, a inni wolniej. – Wstał i rozluźnił krawat. – Za chwilę przejdziemy do Gabinetu Owального, gdzie spotka pan Gwen Anderson. Proszę być ostrożnym.

– Coś niecoś już słyszałem o pani Anderson – odparł Bender.

– Ona będzie próbowała pana słać. Taka już jest.

– Dzięki za ostrzeżenie.

Bender ruszył za Shawem w stronę Gabinetu Owального. Tam zastali dwie kobiety siedzące na kanapach naprzeciwko. Madeline wskazała Shawowi miej-

scie obok, Bender usiadł więc koło pani Anderson. Była dość atrakcyjną, mocno zbudowaną pięćdziesięciolatką z ładnymi, tlenionymi pasemkami we włosach. Biła od niej mocna woń piżmowych perfum. Turner przedstawiła sobie obecnych i przeszła do rzeczy.

– Generale, martwi nas niewielka liczba kobiet w amerykańskiej armii.

Bender pożałował, że Shaw nie uprzedził go, co będzie przedmiotem dyskusji. Na usta cisnęło mu się zdanie, że prezydent znowu zwraca się do niewłaściwej osoby. Wszyscy patrzyli nań wyczekująco.

– Procent kobiet w wojsku stale wzrasta – zaczął. – Ogólnie w naszych siłach zbrojnych służy w przybliżeniu już szesnaście procent kobiet...

Anderson przerwała mu:

– W przybliżeniu?

– Dokładnie szesnaście i dwie dziesiąte procent. Jak wiadomo...

Znowu wtrąciła się Anderson:

– A w korpusie oficerskim?

– Wśród kadry oficerskiej ten procent jest jeszcze wyższy.

– Konkretnie, generale.

Po co ta napastliwość? – zastanowił się Bender i rzekł:

– Różni się w zależności od rodzaju sił zbrojnych. Na przykład w lotnictwie siedemnaście procent oficerów to kobiety. Po tym spotkaniu dostarczę dokładne dane, wraz z podaniem rang.

– Proszę to zrobić – Anderson odwróciła wzrok od Bendera. – Maddy – zwróciła się do Turner – choć te szacunki brzmią cokolwiek optymistycznie, nie oddają rzeczywistego obrazu rzeczy. W istocie liczba kobiet w stopniu pułkownika jest zatrważająco niska, nie wspominając już o kobietach generałach. Musimy awansować więcej kobiet do stopnia generalskiego.

Tylko politycy chcą znajdować generałów na ulicach, pomyślał Bender.

– Sytuacja w tej dziedzinie stopniowo się zmienia – powiedział.

Anderson zignorowała go.

– W wojsku awansują głównie osoby dowodzące jednostkami bojowymi – rzekła. – A ta droga awansu jest dla kobiet praktycznie zamknięta. Maddy, sposobu myślenia wojskowych nie da się zmienić. Przekonałyśmy się już o tym przy okazji sprawy dyskryminowania homoseksualistów w armii. Nie można dyskutować z bandą obskurantów...

– Znaczenie tego słowa zawsze wypadało mi z pamięci – wtrącił Bender.

– Proszę mi nie przerywać – rzuciła Anderson. – W tym konkretnym wypadku mam na myśli osoby wrogo nastawione do homoseksualistów.

Aha, tu jest pies pogrzebany, pomyślał Bender. Shaw miał rację, ostrzegając, że ona da mi popalić... Bender nie miał złudzeń, że Anderson zechce wysłuchać jego racjonalnych argumentów, że mężczyźni jednak lepiej się sprawdzają na polu walki. Ta niewiasta nigdy nie doświadczyła wojny wraz z jej brutalnymi realiami; nie znalazła się nigdy w śmiertelnym niebezpieczeństwie, śmierć nie zajrzała jej w oczy.

– Maddy – zakończyła Anderson – nie trudź się nawet dyskusowaniem z nimi na ten temat. Sprawujesz władzę zwierzchnią nad wojskiem jako prezydent, więc po prostu wydaj im rozkazy.

W tej ostatniej kwestii Bender był gotów przyznać jej rację. Prezydent w istocie powinien mówić generałom o swych zamiarach. Tu jednak szykowała się dysputa.

Madeline Turner spojrzała na Bendera.

– Dlaczego jesteście przeciwni posyłaniu kobiet do jednostek bojowych?

Ważył odpowiedź.

– Przede wszystkim, nie w tym rzecz, by kobiety prezentowały mniejsze umiejętności...
– A jednak jesteście przeciw – przerwała mu Turner.

Nie chciał zaprzeczać, bo była to prawda. Nie mógł jednak kłamać w obecności pani prezydent.

– Chodzi o ciężę.

– Tak przypuszczalam – parsknęła Anderson. – Cóż mężczyźni mogą o tym wiedzieć?

– Wiedzą, że obniża to skuteczność na polu walki – odparł Bender.

– Dziękuję panu, Robercie – powiedziała Turner odprawiając Bendera.

* * *

Shaw usiadł za biurkiem i stwierdził, że musi zmienić opinię o Robercie Benderze. Celowo nie powiadomił wcześniej generała, o czym będzie mowa na spotkaniu, a jednak Bender nieźle wybrnął z opresji i nie dał się wyprowadzić z równowagi pani Anderson – co już samo w sobie było wielkim wyczynem.

– I co pan sądzi o pani Anderson? – spytał.

– Nie podoba mi się sposób, w jaki ona zwraca się do pani prezydent. Mad-dy... – sapnął Bender.

– Proszę do tego przywyknąć – poradził Shaw. – Anderson ma objąć stanowisko wiceprezydenckie. – Zerknął na Bendera. – Zrozumiał pan?

– Cóż – wykrztusił Bender – mówią, że ona jest nieprzekupna.

Shaw pokręcił głową.

– W tym mieście można przekupić każdego. Tylko, hmm, być może jeszcze za wcześniej na przekazywanie wam, generałom, nowiny o pani Anderson.

– Muszę ich zawiadomić jako moich przełożonych.

– Zdaje się pan zapominać, kto stoi na szczytach – rzekł Shaw. Poczekał, aż Bender wyjdzie i wezwał jednego ze swych asystentów.

– Czas miecza i pożogi... Nadchodzi Gwen Anderson. Trzeba się przygotować. Aha, i niech FBI rozpocznie formalne sprawdzanie.

* * *

W kolejny późny sobotni wieczór Shaw ruszył korytarzem prowadzącym obok biura sekretariatu prasowego. Kalkulował bowiem, że natknie się na któregoś z siedemdziesięciorga trojga reporterów z przepustką do Białego Domu. W przeciwieństwie do większości polityków Shaw nie tylko rozumiał dziennikarzy – niektórych również lubił. Chociaż nie żywił zbytniego poważania dla tej profesji, potrafił kusić ludzi mediów: rzucał im ploteczki, strzępy informacji, pozwalał

zaglądać przez uchylone drzwi. Teraz szukał właśnie odpowiednich drzwi, aby umożliwić jakiemuś dziennikarzowi bezwstydną podglądanie. Reporterzy ze swej strony ochoczo brali udział w tej grze i pozwalali Shawowi sobą manipulować. Tego rodzaju związek mógł dojść do skutku jedynie w Waszyngtonie.

Shaw usłyszał nagle kobiecy głos:

– To terytorium wroga, Patricku. Nie boisz się, że cię napadną o tak późnej porze?

Krzywy uśmiech wypełził na oblicze Shawa, gdy rozpoznał Elizabeth Gordon.

– O, Liz. Dawno się nie widzieliśmy – powiedział. Patrzył, jak ona idzie w jego stronę. Miała około czterdziestki, była wysoka, zgrabna i pewna siebie. Shaw z podziwem zerknął na jej nogi w dość krótkiej spódnicy. – Jak tam Jeff? Jego też dawno nie widziałem. – Miał na myśli Jeffa Bissella, kochanka, z którym Liz od dawna mieszkała.

Liz przekrzywiła głowę i spojrzała na niego dziwnie.

– Nie słyszałeś? Wyprowadził się.

– Szkoda – zmartwił się Shaw. – Lubiłem go.

– Ja też. Ale on jest taki jak ty: nie umie dotrzymywać słowa.

Zerknął na nią urażony.

– Liz, wtedy byłem młody i głupi.

Zaśmiała się.

– Cóż, teraz nie jesteś już młody.

– Szkoda – powtórzył. Drzwi były otwarte.

* * *

Patrzył, jak siada na brzegu łóżka i zrzuca pantofle na wysokim obcasie. Potem wstała i przeszła przez pokój; jej ciało lśniło w przyćmionym świetle. Uklękała i otworzyła szufladę; znalazła tam to, czego szukała. Potem wróciła do łóżka z piórkami w dłoni.

– Nic z tego, Liz – zaprotestował Shaw. – Moje serce tego nie wytrzyma.

– Kiedyś to uwielbiałeś – powiedziała, przetaczając się po łóżku na plecy. Shaw wziął głęboki wdech, gdy ona laskotała go piórkami po brzuchu. – Spróbuj nie myśleć o mnie – szeptała. Zamknął oczy i starał się skoncentrować. Poczul jej ciepły język w swoim uchu, a piórko laskotało go teraz między nogami. Nie miał jednak erekcji.

– Wcale nie zwracasz uwagi na to, co robię – odezwała się zawiedziona.

– O ile pamiętam – odparł zjadliwie – tak właśnie miało być. Swoją drogą, jaka jest stawka?

– Chcę mieć wejście. Czego żądasz w zamian? – Shaw odpowiedział jej na to pytanie. – Och, tyle mogę zrobić! – Entuzjazm Liz zburzył jego samokontrolę. Doprowadziła go dłonią do pełnej erekcji. – Ale przecież nie muszę. Teraz twoja kolej.

– Maddy chce Gwen Anderson na stanowisko wiceprezydenta... Kiepski wybór. Anderson sama się pogrzebie podczas prezentacji kandydatów.

Gordon podniosła się i mocno przywarła do niego biodrami.

– Dlaczego? – zapytała.

– Ona bierze lit, aby powstrzymać nawracające ataki depresji maniakalnej. Ukrywa to tak starannie, że nikt jej nie podejrzewa. Bóg jeden wie, czym to się skończy, gdy sprawa wyjdzie na jaw. Sprawdziła się jako szefowa Departamentu Zdrowia, ale... – Jęknął. – Czy możemy z tym poczekać?

– Oczywiście – odpowiedziała szeptem Liz. Zdobyła już przecież to, o co jej chodziło.

* * *

Następnego dnia rano Shaw siedział w swoim biurze, kiedy Liz sprzedawała nową sensację. Shaw z nieprzeniknioną miną Winstona Churchilla oglądał w telewizji wywiad z senatorami z komisji zatwierdzającej kandydatów na najwyższe stanowiska w państwie. Ich reakcja na rewelacje Liz była nawet bardziej gwałtowna, niż tego oczekiwał Shaw.

Rozległ się dźwięk brzęczyka na jego biurku.

– Panie Shaw – powiedziała Alice Fay – pani prezydent oraz jej doradcy chcą się z panem spotkać.

– No pewnie – mruknął Shaw. Wziął spis kandydatów na stanowisko wiceprezydenta i skierował się do Gabinetu Ovalnego.

Rozdział piąty

Okinawa, Japonia

Generał brygady David Martini wpadł do sekcji wywiadu 18. Pułku Lotniczego niczym tajfun „Towa”, który niedawno przetoczył się nad Okinawą i bazą sił powietrznych w Kadenie. Spojrzał twardo na pełniącego służbę oficera.

– Wolę słuchać dobrych nowin – warknął. Oficer przełknął ślinę i poprowadził generała długim korytarzem do wejścia, gdzie czekał już podpułkownik, który kierował wydziałem łączności i komputerów. Martini pchnął stalowe drzwi i podniósł głos o kolejne dziesięć decybeli: – Mahomet do góry, czy góra do Mahometa? Peter, co się, u diabła, dzieje?

Podpułkownik Peter Townly nakazał oficerowi wyjść i zamknąć za sobą drzwi na klucz.

– Generale, dostałem pilną wiadomość z bajzlu.

Martini wybuchnął śmiechem. Lubił oficerów posługujących się dosadnym słownictwem.

– Tam, skąd pochodzę, bajzlem nazywają dom publiczny.

– Niestety – odparł poważnie Townly. – To informacja od DIA. – Mówił o szefie centralnej amerykańskiej agencji wywiadu wojskowego. – Musiałem ją odszyfrować osobiście. Zdarzyło się to po raz pierwszy. Tylko dwie osoby w tej bazie mają prawo zapoznać się z jej treścią: pan i ja. – Wręczył Martiniemu mel-dunek. – W tych okolicznościach pozwoliłem sobie wezwać pana tutaj.

Martini odczytał powoli wiadomość.

– Sukinsyny! – ryknął. – Te dupki sprzedały Tajwan Chińczykom! – Natychmiast pożałował tego wybuchu. Generałowi wolno było zakląć od czasu do czasu, ale tym razem przekroczył dopuszczalne normy. Upomniął się w myślach, że trzeba lepiej panować nad językiem. – Dalej jeszcze gorzej. Chińczycy kombinują z południowymi Koreańczykami. Z Koreańczykami! Co jest, do cholery, grane?

– Korea Południowa i Japonia – wyjaśnił Townly – od zakończenia drugiej wojny światowej toczą spór o wyspy Tok Do. Rywalizacja gospodarcza tylko za-

ostrzyła ten spór. Zdaje mi się, że Koreańczycy szykują się do zmiany sojusznika... w sensie politycznym i ekonomicznym.

Martini ponownie przeczytał ostatnie zdanie.

– „Nie podejmować otwartych działań. Wyłącznie do pańskiej wiadomości”... Co to ma, do licha, znaczyć?

– To znaczy – wyjaśnił Townly – że sytuacja polityczna osiąga stadium kryzysowe i nasi zwierzchnicy uprzedzają pana o tym. Między wierszami można też jednak wyczytać, że nie wiedzą, jak się sprawy potoczą.

– Pan jest oficerem wywiadu – warknął Martini. – Niech więc pan ruszy głową. Townly nabrał powietrza w płuca.

– Przypuszczam, że Chiny zamierzają stworzyć z obszarów dalekowschodnich imperium gospodarcze pod swoją kontrolą.

Martini zachnął się.

– Japonia do tego nie dopuści. Ani my.

– Oddaliśmy im Tajwan – przypomniał oficer. – A teraz oni rzucają wyzwanie Japonii. – Townly’emu odpowiadał ten temat. Rzadko miał okazję poruszać kwestie geopolityczne. – Trzeba na to spojrzeć z perspektywy dawnej polityki mocarstwowej.

Martini zdusił kolejne przekleństwo.

– Pete, wkroczyliśmy już w dwudziesty pierwszy wiek. – Skierował się ku drzwiom. – Spal ten meldunek. Natychmiast. – Townly sięgnął po zapalki i podpalił kartkę. Popiół wyrzucił do kosza. Niestety, dym wywołał alarm przeciwpożarowy. Martini spojrzął na Townly’ego.

– Dobrze się spisałeś, jeśli nie liczyć tego szczegółu.

Niemniej Martini wpadł w ponury humor; dobrze wiedział, dlaczego centrala DIA przesłała mu tę wiadomość. Szefostwo połączonych sztabów kazało mu przygotować się do walki, ale, ze względu na uwarunkowania natury politycznej, miał to uczynić bez wchodzenia na stopień alarmowy. Sześciu pozostałych dowódców amerykańskich baz lotniczych, rozlokowanych w pobliżu chińskich granic, pewnie otrzymało identyczne polecenie. Trzeba było raptownie przyspieszyć cykl szkoleniowy. Zwiększało to ryzyko wypadków, ale Martini powinien szybko uczynić ze swych podwładnych znakomity zespół bojowy. Miał nadzieję, że to samo zrobią wszyscy dowódcy amerykańskich jednostek wojsk lądowych, marynarki wojennej oraz piechoty morskiej.

Dowódca grupy bojowej 18. pułku lotniczego, pułkownik, pod którego bezpośrednią pieczęą znajdowały się trzy dywizjony samolotów typu F 15 – „pięści uderzeniowej” bazy w Kadenie – szybko ściągnął na siebie szczególną uwagę Martiniego. Generał specjalnie troszczył się o 44. dywizjon myśliwski, jaki jeszcze pół roku temu należał do wyborowych jednostek amerykańskich sił powietrznych. Teraz jednak dywizjon ten był w trakcie przezbajania w myśliwsko-bombowe maszyny typu F 15E Strike Eagle. Martini, dowódca grupy bojowej oraz szef 44. dywizjonu bezzwłocznie zajęli się stanem maszyn, systemów uzbrojenia oraz programem treningowym jednostki.

– Proszę mi powiedzieć o Chrisie Lelandzie – rozkazał Martini.

– Kapitan Christopher Leland – zaczął szef grupy bojowo-operacyjnej – lepiej sobie radzi z maszynami wielosilnikowymi i powinien być poszukać sobie pracy w lotnictwie cywilnym.

– Jego stryj jest senatorem – poinformował Martini.

– I dlatego Leland trafił tutaj – wyjaśnił dowódca dywizjonu. – Panie generale, to miły chłopak, ale zupełnie nieobliczalny. Jednego dnia jest świetny, a następnego wszystko partaczy. W sumie zaniża przeciętną. Jednak spełnia minimalne normy i z czasem będzie świetnym lotnikiem. Na razie musi nadal latać z instruktorem, nie tylko ze specjalistą. – Bez specjalisty kierującego systemami broni, strike eagle nie był w stanie wykonywać nalotów na cele naziemne.

Martini wbił twarde spojrzenie w dowódcę grupy operacyjnej. Pułkownik powinien był już kilka miesięcy temu przenieść Lelanda z jednostki myśliwskiej do transportowej. Cóż, teraz generałowi potrzebny był każdy pilot.

– Skoro spełnia minimalne normy – mruknął Martini z widocznym niezadowolaniem – niech lata. Dajcie mu specjalistę... Kogoś szczególnie zdolnego.

– Jest ktoś taki – stwierdził szef 44. dywizjonu.

* * *

Cywilny instruktor siedzący na konsoli kontrolną kiwnął do Ryana, znajdującego się w symulatorze strike eagle'a.

– Gotowe, kapitanie. Przećwiczymy podejście do lądowania i lądowanie.

Ryan skinął głową i wszedł po schodkach do kabiny. Laurie już tam była, zajmując drugi fotel. Ryan usadowił się z przodu i spojrzął na instrumenty kontrolne oraz ekran projekcyjny. Przelatał już setki godzin jako drugi pilot na F 15, a także przeprowadzał badania nad obciążeniami w symulatorze lotu. Teraz bez zarzutu wykonał podejście do lądowania. Rozległ się sygnał dźwiękowy oznaczający udane przyziemienie. Przyszła kolej na Laurie; chwyciła za odpowiednie dźwignie. Ryan poczuł ucisk w żołądku, gdy symulator odwzorował ostre hamowanie. Nie spuszczał wzroku z ekranu.

– Bum! – zawołała Laurie. Obniżyła drążek i odezwała się do mikrofonu: – Czas na zwrot i kołowanie. – Symulator zwolnił pozorowany dobieg. Ostry zwrot wywołał u obojga lekki zawrót głowy. Linia horyzontu na ekranie przesunęła się gwałtownie. – Udało się tym razem – powiedziała Laurie.

– Robisz to dla zabawy? – zapytał Ryan.

– Lubię to. Poza tym to dobre ćwiczenie. – Wysiedli z kabiny i skierowali się ku drzwiom.

– Ćwiczenie? Nadal zamierzasz zostać pierwszym pilotem?

Laurie pokręciła przecząco głową.

– Po prostu mam latać razem z Chrisem Lelandem.

– Mówią po cichu, że marny z niego lotnik – powiedział Ryan, ukrywając nękające go obawy.

– Nie taki najgorszy. Ale, jak powiada stary, skoro normy są za wysokie, to nie powinno być ich wcale. – Mianem „starego” określiła dowódcę dywizjonu. – Inni na miejscu Lelanda nie byłiby tacy ambitni i poszukaliby roboty w liniach lotniczych.

– Czy Martini wie, że on jest kiepski?

Laurie wykrzywiła usta.

– Tak. To jego pomysł. Z jakiegoś powodu bardzo zaostrzył program ćwiczeń. I, jak sądzę, chce podnieść ogólny poziom wyszkolenia wszystkich załóg.

– Czeka wszystkich mnóstwo zajęć – stwierdził Ryan. – Martini wpadł do centrum medycznego i po prostu zarzucił nas robotą. Mnie przydzielił opracowanie programu wzmocnienia odporności psychicznej personelu. Gadał, że nie ma czasu do stracenia. Nie mam pojęcia, co miał na myśli. Zielonego pojęcia.

Laurie zmarszczyła czoło.

– Program wzmocnienia odporności psychicznej? Czy podobnego programu psychofizycznego nie opracowano dla żołnierzy obsługujących systemy broni nuklearnej?

– Właśnie – odrzekł Ryan. – To dla mnie nie ma sensu, bo większość naszych głowic nuklearnych już dawno temu odtransportowano do baz w kraju. Martini to taki w gorącej wodzie kąpany drań. Liczy na awans, do którego chce się wspiąć po naszych ciałach.

Trąciła go łokciem pod żebra.

– Martwisz się, że ja nie będę miała pożytku z twojego ciała, co?

– Kiedy za mnie wyjdiesz? – zapytał.

– Małżeństwo to ciężki, monotonny obowiązek – wyjaśniła mu. – I nie nadaje się dla rozkapryszonych facetów.

– Hej – zawołał – a kto tu jest kapryśny?

Uśmiechnęła się do niego.

– Och, ktoś, kogo znam.

Waszyngton

Bender stłumił westchnienie, starając się oszacować, jak długo jeszcze będzie się musiał zajmować rozpracowywaniem szczegółów proponowanych cięć w budżecie wojskowym, które przygotowywał dla wydziału finansowego armii. Był wściekły i sfrustrowany – ponieważ miał wydać opinię w sprawach, na jakich się nie znał, a wydział odrzucił fachowców, których Bender zarekomendował.

– Cześć. Mogę wejść?

Podniósł wzrok na dźwięk głosu Sarah Turner. Dziewczynka stała w progu razem z bratem. Bender uśmiechnął się.

– Jasne, ale mam tu tylko jedno wolne krzesło.

Sarah natychmiast na nie wskoczyła i zaczęła majtać nogami.

Z korytarza dobiegł męski głos:

– Przyniosę jeszcze jedno. – To był Chuck Sanford, agent służb specjalnych, którego przywrócono do obstawy prezydent Turner. – Miło znowu pana widzieć, generale.

– Witam, witam – odrzekł Bender. – Agent Adams też tu jest?

Sanford kiwnął potakująco głową i odszedł na poszukiwanie krzesła.

– Pamięta pan nazwiska ich wszystkich? – zdziwił się Brian Turner, nadal stojąc w drzwiach.

– Staram się – odpowiedział Bender. Przyjrzał się synowi pani prezydent. Chłopak był wysokim, niezgrabnym czternastolatkiem, który najwyraźniej zastanawiał się nad wyborem drogi w dorosłym życiu. Fizycznie bardzo się różnił od drobnej, delikatnej Sarah. Widać było, że nie boi się przygód. Przypominał zresztą matkę i Bender nie wątpił, że Brian kiedyś wyrośnie na bardzo przystojnego mężczyznę. – Ludzi trzeba szanować.

– Babcia też tak mówi – odezwała się Sarah, pragnąc włączyć się w rozmowę.

– Babcia! – parsknął pogardliwie Brian.

Bender roześmiał się, rozumiejąc chłopca.

– Ja też kiedyś długo mieszkalem w domu pełnym kobiet – powiedział. Brian spojrział nań z nadzieją. – Dziwne, ale teraz mi tego brakuje.

Brian zerknął z ukosa na siostrzyczkę.

– Mnie nie.

Sanford wrócił z krzesłem. Postawił je obok Sarah i odszedł. Brian wszedł do niewielkiego gabinetu i rozejrzał się wokoło. Otworzył usta, gdy zobaczył obrazek na ścianie. Była to fotografia zespołu odrzutowców akrobacyjnych w locie. Sylwetki sześciu czerwono-biało-niebieskich samolotów F 16 tworzyły na tle nieba harmonijny klucz.

– Świetna fotka – stwierdził Brian. – Mogę taką dostać?

Bender pokręcił głową.

– Zrobili tylko kilka zdjęć przed zniszczeniem negatywu. Mój samolot to ten z lewej.

– Naprawdę latał pan w tym zespole? I to był pański odrzutowiec?

– Owszem. Ale to dawne dzieje. Poza tym samolot nie należał do mnie. Pilotowałem go tylko podczas pokazów.

– Należał do obsługi naziemnej, takich sierżantów? – spytał Brian. Bender kiwnął głową – Kapuję. To tacy służący.

Bender zachnął się.

– Chyba nigdy nie spotkałeś prawdziwego sierżanta. Uwierz mi, oni nie mają nic wspólnego ze służącymi. Pracują na dole, przygotowując maszyny do lotu. Bez nich żaden pilot nie oderwałby się od ziemi.

– Nie oderwałby się od ziemi? – powtórzył Brian.

– To znaczy, nie wzbilby się w powietrze.

– Mama mówi, że nie mogłaby być prezydentem bez takich sierżantów – dodała Sarah. – A oni są z tego dumni i dumni z tego, co robią.

– Twoja mama ma rację – przyznał Bender.

– To dlatego próbuje pan spamiętać wszystkich z nazwiska? – spytał Brian.

– Tak. Powiedzmy, że tak.

– Jak to jest być pilotem myśliwca? – zapytał Brian.

Bender uśmiechnął się przelotnie do Sarah, która odwzajemniła uśmiech.

– Cóż... Trudno to opisać. Niewątpliwie to najbardziej pasjonująca rzecz, z jaką miałem do czynienia w całym życiu. Ale jednocześnie coś bardzo trudnego. Trzeba mieć świetną pamięć, ciągle się uczyć, no i pozostawać w formie.

– Co trzeba zapamiętywać? – zdziwił się Brian.

– Procedury w wypadku nagłego niebezpieczeństwa.

– Ja lekceważyłbym niebezpieczeństwo, gdybym został pilotem.

Bender nie roześmiał się, tylko przybrał poważną minę.

– Zadaniem pilota myśliwskiego jest walka. Podczas walki przeciwnik strzela do ciebie i prędzej czy później może cię trafić. Znajdziesz się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Jeśli wiesz, jak postępować, przeżyjesz. Jeżeli nie... – Wzruszył ramionami i nie dokończył myśli. – Tak to już jest.

Brian znowu spojrzął na fotografię.

– Zamierzam wstąpić do akademii lotniczej i zostać pilotem myśliwskim.

– Słyszałem. Ale trudno tam się dostać i...

– Mama mi to załatwi – stwierdził Brian przerywając mu.

– Nie przerywaj, jak ktoś mówi – upomniała go Sarah. – To niegrzecznie.

– Przepraszam – Brian, jak większość nastolatków, chciał się wytłumaczyć. – Czasami się zapalam i wtedy się zapominam... Ale naprawdę chcę pójść do akademii lotniczej.

Bender ze zrozumieniem pokiwał głową. Pamiętał, że niegdyś mówił to samo. Brian był dobrym chłopakiem i potrafił okazać szacunek. No i z pewnością miał głowę na karku.

– Masz szansę wstąpić na akademię – powiedział – jeżeli w szkole będziesz dostawał dobre stopnie. Tam jednak już będziesz zdany wyłącznie na siebie i jeżeli nie dasz sobie rady, wyrzucą cię. Pamiętaj też, że nie każdy kadet zostaje w końcu pilotem. Wybranych kandydatów czeka długi okres intensywnego szkolenia. Tylko najlepsi usiądą ostatecznie za sterami, a najlepsi z najlepszych będą pilotami myśliwców. Droga na szczyt jest trudna i nie licz na niczyją pomoc.

Brian wpatrywał się w zdjęcie; dotknął go, jakby chciał znaleźć się tam w przestworzach.

– Dam sobie radę.

– Coś ci powiem – rzekł Bender. – Przyniosę ci podstawową instrukcję obsługi myśliwca F 16. Zobaczysz, jak dużo trzeba się uczyć.

– Fajnie – stwierdził Brian. – Bardzo bym chciał coś takiego dostać.

– Mama nie lubi takich rzeczy – sprzeciwiła się Sarah.

– Och, przecież ona wie, że cały czas czytam wojskowe książki – powiedział Brian. Przesząpił z nogi na nogę. – Dzięki. Muszę spadać... Mam odrobić lekcje. Babcia na nic mi nie pozwala, zanim ich nie odrobię.

I wyszedł z pokoju wraz z siostrą.

– Cześć – krzyknęła Sarah z korytarza na pożegnanie. – Wiedziałam, że sobie pogadacie.

W progu stanął Sanford i rzucił do mikrofonu ukrytego w mankencie:

– Merlin i Magic Dwa idą na górę.

– Pasują do nich te kryptonimy – stwierdził Bender.

Sanford przytaknął.

– Czy dzieciaki często tu zagląдают?

– Briana widziałem dziś po raz pierwszy. Sarah czasem mnie odwiedza. Sporo wtedy rozmawiamy. – Posmutniał przypominając sobie, jak niegdyś często dyskutował z Laurie.

– Panie generale, słyszeliśmy, że załatwił pan naszą sprawę z Shawem. Ocalał pan nasze tyłki. Dziękuję.

– Sam wywołałem ten problem – powiedział Bender. – W końcu agenci nie rzymscy pretorianie, którzy mają izolować cesarza od poddanych.

– Szkoda, że Shaw tak nie rozumuje. Niech pan na siebie uważa, generale. Jeszcze raz dziękuję – rzucił Sanford i zniknął w korytarzu.

* * *

Madeline Turner siedziała w niewielkim pokoju obok sypialni, obłożona książkami i papierami. Maura weszła po cichu i usiadła w wygodnym, miękkim fotelu obok kominka.

– Uwielbiam to miejsce, kiedy w kominku płonie ogień – powiedziała.

– Ja też – zgodziła się z nią Madeline. – Co z dziećmi?

– Sarah już w łóżku. Brian czyta jakiś podręcznik lotniczy.

– Skąd go ma?

– Od generała Bendera.

Turner powoli zdjęła okulary do czytania i spojrzała w ogień.

– Nie wiem, czy mnie to cieszy. W jaki sposób się poznali?

– Przez Sarah. Ona często rozmawia z generałem.

– Nie powinna mu zawracać głowy – stwierdziła Turner. – On i bez tego ma mnóstwo zajęć.

– Ale nie ma nic przeciwko temu – odparła Maura. Milczenie. Maura podjęła: – Czemu go tu trzymasz? – Znowu bez odpowiedzi. – To jedyny człowiek z twojego otoczenia, który źle się czuje w Białym Domu. Wygląda na bardzo nieszczęśliwego.

Madeline z powrotem założyła okulary i wróciła do lektury.

– Jest mi tu potrzebny – rzeka krótko.

– Maddy... – Długa pauza. – Przecież widzę, że to bardzo atrakcyjny mężczyzna. Kogo ty chcesz nabrać?

– Mamo – rzuciła z irytacją Turner – nie jestem naiwnym podlotkiem, który zakochał się w starszym facecie.

– W przyszłym miesiącu skończysz czterdzieści sześć lat – przypomniała córce Maura. – A on nie jest znowu taki stary. Ile właściwie ma lat?

– Nie wiem. – Było to kłamstwo, Turner bowiem знаła dobrze wiek generała. – Pięćdziesiąt – przyznała po chwili. – A poza tym, on jest żonaty. – Zamyśliła się na chwilę. Była winna matce dalsze wyjaśnienia. – Prezydent jest w Białym Domu trochę odcięty od świata. Biały Dom onieśmiela niektórych, a innych przeciwnie: czyni aroganckimi i rozbudza w nich nadmierne ambicje. Wielu robi wszystko, żeby tylko utrzymać się przy tym źródle władzy. Nie przekazują mi

złych nowin, bojąc się, że się zdenerwuję i ich zwolnię. Tylko cztery osoby tutaj są wobec mnie całkowicie szczerze: ty, William, Bender i Patrick.

– Shaw! – zawołała Maura. – Nie ufam temu człowiekowi.

– Cóż, powinnaś z nim szczerze porozmawiać – odparła Turner. – Pozwól, że tymczasem ja zapytam cię o coś wprost. Kogo powinniśmy wybrać na stanowisko wiceprezydenta?

Maura nie wahała się ani przez moment.

– Sama Kennetta. Spisał się świetnie jako burmistrz Filadelfii, a teraz radzi sobie wybornie na fotelu gubernatora.

– Pensylwania to ważny stan – przyznała Turner. – No, ale nie ma Kennetta na liście Patricka.

– Powiedz więc Shawowi, żeby go dopisał – rzekła Maura.

* * *

William nalał pani prezydent do filiżanki poranną kawę.

– Williamie – odezwała się Madeline – co sądzisz o gubernatorze Kenne-

cie?

– Mówią, że to dobry człowiek, który odmienił na lepsze życie w Filadelfii.

– Pytałam o twoje osobiste zdanie.

– Tak, proszę pani... On był twardy dla kolorowych. Wielu z nich pozamykał w więzieniach.

– To działo się w czasach, gdy był burmistrzem i starał się oczyścić ze zbrodni i korupcji ulice miasta. Posłał do więzień również wielu białych. Odkąd został gubernatorem stanu, stworzył tysiące nowych miejsc pracy.

– Fakt, jest dobrym gubernatorem – przyznał William – i w dodatku popularnym... Czy jestem jeszcze potrzebny?

Turner pokręciła przecząco głową, a William wyszedł tyłem z pokoju. Na korytarzu ruszył tak prędko, na ile mu tylko pozwalała godność. Tego poranka bardzo nie chciał natknąć się na Shawa.

Shaw i Jackie weszli do gabinetu dokładnie o ósmej. Wszystko szło gładko do momentu, gdy Shaw wręczył pani prezydent dzienny rozkład zajęć.

– Wiem już, kogo chcę na wiceprezydenta – oświadczyła mu. – Sama Kennetta.

Jackie uśmiechnęła się i zapisała to w notatniku, Shawowi natomiast opadła szczęka. Podrapał się po głowie. Kennett był młodym, uczciwym – wedle standardów Shawa – energicznym, ambitnym i zdolnym politykiem. Znał się na zakulisowych rozgrywkach i miał wiernych zauszniaków, których bez wątplenia ściągnąłby za sobą do Białego Domu. Jednym słowem był on ostatnim człowiekiem, jakiego Shaw życzyłby sobie na stanowisku wiceprezydenta.

– Nie brałem go pod uwagę – przyznał szczerze Shaw.

– Chciałabym go lepiej poznać – powiedziała Turner. – Zaprośmy go do Białego Domu.

– Najpierw powinniśmy go sprawdzić. Chyba nie chcemy tu jego kochanek chowających się za zastonami.

– Przeszedł trudną kampanię wyborczą – przypomniała Madeline. – Jego przeciwnicy nic na niego nie znaleźli.

– Sprawdźmy go, pani prezydent, a potem zorganizuję spotkanie. – Shaw wstał, aby wyjść.

– Patricku, tym razem nie będzie już żadnych historii z litem.

– Też tak sądzę. – To również Shaw powiedział szczerze. Tak czy owak miał jednak zamiar napuścić na Kennetta wścibskich dziennikarzy.

Morze Wschodniochińskie

Dwa ciemnoszare samoloty typu Strike Eagle wzbity się znad pasa startowego w bezchmurne niebo nad Morzem Wschodniochińskim.

– Przejmij prowadzenie – polecił przez radio instruktor w prawym F 15E, gdy maszyny osiągnęły pułap dwudziestu czterech tysięcy stóp.

Na tylnym fotelu lewego F 15E Laurie zerknęła na cztery ekrany przed sobą. Jej palce automatycznie powędrowały nad klawiaturę, wcisnęły klawisz „menu” i wybrały HUD, czyli powiększenie obrazu z kamery zainstalowanej na hełmofonie pilota. Na ekranie pojawił się kolorowy obrazek – dokładnie to, co widział w tej samej chwili na swoim ekranie HUD jej partner z zespołu, zajmujący przedni fotel Chris Leland. Radar nastawiony był na wykrywanie nieprzyjacielskich samolotów, rodzaj broni – szybkostrzelne działko – wyselekcjonowany do prowadzenia walki powietrznej. Cóż, trzeba zapamiętać o skomplikowanych grach komputerowych, na jakich dotąd szkoliła się Laurie, i sprawdzić zdobyte umiejętności w warunkach treningu bojowego.

Spojrzała w bok i dostrzegła samolot instruktora, tymczasem Chris Leland przyspieszył i wysunął się na czoło pary.

– Przygotuj się do pozorowanej walki – powiedziała mu. Przez następnych kilka minut miała nie spuszczać z oka drugiej maszyny. – Rozluźnij się – poradziła Chrisowi. – Ostre nurkowanie to małe piwo. – Obserwowała, jak samolot instruktora znalazł się dokładnie za ich maszyną i zmniejszył odległość, by zająć pozycję dogodną do otwarcia ognia.

– Laurie – wezwał ją przez radio instruktor – ty wydajesz polecenia swojemu pilotowi.

Nacisnęła dwukrotnie guzik dając znak, że odebrała rozkaz instruktora. Z Chrisem mogła się porozumiewać przez mikrofony w hełmofonach.

– Kiedy dam ci sygnał, że mamy przeciwnika na ogonie – zwróciła się do niego – wykonaj zwrot w lewo, a potem ostrzejszy w prawo. I tak trzymaj: krótkie, ostre manewry, by nie pozostawać w polu jego ostrzału. – Były to wszystkie podstawowe sztuczki, jakie powinien opanować każdy pilot myśliwski. W prawdziwej walce nieprzyjaciel, który usiłował zająć od ogona manewrującego F 15, często sam szybko znajdował się w położeniu nie napastnika, lecz ofiary, zwłaszcza gdy nie orientował się, że F 15 zwykle operowały w parach. Tym razem jed-

nak Chrisowi i Laurie nie towarzyszyła inna załoga – po to, by Chris Leland mógł podnieść swe umiejętności pilotażowe i zdobyć zaufanie do nowej instruktorki na tylnym fotelu.

– Biedny sukinsyn nie wie, co robi – powiedział teraz Chris.

Nie spodobał się jej ton jego głosu. Po dwóch wspólnych lotach nabrała poważnych wątpliwości: Leland stanowczo przeceniał siebie, lekceważąc przy tym innych.

– OK, on prawie zajął pozycję do strzału – powiedziała Laurie, a po sekundzie dodała nagłaco: – Chris! W lewo! Przeciwnik siedzi nam na ogonie. Oddalony o pół mili i szybko się zbliża.

Zamiast tego Chris wykonał ostry zwrot w prawo: przeciążenie w kabinie przekroczyło sześć g. Laurie uderzyła mocno głową w kasku w owiewkę i na moment straciła orientację.

Walczyła z przeciążeniem, starając się obrócić nieco na fotelu i dostrzec znowu przeciwnika. Jednocześnie poczuła, że Chris włączył dopalanie; maszyna weszła w korkociąg z dziobem skierowanym ku ziemi. Co się, do licha, dzieje? – myślała Laurie. Korkociąg był skutecznym manewrem, gdy nieprzyjaciel podchodził z tyłu, lecz pozostawał w sporej odległości. Tymczasem maszyna instruktora siedziała im prawie na ogonie.

Laurie uniosła głowę, ale dojrzała tylko szarą warstwę chmur, przez którą przechodzili pikując ostro w dół. Zerknęła na ekran. Byli na wysokości ponad szesnastu tysięcy stóp, lecz cyfra ta szybko malała, jako że sunęli z prędkością jeden i dwie dziesiąte Macha.

– Ciągnij! – krzyknęła Laurie i sama sięgnęła do drążka. Ciągle jednak pracowały dopalacze silników, powodując straszliwe przeciążenie, gdy pilot starał się bezskutecznie wyprowadzić maszynę do lotu poziomego. Wskaźnik przeciążenia wzrósł na lewym ekranie do dziewięciu g. „Nieżnośna Betty”, czyli kobiecey głos pokładowego systemu ostrzegawczego, zaczęła powtarzać przez głośniki: „Uwaga! Przeciążenie krytyczne! Uwaga! Przeciążenie...”

– Dopalenie! – wrzasnął Chris – Drążek się zaciął! Pomóż mi!

Musieli wyłączyć dopalacze, bo inaczej maszyna wkrótce straciłaby skrzydła – o ile wcześniej jej załoga nie straciłaby przytomności. Laurie zaczynała widzieć niewyraźnie, w jej polu widzenia pokazały się czarne plamy; przeciążenie wciąż rosnęło. Laurie czuła się teraz, jakby pędziła z zawrotną szybkością w mrocznym tunelu. Chwyciła dźwignię walcząc z przeciążeniem i utratą świadomości. Pot zalewał jej twarz i oczy. Odruchowo napięła mięśnie brzucha, najmocniej jak była w stanie, starając się zapanować nad zaburzeniami w swoim organizmie.

Jakby z daleka dobiegł przez słuchawki głos instruktora, nerwowo i ponaglający:

– Ciągnąć! Ciągnąć!

Przebili się już przed dolną warstwę chmur i Laurie widziała teraz już tylko szarobłękitny ocean. Zaciskała palce na dźwigni, nie mogła jej jednak przyciągnąć do siebie. Na skraju utraty świadomości Laurie poczuła, jak przeciążenie ustępuje. Chris zdołał wyłączyć dopalanie.

Chwyciła całą dłońią drążek i pociągnęła; przeciążenie powróciło, gdy strike eagle pełną mocą silników zaczął – tuż nad powierzchnią morza – wychodzić z nurkowania. Sunął teraz w dół ukosem. Przez ułamek sekundy Laurie myślała o katalpowaniu się. Przy tej prędkości nie wchodziło to jednak w rachubę – podmuch powietrza zmiażdżyłby ich. Widmo śmierci zajaśniało w oczu.

Ciało Laurie wcześniej niż umysł pojęło śmiertelne niebezpieczeństwo; adrenalina znalazła się we krwi. Laurie jeszcze mocniej pociągnęła za drążek; ustąpił nieco. Włączyła ponownie dopalanie – dziób strike eagle’a obrócił się w górę, ku niebu. Samolot jednak nadal tracił wysokość, spadając o ponad cztery tysiące stóp na minutę. Powierzchnia oceanu zbliżała się nieubłaganie. Laurie, nie wypuszczając drążka, obróciła dysze dopalacza. Pod wpływem nagłego przyspieszenia krew ponownie odpłynęła jej z głowy, lecz Laurie dosłyszała przez radio:

– O, cholera! – Był to głos instruktora.

Zdołali ustabilizować maszynę w poziomym locie. Chris najwyraźniej odzyskiwał przytomność i panowanie nad sterami.

– Trzymam – potwierdził.

– Niech was diabli – powiedział przez radio instruktor. – Myślałem, że już po was.

Laurie wyprowadziła bowiem maszynę z pikowania tuż nad oceanem. Od powierzchni dzieliło wtedy samolot bardzo niewiele – o mało nie zginęli zaledwie piętnaście sekund po pozorowanym ataku.

Naraz Laurie z zażenowaniem zdała sobie sprawę, że zmoczyła się w spodnie. Kiedy to się stało? – zastanawiała się.

– Lampa alarmowa sygnalizuje uszkodzenie pierwszego silnika – oznajmił Chris i wyłączył lewy silnik. – Tracimy ciśnienie hydrauliczne.

Laurie wcisnęła guziki pod lewym ekranem i wyświetliła dane systemu ostrzegania, aby sprawdzić, jakiego rzędu przeciążenie było ich udziałem. Jej serce zaczęło bić prędzej, gdy ukazała się cyfra 13,2 g. Zadziwiające, że uszkodzeniu uległ tylko jeden z silników oraz dwa systemy hydrauliczne. Wyciągnęła spod siedzenia listę czynności kontrolnych, którą wcześniej tam wcisnęła, by papier nie latał po całej kabinie podczas ostrych manewrów. Lista była mokra od jej moczu. Laurie przerzuciła parę spiętych kartek i doszła do właściwej części; tak jak przypuszczała, o mały włos uległyby zniszczeniu oba silniki.

– Czy kiedykolwiek przedtem przekroczyliście barierę? – zapytał instruktor. Mówiąc „bariera” miał na myśli linę rozciągniętą na końcu pasa startowego, skracającą dobieg, tak jak na lotniskowcach.

– Odpowiedź negatywna – odparł Chris.

– Hej – odezwała się Laurie – to nie jest zabawne.

Okinawa, Japonia

Martini siedział w swoim samochodzie na podjeździe na skraju pasa. Jego krytyczne spojrzenie odnotowywało wszystkie szczegóły; dostrzegł oczywiście

F 15, który gwałtownie wyhamował zatrzymany przez linę skracającą dobieg. Generał mruknął z zadowoleniem. Ładowanie na jednym silniku z pomocą liny zaporowej przebiegło pomyślnie. Załoga wyłączyła sprawny silnik i wtedy obsługa lotniska podbiegła ku maszynie. Odczepiła linę z haka przy ogonie odrzutowca. Ciężarówka przetoczyła samolot na bok. Generał obserwował Laurie wychodzącą za Lelandem z kabiny; parsknął, gdy zobaczył ciemną plamę z tyłu kombinezonu. Domyślił się, co zaszło.

– Proszę się przebrać i zgłosić do raportu – rzucił jej. Chrisowi natomiast nakazał gestem wsiąść do furgonetki.

Dwadzieścia minut później Laurie zgłosiła się do raportu w jednym z pomieszczeń zajmowanych przez dowództwo dywizjonu. Zdążyła szybko wziąć prysznic, miała też na sobie świeży mundur. Martini siedział za stołem wraz z dowódcą dywizjonu, instruktorem oraz Chrisem Lelandem. Przeglądali na magnetowidzie kasety wideo zarejestrowaną podczas lotu. Instruktor wyjaśniał kolejne zdarzenia.

– Gdy kapitan Bender powiadomiła o pojawieniu się nieprzyjaciela, kapitan Leland rzucił maszynę na skrzydło i wszedł w korkociąg, żeby zająć mi na ogon. Jednocześnie uruchomił dopalacze. Dlaczego, nie mam pojęcia.

– Aby oddalić się od prześladowcy – rzekł Chris. – Jednak nie mogłem wyłączyć dopalania. Dźwignia się zablokowała.

– Co doprowadziło do przekroczenia bariery dźwięku i znacznego przeciążenia – dodał instruktor.

Chris przytaknął z ponurym wyrazem twarzy. Resztę nagrania obejrzano w milczeniu.

Martini bębnił palcami po stole; podejmował decyzję. Nie miał już wątpliwości, że Chris zareagował zbyt brawurowo i ocalił skórę tylko dzięki Laurie.

– Chciałbym porozmawiać tylko z pilotami – warknął. Szef dywizjonu i instruktor pospiesznie wyszli z pokoju zostawiając Chrisa i Laurie. Drzwi się zamknęły. – Leland, lepiej, żeby obsługa potwierdziła, że z mechanizmem dopalania coś nie tak, bo inaczej będzie z tobą źle. Wylecisz z lotnictwa wojskowego i wylądujesz w szambie. – Wziął głęboki oddech, by opanować złość. – Obsługa naziemna stwierdziła, że przekroczyliście trzynaście g. To oznacza, że trzeba poddać maszynę kompleksowemu przeglądowi, który zwykle trwa dwa dni. A więc dowaliliście facetom z obsługi mnóstwo roboty i macie im teraz pomóc się z nią uporać. A ty, Leland, módl się, żeby wykryto jakąś usterkę.

– Wykryją ją na pewno, panie generale – odezwała się Laurie. – I co wtedy?

– Dostaniecie jeszcze jedną szansę – poinformował Martini. – A teraz zabierajcie stąd swoje tyłki i pomóżcie obsłudze w prawdziwej robocie... – Chris wypadł z pokoju szczęśliwy, że skończyło się tylko na tym. Martini zatrzymał Laurie. – Dobrze sobie pani poradziła, pani kapitan.

– Panie generale, on nadal powinien latać z instruktorem.

– Dlaczego?

– Brak mu konsekwencji. Mieliliśmy szczęście, że dziś wybrneliśmy cało z opresji.

– Potrzebny mi każdy pilot, każdy specjalista, jakiego mam – stwierdził Martini. – Jeśli to prawda z awarią mechanizmu dopalania, on dostanie jeszcze jedną szansę... z panią na drugim fotelu.

- Po co marnować takiego fachowca jak ja? – zapytała.
- Bo ja jestem pracodawcą, który jednakowo dba o wszystkich pracowników.

* * *

Starszy sierżant Ralph Contreras, szef służb zaopatrzeniowych, wtoczył się do hangaru dla obsługi późnym niedzielnym popołudniem. Contreras odpowiadał stereotypowi sierżanta, rozpowszechnionemu przez telewizję i filmy fabularne. Z paroma wszakże zastrzeżeniami. Nigdy nie palił, tylko od czasu do czasu pozwalał sobie na kufel piwa; nigdy też nie uprawiał hazardu. Powiadał, że uczestniczy w grze o znacznie wyższą stawkę, a trwonienie pieniędzy to zajęcie dla głupców, którym sprzykrzyło się życie. Przyswoił to powiedzenie w czasach, gdy pracował w obsłudze naziemnej zespołu „Thunderbirds” w bazie lotniczej Nellis, koło Las Vegas w stanie Nevada.

Rzucił okiem na zegarek: kontrola odrzutowca, który uległ znacznym przeciążeniom, odbywała się zgodnie z planem. Wezwał kierującego przeglądem sierżanta, a ten pokazał Contrerasowi, co znalazł w kabinie pilota. Wymienili parę uwag. Contreras nie lubił długich rozmów.

– Cholerna hydraulika – mruknął teraz. Nigdy nie szafował przekleństwami i uciekał się do nich tylko wyjątkowo. – Dobra, zajmę się tym... A co z nią?

– Z kapitan Bender? Nieźle. Pracuje z Alviem. Ona szybko się uczy.

Contreras podszedł do sierżanta sztabowego Alviego, który razem z Laurie stał pod skrzydłem F 15E. Spojrzał z zadowoleniem na przeliczającą narzędzia Laurie. Gdy kapitan stwierdziła, że są wszystkie, złożyła je starannie do skrzyni i wyszła spod samolotu.

– Znaleźliśmy to w przewodach – powiedział Contreras i podał jej powyginane metalowe pióro.

– Przekłete świństwo! – Mówiła o urządzeniu do niszczenia przedmiotów obcego pochodzenia, które o mało nie doprowadziło do jej śmierci. Ktoś pozostawił był bowiem w kabinie długopis, który, podczas gwałtownych manewrów, zaklinował się w dźwigni uruchamiającej dopalanie. – Widzę, że prawo Murphy’ego nie straciło na aktualności.

– Mielście cholerne szczęście – stwierdził Contreras. Wskazał na ślady na owiewce. – Wygląda na to, że ciśnienie wyparło długopis i zdołaliście odblokiwać dźwignię. Przed lotem niestaranie dokonano przeglądu kabin.

Laurie przyjrzała się drogiemu srebrnemu długopisowi.

– To nie wina ludzi dokonujących przegląd. To pióro należy do Chrisa – powiedziała. Contreras kiwnął głową i podziękował w duchu. Nie będzie musiał besztuć swoich ludzi. – Powiem mu... – dodała i rozejrzała się wokoło. – Gdzie on się podział?

– Wyszedł jakąś godzinę temu – rzekł Contreras.

– Nie powinien był... – stwierdziła zdenerwowana Laurie.

– Cóż, pani pomoc bardzo nam się przydała – przyznał Contreras.

– Mam dwie lewe ręce – odparła. – Dać mi jakieś narzędzie, to zaraz coś zepsuję.

Contreras wybuchnął śmiechem.

– Słyszałem coś wręcz przeciwnego. Właściwie już skończyliśmy, pani kapitan. Została tylko papierkowa robota.

– Dobra. W takim razie już idę.

Contreras patrzył za nią. Martini umie dobierać sobie ludzi, pomyślał. Na chwilę cofnął się wspomnieniami do bazy lotniczej Nellis, gdzie jako młody podoficer pracował w obsłudze naziemnej zespołu akrobacyjnego „Thunderbirds”. A na jednym z odrzutowców, nad którymi sprawował pieczę Contreras, latał, podówczas jeszcze kapitan, David „Mafia” Martini.

* * *

Bob Ryan zerknął na zegarek, gdy usłyszał wchodzącą Laurie. Była niedziela, godzinę temu minęło południe. Dobiegł go trzask drzwi lodówki i syk otwieranej puszki z colą.

– Gdzie byłaś? – zawołał.

Laurie weszła do pokoju i usiadła obok Boba na kanapie. Nadal miała na sobie kombinezon lotniczy.

– Co czytasz? – spytała zerkając na jego książkę.

– *Bunt na okręcie* Hermana Wouka.

– Dostyc stara rzecz – stwierdziła przytulając się do niego.

– O tym, co się dzieje, gdy kapitan okrętu nie wytrzymuje obciążenia psychicznego. Podwładni zbuntowali się, aby uratować statek.

– Psychologia marynarzy... Coś dla ciebie – stwierdziła.

Objął ją ramieniem, słysząc po tonie jej głosu, że coś poszło nie tak.

– Ciężko dziś było, co? – zapytał. Kiwnęła potakująco głową przy jego pierś. Wysłuchał bez komentarza relacji z lotu, z raportu u Martiniego i długich godzin strawionych na szukaniu przyczyn usterki wraz z obsługą naziemną.

– Dlaczego Martini tak się na ciebie uwziął? – spytał.

Wzruszyła ramionami.

– Może chciał, żebyśmy zobaczyli, ile roboty przysporzyliśmy służbom technicznym. Taka pogładowa lekcja, by na przyszłość bardziej uważać – zakończyła opowiadanie i przypomniała sobie o długopisie. – Jutro mam znowu lecieć z Chrisem.

– Boisz się?

Jej ciche „tak” zaskoczyło go. Zwykle wracała po lotach pobudzona, rozdrażniona, spragniona seksu. Dziś jednak po raz pierwszy stanęła oko w oko ze śmiercią i zachowywała się inaczej. Podczas studiów i badań zapoznał się z opisami reakcji mężczyzn, którzy podczas walki znaleźli się w niebezpieczeństwie i wiedzieli, że niedługo spotka ich to znowu. Większość z nich pragnęła alkoholu i seksu, niekoniecznie w takiej kolejności. To hormony dawały sygnał do prokreakcji w obliczu śmierci i zniszczenia.

Jednakże Laurie nie była mężczyzną i szukała teraz schronienia w bezpiecznym gnieździe. Najlepiej w jego, Boba, ramionach. Mój Boże! – pomyślał. Właściwie wiem o tym tyle, co Neandertalczyk.

– Kiedy będę mógł poczuć się przy tobie jak uczciwy facet? – zapytał.

Laurie przylgnęła do jego piersi.

– Kiedy znajdziemy kapelana. – Odsunęła się od niego i pogładziła go po policzku. – Jeśli mam wyjść za mąż, to wystąpię z wojska.

– Daj spokój, Laurie, mamy dwudziesty pierwszy wiek. Nie ma powodu, abyś rezygnowała z kariery.

Uśmiechnęła się i znowu przywarła do niego.

– Bob, ja chcę mieć gromadkę dzieci. Jak mam je wychować, pozostając w czynnej służbie? Swoją karierą zajmę się później... Najpierw chciałabym zapewnić przyszłość dzieciom.

Pogładził ją po włosach.

– Rozumiem – powiedział.

– To dobrze – szepnęła. – Może zaczniemy od razu?

Rozdział szósty

Waszyngton

Posiedzenie odbyło się w Gabinetcie Ovalnym wczesnego piątkowego wieczoru dziewiątego listopada. Ona jest prezydentem od osiemdziesięciu trzech dni, pomyślał Bender. Do stu zostało jeszcze siedemnaście. Z jakiegoś powodu setka była dla Bendera magiczną liczbą; a przy tym Shaw szykował się do owej setki niczym do finału baseballowego Pucharu Ameryki. Bender niechętnie to przyznawał, ale Shaw okazał się znakomitym zarządcą, jednym z najlepszych, jakich kiedykolwiek spotkał. Pod jego okiem wszystko szło sprawnie i gładko w Białym Domu.

Shaw kontrolował najistotniejsze sprawy. Senat bez oporu zaakceptował kandydaturę Sama Kennetta na stanowisko wiceprezydenta, natomiast Chińczycy nadal wykonywali pojednawcze gesty na Dalekim Wschodzie, uspokajając sąsiednie kraje po zajęciu Tajwanu. W rezultacie w prasie przycichły antychińskie głosy – tym bardziej że Shaw planował uczynić z setnego dnia prezydentury Turner wielką uroczystość.

Dla Bendera oznaczało to tylko, że przyjdzie mu spędzić w tym czyścicu jeszcze siedemnaście dni.

Sekretarka pani prezydent wprowadziła go teraz do gabinetu. Bender z zaskoczeniem stwierdził, że wszechobecnego Shawa nie ma na jego miejscu na kanapie. Turner od razu przeszła do rzeczy:

– Robercie, słyszałam, że w niedzielę odbędzie się w bazie Andrews pokaz zespołu „Thunderbirds”.

– Zgadza się, pani prezydent. Ostatni pokaz sezonu, zanim piloci rozjadą się do domów.

W istocie odbyć się miał jeszcze jeden, zamknięty pokaz w przyszły weekend – dla rodzin pilotów. Specjalnie dla rodzin, pozbawionych ojców i mężów przez połowę każdego roku oraz w czasie odbywającego się co dwa lata zjazdu obecnych i byłych członków zespołu „Thunderbirds” – zjazdu, w którym Bender i Nancy znów nie będą mogli uczestniczyć.

– Brian bardzo chciałby ich zobaczyć – powiedziała Madeline. – Mógłby go pan zabrać? On jest zafascynowany samolotami... – Ciepły uśmiech Bendera kazał jej urwać w połowie zdania. Po raz pierwszy Turner ujrzała uśmiechniętego generała Bendera.

– Z przyjemnością. Wybierałem się i tak... – Urwał i zamyślił się. – Czemu nie pojedzie także pani z Sarah?

Turner odwzajemniła uśmiech.

– Bardzo bym chciała wyjechać gdzieś na dzień z Brianem i Sarah, ale mój rozkład zajęć... – I znowu nie dokończyła zdania.

– Jest pani pracoholiczką, pani prezydent. Trzeba czasem odpoczywać.

– Obawiam się, że to niemożliwe – odparła nadal się uśmiechając. – Proszę porozmawiać o szczegółach z biurem spraw wojskowych.

– Tak jest. – Bender wyszedł i skierował się w stronę biura we wschodnim skrzydle Białego Domu, aby uzgodnić szczegóły wyprawy z Brianem do Andrews.

Turner rozsiała się wygodnie w fotelu i przymknęła oczy. Była zmęczona. Potem pochyliła się do przodu i podniosła słuchawkę.

– Jackie, powiedz panu Shawowi, żeby nie planował mi żadnych zajęć na niedzielę.

Baza lotnicza Andrews w stanie Maryland

Bender i Nancy stali na podwyższeniu, skąd zwykle podziwiano popisy pilotów akrobatów, gdy limuzyna prezydencka wraz z liczną świtą przejechała pod estradą.

– Czy prezydencki syn jest kimś tak ważnym, by towarzyszyły mu cztery auta z ochroną? – zapytała Nancy.

Bender powoli pokręcił głową.

– Ależ skąd. Rodzina prezydencka zwykle podróżuje jednym samochodem, któremu towarzyszy furgonetka z ochroną. Najwyraźniej dziś mamy do czynienia z nie zapowiedzianą lub nieformalną wizytą samej prezydent Turner.

– Nie mówiłeś, że ona się tu wybiera.

– Bo nie wiedziałem, że Turner chce przyjechać – wyjaśnił. Postąpił krok na przód, gdy druga z limuzyn zatrzymała się przed podwyższeniem. Dowodzący bazą generał brygady zbiegł po schodach, zaskoczony nagłym przybyciem pani prezydent.

– Przepraszam, Al – zwrócił się doń Bender. – Powiedziano mi, że przyjeżdżie tylko jej syn. Czyń honory domu.

Brygadier roześmiał się od ucha do ucha. Do jego obowiązków należało eskortowanie osoby pani prezydent wsiadającej na pokład Air Force One lub też opuszczającej ów samolot. Teraz jednak po raz pierwszy miał okazję zamienić z prezydent Turner parę słów w nieco mniej formalnych okolicznościach.

Z auta wysiadła Madeline Turner w towarzystwie Briana, Sarah i Maury. Bender przedstawił rodzinę prezydencką brygadierowi, który odprowadził przybyłych na podwyższenie.

– Cześć, Brian – zwrócił się Bender do chłopca. – Nie przespałeś z wrażenia nocy?

Turner i Nancy obserwowały z odległości paru kroków rozmawiających Benera i Briana. Było jasne, że się lubią.

– Pani syn jest uroczym młodzieńcem – stwierdziła Nancy.

– Odziedziczył urodę po ojcu – odrzekła Turner i przyjrzała się swojej drobnej rozmówczyni. Często się zastanawiała, jaki typ kobiety poślubił Bender, a Nancy nie pasowała do wizerunku, który powstał w głowie prezydent. Potem przeniosła spojrzenie na syna; Brian starał się naśladować postawę i gesty Benera, a nawet ton jego głosu.

Sarah wzięła matkę za rękę.

– To ja ich sobie przedstawiłam – powiedziała. – Często rozmawiają. Brian chce pójść do akademii lotniczej i też zostać pilotem myśliwskim.

Madeline uciszyła Sarah, bo chciała słyszeć słowa syna.

– Panie generale – mówił Brian – z jakiego miejsca najlepiej oglądać dzisiejszy pokaz?

Bender wskazał na platformę na kołach zaparkowaną obok pasa startowego.

– Mniej więcej stamtąd. Ta platforma jest punktem orientacyjnym dla pilotów. Nad nią mają formować szyk po akrobacjach.

– Czy możemy tam pójść? – zapytał Brian.

Bender zaśmiał się.

– Nie ma mowy. – Pomyślał przez chwilę. – Ale zobacz, tam stoi ekipa filmowa. Możemy obserwować start wraz z nimi.

Brian spojrział na matkę.

– Mamo?

– Tam jest całkowicie bezpiecznie – zapewnił Bender.

Turner wahała się przez moment.

– Pójdę tam z wami. Mauro, ty i Sarah zostańcie tutaj. Wkrótce wrócimy.

Bender o mało się nie roześmiał, gdy agenci ochrony zdali sobie sprawę z planów Turner. Pani prezydent zesza z podwyższenia, zanim zdążyli zaprotestować.

– Jedziemy – zawołała wsiadając do białego auta służb specjalnych. Ochroniarze rzucili się biegiem do pozostałych wozów, gorączkowo komunikując się przez miniaturowe nadajniki.

Bender i Brian weszli do tego samego samochodu co Madeline Turner. Wóz ruszył pasem startowym. Prezydent wysiadła przy platformie. Agenci po chwili znaleźli się tuż za nią i szybko zajęli stanowiska.

– Chyba chcą się położyć na ziemi – powiedział Brian do Benera.

– Zapewnienie bezpieczeństwa twojej matce to trudna praca – rzucił Bender.

Samoloty zespołu akrobacyjnego ustawiono rzędem na rozbiegu. Bender na bieżąco wyjaśniał Brianowi, co się dzieje.

– Zmienili ustawienie na starcie... Ja wolałem dawną formację, gdy od razu tworzyliśmy romb.

Wreszcie spektakl się rozpoczął. Rozległ się huk, gdy pilot prowadzącego F 16 włączył dopalanie i ruszył po pasie startowym. Parę sekund później przetoczył

się drugi odrzutowiec. W końcu cztery maszyny utworzyły romb, niemal stykając się skrzydłami.

Pierwszy F 16 przeleciał nad nimi i wzbił się w niebo; w jego ślady poszła następna maszyna. Bender zerknął na Madeline Turner. Prezydent z zaciekawieniem patrzyła na cztery odrzutowce odrywające się od ziemi. Drgnęła nagle, gdyż huk silników był w istocie przerażający. Po chwili zaległa cisza – równie nagle i przejmującą jak wcześniejszy hałas.

– Mój Boże – odezwała się zarumieniona z wrażenia – nie wiedziałam... Co za huk, co za moc, to naprawdę robi wrażenie... – Urwała i spojrzała na Bendera ze zrozumieniem. – To właśnie moc tych bestii... okiełznana i dająca się kontrolować, pociąga was, pilotów, prawda?

Bender nie odpowiedział na to, tylko stwierdził:

– Musimy szybko stąd odjechać. Inaczej zepsujemy cały pokaz.

Tym razem Brian odprowadził matkę do samochodu.

– Mamo, ja też muszę tak latać – mówił. Ona spojrzała na Bendera z kamiennym wyrazem twarzy.

* * *

Brian zajrzał do kabiny F 16. Fotel był jeszcze ciepły; piloci dopiero co skończyli spektakl. Chłopiec czuł, że jakaś niewidzialna, magiczna siła wciąga go do kabiny. Znalazł się w środku, usiadł, odchylił do tyłu i ze zdumieniem stwierdził, że fotel również odchylił się o trzydzieści stopni. Chłopak rozkoszował się chwilą, chłonął każdy szczegół. Teraz wiedział już na pewno, co chce robić w życiu. Pragnął zostać pilotem takiego odrzutowca.

Drażek nie tkwił między jego kolanami, ale umieszczony był z prawej strony. Brian dotknął go delikatnie, a potem mocniej, pewniej, wyczuwając palcem wskaźującym i kciukiem cztery przyciski i spust. Czuł się wspaniale – wydawało mu się, że sam stanowi część samolotu. Lewą ręką trącił dźwignię dopalacza; przesunął palcami po guzikach. Co mówił Bender? Generał wspominał, że pilotowanie przypomina trochę grę na flecie.

Brian usiłował się zorientować, do czego służą wszystkie te ekrany, przyciski i dźwignie, jakie wypełniały kabinę. Ich mnogość nie onieśmielała go jednak. Nie wątpił, że pewnego dnia sam wzbije się w powietrze w podobnej maszynie. Rozejrzał się szukając wzrokiem Bendera, ale nie mógł go dostrzec.

– Gdzie poszedł generał Bender? – zapytał szefa obsługi naziemnej, stojącego na platformie podsuniętej ku samolotowi.

– Tam – powiedział sierżant, wskazując tłum gapiów za odrzutowcami. Brian wychylił się z kabiny i dojrzał Bendera, który przykleknął obok jakiegoś chłopca na wózku inwalidzkim. – Piloci akrobaci z naszego zespołu zawsze troskliwie odnoszą się do ułomnych dzieci – wyjaśnił sierżant. Brian usiadł z powrotem w fotelu i słuchał relacji zdawanych przez techników szefowi obsługi.

Tymczasem Bender wyciągnął palec ku F 16.

– Siedziałeś kiedyś w kabinie? – zapytał chłopca na wózku. Ten nieśmiało pokręcił głową. Bender spojrzał na jego matkę. – Czy mogę go tam zabrać? –

spytał. Gdy uśmiechnęła się i przytaknęła, Bender wziął chłopczyka na ramiona i wniósł go po schodkach na platformę mechaników.

– Czas upłynął, Brian – zawołał. Brian nie chciał jeszcze wychodzić z kabiny, zawahał się. – Wyskakuj – dodał Bender konkretnym tonem. Brian wydostał się z kokpitu. Na jego miejscu generał usadził chorego chłopca, a Brian pomógł wspiąć się na podwyższenie któremuś z widzów. Czekał niecierpliwie, aż Bender wysadzi chłopca, i ruszył za generałem.

– Chciałbym latać takim odrzutowcem – stwierdził chłopczyk, gdy znowu znalazł się na wózku.

– Kto wie? – uśmiechnął się Bender. – Musiałbyś ciężko pracować, no i wykazać się świetnym, byстрым wzrokiem.

– Chyba nie mam najlepszych oczu – powiedział smutno chłopiec.

– Mimo wszystko mógłbyś latać na innych typach samolotów – pocieszył go Bender. – Słuchaj, muszę już iść, ale miło mi się z tobą rozmawiało.

– Dziękuję panu – rzekł chłopiec bardzo uroczyście. Podziękowała również matka chłopczyka, która wyjaśniła coś generałowi po cichu.

– Chodź, Brianie – powiedział po chwili generał. – Czas odszukać twoją mamę. – Skierowali się do wojskowego samochodu, który miał ich zawieźć do kasyna, gdzie zorganizowano spotkanie prezydent Turner z zespołem pilotów akrobatów.

– Dlaczego poświęcił pan tyle czasu tamtemu chłopakowi? – zapytał Brian. – Nie zna go pan przecież, poza tym on nigdy nie poleciał na myśliwcu.

– On jest śmiertelnie chory na białaczkę... Może umrzeć już za miesiąc. Brianie, ja i ty mamy przed sobą jeszcze wiele dni. Dzisiejszy chciałem więc ofiarować jemu.

* * *

– Mamo! – zawołał Brian przeciskając się przez tłum w klubie oficerskim. Turner odwróciła się i uśmiechnęła słysząc entuzjazm w głosie syna. Brian podjął: – Muszę zostać pilotem... W kabinie czuję się wspaniale. Mechanicy tyle mi opowiedzieli! Powinnaś zobaczyć z bliska te odrzutowce, wyglądają na nowiutkie. Generał Bender powiedział, że to ostatni rok, w którym „Thunderbirds” latają na F 16. W przyszłym dostaną samoloty F 22 Lightning. Muszę się dostać do tego zespołu, mamo.

Madeline spojrzała uważnie na syna. Dostrzegła teraz w głosie Briana ten sam upór, tę samą pewność, jakie cechowały jego ojca. Przebiegł ją dreszcz strachu na myśl, że Brian będzie wykonywał akrobacje lotnicze tuż ponad głowami widzów. Nie pozwoli wojskowym zabić swojego syna – to zdanie znowu przyszło jej do głowy. I nagle zapragnęła opuścić bazę Andrews i uciec od tego wszystkiego. Zwróciła się do towarzyszącego jej brygadiera. Nie zapamiętała jego nazwiska.

– Generale, chcę panu podziękować za gościnność. Wiem, ile kłopotów sprawiają takie nagłe wizyty.

– Cała przyjemność po naszej stronie, pani prezydent. Mam nadzieję, że jeszcze nas pani odwiedzi.

Maura, Brian i Sarah wsiadli do limuzyny.

– Przyjemnie było – stwierdziła Maura. – Naprawdę dobrze się bawiłam, a Brian był taki podekscytowany.

Turner nie odpowiedziała.

– Mama mówi, że samoloty są bardzo niebezpieczne – rzekła Sarah.

– Muszę o tym porozmawiać z Robertem – rzuciła Madeline.

Generał brygady uśmiechnął się promiennie, gdy prezydencka kawalkada odjeżdżała ku bramie.

– No, no – szepnął cicho do siebie i zwrócił się do podwładnych: – Dobrze się dziś zaprezentowaliśmy, panowie. – Ruszył w stronę kasyna, by podziękować Benderowi za to, że ten ustąpił mu przywileju dotrzymywania towarzystwa pani prezydent.

Tymczasem Bender wziął piwo i zdjął kapsel. Jego uwielbienie dla tego napoju było powszechnie znane. Brygadier również poprosił o butelkę.

Bender upił łyk ciemnego piwa.

– Al, kiedy awansowałeś na brygadiera? – zapytał dowódcę bazy.

– Trzy miesiące temu – odrzekł tamten.

– Lubię pić piwo z żołnierzami – stwierdził Bender – ale ty znalazłeś się w szeregach generalicji i powinieneś raczyć się innymi trunkami. – Odwrócił się i odszedł rozglądając się za Nancy.

– Cholera – jęknął brygadier. Pogłoski o sztywniactwie Bendera okazały się prawdziwe.

Nancy zapytała Bendera:

– Dopiekleś brygadierowi? Uważam, że spisał się na medal.

– Czy pił piwo w obecności pani prezydent?

– Nie – odpowiedziała i wzięła go za rękę. – Rozchmurz się, Robercie. – Zobaczyła kucharza wtaczającego wózek z wielkim tortem udekorowanym emblematem zespołu „Thunderbirds”. – Chodźmy – powiedziała cicho. Wiedziała, co się szykuje.

Bender zeszywniał, kiedy piloci z zespołu stłoczyli się wokół tortu. Jeden z nich wysunął się przed pozostałych. Nancy uściśniła dłoń Bendera.

– Naprawdę powinniśmy już iść – szepnęła. Jej mąż jednak ani drgnął.

Pilot podziękował przybyłym i prawą ręką zadał tortowi cios karate, przeciwnając go na pół.

– Hejaaa! – wrzasnął przy tym.

– Chodźmy – rzekł Bender. Masakrowanie tortu było tradycją, której nienawidził. Gdyby dostał czwartą gwiazdkę i stanął na czele lotnictwa wojskowego na obszarze USA, z pewnością natychmiast zakazałby jej kultywowania.

Szli w milczeniu do samochodu.

– Całkiem długo rozmawiałam z panią prezydent – powiedziała w końcu Nancy.

– Prawie się boję o to pytać – odparł.

– Och, gadałyśmy głównie o babskich sprawach. Ona nie wiedziała, że mamy córkę, która służy w lotnictwie wojskowym. – Bez odpowiedzi. – Cholera – zdenerwowała się w końcu Nancy – dlaczego zawsze przybierasz taką kamienną maskę?

Żebyś choć raz rzucił przy mnie mięsem. – W ten sposób starała się zwrócić na siebie jego uwagę.

– O co chodzi? – zapytał wyrażony z zadumy.

– Zachowuj się przy niej jak człowiek. To ci pomoże. Kobiety lubią, jak się je traktuje mniej sztywno i oficjalnie.

– Ona jest moją zwierzchniczką – mruknął – a nie przyjaciółką.

Nancy westchnęła. Wątpiła, czy jej mąż w ogóle pojął, co miała na myśli. Zmieniła zatem temat.

– Ona w prywatnej rozmowie wydaje się dużo sympatyczniejsza niż w telewizji.

– Naprawdę?

Nancy stwierdziła, że z tej dyskusji nic nie wyjdzie. Przypominała sobie wydarzenia minionego dnia. Znała męża aż za dobrze i wiedziała, że nie zwróci on uwagi na Madeline Turner jako na kobietę. Zdawał się nie dostrzegać wielu atrakcyjnych niewiast. Ale Nancy obawiała się, że kariera Roberta załame się nagle, jeśli nie wyrwie się on z Białego Domu i nie powróci do czynnej służby w lotnictwie.

Pentagon

– Przykro mi, że przerwałem panu niedzielny wypoczynek – powiedział generał Wayne Charles, szef sztabu sił powietrznych, gdy Bender wszedł do jego biura. – Szybko udało się panu tu dotrzeć.

Bender zdjął płaszcz. Był niedzielny poranek po Świątce Dziękczynienia, a ulice Waszyngtonu świeciły pustkami.

– W taki dzień o piątej rano ulice nie są zbyt tłoczne.

– Chodźmy więc porozmawiać z szefostwem – rzekł Charles. Ruszył do drzwi i poprowadził Bendera ku sali konferencyjnej zajmowanej przez komitet szefów sztabów. – Przewodniczący jest w kiepskim humorze – ostrzegł.

Overmeyer ściągnął brwi na ich widok. Tak jak poprzednim razem, kiedy był tu Bender, komitet szefów sztabów zebrał się w komplecie. I co teraz? – zastanawiał się Bender. Charles wskazał mu krzesło przy przeciwległej ścianie. Nim jednak Bender zdążył usiąść, do sali wszedł sekretarz obrony John Weaver Elkins. Obecni generałowie i admirał wstali. Elkins był szczupłym, delikatnym facetem w typie naukowca; Benderowi przypominał bibliotekarza.

– Panowie – zaczął Elkins – zakładam, że wszyscy wiecie już o Korei?

Zebrani, z wyjątkiem Bendera, skinęli głowami i usiedli.

– Cóż – podjął Elkins – wygląda na to, że Chińczycy i południowi Koreańczycy zamierzają wydać jutro rano wspólne oświadczenie.

Południowi Koreańczycy! – zdumiał się Bender. Jakie oświadczenie?

– Generale Bender – zwrócił się do niego Elkins – jak zamierza zareagować Biały Dom?

– Przykro mi – odparł Bender – ale nie zostałem wprowadzony w szczegóły. Overmeyer pochylił się i wbił w niego spojrzenie.
– Chińczycy i Koreańczycy zamierzają w poniedziałek podpisać pakt o współpracy wojskowej i ekonomicznej.

Pierwsze słyszę! – pomyślał Bender.

– Zbiegnie się to w czasie z uroczystościami z okazji setnego dnia prezydentury pani Turner – powiedział. – Ta niespodziewana wiadomość z pewnością wywoła w Białym Domu wielkie zamieszanie.

– To zaskoczenie dla nas wszystkich – oznajmił Overmeyer. – Cholerne CIA. Wywiad wojskowy dowiedział się o wszystkim dopiero ubiegłej nocy. I tylko dzięki naszej tajnej komórce wywiadowczej wiemy dzisiaj o tych planach.

– A zatem CIA nie uzyskało informacji o zamierzeniach Chińczyków? – spytał szef operacji morskich.

– Najwyraźniej nie – rzekł Overmeyer. – Nie ma o tym ani słowa w codziennym raporcie dla prezydent, mimo że CIA zwróciło na Chiny szczególną uwagę po sprawie tajwańskiej.

Co się właściwie dzieje? – głowił się Bender. Przecież wystarczy podnieść słuchawkę telefonu specjalnej linii i zadzwonić do Białego Domu. A może wojskowi nie mają już bezpośredniego dostępu do pani prezydent? Czy to znowu sprawa Shawa?

Bender zorientował się nagle, że wszyscy na niego patrzą.

– Generale Bender – odezwał się Elkins – chcemy, żeby poinformował pan panią prezydent. Jeszcze dziś.

Bender musiał zdusić pytanie: „Dlaczego ja?” Zdołał się opanować i powiedzieć względnie spokojnie:

– Nadal nie znam szczegółów sprawy.

Elkins wstał i zaczął przechadzać się po sali jak profesor, który powoli i z rozmysłem oświeca studentów na wykładzie:

– Pomimo licznych problemów Chińczycy z powodzeniem wchłonęli Hongkong po jego przejściu w 1997. Teraz kontrolują Tajwan, również radząc sobie z kłopotami. Zawierając pakt z Koreą Południową zabezpieczają północną flankę dla planowanej ekspansji na Pacyfiku. Dzięki temu będą w stanie rzucić wyzwanie Japonii i zdobyć dominację na całym Dalekim Wschodzie. Chińczycy uważają, że Ameryka to kolos na glinianych nogach, kierowany przez słabą, niezdecydowaną kobietę. I po części muszą im przyznać słusność. Prezydent Turner rzeczywiście nie działa zbyt stanowczo. Zawarcie paktu w setnym dniu sprawowania przez nią urzędu będzie dla Turner silnym ciosem. Świat oczekuje od Ameryki przywództwa, a tymczasem nie wywiązujemy się z tej roli. I Chińczykom bardzo to odpowiada. – Elkins usiadł, jakby wyjaśnił już wszystko.

– Niemniej nadal nie rozumiem, dlaczego to ja mam przekazać tę informację prezydent Turner – zaoponował Bender.

Overmeyer prychnął.

– Bo ona pana wysłucha. Na mnie nie chce nawet patrzeć.

– Ani na mnie – dodał Elkins.

Bender rozejrzał się po sali.

– Domyślam się, że chodzi o coś jeszcze.

Elkins znowu wstał.

– Dziękuję, panowie. – Wszyscy generałowie opuścili pomieszczenie.

– Generał Charles dopowie panu resztę – powiedział Benderowi Overmeyer, wychodząc za Elkinsem z sali. Narada dobiegła końca.

W gabinecie Charlesa Bender dał upust swemu wzburzeniu:

– Nie podoba mi się to, generale.

Charles uniósł brew, zdziwiony tym niespotykanym wybuchem Bendera.

– A cóż takiego?

– Dyrektor CIA, sekretarz obrony, przewodniczący... Wszyscy oni mają bezpośredni dostęp do pani prezydent. To na nich spoczywa obowiązek przekazywania takich informacji, nie na mnie.

– Pańskie zadanie sformułowaliśmy chyba jasno, prawda? – powiedział Charles. – Proszę usiąść i posłuchać, a dowie się pan o kilku podstawowych faktach. Po pierwsze, Turner wydała oficjalne rozporządzenie rozwiązujące naszą komórkę wywiadowczą. Po drugie, wcielamy jej dyrektywę w życie. Ale nie da się odwołać wszystkich operacji wywiadowczych ot tak, jednym podpisem na dokumencie. Trwa to miesiące, nawet lata, a przez ten czas meldunki nadal napływają. Ilu polityków potrafi to jednak zrozumieć? Po trzecie, ona z pewnością zapyta o źródło pańskich informacji. Po czwarte, powie jej pan prawdę. Ma ją pan przekonać, że istotnie zwijamy działalność wywiadu wojskowego.

– Mogliby ją o tym równie dobrze przekonać Elkins i generał Overmeyer – zareplikował Bender.

– Poważnie w to wątpimy – odparł Charles. – Skieruję pana teraz do chłopców z naszego wywiadu, a oni zapoznają pana z detalami.

Bender wziął płaszcz i wyszedł, kierując się na dół, ku podziemnym kondygnacjom budynku. Przez następną godzinę rozmawiał z pułkownikiem wojsk lądowych, który od sześciu lat nie nosił munduru, a od trzech się nie golił. Potem Bender znalazł się na parkingu, przy swoim aucie. Zaklął w myślach: „Pieprzyć to!” Nie miał wątpliwości, że znalazł się w ogniu biurokratycznej przepychanki pomiędzy Pentagonem, CIA i Białym Domem. Tylko patrzeć, jak wmisza się w to wszystko Kongres i powstanie ogólne zamieszanie.

Ta specyficzna wojna będzie bezwzględna i bezpardonowa.

Waszyngton

Asystent przyniósł do gabinetu Shawa niedzielne wydanie poranne gazety „Washington Post”, a tuż za nim wszedł Bender. Asystent wysłuchał bez komentarza słów Bendera, który stwierdził, że musi się widzieć z panią prezydent. Zapadło długie milczenie.

– O co chodzi? – zapytał w końcu Shaw.

- Sprawa dotyczy bezpieczeństwa narodowego – odpowiedział Bender.
- Proszę konkretniej.
- Związana jest z Chinami i Koreą Południową.

Asystent wziął do ręki gazetę. Według niego Bender stał zbyt nisko na drabinię władzy, aby mógł przekazywać wieści o tak ogromnym znaczeniu.

- To może zaczekać do poniedziałku.
- Chcę rozmawiać z panem Shawem.
- On nie życzy sobie, by mu przeszkadzano – stwierdził asystent, wertując gazetę.

– Przepraszam, że zawracałem panu głowę – rzucił wściekle Bender. Wrócił szybkim krokiem do swego biura, wzburzony i sfrustrowany. Mimo woli dołączył do gry o władzę, jaka toczyła się w Waszyngtonie. Liczyły się w niej trzy rzeczy: pieniądze oraz dostęp do informacji i decydentów. Asystent Shawa właśnie zdemontował Benderowi swoją nieformalną władzę, nie pozwalając mu się spotkać z Turner i Shawem. Do tej pory Bender musiał zjawiać się na każde gwizdnięcie tych dwojga. Teraz, gdy sam miał pilną sprawę, drzwi były dlań zamknięte. Czuł się kompletnie bezradny. Martwił się, jak przekaże Overmeyerowi, że nie udało mu się wypełnić swej misji. Spojrzał na zegarek: ósma dziesięć rano. Zwłoka mogła oznaczać katastrofę.

Usiadł i zaczął się wpatrywać w zdjęcie lotniczego zespołu akrobatycznego na ścianie swojego biura. Jak zwykle podziałało to kojąco na jego nerwy.

– Cześć – odezwała się nagle Sarah Turner. Stała w progu, miała na sobie śliczną sukienkę.

– Co cię tu sprowadza? – zapytał Bender.

– Ważne sprawy – odpowiedziała siadając na krześle. – Nie chcę iść do kościoła. To takie nudne. Dlaczego pan pracuje w niedzielę?

Przez moment zastanawiał się, czy nie uczynić z Sarah swego posłańca, ale szybko odrzucił ten pomysł. Czuł, że paśowieje. Co się ze mną dzieje? – myślał, zawstydzony, że coś takiego w ogóle przyszło mu do głowy.

– Dlaczego się pan zaczerwienił? – spytała dziewczynka.

– Moi rodzice też kazali mi chodzić do kościoła, gdy byłem w twoim wieku. Początkowo tego nie znosiłem, ale wkrótce zacząłem się przyglądać ludziom na mszy. Pamiętam pewną kobietę, która zawsze płakała, i mężczyznę zbierającego pieniądze na tacę.

– Nie żartuje pan?

Bender uśmiechnął się.

– Nie żartuję.

Mała zeskoczyła z krzesła i wybiegła przez drzwi.

– Cześć – zawołała na pożegnanie.

W progu pokazali się natomiast Wayne Adams, agent, którego Shaw o mało nie wylał z pracy, i Chuck Sanford. Adams spojrzął za Sarah i powiedział coś do mikrofonu w mankiecie. Potem zwrócił się głośniej do Bendera:

– Panie generale, chciałem podziękować za to, co pan zrobił. Dzięki panu nie straciliśmy roboty.

– Całe to zamieszanie wynikało przecież przede mną.
– Mimo to – odrzekł Adams – niewielu tutaj postawiłoby się Shawowi... Podobno chce się pan widzieć z panią prezydent.

– To prawda – powiedział Bender – ale nie mogę dotrzeć do Shawa. – W jego głosie pobrzmiwał sarkazm. – On nie życzy sobie, żeby mu przeszkadzano.

– W niedzielne poranki zawsze ktoś obciąża mu druta – wyjaśnił Adams. Spodziewał się, że Bender zapyta go, kim jest owa dama od miłości francuskiej, jednak gdy generał się nie odzywał, sam zapisał mu numer telefonu na kartce papieru. – Proszę spróbować tam zadzwonić. Ale ja panu nie podałem tego numeru.

Po wyjściu Adamsa Bender zerknął na kartkę i wykreślił numer. Słuchawkę podniesiono już po pierwszym sygnale:

– Tu Kennett – odezwał się wiceprezydent.

* * *

Wayne Adams i Chuck Sanford rozmawiali w pokoju W-16, czyli w centrali agentów ochrony Białego Domu, gdy odebrali meldunek, że przez zachodnią bramę wjechał Shaw.

– Jest nieźle podminowany – poinformował strażnik z zewnątrz. – Lepiej wyjdźcie po niego na parking.

– Jasne – odrzekł Adams. – Gdzie prezydent?

– W swoim prywatnym apartamencie – rzucił Sanford. Razem wybiegli z pomieszczenia znajdującego się bezpośrednio nad Gabinetem Ovalnym. Potem rozdzielili się, aby pilnować Shawa wchodzącego do Białego Domu. Adams rzucił do mikrofonu:

– Oto gość, który zaraz zwariuje z powodu hemoroidów.

– Albo dostanie zawału.

– Zawsze można mieć nadzieję.

Shaw nie zauważył Sanforda stojącego w drugim końcu korytarza i zapukał do drzwi apartamentu Turner na piętrze. Wziął głęboki wdech, by się uspokoić. Jego twarz i głos nie zdradzały ani śladu wzburzenia, gdy otworzył drzwi.

– Pani prezydent – powiedział – chyba nie chce pani, żebyśmy się zaharowali na śmierć?

Jakim cudem dotarł do niej ten Bender? – zastanawiał się. Tak czy owak, popełnił ciężki błąd. Zapłaci za próbę zlekceważenia Patrica Shawa.

Obrzucił spojrzeniem niewielki pokój. Turner siedziała na ulubionej kanapie i rozmawiała z Benderem. Drgnął na widok Sama Kennetta zajmującego jego, Shawa, miejsce naprzeciw pani prezydent. Sam Kennett nie wyglądał na swoje czterdzieści dwa lata. Miał ciemnorude, średniej długości włosy, niebieskie oczy i szczupłe, wysportowane ciało. Kto zaalarmował Kennetta? Kochanka, a może kochanek? Gdyby tak było, Shaw miałby na niego haka.

Shaw nalał sobie kawę do filiżanki i nagle zdał sobie sprawę, że nadal bije od niego woń damskich perfum. Wewnętrzny głos ostrzegł go, że szykuje się ciężka niedziela.

– Za pół godziny spotykam się z Radą Bezpieczeństwa Narodowego – wyjaśniła mu Turner.

Shaw usiadł obok Kennetta, opuścił podbródek na pierś i przygryzł dolną wargę – w ten sposób zwykł naśladować Winstona Churchilla.

– Nie miałem pojęcia, że sytuacja jest kryzysowa.

– Generale – Turner zwróciła się do Bendera.

Bender zwięźle powtórzył to, czego dowiedział się o przygotowywanym pakcie chińsko-południowokoreańskim. Niech to szlag trafi, zaklął w myślach Shaw. Dlaczego CIA to przeoczyło? Miał do wyrównania pewne rachunki z dyrektorem Centralnej Agencji Wywiadowczej.

– Zdaje się, że nasi agenci z CIA znowu się nie popisali – stwierdził. – Skąd pan się o tym dowiedział?

– Za sprawą informatorów Pentagonu – odpowiedział Bender.

– Tych wariatów z piwnicy – mruknął Shaw. – Myślałem, że położyliśmy im szlaban.

– Organizacja jest w trakcie likwidacji – wyjaśnił Bender – ale to wymaga czasu. Shaw parsknął:

– Brednie.

– W obecnej sytuacji – odezwał się wiceprezydent – nie ma sensu podważać wiarygodności informacji zdobytych przez Pentagon. Skupmy się na samym problemie. – Shaw nie zareagował, a Kennett podjął: – Musimy wysłać Chińczykom memorandum. Powinniśmy sformułować bardzo jasno, że nie będziemy tolerowali podobnej polityki.

– Sprawę komplikuje pakt pekiński – powiedziała Turner.

Kennett zerknął z niepokojem na Shawa, a potem na Bendera.

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– Generale... – Turner ponownie zwróciła się do Bendera. Bender powiedział wszystko, co wiedział o układzie zawartym przez zmarłego prezydenta Roberta z Chińczykami w kwestii Tajwanu. Shaw uzupełnił, że w jego sejfie znajdują się zeznania i podania o dymisję złożone przez sekretarza stanu oraz doradcę do spraw bezpieczeństwa.

– O mój Boże – odezwał się cicho Kennett. – No to mamy prawdziwe kłopoty.

– Jak to? – zagadnął Shaw.

– Chińczycy usiłują powtórzyć historię Mau-Mau – rzekł Kennett. Shaw drgnął. Kennett przywołał wspomnienie krwawego powstania w Kenii z końca lat pięćdziesiątych dwudziestego wieku. Wiceprezydent podjął: – W momencie, gdy na serio postawimy się Chińczykom, oni powiedzą światu o zawartym pakcie. W ten sposób nasza administracja utraci resztki wiarygodności, a Kongres dobierze nam się do skóry za przehandlowanie Tajwanu.

– Co miał pan na myśli mówiąc o „resztkach naszej wiarygodności”? – zapytała Turner.

Kennett wstał i podszedł do okna.

– W większości państw panuje pogląd, że pogrążyliśmy się w izolacjonizmie i zajęliśmy rozwiązywaniem problemów wewnętrznych kosztem naszych między-

narodowych zobowiązań. – Zrobił efektowną pauzę i dodał. – Ja podzielam ów pogląd.

Ten chłopczyk cierpi na chroniczną głupotę, pomyślał Shaw. Maddy nie pozwoli na takie gadanie. Kennett kręci sobie powróż na własną szyję.

– Co więc, pańskim zdaniem, powinnam uczynić? – spytała Turner. Powiedziała to głosem zimnym, surowym, całkowicie wyzutym z emocji.

– Wypowiedzieć pakt pekiński – odrzekł Kennett – i nastraszyć Koreę Południową.

– Łatwo rzucać takie propozycje – mruknął Shaw.

Kennett uśmiechnął się nieznacznie.

– Musimy spowodować przeciek do mediów. Przede wszystkim chodzi o ogłoszenie rezygnacji Murchisona i Rawlingsa, oczywiście ze stosowną datą. Potem dyskretnie ujawnić prasie prawdziwy powód: pakt pekiński. Tylko szybko, żeby bomba gruchnęła w popołudniowych wiadomościach. Jeśli się pospieszymy, dziennik „Sixty Minutes” szybko rozdmucha historię.

– Zbyt prostolinijna taktyka – stwierdził Shaw. – Uderzy w nas jak bumerang.

Kennett pokręcił przecząco głową.

– Nie, na ile znam Murchisona. Będzie próbował usprawiedliwić rolę, jaką odegrał przy zawieraniu porozumienia, twierdząc, że był to ważny krok na drodze do osiągnięcia pokoju i bezpieczeństwa na świecie; a przy okazji przedstawić sprawę jako największe osiągnięcie krótkiej prezydentury Roberta. Żaden reporter się na to nie nabierze. Prasa uzna, że Murchison usiłuje się wybielić. Dziennikarze zwrócą się więc do nas, a my powiemy im prawdę. Dowiedzieliśmy się o tajnym porozumieniu długo po fakcie... za późno, żeby cokolwiek zrobić. Reporterzy dojdą do wniosku, że Murchison stara się wykorzystać prasę do ratowania resztek własnej reputacji, a my będziemy czyści. Tymczasem CIA podsunie południowym Koreańczykom kopię paktu pekińskiego. Ci nie będą już tacy chętni do podpisania układu, kiedy zobaczą, że znaleźli się w chińskiej strefie wpływów i mogą zostać wchłonięci tak samo jak Tajwan.

Shaw szybko zdał sobie sprawę, że Kennett jest w istocie bardzo chytrym graczem. Zaśmiał się głośno.

– I wtedy my zagnamy Chińczyków do narożnika.

– Nie wystarczy samo straszenie Chin – stwierdził Bender. Obecni spojrzeli na niego. – Chińczycy uprawiają konsekwentną, twardą politykę międzynarodową. Wszelkie ich rachuby wynikają z chłodnej oceny stosunku sił i interesów. Teraz uważają Amerykę za papierowego tygrysa, więc czemu mieliby korygować strategię, jeżeli my ograniczymy się do słów? Musimy jasno im pokazać, że z nami nie pójdzie gładko.

– Co pan konkretnie proponuje, Robercie? – spytała go Turner.

No, no, generale, pomyślał Shaw. Widzę, że tym razem wchodzi pan do gry.

– Przedyskutować z doktorem Elkinsem i generałem Overmeyerem sytuację z militarnego punktu widzenia – odpowiedział Bender.

– A ściślej? – spytała Turner.

– Mogłaby pani nakazać podniesienie stanu pogotowia bojowego w naszych bazach na obrzeżach Pacyfiku – podsunął Bender. – Albo jednostek stacjonujących w kraju. Można też przeprowadzić manewry wojskowe wspólnie z Japończykami.

– Dziękuję panu, Robercie – odparła Turner. – To na razie wszystko.

W pokoju panowała cisza, dopóki Bender nie wyszedł.

– Czyje słowa on powtórzył? – zapytała pani prezydent Shawa.

– Pewnie Overmeyera – odpowiedział Shaw. – Szef połączonych sztabów nie cierpi pani i uważa, że nie ma pani pojęcia o polityce międzynarodowej.

– Naprawdę? – Turner zapłonęła gniewem, ale zaraz się uspokoiła. – Cóż, udowodnię mu, że się myli. Nie poprowadzę mojego kraju do wojny z powodu takich mrzonek.

– Pani prezydent – zabrał głos Kennett – zgadzam się z generałem Bendere i uważam, że powinniśmy rozważyć wszystkie sensowne opcje... z udziałem specjalistów z Rady Bezpieczeństwa Narodowego. Sekretarz obrony jest jej członkiem, a Overmeyer ma głos doradczy. Należy wysłuchać ich argumentów.

Zbliżała się pora spotkania pani prezydent z Radą Bezpieczeństwa Narodowego.

– Patricku – odezwała się Turner do Shawa – znajdź kogoś z prasy... Kogoś, kto nie uchodzi za naszego poplecznika.

– Mam taką osobę – zapewnił ją Shaw. Odprowadził Turner i Kennetta do gabinetu, gdzie miała się zebrać Rada Bezpieczeństwa Narodowego. Potem wrócił do swojego biura. Pomyślał: „Liz Gordon nada się do tej roli znakomicie... No a pan generał Robert Bender dostanie nauczkę, że nie warto kombinować przeciw staremu Patrickowi”... Shawowi przyszło do głowy, że ta niedziela nie okazała się jednak taka straszna.

Rozdział siódmy

Okinawa, Japonia

Generał brygady David Martini spojrzął spod ściągniętych brwi na depeszę, a potem na podpułkownika Petera Townly'ego, szefa podlegającej mu sekcji wywiadowczej.

– Mam już dosyć tych depesz, Pete. Zirytowała mnie szczególnie ta, która nadeszła wcześniej rano w poniedziałek.

– Ja ich nie układałem – oświadczył Townly. – Ja je tylko rozszyfrowałem.

– Dlaczego oni chcą – Martini zerknął na treść depeszy – abyśmy „bezwłocznie podjęli pięciodniowe ćwiczenia zmierzające do podniesienia oddziałów w stan gotowości bojowej”? Co się, u diabła, dzieje?

– Mam zgadywać? Z jakiegoś powodu naczelné dowództwo chce postraszyć Chińczyków. I właśnie my mamy być tym straszakiem.

Martini zdusił kolejne przekleństwo na temat otrzymanych depesz.

– Dlaczego akurat Chińczyków?

Townly myślał przez moment.

– Po co te tajemnice i zaszyfrowane rozkazy? Podjęcie ćwiczeń zwykle nakazuje nam kwatery główna PACAF-u – amerykańskiego lotnictwa wojkowego na Pacyfiku – w Hickam. Proszę spojrzeć na adres na depeszy. Skierowano ją tylko do pana oraz dowódców PACAF-u i PAC-u. Generale, naczelné dowództwo najwyraźniej pragnie, żebyśmy zwrócili czyjąś uwagę. A czyją uwagę możemy zwrócić? Tylko Chińczyków.

– Według ostatniej wiadomości nadanej przez szefa CIA – zauważył Martini – mamy z Chińczykami znakomite stosunki.

– To oficjalna wersja, panie generale. Oglądał pan dzienniki telewizyjne ze Stanów ostatniej niedzieli? – Martini, owszem, oglądał, teraz jednak nie odrzekł nic. Townly kontynuował: – Cóż, Liz Gordon z CNC mówiła o tym, jak to sprzedaliśmy Tajwan Chińczykom. Nie trzeba dodawać, że podziało to jak kij wsadzony w mrowisko. Myślę, że wszystko to ma ze sobą związek.

Martini miał swój rozum i już wcześniej doszedł do podobnych wniosków. O czwartej rano pragnął jednak potwierdzenia, że jego umysł pracuje należy-

cie. Zaczął rozważać problem. Cokolwiek Waszyngton próbował pokazać Chińczykom, czynił to tak, aby ich zanadto nie niepokoić.

– Co więc sądzisz o tym tak zwanym przesłaniu, jaki mamy niby przekazać Chinom? – Teraz sprawdzał swego oficera wywiadu, porównywał jego przemyslenia z własnymi.

– Jeden pułk lotniczy odbywający ostre ćwiczenia z dala od kraju? No cóż, wątpię, czy Chińczycy się przestraszą, panie generale.

Martini mruknął coś pod nosem i raz jeszcze przeczytał treść depechy.

– Hmm, wygląda to tak, jakby chciano nas wyprawić do boju.

Opuścił pomieszczenie zajmowane przez komórkę wywiadowczą i przeszedł do centrum dowodzenia znajdującego się w tym samym budynku.

– To są ćwiczenia – oznajmił kobiecie oficerowi pełniącej dyżur przy konsolce. – Alarm szkarłatny.

Oficer przełknęła ślinę. Alarm szkarłatny oznacza, że w ciągu sześciu godzin można się spodziewać ataku nieprzyjaciela. Włączyła odpowiednie przyciski i przez mikrofony postawiła bazę w stan alarmu. Zwróciła się do Martiniego:

– Panie generale, będę musiała powiadomić PACAF o czasie rozpoczęcia ćwiczeń.

Martini zerknął na ścienny zegar.

– Proszę nadać, że rozpoczęły się one przed kwadransem, o czwartej czasu miejscowego. Wielka pompa i tak nas już wessała.

Opuścił stanowisko dowodzenia, gdyż i tak nie miał tu na razie wiele do roboty; musiał czekać, aż zamelduje się u niego w komplecie jego sztab.

– Wielkie dzięki, generale – mruknęła do siebie oficer dyżurna.

Teraz Martini skierował się do baraku zajmowanego przez żandarmerię polową, aby sprawdzić, czy jego żandarmi zerwali się już na nogi i są w stanie obstać całą bazę w ciągu półtorej godziny. Żandarm w randze starszego sierżanta był już na posterunku, a jego podwładni wybiegali z arsenału sprawdzając swoją broń. Martini pokiwał głową z uznaniem. Ruszył następnie w stronę magazynu amunicyjnego. Pierwsze wózki z dwustupięćdziesięciokilogramowymi bombami Mk-82 i pociskami klasy powietrze–powietrze typu AIM-9 sunęły już ku hangarom z samolotami.

Martini podjechał jeepem pod betonowe wielkie schrony, w których tkwiły bojowe maszyny F 15E. Nie widział ludzi, dochodziły go jednak odgłosy krzątania. Generał wysiadł z wozu, gdy spostrzegł starszego sierżanta Ralpha Contreraza.

– Jak leci? – zapytał.

Contreraz nie od razu odpowiedział. Wreszcie rzucił:

– Sześć odrzutowców bierze paliwo i amunicję. Będą gotowe do lotu w ciągu trzech godzin. Po dwóch następnych godzinach przygotowujemy sześć kolejnych maszyn. Ostatnie sześć F 15E osiągnie gotowość bojową po ośmiu godzinach od tej chwili. – Martini mruknął, niezbyt ukontentowany tymi słowami. Wiedział jednak, że Contreraz nigdy nie rzucał obietnic na wiatr. Starszy sierżant wyjaśnił:

– Obsługa techniczna mieszka w kwaterach na całej wyspie. Upłynie trochę czasu, zanim wszystkich tu ściągniemy.

Zaskrzeczał radioodbiornik w jeepie Martiniego. Generała wzywano na stanowisko dowodzenia.

– Proszę wszystkiego dopilnować – polecił jeszcze Contrerasowi i pojechał do punktu dowodzenia, gdzie teraz roilo się od wyrwanych ze snu ludzi.

– Panie generale, telefon do pana z dowództwa PACAF-u na linii zabezpieczonej przed podsłuchem – oznajmił major, stając przed nim na baczność. – Przepędziłem wszystkich z okolic kabiny, może pan spokojnie rozmawiać. – „Kabina” była w istocie przeszkloną budką, z której rozciągał się widok na całą główną kondygnację punktu dowodzenia.

Martini usiadł, głęboko nabrał powietrza w płuca i wcisnął guzik urządzenia zgłaszającego ewentualny podsłuch. Dowódca PACAF-u, szef amerykańskich sił powietrznych strefy Oceanu Spokojnego, był jego bezpośrednim przełożonym.

– Tu Martini – powiedział.

Lekkie zakłócenia wywoływane przez urządzenie antypodsłuchowe nie zgłuszyły wzburzenia czterogwiazdkowego generała na drugim końcu linii.

– Mafia, właśnie wróciłem z narady dowództwa PAC-u. – Szefem PAC-u był admirał, mający pod swą pieczę wszystkie jednostki amerykańskich sił zbrojnych na Pacyfiku. – Chińczycy i południowi Koreańczycy szykują się do podpisania traktatu o wzajemnej obronie. Chcą zirytować Biały Dom.

– To nie będzie trudne – wtrącił Martini.

Generał zignorował tę uwagę i podjął:

– Musimy pokazać Chińczykom pięść i skłonić ich do rezygnacji z podobnych sztuczek. Jednak pozwolono nam tylko na postawienie twojej jednostki w stan pełnej gotowości. Prezydent nie chce „rozdrażniać Chińczyków i pogarszać sytuacji”. Zamierza wyrzucić nacisk polityczny za pośrednictwem Departamentu Stanu.

– To dopiero napędzi strachu Chińczykom – zadrwił Martini.

– Jak sam widzisz, mamy wolne rączki, ale w dybach. Masz przeprowadzić te ćwiczenia z takim hukiem, jak się tylko da. Narób szumu w okolicy, ściągnij na siebie uwagę mediów. Niech Chińczycy wiedzą, że nadal tu jesteśmy i patrzymy na nich czujnym okiem.

– I wszystko to w ciągu pięciu dni?

– Pokaż się z najlepszej strony. – Połączenie zostało przerwane. W ten sposób Martini otrzymał nieoficjalny rozkaz przygotowania się do prawdziwej wojny. Odłożył słuchawkę.

Spostrzegł to podpułkownik Pete Townly i wsadził głowę przez drzwi szklanej kabiny.

– Przerwywamy ćwiczenia? – zapytał.

Martini spojrział spode łba na oficera wywiadu.

– Townly, zrób raz coś rozsądnego i przestań mi zawracać tyłek. – W myślach dodał jednak: „Muszę się postarać, żeby ten sukinsyn dostał awans”.

* * *

Laurie Bender czuła, że obrasta brudem; nie brała prysznicą od trzech dni. Jej pilot, Chris Leland, dość podejrzanie cuchnął. Laurie przypuszczała, że od niej samej również bije niezbyt miły zapaszek.

– Kiedy to się skończy? – jęknął Chris.

– Krążą pogłoski, że dziś ostatni dzień ćwiczeń – odrzekła. Takie plotki rozpuszczał w rzeczywistości sam Martini: chciał, by jego ludzie wyciskali z siebie ostatnie poty, jak biegacz rzucający się na taśmę na linii mety.

– Boże, mam taką nadzieję. Do czego to podobne? Mieszkać w betonowym schronie obok F 15? Jak jeszcze raz spróbuję tego świństwa, które nam tu każą jeść, to się porzygam. – „Gotowa racja żywnościowa” stanowiła w tych dniach strawę pilotów, którzy kleli, że takiego żarcia, „nie tknęliby nawet wygłodniaли Etiopczycy”.

Laurie przeszła przez wielkie stalowe wrota, które zasunęły się z powrotem, gdyż cysterna z paliwem podjechała akurat pod ich samolot. Odgłos wystrzałów odbił się echem od rampy.

– Nieprzyjacieli! – zawołała Laurie. Stanowiło to część ćwiczeń. Pomogła mechanikowi odcepić wąż paliwowy, a tymczasem Chris pobiegł do wejścia. Odgłosy walki zbliżały się stopniowo. Ciemna postać przemknęła za schronem dla samolotów. Był to sierżant japońskich sił zbrojnych z bazy w Naha na południowym krańcu wyspy. Japończycy brali udział w ćwiczeniach od dwóch dni i rzucili w pobliżu jednostki Martiniego paru skoczków, aby manewry bardziej przypominały warunki panujące na wojnie. Był to też sposób na sprawdzenie, czy amerykańska baza jest dobrze strzeżona.

Do schronu wjechała ciężarówka, a stalowe wrota powoli się za nią zasuwały. Nim zamknęły się całkowicie, przez szparę wtoczył się ręczny granat. Laurie rzucała się na tę atrapę, krzyknęła i powiedziała z uśmiechem:

– Już nie żyję.

Rozległo się głośnie walenie w bramę, a jego odgłos odbił się echem w żelbetonowym wnętrzu schronu.

– Zespół ćwiczebny! – krzyknął ktoś z zewnątrz.

Chris odblokował wejście i dwóch arbitrow – amerykański kapitan i japoński porucznik – wkroczyło do środka. Tuż za nimi szedł Martini. Ledwie trzymał się na nogach ze zmęczenia.

– Sytuacja – rzucił generał.

– Kapitan Bender rzuciła się na granat – odpowiedział mu Chris.

Arbitrzy naradzili się między sobą i uznali, że Laurie ocalała resztę personelu w schronie przez śmiercią lub ranami, a samolot przed uszkodzeniem. Sama jednak straciła życie.

– Świetnie – powiedziała Laurie, myśląc już wyłącznie o prysznicu.

Martini podniósł granat.

– To mi wygląda na atrapę – warknął z ironią. – Kapitan Bender nadal żyje. Musimy zdobyć się na maksymalny wysiłek i rzucić do boju wszystko, co mamy.

– I narobić wielkiego huku? – podsunęła Laurie.

– Największego huku, na jaki nas stać – sprecyzował Martini i wyszedł.

– Generał powinien być chyba na stanowisku dowódczym? – spytała Laurie. – Nie na linii.

Kapitan z opaską rozjemcy pokręcił głową.

– Tak, gdyby żył. Generał Martini i połowa jego sztabu poniosła podczas tych ćwiczeń „śmierć”. Generał jako jeden z pierwszych.

– Kto więc kieruje tym cyrkiem? – zapytał Chris.

– Drugi garnitur – odrzekł kapitan. – Generał z pozostałymi „zabitymi” obserwuje teraz, jak sobie radzą jego żołnierze. Chodzi po całej bazie, pogania ludzi i spisuje niektóre nazwiska. Zdegradował majora z parku maszynowego za to, że ten nie rozmieścił pojazdów w różnych punktach obozu. Kompletnie oszalał.

– Było to bardzo pouczające – stwierdził japoński porucznik. Dwaj oficerowie wyszli i zamknęli za sobą stalową furtkę w zasuwanej bramie schronu.

* * *

– Pies Gończy Jeden, tu Psiarnia. Masz dołączyć do patrolu Alfa-Trzy.

Było to polecenie dla Chrisa z centrum dowodzenia.

– Tu Pies Gończy Jeden, startuję. – Rozłączył się z punktem dowódczym i pociągnął dźwignię rozrusznika; pisk i szum włączanego prawego silnika wypełnił wnętrze schronu.

– Zaczyna się – rzuciła Laurie zasuwając owiewkę.

– Gdzie, do licha, jest ta Alfa-Trzy? – spytał Chris. Laurie na prawym ekranie wyświetliła ruchomą, komputerową mapę. Alfa-Trzy był to kryptonim powietrznego patrolu bojowego operującego na północ od wyspy. Otrzymali następujące zadanie: osiągnąć wysokość dwudziestu czterech tysięcy stóp i atakować każdy nieprzyjacielski samolot, jaki znajdzie się w ich strefie. – Gdzie, do cholery, nasz skrzydłowy? – zapytał znowu Chris. Zwykle na tego typu akcje wysyłano maszyny parami.

– Pewnie samolot naszego partnera został uznany przez arbitrów za zniszczony na ziemi – domyśliła się Laurie. Kołowali na piątym pasie startowym; obowiązywała cisza radiowa. Panował półmrok i ledwie mogli dostrzec betonowy rozbieg. Wielkie czerwone płachty oznaczały leje po bombach po pozorowanym nieprzyjacielskim nalocie. – Muszę przyznać – dodała – że te ćwiczenia są wyjątkowo upierdliwe.

Ich F 15E zatrzymał się na skraju pasa. Zespół złożony z dwóch mechaników oraz dwóch specjalistów od uzbrojenia wyskoczył z rowu na ostatnią pospieszoną inspekcję samolotu przed lotem. Sprawdzili zawory hydrauliczne, stan opon i sterów. Spece od broni wbiegli pod maszynę i zdjęli ochronne osłony z zawieszonych pod skrzydłami i kadłubem pocisków raketowych klasy powietrze–powietrze. Uniesione w górę kciuki oznaczały, że wszystko w porządku. Na niewielkiej wieżyczce, dublującej funkcje wieży kontrolnej, zaświeciła się zielona żarówka. Przekołowali na prawy z dwóch równoległych rozbiegów bazy w Kadenie – mogli już startować. Chris włączył dopalanie i maszyna wzbiła się ku ciemniejszemu niebu.

– I co teraz, u diabła, mamy robić? – zapytał.

– Leć nad obszar, jaki mamy patrolować. Musimy tam krążyć, póki nie wydadzą rozkazu tankowania w powietrzu albo nie odwołają nas do bazy. Raczej nie wykonają na nas pozorowanego ataku. Szef wie, że wszyscy jesteśmy wykończeni i nie będzie wystawiał ludzi na ryzyko ewentualnego wypadku.

Myliła się. Zastępca dowódcy dywizjonu, który znajdował się na stanowisku systemów radarowych, natychmiast wysłał ku nim „wrogi” samolot. Zainstalowana na F 15 Chrisa i Laurie stacja radiolokacyjna szybko wykryła inną maszynę o sześćdziesiąt mil na północ od ich pozycji. Chris natychmiast skierował odrzutowiec w tamtą stronę, lecz po chwili kazano im zawracać.

– Cholera – zaklął Chris – nie znoszę takich fałszywych alarmów.

– To był i tak samolot pasażerski – wyjaśniła mu Laurie. Mieli trzymać się z dala od szlaków wykorzystywanych przez cywilne linie lotnicze.

Powrócili do swej strefy; przez następną godzinę penetrowali opustoszałe niebo.

– Do diabła – jęknął Chris. – Tu nie ma innych odrzutowców.

Laurie również była sfrustrowana.

– Połączmy się z Psiarnią i zorientujmy się, co jest grane. – Nastawiła radio-nadajnik na częstotliwość punktu dowodzenia. – Psiarnia, tu Pies Gończy Jeden.

– Słucham, Psie Gończy Jeden.

– Kiedy możemy się spodziewać rozkazu powrotu do bazy?

– Oba pasy startowe nieczynne.

– Oba pasy startowe? – rzucił rozpaczliwym głosem Chris.

W Psiarni dyspozytor wyczuł frustrację pilota i dodał:

– KC 135 doznał uszkodzeń podczas lądowania. Maszyna przekezołkowała i znalazła się na drugim pasie. Teraz usuwamy jej szczątki. Wkrótce pas numer pięć będzie zdalny do użytku.

– Zabrzmiało to całkiem realnie – powiedziała Laurie.

– Cholera! – warknął Chris.

Po upływie kolejnych siedemdziesięciu minut otrzymali wreszcie zezwolenie na powrót na lotnisko. Chris przy znacznej prędkości, dochodzącej do jednego macha, zaczął schodzić do lądowania. Zzerał go klasyczny przypadek tęsknoty za domem.

– Mamy mnóstwo czasu – ostrzegła go Laurie. – Wyląduj w sposób przepisowy.

– Nie ma problemu – odrzekł Chris. Zmniejszył ciąg silników i wywołał wieżę kontrolną.

– Zezwolenie na skierowanie się ku lotnisku; przyjęty wstępny meldunek – odpowiedziano z wieży. Chris i Laurie zobaczyli przed sobą bazę rozświetloną niczym świąteczna choinka.

– Co za cholera – mruknął pod nosem Chris. – Jak długo jeszcze będą trwały te przekłete ćwiczenia? – Przeleciał nad punktem odległym o pięć mil od lotniska. – Tu Pies Gończy Jeden, podchodzenie do lądowania.

– Wykonać nawrót – odpowiedziała wieża. Było to typowe polecenie, by załoga zatoczyła w powietrzu koło przed zejściem nad pas startowy.

– Zrozumiałem – przekazał przez radio Chris i położył maszynę na prawe skrzydło. W ten sposób popełnił podstawowy błąd. Mieli lądować na lewym pasie i w związku z tym Chris powinien był skrócić w lewo. Czuł się zmęczony.

Na wieży natychmiast zauważono to uchybienie.

– Powtórzyć – zakomenderowano. – Zatoczyć łuk w lewo nad pasem piątym. Zredukować ciąg silników.

- Gotowi do lądowania – powtórzył Chris.
- Przyspiesz trochę – rzuciła mu Laurie. – Teraz nalatujemy zbyt wolno.

Chris nie odpowiedział i wykonał nakazany przez kontrolę lotów zwrot. Zmęczenie jednak dawało mu się we znaki, więc przyspieszył go nieco w lewo. Zaczął wyrównywać maszynę i jednocześnie zwolnił jeszcze bardziej. F 15 zbyt ostro pikował nad lotniskiem, jakby wykonywał nalot bojowy. Laurie zerknęła na prędkościomierz.

– Zróbmy jeszcze jeden nawrót – powiedziała, kiedy zorientowała się, że jej pilot źle podchodzi do lądowania.

– Nie ma cholernego pro-ble-mu – rzucił cicho Chris, zdecydowany, by jednak wylądować teraz, pomimo nieudanego podejścia. Próbował wyrównać lot operując mocą obu silników i znaleźć się dokładnie nad linią namalowaną przez środek pasa.

– Chris – powtórzyła Laurie. – Wykonaj jeszcze jeden zwrot.

W tym samym momencie pilot kontrolujący operację lądowania z wieży kontrolnej rzucił przez radio:

– Pies Gończy Jeden, powtórz nawrót. – Z wieży dojrzano mimo ciemności, że Chris pokpił sprawę.

Tymczasem Chris zwiększył moc silników. Lewy silnik zareagował właściwie – zwiększeniem ciągu – ale w prawym nastąpiła blokada kompresora. Kabina zadrażała od nagłego wstrząsu. Odrzutowiec rzuciło na prawe skrzydło. Samolot nadal schodził z dużą szybkością pod znacznym kątem ku ziemi. Chris i Laurie krzyknęli jednocześnie:

– Katapulta!

Laurie błyskawicznie pociągnęła dźwignię katapulty na prawo od siebie. Owiewka kabiny wystrzeliła w górę, a fotel Laurie wyrzuciło z wielką siłą, powodując przeciążenie rzędu jedenastu g.

F 15 pomknął skosem ku podłożu, a Laurie już teraz spadała, bo wypaliły się rakietowe silniczki jej fotela. Chris szamotał się nadal w kabinie, kiedy F 15 uderzył o ziemię i zamienił się w jednej chwili w ognistą kulę. Spadochron Laurie nie rozwinął się; fotel, do którego była przymocowana pasami, uderzył o grunt, odbił się odeń i przeleciał ślizgiem po trawie trzysta jardów, lądując na drucianej siatce otaczającej teren bazy.

* * *

David Martini siedział samotnie w swym biurze, kiedy wszedł jego zastępca w randze pułkownika. Martini wstał i zaczął się przechadzać po pomieszczeniu. Ostrzegł pułkownika, że rozmowa będzie bardzo krótka.

– Będzie pan działał jako szef ekipy dochodzeniowej, póki nie zjawi się ktoś wyznaczony specjalnie do przeprowadzenia śledztwa w sprawie wypadku. Proszę to rozgryźć, ustalić, co się, do jasnej cholery, wydarzyło. Nie chcę już z panem gadać o tej sprawie. Kiedy zjawi się komisja, wyjawi jej pan wszelkie szczegóły.

– Tak jest – powiedział pułkownik.

– Jeszcze jedno – dodał Martini. – Kapitan Leland był marnym pilotem i latał wskutek decyzji podjętej osobiście przeze mnie. Proszę poinformować o tym komisję i umieścić stosowną informację w dokumentach określających przyczynę wypadku.

Pułkownik milczał. Martini był gotów przyznać się oficjalnie, że to jego niedopatrzenie mogło spowodować katastrofę. Jeśli to się potwierdzi... Martini stał na szale całą swoją karierę.

– Chyba nie ma sensu popełniać podobnego harakiri... – powiedział w końcu pułkownik.

Martini uderzył pięścią w blat. Mocno.

– Rzeczywista przyczyna tego wypadku zostanie określona jasno, bez niedomówień i basta.

– Rozumiem, panie generale – odparł pułkownik. Zsalutował i odwrócił się, aby wyjść.

– George – zatrzymał go Martini – chcę znać prawdę.

Pułkownik skinął głową i wyszedł. Martini usiadł ciężko w fotelu i zgarbił się nad blatem biurka. Wsparł się na łokciach i zaczął rozmasowywać obolałą pięść, gapiąc się przy tym w ścianę.

Waszyngton

– Generale Bender – powiedział portier pracujący w Białym Domu, rozglądając się po niewielkim gabinecie w podziemiach. Zastanawiał się, jak można pracować w takim ciasnym, ponurym pomieszczeniu. W końcu doszedł do wniosku, że Bender, jak i inni w Białym Domu, gotów był znosić wszelkie niewygody jako cenę tego, że pozostaje w samym sercu władzy. – Pani prezydent życzy sobie widzieć pana w Gabiniecie Ovalnym.

Po co te formalności? – pomyślał Bender. Zwykle dzwoniła do niego sekretarka i Bender zaraz udawał się na górę. Teraz ruszył po schodach za portierem. Zapukał, odczekał chwilę i dopiero potem otworzył drzwi Gabinetu Ovalnego. Od razu wyczuł, że coś jest nie tak. Prezydent natychmiast wstała i wyszła zza biurka.

– Proszę – powiedziała, wskazując miejsce na kanapie. Po chwili usiadła obok Benders.

– Generale, obawiam się, że mam dla pana złe nowiny. – Spojrzała na niego, a w jej oczach zalśniły łzy. – Właśnie telefonował generał Charles... Pańska córka uległa wypadkowi.

Bender drgnął. Laurie nie żyje? Laurie, jego jedyne dziecko. Kiwnął powoli głową, a słowa Turner odbijały się echem w jego mózgu. Zrobiło mu się ciemno przed oczami. Walczył z ogarniającą go rozpaczą; czuł się tak, jakby balansował na skraju głębokiej przepaści. Po chwili nieco się opanował. ... Co ona powiedziała?

– Proszę mi wybaczyć, pani prezydent, nie dosłyszałem... – Słowa uwieźły mu w gardle. Poczul rękę Turner na wierzchu swojej dłoni.

– Robercie, tak mi przykro. Gdybym mogła coś dla pana zrobić...

Nagle zapragnął dowiedzieć się wszystkiego, ze szczegółami. Po prostu musiał poznać prawdę.

– Co się wydarzyło?

– Wiem tylko tyle, że doszło do wypadku lotniczego w bazie powietrznej w Kadenie. – Przerwała szukając właściwych słów. – Robercie, ja... – Znowu się zawahała; trudno jej się było przemóc. – Ja zaaprobowałam te ćwiczenia. Gdybym wiedziała, że służy tam pańska córka... – Gdyby wiedziała, to co? Co by zrobiła? Podjęłaby inną decyzję?

Jej słowa zdawały się nie mieć sensu, a dłoń na jego dłoni płonęła jakby w gorączce. Bender spojrział na nią, dostrzegając szczery ból na obliczu Madeline Turner.

– To nie pani wina – orzekł. – Trzeba podejmować ryzyko. Ja... – Głos mu zdrzął, lecz po chwili podjął pewniej: – Ja sam informowałem żony o śmierci ich mężów... w służbie dla kraju.

Wtedy się załamał i ukrył twarz w dłoniach. Chciał jeszcze coś powiedzieć, lecz zabrakło mu słów. Wyciągnął chusteczkę i dotknął nią oczu, walcząc z napływającymi łzami.

– Rozumiem – powiedziała.

Słowo to podziałało na niego jak trzask bicia. Niczego nie rozumiała. Odzy-skał opanowanie.

– Dziękuję za troskę, pani prezydent. – Wstał. – Muszę zawiadomić żonę. Turner również wstała.

– Bardzo chciałabym coś dla pana zrobić.

– Gdyby Laurie mogła zostać pochowana w kraju... W Arlington.

– Oczywiście – przyrzekła. Odprowadziła go do drzwi. Chciała jeszcze coś dodać, ale wszelkie słowa byłyby nie na miejscu. Patrzyła za Benderem, jak sztywny i wyprostowany odchodzi korytarzem. Zamknęła drzwi i wróciła do biurka. Nie usiadła jednak, tylko spojrzała za okno na dąb zasadzony niegdyś przez Dwighta Eisenhowera.

– Och, Robercie – szepnęła. – Tak mi przykro.

Arlington, Wirginia

Bender podjechał powoli pod cmentarz wojskowy w Arlington i zostawił wóz na południowym krańcu parkingu. Mogli podjechać pod samą kaplicę pogrzebową, ale Nancy rozumiała, że Robert chciał zaczerpnąć powietrza. Zerwał się zimny, grudniowy wiatr; smagał przybyłych i rozganiał chmury na niebie.

Minęło dwanaście dni od wypadku i wyrażonego przez Bendera życzenia, by sprowadzono do kraju zwłoki córki. Upłynęły one na powiadamianiu rodziny,

czynieniu niezbędnych przygotowań do pogrzebu, zajmowaniu się wszystkim, co tylko mogło stłumić przytłaczający smutek.

Usłyszawszy najgorsze Nancy rozplakała się, lecz szybko otarła łzy chusteczką i opanowała rozpacz. Była żoną generała i zachowywała się tak, jak przystało na małżonkę wojskowego. Żale i lamente odłożyła na później.

– Pamiętasz, kiedy przyjechaliśmy tu po raz pierwszy? – spytała teraz. – Laurie chciała zobaczyć grób prezydenta Kennedy’ego.

– Miała napisać o tym wypracowanie w szkole – powiedział Bender. – W końcu napisała o ciszy.

Nancy wsunęła mężowi rękę pod ramię. To wspomnienie pomagało im odzyskać spokój.

– Bo też panowała tu cisza.

– Zawsze miała oryginalne spojrzenie na wiele spraw – powiedział powoli. – Czasami bardzo mnie to niepokoiło. Zastanawiałem się, czy ona da sobie radę w rzeczywistym świecie. Potem się z tym pogodziłem.

– Laurie świetnie sobie radziła na co dzień, tylko ty tego nie dostrzegałeś.

– Tak, wiem... Wiem – przyznał.

– Chciała być taka jak ty – powiedziała Nancy. – Pamiętasz, jak wracałeś do domu po zakończeniu sezonu pokazów lotniczych? Wszyscy sąsiedzi się schodzili, żeby cię powitać.

– Pamiętam, że nosiłaś wtedy kuse spódniczki.

– A czego oczekiwałeś? Przez siedem miesięcy w roku byłam słomianą wdówką, gdy ty występowałeś z „Thunderbirdami”, i chciałam ci się podobać.

– Byłaś najbardziej niecierpliwą z wszystkich żon pilotów zespołu.

Ujęła jego dłoń.

– Ale wiernie na ciebie czekałam, nie zapominaj o tym. – Spojrzała w niebo, jakby szukając tam wspomnień. – Pamiętasz, jak Laurie wybiegała ci naprzeciw i padła ci w ramiona?

– Rzucała się na mnie niby jakiś dzikus.

– I zawsze się upierała, że wniesie do domu twoją walizkę.

– Była dla niej zbyt ciężka.

– Jak ją wlokła przez parking...

– Pamiętam – potwierdził; ból zelżał odrobinę.

Weszli do kaplicy i podeszli ku pierwszemu rzędowi ławek. Usiedli z prawej strony; lewą zajmowała gwardia honorowa złożona z samych oficerów. Kaplica powoli się zapełniała. Niektórzy pozostawali na zewnątrz, drżąc na mroźnym wietrze. Kapelan wszedł przez boczne drzwi i stanął za trumną.

– Witajcie, drodzy przyjaciele – przemówił.

Uroczystości pogrzebowe przebiegały wedle ustalonego, formalnego porządku, co wpłynęło kojąco na Bendera. Potem wojskowi wynieśli trumnę przykrytą całunem na oczekującą na zewnątrz lawetę armatnią, na której doczesne szczątki Laurie miały odbyć swą ostatnią drogę. Bender i Nancy szli tuż za trumną, prowadząc kondukt aż ku grobowi wykopanemu w skrzydle cmentarza. W pewnym momencie z przeciwnego kierunku nadjechało pięć czarnych limuzyn. Mężczyź-

ni w długich ciemnych płaszczach szybko zajęli stanowiska pomiędzy rzędami białych krzyży na żołnierskich mogiłach.

– Robercie? – szepnęła Nancy.

– Nie wiedziałem, że ona przyjedzie – odpowiedział.

Ze zdziwieniem spostrzegł generała Charlesa, który otworzył drzwi drugiej z limuzyn. Wsiadła z niej Madeline Turner, a Charles poprowadził ją ku wykopanemu w ziemi grobowi. Turner patrzyła bez słowa, jak oficerowie składają trumnę w dole. Wiatr rozwiewał jej włosy i smagał twarz, ona jednak nawet się nie poruszyła. Pozwalała, by chłód doskwierał jej tak samo jak pozostałym zgromadzonym.

I znów ustalony porządek ceremonii pomagał Benderowi panować nad emocjami. Gwardia honorowa ustawiła się w dwóch równych rzędach po obu stronach grobu, a tymczasem rozległ się narastający huk silników odrzutowych. To trzy F 15 z 1. Pułku Myśliwskiego z Langley w Wirginii nadlatywały od południa tworząc szyk, w którym celowo brakowało jednej maszyny. Generał Charles spojrział w górę i zaszalutował. Bender popatrzył na panią prezydent, zastanawiając się, czy ona wie, co taki szyk samolotów symbolizuje. Miał nadzieję, że tak.

Z trumny ściągnięto sztandar, który następnie złożono z wielką starannością. Potem Turner postąpiła o krok do przodu i stanęła tuż nad grobem. Sierżant uroczysto wygładził złożoną w trójkąt flagę i wręczył ją prezydent. Turner odebrała sztandar i podeszła do Bendera i jego żony. Zatrzymała się przed Nancy.

– W imieniu narodu proszę panią o przyjęcie tego skromnego hołdu, który jest wyrazem wdzięczności za poświęcenie waszej córki. – Turner przekazała Nancy sztandar. Obie kobiety stały naprzeciw siebie, a tymczasem oficerowie z gwardii honorowej oddali trzy salwy w powietrze. Wiatr poniosł echo wystrzałów. Uroczystość dobiegła końca.

– Dziękuję, pani prezydent – powiedziała Nancy. Turner odwróciła wzrok i Bender dostrzegł łzy w kącikach jej oczu. Płakała ze wzruszenia, czy też zaszklily jej się oczy z powodu wiatru? Potem Bender i Nancy odebrali kondolencje od zebranych.

Po raz ostatni pozostali sam na sam ze swoją córką.

– Ten szyk samolotów... – rzekła Nancy. – Pamiętam go z dawnych czasów.

– Gdy jeszcze latałem w zespole akrobacyjnym – powiedział.

– Byliśmy wtedy szczęśliwi.

– Choć rzadko bywałem w domu.

Wzięła go za rękę i spojrzała mu w twarz.

– Byliśmy wtedy szczęśliwi – powtórzyła. – Wszyscy troje. – Oparła głowę na jego piersi i wybuchnęła płaczem, gdy on objął ją ramionami.

Część druga

Blokada

Madeline O'Keith Turner uczy się zasad gry. W mistrzowski sposób odzyskała grunt pod nogami po katastrofie z Gwen Anderson, nominując Sama Kennetta na wiceprezydenta; w dodatku udało jej się zgrabnie ominąć dyskusję na temat sensacyjnych wieści o sprzedaży Tajwanu Chińczykom. Nadszedł jednak czas sprawdzenia, jak naprawdę wygląda sytuacja w tamtej części świata. Chiny to mocarstwo, a imperia kierują się wyłącznie własnymi zasadami.

ELIZABETH GORDON
Wiadomości CNC-TV

Rozdział ósmy

Okinawa

Dwaj mężczyźni chodzili po hangarze, krążąc między starannie pozbieranymi kawałkami wraka, ułożonymi w kontur przypominający sylwetkę F 15. Przewodniczący Komisji Badania Wypadków Lotniczych, pułkownik, założył ręce na plecy; to on głównie mówił. Śledztwo w sprawie wypadku zostało zakończone i spotkanie z Martinim było tylko uprzejmym gestem, ustnym streszczeniem raportu, który właśnie podpisał.

– Wypadek spowodowały dwie przyczyny. Jedną z nich był błąd pilota.
– Tak się spodziewałem – mruknął Martini. Uczestniczył w tylu komisjach powypadkowych, że oswoił się z ponurą prawdą, iż błąd pilota jest najczęstszym bezpośrednim powodem wypadku.

– Drugą przyczyną była awaria mechaniczna. Regulacja łopatek kierowniczych tylnej sprężarki prawego silnika zawiodła w najgorszym możliwym momencie.

– Zdawało mi się, że łopatki nie ustawiły się w pozycji dającej bezpieczną rezerwę ciągu.

– Ustawiły się, ale w sytuacji, jaka im się przydarzyła, zanim nastąpi odpowiedni przepływ powietrza przez silnik, przed sprężarką powstaje blokująca przepływ warstwa zagęszczonego powietrza, której upust trwa kilka sekund. Przez ten czas sprężarka niemal staje i silnik praktycznie nie ma ciągu. Tych kilku sekund im zabrakło. Byli powolni, mieli duży kąt natarcia, lecieli nieskoordynowanym lotem, do tego cholernie blisko ziemi.

Martini gwałtownie podniósł głowę. Po raz pierwszy usłyszał, że samolot leciał w sposób nieskoordynowany. Mógł być tylko jeden tego powód.

– Jesteś pewien, że Leland próbował przesunąć samolot w poziomie w bok? – spytał.

Pułkownik coś sprawdzał w resztkach prawego silnika – tego, który doznał awarii.

– Sporządziliśmy model tego wypadku w waszym symulatorze.

– Jak dalece symulator może odwzorować rzeczywistość?

Pytanie było istotne, więc pułkownik nie spieszył się z odpowiedzią.

– Wzięliśmy obsługujących symulator dostawców sprzętu na wycieczkę F 15E i kiedy wrócili, odpowiednio ustawili aparaturę. Moim zdaniem zbliżyli się jak cholera do warunków realnych. Jedynym sposobem na doprowadzenie do tego, by symulator zachowywał się tak samo jak przy tym wypadku... zakładając zatrzymanie sprężarki i tak dalej... była próba przesunięcia samolotu w poziomie w bok przy dużym kącie natarcia. Sześciu pilotów spróbowało tego z takim samym rezultatem.

– Czy któryś z nich był w stanie odzyskać panowanie nad maszyną?

Pułkownik pokręcił głową przecząco.

– Sam próbowałem. Boże, to dzieje się tak szybko. Jestem zaskoczony, że kapitan Bender zdążyła się katapultować. Ponad sto razy powtarzaliśmy w symulatorze sytuację, w której po przelecaniu za osłona próbuje się przesunąć maszynę w poziomie w bok, by w ogóle wylądować. Bez zatrzymania sprężarki, za każdym razem udawało się bezpiecznie przyziemić. Tak samo odwrotnie – jeśli symulowaliśmy zatrzymanie kompresora bez próby przesuwania maszyny w bok, za każdym razem piloci odzyskiwali panowanie nad maszyną.

– Chcesz powiedzieć, że wypadek spowodowało wystąpienie obu czynników naraz?

– Wszystko jest w raporcie. W komisji panowała absolutna zgodność co do oceny podstawowej przyczyny: błąd pilota połączony z awarią mechaniczną. Dostaniesz swój egzemplarz jeszcze dziś.

Podeszli do miejsca, gdzie ułożono fragmenty kabiny. Martini dotknął nie spalonego fotela typu ACES-II, na którym katapultowała się Laurie. Miejsce zetknięcia się siedziska z oparciem zaciemniła wielka plama wyschniętej krwi.

– Masywny tępy uraz – powiedział pułkownik. – Przy uderzeniu pękł kręgosłup. – Wziął głęboki wdech, by łatwiej mu było przekazać następną wiadomość Martiniemu, z którym przyjaźnił się od lat. – Mafia, jeszcze jedno się do tego przyczyniło. Pod tym względem ocena też była jednogłośnie: błąd nadzoru.

Martini potaknął skinieniem głowy. Bez trudu przychodziło mu godzenie się ze złymi wiadomościami. Za to dobrym nie ufał.

– Powinienem być wycofać Lelandowi zgodę na loty.

– A przynajmniej kazać mu latać z instruktorem – stwierdził pułkownik. – Masz jeszcze inny problem. Ten chirurg, kapitan Ryan, sporo wie o twojej decyzji połączenia Lelanda z Bender. Zznał, że po incydencie z nadmiernym przeciążeniem kazałeś jej dalej latać z Lelandem. Spytała podobno: „Dlaczego zabijać doskonałego fachowca?”, na co miałeś odpowiedzieć: „Ponieważ jestem pracodawcą dającym każdemu równe szanse”. Samo w sobie to nic złego, ale w kontekście wypadku stawia cię w złym świetle. Kiedy się dowiedzieliśmy, że Ryan był zaręczony z kapitan Bender, głosowaliśmy za wyłączeniem jego zeznania z raportu, uznając, że złożył je w stanie silnego wzburzenia.

– Ale taka jest prawda – burknął Martini. – Włączcie je z powrotem.

- Przerobienie raportu zatrzyma nas przynajmniej jeszcze jeden dzień na wyspie – zaprotestował pułkownik.
- A masz coś ciekawszego do roboty?

Waszyngton

Sobota, piętnastego grudnia. Data ta zapadła w pamięć Patricka Flannery’ego Shawa, jakby ją w niej wypalono gorącym żelazem. Będzie ją zawsze pamiętał, tak jak jego rodzice dzień zamachu na Johna Kennedy’ego, a dziadkowie dzień 7 grudnia 1941*. To właśnie tego dnia na ścianie pojawiło się *mane, thekel, fares*, kurtyna się podniosła i nastąpił Armageddon. Sytuacja była tak rozpaczliwa, że zaczął myśleć pojęciami rodem z Biblii – ten nawyk, pozostały po niezliczonych godzinach spędzonych w Nowym Orleanie w roli ministranta, powracał mu niekiedy jak czkawka.

Całe dorosłe życie Shaw spędził w świecie polityki i poza „salonami władzy” czuł się jak ryba wyjęta z wody. Nie zajmował się polityką dla pieniędzy i choć to dzięki niej wyszarpał systemowi dość z gardła, by nie groziła mu perspektywa powrotu na ulicę, tak naprawdę polityka zaspokajała całkiem inną potrzebę: podnosił słuchawkę telefoniczną i spełniano jego wolę, inni ludzie robili rzeczy, których sam nie byłby w stanie zrobić. Polityka była dla niego wszystkim – wszystkim, czym był i co miał. Dawała mu możliwość panowania nad ludźmi i wydarzeniami. Dawała władzę.

Piętnastego grudnia zaczął tracić władzę.

Palce Shawa wybijały na białej biurka natarczywy rytm, co było jedyną zewnętrzną oznaką jego wzburzenia. Jak dokładnie brzmiały słowa Maddy Turner? Nie przypominał sobie, by cokolwiek w życiu tak nim wstrząsnęło. Chciała, by do jej „gabinetu kuchennego” dołączył generał broni Robert Edward Bender. Chodziło o prywatną grupę doradców, z którymi spotykała się raz lub dwa razy w tygodniu, omawiając wszelkie dręczące ją problemy. Początkowo w jej skład wchodziła Maura O’Keith, minister finansów Richard Parrish i czarna kongresmanka z Los Angeles, Noreen Coker; od czasu do czasu, kiedy potrzebowali opinii w jakiejś szczególnie zawiślanej sprawie, prosili go, żeby się przyłączył. Do niedawna „kuchenny gabinet” nie był problemem, ponieważ Maura była nikim, a pozostała dwójka łatwymi do kontrolowania, mało ważnymi politykami; nagle jednak o uczestnictwo poproszony został Sam Kennett – facet, który łatwo mógł narozrabiać, a na dodatek nie miał wobec Shawa żadnych zobowiązań. Teraz Turner chciała dołączyć Bendera. Na politycznym liczydło Shawa dwóch mogących narobić kłopoty facetów z dostępem do prezydenta sumowało się w widmo katastrofy.

Kennett był na pewno poza jego zasięgiem, może jednak nie było tak źle z Banderem. W prywatnym sejfie Shawa leżała teczka z danymi, zebranymi

* Dzień japońskiego ataku na Pearl Harbor (przyp. tłum.)

w ostatnich dniach przez jego ludzi. Wyjął ją i zaczął przeglądać; niestety materiał okazał się bardzo skąpy i optymizm Shawa poważnie przygasł.

Bender miał pięćdziesiąt lat, urodził się pierwszego kwietnia 1951 roku. Jego ojciec ukończył West Point w 1950 roku, ożenił się w lipcu tego samego roku i dwa miesiące później wsiadł na statek płynący do Korei. Zginął w grudniu. Dziewięć miesięcy po ślubie – z dokładnością niemal do jednego dnia – ciągle rozpaczająca wdowa urodziła Roberta Edwarda. Matka Bendera po latach wyszła ponownie za mąż, a on spędził pozbawione szczególnych wydarzeń lata młodzieńcze w Sacramento. Nie wspominało nic o zwykłych dla nastolatków psikusach i wybrykach, wymyślanych głównie po to, by zdenerwować rodziców. W szkole średniej grał w futbol amerykański, został „Orłem”^{*} w drużynie skautów i w 1969 roku zdał maturę jako najlepszy uczeń w klasie. Nie było nawet najmniejszej wskazówki o uczestnictwie w jakiegokolwiek demonstracji antywojennej albo o próbowaniu marihuany. Po szkole poszedł prosto do Akademii Lotniczej, gdzie także grał w futbol. Dyplom zrobił z drugim wynikiem na roku – w 1973, przez co uniknął służby w Wietnamie.

Osiemnastoletnią Nancy Beth Orren spotkał, kiedy został najlepszym studentem w swojej klasie. Wytrwale o nią zabiegał, a ślub wzięli dwa dni po tym, jak w czerwcu 1973 roku przypięto mu drugą belkę porucznika. Dziewięć miesięcy później urodziła się Laurie Ann.

Shaw pokładał niejaką nadzieję w tym, że Bender pochodzi z jurnego plemienia, rozmnażającego się kiedy i gdzie się da; ale nie, nie spłodził więcej dzieci, nie było też jakichkolwiek aluzji do nieodpowiedniego zachowania seksualnego. Niech to cholera! Shaw był wściekły. Co tu zrobić z kimś takim?! Po akademii Bender przeszedł kursy specjalistyczne, latał na F 16, przez dwa lata służył jako „Thunderbird” i awansował, szybko zostając podpułkownikiem, a potem pułkownikiem. Podczas wojny w zatoce w latach 1990–1991 dowodził skrzydłem F 15 i w starciu, które uznano za najostrzejsze i najgroźniejsze w całej wojnie, zestrzelił irackiego MiG-a 29. Cóż, pomyślał Shaw, Irakijczycy mieli przynajmniej jednego dobrego pilota, najwyraźniej jednak Bender okazał się lepszy.

Potem kariera Bendera nabrała rozpędu – przeszedł przez kilka sztabów, dowodził szkołą pilotów doświadczalnych w Bazie Sił Powietrznych Edwards, szybko został generałem brygady i nic nie wskazywało na to, by miał zwolnić tempo.

Cholera jasna, dumiał Shaw. Coś musi gdzieś być. Facet musi mieć jakąś szczylinę w pancerzu. Tylko co to może być i w którym miejscu? Starał się przypomnieć sobie wszystko, co wiedział o „nieugiętym Benderze”. Może jednak istniał sposób na przygięcie mu karku – jeśli pokusa okaże się dobrze dobrana. Podniósł słuchawkę i wystukał pewien numer w Pentagonie.

– Co masz na temat wypadku, w którym zginęła kapitan Laurie Bender? – spytał.

W poniedziałek po pogrzebie córki Bender minął zachodnią bramę o zwykłym czasie i skierował się alejką w stronę Białego Domu. Szedł razem z grupką

^{*} Eagle Scout – skaut, który zdobył 21 odznak sprawnościowych (przyp. tłum.).

robotników. Choć pracowali oni dla innych agencji rządowych i – jak przypuszczał – kierowano ich do Białego Domu jedynie do wykonania określonych prac, Bender widywał ich tak często, że znał wszystkich z widzenia. Często z nimi rozmawiał i dziwiło go, ile mają wspólnego. Tak jak i on, robotnicy pracowali w Białym Domu dorywczo. W odróżnieniu od tych, którzy przychodzili i odchodzili z każdą zmianą rządu, ich tutejsze zajęcie nie było dla nich jedyną treścią życia, którego sens zniknie, gdy będą musieli odejść.

– Jeszcze tylko osiem dni do Bożego Narodzenia – odezwał się jeden z ogrodników. – Wtedy trzeba będzie wszystko zdejmować.

– To musi być dość monotonne – odparł Bender, na co tamten odpowiedział skinieniem głowy. Jeszcze osiem dni do Gwiazdki, pomyślał. Osiem paskudnych dni. Postanowił, że zostanie tu do pierwszego stycznia; nieważne co się będzie działo, po Nowym Roku odejdzie.

Zaskoczył go widok otwartych drzwi do jego gabinetu. Kiedy podszedł bliżej, ujrzał zwisające z jedynego krzesła, rytmicznie rozbujane dwie chude nogi w czarnych legginsach. Czekala na niego Sarah.

– Nie masz szkoły? – spytał wchodząc.

– Chyba nie – odparła Sarah. Wstała z krzesła i podała mu dużą kopertę własnej roboty. Uniosła ku niemu wzrok, chwilę popatrzyła i wyprysnęła na korytarz. Bender obejrzał kopertę. Było na niej napisane dziecięcym pismem: „Dla generała Bendera i pani Bender”. Złamał pieczęć i wyjął ze środka składaną na pół pocztówkę. Na wierzchu namalowano na niej długie i wąskie liście, zielone, żółte i złote, przetykane białymi kwiatami; w środku Sarah napisała: „Tak nam przykro”. Pod spodem podpisała się razem z Brianem.

Musiał pokazać tę kartę Nancy.

– Generale... – rozległ się seksowny głos jednej z jego ślicznych sekretarek. – Szef personelu chciałby zobaczyć się z panem w swoim gabinecie.

Bender popatrzył na zegarek. Było trzy po siódmej.

– Nie wiedziałem, że przychodzi tak wcześnie do pracy – odparł. Sekretarka nie odpowiedziała; ruszyła przodem, on poszedł za nią.

– Proszę zamknąć drzwi – powiedział zamiast powitania Shaw, kiedy Bender wszedł do jego wielkiego narożnego gabinetu. Wskazał generałowi krzesło. – Pani prezydent chce, by dołączył pan do jej „kuchennego gabinetu”.

– Nie jestem odpowiednim człowiekiem – zaprotestował Bender. – Generał Overmayer nie zgodzi się...

– Nieistotne, na co się zgodzi lub nie zgodzi Overmayer – mruknął Shaw. – Spotkanie odbędzie się o ósmej trzydzieści, w prywatnym gabinecie pani prezydent. Proszę się nie spóźnić.

– To wszystko?

Palce Shawa bębniły po blacie biurka. Zastanawiał się, czy to odpowiedni moment, ale w końcu postanowił zaryzykować.

– Widziałem wstępny raport z wypadku – stwierdził. – Nie wynika z niego zbyt wiele.

– To normalne.

– Wróble na dachu powiedziały mi... – zaczął, uważnie obserwując Bendera – ... że dla ratowania kariery tego czy innego palanta członkowie komisji powypadkowych często nie ujawniają tego, co naprawdę się wydarzyło.

– To się zdarza – przyznał Bender. Nie zamierzał wyjaśniać, z jaką zawziętością tępił takie praktyki poprzedni szef sztabu sił powietrznych, zwany „Myszolowem”. Miał bardzo prostą metodę: wszystkim – dowódcom, śledczym, po prostu wszystkim – narzucił najwyższe wymagania. Kto nie był w stanie im sprostać, szybko wylatywał do cywila.

– To musi być straszne, nie wiedzieć, czy zostały ujawnione istotne okoliczności wypadku, zwłaszcza jeśli jego ofiarą padło pańskie dziecko – stwierdził Shaw.

Czy Laurie była ofiarą? – zadał sobie pytanie Bender. Nie, nie mógł myśleć w ten sposób. Było to zbyt niebezpieczne, groziło utratą z trudem wypracowanej równowagi.

– Wiedziała, czym ryzykuje – odpowiedział po chwili.

Zastanawia się nad tym, stwierdził Shaw. Przemówił łagodnie:

– Generale, jeśli ktoś próbuje cokolwiek krzyć, poradzimy sobie z tym. Nikomu nie ujdzie na sucho zabicie pańskiej córki.

Bender poczuł, że cierpie mu skóra. Doskonale rozumiał, że Shaw oferuje mu możliwość szukania zemsty. Tylko od niego zależało, czy przyjmie ofertę.

– Co pan wie o tym Martinim? – spytał Shaw podsuwając przynętę. – Słyszałem, że mówi się na niego „Mafia”. Nie brzmi to ładnie.

A więc o to chodziło... kariera dowódcy skrzydła za życie córki. Co tak naprawdę wiedział o Martinim? Niewiele. Tylko tyle, że był „Thunderbirdem” i latał na prawym skrzydle.

– Bez zapoznania się z końcowym raportem nie mogę sobie pozwolić na spekulacje – stwierdził.

– Jeśli pan chce, dam panu kopię protokołu Komisji Badania Wypadków Lotniczych.

Zna prawidłową terminologię, przemknęło przez głowę Benderowi. Chwilę popatrzył na Shawa, skinął głową i wyszedł. Shaw patrzył za nim. Kiedy generał zniknął, wrócił do pracy nucąc sobie pod nosem.

– Mam nadzieję, że wszyscy znacie Roberta Bendera – odezwała się Madeline Turner do grupki swoich współpracowników. Dla pewności obesła pokój, przedstawiając generałowi swój „kuchenny gabinet”. Cała czwórka siedziała w wygodnych fotelach z filizankami kawy w dłoniach. Wstał jedynie Richard Parrish, minister finansów. Podali sobie ręce. – Oczywiście zna pan już Maureę.

Sam Kennett wyciągnął dłoń.

– Miło mieć pana w drużynie – powiedział.

Podali sobie ręce; Benderowi od razu spodobał się pewny uścisk dłoni Kennetta i jego bystre spojrzenie. Instynkt mówił mu, że można temu człowiekowi ufać. Noreen Coker uśmiechnęła się do niego ciepło i przyjaźnie. Ta potężna ciemnoskóra kobieta miała ponad sześć stóp wzrostu i ważyła prawie

dwieście dziewięćdziesiąt funtów. Obcisły czerwony kostium bynajmniej tego nie ukrywał.

– Skarbie, dziękuj Bogu, że jestem mężatką – stwierdziła. – Inaczej nie byłbyś bezpieczny.

– Noreen, daj spokój – przerwała jej Turner. – Niech pan się nie przejmuj, Robercie. Noreen wcale taka nie jest.

Niemal w tym samym momencie zniknęła gdzieś wojująca aktywistka z biednej dzielnicy, a ukazała się prawdziwa Noreen – wykształcona, kulturalna, doskonale polityk.

– Generale, musimy poznać punkt widzenia żołnierza. Proszę mówić to, co pan myśli, inaczej nie będzie to miało sensu. Pańska opinia jest dla nas bardzo ważna.

Bender usiadł na krześle z prostym oparciem obok jednej z dwóch kanap, ustawionych naprzeciwko siebie. William, lokaj, podał mu filiżankę kawy i zniknął. Z początku wydawało mu się, że to takie sobie spotkanie przy kawie i plotkach, jednak rozmowa wkroczyła na inne tory, kiedy Turner poruszyła temat reformy systemu podatkowego. Maura niemal się nie odzywała, za to reszta żywo dyskutowała, omawiając wszechstronnie tę kwestię. Przy dużej rozbieżności poglądów każdy szanował opinię pozostałych. Bendera zdumiało, jak szybko Turner doprowadziła do końcowych wniosków. Naprawdę wiedziała, jak prowadzić takie spotkania.

– Sam, chciałabym, żebyś pokierował dalszymi pracami. Zajmij się tym z Richardem, powołajcie zespół do spraw strategicznych. Chciałabym jak najszybciej mieć to na piśmie, żeby urzędnicy mieli co robić. Powiedzmy, zaraz po Nowym Roku.

– To poważna sprawa – odparł Parrish – ale sądzę, że powinniśmy do tego czasu coś mieć.

Spotkanie zbliżało się szybko do końca.

– Hej, hej, skarbie! – zwróciła się Noreen Coker do Bendera. – Dlaczego nie usłyszeliśmy niczego od ciebie? Nie mów tylko, że jesteś zielony.

– Jeśli chodzi o podatki, naprawdę jestem zielony – odparł Bender. – Mogę was jednak zapewnić, że rozpoczynacie najtrudniejszą w życiu polityczną bitwę.

– Myślisz, że tego nie wiemy? – natychmiast odpowiedziała Coker. – A poza tym, skarbie, nie „wy”, tylko „my”. – Bender poczerwieniał, a ona dodała: – Tylko teraz nie udawaj niewinnej dziewczyny.

– Musicie... musimy – poprawił się – poznać przeciwnika w jak najwcześniejszym stadium działania. W języku wojskowym nazywa się to „ocena zagrożenia”. Co mają, kogo mają, gdzie to mają? Kto poprowadzi walkę przeciwko nam? Jakie mamy na ich temat informacje, które mogłyby się nam przydać? Jakie są ich słabe punkty i mocne strony? W jaki sposób zaatakują?

Turner nigdy nie podchodziła do polityki w ten sposób, od razu jednak dostrzegła logikę wyводу Bendera.

– Kto powinien popracować nad tymi pytaniami? – spytała.

Bender chwilę się zastanowił.

– Pani Coker i pan Shaw – zdecydował w końcu.

Coker wybuchła grzmiącym śmiechem.

– Ja z Shawem? Boże drogi, co powiedziałyby na to moja matka! – Pokręciła głową. – Cóż, jesteśmy w Waszyngtonie. Prędzej czy później coś takiego musiało się wydarzyć.

– Senatorze Leland, chciałbym przedstawić panu generała broni Roberta Bendera – powiedział Shaw. Mężczyźni podali sobie ręce i usiedli. Spotkanie odbywało się w gabinecie Shawa, ogołoconym już z wszelkich świątecznych dekoracji. – Przepraszam za spóźnienie, senatorze. Pójdziemy do pani prezydent za parę minut.

– Nie szkodzi, Patricku – uspokoił go John Leland. Miał dzwięczny, doskonałe modulowany głos wytrawnego mówcy, bujne siwe włosy i wydatne kości policzkowe – czyli wszystko, czego ludzie mogliby oczekiwać po jednym z najbardziej wpływowych senatorów w Waszyngtonie. Kariera polityczna Johna Lelanda trwała już trzydzieści lat; był ogólnie uważany za największego w mieście czarodzieja. Kilkoma odpowiednimi telefonami mógł z dnia na dzień zmienić polityczny klimat stolicy i podsunąć Senatowi pod obrady każdą ustawę, jaką chciał. Ponieważ był przewodniczącym Komitetu Sił Zbrojnych i faktycznym przywódcą opozycji, za każdym razem, kiedy Leland dzwonił, Shaw odpowiadał mu pokornie i szeroko otwierał przed nim drzwi do Gabinetu Ovalnego.

Senator przez chwilę przyglądał się Benderowi.

– To były dla mojej rodziny bardzo smutne święta – powiedział w końcu. – Ze smutkiem dowiedziałem się, że obaj ponieśliśmy ogromną stratę. Chris był moim bratankiem.

– Wiem – odparł Bender. – Dziękuję za troskę. Głęboko panu współczuję. Proszę także przekazać rodzinie kapitana Lelanda nasze kondolencje.

– Generale, czy czytał pan już raport z wypadku? – Senator zadał to pytanie głosem całkowicie pozbawionym wyrazu.

Bender pokręcił głową, zadając sobie równocześnie pytanie, dlaczego Shaw nie dotrzymał obietnicy, że da mu kopię. Zerknął na Shawa, ten jednak nie zareagował.

– Niestety nie mam pewności, czy jest zgodny z prawdą – dodał Leland, zanim jednak Bender odpowiedział, pojawiła się Alice Fay z informacją, że pani prezydent czeka i wszyscy trzej poszli do Gabinetu Ovalnego.

Po grzecznościowej wymianie życzeń noworocznych, Leland natychmiast przeszedł do właściwego celu wizyty. Otworzył aktówkę i wyjął gruby plik wydruków dużego formatu, oprawionych w zieloną okładkę.

– Pani prezydent, czy czytała pani raport z wypadku?

– Nie, jeszcze nie – odparła Turner. – Patricku, Robercie, a wy czytaliście?

Shaw pokręcił głową, chociaż go czytał – zeszłego wieczoru w domu, gdzie go zostawił.

– Nie, pani prezydent – powiedział Bender. – Widzę go po raz pierwszy. Senatorze, mogę? – Leland podał Benderowi dokument i generał szybko przejrzał najważniejsze strony. – Tak jak sądziłem, błąd pilota połączony z awarią mechaniczną.

Leland – jakby nie słyszał jego słów – zwrócił się do Madeline Turner:

– Pani prezydent, proszę mi wybaczyć, ale moi ludzie dokładnie przeanalizowali ten raport i twierdzą, że to tylko zasłona dymna.

– A co pan o tym sądzi, Robercie? – spytała Turner.

– Dopiero rzuciłem na niego okiem – odpowiedział generał. – Zanim będę mógł cokolwiek powiedzieć, muszę...

– Wie pan, że pańska córka była w ciąży? – przerwał mu Leland. – Dlaczego dalej latała?

Po słowach senatora Bender poczuł nagły napływ adrenaliny do krwi. Zgotowało się w nim. Puls przyspieszył mu gwałtownie; z trudem oddychał. W głowie huczały mu słowa: „Pańska córka była w ciąży...”, zagłuszając wszystko inne. Jak miał to powiedzieć Nancy, zwłaszcza po świętach spędzonych bez Laurie? Cóż, nie uniknie tego. Ich związek był tak głęboki i oparty na tak wielkim zaufaniu, że nie będzie mógł tego przed nią ukryć. W końcu udało mu się z trudem wykrztusić:

– Proszę dać mi chwilę...

– Oczywiście – powiedział grzecznie Leland. Zaczął rozmawiać z Madeline Turner, krążąc wokół zasadniczego tematu.

Bender zmusił swój umysł do koncentracji, spychając emocje na dno duszy, gdzie miały pozostać ukryte na zawsze. Nie przerywając senatorowi i pani prezydent, wrócił do początku raportu i sprawdził nazwiska członków komisji. Nieobce mu było jedynie nazwisko przewodniczącego, ale miał on dobrą opinię, nie było więc powodu się czepiać. Szybko przejrzał dokument, szukając charakterystycznych pominięć i zwrotów, świadczących o matactwie, ale nic takiego nie znalazł. Potem przejrzał załączniki i słowo po słowie przeczytał zeznanie chirurga jednostki. Na koniec zostawił sobie najgorsze: opis przyczyny śmierci.

– Na pierwszy rzut oka – stwierdził skończywszy – wydaje się, że raport jest dokładny i przedstawia wszystko prawdziwie.

– Jest pan pewien? – spytał Shaw. – Przecież oni zabili pańską córkę.

– Laurie ani Chrisa nie zabili żadni o n i. Zabił ich błąd pilota w połączeniu z usterką mechaniczną.

– Chris był dobrym pilotem – wtrącił Leland.

W głowie Bendera rozdzwoniły się dzwonki alarmowe. Dlaczego stracił czujność? Powinien był dostrzec sygnały wcześniej. Czyżby gnębiący go smutek mącił mu umysł?

– Byłbym dumny mając bratanka latającego na myśliwcach – bąknął.

– Dokładnie śledziłem karierę Chrisa – dodał Leland. – Wiem, że był znakomitym pilotem.

By zyskać chwilę do namysłu, Bender zaczął ponownie kartkować raport. Przeczytał załącznik, w którym dokładnie opisywano szkolenie, jakie przeszli Chris i Laurie. Wymieniono wszystkie jego etapy. Po przeczytaniu tego od razu nasuwało się pytanie: skąd senator wie, że Chris był dobrym pilotem? Czy kiedyś z nim latał? Dobiegały go urywki wypowiedzianych przez senatora zdań.

– ... Chris był znakomity... nie było żadnego błędu pilota... doskonale wiem o problemach z utrzymaniem sprawności maszyny i z dostawcami części... z tym samolotem zawsze były kłopoty...

Alarm w głowie Bendera dzwonił teraz na całego. W końcu dowodził skrzydłem F 15 i spędził w tej maszynie ponad pięćset godzin w powietrzu!

– Jakie kłopoty? – spytał całkiem obojętnym tonem. – Eagle jest starym i doskonale znanym typem samolotu. Nic o tym nie wiem, by były z nim jakiegokolwiek problemy.

Leland zignorował go.

– Pani prezydent – ciągnął – Chris padł ofiarą niekompetencji przełożonych i partactwa. Jak mam powiedzieć jego rodzicom, że nikt nie odpowie za śmierć tego chłopca?

Bender czytał i słuchał, a nie jest to najlepszy sposób prowadzenia dyskusji z senatorem Stanów Zjednoczonych.

– Sir, chcę tak samo jak pan poznać prawdę, ale na razie nie znalazłem w tym raporcie niczego, co świadczyłoby o ukrywaniu czegokolwiek.

Leland spojrział na niego zimno i powiedział:

– Chcę, żeby ten Martini został zwolniony ze służby i oddany pod sąd wojskowy.

Turner wstała zza biurka, podeszła do senatora i usiadła obok niego. Położyła rękę na jego dłoni.

– Dowiemy się prawdy. Obiecuję panu.

Na koniec wymienili kilka grzecznościowych zwrotów i Shaw wyszedł z senatorem, by odprowadzić go do limuzyny. Turner oparła się o blat biurka, krzyżując ramiona.

– No i co, Robercie? Co o tym sądzisz?

– Widywałem już takie rzeczy, pani prezydent.

– Musisz tak oficjalnie, Robercie?

– Przepraszam, pani prezydent, ale to kwestia przyzwyczajenia. Czuję się znacznie swobodniej, jeśli...

Turner skinęła głową.

– Chciał pan właśnie coś powiedzieć.

– Naprawdę bardzo trudno jest pogodzić się ze śmiercią ukochanej osoby, zwłaszcza syna albo córki. To naturalne, że rodzina Chrisa Lelanda uważa go za ofiarę. Tam zaś, gdzie jest ofiara, musi być ktoś odpowiedzialny za jej śmierć.

– A naprawdę był ofiarą? – spytała docieklewie.

– Był.

Odpowiedź zdziwiła Madeline.

– Domyślałam się, jak trudno panu krytykować siły powietrzne. Zwłaszcza w obecności senatora.

– Trzeba wiedzieć, jak czytać taki raport. Jest w nim wszystko. – Przerwał, starając się opanować. Cholera, przecież mówisz o Laurie, pomyślał. – Zasadniczą przyczyną wypadku był błąd pilota, połączony z awarią silnika. Aby doszło do wypadku, obie rzeczy musiały się wydarzyć równocześnie. – Przerwał. Od tej

rozmowy bolało go serce. – To oczywisty i obiektywny fakt. Jest jednak jeszcze jeden czynnik, który się przyczynił do wypadku: błąd nadzoru.

– Czy można to uznać za matactwo? – Turner zachowywała się jak bullterier, niezdolny do wypuszczenia tego, co chwycił w pysk.

Bender pokręcił głową.

– Nie ma żadnego matactwa.

– Tylko co?

– Senator Leland chciałby pozbyć się poczucia winy. Rozpaczliwie próbuje taktyki „to nie ja jestem winien – to wy”.

– A na czym miałyby polegać jego wina?

– Przede wszystkim na tym, że Chris Leland znalazł się tam, gdzie się znalazł. – Jedno spojrzenie powiedziało mu, że Turner nie rozumie, o co mu chodzi. Cóż, chyba wszedł na niebezpieczny teren. – Chris Leland został ofiarą systemu. Jak senator się wyraził? „Dokładnie śledziłem karierę Chrisa”. Tak samo jak każda inna instytucja rządowa, siły powietrzne podlegają regułom gry politycznej i jeżeli senator, będący przypadkiem przewodniczącym Komitetu Sił Zbrojnych, jest zainteresowany karierą bratanka, to dzieciak ma zapewnione wszelkie możliwe fory. – Podał Turner raport i pokazał opis szkolenia Chrisa. – Chris był pilotem poniżej przeciętnej, przepychanym przez system dzięki politycznym wpływom senatora.

Madeline zrozumiała.

– Czy to znaczy, że błąd nadzoru wyniknął z ugięcia się Martiniego pod presją polityczną?

Bender skinął głową.

– Pośrednio. Leland może i był pilotem poniżej przeciętnej, ale miał kwalifikacje do prowadzenia tego typu samolotu. Za każdym razem, kiedy trzeba było podjąć decyzję co do jego osoby, korzystał z dobrodziejstwa wątpliwości – dzięki stryjowi. Gdyby absolutnie się nie nadawał, decyzja byłaby prosta, on jednak balansował na granicy.

– Czyli jednak należy oddać Martiniego pod sąd.

– Za co? Za to, że toleruje grzechy systemu? Gdyby to ode mnie domagano się produkowania coraz to nowych pilotów, zrobiłbym to samo. Od Martiniego tego żądano. W dniu wypadku był dowódcą od dziewięćdziesięciu trzech dni, a odziedziczył po poprzedniku słabego pilota z powodów, na które nie miał wpływu. Zdawał sobie z tego sprawę i spróbował rozwiązać problem łącząc Lelanda z jednym z najlepszych nawigatorów specjalistów.

– Czyli z pańską córką... – mruknęła prezydent. – Skąd senator wiedział, że była w ciąży? Czy to jest w raporcie?

– Zagiąłem róg tej strony. Bliżej końca.

Turner znalazła odpowiednie miejsce i przeczytała o wyniku sekcji: stwierdzono, że Laurie Bender była w drugim lub trzecim tygodniu ciąży.

– Najprawdopodobniej sama jeszcze o tym nie wiedziała – stwierdziła po chwili Madeline. Wróciła do swojego biurka i stanęła za nim. Wolą być w tej chwili odgradzona od Bendera. – Może jednak należy oskarżyć Martiniego. Za-

stanawiam się, czy nie powinnam w ten sposób dać do zrozumienia każdemu dowódcy w siłach zbrojnych, by nie bawił się w politykę.

– A czy panią należy postawić w stan oskarżenia za to, że Roberts sprzedał Tajwan?

Turner wbiła w niego wzrok. Jego słowa trafiły ją jak obuchem. Nikt, nawet Maura ani Shaw, nie rozmawiał z nią tak otwarcie. Przynajmniej od momentu, kiedy została prezydentem.

– Niech pani przekaże sprawę przewodniczącemu – dodał Bender. – Generał Overmayer to załatwi. Od tego jest.

Turner zachmurzyła się.

– Nie wierzę własnym uszom. Overmeyer niczego nie zmieni... a pan broni systemu.

– Ufam systemowi i dopóki nie mam lepszego pomysłu, ufam także ludziom, dzięki którym on działa.

– Nawet Martiniemu?

– Nawet Martiniemu.

Turner wybuchła:

– Przecież chodzi o pańską córkę! Razem z Chrisem została poświęcona systemowi. Jeszcze to do pana nie dotarło?! Pańska córka nie żyje. Nie rozumie pan, co się stało?!

Bender popatrzył jej w oczy. Doskonale rozumiał, co się stało.

– Proszę przewrócić kartkę, którą zaznaczyłem i spojrzeć na następną. Na dole. – Zaczekał, aż Turner przeczyta fragment, o który mu chodziło. Zbladła. Był to kliniczny opis przyczyny śmierci Laurie Bender. – Wiem, co to jest masywny tępy uraz – powiedział łamiącym się głosem. – Nieraz widziałem jego skutki. – Turner nie mogła oderwać od niego wzroku. Był na granicy wytrzymałości, ale jednak panował nad sobą. – Coś jeszcze, pani prezydent?

– Nie. Dziękuję, generale Bender. – Kiedy wyszedł, usiadła i odwróciła się z fotelem do okna. – Nie mój syn... – powiedziała po chwili w przestrzeń. – Nie za mojej prezydentury.

Usłyszała pukanie do drzwi. Powiedziała „proszę” i wszedł Shaw.

– Pani prezydent, za dziesięć minut posiedzenie gabinetu.

– Patricku, chciałabym dowiedzieć się czegoś więcej o przebiegu służby generała Bendera.

Było późne sobotnie popołudnie. Burza śnieżna, która nadeszła z Kanady, zmroziła stolicę i otuliła ją ponurym, nieprzyjemnym półmrokiem. Silny wiatr i wszechobecny lód pozbawiły prądu większą część miasta; ekipy naprawcze prowadziły skazaną z góry na niepowodzenie walkę o uruchomienie podstawowych usług komunalnych. W Białym Domu światła tylko dwa razy zamrugały, po czym włączyły się generatory awaryjne, oszczędzając mieszkańcom rezydencji problemów reszty Waszyngtonu.

Patrick Shaw nie miał tego szczęścia i kiedy w kompleksie Watergate zabrakło prądu, jego mieszkanie szybko zamieniło się w chłodnię. W rycerskim odru-

chu, chociaż czuł się na wpół zamarznięty, wsadził swoją młodą towarzyszkę do samochodu i ruszyli w kierunku Białego Domu. Nie miał dzisiaj szofera, musiał prowadzić sam, więc z wielkim trudem pokonał zaledwie milowy odcinek H Street. Tak jak się spodziewał, zachodnie skrzydło było niemal puste.

Jego towarzyszka od razu zwinęła się na kanapie. Po kilku minutach przyniesiono z kuchni dzbanek świeżo zaparzonej kawy i Shaw nieco odtajał, mógł się więc zacząć poważnie zastanawiać nad reformą systemu podatkowego. Nie podobało mu się, że o planach Turner wie zbyt wielu członków ciała ustawodawczego i rozmaitych lobby, martwiły go też sygnały dochodzące ze Wzgórza. Bez względu na to, jak on sam rozegra sprawę, było jasne, że Madeline Turner gna na oślep ku przepaści i zamierza ściągnąć w nią za sobą także jego. Po chwili uwagę Shawa odwrócił komunikat całkiem innej natury: jego towarzyszka ściągnęła majtki, zawiesiła je sobie na stopie, machnęła nogą i bielizna pofrunęła mu na biurko. Jakby to był jakiś znak, zadzwonił telefon.

– Zamknij drzwi na klucz, kochanie – mruknął Shaw sięgając po słuchawkę. Dzwoniła pani prezydent.

– Patricku, wiem, że przyjechałeś. Jestem w swoim gabinecie. Może wpadniesz? Pogadamy o podatkach.

Takiego polecenia nie mógł zignorować, niezależnie od tego, jak bardzo protestowały dolne partie jego ciała. Uznał, że prezydent przyda się jakieś urozmaicenie, wyjął więc z sejfu teczkę Bendera, kasetę wideo oraz cienki raport, który dostał od swojego człowieka w Pentagonie. Wziął także pod pachę grubą teczkę z materiałami dotyczącymi reformy podatkowej.

– Ubierz się z powrotem, skarbie – powiedział z uśmiechem, wziął majtki z biurka i wrzucił je do szuflady. – Pamiątka twojej pierwszej wizyty tutaj – wyjaśnił. – Jakiś czas mnie nie będzie, ale nie zaczynaj beze mnie. – Zamknął za sobą drzwi i powoli ruszył między dwoma szeregami kolumn w kierunku prezydenckiej części mieszkalnej. Idąc, zastanawiał się, jak rozegrać rozmowę. Zapukał do drzwi gabinetu Madeline Turner i z niejakim zaskoczeniem stwierdził, że otworzył mu Brian. Już wiedział, co zrobi. Wszedł i usiadł na swoim zwykłym miejscu.

– Mam coś, co może chciałyby pani zobaczyć, zanim zaczniemy, pani prezydent. Poszperałem trochę na strychu u Bendera i znalazłem kilka ciekawostek. Okazuje się, że to świetny pilot i znany zabijaka. Dyplomowany powietrzny zabójca. – Na te słowa Brian ożywił się i przestał gapić na mecz w telewizji. Usiadł obok matki i zaczął słuchać. – Wiedziała pani, że podczas wojny w Zatoce Persejskiej zestrzelili MiG-a? – Nie czekając na odpowiedź, Shaw ciągnął: – Wygląda to dość efektywnie. Mam taśmę z tej misji.

– Mamo, mogę zobaczyć? – spytał Brian.

– Chyba nie – odparła Madeline.

– Mamo... – jęknął błagalnym tonem Brian. – Jeszcze nigdy czegoś takiego nie widziałem.

Turner jeszcze chwilę się wahała, w końcu jednak pozwoliła synowi włożyć kasetę do magnetowidu. Po krótkiej czołówce, wymieniającej nazwisko pilota,

datę, czas i miejsce akcji, pojawiło się na ekranie irackie niebo. Widzieli to samo, co Bender widział przez wskaźnik przezierny HUD – na wysokości niecałych osiemnastu tysięcy stóp w pochmurny dzień. Brian zaczął wyjaśniać widoczne na ekranie symbole.

– Wygląda to na F 16... – powiedział, zaraz jednak przerwał mu głos z telewizora.

– Lot bojowy – zaczął kobiecy głos. – Czterech „bandytów”. Wektor nalotu trzy-sześć-zero, pozycja trzy-zero-zero na pięć-sześć od ciebie. Lecą na zero-osiem-pięć, prędkość siedem-osiem-zero. Masz zgodę na włączenie się do akcji. Potwarzam, masz zgodę na włączenie się do akcji.

Jednocześnie rozległ się głos Bendera i obraz na ekranie zawirował, a ziemia zaczęła się gwałtownie zbliżać.

– Zrozumiałem, Feniks. Włączam się. – Nic w jego głosie nie wskazywało na to, że pędzi do walki z prędkością ośmiuset mil na godzinę i zbliża się do ziemi w tempie ponad dwóch mil na minutę.

Brian siedział tuż przed telewizorem i opowiadał co się dzieje.

– Feniks to AWACS, samolot z radarem do ostrzegania i kierowania. Kazał mu lecieć za czterema MiG-ami, znajdującymi się trzydzieści pięć mil od niego.

– Uzbrajać – powiedział Bender.

– Reb, mam problem – odparł na to prawy skrzydłowy Bendera. – Zapaliła mi się kontrolka awarii systemu antykolizyjnego.

– Kto to jest Reb? – spytała Turner.

– To osobisty kod wywoławczy Bendera – wyjaśnił Shaw. – Chyba pochodzi od jego inicjałów.

Znów rozległ się spokojny głos Bendera.

– Zezwalam na powrót do bazy. Feniks, radzisz sobie?

Kobiecy głos natychmiast odpowiedział, znacznie bardziej nerwowo niż Bender:

– Wszystko gra, Reb. W dalszym ciągu nawiązujesz walkę?

– Potwierdzam. Kontakt na dziesiątej, trzydzieści kilometrów, czterech „bandytów”.

– Kontakt to twój cel – odparł AWACS.

– Judy – odparł Bender kodem oznaczającym, że przejmuje maszynę wroga.

– Idzie sam na całą czwórkę! – wrzasnął Brian. Kiedy Bender zanurkował za MiG-ami, ekran wypełnił obraz wzgórz i skał. Leciał tak nisko, że zdawało się, iż zaraz uderzy o ziemię. – Jest poniżej stu stóp! – zawył Brian, wskazując palcem na widoczny w ekranie HUD poziomy pasek, informujący o prędkości. – Leci ponad pięćset na godzinę!

Słychać było oddech Bendera – znacznie teraz głośniejszy, ale w dalszym ciągu równomierny i opanowany.

– Juhuu! – zawołał i równocześnie na HUD-zie zamigotał symbol oznaczający, że jego radar przechwycił wroga. – Lis Jeden – powiedział i spod jego samolotu wytrysnęła do przodu smuga dymu. Kierowany radarowo pocisk raketowy powietrze-powietrze poleciał szerokim łukiem w kierunku szybko przemieszczającej się plamki.

– Wystrzelił raketę! – wykrzyknął Brian.
– Uspokój się – powiedziała Turner, łapiąc się na tym, że mówi znacznie szybciej i bardziej nerwowo niż Bender na taśmie.

– Radar stracił kontakt – powiedział Bender. – Rakieta w locie balistycznym. – Obraz gwałtownie się odwrócił i Bender przeleciał do góry nogami przez formację wroga. Po chwili przód jego samolotu uniósł się gwałtownie do góry: wracał do walki. – Są „Fulcrumy”! – wrzasnął.

– To MiG-i 29! – krzyknął Brian podskakując jak szalony. Maszyny te były bardzo podobne do F 15, miały jednak wielkość F 16.

– Brian! – skarciła syna Madeline, zatrzymując taśmę. – Uspokój się!

– Ale MiG-29 jest lepszy od F 15! – darł się chłopiec.

Pogodny śmiech Shawa przerwał napięcie.

– Chłopcze, to się wydarzyło jedenaście lat temu. Wiemy, że mu się udało.

– Jasne – odparł Brian, nieco zmieszany. – Mogę obejrzeć do końca? – Nie czekając na pozwolenie, nacisnął przycisk odtwarzania.

Ekran znów ożył. Ponieważ AWACS kierował do walki dalsze myśliwce, natłok komunikatów radiowych po prostu ogłuszał.

– Skasuj tę paplaninę! – wrzasnął Bender i rozgardiasz natychmiast przycichł. Przed Banderem pojawił się ciemny kontur, przemknął z lewej na prawo i ekran znów wypełnił się widokiem ziemi. Generał o parę cali uniknął zderzenia. – Wracam na lewo! – krzyknął. Mówił powoli i z trudem, co musiało być spowodowane przeciążeniem. – Lis Dwa! – zawołał po chwili i spod samolotu wyskoczył do przodu kolejny pocisk, tym razem naprowadzany na podczerwień. W momencie odpalenia Bender leciał jednak zbyt nisko i pocisk wbił się w ziemię. – O kurwa!

– Proszę, proszę – powiedział Shaw. – Zna brzydkie słowo na „k”.

Obraz na ekranie wirował i huśtał się na boki. Bender robił beczki, skręcał, robił gwałtowne uniki.

– Mam „bandytę” na szóstej! – przekazał, nie ustając w próbach pozbycia się siedzącego mu na ogonie MiG-a. Obraz na sekundę się ustabilizował, a kiedy w HUD-zie pojawił się kolejny MiG, Bender błyskawicznie wziął go na cel. – Lis Trzy! – zawołał w momencie uruchomienia działka pokładowego. Równocześnie wyrwał dziób w górę, chcąc zrobić ciasną pętlę i w ten sposób pozbyć się towarzyszącego mu nieustannie MiG-a.

– Jest za nisko! – jęknął Brian. Odwrócił wzrok od ekranu i spojrzał na matkę. Był tak zdenerwowany, że nie mógł patrzeć na to, co się dzieje.

– Sam chciałeś oglądać – przypomniała Turner, która nie była w stanie oderwać wzroku od ekranu. Wsłuchiwała się w pojękiwania walczącego z przeciążeniem Bendera, który przeszedł z pętli w zawrót. U szczytu, jakieś tysiąc stóp nad ziemią, wyrównał lot, skręcił gwałtownie w lewo i ponownie zanurkował. W ten sposób znalazł się na ogonie kolejnego MiG-a – lecącego najniżej i starającego się rozpaczliwie uniknąć walki. – Lis Trzy – powiedział Bender, znacznie spokojniej niż poprzednio. Tym razem miał znacznie lepszą pozycję do strzału i nikt mu nie siedział na ogonie. Kiedy rakieta AIM-9 za nim ruszyła, MiG robił właśnie łagodny skręt w prawo. Skazany na porażkę pilot musiał dostrzec nadlatujący

pocisk i zacieśnił skręt, niemal kierując się dziobem na Bendera. Katapultował się w momencie trafienia i eksplozji rakiety. Impet odwrócił samolot do góry nogami i fotel katapultujący poleciał prosto ku ziemi. Kiedy Bender przelatował jakieś pięćdziesiąt stóp nad miejscem, gdzie tamten uderzył, widać było jedynie chmurę wzburzonego pyłu.

– Mokra plama z jednego „bandyty” – powiedział Bender, odrobinę szybciej niż zwykle, przerywanym głosem. – Feniks, coś jeszcze do roboty?

– Akcja zakończona – odpowiedziała kobieta z AWACS-a. – Pozostali dwaj „bandyci” są w Iranie. Nie ścigać ich. Powtarzam: nie ścigać.

– A trzeci? – spytał inny pilot F 15, który miał ochotę włączyć się do walki. Odpowiedź jednak nie nastąpiła i nagranie się skończyło.

Brian wcisnął przewijanie.

– To było świetne! – zawołał.

Madeline Turner splotła ramiona na piersi.

– Gdzie się tego wszystkiego dowiedziałeś? – spytała syna.

– Od generała Bendera. Lubi opowiadać o lataniu i o naprawę męskich sprawach.

Turner popatrzyła na Shawa.

– A sprawia wrażenie takiego łagodnego, rozsądnego, cywilizowanego. Jaki jest naprawdę?

Shaw w odpowiedzi wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia.

Rozdział dziewiąty

Waszyngton

Kiedy burza śnieżna ponownie zaatakowała w sobotę po południu, Robert Bender właśnie sprzątał podjazd. Śnieg ciągle padał, on ciągle sprzątał i wkrótce zaczął traktować to zajęcie jak osobiste wyzwanie. W końcu jednak się poddał i pokonany, stanął oparty o stylisko łopaty. Martwił się – Nancy poszła na noc do szpitala na wolontariuszowski dyżur i nie podobało mu się, że zostanie tam odcięta od świata. Pomyślał trochę i po chwili się uśmiechnął. Lubił takie wyzwania. Po kilku minutach tylne koła jego forda explorera były już zaopatrzone w łańcuchy.

Wyjrzał na ulicę, zapatrzył się w tumany wirującego śniegu i pomyślał o zimie, którą spędzili w Bazie Sił Powietrznych Offutt pod Omaha, w stanie Nebraska. Poszedł do piwnicy i tak długo grzebał w pudłach i skrzynkach, aż znalazł drugi komplet łańcuchów. Założył je na przednie koła samochodu, potem wrzucił na tylne siedzenie łopatę, dwa koce, „zestaw przeżycia” i termos z gorącą zupą. Na koniec zadzwonił z telefonu komórkowego do Nancy.

– Co u ciebie? – spytał.

– Nic się nie dzieje – odparła. – Nie możemy wyjechać do nikogo i nikt nie może dojechać do nas.

– Przyjadę do ciebie.

Roześmiała się.

– Robert Ratownik! Wiem, że cię swędzi, by skorzystać z explorera, ale mam tu wszystko co trzeba. Może poczekaś do rana, aż oczyszczą ulice?

– Nic mi nie będzie. Zaraz jadę. Zadzwonie, gdybym utknął.

Wolałaby, żeby został w domu, ale po dwudziestu ośmiu latach małżeństwa doskonale znała charakter męża i wiedziała, że nic z tego, powiedziała więc tylko:

– Bądź ostrożny.

Z łańcuchami na kołach explorer zmieniał się w czołg. Bender bardzo szybko znalazł się za mostem przy Capitol Street. Prawdziwa walka zaczęła się po wjeź-

dzie do miasta, jednak pchając się dokładnie środkiem ulic, w jakim takim tempie posuwał się do przodu. Dwa razy musiał zepchnąć z drogi porzucone samochody, raz wpadł w taki poślizg, że zniosło go na chodnik. Był z siebie ogromnie zadowolony, choć mina mu nieco zrzedła, gdy epicentrum burzy objęło śródmieście i tu się zatrzymało. Wicher szarpał samochodem, a gęsty śnieg lepił się do wycieraczek, prawie uniemożliwiając ich pracę.

Zatrzymał się, by ustalić pozycję za pomocą GPS-u, który dodał do „zestawu przeżycia” – systemu nawigacji satelitarnej, potrafiącego z dowolnego punktu na Ziemi określić z dokładnością do kilkunastu stóp własną pozycję. Okazało się, że stoi osiem przecznic od szpitala. Właśnie miał ruszać, kiedy ktoś zapukał w boczną szybę. Dłoń zdrapała śnieg i w czystym kawałku szyby pojawiła się obsypana śniegiem twarz ciemnoskórej kobiety. Coś krzyczała, ale tak niezrozumiale i bezładnie, że nie dało się zrozumieć wiele więcej poza tym, że jest przerażona.

– Czego pani chce? – odkrzyknął Bender. Coś kazało mu zachować ostrożność; wewnętrzny system alarmowy ostrzegał, że gdzieś blisko mogą być kłopoty. Kobieta znów coś krzyczała, ale i tym razem nie mógł jej zrozumieć. Ruszył powolutku przed siebie i wtedy zrozumiał, co Murzynka chciała mu powiedzieć:

– Mój mąż... musi do szpitala...

Decyzja Bendera nie była przemyślana, wynikała z odruchu, zakorzenionego w jego naturze, z wielu lat podejmowania natychmiastowych decyzji i odpowiedzialności za innych ludzi. Otworzył drzwi.

– Gdzie on jest?

– Tam. – Kobieta wskazała na samochód, przyciśnięty całą długością do innego, zaparkowanego przy krawężniku.

Bender wysiadł i podszedł do wskazanego wozu. Otworzył tylne drzwi i zobaczył leżącego na siedzeniu, zgiętego w pół mężczyznę.

– Co mu jest? – krzyknął do kobiety, równocześnie wyciągając półprzytomnego mężczyznę z samochodu.

– Nie wiem – odparła. – Zgięło go i tyle.

– Proszę spróbować zgarnąć śnieg z przedniej szyby, ja go wsadzę do wozu – zakomenderował. Kobieta wspięła się na maskę explorera i zaczęła gołymi rękami zdierać białą warstwę. Po chwili Bender krzyknął: – Jedziemy! – Kobieta, zeszytniała z zimna, nieporadnie zesza z maski i wdrapała się na tylne siedzenie forda. Kiedy zatrasnęły się drzwi, Bender nastawił ogrzewanie na maksimum. Gdyby nie strumień gorącego powietrza, chyba nic nie uratowałyby ich przed wychłodzeniem. Zadzwoił do szpitala, gdzie obiecano przygotować nosze i sanitariuszy, którzy mieli czekać w wejściu na oddział nagłych wypadków.

Po kilku minutach byli na miejscu. Pozbywszy się pasażerów, Bender przechnął się przez coraz wyższe zasy na parking i zostawił explorera na pierwszym wolnym miejscu. Włożył wełnianą marynarską czapkę, naciągnął na głowę kaptur i przebijając się przez sięgający już niemal do połowy łydek śnieg, wrócił na piechotę do szpitala. Nancy czekała na niego w wejściu na oddział nagłych

wypadków. Popatrzyła na niego w sposób, jaki urzekł go już przy ich pierwszym spotkaniu.

– Nanuk Eskimos, brnący przez wieczne śniegi na ratunek – powiedziała. Skinęła głową w kierunku owiniętej kocem kobiety, siedzącej na ławce z kubkiem kawy w rękę. – Uratowałeś życie jej mężowi. Miał ostre zapalenie wyrostka robaczkowego. – Ruszyła korytarzem, a Bender bez słowa poszedł za nią. Po chwili doszli do jej dyżurki. – Niewiele dziś się dzieje. Całe popołudnie jest spokój. – Wzięła od niego płaszcz i powiesiła w szafce. – Chodź, oprowadzę cię. – Obdarzyła go uśmiechem, jakiego nie widział u niej od tygodni.

Gdy tak szli przez szpital, opowiadała o wszystkim po kolei jak zawodowa przewodniczka. Starł się chłonać każde słowo, zwłaszcza że w głosie Nancy pojawił się dawno nieobecny, pogodny ton. Jej entuzjazm był zaraźliwy i wkrótce Bender nabrał pewności, że mroczne dni, które nastąpiły po śmierci Laurie, mają za sobą. Nawet zapomniał o tym, że ich córka była w ciąży. Mimo wszystko nie mógł się pozbyć wrażenia, że coś między nimi jest inaczej niż zwykle.

Zapisał pager Nancy i spiesznie ruszyli w drogę powrotną.

– To Shalandra, jedna z moich pacjentek – wyjaśniła Nancy po drodze. – Włączyliśmy ją do eksperymentalnego programu, mającego za pomocą odpowiednich szczepień zmniejszyć głód kokainy i stopień uzależnienia. Aby metoda zadziałała, dziewczyna musi mieć odcięty dostęp do narkotyku; niestety żyje w patologicznym związku i nie może się z niego wyrwać.

Kiedy dotarli do telefonu, Nancy natychmiast oddzwoniła. Bender stanął z boku i słuchał.

– Zadzwoń na policję? – mówiła Nancy. – Prawdopodobnie nie mogą się przebrać przez śnieg... Zajmiemy się tobą, jeśli przyjedziesz... Skoro uważasz, że chce cię zabić, wyjdź z domu... Nie, Shalandra. Nie ma możliwości, żebym po ciebie przyjechała.

– Ja po nią pojadę – wtrącił Bender.

Nancy zakryła słuchawkę dłonią.

– To zbyt niebezpieczne. Musi ją przywieźć policja.

– Mignął mi w kawiarni mundur gliniarza. Jeśli pojedzie ze mną, sprawa załatwiona.

Nancy pokręciła głową.

– Jej dzielnica to nie jest normalne miasto, tylko strefa wojny, nawet przy tej śnieżycy.

– W budynkach może tak, ale nie na ulicy. Nie przy takiej pogodzie. Powiedz dziewczynie, że jeśli wyjdzie na ulicę, zabierzemy ją.

Nancy popatrzyła na męża. Wiedziała, że nigdy się nie zmieni.

– Bądź ostrożny – poprosiła.

* * *

– Niech pan skręci tutaj – poleciła posterunkowa Elena Murphy, wskazując na lewo. Była wysoka i szczupła, choć w puchowej kurtce wyglądała jak nadmuchiwana. Bender parł przez śnieg, ledwie widząc środek ulicy.

– Ostatni raz posłuchałam kretyńskiego białasa... – mruknęła policjantka. Zerknęła na nią kątem oka.

– Murphy, wydaje mi się, że zrobiłabyś to ze mną albo beze mnie. Zamiast odpowiedzieć, pokazała trzypiętrowy budynek.

– Tam, obok schodów – poinformowała.

Zjechała na prawo. Z zasłony śniegu zmaterializowała się drobna postać. Shalandra spróbowała ruszyć biegiem, ale śnieg był zbyt głęboki. Potknęła się i upadła. Murphy wysiadła z samochodu i ruszyła w kierunku leżącej. W tym momencie Bender usłyszał wściekły męski wrzask:

– Co ty, kurwa, wyprawiasz, suko?! – Potem rozległy się dwa strzały i Murphy też upadła. Bender zobaczył wielką, niewyraźną sylwetkę strzelającego – schodził ze schodów. Po chwili był już na dole i chwiejnym krokiem ruszył ku leżącemu w śniegu kobietom. Szarpał zamek trzymanego w rękę pistoletu, który najwyraźniej się zablokował; wiatr przynosił strzępy plugawych przekleństw: – ... mnie, kurwa, wyrolować! ... Zaraz cię, kurwa, załatwię... – Jeszcze raz szarpała za zamek, ale nic to nie dało. Kucnął za zaparkowanym samochodem i dalej majstrował przy broni.

Bender nie wahał się ani sekundy. Wcisnął gwałtownie gaz i ostro szarpała kierownicą w prawo. Łańcuchy wgrzyzły się w śnieg i tyłem auta zarzuciło, za to jego przód skierował się dokładnie na samochód, za którym krył się bandzior z pistoletem. Na ułamek sekundy wystawił głowę zza osłony, ale natychmiast schował się z powrotem. Ford Bendera z impetem huknął w bok samochodu przed nim i wepchnął go na chodnik. Nawet jeśli rozległ się krzyk, zagłuszył go zgrzyt rozrywanego i trącego o chodnik metalu. Bender wrzucił wsteczny i cofnąwszy się kilka metrów, zobaczył Murphy, która usiłowała się podnieść, ciągnąc znacznie mniejszą od siebie Shalandrę. Bender przechylił się do prawych drzwi i otworzył je. Murphy w tym czasie doszła do wozu, otworzyła tylne drzwi i zaczęła układać Shalandrę na tylnym siedzeniu. Dziewczyna, szczupła i drobna, miała zakrwawioną i posiniaczoną twarz, a do prawego ucha przyciskała przesączoną krwią szmatę. Po chwili Murphy też była w środku i mogli ruszać.

– Myślałem, że pani nie żyje.

– Na takie właśnie okazje nosimy kamizelki. Cholera, nowiutka kurtka! – W wiatrówce widniały dwie dziury. Gdyby nie miała na sobie kamizelki kuloodpornej, już by nie żyła. – Powinam obciążyć pana kosztami.

– Załatwione, ale pod warunkiem, że powie mi pani, jak wrócić do szpitala. Murphy obdarzyła go pełnym obrzydzenia spojrzeniem.

– Wie pan, że zrobiliśmy to dla czternastoletniej czarnej dziwki?

– Czy to ważne, kim jest?

Murphy przez chwilę nie odpowiadała.

– Naprawdę jest pan generałem? – spytała w końcu.

– Tak na mnie mówią.

Pokręciła głową.

– Ostatni raz posłuchałam durnego białasa.

Bender lekko się uśmiechnął.

– Już to mówiłaś, Murphy.

* * *

Nancy popijała kawę.

– Robi się z ciebie bohater – zauważyła.

Bender oparł się wygodnie na krześle, wyciągnął długie nogi i omiół wzrokiem pustą szpitalną kawiarnię. Było po północy, dopiero co wyszła policja – po godzinnym szczegółowym przesłuchaniu.

– Lubię publiczność, co umie docenić człowieka. Jedziesz do domu?

Nancy popatrzyła na męża.

– Tak. Nie.

Uśmiechnął się.

– Wygląda to na problem decyzyjny.

Wyciągnęła rękę i dotknęła grzbietu jego dłoni. Był to ciepły, pełen miłości gest, oznaczający, że chciałyby poważnie porozmawiać.

– Czy w dalszym ciągu myślisz o przejściu na emeryturę? – spytała. – W szpitalu zaproponowano mi etat w poradni psychologicznej.

– I chciałybyś go przyjąć – powiedział. Nie było to pytanie, raczej stwierdzenie; zbyt dobrze znał swoją żonę.

– Mogłabym sporo tu zdziałać – szepnęła. Patrzyli na siebie. Znowu zobaczył w jej oczach ból, który ostatnio tak skrzętnie skrywała. – Bardzo mi to potrzebne.

– Wiem, ale w tym mieście czuję się jak ryba wyjęta z wody. – Odchrząknął. – A raczej jak wyrzucony na brzeg wieloryb, który zaraz zostanie przerebiony na tran. Musimy stąd wyjechać.

Mocno objęła jego dłoń i znów popatrzyli sobie w oczy.

– Chciałabym zostać.

Po raz pierwszy w ich wspólnym życiu drogi małżonków się rozchodziły. Bender westchnął i powiedział tylko:

– Jedźmy do domu.

Okinawa

Dużo można zobaczyć ze szczytu Habu Hill, porośniętego trawą wzgórza; jest stamtąd świetny widok na pole wlotów Kadeny. Pasy startowe, których równoległe betonowe wstęgi rozciągają się w prawo i w lewo na ponad dwie mile, znajdują się na północ od wzgórza; większość obsługi naziemnej działa na wschód od niego – wokół hangarów, przykrytych specjalnymi żelbetowymi kopułkami stanowisk gotowości dla samolotów, oraz budynków, mieszczących personel trzech eskadr F 15. Na zachodzie – jakąś milę od wzgórza – migocze w słońcu Morze Wschodniochińskie, a za pasami startowymi na północy znaj-

dują się następne budynki i hangary oraz ogromny betonowy parking, teraz praktycznie pusty.

Niewielka tablica na wzgórzu Habu informuje, że zostało ono nazwane na cześć samolotu rozpoznawczego SR-71, który operował z Kadeny, aż do wycofania go ze służby w 1990 roku. Dwusilnikowy SR-71 Blackbird został nazwany Habu ze względu na podobieństwo tej szpiegowskiej maszyny do spotykanej na wyspie śmiercionośnej czarnej żmii.

Wietrznego poranka we wtorek ósmego stycznia od strony Morza Wschodniochińskiego pojawił się i zaczął podchodzić do lądowania czarny, podłużny kształt. Kiedy w końcu wylądował na pasie numer pięć, na wzgórzu nie było żadnego obserwatora. Za wysmukłym ciemnym kształtem wybrzuszył się czerwono-pomarańczowy spadochron hamujący; naddźwiękowa maszyna zwolniła, potoczyła się powoli i po kilku minutach stanęła w miejscu. Pilot zrzucił spadochron i pokołował w kierunku położonego na północ od bazy starego hangaru „Little Creek”. Wkrótce do niego wjechał.

Habu, przywrócony do służby ostatni z trzech SR-71, wrócił do domu i schował się bezpiecznie do gniazda.

Niecałe sto pięćdziesiąt stóp od hangaru Habu, przy wejściu do budynku, na generała brygady Martiniego czekał przygarbiony, rzadko widujący światło dzienne kapitan lotnictwa. Na budynku nie było żadnej tablicy informacyjnej ani znaków kodowych, mówiących cokolwiek o jego przeznaczeniu; nawet Martini nie wiedział dokładnie, jakiego rodzaju informacje wywiadowcze są w nim zbierane. Na szczęście kapitan zaczął wyjaśniać:

– Zdjęcia właśnie wychodzą z automatu wywołującego – powiedział. Przeprowadził Martiniego przez dwoje specjalnie zabezpieczonych drzwi. Weszli do dużego pomieszczenia, stanęli przed ekranem i czekali, aż film o wysokiej rozdzielczości wysunie się z maszyny. – Tylko SR-71 jest w stanie tak szybko dostarczyć zdjęcia, w dodatku najdokładniejsze z możliwych – wyjaśnił kapitan. Ustawił nieruchomo jedną klatkę i gwizdnął. – Jasna cholera! Niech pan tylko popatrzy! – Przesunął obraz na następną klatkę. – Generale, nie jest dobrze. Po zbliżeniu się do Tajwanu zeszłego sierpnia Ludowa Armia Wyzwolenia ani na chwilę się nie wycofała. – Wskazał na statki, stojące w porcie Fuzhou na wysokości Tajwanu, i zaczął głośno liczyć: – Teraz sprowadzili pięć, sześć, nie, siedem następnych okrętów bojowych. – Maszyna znów zaterkotała i zaczęły migać następne zdjęcia. Po chwili kapitan zatrzymał film na klatce pokazującej bazę lotniczą niedaleko tajwańskiego miasta Tajpej. – Niemal podwoili liczbę samolotów rozmieszczonych na terenie naprzeciwko nas. – Przesunął jeszcze kilka klatek i zwolnił przy zdjęciu składu materiałów. Oglądając je, mruzczał pod nosem. Kiedy skończył, wcisnął przewijanie i film zaczął się cofać. – Generale, musimy przekazać to jak najszybciej do Omahy.

– Co stwierdziliśmy?

– Skok ilościowy w ich potencjale ofensywnym. Odnoszę wrażenie, że to ostateczny sygnał o ich zamiarach.

Martini po wyjściu z budynku pojechał Perimeter Road, objechał pasy startowe od zachodu, wzgórze Habu i wrócił do swojej kwatery. Wystarczyło odje-

chać kawałek od właściwego lotniska, a baza zmieniała się w miasteczko o nieskazitelnie czystych domkach i idealnie ostrzyżonych trawnikach. Martini jechał powoli, zdając sobie w pełni sprawę z tego, że dowodzi operacją za sześć miliardów dolarów i jest odpowiedzialny za siedem tysięcy trzystu żołnierzy i oficerów oraz jedenaście tysięcy członków ich rodzin. Była to wielka i bardzo rozbudowana baza lotnicza i – jak na razie – żyła sobie szczęśliwie. On jednak nie był zadowolony – instynkt mówił mu, że należy jak najszybciej wprowadzić stan gotowości bojowej. Co jednak, jeżeli się okaże, że źle zinterpretował sygnały? Wolał o tym nie myśleć, było bowiem jasne, że gdyby popełnił błąd, natychmiast zjawi się tysiąc prokuratorów, by poprowadzić dochodzenie, które zakończy jego karierę.

Jakie jednak będą konsekwencje, jeżeli nie zaczniesz działać? Na szczęście, również na to pytanie znał odpowiedź. Płacono mu za to osiemdziesiąt siedem tysięcy dolarów rocznie.

Waszyngton

Kiedy Bender przyszedł do pracy tego samego wtorku, na jego biurku leżała gazeta. Artykuł na stronie trzeciej, zakreślony czerwonym flamastrem, opisywał, jak to generał broni Robert Bender wraz z posterunkową Eleną Murphy w trakcie największej śnieżycy uratowali na ulicy czternastoletnią czarną prostytutkę. Dziewczyna, której nazwiska nie podano z powodu ustawy o ochronie młodzieży, została poturbowana przez swego alfonsa. Zanim udało jej się uciec, próbował obciąć jej prawe ucho. Potem alfons zaczął ją ścigać i oddał do posterunkowej Murphy dwa strzały, trafiając ją w klatkę piersiową. Na szczęście policjantka miała na sobie kamizelkę kuloodporną, a samopowtarzalny pistolet sprawcy (kaliber dziewięć milimetrów) akurat się zaciął. Bender użył swojego samochodu jako tarana i wepchnął na alfonsa zaparkowany pojazd. Posterunkowa Murphy zeznała, że dzięki natychmiastowemu działaniu Bender uratował jej życie. Zamarznęte ciało alfonsa znaleziono następnego dnia; jeszcze trzymał w ręku broń, z której przedtem strzelał. Badanie balistyczne potwierdziło, że wyjęte z kamizelki posterunkowej Murphy pociski pochodzą ze znalezionej przy zwłokach pistoletu. W sprawie nie zamierza się stawiać nikomu zarzutów.

Aczkolwiek niechętnie, Bender musiał przyznać autorowi artykułu, że przedstawił wydarzenia zgodnie z prawdą. Nie w ten jednak sposób chciał trafić do gazet.

- Mogę wejść, sir? – rozległo się od drzwi. Stał w nich Brian Turner. Trzymał pod pachą instrukcję obsługi F 16 i niecierpliwie przestępował z nogi na nogę.
- Chodź! – ucieszył się Bender, robiąc zapraszający gest.

Brian wyraźnie walczył z emocjami i nie umiał dobrać odpowiednich słów. Człowiek, który przed nim siedział, nie pasował do telewizyjnych wizerunków ani do młodzieżowych wyobrażeń typowego generała.

- Widziałem artykuł w gazecie – zaczął. – Piszą, że zabił pan człowieka.

Bender popatrzył na czternastolatka. Musiał się chwilę zastanowić, co odpowiedzieć.

– Chciał zastrzelić osobę, z którą byłem, Brianie – powiedział po chwili. – Nie miałem wyboru.

– Chciałem... tak sobie myślałem... – wykrztusił Brian. Bender cierpliwie czekał, nie chciał popędzać chłopca. – Co pan o tym sądzi? To znaczy... – Nie dokończył zdania. Chciał o tym porozmawiać, nie bardzo chyba jednak wiedział, jak się do tego zabrać.

– Nie miałem czasu się zastanawiać – zapewnił go Bender.

– A gdyby popełnił pan błąd albo jego pistolet się nie zaciął?

Bender wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Nasze życie jest pełne wątpliwości, ale musimy robić to, co jest w danej chwili najlepsze.

– Chciałbym tam wtedy być.

– Po co?

– Tutaj nic się nie dzieje. Wszyscy tylko gadają. – Położył na biurku książkę. – Czy MiG 29 jest lepszy od F 15?

Widział taśmę, przeleciało natychmiast Benderowi przez myśl. Pokręcił głową.

– Jest dla F 15 poważnym zagrożeniem, ale nie jest od niego lepszy. – Wskazał na książkę. – Jeśli chcesz, możesz ją zatrzymać.

– Mama kazała mi ją oddać. W każdym razie dziękuję. – Obrócił się na pięcie i wyskoczył na korytarz. Bender osunął się na oparcie krzesła. Czyżby przekroczył wobec Briana dozwoloną granicę?

Zadzwonił telefon, przerywając tę myśl. Dzwoniła Alice Fay, sekretarka Shawa.

– Za dwadzieścia minut rozpocznie się spotkanie „gabinetu kuchennego” – poinformowała i dodała: – Generale, jesteśmy z pana dumni.

– Dziękuję, ale znalazłem się tam przypadkiem. – Kiedy odwiesił słuchawkę, pomyślał, że powinien był to powiedzieć Brianowi.

* * *

Kiedy Bender wszedł do jej prywatnego gabinetu, Madeline O'Keith Turner uniosła ku niemu wzrok. Była zadowolona, że przyszedł jako pierwszy.

– Kawy? – spytała z uśmiechem, widząc, że generał idzie do wózka z napojami. Fascynujący człowiek, pomyślała. Jeszcze nigdy nie spotkała kogoś takiego jak on. Był inteligentny, kulturalny i nie pasował do jej wyobrażenia „militarnego robota”. Mimo to był częścią systemu, którego nienawidziła i którego się obawiała. Był w stanie bez namysłu zabić człowieka i rozkazać innym ludziom – może nawet jej synowi – poświęcić życie w walce. Czy kiedykolwiek zrozumie takich ludzi jak on?

Wszedł wiceprezydent razem z Noreen Coker.

– Sam – tłumaczyła mu kongresmanka – prędzej czy później zrozumiesz, że duże jest piękne.

– Jeśli o ciebie chodzi, wiem to od lat – odparł Kennett.

Tuż za nimi weszli Richard Parrish z Maurą O'Keith. Teraz „kuchenny gabinet” prezydent Turner był w komplecie.

– Zanim zaczniemy rozmawiać o podatkach – powiedziała Turner – chciałabym dowiedzieć się czegoś z innej beczki. – Członkowie grupy nalewali sobie kawę i równocześnie słuchali. – Co wojskowi mają na myśli mówiąc „chudo a ostro”?

Pytanie było skierowane do Bendera; wszyscy zamilkli, czekając, aż odpowie.

– Jakby to powiedzieć... chyba oznacza to posiadanie właściwej proporcji zębów do ogona, to znaczy siły bojowej – zębów, w stosunku do zaplecza – ogona.

– Człowiek niewielu słów – mruknęła Coker. – A co warunkuje wielkość zębów?

– Zagrożenie – odparł Bender.

– Które zdecydowanie zmałało – powiedział Parrish.

– Zmieniło się – przyznał Bender.

– Chciałabym, by armia stała się chudsza i ostrzejsza – powiedziała Turner. – W jaki sposób mogę nią potrząsnąć, aby do tego doprowadzić?

– Pani prezydent – wtrącił Parrish – na pewno wstrząśnie ich pani cięciami budżetowymi.

– Czy trzydzieści procent w ciągu dwóch lat to dość? – spytała Turner.

– Niekoniecznie przez spadek kosztów da się uzyskać pożądaný efekt – zaproponował Bender. – Niech pani porozmawia o tym z generałem Overmeyerem.

– Overmeyer... – prychnęła Turner. – Jeśli się go nie zmusi, nawet nie będzie słuchał.

Zanim Bender zdążył zaprotestować, włączyła się Maura.

– Maddy, musimy porozmawiać o podatkach. To znacznie ważniejsze.

Turner skinęła głową.

– Masz rację. Na czym stanęliśmy?

– Pani prezydent – odezwał się Kennett – może najpierw posłuchamy o mniej miłych stronach reformy podatkowej?

– Jestem za, pani prezydent – powiedziała Coker. – Pracuję z Patrickiem nad naszą strategią legislacyjną i sądzę, że zanim ruszymy dalej, powinna się pani dowiedzieć, co on ma do powiedzenia.

Turner skinęła głową i Kennett zadzwonił po Shawa. Cztery minuty później Patrick Shaw stał w drzwiach, zdyszany i zaczerwieniony od szybkiego marszu z zachodniego skrzydła.

– Masz podobno pewne zastrzeżenia co do pomysłu zreformowania systemu podatkowego – przywitała go pani prezydent.

– „Pewne zastrzeżenia” to bardzo łagodne określenie – stwierdziła Coker.

Mina Shawa przypominała Benderowi niegrzecznego ucznia, którego przyłapano na paleniu papierosów w męskiej ubikacji. Choć w przypadku Shawa należałoby raczej powiedzieć, że w damskiej.

– Przepraszam, pani prezydent – wymamrotał Shaw – ale zasięgałem w różnych miejscach opinii. Co ta reforma pani da?

– To nie mnie ma ona coś dać.

– Więc niech pani da sobie z nią spokój.

– Panie Shaw – wtrąciła Maura łagodnym tonem – czy próbował pan kiedyś utrzymać rodzinę mając do dyspozycji minimalną pensję? To niewykonalne.

Bender zauważył kątem oka, że pani prezydent kiwa głową, przytakując słowom matki, i zrozumiał, dlaczego Maura jest członkiem tej grupki. Była kompasem Turner, ogniwem łączącym ją z milionami ludzi, żyjącymi od wypłaty do wypłaty, czekającymi na nieprawdopodobny uśmiech losu, wierzącymi w obietnice polityków.

– Patricku, już o tym rozmawialiśmy – powiedziała zniecierpliwiona Turner. – Trzeba przeprowadzić reformę.

– Pani prezydent, jeśli gram w kości, nie chcę, by były fałszowane.

– Ale tylko, kiedy ty masz rzut, koleś – warknęła Coker chrapliwym, agresywnym akcentem z biednej murzyńskiej dzielnicy.

Shaw pokręcił głową.

– Gram tylko wtedy, jeśli uważam ... jeśli jestem pewien, że mam szansę wygrać. Proszę zadać sobie pytanie, jakie są szanse wygrania tej rozgrywki?

– To polityka, a nie gra w kości, Patricku – przypomniała Turner.

– Ale reguły są podobne. Rzuci pani kości w sprawie reformy podatków i kto stanie dzięki niej po pani stronie? Podobno ma na niej skorzystać przeciętny Amerykanin. Widziała go pani kiedyś? Jak on wygląda? Wystarczy zacząć używać słów „uczciwy” i „przeciętny”, by zostać skazanym na porażkę.

– Większość ludzi uważa, że uczciwość i przeciętność to ważne sprawy – sprzeciwiła się Maura.

Shaw ponownie pokręcił głową.

– Przeciętni są wszyscy naokoło; ja i moja rodzina jesteśmy inni, lepsi od tego głaba sąsiada. Uczciwość? Dla ludzi liczy się to, co im się należy. W nosie mają uczciwość.

Turner wstała i zaczęła chodzić po gabinecie.

– Mimo wszystko to dobry pomysł. Dzięki restrukturyzacji systemu podatkowego zaoferujemy ludziom więcej miejsc pracy.

Shaw rozkręcał się. W tym temacie czuł się pewnie i kompetentnie.

– Świetnie, rzućmy więc kości i zastanówmy się, jak gra się potoczy. Istnieje całkiem sporo ludzi, którzy w trakcie kampanii wyborczej kupują sobie sowitymi datkami prawo do wtrącania swoich trzech groszy. Każdy z nich będzie hamował reformę jak tylko się da, by wymusić specjalne ulgi dla siebie. Pani prezydent, na początek mamy biało-zielonych.

– Białozielonych? – zdziwił się Bender.

– Siwe włosy i masa zielonych dolarów – wyjaśnił Parrish. – Wiemy coś o nich w ministerstwie finansów.

– Problem z nimi polega na tym, że są zorganizowani, i to jeszcze jak! Wiadać to przy każdym głosowaniu. Zezłość ich, a wykopią cię na zbity pysk. Przeżyli Watergate i wieją jak poparzeni przed Ponurym Kosiarzem, więc jeśli się zdenerwują, nie będą czekać do następnych wyborów. W świętych korytarzach Kongresu już zaczynają się pojawiać pierwsze szeptki o „postawieniu w stan oskarżenia”. Będą chcieli, by wszystko, co mają, zostało obłożone niższym podatkiem – najlepiej zerowym. Kolejne trzy grosze będą chciały wtrącić związki. W końcu ich ludzie też głosu-

ją, nie wspominając o tym, że to, co dają pod stołem, pozwala w trakcie kampanii działać w zgodzie z ustawą finansową. Zrozumiały, że ich będzie korcić. Poza tym wrota stodoły już od dawna są otwarte i paniczna ucieczka trwa. Kto z pięćsetki najbogatszych zwieje następny? Nawet w przyprawie odwagi...

– Ostatni miał trzeciego sierpnia sześćdziesiątego dziewiątego roku... – mruknęła Noreen Coker.

– ...nie śmiem myśleć, co zrobią kompanie naftowe. Nawet jeśli zabiorą głos najmłodszy i najbardziej uspołecznieni członkowie zarządu, nie powiedzą nic miłego. Bez trudu mogą sobie wyobrazić milowe kolejki po benzynę. A co z drobnym biznesem? Zakałą Amerykańskiego Marzenia?

– Chyba chciał powiedzieć „chwałę” – teatralnie szepnął Parrish.

– Nie, chodzi mu o „zakałę” – odparła Coker. – Forsa na wybory od drobnego biznesu to marzenie ściętej głowy. Nie wydusił z nich ani grosza.

Shaw rozpędzał się coraz bardziej.

– A co z czarnymi? Z Meksykanami, Portorykańczykami, Kubańczykami? Co ze złymi białymi samcami? Co z rolnikami, którzy mogą przeżyć jedynie dzięki ulgom podatkowym? O bankierach już nawet nie wspomnę, ale co z wiecznie niezadowolonymi zagranicznymi biznesmenami, inwestującymi w starych dobrych Stanach tylko ze względu na obecną strukturę podatkową? Nie głosują, ale wiedzą, jak kupować kongresmanów. A ci są dzisiaj bardzo tani... – Patrick Flannery Shaw stał przed swoją prezydent z przekrzywioną głową, ubranie miał w nieładzie. Rozpoczął ostatni apel. – Pani prezydent, pomoże pani wszystkim i nie pomoże nikomu. Najgorsze zaś, że nie pomoże pani sobie. Wszyscy pragną rozmawiać o reformie podatkowej, ale nikt jej tak naprawdę nie chce. Najmniej – z całym szacunkiem – pani.

– Mylisz się, Patricku. Chcę tej reformy.

Shaw skinął głową i zrobił smutną minę. Dostał szansę, powiedział swoje i przegrał. Czy już czas zająć się minimalizowaniem strat?

– Czy jestem jeszcze potrzebny?

Turner pokręciła głową i Shaw wyszedł, planując następną rozmowę telefoniczną.

– No cóż, nic w końcu nie zrobiliśmy – stwierdziła Turner. – Sam, chciałabym, byś pokierował tym dalej. Korzystaj z podległych mi urzędników, kiedy tylko chcesz, i nadaj sprawie najwyższy priorytet. Najwyższy czas dowiedzieć się, kto tak naprawdę jest przeciwko nam.

Spotkanie było skończone. Bender wyszedł pierwszy. Noreen Coker została.

– Sądzę, że ma pani rację, jeśli chodzi o Departament Obrony – powiedziała – ale ci generałowie, których znam, nie będą słuchać baby gadającej o chudym i ostrym wojsku. Przynajmniej do momentu, póki nie zmusi się ich do słuchania. A Shaw miał rację, że reforma napotka zmasowany opór. Musimy orientować się na bieżąco, co myśli opozycja.

– Ma pani jakiś pomysł, jak to zrobić?

Coker skinęła głową i zaczęła mówić.

Rozdział dziesiąty

Waszyngton

W środę po burzy śnieżnej Bender przeszedł przez zachodnią bramę dokładnie o siódmej rano. Wielu skierowanych do Białego Domu robotników wracało po dwóch dniach płatnego urlopu, który podarowała im śnieżycą. Wszyscy rozpoznawali generała, jeden z ogrodników nawet mu pomachał.

– Widziałem pana w gazecie, generale. W życiu nie pojechałbym do tamtej dzielnicy.

– Ma pan znacznie więcej ikry ode mnie – powiedział inny.

– Niezły sposób, by dostać się na drugą stronę – stwierdził elektryk.

Bender uśmiechnął się. Polubił tych prostych ludzi o niewyparzonych językach.

– Znalazłem się tam przypadkiem – powtórzył po raz nie wiadomo który, co wywołało chór komentarzy o kapryśnych zrzędzeniach losu.

Zatrzymał go stojący przy bramie strażnik.

– Dzwoniła Alice Fay – powiedział. – Jest pan potrzebny w gabinecie pana Shawa. Jak najszybciej.

Bender podziękował i szybkim krokiem poszedł prowadzącą do zachodniego skrzydła ścieżką.

Zanim jeszcze Alice Fay zdążyła wziąć od niego płaszcz, z gabinetu dobiegł głos Shawa:

– Cześć, chłopcze, miło, że tak chyżo przybiegłeś!

Słyszac tego „chłopca” Bender poczuł ciarki przechodzące mu po plecach, ale nic nie powiedział i wszedł do gabinetu. Alice Fay spojrzeniem dodała mu odwagi i zamknęła drzwi.

– Właśnie dostałem telefon od Overmayera – powiedział Shaw miętosząc w dłoni jakąś kartkę. – Wygląda na to, że punkt dwunasta czasu Greenwich DIA wprowadziła WATCHCON III.

Bender popatrzył na zegarek. Było dwanaście po siódmej, a więc WATCHCON został wprowadzony dwanaście minut temu. Dlaczego nie powiesz o tym komu trzeba, pomyślał. Nie ze mną powinieneś o tym rozmawiać.

– Potem w centrum informacyjnym pojawiło się to – mruknął Shaw, podając mu karteczkę. – A w ogóle co to za cholerstwo, ten WATCHCON III?

– WATCHCON – wyjaśnił Bender – to informacja sporządzana przez mieszczące się w Pentagonie Narodowe Centrum Wywiadu Wojskowego Agencji Wywiadu Obronnego. Taka informacja jest wysyłana do wszystkich sił zbrojnych i można ją traktować jako ostrzeżenie wojenne, mające zapobiec drugiemu Pearl Harbor. Trójka to najniższy stopień.

– Co oznacza? – spytał Shaw, ale Bender nie odpowiedział i zaczął czytać komunikat:

Sily stacjonującej naprzeciwko Japonii chińskiej marynarki wojennej osiągnęły poziom operacyjny i są dalej wzmacniane. Na północnym Tajwanie zaobserwowano wzmoczoną aktywność sił lądowych i powietrznych. Obecne na miejscu niezbędne struktury logistyczne są szacowane jako wystarczające i przygotowane do działań operacyjnych. Obserwowane siły są rozlokowane w sposób mający wywierać nacisk na Japonię i mogą rozpocząć działania w każdej chwili przy maksymalnym skróceniu fazy ostrzegawczej. Najlogiczniejszymi obiektami operacyjnymi wydają się łańcuchy wysp w pobliżu Tajwanu, z Okinawą włącznie. DIA kontynuuje obserwację sytuacji.

– To znaczy – odparł Bender po przeczytaniu komunikatu – że ma pan zawiadomić panią prezydent i uruchomić Gabinet Sytuacyjny. Czas zwołać największych fachowców: DCI, sekretarza obrony, nowego sekretarza stanu, generała Overmeyera, doradcę do spraw bezpieczeństwa narodowego...

– Nie mamy doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego – przerwał Shaw. – Zapomniał pan?

– Ale jego biuro ciągle istnieje. Proponuję wezwać tego, kto teraz rządzi tamtym cyrkiem.

Shaw ponownie przeczytał komunikat.

– Gdyby sytuacja była poważna, DSO już by tu był z wrzaskiem – stwierdził. Mianem DSO określano oficera CIA do spraw ostrzegania przed zagrożeniem narodowym, którego niewielkie biuro zajmowało się zbieraniem informacji, mających zapobiec niespodziewanemu atakowi na USA. Od rozwiązania ZSRR w grudniu 1991 roku nie było jednak czemu zapobiegać. – Machałby mi przed nosem ostrzeżeniem o ataku, podając jakieś ściągnięte z sufitu, a raczej wysrane z własnego palca dane o jego prawdopodobieństwie. – Shaw uznał, że czas się zrewanżować. Tylko nie próbuj ze mną pogrywać, myślał, ale nic w jego głosie ani minie nie zdradzało, co naprawdę myśli. – Kogo chce pan zrobić w konia? Pan wie, ja wiem i cały zakichany Pentagon wie, że ten WATCHCON nie ma nic wspólnego z Chinami.

Bender poczuł na plecach lodowaty podmuch strachu. Z jakiegoś powodu Shaw nie zamierzał brać ostrzeżenia poważnie. Mający zapobiec powtórzeniu się Pearl Harbor system ostrzegawczy, stworzony z ogromną starannością podczas II wojny światowej, system, w który świadomie wbudowano dublowanie się ostrzeżeń, wła-

śnie się rozpadał. Zaciskając palce na brzegu biurka tak mocno, aż zbieleły mu kostki, Bender pochylił się do Shawa. Musiał zostać wysłuchany.

– DIA może i przesadnie reaguje na to, co widzi, może niekiedy się myli, ale nie żartuje. Nie dowcipkujemy, wydając ostrzeżenia o groźbie wojny.

– Jasne – parsknął Shaw. Podświadomie zareagował na ukrytą w postawie Bendera agresywność i pchnął fotel do tyłu, by się cofnąć i odsunąć od generała. Przez chwilę poważnie rozważał, czy nie wcisnąć kolaniem przycisku pod biurkiem; pięciu lub sześciu agentów tajnej służby wpadłoby wtedy do gabinetu z wyciągniętą bronią. Co się dzieje? – przemknęło mu przez głowę. Dlaczego się go boję? Nic mi przecież nie może zrobić. – Ego Shawa domagało się zniszczenia tego generała, tego... tego zera. – Nie widział pan wytycznych, jakie prezydent Turner wczoraj po południu przekazała wszystkim pańskim przełożonym. Spodziewałem się jakiejś kretyńskiej reakcji i powiedziałem jej o tym. To jednak przekracza wszelkie granice. Niech pan poradzi swoim szefom, by wzięli się w garść.

Bender wziął kartkę z dyrektywą prezydencką i przeczytał jej treść.

– Cholera... – mruknął po chwili. Przechylił się przez biurko do Shawa i z naciśkiem powiedział: – Niech pan zawiadomi panią prezydent i uruchomi Gabinet Sytuacyjny. – W jego głosie brzmiał taki autorytet, że nawet Shaw nie był w stanie oprzeć się poleceniu. – Natychmiast.

Shaw podniósł słuchawkę i wystukał numer.

– Uruchomić Gabinet Sytuacyjny – burknął, ciągle jeszcze nie przekonany do sensu tego, co robi. Wyrecytował listę ludzi, którzy mieli się tam natychmiast zebrać. Na dźwięk nazwisk sekretarza obrony Elkinsa i generała Overmeyera, Bender poczuł, że węzeł w jego żołądku mięknie.

– Poinformuję panią prezydent osobiście – mruknął i wstał. – Ale niech mi pan coś powie, Shaw. Co by pan zrobił, gdyby mnie tu nie było? – Słowa Bendera, który wcale nie oczekiwał odpowiedzi, głęboko uraziły szefa personelu, ale trzeba było wyraźnie uświadomić Shawowi jedną rzecz. – WATCHCON III może trwać wiele dni, nawet tygodni. Jeśli jednak ogłoszą stopień drugi, może być pan pewny, że niedługo nastąpi pierwszy. Warto być wtedy przygotowanym, ponieważ oznacza to, że w bliskiej przyszłości ktoś gdzieś zamierza rozpocząć wojnę. A gwarantuję panu, że jeśli ktoś dąży do wojny, to postawi na swoim.

Shaw spróbował posklejać swoją rozbitą godność. Od lat nikt tak się do niego nie odzywał.

– Geerale... – powiedział, a groźbę w jego głosie podkreślał ciężki południowy akcent – najwyraźniej wierzysz pan jak cholera w system ostrzegawczy DIA. Obys pan miał rację, bo inaczej skończysz pan jako karma dla psów.

– To nieistotne, czy mam rację, czy nie – odparował natychmiast Bender. – W tym biznesie docenia się zagrożenie.

Co to ma do cholery znaczyć? – dumął Shaw, podążając ku pokojom pani prezydent.

* * *

Korytarze w piwnicach zachodniego skrzydła zapelnily się ludźmi w mundurach i w cywilu – falował tu tłum ważnych urzędników, adiutantów i sekretarzy,

gotowych do natychmiastowej pomocy swym znajdującym się w Gabinetcie Sytuacyjnym szefom. Już kilka godzin temu z gabinetu Bendera zniknęło dodatkowo krzesło, a jakiś admirał dwa razy prosił o możliwość skorzystania z telefonu bez świadków. Kiedy admirał zjawił się po raz trzeci – z adiutantem niosącym zabezpieczony przed podsłuchem aparat telefoniczny – Bender bez słowa wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

Przepchnął się przez zatłoczony, ale cichy korytarz. Obecni – a było wśród nich sporo kobiet – czekali z mieszaniną podniecenia i niepokoju. Towarzystwo decydentom w sytuacji kryzysowej jest może ekscytujące, ale niesie ze sobą ciężar odpowiedzialności.

– Bob! – zawołał za Banderem generał Charles. – Niech pan zaczeka.

– Nie wiedziałem, że pan tu jest, sir. Mógł pan skorzystać z mojego gabinetu. Oddałem go wodolazom.

– Marynarka staje na głowie, by nie spieprzyć tej sprawy – odparł Charles. – Niech pan im pomaga jak może. – Rozejrzał się. – Musimy porozmawiać. Chodźmy do kantyny, może uda nam się tam znaleźć cichy kąt.

Bender poprowadził do sali, gdzie jadał personel; udało im się znaleźć wolny stolik pod ścianą.

– Właśnie wyszedłem z Gabinetu Sytuacyjnego – zaczął Charles, kiedy usiedli. – Wezwano mnie w związku z dyskusją o zdjęciu Martiniego. Co pan o tym sądzi?

Bender zastanowił się nad odpowiedzią. Nie miał w tej sprawie nic do powiedzenia, dlaczego więc Charles pytał akurat jego? Czyżby to ze względu na jego oddelegowanie do Białego Domu?

– Nigdy nie spotkałem Martiniego osobiście, zakładałem więc, że nawiązuje pan do raportu komisji powypadkowej – powiedział w końcu Bender. Charles w odpowiedzi skinął głową. – Czy, pomijając sprawę wypadku, można mu cokolwiek zarzucić? – Tym razem Charles pokręcił głową przecząco. Podszedł do nich kelner, więc zamówili wczesny lunch. Bender podjął przez ten czas decyzję. – Nie czas teraz na wyrzucanie dowódców – podsumował.

Charles lekko się uśmiechnął.

– To samo im powiedziałem. W przerwie rozmawiałem krótko z przewodniczącym. Nie powiedział wiele, ale jest jasne, że nie zgadza się z panią prezydent. Uważa, że to pan ponosi za to odpowiedzialność. – Chris ściszył głos i pochylił się do Bendera: – Jest pan w „gabiniecie kuchennym”. Jaka ona jest?

A więc o to chodziło. To dlatego Charles zdradził mu, że trwa dyskusja o Martinim. Nagle poczuł się strasznie głodny i rozmowa przestała mu się podobać.

– Przykro mi, generale, ale stracę dla pani prezydent jakąkolwiek wartość, jeżeli nie będę trzymał języka za zębami.

Charles patrzył na niego bez wyrazu.

– Może zależy jej, by zrobił pan kilka przecieków. Może właśnie po to tu pan jest.

Trzeba ją było zapytać, pomyślał Bender. Charles czekał na odpowiedź.

– Sir, ona jest moim dowódcą, więc mam związane ręce. Nie zamierzam jednak... – przerwał, zawstydzony, że tłumaczy się z dyskrecji i uczciwości.

– Nie zamierza pan czego? – spytał Charles. O dziwo, nie był wcale zły. Co tu jest grane? – zadał sobie pytanie Bender.

– Nie zamierzam wbijać noża w plecy przewodniczącemu.

Najwyraźniej to stwierdzenie zadowoliło Charlesa i zaczęli jeść. Kiedy skończyli, zapytał:

– Jak potraktowano WATCHCON III, kiedy dotarł do Białego Domu? – Byli na bezpiecznym gruncie, więc Bender krótko opowiedział, jak popędził kota Shawowi. – Domyśliłem się, że maczał pan w tym palce, kiedy usłyszałem, że Shaw używa pańskiego ulubionego powiedzenia.

– Jakiego ulubionego powiedzenia? – Bender nie wiedział nawet, że takie ma. Będzie musiał zapytać Nancy.

– „Należy doceniać zagrożenie” – zacytował Charles. – Co prawda DSO ma na ten temat nieco inny pogląd i bagatelizuje zamiary Chińczyków. Nie zamierza dawać żadnego ostrzeżenia przed atakiem. Twierdzi, że Chińczycy tylko potrząsają szabelką, by zaszkodzić gospodarce Japonii. Według DSO ma to być jedynie niewinne przedstawienie, a nie poważne działania... jak wszystko inne, co robili od przejścia Hongkongu.

Bendera naszło niemiłe podejrzenie. Czyżby Shaw miał jednak rację? Czyżby Overmeyer specjalnie użył WATCHCON-u do wymuszenia dialogu z panią prezydent?

– Kto ustalił moment rozpoczęcia obowiązywania WATCHCON-u? – spytał.

– Przewodniczący – odparł Charles.

– Akurat na godzinę, kiedy ja i Shaw przychodzimy do Białego Domu?

Charles uważnie mu się przyjrzał.

– Taa... chyba liczył na odpowiedni rozwój scenariusza.

– Może mu pan powiedzieć, że trafił, ale że Shaw jest wkurzony.

– Dlaczego miałby być wkurzony?

– Ponieważ go zmusiłem do podjęcia działań. Uważa, że Overmeyer ogłosił WATCHCON III w odwecie za wczorajszą dyrektywę prezydencką Turner.

– Shaw jest głupszy od kupy gówna – mruknął Charles. – Oczywiście, że przewodniczący jest wściekły z powodu tej dyrektywy. Wszyscy jesteśmy wściekli, ale nie zamierzamy nic z tym robić – aż do następnych wyborów. Przeżyliśmy jedną nieprzyjazną administrację, przetrzymamy i tę. – Wstał i zaczął się szykować do odejścia. – Wiem, jaki ma pan stosunek do „Thunderbirdów”. Dla nas wszystkich wiele znaczą.

* * *

Kiedy Bender schodził na dół, piwniczne korytarze i Gabinet Sytuacyjny były puste. Kryzys został widać zażegnany albo zepchnięty na niższy poziom. Usiadł w swoim gabinecie i wbił wzrok w zdjęcie na ścianie. Pani prezydent, jego obecny zwierzchnik, wykorzystując swoje uprawnienia naczelnego dowódcy sił zbrojnych, w imię sloganu „chudo i ostro” zlikwidowała dyrektywę prezydencką wszystkie lotnicze jednostki pokazowe i większość oddziałów honorowych. Oszczędzono jedynie trzecią jednostkę piechoty, czyli Starą Gwardię, pełniącą wartę przy

Grobie Nieznanego Żołnierza, oraz orkiestrę Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych.

„Dlaczego nam to robisz?” – zawołał w duchu.

Okinawa

Po południu tej samej środy, o godzinie, która dla większości waszyngtońskich urzędników oznaczała koniec pracy, świeżo awansowany na majora doktor medycyny Robert Ryan Junior właśnie się budził. Popatrzył na zegarek: na Okinawie była piąta trzydzieści rano. Świetnie. Do dyżuru w klinice miał jeszcze sześć godzin, które będzie mógł spędzić przy swoim projekcie. Uznał, że praca na nocnej zmianie mu odpowiada, a poza tym zostawia dużo czasu dla Programu Oceny Niezawodności Personelu. – Co za strata czasu – mruknął głośno. Wstał z łóżka i popatrzył na zdjęcie Laurie na stoliku obok. Tęsknił za nią bardziej, niż mógłby to sobie kiedykolwiek wyobrazić.

Biurko było przygotowane do pracy, szkice gotowe, notatki ułożone, spis literatury pełen. Należało brać się do pracy. Włączył komputer i otworzył w edytorze tekstu nowy plik. Wpatrywał się w pusty ekran, jakby chciał zmusić komputer, by sam zaczął tworzyć tekst. „Co zrobiłaby Laurie?” – zadał sobie pytanie, na co natychmiast dostał odpowiedź, jakby dziewczyna stała tuż obok: „Przestań kwękać i bierz się do roboty!” Powoli wystukał:

Rozpad systemu myślenia racjonalnego:

Studium przypadku dysfunkcji osobowości dowódcy wojskowego pod wpływem stresu. Obiektem badania jest znajdująca się pod wpływem stresu osobowość autorytarna. Studium opiera się na starannej obserwacji czterdziestoosmioletniego mężczyzny rasy białej, dowodzącego największym związkiem taktycznym Amerykańskich Sił Powietrznych, stacjonującym poza granicami USA.

* * *

Zadowolony z tego początku, Ryan oparł się wygodnie i przeczytał szkic. Były tu wszystkie modne psychologiczne hasła: niskie poczucie własnej wartości (w dzisiejszej psychologii absolutna konieczność), wykorzystywanie w wieku dziecięcym oraz – najlepsze ze wszystkiego – wielorakie zaburzenia osobowości.

Im dalej Ryan czytał, tym bardziej był przekonany o słuszności diagnozy, jaką postawił Martinie. W celu zebrania dowodów koniecznych do poparcia swojej teorii musiał jednak wniknąć w istotę sposobu podejmowania przez Martiniego decyzji. Wiedział, jak to zrobić. Kiedy przed manewrami uruchamiano centralę dowodzenia, dowódca Grupy Medycznej zawsze wysyłał swojego człowieka do kierującego walką sztabu. Posyłani tam ludzie za każdym razem skarżyli się, że nie mają do roboty nic poza słuchaniem rozmów Martiniego z resztą pułkowników. Dlaczego nie miano by więc posłać tam jego?

Waszyngton

Kiedy Bender wrócił w środę wieczorem do domu, na automatycznej sekretarce migotało światelko. Nagrała się Nancy. „Kolacja w piecu, trzeba ją upiec. Wróć około siódmej, nakryj w kuchni na trzy osoby, będziemy mieli gością”.

Gościa? Nancy nic mu o tym nie wspominała przed wyjściem do szpitala. Jeśli mieli jeść w kuchni, musiał to być ktoś z rodziny albo bliski znajomy. Generał przebrał się w domowe ubranie i nakrył do stołu. Punkt siódma zjawiała się Nancy z Shalandrą. Kryjący szwy na prawym uchu dziewczyny cienki bandaż nie rzucał się zbyt w oczy, miała na sobie czyste dżinsy i nową bawełnianą bluzę. Bendera zaskoczyło, jak bardzo ją to zmieniło i jak młodo wygląda. Na jego widok oczy Shalandry rozszerzyły się, zamieniając w dwa brązowe spodki. Nancy musiała zakładać, że dziewczyna wie, kim jest jej mąż, najwyraźniej jednak dopiero teraz dotarło to do małej.

– Nie bój się – powiedziała Nancy. – Nic ci nie zrobi. – Shalandra jednak nadal gapiła się na Bendera i milczała. – Łazienka jest tam – Nancy wskazała w głąb korytarza, zanim jednak dziewczyna zdażyła zrobić krok, wyciągnęła rękę po jej torbę. Mała podała ją bez słowa i poszła do łazienki. Nancy wyrzuciła zawartość torby na stół.

– Co ty robisz? – spytał Bender.

– Szukam narkotyków.

– Chciałem zapytać, czy to mądre. Przyrowadzanie jej tutaj.

Nancy wepchnęła rzeczy z powrotem do torby i westchnęła z ulgą.

– Jest czysta. – Odwróciła się do męża. – Wypisano ją dziś ze szpitala i nie miała dokąd iść. Staram się umieścić ją w ośrodku opiekuńczym i załatwić jej dobry dom zastępczy. To tylko na jedną noc, rano sobie pójdzie.

– Ale przyrowadzać ją do własnego domu? Muszą być jakieś miejsca, gdzie mogłaby przemocować.

Nancy pokręciła głową.

– Z powodu śnieżycy nie ma takiej możliwości. Jeśli odeślę ją tam, gdzie mieszkała, w ciągu godziny zaćpa i znów znajdzie się na ulicy. To ładna dziewczyna i jeszcze nie złapała AIDS. Myślisz, że długo by się uchroniła?

– Zapłacę za hotel.

– Ona nie potrzebuje hotelu, tylko ludzi, którzy się nią zajmą. – Nancy dotknęła twarzy męża. – Jest bardzo spokojna i wcale nie niebezpieczna. Nie zdajesz sobie sprawy, jaką decyzją było dla niej poprosić o pomoc i uciec od wujka.

– Tego alfonsa?

Nancy skinęła głową.

– Nie zna innych mężczyzn poza alfonsami, handlarzami narkotyków, byłymi więźniami i klientami. Kontakt z mężczyzną zawsze łączył się dla niej z wykorzystywaniem – psychicznym, fizycznym, seksualnym. Może to jej jedyna szansa i nie chcę, żeby ją straciła. Jeśli ci się to nie podoba, pojedę z nią do hotelu, choć wolałabym zostać.

Bender pogodził się z sytuacją.

– Mam nadzieję, że teraz, kiedy ci płacą, nie stanie się to normą. – Zano-
tował sobie w pamięci, by włączyć alarm w korytarzu obok pokoju gościnnego,
kiedy Shalandra pójdzie spać.

Nancy znów pogłaskała go po policzku.

– Wiem, że to wbrew zdrowemu rozsądkowi. Nie będę więcej tak postępo-
wać. To tylko dlatego, że... pomaga mi się trzymać...

Bender uśmiechnął się, rozpraszając napięcie między nimi.

– Zapłacisz za to, kobieto. – Dostrzegł stojącą w drzwiach i przyglądającą
się im Shalandrę. – Witaj w naszym domu – przywitał małą.

– On ci nic złego nie zrobi, Shalandro – zapewniła ją Nancy. – Możesz mu ufać.

– Mam nadzieję, że panie są głodne – powiedział Bender, podsuwając Nancy
krzesło. Shalandra przez chwilę mu się przyglądała, potem cofnęła się do korytarza.

– Nie odchodź! – zawołała za nią Nancy. – Możesz jeść z nami.

Dziewczyna powoli wychylnęła z cienia i weszła do kuchni. W dalszym ciągu
widać było, że się boi i ma ochotę zwiać.

To się dobrze nie skończy, pomyślał Bender. Ale może Nancy wie lepiej.

* * *

Późnym wieczorem Madeline Turner leżała zwinięta w kłębek na kanapie. Na
podłodze stały dwie otwarte aktówki, telewizor był nastawiony na CNC. Ogień w ko-
minku trzeszczał wesoło, przyjemnie nagrzewając powietrze, a pani prezydent szy-
kowała się do całonocnej ciężkiej pracy. Jej skupienie zakłóciło ciche pukanie do
drzwi. Odłożyła tekst przemówienia, które właśnie redagowała, i rzuciła:

– Wejść!

Kiedy ja zaczęłam tak mówić? – zastanowiła się. Nigdy przedtem tak się
nie zachowywała. Do środka zajrzała Jackie Winters, jej osobista asystentka.

– Życzy sobie pani czegoś, zanim pójde? – spytała.

– Nie, mam wszystko co trzeba – odparła z uśmiechem. – Czeka na ciebie
ktoś specjalny? – spytała. Jackie zerknęła na nią nieśmiało i niezdecydowanie po-
kręciła głową. Przez chwilę Turner miała ochotę poprosić ją, by – jeśli jej się nie
spiesz – usiadła i chwilę z nią pogawędziła, jednak taka prośba z ust najpotęż-
niejszej osoby na świecie byłaby rozkazem dla skromnej sekretarki i Turner
uznała, że nie powinna tego wykorzystywać. Uśmiechnęła się więc tylko jesz-
cze raz. – Dziękuję, Jackie.

– Dobranoc, pani prezydent.

Jackie cicho zamknęła drzwi i zostawiła Madeline O'Keith Turner samą.

* * *

– Jezu, Jessica, co za dzień... – jęknął Shaw. Ściągnął buty i opadł na głębo-
ki skórzany fotel. – CIA awanturuje się z DIA na temat Chin, a żaden z półgłów-
ków nie wie, o czym gada. – Młoda kobieta podeszła boso do barku, żeby zrobić
mu drinka. Jej nagie łydki połyskiwały w świetle i Shaw poczuł, że dostaje wzwo-
du. Poruszała się z gracją tancerki, a kiedy nalewała do szklanki whisky i wodę,

jasne włosy wdzięcznie opadły jej na jedno oko. Uniosła szklanke pod światło, by sprawdzić kolor. Był dokładnie taki jak należy. Ruchem głowy odrzuciła włosy do tyłu i obdarzyła Shawa promiennym uśmiechem. – Chodź do mnie, skarbie... – powiedział chrapliwie.

Patrzył, jak dziewczyna zrzuca z siebie ostatnie sztuki ubrania i upuszcza majtki obok barku. Podeszła do niego powoli, kołysząc biodrami w rytm wyimaginowanej muzyki. Dopóki była z nim i przy nim, nie przeszkadzało mu, że nie jest naturalną blondynką i ma dwa razy mniej lat od niego. Podała mu drinka i delikatnie przeciągnęła paznokciami po grzbiecie jego dłoni, jeszcze bardziej go podniecając. Potem odeszła trzy kroki i usiadła w kącie kanapy. Trzymając kolana razem, podciągnęła stopy pod siebie, rozłożyła ramiona i odrzuciła włosy do tyłu.

Shaw miał ochotę na seks, dziewczyna jednak chciała porozmawiać. Miała łagodny, kulturalny głos. Jeśli dobrze pamiętał, skończyła Bryn Mawr. Rozmowa była interesująca; dyskusja na temat komputerowych prognoz wyników wyborów i tego, jak są one w stanie natychmiast zmienić preferencje amerykańskiego elektoratu, sprawiała Shawowi przyjemność. Delektował się tą chwilą. No bo ilu mężczyzn mogło tak siedzieć obok pięknej nagiej kobiety, popijając znakomitego drinka i prowadzić inteligentną rozmowę? Uznał, że opowiadając o specjalnym programie współpracy komputerów Białego Domu z komputerami firm prognozujących, na pewno zrobiłby na niej wrażenie, postanowił jednak dać sobie spokój.

– Skarbie, na studiach jako główny przedmiot wzięłam historię. Chyba dlatego, że moi profesorowie uważali komputery za skrzyżowanie alchemii z voodoo – powiedziała Jessica. – Tak naprawdę kręactwa z prognozami wyborczymi są prostsze niż przerzucanie nawozu w Luizjanie, a przy tym bez trudu można osiągnąć, co się chce. – Jessica spojrzała na jego krocze i wydeła wargi. Jego ciśnienie wzrosło natychmiast. – Teraz znacznie bardziej interesuje mnie tworzenie się postaw. Szacunki komputerowe jedynie potwierdzają, że coś zostało zrobione jak należy. Ty też umiesz działać jak należy... a jak to robisz? Zawsze wiesz, który guzik nacisnąć, kto, gdzie i kiedy będzie najlepszy. – Uśmiechnęła się do niego kusząco i znów zerknęła na jego krocze. – Czasami umiem przewidzieć jakieś tendencje, ale... – Przerwała w pół zdania, podeszła do niego, wsunęła mu dłoń za koszulę i pogładziła po sutkach, musnęła wargami ucho. – ... ty umiesz wprawiać maszynę w ruch... – szepnęła.

Shaw nie wiedział, kiedy znaleźli się w łóżku ani w jaki sposób go tak szybko rozebrała. W każdym razie teraz go ujeżdżała, ściskając mu boki kolanami. Roześmiała się, kiedy szybko doszedł.

– Jeszcze nie skończyliśmy ze sobą... – mruknęła. Ku jego zaskoczeniu okazało się, że w rozkoszny, perwersyjny sposób miała rację.

Następnego dnia telefon zadzwonił o piątej rano. W Kalifornii była dopiero druga w nocy i rozmówca poinformował, że w zaułku za Sądem Najwyższym właśnie przyłapano sędziego teźże szacownej instancji, którego Shaw popierał, a jego mianowanie musiał na siłę przepchnąć u gubernatora, na tylnym siedze-

niu jego samochodu, w trakcie intensywnej gimnastyki z ciężarną prostytutką. Funkcjonariusze, którzy dokonali aresztowania, oświadczyli, że w momencie zatrzymania usta prostytutki bez najmniejszej wątpliwości obejmowały berło sędziego.

Uwagę Shawa odwrócił na chwilę dolatujący z kuchni wspaniały zapach.

– Co pysznego szykujesz? – spytał Shaw, a Jessica odpowiedziała mu szelmowskim śmiechem. Człowiek przy telefonie upewnił się, że Shaw go słucha.

– Chce pan, byśmy ugotowali skurwiela?

Shaw chwilę się zastanowił. Mógł ukręcić sprawie łeb.

– Rzućcie go hienom i niech tłumaczy się żonie. – Odłożył słuchawkę i poszedł do kuchni, skąd płynęły apetyczne wonie. – O Boże, czegoż mężczyzna może chcieć więcej... – wymamrotał. Od tygodni nie czuł się tak dobrze; przez głowę przemknęły mu słowa Henry’ego Kissingera, że jedynym prawdziwym afrodyzjakiem jest władza. Nie masz racji, Henry, pomyślał. Jedynym prawdziwym afrodyzjakiem jest wspaniale zbudowana dziewczyna, oplatająca cię w łóżku nogami.

Natomiast młodą kobietę, która jeszcze niedawno wiała się pod jego grubym brzuchem, a teraz przyrządzała jakąś smakowitą potrawę, najbardziej podniecała władza.

Okinawa

Misja była w sumie bardzo prosta, choć niebezpieczna: samolot miał przelecieć nad terenem wroga i obfotografować go. Ale w dziedzinie rekonesansu strategicznego, do czego służyły samoloty Habu, nawet najprostsze sprawy zawsze są trudne. Habu narodził się w 1959 roku, kiedy to Lockheed wygrał przetarg na budowę A-12. W zamyśle A-12 miał być bezpośrednim następcą samolotu szpiegowskiego U-2, ale w 1964 roku jednomiejscowy A-12 zmienił się w dwumiejscowy SR-71. Do momentu zakończenia w 1967 roku produkcji, z fabryki Lockheed’a wytoczyły się trzydzieści dwa blackbirdy „Kelly’ego” Johnsona. Po serii jedenastu wypadków w pierwszych latach eksploatacji SR-71, nastąpił długi okres ulepszania i potem stracono już tylko jedną maszynę – w 1989 roku. Z powodu rosnących kosztów misji, coraz lepszych wyników wywiadu satelitarnego i konieczności wymiany sprzętu na technicznie nowy, w 1990 roku wycofano SR-71 ze służby. Okazało się jednak, że nic jest ich w stanie zastąpić – żaden satelita, żaden U2-R, nawet wychwalana supertajna Aurora. W efekcie pod koniec lat dziewięćdziesiątych Siły Powietrzne wyciągnęły Habu z hangaru w kalifornijskim Palmdale.

Niestety, ludzie, którzy zajmowali się tą maszyną, już zdążyli odejść; zabrakło ich specjalistycznej wiedzy, koniecznej do obsługi i odpowiedniego funkcjonowania samolotu. Trzeba było czasu, żeby nauczyć innych. Choć ten egzemplarz SR-71A miał na koncie niecałe trzy tysiące godzin lotu, był o cztery lata starszy od oblatującego go trzydziestodwuletniego pilota, Grega Steina. Najmłodszym członkiem zespołu

był dwudziestośmioletni Dick Robards, operator systemu rozpoznawczego, czyli tak zwany OSR.

Greg nigdy nie myślał, żeby wrócić do zawodu pilota doświadczalnego, ba, zamierzał wcześniej przejść w stan spoczynku; ale każdy lot SR-71 był wyprawą w nieznaną, ponownym odkrywaniem tego, co stracono albo zapomniano. Najistotniejsze było uporanie się z narowami eleganckiej, choć niemłodej maszyny, będącej jednak w dalszym ciągu najszybszym i najwyżej latającym samolotem szpiegowskim świata.

Misja rozpoczęła się późnym rankiem w sobotę, dwunastego stycznia – od ubrania się pilota i obserwatora w ubiory kompensacyjne, hełmy i specjalne buty. Dokładnie godzinę przed startem zawieziono obu do hangaru „Little Creek” na północnym krańcu Bazy Sił Powietrznych Kadena, gdzie rozpoczęto długotrwałą procedurę podłączania załogi do systemów samolotu oraz uruchamiania silników. W przypadku Habu nie da się „depnąć w gaz i gnać przed siebie”. Dokładnie o trzeciej po południu czasu miejscowego Greg wprowadził SR-71 na pas startowy, ustawił dźwignię dopalacza na maksimum i znów stał się pilotem doświadczalnym.

Habu poleciał na południe, w kierunku Morza Południowochińskiego, gdzie miał się na wysokości dwudziestu pięciu tysięcy stóp spotkać z dwoma samolotami tankowania powietrznego KC-135. Aby pobrać paliwo, Greg zwolnił do około trzystu pięćdziesięciu mil na godzinę – przy tej prędkości Habu robił się narowisty i nie prowadził się lekko. Greg nieźle się napocił, by przez piętnaście minut utrzymać maszynę w odpowiednim kontakcie z przewodem tankującym. Zanim wygłodniały Habu się nasycił, połknął ponad siedemdziesiąt tysięcy funtów paliwa JP-7. Po odłączeniu przewodu tankującego Greg pozwolił samolotowi nieco opaść, zwiesił nos, by nabrać prędkości, potem podciągnął przód i włączył dopalacze. Z otwartymi maksymalnie przepustnicami zaczęli się wspinać w kobaltowe niebo. Greg był zbyt zajęty tankowaniem, wznoszeniem się i obserwowaniem instrumentów, by zwracać uwagę na urodę otoczenia, Dick też miał jak zwykle pochyloną głowę – obserwował przestrzeń pod i przed nimi.

Zgodnie z planem lotu skrzyli przed północnym krańcem wyspy Luzon i lecąc na wysokości osiemdziesięciu tysięcy stóp z prędkością dwa i osiem dziesiątych macha skierowali się na Hongkong, tuż przed lądem stałym skrzyli na północny wschód ku oddzielającej Tajwan od kontynentu Cieśninie Tajwańskiej. Choć ich trasa wiodła dość blisko lądu stałego, pilnowali się, by cały czas trzymać kurs nad wodami międzynarodowymi.

– Namierzają nas dwa radary – odezwał się Dick.

– Należy się niepokoić?

– To tylko standardowe radary wczesnego ostrzeżenia. Wiedzą, że jesteśmy. – Operator ponownie sprawdził elektroniczny system obrony. Zamontowany w systemie program dawał gwarancję obrony przed wszelkimi elektronicznymi zagrożeniami, jakimi mogli dysponować Chińczycy, przygotowujący misję technicy nie przewidzieli jednak, że Habu może zaniemóc. Awaria zaczęła się od lekkiego drgania, na tyle jednak wyraźnego, by ściągnąć uwagę Grega.

– Uwaga, światelko ostrzegawcze – powiedział. Popatrzył na mieszczący czterdzieści osiem lampek ostrzegawczych pulpit. – Otworzył się przekaźnik. – Samo w sobie nie było to żadnym problemem. Przekaźnik, łączący prądy wytwarzane przez prądnice przy obu silnikach w jedność, przestał kontaktować. Oznaczało to jedynie, że obie prądnice pracują w niezgodnych fazach – nie przeszkadzało to w kontynuowaniu misji.

Po chwili znajdujący się w tylnym kokpicie obronny system elektroniczny zamigotał jak choinka bożonarodzeniowa.

– Obserwuje nas całe pieprzone chińskie lotnictwo – rzucił gderliwie Dick. – Na dwunastej mam sześć lecących prosto na nas samolotów. Najprawdopodobniej będą próbowały podskoczyć. – Wrogie maszyny znajdowały się na wysokości czterdziestu tysięcy stóp, mniej więcej osiem mil pod nimi, i leciały jedna za drugą.

Kiedy prowadzący myśliwiec zbliżył się do SR-71 na jakieś trzydzieści mil, siedzący przy radarze Chińczyk wydał komendę, którą można by przetłumaczyć z grubsza jako: „Ruszaj do niebiańskiego uścisku”. Chiński pilot pociągnął ku sobie drążek i zaczął najszybciej wspinać się świecą, by osiągnąć pułap, z którego warto odpalić w kierunku wysoko lecącego intruza raketę powietrze-powietrze. Nie zbliżył się jednak nawet na jako tako przyzwoitą odległość. Po nim manewr powtórzył pilot samolotu lecącego za nim – z tak samo kiepskim rezultatem.

Choć Habu leciał nad wodami międzynarodowymi, Chińczycy postanowili odpalać kolejne rakiety w nadziei, że któraś wreszcie trafi. W normalnych warunkach było to marzenie ściętej głowy, najwyraźniej jednak byli zdecydowani atakować i gdyby im się jakimś cudem udało, dopiero później martwić się, kto zaczął i dlaczego zginął.

Greg zastosował standardową technikę defensywną Habu: przyspieszył i zaczął nabierać wysokości. Z jednej strony poprawiało to współczynnik zużycia paliwa, z drugiej, niestety, stawiało maszynie wyższe wymagania, przez co robiła się bardziej wrażliwa. Ścigająca kobrę mangusta instynktownie rozumie taką zależność, niestety Greg Stein i Dick Roberts nie mieli tak dobrego instynktu, a przy locie z prędkością trzy i dwie dziesiąte macha na wysokości ponad osiemdziesięciu trzech tysięcy stóp zdarzają się dziwne rzeczy. Lecieli niemal w tempie wystrzelonego pocisku, kiedy zatrzymał się prawy generator.

– Awaria prawego generatora – zameldował Greg. Wykaz czynności kontrolnych nakazywał w takim przypadku przerwać misję, tyle tylko, że gdzie mieli lądować? W dalszym ciągu znajdowali się między Chinami a Tajwanem.

Samolot sam rozwiązał za nich problem – zatrzymała się prawa prądnica. W normalnej sytuacji automatycznie włączało się zasilanie awaryjne, Habu jednak i pod tym względem sprawiał kłopoty i kolejny przekaźnik nie zamknął obiegu. Zanim Greg przerzucił dźwignię, by ręcznie uruchomić system podtrzymujący, pompy wtryskowe przestały dostarczać paliwo do silników. Spowodowało to zgaśnięcie płomienia w silniku, to zaś oznaczało poważne kłopoty. Bez mocy, SR-71 nabierał cech lotnych bryły węgla. Czekał ich swobodny spadek w dół.

Mijali pułap dwunastu mil, czyli wysokość, na jakiej może operować myśliwiec, kiedy Gregowi udało się uruchomić jeden silnik i jego generator posłał układom samolotu prąd. Elektroniczny system obronny znów zaczął jako tako działać.

– Wzięli nas na cel! – wrzasnął Dick i zrobił to, co operator robi w trakcie lotu naprawdę rzadko: wyjrzał przez owiewkę. Od razu tego pożałował, bowiem widok odebrał mu panowanie nad sobą, co w świecie zwiadu strategicznego jest gorsze od śmierci. – „Bandyta”! Leci od dziesiątej! Zaraz zginiemy! – System rejestracji starannie zanotował te słowa dla potomności i na użytek odprawy po odbyciu misji – jeśli mieli jej dożyć.

– Zamknij się – odparł Greg powoli i spokojnie – i umieraj jak mężczyzna. Rób, co do ciebie należy. – Operator posłuchał i jego palce zaczęły tańczyć po klawiszach elektronicznego systemu obronnego, w tym czasie Greg uruchomił drugi silnik. Zaskoczyła druga prądnicą, przełącznik się zamknął i Habu złapał kolejną porcję energii. System obronny nareszcie mógł działać, tak jak go skonstruowano: zaatakował stację radiolokacyjną wroga falą elektronicznej magii, co spowodowało, że instrumenty ścigającego ich chińskiego myśliwca zwariowały. – Dawaj, mały – warknął przez zęby Greg, pchając dźwignię przepustnicy na maksimum. – Lecimy do domu.

Habu grzecznie zareagował i zaczęli się wspinać. Zanim Greg uznał, że należy wyrównać lot, znaleźli się na wysokości dziewięćdziesięciu czterech tysięcy stóp.

– Gdzie jesteśmy? – spytał.

Dick sprawdził bezwładnościowy system nawigacyjny i uaktualnił wskazania ruchomej mapy.

– Nad Fuzhou – odpowiedział.

– Tu właśnie mieliśmy dolecieć – zauważył Greg i skrzył na wschód, ku Okinawie.

– Nie uważasz, że powinniśmy zwolnić? – spytał Dick. Machomierz w jego kokpicie wskazywał cyfrę trzy i sześć dziesiątych.

– Nie ma potrzeby. Aparaty się włączyły?

OSR sprawdził zasilanie i pulpity kontrolny.

– Właśnie fotografują.

– Mam nadzieję, że włączyły się, kiedy należało – odparł Greg. Popatrzył na wskaźnik paliwa i nadał pilny komunikat, by jak najszybciej skierować w ich stronę samolot tankujący.

* * *

Kiedy SR-71 zaczął podchodzić do lądowania, Martini znajdował się na Perimeter Road. Wjechał na parking na szczycie wzgórza Habu i obserwował lądowanie, jak każdy pilot krytycznie przyglądając się temu, co robi inny pilot. Jako dowódca czuł ulgę z powrotu „jego” samolotu. Ponieważ wiedział, że pierwsze jardy filmu z ponad dwustu, które zrobiły aparaty szpiegowskiego ptaka, zaczęły wychodzić z automatu wywołującego za jakąś godzinę, postanowił „zabrać się” za pilota i operatora. Pojechał więc do Oddziału Pomocy Fizjologicznej, gdzie właśnie zdejmowano z nich kombinezony, co jest pierwszym krokiem fazy finalnej każdej misji.

– Jak poszło? – spytał Grega.
– Dość standardowa misja – odparł pilot. – Mieliliśmy drobny problem z prądnicami i kiedy popadliśmy w tarapaty, pogasły nam płomienie w obu silnikach. Latało wokół nas kilku bandytów, którzy szukali kłopotów, ale to była betka.

– Jasne – odparł Martini poważnie. Doskonale się orientował, co działo się na górze.

Operator wyszczerzył do niego zęby.

– Według wskaźników pobiliśmy nowy rekord prędkości i wysokości dla lotu na dystansie dwóch tysięcy mil morskich.

– Właśnie – mruknął Greg – tylko kogo to interesuje...

– Chińczyków – powiedział Martini. – Przewińcie zapis przebiegu misji do momentu zgaśnięcia silników.

Speszony operator wykonał rozkaz i kiedy rozległy się jego słowa zapowiadające ich natychmiastową śmierć, poczerwieniał jak burak. Greg zatrzymał taśmę i roześmiał się.

– Pracowaliśmy nad tą kwestią od tygodni – wyjaśnił. – Nigdy nie myślałem, że uda nam się ją kiedyś powiedzieć.

– Oczywiście. – Tym razem Martini był śmiertelnie poważny. Naprawdę wiedział, co przeżyli na górze.

* * *

Kiedy Martini wszedł do kabiny wywoływania, zastał tam swojego szefa wywiadu bazy, podpułkownika Pete'a Townly'ego, i przygarbionego kapitana. Z automatu wysuwał się film.

– Proszę mówić – zarządził Martini.

– Znakomita rozdzielczość – odparł Townly.

– KA-102B może i jest starym aparatem – wyjaśnił kapitan – ale z ponad szesnastu mil pokazuje szczegóły wielkości dwóch cali.

– Dajcie sobie spokój z głupotami. Co mamy konkretnego?

Townly i kapitan wymienili zaniepokojone spojrzenia.

– Nie będzie pewności, zanim nie skończymy analiz i pomiarów – powiedział kapitan – ale moim zdaniem Chińczycy wyruszyli z Fuzhou i płyną na nas.

– Na ile to pewne? – spytał Martini. Kapitan przełknął ślinę, ale nie odpowiedział. Popatrzył na Townly'ego, wzrokiem wzywając pomocy.

– Jak cholera – odparł Townly.

Martini skinął głową. Naprawdę umiał przyjąć złą wiadomość.

– Macie tu bezpieczne połączenie z dowództwem? – Kapitan wskazał na STU-V, najnowszą wersję przenośnego telefonu z zabezpieczeniem antypodłuchowym. Martini zadzwonił do centrali dowodzenia. – Ogłaszam Stan Szkarłatny – przekazał oficerowi dyżurnemu. – To nie są ćwiczenia. Atak jest spodziewany w ciągu sześciu godzin.

– Sir, Stan Szkarłatny może zostać ogłoszony jedynie przez głównodowodzącego Flotę Pacyfiku – zaprotestował oficer dyżurny.

– Chce się pan założyć? – warknął Martini. – Róbcie co mówię. Aha, i niech w ciągu najbliższych dziesięciu sekund dowie się o tym CINC PAC i Pentagon. – Walnął słuchawką o widelki i odwrócił się do Townly’ego i kapitana. – Proszę to natychmiast przekazać do Offutt i DIA. – Popatrzył na wiszące na ścianie zegary, pokazujące czas w różnych częściach świata. Na Okinawie była sobota, siedemnasta dziesięć; w Waszyngtonie niedziela, dziesięć po trzeciej nad ranem. – Mam nadzieję, że ktoś tam nie śpi.

Rozdział jedenasty

Okinawa

Bob Ryan padł jak długi na podłogę w swojej kwaterze dla nieżonatych oficerów i poprzysiął sobie, że już nigdy nie zagra w niedzielne popołudnie w futbol kontaktowy. Liga bazy była wymysłem kapitana żandarmerii, Terrence'a Daguerre'a, który kiedyś grał zawodowo w futbol i rozkoszował się wykańczaniem ludzi. Zadzwoił telefon. Ryan przy pierwszej próbie poruszenia tym, co zostało z jego ciała, głośno jęknął, ale podniósł słuchawkę. Wzywano cały personel do zajęcia stanowisk bojowych. Nie zwlekając, poszedł do centrum dowodzenia i zajął przeznaczone dla niego miejsce w oszklonej kabinie operacyjnej. Centralne miejsce było zarezerwowane dla Martiniego, a przy długiej konsolocie przewidziano miejsca dla dowódców wszystkich grup, z których składało się Osiemnaste Skrzydło: bojowej, logistycznej, wsparcia, inżynierijnej, medycznej.

Kiedy zwoływano sztab, szef grupy medycznej w odróżnieniu od dowódców pozostałych jednostek, zazwyczaj wysyłał do centrali dowodzenia swego przedstawiciela – tym razem był to Bob Ryan. Usiadłszy, Ryan popatrzył na stojące przed nim telefony i otworzył czarną teczkę, pełną luźnych kartek.

Co to ma być, do cholery, Księga Zagrożeń? – pomyślał. Mam to przeczytać? Popatrzył po innych dowódcach i stwierdził, że każdy ma przed sobą taką samą księgę, przegląda kartki, telefonuje i po każdej rozmowie coś odhacza. Nawet Martini czytał. Ryan otworzył księgę na pierwszej stronie i przeczytał pierwsze zadanie: SPRAWDZIĆ KOMUNIKACJĘ. Co to za idiotyzm? Przecież wiadomo, że telefony działają. Odhaczył ten punkt i przeszedł do następnego. USTALIĆ STAN/STOPIEŃ ALARMU I BEZPIECZNA LINIĄ POINFORMOWAĆ CENTRUM MEDYCZNE. To też było marnotrawstwem czasu. Centrum medyczne zawsze przecież wiedziało w trakcie ćwiczeń, jaki jest stan/stopień alarmu. Jakie to było typowe dla wojska – wymyślać pracę tylko po to, by wszyscy mieli zajęcie. Tak jak ten bzdurny Program Oceny Niezawodności Personelu, który Martini zrzucił mu na barki.

Odhaczył i ten punkt. Przejrzał pozostałe punkty wykazu czynności kontrolnych i zamknął teczkę. Z pewną satysfakcją stwierdził, że jest pierwszy. Z miejsca, gdzie siedział, Ryan widział każdą tablicę informacyjną w centrali dowodzenia i stanowisko każdego znajdującego się tam człowieka, a także – pod przeciwległą ścianą drugiego oszklonego sześcianu – wewnątrz kabiny kontroli, gdzie technicy obsługiwali imponujący pulpit pełen urządzeń nadawczo-odbiorczych. Z fascynacją przyglądał się profesjonalizmowi ludzi pojawiających się z powodu ogłoszenia Stanu Szkarłatnego w zajmującej całe piętro centrali dowodzenia. Siedzący obok Ryana dowódca grupy wsparcia skończył sprawdzanie swojej listy czynności wyznaczonych w przypadku ogłoszenia stanu zagrożenia.

– Jeśli CICN PAC anuluje Stan Szkarłatny, generał oberwie – zauważył pułkownik. Ryan odparł, że nie rozumie. Pułkownik najpierw przyjrzał mu się uważnie, a potem wybaczył ignorancję jako lekarzowi. – Martini ogłosił Stan Szkarłatny na własną odpowiedzialność. Nie wolno mu tego robić.

– Dlaczego więc tak postąpił?

– Kto wie? Chyba uważa, że baza zostanie zaatakowana w ciągu sześciu godzin. Po to jest Szkarłat: abyśmy jak najszybciej przygotowali się do obrony. – Ryan skinął głową. Miał teraz znakomitą okazję obserwowania Martiniego w sytuacji stresowej. Pułkownik popatrzył na wiszącą na ścianie przed nimi tablicę stanu gotowości. – Wszyscy poza grupą medyczną mają zielone światło – powiedział. – Lepiej, jeśli im pan popędzi kota, zanim Martini zrobi to samo z panem. – Ryan popatrzył na niego nic nie rozumiejąc. – O Boże... – mruknął pułkownik. – Pan nie ma o niczym pojęcia. Co ten pański szef wyprawia? – Złapał słuchawkę bezpiecznego telefonu Ryana, zadzwonił do centrum medycznego i poinformował je o obowiązującym stanie alarmowym. Natychmiast przerwał połączenie i dał Ryanowi lekcję poglądową na temat, w jaki sposób Siły Powietrzne zamierzają prowadzić wojnę. Przejrzał z nim jeszcze raz Księgę Zagrożeń i pokazał, jak należy przygotować grupę medyczną do gotowości bojowej za pomocą działań prowadzonych z centrali dowodzenia. Dla doktora było to objawieniem, niestety, przyszło za późno.

– Majorze Ryan! – warknął Martini. – Co się, do cholery, dzieje z łapiduchami? Wszyscy poza nimi mają zielone.

– Niech mu pan powie prawdę – mruknął dowódca grupy wsparcia.

Ryan przełknął ślinę.

– Ponieważ zbyt późno ich zawiadomiłem, sir.

Martini machnął ręką i wszyscy zaczęli szybko wychodzić. Ryan zamierzał wymknąć się razem z czterema pułkownikami, ale twarde spojrzenie Martiniego dało mu do zrozumienia, że to z jego powodu kabina się opróżniła. Ryan urodził się w okresie niżu demograficznego, więc zawsze żyło mu się jak w puchu – rozpieszczali go rodzice, szkoła, a nawet Siły Powietrzne, które bardzo potrzebowały lekarzy. Jeszcze nigdy nie zarzucono mu nieudolności – jeśli coś nie wychodziło, zawsze była to wina systemu albo kogoś innego. Tak jak wszyscy, Ryan był ofiarą. Niestety, Martini nie wyznawał tej filozofii.

– Ryan, w Stanie Szkarłatnym potrzebujemy każdej sekundy, by przygotować się na ewentualny atak – zaczął, kiedy zostali sami. – Jeśli nie zrozumiał pan, co się dzieje, trzeba było poprosić o pomoc. Z powodu pańskiej beczynności nie wykorzystaliśmy optymalnie czasu. Jeżeli zostaniemy zaatakowani, a centrum medyczne nie będzie przygotowane, zadbam o to, by został pan oddany pod sąd wojenny i trafił do Leavenworth. Ma to pan jak w banku. Niezależnie od tego wywalę pańskiego przełożonego za głupotę. Nie powinien był tu pana przysyłać. Czy rozumiał pan wszystko, co powiedziałem?

Martini zazwyczaj nie rzucał słów na wiatr i Ryan poważnie się przestraszył. Zamarł pod świdrującym spojrzeniem generała; rozejrzał się na boki jak zaszczute zwierzę, szukające okazji do ucieczki. Rzucił ukradkowe spojrzenie na tablice stanu gotowości, marząc o tym, by czerwone światelko obok napisu CENTRUM MEDYCZNE zmieniło się na zielone – o czymkolwiek, co skierowałoby wściekłość Martiniego w innym kierunku. Czerwona lampka rzeczywiście zgasała i zapaliła się zielona, a Ryan przez krótką chwilę uwierzył w anioła stróża.

– Sir! – zawołał machając gwałtownie w kierunku tablicy.

Martini nawet na ułamek sekundy nie odwrócił od niego wzroku.

– Czekam na odpowiedź – powiedział głosem rozszluszczonego niedźwiedzia.

Ale jakie było pytanie? Ryan nie pamiętał, a jego przerażenie osiągnęło najwyższy możliwy poziom. Nagle sobie przypomniał.

– Tak jest, sir, zrozumiałem każde pańskie słowo.

Martini powoli odwrócił głowę ku tablicy stanu gotowości.

– Świetnie – powiedział. – Wygląda na to, że na razie pańska rozprawa przed sądem wojennym została zawieszona. Proszę podać mi choć jeden rozsądny powód, dlaczego nie miałbym wyrzucić pańskiego szefa.

Ryan poczuł w gardle gorzyc żółci. Dotarło do niego z bolesną świadomością, że Martini wierzy w osobistą odpowiedzialność, a nie w psychotechnikę.

– Sir, to, co się stało, było moją winą. Sam poprosiłem o to zadanie i powiedziałem mojemu dowódcy, że jestem przygotowany do jego wykonania. Uwierzył i skierował mnie jako swojego przedstawiciela do sztabu.

– A więc okłamał go pan.

Ryan chciał zaprotestować, że nie kłamał, że po prostu nie rozumiał, czego się od niego oczekuje; coś go jednak ostrzegło, że to zła odpowiedź.

– Tak, sir, okłamałem go.

– Wygląda na to, że cierpi pan na klasyczną chorobę lekarzy.

– Nie znam tej jednostki chorobowej, sir.

– Nazywa się „złudzenia”. Uważa pan, że zdobycie dyplomu jest dowodem pańskiego geniuszu we wszystkim, choć w rzeczywistości jedynie czyni on z pana lekarza. Nic więcej. – Martini popatrzył na tablice wskazujące postępy uzbrajania jego F 15. – Zostanie pan tutaj, aż Stan Szkarłatny zostanie odwołany i będzie można bezpiecznie wyjść na zewnątrz. Wtedy niech zjawi się tu ktoś z centrum medycznego, kto ma o czymkolwiek pojęcie.

Ryan skinął głową.

– Sir, w dalszym ciągu zamierza pan wyrzucić mojego dowódcę?
– W dalszym ciągu zastanawiam się nad pańską odpowiedzią. – Martini machnął na stojących na zewnątrz oficerów, że mogą wrócić. Ryan usiadł na swoim miejscu.

Po chwili usiadł obok niego szef grupy wsparcia.

– Miał pan doświadczenie religijne? – spytał pułkownik, ale Ryan nie odpowiedział. – Tak się składa, że lubię pańskiego szefa, więc jeśli zechce pan mnie słuchać, pomogę panu uniknąć kłopotów.

Ryan nie wiedział, że tyłek uratowało mu przed Martinim dwóch starszych stażem podoficerów centrum medycznego. Po wstępnym alarmie do centrum nie dotarły następne komunikaty, co zaniepokoiło obu sierżantów. Ponieważ nie mieli dostępu do bezpiecznej linii i nie mogli zadzwonić do Ryana po informacje, co się dzieje, wykorzystali drogę nieoficjalną i porozumieli się z kumplem z żandarmerii. Jak tylko się dowiedzieli o ogłoszeniu Stanu Szkarłatnego, natychmiast zainicjowali działania, które powinien był rozpocząć Ryan. Kiedy dotarła do nich oficjalna informacja ze sztabu, centrum medyczne było już praktycznie przygotowane. W taki sposób pomagali sobie wszyscy sierżanci – Ryan nigdy nie miał się nauczyć takiej współpracy między przyjaciółmi.

Siedział w centrali dowodzenia i ładował się. Przecież to oczywiste, przekonywał się, nawet dziecko to dostrzeże. Martini po prostu próbował się zemścić za jego zeznanie złożone w sprawie wypadku przed Komisją Badania Wypadków Lotniczych. W myśli zaczął układać nowy akapit studium przypadku Martinaiego:

Ego i lęk – czynniki operacyjne. Egoistyczne podłoże dysfunkcji dowódcy manifestuje się często w tworzonym przez podmiot klimacie lęku i zastraszania. Jest to zasadniczy sposób działania obserwowanego, całkowite podporządkowanie się bowiem jego woli musi zostać osiągnięte za wszelką cenę i nie wolno kwestionować konieczności tego stanu, niezależnie od racjonalności decyzji podmiotu. Jest niezaprzeczalnym faktem, że im bardziej nieracjonalna jest podjęta decyzja, tym większa pojawia się potrzeba niekwestionowanego podporządkowania.

Ryan uśmiechnął się sam do siebie; czuł się już znacznie lepiej. Kto tu pójdzie pod sąd wojenny, jeżeli CINC PAC uzna wprowadzenie Stanu Szkarłatnego za bezzasadny? Śledczy na pewno będą zainteresowani udokumentowanymi obserwacjami eksperta na temat psychicznego nieźrównoważenia Martinaiego...

Waszyngton

Telefon zadzwonił w niedzielę, dziesięć po piątej rano i wytrącił Bendera z twardego snu. Generał zareagował odruchowo – wyczulony przez lata dowodzenia na brzęczenie przy łożku, podniósł słuchawkę po pierwszym sygnale.

– Bender, słucham. – Był już całkowicie przytomny.

Dzwonił oficer dyżurny z Narodowego Centrum Dowodzenia Wojskowego.

– Sir, cieszę się, że pana nie obudziłem. Generał Charles powiedział, że dotarła informacja, która powinna pana zainteresować.

Bender nienawdził rozmów na istotne tematy przez nie zabezpieczony telefon.

– Proszę powiedzieć generałowi, że będę u niego za pół godziny.

– Sir, lepiej będzie, jeśli pojedzie pan do swego biura.

Cholera jasna, DIA podniosło WATCHCON na wyższy poziom, a w Białym Domu nikt nie reaguje, pomyślał Bender. Nie minęły dwie minuty, kiedy kompletnie ubrany, nie budząc Nancy, wyszedł z domu. Ogolił się później. Kiedy wyjeżdżał tyłem na ulicę, zobaczył, że przy krawężniku stoi policyjny radiowóz z zapalonym silnikiem. Wsiadła z niego posterunkowa Murphy i podeszła do niego. Opuścił szybę.

– Shalandra – powiedziała Murphy wskazując na radiowóz. – Uciekła z domu dziecka prosto do szpitala. Nic jej nie jest, a ponieważ kończyłam służbę, przywiozłam ją, bo tego chciała.

Bender zauważył siedzącą z tyłu radiowozu dziewczynę.

– Nie szkodzi. Proszę zadzwonić do drzwi, moja żona wszystko załatwi.

Murphy pokręciła głową.

– Ona chce rozmawiać z panem.

Bender był naprawdę zdziwiony. Shalandra spędziła u nich noc i poszła sobie w czwartek rano, a on nie zamienił z nią więcej niż dwadzieścia słów. Cholera, Nancy nie powinna była sprowadzać tej dziewczyny. To jej problem i niech sama sobie z tym radzi.

– Przepraszam, ale mam alarm. Muszę jechać.

Murphy skinęła głową i cofnęła się. Rozumiała, co to może znaczyć.

Na ulicach prawie nie było ruchu, więc dotarł do Białego Domu w niecałe dwadzieścia minut. Wylegitymował się przy zachodniej bramie i pospieszył do zachodniego skrzydła, zaskoczony ruchliwym tłumem o tej porze. Tym razem Biały Dom zareagował, więc wezwano go niepotrzebnie. Chciał się jednak dowiedzieć, o co chodzi, więc poszedł do gabinetu Shawa.

– Dzień dobry, generale Bender – przywitała go Alice Fay. – Pan Shaw oczekuje pana. Proszę wejść.

– Miło, że wiadomość do pana dotarła – zaczął Shaw.

– Nie do końca. Co się dzieje?

– DIA ogłosiła dla Dalekiego Wschodu WATCHCON I. DSO tym razem się zgadza.

– Skąd ta nagła zmiana w CIA? – spytał Bender i Shaw podał mu wydruk.

* * *

Chińska formacja marynarki wojennej, składająca się z trzydziestu ośmiu (38) okrętów bojowych, skoncentrowanych wokół lotniskowca „Przewodniczący Mao”, wypłynęła z bazy morskiej Floty Wschodniej Fuzhou. Przy obecnej prędkości i utrzymywanym kursie, formacja dotrze do Okinawy około godziny 23:00 czasu

zachodnioeuropejskiego (18:00 czasu wschodnioamerykańskiego) dzisiejszego dnia. Źródła miejscowe informują, że wszystkie jednostki LAW w Nankińskim Okręgu Wojskowym są w pełnej gotowości bojowej. Działania te wskazują na planowane rozpoczęcie przez Chiny akcji zaczepnej. Prawdziwe zamiary ChRL nie są jednak znane i możliwe, że powyższe działania są jedynie eskalacją nacisku psychologicznego na Japonię.

– Jak się panu podoba ostatnie zdanie? – spytał Shaw retorycznie. – Musi pan przyznać, że ci chłopcy umieją chronić swoje tyłki.

– Zawiadomił pan panią prezydent?

– Oraz uruchomiłem Gabinet Sytuacyjny. Pani prezydent powinna być tu za kilku minut na krótką odprawę, a o siódmej trzydzieści odbędzie się posiedzenie Rady Bezpieczeństwa Narodowego. – Shaw wyszczerzył zęby w nieszczerym uśmiechu. – Doceniam zagrożenie.

Bender odwzajemnił spojrzenie.

– Naprawdę?

Zanim Shaw zdążył odpowiedzieć, generała już nie było. Kiedy idąc do siebie mijał Gabinet Sytuacyjny, stwierdził, że korytarz pełen jest tych samych mundurów i garniturów co poprzednio. Przecisnął się przez tłum i wszedł do swojego gabinetu. Nie mając nic lepszego do roboty, wyjął przyrządy do golenia, adiutantowi admirała, który już siedział w środku z bezpiecznym telefonem, dał oficjalne pozwolenie na korzystanie z gabinetu i poszedł do szatni sali gimnastycznej. Oj, to będzie długi dzień, pomyślał.

Kiedy wyszedł z łazienki, czekał już na niego goniec. Generał Overmeyer chciał go natychmiast widzieć. Kiedy ruszyli, nerwowy krok gońca zdradził mu, że kryzys wkracza w najgorętszą fazę i niedaleko mu już do przekroczenia masy krytycznej, która wyzwoli reakcję łańcuchową. Przewodniczący chodził nerwowo po swym niewielkim gabinecie, równocześnie rozmawiając z szefem operacji morskich i generałem Charlesem.

– Prezydent chce, by wziął pan udział w posiedzeniu Narodowej Rady Bezpieczeństwa – warknął przez zaciśnięte zęby.

– Sir, nie ma powodu, żebym się tam pojawiał. Czytałem komunikat o ogłoszeniu WATCHCON-u, ale nie należę do kręgów decyzyjnych.

– Teraz już pan należy – mruknął Overmeyer. Żuł nie zapalone cygareto, z którego niewiele zostało. – Charles, daj mu trochę czadu. – Przerwał i chwilę się zastanowił. – Bender, jeśli kiwnę głową, powie pan swoje. – Wyszedł z gabinetu, Charles szybko wprowadził Bendera w sytuację.

Żołądek Bendera zamienił się w bryłę lodu.

– Mamy wojnę? – spytał.

– Na to wygląda, ale CIA i Departament Obrony jeszcze nie są przekonane – odparł Charles. – Liczę na to, że mają rację.

Poszli we dwóch do nabitej ludźmi sali posiedzeń gabinetu. Bender znalazł sobie puste krzesło pod ścianą, naprzeciwko miejsca przeznaczonego dla Madeleine Turner. Nie czekano długo. Otworzyły się drzwi i weszła pani prezydent. Tuż za

nią szedł Shaw. Wszyscy automatycznie wstali. Bender starał się wywnioskować z wyglądu Turner, co ona sądzi o sytuacji. Twarz miała spokojną i opanowaną, niemal bez makijażu; włosy szeszała do tyłu. Ubrana była w ciemną garsonkę i szła pewnie. Benderowi przypomniało się, z jakim spokojem i hartem ducha zareagowała na wiadomość, że prezydent Roberts sprzedał Tajwan.

– Proszę siadać – powiedziała, a ton głosu pasował do wyglądu. – Musimy ustalić strategię rozwiązania tego kryzysu. Chcę jednak bardzo wyraźnie powiedzieć, że nie zamierzam być pierwszym prezydentem w tym wieku, który wpędzi nasz kraj w niepotrzebną wojnę.

Albo pierwszą panią prezydent, natychmiast dodał Bender w myśli. Przysłuchiwał się wypowiedziom kolejnych mówców. Było oczywiste, że daleko było do zgody. Frakcja zwolenników odpowiedzi militarnej (z Overmeyerem na czele) chciała, by wyznaczyć na wodzie nieprzekraczalną linię; frakcja dążąca do rozwiązania dyplomatycznego (inspirowana przez nowego sekretarza stanu, Barnetta Francisa) chciała negocjować. Szybko doszło do impasu.

Bender popatrzył na Shawa i stwierdził, że ma przed sobą bardzo zadowolonego człowieka. Dlaczego tak było? Po chwili zrozumiał – Shaw potrzebował czegoś, co odwróci uwagę Turner od reformy systemu podatkowego. Co za skurwiele! Aby osiągnąć własne cele w polityce wewnętrznej, potrafił cieszyć się z tego, że obce mocarstwo zagraża pokojowi i może wymknąć się spod kontroli! To dlatego zignorował pierwsze ostrzeżenia! Nie obchodziło go, ile ta sprawa może kosztować.

Dla Bendera sprawa kosztów była oczywista: wyznaczała je liczba ofiar. Nakażał sobie spokój; w końcu Shaw nie był jedynym cynicznym facetem w Waszyngtonie. Nagle stało się dla Bendera jasne, co Shaw myśli: on naprawdę uważa, że reforma podatków nie leży w interesie Turner i że broni prezydent przed nią samą. Jednak metody Patricka Flannery'ego Shawa pozostały nie zmienione: nie mogą przekonać pani prezydent, zamierzał sprawić, by rozwój wydarzeń odwrócił jej uwagę. Jego pierwsza reakcja na WATCHCON III wynikała jednak na pewno z autentycznego niedowierzania – w końcu nawet on sam, Bender, też przez chwilę wątpił w to, czy Overmeyer ma rację. Zrozumiawszy to, Bender dostrzegł wreszcie Shawa bez mitycznej otoczki; po prostu polityka, ani lepszego, ani gorszego od reszty towarzystwa na Kapitolu. Był bez wątpienia bardziej przebiegły i energiczny niż reszta, ale i on nie przekroczyłby pewnych granic.

Uwagę Bendera przyciągnął czyjś wściekły głos. Do ataku ruszył DCI.

– Ten kowboj z Kadeny wyrwał się spod kontroli! Stawiając bazę w stan alarmu, załatwił nieodwracalnie naszą najlepszą opcję. Może jednak dałoby się oficjalnie zignorować jego posunięcie i równocześnie potajemnie wynegocjować jakieś rozwiązanie?

– Czy chce pan powiedzieć – przerwał mu Shaw – że Martini niepotrzebnie docenił zagrożenie?

Odezwał się Barnett Francis.

– Właśnie. Dał Chińczykom do zrozumienia, że w razie potrzeby odpowiemy na ich działania siłą. W tym momencie nie zamierzaliśmy wysyłać takiego komunikatu.

Overmeyer chciał coś powiedzieć, ale zrezygnował. Skinął głową, oddając głos Benderowi.

– Moim zdaniem mamy tu do czynienia z pewnym zasadniczym nieporozumieniem – powiedział Bender. Wszyscy spojrzeli na niego, szczerze zdziwieni, że takie zero śmie oponować sekretarzowi stanu. Bender mówił dalej w kompletnej ciszy. – Ogłaszając dla swej bazy alarm i stan gotowości obronnej, generał Martini zabezpieczył swoich ludzi. Dowódca nigdy nie traci prawa do samoobrony. Chińczycy rozumieją to i spodziewali się podobnej reakcji. Przeceniłby zagrożenie wtedy, gdyby nakazał startować uzbrojonym samolotom, zanim zostanie zaatakowany. – Kiedy Bender spojrzął na Overmeyera, już wiedział, że powiedział nie to co należało. Turner też dostrzegła reakcję Overmeyera.

– Dziękuję, generale Bender – powiedziała.

Wśród adiutant z centrali komunikacyjnej i podał Shawowi dwa komunikaty. Shaw przebiegł je wzrokiem i rozejrzał się po obecnych.

– Flota chińska skręciła na południowy wschód i kieruje się na wyspy Yaeyama. Przy obecnym kursie czoło formacji wpłynie na wody japońskie za niecałe dwie godziny. – Podniósł do góry drugą wiadomość. – Ambasador Japonii żąda natychmiastowego spotkania z panią prezydent.

Szef operacji morskich wstał, zapalił lampkę laserową i skierował czerwony promień na wiszącą na ścianie wielką mapę. Lekko drgająca czerwona plamka zataczała koło wokół łańcucha wysp, znajdującego się dwieście siedemdziesiąt pięć mil na południowy zachód od Okinawy.

– Wyspy Yaeyama to najbardziej na południe wysunięta część terytorium Japonii – poinformował admirał. – Główną wyspą jest Iriomote Jima, sto mil od Tajwanu. Wygląda na to, że to ona jest ich celem.

– Ja uważam, że prowadzą manewry i zaraz zawrócą – wtrącił DCI.

– Generale Overmeyer? – poprosiła o opinię Turner.

– Może i zawrócą. Tak duża jednostka operacyjna potrzebuje miejsca na manewr. Musimy ich obserwować – odparł Overmeyer.

– Czy mam rację, sądząc, że nie ma bezpośredniego zagrożenia dla naszych ludzi na Okinawie? – spytała Turner.

Overmeyer wyglądał, jakby miał zaraz wybuchnąć.

– Tak, pani prezydent. Ma pani rację – potwierdził.

– W jaki sposób Chińczykom udało się zbudować lotniskowiec i utworzyć wokół niego jednostkę operacyjną tak szybko, że wszyscy dostajecie biegunki ze strachu?

Tym razem odpowiedział DSO.

– Kupili go. Kiedy rozpadł się Związek Radziecki, „Jariag”, lotniskowiec tej klasy co „Admirał Kuźniecowa”, był w osiemdziesięciu procentach gotowy. Rosjanie sprzedali go Chińczykom. Żeby było weselej, dodali do tego dziewięćdziesiąt samolotów Su-27K Flanker.

Turner popatrzyła na Bendera.

– Robercie, czy nie zestrzelił pan kiedyś czegoś takiego?

– Nie, pani prezydent. To był fulcrum, MiG-29. Oba modele wyglądają nieco podobnie, ale flanker jest większy i podobny do F 15.

Turner zamknęła oczy i opadła na oparcie.

– Jak mogę dać Chińczykom najdobitniej do zrozumienia, że jesteśmy przygotowani do obrony? – spytała po chwili.

Nadeszła kolej na Overmeyera.

– Zarządzić Stan Szkarłatny od basenu południowochińskiego na wschód i przejść do DEFCON CZTERY. – DEFCON CZTERY. – *Defensive condition 4*, czyli czwarty stopień stanu obronnego, był najniższym poziomem podwyższonej gotowości obronnej. Był równocześnie sygnałem, że Stany Zjednoczone przygotowują się do użycia wojska.

– Barnett? – spytała Turner.

Sekretarz stanu popatrzył na swoje dłonie.

– Wysłać notę do ambasadora Chin wzywającą go natychmiast do Departamentu Stanu. Przekazać mu nasz najostrejszy protest, a pani w tym czasie uspokoi ambasadora Japonii.

Turner podjęła decyzję.

– Proszę ogłosić na zachodnim Pacyfiku Stan Szkarłatny i wezwać ambasadorów. Nie ogłaszać na razie DEFCON CZTERY. Będę czekać na rozwój wydarzeń w Gabinetcie Ovalnym. Proszę pozostawać w dyspozycji na wypadek, gdybyśmy musieli znów się zebrać. Pod żadnym pozorem nie chcę pogarszać zaistniałej sytuacji. Są pytania?

Bender napisał na kartce zdanie: „A co z ZPW?” i podał ją generałowi Charlesowi. Szef sztabu Sił Powietrznych popatrzył na nią, pokręcił głową i nic nie powiedział. Spotkanie dobiegło końca i Turner wyszła z Shawem, sekretarzem obrony Elkinsem, Francisem i dyrektorem CIA. Bender czekał; Overmeyer i Charles rozmawiali po cichu z głównodowodzącym operacji morskich. Miał nadzieję, że rozmawiają o zasadach podejmowania walki. Charles skinął na niego, by podszedł.

– Sir – zwrócił się Bender do Overmeyera – najwyraźniej powiedziałem coś nie tak.

Overmeyer wbił w niego wzrok.

– Nic podobnego – odparł bez zastanowienia.

Bender nie rozumiał, co się dzieje. Przecież wszyscy dokładnie widzieli reakcję przewodniczącego.

– Czy nie powinniśmy byli ustalić zasad podejmowania walki na wypadek wkroczenia Chińczyków na wody terytorialne albo w strefę powietrzną Japonii?

– Nie trzeba niczego ustalać – odparł Overmeyer. – W umowie oddającej Okinawę Japonii zastrzeżliśmy sobie prawo do obrony naszych obiektów na wypadek wkroczenia na teren albo w przestrzeń powietrzną Japonii wrogich sił zbrojnych.

– Sir, ale ta umowa została podpisana ponad trzydzieści lat temu – zaprotestował Bender. – Wątpię, by prezydent rozumiała, co znaczy ZPW.

– Jeśli zechce się dowiedzieć – odburknął Overmeyer – może zapytać. – Odwrócił się i wyszedł.

– Niech się pan nie martwi – powiedział Charles. – Wyjaśnimy to, jak Turner skończy rozmowę z japońskim ambasadorem.

– Może być trochę za późno – ostrzegł Bender. Charles nic nie odpowiedział. – Sir, co się dzieje? – spytał Bender, czując że gnębi go poczucie bezradności. – Na podstawie miny przewodniczącego mógłbym się założyć, że powiedziałem coś nie tak na temat Martiniego.

– Powiedział pan dokładnie to, co przewodniczący chciał usłyszeć. Wiedział, że Turner na niego patrzy, więc skrzywił się i osiągnął to co chciał – uwierzyła panu.

Bender popatrzył na admirała.

– Sir, z całym szacunkiem, ale co się stało z marynarką wojenną? Powinien pan w całej tej sprawie grać pierwsze skrzypce.

Twarz głównodowodzącego operacji morskich spurpurowiała.

– Ale nie gram. „Nimitz” jest w Jokohamie, trzydzieści godzin od Okinawy, a „Reagan” koło Singapuru, trzy dni od drogi od miejsca wydarzeń. Zanim pan do nas dołączył, pani prezydent postanowiła na razie nie używać marynarki. – Bender słyszał gorzyc w jego głosie. – Jak powiedziała, nie chce pogarszać sytuacji.

– A łodzie podwodne? – spytał Bender.

– To samo.

– Co właściwie zrobiono przez ostatnie trzy dni?

Zapadła cisza.

– Niewiele – odpowiedział w końcu Charles.

* * *

Liz Gordon wyszła energicznym krokiem z pomieszczenia dla prasy, szeszcząc krótką spódnicą. Słuchanie oświadczenia rzecznika prasowego było stratą czasu. Czekał już na nią jej kamerzysta.

– Stacja chce materiał z konferencji prasowej – powiedział. – Co tu się, do cholery, dzieje?

– Też chciałabym wiedzieć. Albo mamy kryzys jak ta lala, albo kaczkę sezonu.

– Tak czy siak, da się z tego zrobić dobrą wiadomość – stwierdził Ben. Podał jej płaszcz i szal. – Chodźmy kręcić na dwór – powiedział. Wyszli na zewnątrz razem z dwiema innymi ekipami reporterskimi, które razem z nimi zajmowały się najnowszym kryzysem w Białym Domu.

Liz sprawdziła fryzurę i makijaż, po czym wzięła do ręki mikrofon. Kierowana impulsem, potrząsnęła głową – rozburzone włosy lepiej pasowały do niepewnej sytuacji.

– Czy Daleki Wschód wybuchnie? – zaczęła patrząc w kamerę. – Najwyraźniej nikt tego nie wie. Fakty są proste: duża flota chińska płynie w kierunku Morza Wschodniochińskiego w celu odbycia manewrów albo wtargnięcia na wody terytorialne Japonii. Doświadczeni obserwatorzy Chin twierdzą, że Pekin jedynie nasila psychologiczną presję na Japonię w celu odebrania jej wiodącej pozycji gospodarczej na rynkach azjatyckich.

W tym momencie – tak jak to było ustalone – przerwała, by pytanie mógł zadać znajdujący się w studiu Paul Ferguson.

– Liz, czy Pentagon popiera ten pogląd?

– Paul, Pentagon milczy. Powiedziano nam, że wojskowi są bardzo zaniepokojeni, padło hasło o „docenianiu zagrożenia”. Wbrew tym słowom, hasłem dnia wydaje się bezczynność.

– Jaka jest reakcja Białego Domu? – spytał prowadzący wiadomości głosem pełnym powagi i tego, co w branży określa się mianem „pompatycznego nadęcia”.

– Prezydent Turner spotkała się z japońskim ambasadorem, podczas gdy ambasador Chin został wezwany do Departamentu Stanu. Dobrze poinformowane źródła twierdzą, że sekretarz stanu przekazał Chińczykom poważne ostrzeżenie.

– Liz, czy mamy do czynienia z kryzysem, czy z nieporozumieniem wywołanym manewrami wojskowymi?

– Na to pytanie nie ma jeszcze odpowiedzi. Na razie możemy jedynie przyglądać się rozwojowi sytuacji. Sprzed Białego Domu mówiła Elizabeth Gordon.

– Znakomicie – powiedział Ben. W słuchawkach włączył mu się ktoś ze stacji; Ben na chwilę zamarł. – Chcą czegoś bardziej jednoznacznego albo Fergy zacznie określać to mianem „naciąganego kryzysu”.

– Przedwcześnie – odparła Liz. – Dzieje się znacznie więcej niż się domyślamy.

– Może zrób wywiad z generałem Benderem? – zaproponował kamerzysta pamiętając rozmowę z sierpnia. – Potrzebujemy informacji od kogoś z wewnątrz.

– Z Wielką Kamienną Twarzą? Szczęście, jeśli ten drań powie pięć słów. – Zastanowiwszy się chwilę, stwierdziła, że Ben ma jednak rację. A może... uśmiechnęła się na tę myśl.

Okinawa

Na Okinawie zbliżała się północ. Baza była już od sześciu i pół godziny w Stanie Szkarłatnym. Dowódca grupy wsparcia siedział w kabinie operacyjnej z Martiniem.

– Jak dzieciak? – spytał Martini.

– Ryan? Po tym, jak go pan podkreślił, świetnie. Szybko się uczy. Skoordynował program centrum medycznego z działaniami reszty bazy. Wprowadził kilka sensownych zmian i poprawił naszą zdolność reagowania.

Martini mruknął aprobująco. Może należało dać chłopakowi spokój. W końcu jego praca polegała głównie na pouczeniu podwładnych, a dopóki Ryan przyswajał wiedzę, robili postępy. Czy jednak naprawdę nie stało się nic nieodwracalnego? Rozejrzał się po centrum dowodzenia. Wrzała tu pracowita krzątanka – siedemdziesiąt dwa z jego siedemdziesięciu czterech samolotów były uzbrojone i gotowe do startu. Żandarmerię uzupełniono do pełnego stanu żołnierzami perso-

nelu pomocniczego i rozmieszczono w bunkrach wokół bazy. Ekipy ratunkowe znajdowały się na swoich pozycjach, a personel techniczny przeniósł sprzęt pod osłonę uzbrojonych stanowisk dla samolotów. Mechanicy i operatorzy ruchomego sprzętu naziemnego rozproszyli pojazdy i zajmowali się teraz napełnianiem worków piaskiem. Martini parskał – taki miał sposób okazywania ulgi. Siedem tysięcy trzystu mężczyzn i kobiet pod jego dowództwem było gotowych.

Ale to nie koniec zmartwień. Oprócz własnych przygotowań musiał zadbać o ochronę jedenastu tysięcy członków rodzin i innych cywilów związanych z bazą. Przyszła mu do głowy przewrotna myśl, im dłużej się jednak nad nią zastanawiał, tym wydawała się rozsądniejsza. Popatrzył na dowódcę grupy wsparcia.

– Chuck, co pan sądzi o majorze Ryanie?

– Bystry jak cholera i ambitny. Znakomicie sobie poradził z Programem Oceny Niezawodności Personelu. Ma problem z własnym ego i uważa, że jest cwańszy od wszystkich, skąd wynika przekonanie, że wolno mu chadzać na skroty i manipulować systemem. Bez dwóch zdań kiepski gracz drużynowy, ale ma i pod tym względem spore możliwości rozwoju.

Ocena ta była zbieżna z opinią Martiniego.

– Pańska grupa jest odpowiedzialna za NEO, prawda? – NEO było skrótem programu ewakuacji zbędnego personelu. – Chciałbym, by Ryan się w to włączył. Kiedy już załapie, o co chodzi, niech przejmie dowództwo akcji.

Pułkownik pokręcił głową.

– Pokocha ten bajzel...

Zaterkotał stojący przed Martinim czerwony telefon. Dzwonił najstarszy stopniem oficer kontroli działań z kabiny kontroli.

– Sir, CINC PAC ogłosił Stan Szkarłatny dla zachodniego Pacyfiku.

Martini opadł na oparcie i westchnął z ulgą. A więc przełożeni podzielili jego zdanie i zdjęto mu pętlę z szyi. Gdyby przywrócił bazie stan normalnej gotowości, odebraliby mu dowództwo, może nawet oddali pod sąd.

– Czy zmieniono obowiązujące zasady podejmowania walki? – spytał.

– Nie, sir. ZPW pozostają jak w ostatniej instrukcji.

Martini przerwał połączenie i przebiegł palcami po pulpicie komunikacyjnym. Połączenie konferencyjne z koordynatorem obrony powietrznej oraz szefem misji powietrznych – obaj oficerowie znajdowali się kilka metrów poniżej kabiny operacyjnej, w sali głównej centrali dowodzenia.

– Czy rozmawialiśmy z Op Tak w Naha? – spytał, kiedy przyszli. Japońskie siły obronne utrzymywały w Naha dwa dywizjony F 4J, mające bronić Okinawy w powietrzu. Kierowało nimi Japońskie Centrum Operacji Taktycznych, dowodzone przez dowódcę bazy Naha.

– Gorąca linia została uruchomiona natychmiast po ogłoszeniu przez CINC PAC Stanu Szkarłatnego – wyjaśnił koordynator obrony lotniczej.

– Świetnie – odparł Martini. Kazał szefowi misji powietrznych wyznaczyć dla dwunastu samolotów alarm kabinowy, czyli gotowość do bezpośredniego startu, dla następnych dwunastu alarm piętnastominutowy, dla pozostałych trzydziestominutowy. Spojrzał na tablicę informacji o gotowości startowej – po kilku sekun-

dach zapaliło się dwanaście zielonych lampek, wskazując, w których stanowiskach stoją maszyny gotowe do startu w czasie poniżej pięciu minut. Dwanaście następnych lampek zamigotało żółto – gotowi byli piloci mogący startować w kwadrans. Teraz mógł docenić zagrożenie.

Potem zadzwonił do sekcji wywiadowczej.

– Proszę przekazać Townly’emu, że chcę jak najszybciej mieć aktualne dane. – Nie czekając na odpowiedź przerwał połączenie i popatrzył wzdłuż konsoli z przyrządami. Wpatrywał się w niego Ryan z lekko otwartymi ustami. Dowódca grupy wsparcia właśnie mu wyjaśnił, co oznacza operacja ewakuacji zbędnego personelu.

Dwie minuty później kabiny operacyjnej dotarł pułkownik Pete Townly z najnowszymi danymi.

– Sir, tak wyglądała sytuacja pół godziny temu. – Pokazał mapę, na której zaznaczono postępy chińskiej floty. – Według ostatniego namiaru radarowego są czterdzieści osiem mil na północ od Iromote Jima. – Townly był błądliwy, ale głos miał opanowany. – To dwieście pięćdziesiąt mil od nas. Dziesięć godzin dla statku, trzydzieści pięć minut dla samolotu.

Znów zadzwonił czerwony telefon Martiniego.

– Sir! – wyrzucił z siebie koordynator obrony lotniczej. – Chińskie samoloty wtargnęły na terytorium japońskie i Naha startuje swoje F 4. – Martini widział rozmawiającego z nim młodego kapitana i jego wybałuszone ze strachu oczy. Najwyraźniej był na skraju ataku paniki.

– Uspokój się, synu. Jeśli spanikujesz, ja też spanikuję, a to byłoby niedobre. Przyjmij nadchodzące informacje, zaraz zabierzemy się do skopania kilku tyłków. – Kapitan odwrócił się i popatrzył na niego; Martini skinął głową, aby dodać mu otuchy. Zadzwonił do oficera dowodzącego w kabinie kontroli. – Niech pan użyje swoich zabawek, połączy się z CINC PAC-iem i powie mu, że Japończycy startują swoje F 4 z Naha. Proszę się też dowiedzieć, czy ZPW są utrzymane. – Martini patrzył, jak palce kontrolera biegają po klawiszach sprzętu.

– Sir, CINC PAC potwierdza dotychczasowe ZPW – rozległo się po chwili.

Martini zwrócił się teraz do dowódcy grupy operacyjnej.

– Ci chłopcy z Naha mają jaja. Nie chciałbym spotkać się z fulcrumem siedząc w phantomie. – Dowódca grupy operacyjnej był tego samego zdania. – Może moglibyśmy im pomóc – zastanowił się Martini. – Pchnijmy nasze gotowe ptaszki na patrol blokujący. Zrobmy chłopakom wolną drogę przynajmniej na pół dystansu do Iromote. Następnym dwunastu maszynom wyznaczmy alarm kabinowy i zapełnijmy lukę po nich. Przekażcie Op Tak w Naha, co planujemy i powiedzcie, że na ich samoloty będą czekać w powietrzu cztery tankowce.

Kiedy centrum dowodzenia zaczęło wykonywać rozkazy Martiniego, Ryan poczuł, że serce zaczyna mu wariować. Boże, on wciąga nas w wojnę, pomyślał. Z trudem powstrzymał chęć ucieczki; najlepiej byłoby gdzieś się schować. Gdzie jednak można się schować na wyspie o długości osiemdziesięciu mil?

Rozdział dwunasty

Waszyngton

Bender z nudów poszedł znów do barku na kawę. Ponieważ jego gabinet w dalszym ciągu okupowała marynarka wojenna, a korytarze wokół Gabinetu Sytuacyjnego spece z Pentagonu, CIA i Departamentu Stanu, nie miał gdzie się podziąć. Każdy był gotów natychmiast dostarczyć swojemu obradującemu z panią prezydent szefowi odpowiednich informacji i w razie potrzeby określić wszystkich pozostałych ekspertów mianem idiotów, niezdolnych do znalezienia własnego tyłka bez fachowego przewodnika. Co za strata czasu, te ich gierki, pomyślał Bender. Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, jak bardzo podejmowanie politycznych decyzji warunkuje dawka narcyzmu w osobowości zajmujących się tym osób. Podszedł do niego podpułkownik, adiutant generała Charlesa.

– Sir, jest pan potrzebny w Gabinetcie Sytuacyjnym.

– Co się stało? – spytał Bender, podpułkownik jednak tylko pokręcił głową na znak, że sam nie wie. Poszli szybko do piwnicy. Charles już czekał przy wejściu do i szybko wciągnął Bendara do środka.

– Przewodniczący zamierza sam się zniszczyć – szepnął mu do ucha. – Mógłby pan rozlać na wodę nieco oliwy?

– Nie, dopóki nie wiem o co chodzi.

– Wygląda na to, że doszło do starcia Japończyków z Chińczykami i Martini kazał wystartować swoim maszynom. DCI i sekretarz stanu twierdzą, że sytuacja wymknęła się spod kontroli.

– Wygląda na to, że Martini wie co robi – stwierdził Bender.

Charles pokręcił głową.

– Ich zdaniem to błąd. Chcą, byśmy natychmiast zawiesili wszelkie działania i żądają głowy Martiniego, by podać ją na srebrnej tacy Chińczykom na znak, że chcemy negocjować.

– Lojalni chłopcy...

– Chcę przedstawić pana jako specjalistę od zagadnień taktycznych, jedyne-go, który potrafi wytłumaczyć, co się dzieje. Niech pan gra na zwłokę, aż uzyska-

my jaśniejszy obraz sytuacji. – Bender skinął głową. – No to do dzieła. – Charles otworzył drzwi i weszli do środka.

Overmeyer stał obok monitora pokazującego mapę.

– Pani prezydent, proszę nie wiązać teraz rąk generałowi Martiniemu – powiedział patrząc na Bendera. – Proszę pozwolić mu bronić swojej bazy. Namawiam także, by wydała pani rozkaz skierowania „Nimitza” i „Reagana” na Morze Wschodniochińskie. – Powiedziawszy to, usiadł. Twarz miał purpurową, prawą dłoń zaciskał w pięść. Machinalnie wziął do ręki cygaro, ale nie włożył go do ust, lecz upuścił na stół przed sobą.

Turner wstała. Była blada i wyglądała na bardzo zmęczoną. Bender niemal fizycznie czuł napięcie między nią a przewodniczącym.

– Ile razy mam mówić, że nie zamierzam zaostrzać sytuacji? Nie dam się wciągnąć w powtórkę incydentu w Zatoce Tonkińskiej. Nie stracę panowania nad sobą.

Po tych słowach zapadła grobowa cisza. Bender studiował w akademii incydent z sierpnia 1964 roku, kiedy to północnowietnamskie łodzie patrolowe zaatakowały dwa amerykańskie niszczyciele, stojące na wysokości Wietnamu Północnego na wodach eksterytorialnych, w efekcie czego Kongres upoważnił prezydenta do eskalacji działań wojennych. Czy jednak tym razem ta lekcja obowiązywała? Bardzo w to wątpił.

Ciszę przerwał Charles.

– Pani prezydent, chciałbym dowiedzieć się, jaką opinię ma o zaistniałej sytuacji generał Bender.

– Dlaczego akurat on? – spytał sekretarz stanu. Pamięć ostatniego wystąpienia Bendera była jeszcze świeża.

– Ponieważ jest jednym z najlepszych taktyków w lotnictwie – odparł Charles i nie czekając na reakcję, dodał: – Generale Bender...

Czas od momentu wejścia do Gabinetu Sytuacyjnego Bender wykorzystał na przyjrzenie się wyświetlonej na ekranie mapie.

– Informacja na tej mapie ma dwadzieścia minut – zaczął. – W świecie operacji taktycznych to prehistoria. – Przez mikrofon przekazał do centrali komunikacyjnej prośbę o uaktualnienie danych i pokazanie na drugim monitorze rozlokowania sił. Najpierw pokazano pozycje. – O Boże... – mruknął i popatrzył na Turner. – Chiński lotniskowiec „Przewodniczący Mao” znajduje się jeszcze na wodach międzynarodowych na wysokości Iriomote Jima, ale dwadzieścia jego samolotów wtargnęło w przestrzeń powietrzną Japonii. Japończycy odpowiedzieli startem szesnastu myśliwców F 4, stacjonujących w Naha... – popatrzył na zegarek – dwadzieścia minut temu.

– Wiemy o tym – gderliwie przerwał mu sekretarz stanu. – Marnuje pan nasz czas.

Bender wbił w niego zimne spojrzenie.

– Ale dlaczego Chińczycy skierowali do akcji tyle samolotów? – Spojrzenie sekretarza stanu świadczyło o tym, że nie ma zielonego pojęcia. – Na przynętę. By ściągnąć japońskie F 4. Starcie nastąpi nad wodami eksterytorialnymi.

– Chce pan powiedzieć, że strzelanina jeszcze się nie zaczęła? – spytał dyrektor CIA.

– Jeżeli się zacznie, to za trzy, może cztery minuty – wyjaśnił Bender. – F 4 to stara maszyna i żaden przeciwnik dla flankerów z „Przewodniczącego Mao”. Na dodatek Japończykom będzie się kończyć paliwo, co zmusi ich do bardzo szybkiego przzerwania walki.

– To jak strzelanie do kaczek – burknął Overmeyer.

– Niekoniecznie – powiedział Bender. – Japończycy to doskonali piloci i mają świetną rakietę do zwalczania celów nawodnych, ASM-1. Polecą prosto na lotniskowiec, bo to jedyne miejsce, gdzie flankery mogą lądować. To będzie bardzo interesujące.

Mina Turner poinformowała go, że powiedział nie to co trzeba.

– Interesujące? – mruknęła, a głośniejszym głosem dodała: – Ludzie będą umierać, generale, a pan uważa, że to interesujące?

– Pani prezydent, możemy im pomóc – odparł Bender. Turner nie odpowiedziała, więc kontynuował: – Kadena ma w powietrzu dwanaście F 15, ustawionych na punktach dyżurowania powietrznego między Okinawą a Chińczykami. – Wskazał na mapę na ekranie. – Proszę pozwolić generałowi Martiniemu przesunąć te punkty bliżej miejsca akcji. Sugerowałbym, żeby nad wyspę Miyako Jima. – Miyako Jima znajdowała się sto mil na wschód od Iriomote, czyli znacznie bliżej Okinawy, i miała lądowisko. – Proszę jednak pozostawić jego decyzji, gdzie dokładnie ma rozmieścić swe myśliwce.

– Zgadzam się – powiedział DCI.

– Dlaczego? – spytała Turner, zaskoczona jego nagłą zgodą.

– Agencja Bezpieczeństwa Narodowego ma na Miyako Jima stanowisko nasłuchowe – odparł dyrektor. – W tej chwili to nasze podstawowe źródło informacji. NSA złamała chińskie szyfry i dzięki Miyako Jima możemy ich podsłuchiwać. Musimy chronić to źródło, pani prezydent.

Teraz nadeszła kolej na Overmeyera.

– Mamy na Miyako Jima naziemny punkt kontroli lotów. Jest przykrywką dla stanowiska nasłuchowego, ale także dostarcza ważnych informacji.

Monitor zamigotał i mapa znów się uaktualniła. Tak jak Bender przewidział, mniej więcej dwadzieścia mil na północny wschód od Iriomote, nad wodami międzynarodowymi, odbywała się walka powietrzna. Wszyscy w milczeniu wpatrywali się w ekran, jakby chcieli mieć swój wkład w rozwój sytuacji, mogli jednak tylko czekać. Mijające minuty zdawały się wydłużać w godziny. Raz za razem obraz się zmieniał, pokazując rozwój sytuacji. „Przewodniczący Mao” płynął na północ, oddalając się od Iriomote. Kiedy samoloty się rozstały, tylko dwa F 4 leciały na wschód, w kierunku Miyako Jima. W końcu odezwał się szef operacji morskich:

– „Przewodniczący Mao” zbiera myśliwce. Potyczka zakończona.

– Tylko dwa F 4? – spytała Turner. – Co się stało z pozostałymi? – Doskonałe jednak znała odpowiedź na swoje pytanie. – O nie...

– Pani prezydent, musimy pokazać naszą siłę – powiedział Overmeyer. – Niech pani pozwoli Martiniemu przenieść punkty patrolowe na zachód, a „Prze-

wodniczący Mao” weźmie kurs z powrotem do domu. Jeśli pokażemy zęby, Chińczycy nie podejmą ryzyka straty jedynego lotniskowca, jaki mają.

Złe, generale! – wściekł się w myśli Bender. Ona tak nie rozumuje!

Turner wstała.

– Odwołać nasze F 15. Nie zamierzam pogarszać sytuacji – powiedziała i wyszła z sali. Na zewnątrz czekali na nią Shaw i jej osobista asystentka Jackie Winters. – Chcę rozmawiać z chińskim ambasadorem – rzuciła do nich. – Natychmiast.

– Złamali nas – powiedział Overmeyer, wsadzając sobie w usta cygaro i zgrzytając zębami.

– Chyba pana w ogóle nie usłyszała – powiedział Bender.

Okinawa

Zaterkotał czerwony telefon przed Martinim. Podniósł słuchawkę i nie odwracając oczu od tablic informujących o bieżącej sytuacji, przyłożył ją do ucha. Stacja kontroli lotów na Miyako Jima przekazała, że tylko dwa F 4 przeżyły potyczkę. Martini był przede wszystkim pilotem bojowym, więc coś takiego doprowadzało go do wściekłości. Wiedział, że Japończycy rzucili swoje przestarzałe maszyny do walki z lepiej wyposażonym wrogiem w pełni świadomi konsekwencji. Znał dowódcę japońskich pilotów, jadał z nimi, pił ich whisky i opowiadali sobie nawzajem wojenne historyjki, zaczynające się zawsze od słów: „Któregoś dnia...”

Nie wstąpił do sił powietrznych, by przyglądać się z boku, zwłaszcza jeśli mógł mieć wpływ na rozwój sytuacji.

– Sir – zaczął kontroler – dostaliśmy rozkaz wycofania wszystkich maszyn. Mamy nie interweniować.

Martini z całej siły huknął słuchawką o widełki. Plastik pękł, słuchawka spadła na biurko i leżała tak bucząc gniewnie. Wcisnął wyłącznik i dźwięk zamilkł. Zdławił w ustach przekleństwo, zanim zostało wypowiedziane, ale jego wściekłość niemal namacalnie wypełniła kabinę operacyjną. Ryan uniósł głowę nad konsolety. Jeszcze nigdy nie widział tak rozgniewanego człowieka. Popatrzył na zegarek, zapamiętał czas i postanowił zaobserwowany fakt dopisać do swego studium przypadku.

– Odwołać wszystkie maszyny – rozkazał Martini dowódcy grupy operacyjnej. Uderzył pięściami o stół i zamarł wpatrzony w tablicę z danymi sytuacyjnymi. – Wezwijcie Townly’ego. Może on będzie miał pojęcie, o co tu chodzi.

Peter Townly stanął przed Martinim dwie minuty później. Także wbił wzrok w tablicę, zdumiony odwołaniem myśliwców.

– Ledwo się napaliliśmy do walki i już wycofujemy maszyny? W życiu nie widziałem niczego tak głupiego.

– Świetnie, mądralo – warknął Martini. – Jaki to ma sens?

Szef wywiadu zadumał się. Nie miał na to odpowiedzi. Po chwili z boksu wywiadu wyskoczył sierżant i podbiegł do kabiny operacyjnej. Zza drzwi machał

do Townly'ego trzymaną w dłoni kartką, próbując energicznie ściągnąć na siebie jego uwagę. Townly otworzył drzwi.

– „Przewodniczący Mao” – wyrzucił z siebie sierżant – płynie na północ. Oddala się od Iriomote.

Townly podał otrzymany komunikat Martiniemu.

– Sądzę, że zbierają swoje samoloty. To jeszcze nie koniec.

– Uważa pan, że wrócą? – spytał Martini.

– To się nazywa taktyka salami – odparł Townly. – Odcina się cienki plasterek i czeka. Gdybym był doradcą chińskiego dowódcy, powiedziałbym mu, że jeśli Amerykanie wycofali samoloty, to znaczy, że przymknęli oko i może nie zamierzają bronić Japończyków. Należy odciąć kolejny plasterek, żeby to sprawdzić.

– Gdzie są, do cholery, nasze lotniskowce? – zagrział Martini.

– Nie mam pojęcia – odparł Townly. – Kiedy ostatnim razem coś na ten temat słyszałem, „Nimitz” był w Jokohamie, a „Reagan” w Singapurze. Oba są zbyt daleko, aby mogły mieć jakikolwiek wpływ na sytuację, gdyby Chińczycy ruszyli.

– Dziękuję bardzo – mruknął Martini. – Nie wiem, czy kiedyś jeszcze o coś pana zapytam. – Dowódca grupy operacyjnej parsknął rozbawiony i napięcie w kabinie operacyjnej nieco osłabło. – Panowie, wygląda na to, że zaraz będzie tu bardzo interesująco – powiedział Martini. – Zaczynjcie szykować ludzi na dłuższą zabawę i zadbajcie o to, by każdy dostał gorące śniadanie. Majorze Ryan, nie możemy zacząć NEO, póki nie dostaniemy upoważnienia od CINC PAC-a. Na pewno jednak będziemy gotowi, kiedy je uzyskamy. Od zaraz przechodzi pan pod komendę dowódcy grupy wsparcia. Proszę zabierać się do roboty.

– Sir, a co z pozostałymi służbami? Z tego co się mówi, na wyspie musi być dwadzieścia pięć tysięcy ludzi związanych z armią i amerykańskich cywili.

– Ich też ewakuujcie.

Waszyngton

Bender siedział sam w Gabinetzie Sytuacyjnym. Po potwierdzeniu informacji, że „Przewodniczący Mao” w dalszym ciągu oddala się na północ od Iriomote, Turner zabrała swoich doradców do Gabinetu Ovalnego. Dołączyła do nich sekretarza obrony Elkinsa i Overmeyera. Członkowie Połączonego Komitetu Szefów Sztabów wrócili do Pentagonu i z piwnicy szybko zniknęły mundury i garnitury, unoszące się jak rybki piloty wokół wielkich rekinów. Turner zasugerowała, by Bender został i obserwował z Gabinetu Sytuacyjnego rozwój sytuacji, a ponieważ w Białym Domu prezydenckie sugestie są traktowane jak najświętszy rozkaz, generał został nianką długiego szeregu ekranów telewizyjnych, na których co i rusz pojawiały się jakieś wiadomości.

Przynajmniej miał coś do roboty. Podniósł słuchawkę telefonu gorącej linii do centrum komunikacyjnego i zaczął zadawać pytania. Bardzo szybko odkrył, że ma dostęp do każdego źródła wywiadowczego, do jakiego ma dostęp prezy-

dent. Między naciskaniem guzików pilota a rozmawianiem przez telefon zapoznał się z mnóstwem pojawiających się na ekranach informacji. Stwierdził, że danych jest zbyt wiele i żaden żywy człowiek nie jest w stanie objąć ich wszystkich rozumem. Nakazał sobie koncentrację na informacji podstawowej – co dla niego równało się trasie „Przewodniczącego Mao”.

Dostaliśmy lekcję, ile może zdziałać lotniskowiec użyty w celach zaczepnych, podsumował. Motywacje?! Co Chińczycy chcieli osiągnąć? Jaki był cel główny? Czy zaryzykowałbym jedyny lotniskowiec wiedząc, że jestem słabszy? Nie. Ale mógłbym go wykorzystać jako probierz reakcji potencjalnego przeciwnika. Podniósł znów słuchawkę, wybrał numer i na ekranie zaczęły się pojawiać dane prognozy strategicznej, sporządzonej przez Korporację Randa z siedzibą w kalifornijskiej Santa Monica. Jej autor bez najmniejszej wątpliwości uważał, że Chiny chcą skłócić Japonię i USA oraz stworzyć na Dalekim Wschodzie imperium gospodarcze.

Im więcej Bender gromadził informacji, tym bardziej był przekonany, że kluczem jest Okinawa. Bolała go głowa i czuł, że musi przystopować, by mózg zdołał wchłonąć otrzymane informacje. Zamknął więc oczy i pozwolił myślom swobodnie wędrować. Po chwili wszystko wskoczyło na swoje miejsce – z taką jasnością i prostotą, aż generałowi zakręciło się z przerażenia w głowie. Chińczycy sprawdzają nas, obierają nas jak cebulę, by stwierdzić, kiedy trafią na opór. Wcisnął przycisk na pilocie i ekran lewego monitora pokazał mapę sytuacyjną. Podniósł słuchawkę.

– Chcę zostać natychmiast poinformowany, kiedy „Przewodniczący Mao” zmieni kurs na wschodni, na Okinawę. Powinno to nastąpić w ciągu kilku minut.

* * *

Shaw siedział w fotelu obok kominka, na kolanach trzymał notatnik, a w rękę długopis; był gotów do pisania. Maddy, nie wygłupiaj się, zrób choć jedno jak należy, zaklinał w myśli. Shaw wyczuwał w zbiorowej psychice Amerykanów głęboko ukrytą, ale nieustannie działającą potrzebę nienawiści do wroga. Jeśli świat nie podsuwał im jakiegoś, tworzyli go u siebie. Na szczęście co dwadzieścia lat pojawiał się jakiś wredny naród i ratował Amerykę przed nią samą. W opinii Shawa historia właśnie się powtarzała i mogło to doprowadzić panią prezydent do ponownego wyboru.

– Czy Chińczycy naprawdę uważają, że uwierzę w wersję o pomyłce w trakcie manewrów? – spytała.

– No cóż, pani prezydent, tak twierdzi ambasador – odparł sekretarz stanu Francis. – Zapewnia, że „Przewodniczący Mao” znajdował się cały czas na wodach eksterytorialnych i jedynie bronił się przed atakiem Japończyków, dokonanym w międzynarodowej przestrzeni powietrznej. Zadziałali w samoobronie, tak samo jak nasze siły na Okinawie.

– On użył tego porównania, czy pochodzi od pana?

– Tak dokładnie brzmiały jego słowa, pani prezydent. Najwyraźniej Chińczycy obserwują nasze zachowanie na Okinawie.

Turner popatrzyła na DCI.

- Kto więc kogo podsłuchuje? – spytała, ale nie otrzymała odpowiedzi.
- Chińczycy uważają się za stronę zaatakowaną – powiedział Francis. – Twierdzą, że Japończycy zareagowali przesadnie, choć wystarczyłby jeden telefon.
- Czy ktoś taki telefon wykonał?
- O ile wiemy, nie – odparł DCI.
- To był ze strony Chińczyków test – wyjaśnił Overmeyer. Tak naprawdę zamierzał powiedzieć, że Chińczycy zamierzali zbadać zdecydowanie Ameryki, ale nauczony doświadczeniem ostatnich dni, powściągnął język.

– Czy możemy negocjować? – spytała Turner.

– Oczywiście – odparł Francis.

Sam Kennett, wiceprezydent, odchrząknął.

– Z całym szacunkiem, pani prezydent, negocjować na jaki temat?

Chłopak ma głowę na karku, pomyślał Shaw. Słuchajcie lepiej, co mówi. Dla niego samego sprawa była bardzo prosta. Chińczycy powarkiwali na Japończyków i Amerykę i trzeba im nadebrać na palce, inaczej nie przestaną. Ludzie zapominali o tym przy pierwszej lepszej okazji.

– Napiszę do premiera Chin, Lu Zoulina, list, wyrażając jak najostrzejszy protest – postanowiła Turner. – Chcę rozpocząć negocjacje, aby określić zasady manewrów morskich i zapobiec powtórzeniu się w przyszłości podobnych incydentów.

– Czy zamierza pani poprzeć swój protest demonstracją siły? – spytał Overmeyer. – Posłanie na Morze Wschodniochińskie dwóch lotniskowców pomogłoby dosłyszeć pani słowa.

– Nie jest to konieczne – odparła. – Chińczycy są rozsądni i zachowają się odpowiednio.

Overmeyer spodziewał się takiej odpowiedzi, więc jej nie skomentował. Pamiętał pewne manewry, podczas których stwierdził, że dowódcy „przeciwnika” nie tylko go małpują, ale przypisują mu reprezentowane przez siebie wartości i własne postawy. Bez trudu ich dzięki temu zdeptał. A teraz to samo, co wtedy robili jego adwersarze, stosowała pani prezydent wobec Chińczyków.

* * *

Telefon przed Benderem zadzwonił, a w tym samym momencie pojaśniał ekran monitora.

– Sir, „Przewodniczący Mao” skręcił na wschód. – Dane na ekranie potwierdziły słowa telefonującego. – Może zmienia kurs.

– Na pańskim miejscu nie założylbym się o to. – Bender odłożył słuchawkę i wybiegł z Gabinetu Sytuacyjnego. Tę wiadomość musiał dostarczyć osobiście, aby jej nie zignorowano. Pobiegł schodami w górę i wpadł do sekretariatu ze słowami: „Pani prezydent czeka na mnie!”. Wayne Adams, pilnujący wejścia agent Secret Service, otworzył mu drzwi do Gabinetu Ovalnego.

Turner zdziwiona podniosła głowę znad biurka.

– Tak, Robercie?

- „Przewodniczący Mao” skreślił na Okinawę.
- Kiedy? – spytał DCI.
- Niecałe pięć minut temu.
- Przedwcześnie obawy – odparł dyrektor. – Może manewruje.
- Nie, sir! – rzucił Bender. – On nie manewruje. W tej właśnie chwili idzie całą naprzód na wyspę.
- Chińczycy nie zaatakują Okinawy – stwierdził z pełnym przekonaniem Francis. Bender nie popuszczał.
- Nie zaatakują naszych sił, ale wyzwą do walki Japończyków. DCI prychnął.
- Jak? Jak to uzasadnią?
- Japończycy dali im uzasadnienie nad Iriomote. Dyrektor pokręcił głową.
- To nie przejdzie. Sekretarz stanu miał bardzo zmartwioną minę.
- Jeżeli okażą umiar i nie zagrażą naszym ludziom, ONZ i Kongres mogą to kupić. Japończycy nie są lubiani.
- Panowie, trzymajmy się realiów – wtrąciła Turner. – W jaki sposób Chińczycy wyzwą do walki Japończyków bez wciągania w to naszych ludzi? Możemy zacząć działać dopiero, jeśli dostanę odpowiedź na to pytanie. – Zapadła cisza, którą przerwał Bender.
- Za pomocą blokady, pani prezydent.
- Na jakiej podstawie sądzą, że im to ujdzie na sucho?
- Iriomote – odparł Bender. – Przeprowadzili test, na ile jesteśmy zdecydowani bronić japońskiego terytorium, i nie sprawdziliśmy się. – Każdy z obecnych wiedział, że to „my” dotyczy pani prezydent.
- Turner wstała, purpurowa ze złości. Bender zebrał się w sobie, by znieść reprimendę, zamiast tego usłyszał:
 - Idę do Gabinetu Sytuacyjnego. – Kiedy ruszyła, odsunął się na bok. – Niepotrzebnie pan przychodził, Robercie. – Za nią jak za kwoką ruszyli doradcy.
- Overmeyer zatrzymał się na ułamek sekundy, jakby chciał coś powiedzieć, jednak tylko skinął Benderowi głową. Shaw wyszedł ostatni.
- Oj, chłopcze, tym razem nadepnąłeś starej na odcisk. Cholera, ale ją to musiało zabołeć...

Rozdział trzynasty

Okinawa

Sierżant wszedł na niski podest i podszedł do wiszącej między tablicami informacyjnymi wielkiej mapy zagrożeń. Wszyscy patrzyli, jak oznacza najnowszą pozycję płynącej prosto na Okinawę chińskiej floty. Widząc, jak sierżant przesuwając czerwona strzałkę w pobliże wyspy i notuje obok czas, Ryan poczuł, jak szaleńczo bije mu serce. To jak w kiepskim filmie, pomyślał. Takie rzeczy nie dzieją się naprawdę. Cóż, ale to są fakty, oni pędzą prosto na nas. Jest niedzielne południe i nie ma drogi ucieczki.

Zastępca dowódcy skrzydła siedział w kabinie operacyjnej w fotelu Martiniego i tak jak Ryan, czuł wszechogarniające przerażenie.

– Cóż, panowie, mamy problem – zaczął spokojnym i pozornie obojętnym tonem. – Majorze Ryan, proszę obudzić generała Martiniego. Proszę mu powiedzieć, że jesteśmy w zasięgu ostrzału raketowego.

– Tak jest, sir – odparł Ryan i ruszył do pokoiku na zapleczu centrali dowodzenia. Jak można w takiej chwili spać? – dziwił się. Nie widział łóżka od trzydziestu pięciu godzin i był zmęczony jak pies. Zapukał do drzwi i wszedł do środka. Martini spał głęboko, więc Ryan potrząsnął go za ramię. – Sir, jest pan potrzebny w kabinie operacyjnej.

Martini wzdygnął się i przekręcił na plecy. Zamrugnął i usiadł.

– Zaraz tam będę. – Zapalił światło i rzucił: – Sytuacja!

– „Przewodniczący Mao” znajduje się około siedemdziesięciu mil na zachód i jesteśmy w zasięgu ostrzału raketowego. Bez zmian w ich osłonie przeciwlotniczej, mają tylko dwa helikoptery na patrolu sprawdzającym ruchy łodzi podwodnych.

– Jak wyglądam? – spytał Martini. Ryan był tak zdumiony, że nie wiedział, co odpowiedzieć. – Tiki nerwowe, drżące ręce, łzawiące oczy i takie tam... – mruknął Martini. – Pan jest lekarzem i pańskim zadaniem jest utrzymać mnie w formie. – Przerwał na kilka sekund. – Dowódca jest gównowarto, jeśli ze zmęczenia leci z nóg albo rozsypuje się z nadmiaru stresu.

Ryan odetchnął z ulgą i popatrzył na generała.

– Widać, że jest pan zmęczony, ale nie ma powodów do obaw. Powinien pan coś zjeść i pić dużo wody. Jeśli pan może, należy dużo chodzić.

Martini skinął głową.

– Za to pan wygląda na ugotowanego. Proszę się chwilę przespać. – Wstał i wskazał na polówkę. – Mówi się na to „gorąca koja”. – Ryan usiadł na łóżku i zanim Martini zamknął za sobą drzwi, już spał. Generał wszedł do kabiny operacyjnej i przyjrzał się tablicom informacyjnym. – Będą lądować? – spytał swego zastępcę.

– Mam nadzieję, że nie – odpowiedział pułkownik. – Nie ma nic od CINC PAC-a. Wołamy o pomoc, a odpowiedź brzmi nieustannie: „Zachować gotowość”.

Martini podjął decyzję.

– Jeśli wystrzelą rakiety, skierują na nas samoloty albo wpłyną w strefę dwunastu mil, ruszamy. Proszę przekazać CINC PAC, co zamierzamy. Nie sądzę, bym zmienił tę decyzję.

Pułkownik podniósł słuchawkę i zadzwonił do kabiny kontroli, a dowódca grupy operacyjnej rozkazał wszystkim samolotom przejść w stan bezpośredniej gotowości startowej. Zaterkotał telefon i zamigotało światelko informujące, że dzwoni punkt wczesnego ostrzegania radarowego. Martini wcisnął przycisk, przyłożył słuchawkę do ucha, chwilę słuchał i odłożył ją na widełki. Przekazał komunikat:

– Z „Przewodniczącego Mao” wystartowały maszyny. Sądząc po prędkości i wysokości, to helikoptery, ale znacznie więcej niż potrzeba na patrol przeciwko łodziom podwodnym. Skąd ten wzrost aktywności?

Martini wstał, oparł dłonie na blacie i pochylił się do przodu.

– Panowie, nasi szefowie nie mówią nam, co robić, wygląda więc na to, że musimy zacząć podejmować samodzielne decyzje. Osiem maszyn skierować na punkty dyżurne do obrony bazy, niech startują także cztery eagle z popeyami na pokładzie. Damy tym draniom do myślenia. – „Popey” nazywały się półtoratonowe lotnicze pociski raketowe średniego zasięgu, zakupione przez USA w Izraelu i przystosowane do F 15E. Specjalna głowica popeya zawierała siedemset pięćdziesiąt funtów silnego materiału wybuchowego. Jedna taka rakietka mogła zatopić statek. Martini rozparł się na krześle i czekał. – Co za sposób prowadzenia wojny... – mruknął w przestrzeń. – Hej, czy ktoś ma paczkę z prowiantem? Jestem głodny. – Po kilku sekundach leżała przed nim porcja jedzenia. Połykał je zimne, ale o dziwo smakowało mu. Mijały sekundy, potem minuty, wreszcie zrobiło się z tego pół godziny.

Sierżant znów wszedł na podest i stanął przed mapą zagrożeń. Przycisnął słuchawki do uszu, potem zrobił krok i zakreślił flamastrzem małą wysepkę sześćdziesiąt mil morskich na zachód od południowego krańca Okinawy. Zaskrzeczał głośnik.

– Uwaga centrum dowodzenia. „Przewodniczący Mao” zwolnił i zmienił kurs na południowy. Chińskie helikoptery wylądowały na wyspie Kumejima.

– No to mamy odpowiedź na pytanie, czy wylądują i po co im tyle helikopterów – powiedział zastępca dowódcy.

– Odkroili następny plasterek – mruknął Martini. – Odwołać działania bojowe. Niech mnie cholera, ale nie zrobię wojny o skałę na Morzu Wschodniochińskim. Szesnaście samolotów trzymać w gotowości pięciominutowej i niech załogi zaczną rotacyjny odpoczynek.

Major Bob Ryan spał snem sprawiedliwego w salce na zapleczu.

Waszyngton

Madeline O'Keith Turner nie podobało się to co słyszała, ale łagodny głos Mazany Kamigami-Hazelton nie milkł, punktując panią prezydent kolejnymi trafieniami. Turner najchętniej zostałaaby sama z tą analityczką Rady Bezpieczeństwa Narodowego, pozbywszy się mężczyzn: Sama Kennetta, sekretarzy stanu i obrony, DCI, Shawa, Overmeyera. Patrzyła na czerstwego generała, nie widziała jednak w jego minie żadnego „a nie mówiłem?”

Hazelton zrobiła przerwę, by odchrząknąć przed dalszym ciągiem.

– Proszę wybaczyć, pani prezydent, ale nie jestem przyzwyczajona do długiego mówienia.

Shaw pospieszył dolać jej wody do szklanki; było widać, że każdy z obecnych mężczyzn jest zafascynowany tą piękną, drobną Azjatką. Była doskonale ubrana, a wielki brylant w pierścionku świadczył, że jest nie byle kim – w końcu nosiła nazwisko Hazelton. Jednak ponad wszystko była znakomitym analitykiem i nawet tak ważne osoby jej nie onieśmiały.

Odstawiła szklankę, gotowa mówić dalej.

– Chińczycy byli dziesięć godzin na Kumejima, a teraz utrwalają swoje pozycje. – Wdzięcznym gestem wskazała na wiszące za jej plecami zegary. W Waszyngtonie była ósma rano, na Okinawie dziesiąta wieczór. – Choć obraz nie jest pełny, NSA przejęła i odkodowała wystarczająco dużo komunikatów pomiędzy Chińczykami, by mieć pewność, że cała akcja została starannie zaplanowana i służyła sprawdzeniu naszego zdecydowania do obrony Japończyków. Chińczycy uważnie obserwowali zachowanie naszej marynarki wojennej oraz reakcje w Bazie Sił Powietrznych Kadena. Kiedy tylko zauważyli z naszej strony jakąkolwiek demonstrację siły, zmieniali zachowanie według ułożonego z góry planu.

DCI walczył ze sobą, usiłując pohamować złość. Ten dzieciak próbował wmówić pani prezydent, że Chińczycy zagrali nimi jak marionetkami!

– To czysta spekulacja, pani Hazelton – nie wytrzymał w końcu.

Hazelton uniosła jedną brew i zacisnęła usta – zupełnie jakby pytała: „Czyżby?” Turner doskonale zrozumiała jej minę.

– „Przewodniczący Mao” – kontynuowała Hazelton – był w stałym kontakcie radiowym z Pekinem i zawrócił pięć minut po starcie samolotów z Kadeny. Na podstawie komunikacji radiowej można jednoznacznie wywnioskować, że uznali to za wsparcie dla lecących na Iriomote japońskich F 4. Lotniskowiec skre-

cił potem na północ, by łatwiej zebrać swoje maszyny, obserwował, co zrobimy w sprawie potyczki w powietrzu. Kiedy odwołaliśmy nasze samoloty, znów zaczęła się burza komunikatów w eterze i „Przewodniczący” ruszył w kierunku Okinawy, w dalszym ciągu obserwując naszą reakcję. Kiedy Kadena ponownie kazała startować swoim samolotom, mieliśmy następne nasilenie komunikatów. „Przewodniczący” znów skręcił i zajął Kumejimą.

Teraz zezłościł się sekretarz stanu.

– Co pani zdaniem robią Chińczycy, pani Hazelton?

– To się nazywa „taktyka salami”, panie sekretarzu.

Błysnął monitor, wyświetlając słowa NADEJŚCIE INFORMACJI. Zapadła całkowita cisza i na ekranie pojawiła się ostatnia przechwycona przez NSA i odkodowana radiodepesza Chińczyków: ambasador Chin otrzymał instrukcję, aby przedstawić Departamentowi Stanu pismo informujące, że Chińska Republika Ludowa nie może tolerować nieuzasadnionego ataku na „Przewodniczącego Mao” na wodach eksterytorialnych. Aby zapobiec powtórzeniu się tej sytuacji, ChRL jest zmuszona rozpocząć w niedzielę o pierwszej po południu pokojową blokadę sił, które dokonały ataku.

– Pokojową blokadę? – prychnął Overmeyer.

– A niech mnie gęś kopnie... – mruknął Shaw. – Bender miał rację.

– Pani prezydent – powiedziała Hazelton – proszę zwrócić uwagę, że Chińczycy nie wymienili tego, kto dokonał rzekomej agresji na wodach eksterytorialnych.

– Żaden artykuł prawa międzynarodowego nie uzasadnia tej blokady – powiedział sekretarz stanu.

– Chińczycy niniejszym ustanawiają własne prawa – odparła Hazelton.

Turner wstała.

– Chcę się spotkać za pół godziny z Radą Bezpieczeństwa Narodowego. – Ruszyła ku wyjściu. – Sam, pani Hazelton, Patricku... proszę ze mną.

Na korytarzu czekała wszechobecna osobista asystentka pani prezydent, Jackie Winters.

– Pani matka pytała o dzisiejszą kolację rodzinną.

– Powiedz jej, że dziś nie mogę. Spróbuję spotkać się z nią później. I niech dołączy do nas generał Bender. – Jackie pognała wypełnić polecenia, a Kennett, Shaw i Hazelton weszli za Turner do Gabinetu Ovalnego. – Proszę siadać, pani Hazelton. Czy mogę mówić do pani Mazana?

– Wolę Mazie.

– Świetnie, Mazie. A więc Chińczycy zrobili ze mnie idiotkę. – Hazelton patrzyła na panią prezydent bez wyrazu. Turner ze zdziwieniem stwierdziła, że dziewczyna jej nie zaprzecza. Prawda bolała bardziej niż się spodziewała.

– Pani prezydent, chyba znaleźliśmy pani nowego doradcę do spraw bezpieczeństwa – powiedział Kennett patrząc na Hazelton.

Turner zastanowiła się nad propozycją wiceprezydenta. Pomysł podobał jej się; miała zaufanie do instynktu Kennetta. Zanim jednak cokolwiek powiedziała, Hazelton pokręciła głową.

– Pani prezydent, bardzo mi to schlebia, ale byłam na naradzie i widziałam reakcję na moje słowa. Jestem zbyt mało znana, by mnie zaakceptowano.

– Ma pani rację – stwierdziła Turner. – Musimy dać panią na kilka miesięcy pod skrzydła innego doradcy do spraw bezpieczeństwa, aż się do pani przyzwyczają. Jest pani tym zainteresowana?

Hazelton chwilę się zastanawiała.

– To zależy, kto zostanie tymczasowym doradcą – odpowiedziała w końcu.

– Będzie tu za chwilę.

Shaw mruknął bezgłośnie „niech to cholera...”, mając ochotę zamordować wiceprezydenta za zaproponowanie Hazelton. Zaczął się zastanawiać, jak uratować sytuację. Jego uwagę odwróciło dyskretne pukanie do drzwi.

Wszedł Bender. Co to miało znaczyć?

* * *

Bender dotarł do domu późnym wieczorem. Był w tym samym ubraniu, które włożył czterdzieści godzin temu i nie miał żadnych życzeń poza piwem, gorącym przysnkiem i długim snem. W domu paliły się światła, a z salonu dobiegał głos Nancy. Rozmawiała przez telefon, czy mieli gości? Bender otworzył lodówkę i stwierdził, że czeka na niego butelka ulubionego piwa i szklanka. Postanowił iść do Nancy, ale zamarł w drzwiach salonu – na kanapie przy kominku leżała Shalandra i kartkowała jakieś czasopismo. Co ona tu robi?

– Robercie – odezwała się Nancy – czekamy na ciebie. – Bez słowa usiadł w fotelu. Będą musieli poważnie porozmawiać, kiedy zostaną sami. Nancy rzuciła mu spojrzenie mówiące „dobrze wiem, o czym myślisz”. – W domu dziecka były problemy, jutro będziemy musieli zawieźć Shalandrę do innego.

Mruknął tylko coś pod nosem:

Nancy pokręciła głową.

– Nie będziesz musiał nic robić. – Przerwała, czekając, aż Shalandra coś powie, ona jednak milczała. – Nie bój się – powiedziała Nancy do małej – on nie biją kobiet.

Dziewczynka popatrzyła na Bendera wystraszonymi oczami.

– Pamięta pan... pamięta pan, co powiedział, kiedy Murphy nazwała mnie czarną dziwką? – Było to najdłuższe zdanie, jakie Bender usłyszał z jej ust. Shalandra nerwowo spoglądała to na Nancy, to na niego.

Bender zastanowił się.

– Jeśli dobrze pamiętam, to: „Czy to ważne, kim jest?”

– Co to miało znaczyć?

– Kilka rzeczy. Przede wszystkim, że jesteś po prostu kimś potrzebującym pomocy. Teraz jednak liczy się głównie to, kim jesteś w tej chwili i co próbujesz zrobić ze swoim życiem.

– Dlaczego pan za... dlaczego pan... przejechał mojego wujka?

– Bo chciał zabić Murphy. Znalazła się tam tylko dlatego, że ją namówiłem, więc byłem za nią odpowiedzialny. – Bender popatrzył na swoje ręce. Czy Shalandra go rozumiała?

– Pani Bender, chciałabym iść spać.

– Oczywiście, Shalandro. Znasz drogę.

Bender pociągnął łyk piwa i zaczął, aż będą sami.

– Nancy, dobrze wiesz, że nie należy nawiązywać osobistych kontaktów z popiecznymi. Pamiętam też, że coś mi obiecałaś.

– Wiem, ale ona uciekła w piątek z domu dziecka, bo molestowano ją seksualnie.

Bender wziął głęboki wdech, potem głośno wypuścił powietrze.

– Co się, cholera, dzieje z mężczyznami?

– Tym razem to nie był mężczyzna. Uciekła do jedyne miejsce, do którego ma zaufanie – do szpitala. Ale to wszystko nie jest takie proste. Słyszałaś pytanie, jakie ci zadała. Popatrz na nią. Jest ładna i taka krucha. Jeśli dostanie choć cień szansy, może wyrosnąć na piękną, delikatną kobietę.

– A ty chcesz jej tę szansę zapewnić.

Nancy skinęła głową.

– Prosi o pomoc. Nie zauważyłaś, jak starała się mówić w normalny sposób? Rozmawiałam z przewodniczącym komisji kwalifikacyjnej w Akademii Georgetown i jest nią zainteresowany. Chce z nią jutro porozmawiać i przeprowadzić kilka testów.

– Ależ to szkoła dla bogatych dzieci! Brian tam chodził. Zastanów się nad tym. Syn pani prezydent. Zdajesz sobie sprawę z tego, ilu ambasadorów, polityków, wysokich oficerów posyła tam swoje dzieci?

– A czy ty zdajesz sobie sprawę z tego, ilu z nich ma większe od Shalandry problemy z narkotykami? Albo ilu było w dzieciństwie wykorzystywanych seksualnie? Ilu kompletnie nie radziło sobie w szkole? Akademia ma specjalny program wychowawczy dla takich dzieci. Mieszkają w ich internacie.

– Ile to kosztuje? Czesne, nauka, mieszkanie i utrzymanie?

– Mają system stypendialny, Shalandra będzie jednak potrzebować sponsora.

– Ty nim będziesz, tak?

– Nie. My. Trochę nas to będzie kosztować... powiedzmy, że sporo. Nawet jeśli dostanie stypendium, zabierze to połowę moich zarobków szpitalnych.

– Nancy, to idiotyczne. Ona ma problemy psychiczne, których nie rozwiąże żadna psychoterapia. Pogrywa sobie z nami. Jeśli zaczniemy, nie da się tego, ot tak, przerwać. Będziemy musieli zajmować się nią przez lata. A jeśli się nie przystosuje? Jeżeli nie wytrzyma?

– Nie zamierzam jej zostawić na pastwę losu. Wiem, że mogą działać coś dobrego. – Nancy zagryzła dolną wargę. – Jeśli zechce nami manipulować albo nie poradzi sobie w Akademii, to oddam ją systemowi.

Zdecydowanie w głosie Nancy robiło wrażenie i Bender wbrew rozsądkowi postanowił się zgodzić.

– W takim razie chyba będzie spędzać u nas wakacje – powiedział, na co Nancy wyskoczyła z fotela jak z katapulty. Jednym susem pokonała dzielącą ich przestrzeń i rzuciła się mężowi na szyję. – Jak kula armatnia... – mruknęła.

– Zobaczysz, że się uda – mruknęła Nancy, pocałowała Bendera w policzek i uszczypnęła go w ucho. – A co u ciebie?

Roześmiał się.

– Niczego przed tobą nie ukryję. Turner chce, żebym został jej doradcą do spraw bezpieczeństwa.

Ramiona Nancy zeszywniały wokół szyi męża.

– Zgodziłeś się? – Czuł, jak jej serce mocniej bije z podniecenia. – Nigdy bym nie...

– Tylko na okres przejściowy, by przygotować do pracy stałego doradcę, Mazie Hazelton. Jest znakomitą analityczką z NSA i zasługuje na tę pracę. – Przycisnął podbródek do piersi i pogłaskał Nancy po głowie. – Też nigdy bym się tego nie spodziewał. – Bender zdawał sobie doskonale sprawę, że otrzymał niecodzienną okazję wykorzystania swoich umiejętności i zrobienia czegoś dobrego. – Jeśli przyjmę tę robotę, znajdę się po innej stronie płotu niż Overmeyer i Charles. Może będę musiał im dyktować, co mają robić. – Pokręcił głową. – I tak już moje kontakty z nimi są napięte, więc chyba zrezygnuję. – Opowiedział, jak Charles chciał go wypytać o sprawy, które omawiano podczas posiedzeń „kuchennego gabinetu” i jak na to zareagował. – Gdyby to było na stałe, nie wahałbym się ani sekundy, ale w ten sposób... czułbym się jak piłeczka pingpongowa odbijana po zachodnim skrzydle.

Nancy odsunęła się i popatrzyła mu uważnie w oczy.

– Robercie, czasami jesteś taki dziwny... – Przerwała w pół zdania, rozbawiona jego miną. Szkoda, że nie mogła mu powiedzieć całej prawdy. – Ona ufa twojej opinii.

Robert Bender mruknął niewyraźnie:

– Nie bądź głupia. Ona jest zapatrzona we własny pepek.

– Każdy polityk jest zapatrzony we własny pepek. Żaden nie uzyskałby w teście osobowości normalnych wyników.

– Obiecałem dać odpowiedź jutro rano.

– Prześpij się z tym. Na pewno podejmiesz prawidłową decyzję.

* * *

Jackie Winters sunęła przez hol jak nakręcana laleczka, prowadząc Bendera do windy. Osobista asystentka pani prezydent przypominała generałowi skrupulatną mysz, biegającą po wielkiej kuchni, by wszystko jak najszybciej uporządkować. Myszka popatrzyła na Bendera udręczonym wzrokiem.

– Pani prezydent chce porozmawiać z panem przed wyznaczonym na ósmą spotkaniem z panem Shawem.

Rozsunęły się drzwi windy i Winters wskoczyła do środka. Zanim Bender wszedł, dołączył do nich Shaw, z planem dnia i dziennym raportem prezydenckim pod pachą.

– Zdecydował się pan? – spytał.

Bender uznał, że pierwsza powinna się o tym dowiedzieć prezydent, więc nie odpowiedział. Wjechali w milczeniu na piętro. Kiedy dojechali, ciszę przebrała Jackie.

– Pani prezydent chce spotkać się z „gabinetem kuchennym” o ósmej trzydzieści – poinformowała.

– Już przesunąłem odprawę personelu o pół godziny – odparł Shaw.

– A co z posiedzeniem NSC? – spytała Jackie.

Bender przestał słuchać ich dywagacji na temat zmiany planu dnia pani prezydent. Ciekawe, co powie, kiedy dowie się, że nie chce tego stanowiska? – pomyślał. – Kiedy doszli do prywatnego gabinetu Turner, wyszedł z niego lokaj William.

– Niech pan wchodzi – powiedział Shaw do Bendera, sam zaś ruszył korytarzem za Williamem.

Co to ma znaczyć? – pomyślał Bender. Jackie odpowiedziała, choć nie zadała głośno pytania:

– Pan Shaw jest zaniepokojony, o czym rozmawia z innymi pani prezydent, kiedy nie ma go w pobliżu. Musi się pan do tego przyzwyczaić.

Bender nic nie powiedział. Jackie zapukała do drzwi i wprowadziła go do środka.

– Dzień dobry, Robercie... witaj, Jackie. – Bender przywitał się, zaniepokojony, że tak bardzo widać po Turner zmęczenie. Usiadł na kanapie naprzeciw niej. – Kawy? – zaproponowała, jak zawsze starając się być dobrą gospodynią.

Jackie zaczęła nalewać kawę, podczas gdy Bender jeszcze raz przepowiedział sobie w myśli przygotowany tekst. Otwarły się drzwi sypialni i wybiegła z niej Sarah. Była ubrana do szkoły. Tuż za nią pojawiła się Maura O'Keith. Dziewczynka musnęła wargami policzek matki.

– No to na razie – powiedziała, podbiegła do Bendera, też pocałowała go w policzek i wybiegła na korytarz.

– Dzieciaki... – mruknął generał.

Maura popatrzyła na niego.

– Jest pan pierwszym mężczyzną, którego pocałowała od śmierci ojca.

Turner milczała, czekając, aż matka wyjdzie.

– No, Robercie, podjął pan decyzję?

Nagle się zawahał. Przygotowana odpowiedź straciła sens. Był wobec siebie uczciwy – wytrącił go z równowagi całus Sarah. Zmienił zdanie.

– Pani prezydent, trzeba najpierw wyjaśnić kilka spraw. – Turner czekała bez słowa. – Członek Połączonego Komitetu Szefów Sztabów zapytał mnie, o czym rozmawia pani ze swoimi osobistymi doradcami. Odmówiłem odpowiedzi.

– W czym więc problem?

– Nie mogę służyć dwóm panom. Aby zostać pani doradcą do spraw bezpieczeństwa, musiałbym zrezygnować z mojej komisji.

– Nie musi pan – powiedział od drzwi Shaw. – Możemy po prostu pana zwolnić z obowiązku uczestniczenia w jej pracach.

Na dźwięk jego głosu Bender gwałtownie się odwrócił. Kiedy on wszedł? – zastanowił się.

– Czy to był generał Charles? – spytała go Turner.

Bender czuł, że w kontaktach z panią prezydent musi nastąpić przełom. To, co zdarzy się teraz, określi jego funkcjonowanie w charakterze doradcy.

– Pani prezydent, wolałbym nie odpowiadać na to pytanie. Najważniejsze, że ta osoba przyjęła moją odmowę.

– Robercie, muszę być absolutnie pewna pańskiej lojalności. Nie żądam ujawniania sekretów, ale czy będzie pan w stanie stawić czoła generałom i jednocześnie wprowadzać w życie moje decyzje?

Bender zastanowił się. Stawianie czoła Overmeyerowi i Charlesowi nie będzie łatwe. Czy stać go na to?

– Tak, pani prezydent. Dopóki będę miał wewnętrzne przekonanie co do słuszności pani postępowania, będę mógł to robić. Jeżeli przestanę się z panią zgadzać, zrezygnuję.

Ojjoj, pomyślał Shaw, cóż za szlachetność...

– Świetnie – skwitowała Turner. – Działajmy na tej zasadzie. W tej chwili najlepiej, żeby pan nie miał do czynienia z moimi prywatnymi doradcami, natomiast zaczął pracować z moją administracją, jak przystało na doradcę do spraw bezpieczeństwa. Powinno to zmniejszyć nieco napięcie. – Miło się do niego uśmiechnęła. – Jackie, proszę przedstawić generała Bendera jego ludziom i pomóc mu przeprowadzić się do nowego gabinetu.

Bender uznał to za koniec rozmowy i wyszedł z Jackie. Kopniak w górę i odcięcie od najświętszego sakramentu, pomyślał. I znów Jackie zdawała się wiedzieć, o czym myśli.

– Zasugerowałabym, żeby w przyszłości nie krytykował pan pani prezydent w obecności innych osób – powiedziała.

– Zakładam, że myśli pani o mojej uwadze na temat testowania przez Chińczyków stopnia naszego zdecydowania do obrony japońskiego terytorium.

– Zakłada pan prawidłowo.

A więc Turner zrozumiała. Skąd się jednak wziął ten nagły awans na doradcę do spraw bezpieczeństwa narodowego? Po głowie chodziły mu słowa Nancy, że prezydent ufa jego opinii, zaraz jednak przypomniało mu się coś jeszcze. Kiedy skrytykował panią prezydent, Jackie przy tym nie było. Postanowił coś sprawdzić.

– Czy to pani prezydent poprosiła o przekazanie mi tej informacji? – Niestety, nie otrzymał odpowiedzi.

* * *

Shaw czekał cierpliwie, aż Turner przeczyta Dzienny Raport Prezydencki. W końcu opuściła cienki dokument na kolana i zapatrzyła się w jakiś punkt za jego plecami.

– Czy generał Bender miał rację, Patricku? Naprawdę pękłam?

Shaw prychnął.

– Nie miał prawa tego mówić. Przekroczył dozwoloną granicę.

– Czyżby? Patricku, nie zamierzam być zakładnikiem kryzysu, tak jak prezydent Carter w 1980 roku podczas przetrzymywania zakładników w Iranie. – Wstała i zaczęła chodzić po gabinecie. – Chcę dać wszystkim do zrozumienia, że sprawy zagraniczne nie odciągną mnie od zajmowania się polityką wewnętrzną. Zabierajmy się pełną parą do reformy podatkowej.

– Pani prezydent, czy to rozsądne... – zamarł na widok jej miny. – W tej chwili...

Turner wzięła do ręki stojący na kominku dzwonek i gwałtownie nim potrząsnęła.

– Słuchasz mnie, Patricku?! – Nagła cisza była ogłuszająca. – Chińczycy nie zrobią ze mnie zakładnika!

Przełknął ślinę.

– Tak, pani prezydent. – Uratowało go pukanie do drzwi. Nadszedł czas posiedzenia „kuchennego gabinetu”. Weszli Noreen Coker, Sam Kennett i Richard Parrish.

– Pani prezydent, widziała pani ostatnie oceny? – zaczęła Coker. – Dostaliśmy po łapach.

* * *

Obie sekretarki wstały na widok Bendera i Jackie Winters. Słyszały plotki o mianowaniu Bendera i wiedziały, że najbardziej liczy się pierwsze wrażenie, były więc przygotowane. Normalnie doradca do spraw bezpieczeństwa przychodził z własną ekipą, ale po rozmowie z Alice Fay obie kobiety nabrały nadziei, że wieczorem nie staną się bezrobotne. Jackie przedstawiła je generałowi.

– Norma... Ella... – powtórzył Bender, by zapamiętać imiona. – Mam nadzieję, że panie nie zamierzają odejść, będę bowiem potrzebował wszelkiej możliwej pomocy.

Zapewniły, że z przyjemnością będą dla niego pracować, w duchu wzdychając z ulgą.

– Proszę zadzwonić do pani Hazelton i poprosić ją do mnie. Czy ktoś mógłby posprzątać moje poprzednie biurko? W starym gabinecie wisi na ścianie zdjęcie w ramce, które też należy do mnie.

Dwie bardzo szczęśliwe kobiety pobięły spełnić życzenia nowego szefa.

W wejściu stanęła Mazie Hazelton. Przypomniała sobie, kiedy była w tym gabinecie po raz ostatni, i poczuła ukłucie żalu. Bender patrzył na nią, świadom uczuć swojego gościa.

– Wiem, że pracowała pani dla Billa Carrolla, kiedy był doradcą do spraw bezpieczeństwa. Był dobry.

Powoli skinęła głową.

– Ostatnie tygodnie były okropne. – Czas nie zatarł koszmarnych wspomnień umierania Carrolla na chorobę Gehriga.

– Mazie, co on by teraz zrobił?

– Szukałby sposobu na przełamanie blokady i badał słabe punkty.

– Ma pani jakiś pomysł, jak się do tego zabrać?

– Jeszcze nie, ale dowiem się.

Bender popatrzył na zegarek.

– Rada Bezpieczeństwa Narodowego spotyka się za kilka minut. – Parsknął śmiechem. – Co pani na to? Moje pierwsze posiedzenie, a jeszcze nie przedstawiłem się swojej ekipie. Od teraz będzie pani moim cieniem, Mazie. Proszę się nie obawiać potrząsnąć mną, gdybym miał zamiar odstrzelić sobie nogę.

Hazelton popatrzyła na niego przyjaźnie.

– Miesza pan metafory, generale, ale sądzę, że dam sobie radę.

* * *

Zanim Shawowi udało się wyrwać z Białego Domu, zapadł już zmierzch. Padał śnieg, ale instrukcje były bardzo jasne i bez trudu znalazł wąską drogę, wijącą się wśród wzgórz Wirginii. Prywatny przejazd czyścił należący do hrabstwa pług śnieżny, co dokumentowało polityczne znaczenie mieszkańca tego domu. Przynajmniej po raz dziesiąty zadał sobie pytanie, dlaczego to robi, odpowiedź była jednak w dalszym ciągu ta sama, co za pierwszym razem: ponieważ nic nie powstrzyma Turner przed szaleńczym biegiem ku przepaści, w którą wpadnie z powodu próby zreformowania podatków, on musi zadbać o swoją skórę. Niechętnie przechodził na drugą stronę, ale nie widział innego wyjścia, jeśli chciał przeżyć jako polityk o ogólnokrajowym znaczeniu.

Kiedy już podjął decyzję, samo nawiązanie kontaktu było proste. Jednak w dalszym ciągu gryźł się swoim postępowaniem. Jeszcze raz przepowiedział sobie w myśli, co przynosi ze sobą. Jeśli zaakceptują jego warunki, nie powinien stracić niczego, co osiągnął w polityce. Przed nim pojawiły się światelka stojącego na zboczu wzgórza domu, po kilku minutach przejechał przez bramę i podjechał pod budynek. Czekający na niego młodzieniec w ciemnym garniturze otworzył mu drzwi.

– Tędy, sir – powiedział.

Shaw przyjrzał mu się drugi raz, nie mógł bowiem w pierwszej chwili uwierzyć, że ma przed sobą faceta z zespołu senatora Lelanda. A więc to on w tym siedzi. To znaczy, że jest naczelnym sprzedawczykiem, pomyślał.

Shaw odruchowo zaczął przypominać sobie, co wie o senatorze. Dlaczego postanowił dobrać się do Maddy? Czyżby z powodu swego bratanka Chrisa, który zginął z córką Bendera w wypadku na Okinawie? Maddy obiecała, że przeprowadzi śledztwo i coś zrobi, ale przez Bendera do niczego nie doszło. To pewnie dlatego. Pomyślawszy tak, Shaw od razu poczuł się lepiej – dawało mu to jeszcze jedną kartę do rozegrania. Teraz jednak był w bastionie wroga i miał zostać zdrajcą, nie mógł więc sobie pozwolić na najmniejszy błąd. Asystent otworzył przed nim drzwi i Shaw wszedł do gabinetu. No cóż, teraz nie ma odwrotu.

– Dobry wieczór, Patricku – przywitał go Leland. – Powinien pan znać większość obecnych. – Shaw rozejrzał się i – mówiąc ordynarnie – jego ego dostało kopa w jaja. W jednym z foteli siedziała Jessica, jego piękna blondwłosa towarzyszką zabaw łóżkowych ze skłonnością do perwersyjnego seksu i z zamiłowaniem do gotowania. A więc był rozpracowywany. – Pewnie znasz także Gwen. – Shaw szybko odwrócił głowę, by zobaczyć, o kim Leland mówi. Kiedy dostrzegł, o kim mowa, nastąpił jeden z nielicznych momentów, kiedy odebrało mu mowę. W wygodnym fotelu przy kominku siedziała Gwen Anderson, jedna z najzagorzalszych feministek w stolicy, pierwsza kandydatka Turner na stanowisko wiceprezydenta, kobieta, którą załatwił ujawnieniem jej okresowych depresji i tego, że leczyla się litem.

– Dobry wieczór, Patricku – odezwała się panując nad głosem.
– Pani Anderson...
– Gwen – przerwał Leland – okazała się niezastąpiona dzięki zrozumieniu stylu myślenia rządzącej nami fłdry.

Shaw szybko się rozejrzał. Obecni byli przewodniczący większości w Senacie i Kongresie, przywódca mniejszości senackiej i dwaj najbardziej wpływowi lobbyści Kapitolu. Ze zdziwieniem stwierdził, że mniej więcej jedna trzecia obecnych to kobiety. Jego wewnętrzny komputer natychmiast odrzucił hipotezę, że chcą wykończyć Maddy Turner dlatego, że jest kobietą. W opinii Shawa dążący do władzy politycy niewiele się różnili od oszalałych rekinów, które poczuły krew w wodzie. Tu obecne rekiny wyczuły, że obecna prezydent jest zbyt słaba, by zachować posiadaną władzę, prerogatywy i przywileje. Zamierzały więc to wszystko jej odebrać. Nie miało to żadnego związku z płcią, było jedynie staromodnym sięganiem po władzę. Znajdował się na znanych sobie wodach.

– Gwen była przeciwna pańskiemu dołączeniu do nas – wyjaśnił Leland.
– Mam nadzieję, że okaże się pan przydatny – powiedziała Anderson.

Shaw usiadł i położył dłonie na kolanach. Wiedział, że to, co ma do zaoferowania, znacznie przekracza wpisowe, konieczne, by wkupić się do tej grupy. Z drugiej jednak strony tamci musieli się dobrze zastanowić, czy uważają to za wystarczające, poznał bowiem ich tożsamość, a ze względu na swoje stanowisko miał dość władzy, by im zaszkodzić. Zaczął powoli przedstawiać prezydencki plan reformy podatków, odpowiedziało mu jednak tylko protekcyjnalne kiwanie głowami. Nie zrobiło to na nich wrażenia. Głowy znieruchomiały, kiedy przeszedł do przedstawiania strategii, jaką wymyślił w celu przeforsowania reformy. Był to mistrzowski plan, składający się z podstawiania nóg komu trzeba, politycznych targów i – jeśli to będzie konieczne – gróźb. Shaw wiedział, gdzie kto ma pochowane różne brudy, miał więc dość amunicji, by wywołać burdę, w której się nie bierze jeńców. Nawet gdyby w końcu przegrał, dla jego przeciwników zwycięstwo okazałoby się bardzo kosztowne.

– Od kiedy pan wie o istnieniu naszej grupy? – spytał Leland.
– Mniej więcej od dwóch tygodni... ale ona nie wie nic.
– Czy ma pan dla nas coś jeszcze?
– Ona się boi konfrontacji wojskowej z Chińczykami. Zamierza przewrócić się na plecy i udawać trupa.

Leland wstał i rozprostował ramiona.

– Jeśli pan to udowodni, uwierzę, że dama jest nasza. – Wygląd i sposób mówienia Lelanda kojarzył się Shawowi z mściwym prorokiem ze Starego Testamentu.

* * *

– Cholera! – warknęła Liz Gordon do słuchawki. Dzwonił nocny portier. – Cholera jasna, Charlie! – Miał wyraźnie powiedziane, że po dziesiątej wieczór należy wszystkich przepędzać. Powinien wiedzieć, że nie wolno mu przeszkadzać jej akurat w niedzielę. – Przecież jest prawie północ!

– Przepraszam, pani Gordon, ale to pan Shaw.
Zasłoniła słuchawkę dłonią.
– Jeff, obudź się! To Shaw.
Jeff Bissell drgnął.
– Poślij go do diabła.
– Nie mogę. – Dała mu znak, by był cicho. – Charlie, daj go do telefonu.
– Mówiłaś, że się z nim nie pieprzysz – warknęła Bissell.
– Ciii! – Do słuchawki powiedziała: – Patricku, co sprowadza cię o tak późnej porze? – Chwilę słuchała. – Nie wygłupiaj się, wchodź.
– Nie wygłupiaj się... wchodź... – przedrzeźnił ją Bissell. – Będzie trójką-cik?
– Nie, ty wychodzisz. Tylnym wyjściem. I uważaj, żeby cię nie zobaczył.
– Żebyś mogła się z nim w spokoju pobzykać.
– Nie zamierzam iść z nim do łóżka. Nie wie, że znów jesteśmy razem. – Rzuciła w Bissella ubraniami.
– W takim razie coś na siebie włoż – mruknął idąc do kuchennego wyjścia.
Zanim rozległ się dzwonek, Liz zdążyła włożyć szlafrok i uczesać się. W łustrze w przedpokoju sprawdziła jak wygląda, artystycznie rozchyliła szlafrok i ułożyła odpowiednio fryzurę. Otworzyła po drugim dzwonku.
– Dlaczego przedtem nie zadzwoniłeś?
– Miałem tylko komórkę. – Zdjął płaszcz. Podслуchiwanie telefonów komórkowych osób publicznych było surowo zakazanym, ale szeroko stosowanym przez waszyngtońską prasę procederem. Natychmiast rozpoznano by głos Liz i w momencie przyjazdu Shawa pod jej domem czyhałoby przynajmniej trzech pismaków. Ubiegając jej pytanie, powiedział: – Nie martw się, dałem Charliemu w łapę. Nic nikomu nie powie.
– Wejdz dalej. Drinka?
– Jakaś porządną whisky.
– Z wodą?
– I tak jest jej już tam za dużo.
Zrozumiała, o co chodzi i nalała pół szklanki aromatycznego bursztynowego płynu. Kiedy mu ją podawała, niby niechcący rozchyliły się poły jej szlafroka. Jeszcze nigdy nie widziała go tak przygnębionego; przez chwilę sądziła, że ma przed sobą człowieka na skraju załamania nerwowego. Szybko jednak odrzuciła tę myśl – miała przed sobą Patricka Flannery’ego Shawa, jednego z najlepszych waszyngtońskich aktorów.
– Chodzi o tę sprawę z Chinami? – spytała.
– To betka. – Nie chciało mu się dyskutować o Chinach, potrzebował jedynie towarzystwa i przychylnego słuchacza. Zmienił temat. – Dlaczego feministki są takie wściekłe na Turner?
Rozegraj to dobrze, upomniała się Liz. On doskonale wie, dlaczego. Starannie dobrała słowa:
– Uważają, że jest gotowa zawrzeć kompromis z wrogiem. To czyni z niej zdrajczynię.

– Bzdura. Nie mogą być aż tak głupie. Cała polityka to jeden wielki kompromis.

Liz pokręciła głową; grała dalej z nadzieją, że uda jej się wydobyć coś interesującego.

– To fanatyczki. A tak w ogóle myślę, że przyda ci się trochę snu. Możemy porozmawiać o tym jutro, jeśli zechcesz. – Z tymi słowami zaprowadziła go do sypialni.

Jeff Bissell, siedząc w samochodzie pod domem, dokładnie widział, że w sypialni Liz gaśnie światło. Huknął pięścią w kierownicę i sięgnął po telefon. Znał dziennikarza, który podziękuje mu za taką informację. Potem jednak zmienił zdanie, wrzucił jedynekę i odjechał. To była cena, jaką płacił za to, że kocha Liz Gordon.

* * *

Szum leżącej wody przebił się przez otulający go całun snu. Shaw przeciągnął się i powoli dotarło do niego, że jest widno. Ranek! Bliski paniki, zaczął szukać zegarka. Była za dziesięć piąta. Uff... miał mnóstwo czasu na dotarcie do Białego Domu i przygotowanie się na wszystko, co mógł przynieść dzień.

– Nie denerwuj się – odezwała się Liz. – Nie pozwoliłabym ci zaspać. – Stała w drzwiach łazienki, jej nagie ciało błyszczało w łagodnym świetle. Wróciła do łóżka, niosąc długie piórko. – Mam nadzieję, że jesteś gotów.

– Skarbie, nie mamy teraz czasu na zabawę – powiedział ochryplym głosem.

– Patricku Shaw! – wybuchnęła. – Jeśli budzisz mnie w nocy, powinienes być przygotowany na rekompensatę. Inaczej odgryzę ci jaja! – Zgrzytnęła zębami i opadła na łóżko, by się do niego dobrać.

Teatralnie zasłonił sobie krocze.

– Jaka stawka? – spytał.

– Może coś z informacji dla wtajemniczonych?

– Ale jeśli przegrasz, zrobimy to na pieska, w śniegu i na dachu.

– Brzmi to chłodno, ale nie bój się, nie przegram. – Zaczęła muskać go piórkami, by doprowadzić do wzrodu, ale bezskutecznie. Po kilku minutach popatrzyła na Shawa, spodziewając się ujrzeć złośliwy uśmiech; zamiast tego ujrzała zmartwioną minę. – Chyba tracę wyczucie – powiedziała przeciągając długimi paznokciami wzdłuż jego oklapłego członka. W dalszym ciągu nic się nie działo. – Chyba kolej na dach – powiedziała wstając i sięgnęła po szlafrok.

Shaw też wstał.

– Muszę przedtem sprawdzić, jaki mamy śnieg.

Przyglądała się, jak Shaw się ubiera, potem podała mu płaszcz. Po chwili już go nie było. Kiedy zadzwonił telefon, robiła kawę. Tak jak się spodziewała, dzwonił Jeff Bissell. Przez chwilę słuchała co mówi, potem powiedziała:

– Nic się nie działo. Chciał tylko porozmawiać i przespać się. To bardzo samotny człowiek.

Rozdział czternasty

Okinawa

Martini i dowódcy grup czytali długą tajną wiadomość ze sztabu CINC PAC-a; ciszę przerywał jedynie szelest kartek. Pete Townly stał w rogu i czytał komunikat w kawałkach, zależnie od tego, który oficer dał mu akurat swoją stronę szczegółowej instrukcji, jak mają zareagować na blokadę. W końcu Martini rzucił swój egzemplarz na stół, pchnął krzesło do tyłu i oparł się głową o ścianę za sobą.

– Założmy, że blokada trwa trzydzieści sześć godzin – zaczął. – Co panowie na to?

Pierwszy odpowiedział jego zastępca:

– Gówny nie blokada. To tylko gadanina.

– Przynajmniej zasady podejmowania walki nie zostały zmienione, więc możemy się bronić – dodał dowódca grupy operacyjnej.

– Co to ma znaczyć – spytał dowódca grupy logistycznej – że mamy „kontynuować przygotowania bez niepokojenia miejscowej ludności”?

– To znaczy, że rząd japoński mówi im jedno, a nasz rząd każe nam się szykować do walki – powiedział Martini.

– Czy ktoś tam ma pojęcie, co się u nas dzieje? – spytał dowódca grupy wsparcia.

– Nie mają pod nosem łobuzów, wpatrujących się w nich z sześćdziesięciu mil od brzegu – powiedział Martini. Machnął na Townly’ego. – Pete, jakie są najnowsze wieści z Kumejimy?

Townly wziął głęboki wdech.

– Chińczycy umocnili się na wyspie z mniej więcej dziesięcioma tysiącami ludzi, czterema bateriami rakiet ziemia-woda silk worm i trzydziestoma rakietami ziemia-powietrze KS-1. Kopia bunkry i sypią wały wzdłuż pasów startowych. Mają jednak problem z paliwem. Dopiero zaczęli instalować zbiorniki. Spodziewamy się, że będą w stanie prowadzić operacje powietrzne za dwadzieścia cztery godziny. Na jutro rano jest wyznaczona kolejna misja Habu w celu uaktualnienia danych.

– Gdzie jest „Przewodniczący Mao”?

– Według ostatniego raportu wycofał się i płynie w kierunku Tajwanu. Zostawili jednak osiemnaście kutrów atakujących, uzbrojonych w rakiety i torpedy, oraz cztery niszczyciele i sześć fregat, a cała formacja jest cholernie dobrze przygotowana do zwalczania okrętów podwodnych. Należy także zakładać, że okolice patroluje kilka ich okrętów podwodnych.

– Nie są głupi – mruknął Martini. – Nie zamierzają ryzykować utraty „Przewodniczącego Mao”, więc go wycofali, zanim pojawią się nasze lotniskowce albo okręty podwodne.

– Sir, nie sądzę, by marynarka zaryzykowała wprowadzenie lotniskowca w zasięg tych silk wormów na Kumejimie.

– A jaki mają zasięg?

– Rozmieścili wersję HY-5 o zasięgu podobno tysiąca mil morskich – odparł Townly. – Dopóki te rakiety nie zostaną zneutralizowane, marynarka jest zmuszona do trzymania się na uboczu, co znacznie zmniejsza jej skuteczność. – Martini wbił wzrok w oficera wywiadu, nakazując mu bez słów, by mówił dalej. – W obecnej chwili wszystko wskazuje na to, że obie strony zamarły i czekają na pierwszy strzał przeciwnika.

Martini chwilę się zastanowił.

– A więc mają okręty bez osłony lotniczej... czyli mogą wyegzekwować blokadę na morzu, ale nie w powietrzu. Mamy prawo do samoobrony, czyli osłony z powietrza, poza tym kazano nam kontynuować przygotowania. Dla mnie oznacza to most powietrzny. – Rozejrzał się po obecnych. – Ktoś jest przeciw? – Nikt się nie zgłosił. – Panowie, chyba znaleźliśmy furtkę.

Dowódca grupy medycznej, szef Ryana, pokręcił głową.

– W komunikacie jest także mowa o tym, by nie pogarszać sytuacji.

Palce Martiniego wystukiwały na konsolce żwawy rytm.

– Nie zamierzamy jej pogorszyć. Poza tym uważam, że ci skurwiele są zbyt cwani, by zacząć do nas strzelać.

– Ale będą strzelać do Japończyków – zauważył Townly.

Martini przyjrzał się tablicy informacyjnej. W bazie przebywały obecnie dwa transportery C-130 Hercules.

– Chyba najwyższy czas ustalić kilka własnych zasad, jeszcze zanim się połąpią. Proszę poszukać ochotników do lotu C-130 do Yokoty. – W Yokota, mniej więcej trzydzieści mil na zachód od Tokio, znajdowała się wielka amerykańska baza lotnicza.

* * *

Żałoga C-130 czekała na Martiniego w pomieszczeniu wywiadu. Dowódcą samolotu był kapitan, i tak jednak starszy od pozostałych dwóch oficerów – drugiego pilota i nawigatora. Najstarszym członkiem załogi był mechanik pokładowy, wiekowy trzydziestoczteroletni sierżant. Najmłodszym – specjalistka od załadunku, dwudziestolatka, która dopiero co zdobyła stopień kaprala. Kiedy Martini wszedł, wszyscy stanęli na baczność.

– Zakładam, że wszyscy wiecie, do jakiej akcji się zgłosiliście – zaczął i zaczął czekać, aż każdy potwierdzi. – Chcę sprawdzić tę tak zwaną blokadę. Nasze najnowsze dane wywiadowcze mówią, że Chińczycy nie mają możliwości przechwycenia samolotu. Może się to w każdej chwili zmienić, więc liczymy się z tym, że będzie się do was strzelać. Chcę, byście lecieli do Yokoty jak najwyżej i jak najwolniej. Po przybyciu na miejsce spodziewajcie się natychmiastowego odesłania z powrotem. – Popatrzył na specjalistkę od załadunku. Była nie starsza od jego córki. Przez chwilę myślał, czy nie kazać jej zostać, ale natychmiast skarcił się w myśli. W końcu zgłosiła się przecież na ochotnika. – Czy są jakieś pytania? – Wszyscy pokręcili głowami. – W takim razie życzę szczęścia.

Wyszedł z pokoju i wrócił do centrum dowodzenia. Popatrzył na zegarek i zaczął liczyć: jeśli transportowiec wystartuje o trzynastej i lot w obie strony zajmie mu siedem godzin, będą z powrotem w Kadenie o dwudziestej miejscowego czasu, czyli we wtorek o szóstej rano czasu waszyngtońskiego. Prychnął śmiechem, który zabrzmiał jak szczeknięcie.

– No to ktoś w Waszyngtonie będzie miał po przyjeździe do pracy niezłą niespodziankę... – Teraz był już tylko skazany na czekanie, przekleństwo każdego dowódcy. Minuty wlokły się, dając mu bardzo dużo czasu na myślenie o młodej załodze C-130. Ledwo ujrzał ich po raz pierwszy, od razu kazał im ryzykować życie. – Niech to cholera... samoloty, na których każemy im latać, są starsze niż oni...

– To nie nasza wina – odparł dowódca grupy operacyjnej. Martini nic na to nie powiedział; wpatrywał się w tablicę informacyjną, na której sierżant umieścił godzinę startu C-130. Do kabiny operacyjnej wszedł Ryan, by powiedzieć swoim dowódcom, jak przebiega operacja ewakuacji zbędnego personelu. Czekał, aż Martini zwróci na niego uwagę, generał myślał jednak wyłącznie o czwórce mężczyzn i kobiecie w C-130.

– Co wiadomo o tej załodze? – spytał.

– Niewiele – odparł dowódca grupy operacyjnej. – Stacjonują w Dyess. Pilot jest absolwentem akademii, mąż ładowniczej zginął rok temu w wypadku motocyklowym, została z dzieckiem.

– Jeśli popełniłem błąd, dzieciak zostanie sierotą. – Dowódca grupy operacyjnej nic nie powiedział. – A niech to cholera! W końcu podniosła rękę i złożyła przysięgę, jak wszyscy inni.

Słowa Martiniego ukłuły Ryana jak ostry nóż. Oto kolejna obserwacja, która musi włączyć do swojego studium. Ale z ciebie wredny skurwysyn, pomyślał.

– Majorze Ryan, jak posuwa się akcja ewakuacyjna?

– Robimy postępy, sir. – Konieczność zajęcia się operacją wywiezienia tak wielu ludzi nauczyła Ryana, co tak naprawdę oznacza słowo „koordynacja”. – Według ostatnich obliczeń, musimy się zająć dwudziestoma sześcioma tysiącami ludzi związanych z wojskami lądowymi, piechotą morską i marynarką; do tego dochodzi sporo nauczycieli i pracowników cywilnych. Część ludzi pojawia się nie wiadomo skąd, nikt dotąd nie miał pojęcia o ich istnieniu. Mieliliśmy na przykład faceta, który znajdował się na listach zaginionych w akcji podczas wojny wietnamskiej.

– Aresztował go pan?

Ryan pokręcił głową.

– Jest chory umysłowo, skierowaliśmy go na badania i obserwację do szpitala.

– Jakież inne problemy?

– Nasz największy problem, to co zrobić z samochodami. Wokół różnych w miarę bezpiecznych miejsc wyznaczyliśmy punkty zborne i kiedy już będzie można się poruszać, zwołamy tam ludzi, a następnie zaczniemy ich wozić na pasy startowe autobusami. – Martini wyglądał na zadowolonego z informacji Ryana, major zebrał się więc na odwagę i zadał zasadnicze pytanie: – Sir, dlaczego ja mam zajmować się ewakuacją? Jestem lekarzem i powinienem być w centrum medycznym.

– Majorze, przewiduję pojawienie się mnóstwa zdenerwowanych żon i dzieci, które będą wymagały pomocy i specjalnej opieki. Uważam, że lekarz lepiej zrozumie ich potrzeby niż przeciętny żołnierz. Widać to choćby po tym, jak potraktował pan tego, co zaginał w Wietnamie.

Ryan nie zamierzał jednak popuścić.

– Sir, muszę zaprotestować. Jestem lekarzem i nie powinienem zajmować się ewakuacją.

– Usłyszałem pana już za pierwszym razem – odparł Martini bardzo spokojnie. Zachowywał się jak ojciec, wyjaśniający życiowe prawdy porywczemu i upartemu nastolatkowi. – Pańska robota jest tam, gdzie pana skieruję. Jeśli jest pan z tego powodu nieszczęśliwy, proponuję napisać do swojego kongresmana, porozmawiać z kapelanem albo wnieść skargę do inspekcji wojskowej. Odmaszerować.

Ryan skinął głową i szybko wyszedł. Był czerwony jak burak.

– Po co zaraz tak ostro? – spytał dowódca grupy operacyjnej.

– Załoga tego C-130 robi to, co robi, na ochotnika. On też powinien. Nie jesteśmy społecznością, w której należy się kierować zasadami sprawiedliwości społecznej, trzymać za rączki, mieć dobre samopoczucie i demokratycznie dyskutować. Jeśli to pojmie, ma szansę zostać niezłym oficerem.

By nie denerwować się czekaniem, Martini pojechał rozejrzeć się po bazie. Było tu upiornie spokojnie, zniknęły wszelkie oznaki życia. Kiedy mijał kaplicę, wychodziło z niej właśnie kilkoro ludzi. Popatrzyli na niego w milczeniu, jakby się spodziewali, że lada moment wybuchnie burza. Wyciągnę was z tego, obiecał im w myśli.

Zaskrzęczało jego radio; potrzebowano go w centrali dowodzenia. Wcisnął gwałtownie pedał gazu i włączył koguta na dachu. Zastępca czekał już na niego przed wejściem.

– Sir, C-130 wylądował bezpiecznie w Yokocie i CINC PAC dał zezwolenie na kontynuację mostu powietrznego. C-130 wraca, leci z nim jeszcze kilka samolotów.

Stalowe obręcze odpowiedzialności, które ścisnęły serce Martiniego, nie-
co się obluźowały.

– No to przynajmniej coś na początek.

Waszyngton

Był wtorek, punkt szósta rano. Shaw towarzyszył Turner w drodze z jej prywatnego gabinetu do zachodniego skrzydła. Tuż za nimi szła Jackie Winters, zdecydowana wykorzystać każdą okazję, by choć odrobinę zmniejszyć napięcie pani prezydent. Turner sprawiała jednak wrażenie zdekoncentrowanej; zdawała się nie słyszeć uwag Jackie. Po Maddy zaczyna być widać, że żyje w stresie, pomyślał Shaw.

Czekało na nią siedmiu jej najważniejszych doradców. Byli wśród nich Bender i Hazelton.

– Dzień dobry, pani prezydent – odezwał się Sam Kennett. Turner stanęła za biurkiem, pozostali usiedli. Shaw wybrał sobie miejsce pod ścianą, dość daleko od środka grupy, chciał być bowiem jak najmniej widoczny. W pamięci układał zdanie, które zamierzał zapisać w swoim tajnym pamiętniku: „Jeżeli wszystko, czego nauczyła nas współczesna historia, coś znaczy, to dzisiejsze spotkanie stanowi początek wewnętrznego załamania, które doprowadzi do końca skuteczności Madeline Turner jako prezydenta”. Zastanowił się nad tymi słowami i odrzucił pomysł prowadzenia pamiętnika. Otworzył notes i czekał, aż posiedzenie się rozpocznie.

– Zamierzam zająć się tym kryzysem na trzy sposoby – zaczęła Turner. – Po pierwsze chcę, by nasze państwo zareagowało formalnie przez zwykłe kanały dyplomatyczne i na forum ONZ. Po drugie, doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego ma skontaktować się potajemnie z Chińczykami i zainicjować nieoficjalne negocjacje. Po trzecie, należy przeprowadzić odpowiednią kontrakcję wojskową. Podstawowym hasłem ma być w tym wszystkim ostrożność. Nie chciałabym pogorszyć sytuacji żadnym pochopnym działaniem. Nie zamierzam dopuścić do tego, by Chińczycy przez ten kryzys uczynili z prezydenta USA swojego zakładnika. Musimy w dalszym ciągu zajmować się wewnętrznymi sprawami tego kraju. – Rozejrzała się po sali, zatrzymując wzrok na sekretarzu stanu. – Jak wygląda sytuacja u Japończyków?

– Mówiąc ogólnie, panuje u nich chaos, pani prezydent. Czekają na pani reakcję. Turner wskazała palcem na sekretarza obrony Elkinsa.

– Dopóki nie osiągniemy porozumienia z Japończykami, nie życzę sobie żadnych nerwowych działań ze strony Overmeyera.

Elkins miał bardzo nieszczęśliwą minę.

– Rozumiem, pani prezydent.

– To mogło już nastąpić – zauważył sekretarz stanu. – Wygląda na to, że siły powietrzne rzuciły wyzwanie blokadzie. Prowadzą misje powietrzne z Kadeny.

Turner podniosła gwałtownie głowę i wbiła wzrok w Elkinsa.

– Dłaczego nie powiedziano mi o tym natychmiast?

Odpowiedziała Hazelton:

– Dowiedzieliśmy się o tym dopiero kilka minut temu. Generał Martini...

– Nieustannie słyszę to nazwisko. Zaczyna mnie to męczyć – przerwała jej Turner.

– Jest dowódcą na terenie w bezpośredniej bliskości wroga – przypomniał Bender.

– Jeśli dobrze zrozumiałam raport sytuacyjny – dodała Hazelton – Martini działa zgodnie z wytycznymi obowiązującymi dla wszystkich oddziałów. Ignoruje blokadę i prowadzi regularne loty w ramach mostu powietrznego.

– Według ostatniego raportu, Chińczycy nie mają możliwości dopilnowania blokady, przynajmniej w powietrzu – powiedział Bender. – Trzeba przyznać, że może się to w każdej chwili zmienić i mogą przechwycić albo zestrzelić którąś z naszych maszyn.

– Nie chcę niepotrzebnie narażać ludzkiego życia – odparła Turner. – Pragnę, by to działanie się skończyło. Od tej chwili będę osobiście wyrażać zgodę na każdy lot z Okinawy i na Okinawę.

Elkins zacisnął szczęki z całej siły.

– Pani prezydent... niech pani tego nie robi! – wybuchnął w końcu. W gabinecie zapadło całkowite milczenie.

– Z całym szacunkiem, pani prezydent, ale to byłby błąd – powiedział spokojnie i rozważnie Bender. – Nauczyliśmy się na przykładzie Wietnamu, że nie da się prowadzić wojny z Białego Domu ani z Pentagonu. Dlatego przekazujemy tylko naszym dowódcom, czego od nich oczekujemy, dając im swobodę wyboru sposobu realizacji celów oraz środki ku temu.

– Czy muszę panu przypominać, że próbuję zapobiec wojnie?

– Pani prezydent – wtrąciła Hazelton – generał Martini stworzył precedens, który będziemy mogli wykorzystać w przyszłych negocjacjach.

– Tak jak w przypadku berlińskiego mostu powietrznego w czterdziestym ósmym roku, kiedy Rosjanie zrobili blokadę miasta – przypomniał Bender. – Korytarz powietrzny nie tylko daje nam możliwość zaopatrywania Okinawy, będziemy mogli dzięki niemu ewakuować także obsługę cywilną i cywilów. – Sądząc po minie Turner, poruszył ważny temat.

– Ile jest tych ludzi?

– Mniej więcej dwadzieścia pięć tysięcy. A każdy to potencjalny zakładnik.

– Rozumiem – odparła Turner. Podjęła decyzję. – Na razie prowadzimy sprawę na płaszczyźnie dyplomatycznej. Robercie, proszę sprawdzić, jakie prywatne kanały da się uruchomić do rozmów z Chińczykami. Doktorze Elkins, chcę otrzymać szczegółową listę opcji militarnych. Spotkamy się dziś znowu o drugiej po południu i ponownie omówimy sytuację.

– A co z mostem powietrznym? – spytał Elkins.

Turner zawahała się. Nerwowo zadrgał jej kącik ust.

– Na razie kontynuować, ale bez narażania pasażerów na ryzyko. – Znowu się zawahała. – Jeżeli uda się wynegocjować korytarz powietrzny podobny do tego, jaki mieliśmy w Berlinie, może zarządzę ewakuację. Niech każdy robi co w jego mocy. – Wskazała długopisem na wiceprezydenta. – Sam, proszę się skoncentrować na reformie podatków.

– Czy w tej chwili to rozsądne? – spytał Kennett.

Turner wbiła w niego wzrok.

– Powiedziałam już, że moja administracja nie stanie się zakładnikiem tego kryzysu.

Proszę bardzo, panie wiceprezydencie, pomyślał Shaw, witamy w cudownym świecie Maddy Turner. Nie posłuchała mnie, nie posłucha ciebie. Głośno zaś powiedział:

– Pani prezydent, musimy się przygotować do konferencji prasowej.

Doradcy szybko wyszli, Shaw został. Bender i Hazelton stali tuż przy drzwiach i o czymś cicho rozmawiali. Chociaż dziwnie razem wyglądali – wysoki, tykowiaty generał nisko się nachylił, słuchając niskiej i drobnej analityczki – Shaw nie dał się zwieść pozorami; wiedział, że są świetnym zespołem. Popatrzył na Turner, która z nieruchomą twarzą także wpatrywała się w rozmawiającą parę. Co ją gryzie? – zdziwił się Shaw.

– Pani prezydent – odezwał się Bender – chciałbym zaproponować, by tę konferencję poprowadził pani rzecznik prasowy... albo ja.

– Niedobry pomysł – mruknął Shaw tak cicho, by jedynie Turner go usłyszała. – Może potem, kiedy wszystko się uspokoi. Teraz musisz się wykazać jako szef.

– Dziękuję, Robercie – odparła Turner. – Tym razem muszę zrobić to sama.

Marie Hazelton popatrzyła na Bendera z zaniepokojoną miną. Otworzyła usta, by coś powiedzieć, zmieniła jednak zdanie i wyszła.

* * *

Shaw stał obok Bendera i Hazelton pod ścianą sali, w której odbywały się konferencje prasowe. Szef personelu wodził wokół oczami, jakby chciał przeniknąć wzrokiem każdego reportera, starannie jednak unikał kontaktu wzrokowego z Liz Gordon. Czwarty dzień kryzysu, a już zachowują się jak stado owiec, pomyślał. Przysłuchiwał się, jak Turner błyskawicznie odpowiada na każde zadane pytanie. Popatrzył na zegarek – konferencja trwała dziewięć minut – i skrzyżował ramiona na piersi, bo poczuł, że nagle zrobiło mu się zimno. Nic nie mogło ochronić Turner przed tym, co miało nadejść, a świadomość tego nie sprawiała mu przyjemności. Zabrakło elementu niespodzianki, który powodował, że życie na Kapitolu było tak podniecające.

– Pani prezydent – odezwała się Liz Gordon – przywódczyni Narodowej Organizacji Kobiet twierdzą, że straciła pani poparcie ruchu feministycznego. Uważają panią za zdrażczynię ich sprawy.

Turner gwałtownie uniosła głowę i popatrzyła ostro na Shawa. Nie przewidziała tego pytania. Odpowiedziała jednak bez wahania.

– Liz, wiele moich sióstr w dalszym ciągu uważa, że jedynie właściwe jest tak zwane działanie pozytywne. W rzeczywistości czas tej idei dawno minął. Teraz trzeba angażować się w tworzenie równych szans, a zacząć od dania każdemu szansy na sukces ekonomiczny. W tym celu kieruję do Kongresu projekt ustawy, która radykalnie zreformuje nasz system podatkowy. Naszym celem jest promocja produktywności oraz stworzenie dobrze płatnych, sensownych miejsc pracy dla każdego, kto chce pracować, niezależnie od rasy i płci.

Sala zareagowała licznymi pytaniami. Shaw pokręcił głową i poczuł skurcz żołądka. Maddy, Maddy, pomyślał, właśnie wystraszyłaś na śmierć każdego członka zarządu i akcjonariusza w Stanach Zjednoczonych i zerwałaś ze swoimi największymi sprzymierzeńcami. Niech cię cholera, feministki nie różnią się od innych grup – chcą tylko równych szans dla siebie. Powinnaś była posłuchać starego Patricka.

Kiedy konferencja dotarła do końca, Bender i Hazelton nie ruszyli się z miejsca.

– Niedobrze – podsumował Bender. – Potrafiłbym to ominąć.

Hazelton popatrzyła za wychodzącym Shawem. Powiedziała powoli:

– Sir, chyba czas usiąść i porozmawiać z pańskimi analitykami. Mogę zaproponować pański gabinet?

– Oczywiście – odparł Bender. Poszli tam w milczeniu. Kiedy weszli, Hazelton zamknęła drzwi. Bender popatrzył na nią ze zdziwieniem.

– Mazie, co cię dręczy?

– Pytanie Liz Gordon. Wygląda mi to na układ. W administracji jest przeciek.

– Jak myślisz, kto to może być?

Zmarszczyła czoło.

– Praktycznie każdy. Któryś z jej doradców, członek gabinetu... Kto wie?

Benderowi na ułamek sekundy mignął obraz Noreen Coker, czarnej kongresmanki, członkini „gabinetu kuchennego” Turner.

– Przyszedł panu ktoś na myśl? – spytała Hazelton.

Bender pokręcił głową.

– Tak, ale nie wiem dlaczego. – Usiadł w fotelu za biurkiem, a Hazelton zadzwoniła po analityków. Czekając, generał studiował wiszący na ścianie harmonogram dyżurów. Ze zdziwieniem stwierdził, że podlegający mu urzędnicy zajmują prawie całe drugie piętro budynku Biura Wykonawczego Prezydenta po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko Białego Domu. Norma, starsza z jego sekretarek, zapowiedziała przybycie dwóch agentów Secret Service – Chucka Sanforda i Wayne’a Adamsa.

– Zgłosiliśmy się na ochotnika do służby przy panu – zaczął Sanford, starszy z dwójki. Bendera nie zdziwiło ich przybycie; wiedział, że jako doradca do spraw bezpieczeństwa podlega ochronie tajnych służb.

– Mam nadzieję, że lubicie biegać – odparł generał. – W ten właśnie sposób utrzymuję formę. – Nie było odpowiedzi. – Skąd ta cisza? Powiedziałem coś nie tak?

W końcu Stanford wykrztusił:

– Z przyjemnością, sir.

– Biegali z Billem Carrollem, kiedy był doradcą do spraw bezpieczeństwa – wyjaśniła Hazelton.

– A umiał pokonywać kilometry – wyjaśnił Stanford.

– Zanim dostał zawału – mruknął Adams – pobiliśmy parę rekordów.

Bender uśmiechnął się, odsuwając na bok niemiłe wspomnienia.

– Gdzie mi tam do niego!

* * *

Kiedy Shaw wszedł do mieszkania, zauważył, że pali się w nim światło. Nie był zaniepokojony – ochrona w budynku Watergate była pierwsza klasa – ale

zdziwiony. Może służąca zapomniała je wyłączyć? Minał kuchnię i zatrzymał się w salonie. Na kanapie przy kominku leżała zwinięta w kłębek Jessica. Na jego widok uśmiechnęła się i odrzuciła do tyłu długie jasne włosy.

– Późno przychodzisz – powiedziała na powitanie. – Jesteś głodny? – spytała i wstała. Miała na sobie krótką jedwabną halkę i nic więcej. – Mogę ci usmażyć omelet.

– Jadłem w Białym Domu. – Dziewczyna usiadła i podciągnęła pod siebie nogi. – Co cię sprowadza?

– Senator Leland... – mruknęła. Nazwisko senatora otwierało wiele drzwi i jak się okazywało, także drzwi do jego mieszkania. Teraz było jasne, w jakim celu do niego przyszła. Była łącznikiem między nim a organizacją, którą na swój prywatny użytek nazywał Grupą. Uśmiechnęła się. – A co, boisz się, że ludzie coś sobie pomyślą? Na przykład, że przeszedłeś na monogamię? Chcesz drinka?

Shaw skinął głową i usiadł na wyściełanym krześle, zapominając o zdjęciu płaszcz. Jessica podeszła wdzięcznie do barku i zrobiła mu jego ulubionego drinka. Podniosła szklankę pod światło, by sprawdzić kolor napoju. Zadowolona z tego, że efekt spełnia jej oczekiwania, odstawiła szklankę na stolik i zdjęła halkę. Wzięła szklankę ze stolika, podeszła do Shawa i usiadła mu na kolanach.

– Musimy porozmawiać – szepnęła. – Jesteśmy monitorowani?

Skinął nieznacznie głową.

– Obraz jest bez dźwięku – odparł.

Ugryzła go delikatnie w koniuszek ucha.

– Senator uważa, że dzisiejsza konferencja prasowa przebiegła zgodnie z jego oczekiwaniami. Chce, byś w dalszym ciągu robił przecieki do prasy, jak „Głębokie gardło”. – Shaw aż się skulił na wspomnienie autora przecieku, który naprowadził reporterów „Washington Post” na ślad afery Watergate. Jego przezwisko pochodziło od tytułu sławnego filmu porno; Shaw nie miał jednak ochoty zostać bohaterem współczesnej wersji tamtego incydentu. Następnie Jessica opowiedziała mu, że Grupa zamierza w parku naprzeciwko Białego Domu zorganizować serię demonstracji, w których będzie uczestniczyć coraz więcej ludzi. Zadaniem Shawa było, żeby z początku patrzeć na to przez palce, a w odpowiednim momencie zarządzić opróżnienie parku – z im większą demonstracją siły, tym lepiej.

– Mogłabym zobaczyć taśmy? – spytała Jessica uśmiechając się do ukrytej kamery. – Moglibyśmy zrobić własne „głębokie gardło” – szepnęła.

– Kiedy indziej – odparł. Będzie musiał zaraz po jej wyjściu zniszczyć taśmy.

Jessica zsunęła mu z ramion płaszcz i sięgnęła do rozporoka. Rozpięła Shawowi spodnie i usiadła na obnażonym kroczu. Nie zareagował. Wsunęła mu język do ucha.

– Chyba tracę wyczucie – mruknęła.

Paryż

– Niech się pan nie spodziewa spotkania dłuższego niż piętnaście minut – powiedziała Mazie Hazelton.

Kiedy jechali czarnym lincolnem przedmieściami Paryża, Bender robił wszystko, żeby nie zachowywać się jak turysta. Usiłował bez niczyjej pomocy zorientować się w ich trasie, w końcu jednak chwycił słuchawkę wewnętrznego telefonu i zapytał siedzącego z przodu Chucka Sanforda, gdzie są. Odpowiedź była lakoniczna:

– Niedaleko Wersalu, generale.

Bender opadł na siedzenie i spróbował się skoncentrować na tym, co mówi Mazie. „Prywatne rozmowy” z Chińczykami zorganizował attaché wojskowy przy ambasadzie USA w Paryżu w takim tempie, że zaskoczyło to Bendera.

– Mazie, to dość niezwykłe dla chłopaka z Sacramento w Kalifornii – powiedział.

– To element gry – wyjaśniła Hazelton. – Próbują wytrącić pana z równowagi; będą robić co tylko się da, by pana zastraszyć. Pan ma za to inną wielką przewagę; nikt o panu nic nie wie, proszę więc jak najmniej mówić i w miarę możliwości odpowiadać wymijająco.

– Miałaś już do czynienia z Chińczykami. Naprawdę są tacy zagadkowi?

– Nie w tym rzecz. Chodzi o to, że są bardzo skoncentrowani.

Skręcili z głównej drogi i wjechali w obsadzoną drzewami aleję. Kiedy przejechali przez kamienny mostek, Bender dostrzegł pałac.

– Widziałas? – sapnął.

– To jeden z pałaców Rothschilda – odparła obojętnie Mazie. – Chińczycy niestychanie to rozdmuchali. Ciekawe dlaczego? – Podjechali do schodów. Do lincolna podeszło czterech Chińczyków w ciemnych garniturach. Ceremoniał powitalny ograniczył się do skąpych oficjalnych formułek, potem zaprowadzono ich do niewielkiego, choć luksusowo wyposażonego pokoju na piętrze. Hazelton dała Benderowi znak, by zaczekał i weszła pierwsza. Dała generałowi do zrozumienia, że ma czekać na jej sygnał. Nastąpiło to w momencie, kiedy w drzwiach naprzeciwko Amerykanów pojawił się chiński wysłannik. Obaj mężczyźni weszli do pokoju w tej samej sekundzie.

– Generale Bender, chciałabym panu przedstawić Wanga Mo-tsunę, specjalnego wysłannika przewodniczącego Lu Zsoulina – odezwała się Marie.

Mężczyźni uścisnęli sobie dłonie i obrzucili się taksującym spojrzeniem. Wang był dwa cale niższy od Bendera, ale ze czterdzieści funtów cięższy. Przerzedzone włosy zaczesywał gładko do tyłu, a jego puciołowata twarz odrobinę przypominała oblicze młodego Mao Tse-tunga. Rozmówcy usiedli po przeciwnych stronach stołu i rozpoczęli zawiły rytuał wstępnych podchodów, kojarzący się Benderowi z menuetem. Piętnaście minut, które przewidywała Hazelton, minęło nie wiadomo kiedy; spotkanie przeciągnęło się do dwóch godzin. Choć negocjatorzy pochodzili z różnych kultur i posługiwali się odmiennymi językami, Bender doskonale się orientował, że ma do czynienia z trudnym przeciwnikiem. Jak trudnym, okazało się ostatecznie, kiedy Wang wygłosił półgodzinną przemowę. Słuchając, jak Chińczyk określa Stany Zjednoczone jako „sparaliżowanego giganta” oraz „byłe mocarstwo”, generał rzucił pytające spojrzenie Mazie, ta jednak miała obojętną minę i nawet nie odwzajemniła spojrzenia.

– Uważam pańskie uwagi na temat mojego kraju za godne naukowca – odparł w końcu Bender – ale bardziej teoretyka niż praktyka.

– Okinawa to bardzo praktyczny przykład – odparł po angielsku Wang nie czekając na tłumaczenie. – Stosunek sił przemawia na waszą niekorzyść.

Bender może i był nowicjuszem w negocjacjach, ale doskonale wyczuwał, kiedy zaczynała się walka bez rękawic.

– Ach, ten nieszczęsny stosunek sił... Znamy to dobrze.

Wang wystarczająco dobrze władał angielskim, by zauważyć sarkazm Bendera.

– Waszemu społeczeństwu brak spójności koniecznej do odparcia przeważających sił – odparł Chińczyk. – Nie chcemy skrzywdzić niewinnych Amerykanów, a zatem w interesie wszystkich najlepiej by było wynegocjować porozumienie teraz, zanim wypadki wymkną się spod kontroli.

– Zapewniam pana, ministrze Wang, że panujemy nad nimi.

– To wątpliwe przy waszym obecnym przywództwie.

– Nie powinno się nie doceniać zdecydowania naszej pani prezydent. – Uznając rozmowę za zakończoną, Bender wypowiedział pożegnalne formułki i odprowadzono ich z powrotem do lincolna. Milczeli przez pół drogi, dopiero kiedy wjechali na główną szosę, Bender powiedział:

– Spieprzyłem to.

– Wcale nie – odparła Hazelton. – Ton przemowy Wanga był dużo groźniejszy od słów, zwłaszcza że ich znaczenie łagodził tłumacz. Świadomie i z rozmysłem chciał pana zastraszyć.

– Nie wiedziałem, że znasz chiński.

– Podobno dobrze mówię dialektem mandaryńskim i po japońsku.

– Wang o tym wie?

– Możliwe. Ma jednak znacznie poważniejszy problem.

– Jaki?

– Nie wiem, jak to najlepiej wytłumaczyć... Myśmy poprosili o spotkanie, co uczyniło z nas petentów. Zgodzili się, oczywiście, a nie przystaliby na to, gdyby sami nie chcieli negocjować. Zagrali ostro, ale niczego nie osiągnęli, nawet nie uzyskali prośby o następne spotkanie i teraz Wang nie ma nic do powiedzenia Pekinowi. Moim zdaniem są zainteresowani szybkim rozwiązaniem konfliktu i zależy im na rozmowach bardziej niż nam. Wymuszenie na nich prośby o następne rozmowy da nam znacznie lepszą pozycję przetargową.

Bender pokręcił głową.

– I ja to wszystko zrobiłem? – Przez chwilę jechali w ciszy. – Mazie, kiedy przygotowaliśmy się do dzisiejszych rozmów, powiedziałaś, że postarasz się o kolejne spotkanie z Chińczykami.

– Tak, ale oni o tym nie wiedzą. Możemy nasilić nacisk wracając do Waszyngtonu.

– Brzmi nieźle. Wracajmy.

Waszyngton

W piątek w nocy spadł śnieg i pokrył park Lafayette'a białą powłoką. W sobotę o dziewiątej rano – robotnicy jeszcze sprząтали ścieżki i sypali piasek – Ulicą H przeszedł samotny człowiek i minął pomnik generała von Steubena. Nosił czarny kowbojski kapelusz, za którego srebrny otok wetknięte było krótkie pióro. Ciemne, związane w pokazny koński ogon włosy przetykała siwizna. Ramiona miał owinięte kocem w jaskrawe wzory, wyrzuczenie w talli wskazywało, że coś chowa pod spodem. Koc sięgał niemal ciężkich zimowych butów. Kroczył z dumą na pomarszczonej twarzy.

Kilku robotników powiodło za nim wzrokiem, większość jednak nawet go nie zauważyła. Stojący na skrzyżowaniu policjant zameldował przez radiotelefon Secret Service, że do Białego Domu zbliża się „ewentualny”. Część otaczających prezydencką siedzibę agentów przemieściło się, by obserwować podejrzanego. Dwie grupy uznały, że przybysz może być jedynie pozorantem, kamuflującym nadejście zagrożenia z innego kierunku, skierowały się więc w inne miejsca. Obserwator na dachu budynku Ministerstwa Skarbu na wschód od Białego Domu obserwował mężczyznę przez silną lornetkę. Kiedy „ewentualny” dotarł do stojącego w południowo-wschodniej części parku pomnika Lafayette'a, obserwator wezwał przez radiotelefon snajpera, który wyszedł z ukrycia i zajął przewidzianą pozycję.

Mężczyzna zatrzymał się i popatrzył na pomnik; po chwili odwrócił głowę w kierunku Pennsylvania Avenue. Biały Dom po drugiej stronie ulicy, oświetlony porannym słońcem, stanowił fascynującą kompozycję światła i cienia. Stary człowiek stał bez ruchu i wpatrywał się w siedzibę prezydent Turner.

* * *

Kamerzysta Liz Gordon, Ben, znalazł ją w biurze rzecznika prasowego – piła kawę z rzecznikiem i pięcioma innymi reporterami.

– Mamy zwariowanego Indianina, który w parku Lafayette'a zamienił się w słup soli. Stacja żąda najnowszych wiadomości z wodzem w tle.

– Nie ma sprawy – odparła Gordon. – Tu i tak nic się nie dzieje. – Wzięła płaszcz i szal i wyszli do parku.

Wokół Indianina zebrała się grupka ludzi, przestępujących na mrozie z nogi na nogę. Ben tak się ustawił, by mieć w wizjerze wodza, pomnik i gapiów. Gordon uniosła głowę i popatrzyła w obiektyw. Biały Dom, świeży śnieg i słońce tworzyły za jej plecami znakomite tło.

– Tego pięknego, mroźnego poranka rozpoczął się drugi tydzień kryzysu na Morzu Wschodniochińskim, a Biały Dom nie może podjąć żadnej decyzji. Pentagon także przyjął pozycję wyczekującą, zatrzymując lotniskowce „Nimitz” i „Reagan” w takiej odległości od Okinawy, że uniemożliwia to ich udział w ewentualnych działaniach. Wiadomo, że w obecnej chwili prezydent Turner postawiła na rozwiązanie dyplomatyczne, pytanie chwili brzmi jednak, czy rząd Japonii przetrzyma kryzys, jeżeli Stany Zjednoczone nie włączą się bezpośrednio do akcji? Zamiast działać w sprawie kryzysu dalekowschodniego, Madeline Turner kon-

centruje się na realizacji swojego marzenia o reformie podatków z takim samym zapałem, z jakim Lyndon Johnson tworzył „Wielkie społeczeństwo”. Być może najlepszym symbolem tego przeczekiwania jest stojący w parku Lafayette’a samotny człowiek.

Ben zmienił ogniskową, ukazując Indianina w całej okazałości.

– Świetnie... – powiedział po chwili i opuścił kamerę. Stojący za Gordon Indianin jednym ruchem ramion zrzucił z siebie koc, ukazując zawieszony na brzuchu bębenek. Ben szybko podniósł kamerę, objął człowieka z bębniem i włączył nagrywanie. Indianin wpatrywał się w Biały Dom, ale chyba go nie widział. Uderzył pałeczkami w bębenek – tylko raz. Samotny dźwięk pomknął przez Pennsylvania Avenue i po chwili ucichł.

Część trzecia

Załamane

W Waszyngtonie lejce politycznej władzy są puszczone luzno. Jak doświadczyła na swej skórze Madeline Turner, podwładni bardzo łatwo mogą wyskoczyć z trasy i pognać sobie tylko znanymi drogami, zagrażając bezpieczeństwu kierowcy oraz wszystkich pasażerów. Chociaż w dalszym ciągu trzyma w ręku bat, to czy wie jak go używać i czy się na to odważy?

ELIZABETH GORDON
Wiadomości CNC-TV

Rozdział piętnasty

Okinawa, Japonia

Był dwudziesty pierwszy stycznia, poniedziałek – dziesiąty dzień od zaistnienia kryzysu i siódmy dzień blokady. Martini kroczył przez magazyn żywności w towarzystwie podległego sobie dowódcy grupy zaopatrzeniowej. Stojący w kolejce ludzie patrzyli na nich groźnie lub odwracali się.

– Wyczerpały się nam zapasy świeżego nabiału – powiedział Martiniemu pułkownik. – Musimy otrzymywać więcej dostaw z powietrza; inaczej za trzy – cztery tygodnie sytuacja zrobi się trudna.

– Myślałem, że mieliśmy większe zapasy – przyznał generał.

– Błędnie oceniliśmy poziom spożycia; poza tym mamy kłopoty związane z czarnorynkowym handlem żywnością. Do tego mnóstwo osób rozdaje żywność mieszkańcom Okinawy.

– Nie mamy wyboru. Zaczynajcie racjonować żywność i stosujcie w razie potrzeby sankcje dyscyplinarne.

– Sir, prawdziwym rozwiązaniem problemu...

– Wiem, co jest prawdziwym rozwiązaniem problemu – warknął Martini. – Musimy ewakuować zbędnych ludzi. – Wypadł z magazynu i ruszył samochodem w objazd bazy. Powróciły oznaki życia, pootwierano szkoły, wiele jednak dzieci pozostawało w domach, czekając wraz z jednym z rodziców na rozkaz ewakuacji. Niezadowolony generał zawrócił energicznie i pojechał do swojej placówki dowodzenia. Musiał obarczyć kogoś odpowiedzialnością za ewakuację cywilów, mając pewność, że zadanie zostanie wykonane szybko i dobrze. Uruchomił najdajnik i rzucił:

– Niech major Ryan zamelduje się jak najszybciej u mnie na stanowisku dowodzenia.

W budynku czekał na Martiniego jego zastępca. Miał kolejne złe wieści.

– Sir, miejscowe władze donoszą o buntach głodowych w Naha; przed naszą główną bramą zbiera się demonstracja. Tym razem wygląda to poważnie. Nie wydaje się, żeby nasi żandarmi byli w stanie ją powstrzymać.

Martini zapadł w fotel i zadzwonił do dowódcy brygady marines stacjonującej w pobliskim Camp Lester.

– Słuchaj, Jake, przed bramą mojej bazy zbiera się duża demonstracja – zaczął. Wyjaśnił krótko sytuację, posłuchał chwilę i wyłączwszy się oznajmił: – Marines przyślą tu kompanię do pomocy naszej żandarmerii. Rozmieścić ludzi w pobliżu bramy, tak jednak, aby pozostawali niewidoczni. Pokażemy zęby dopiero wtedy, kiedy zaistnieje groźba sforsowania bramy przez tłum.

– A jeżeli uda im się wkroczyć na teren bazy? – spytał jeden z pułkowników.

Palce Martiniego zabębniły w stół.

– Nie zapominajcie, że to Japończycy. Mają zwyczaj postępować zgodnie z przepisami – odpowiedział. Odwrócił się ku wiszącej za jego plecami mapie bazy. – Potraktujemy to niczym paradę. Ogrodzimy Douglas Boulevard pojazdami, marines, czym się da. Pozwolimy demonstracji wmaszerować przez bramę i przejść Douglas Boulevard aż do Kuter Boulevard. Wtedy będą mogli skrócić w prawo, w Kuter.

– I wyjść bramą numer dwa – zakończył za Martiniego zastępcą. – A jeśli nie zechcą zachować się zgodnie z naszymi przewidywaniami?

Generał bębnił palcami po stole, a wszyscy oczekiwali w napięciu na odpowiedź. W tym momencie na stanowisko dowodzenia przybył Ryan. Wyczuł oczywiście panującą atmosferę, spytał więc Townly'ego, co się stało.

– Przed główną bramą bazy zbiera się demonstracja. Może zrobić się nieciekawie – wyjaśnił pułkownik. – Jeśli zaczną plądrować nasze magazyny albo wkroczą na lotnisko, żandarmeria i marines mają prawo powstrzymać ich ogniem.

Ty sukinsynu! – pomyślał Ryan, któremu takie rozwiązanie nie mieściło się w głowie. Musi być jakieś inne wyjście!

– Majorze Ryan – odezwał się tymczasem Martini. – Zabroniono mi narażać cywilów na niebezpieczeństwo, uważam jednak, że dalsze trzymanie ludzi na Okinawie staje się bardziej niebezpieczne niż ich ewakuacja drogą powietrzną. Z jakichś powodów, których nie jestem w stanie pojąć, CINC PAC nie zarządził ewakuacji. Jednak wkrótce przyleci tu C-141, i zamiast wypuszczać go z powrotem pustego, chciałbym wypełnić go ochotnikami, którzy chcą stąd odlecieć.

– Ja bym poleciał! – zawołał zza pleców Ryana Townly.

– Ty nie, idioto! – burknął Martini. – Chodzi wyłącznie o cywilów. Majorze Ryan, proszę spróbować znaleźć dwustu ochotników do opuszczenia Okinawy. Townly, skoro chcesz wziąć w tym wszystkim udział, zadbaj o to, żeby każdy znał potencjalne ryzyko, zanim się ostatecznie zgłosi. Biercie się do roboty, chłopcy.

Ryan i Townly wybiegli z placówki dowodzenia.

– Jak dalece to jest niebezpieczne? – spytał Ryan.

– Odbywamy przeciętnie czternaście lotów dziennie i jeszcze nikt do naszych samolotów nie strzelał. Jak dotąd.

Ryan pokręcił głową i skomentował:

– Aż trudno mi uwierzyć, że generał może być taki... – poszukał właściwego słowa – że może tak bez troski traktować życie innych ludzi. Dlaczego tak postępuje?

– A kto mu zabroni? – odpowiedział retorycznym pytaniem Townly. – Zresztą mnóstwo osób chce się stąd wydostać, nawet za cenę związanego z tym ryzyka.

Martini patrzył za odchodzącymi.

– Niech przed startem transportowca AWACS zajmie odpowiednią pozycję – polecił jeszcze. – A gdy C-141 wystartuje, cztery F 15 mają czekać na pasie gotowe do startu. Każdy samolot, który wystartuje z Kumejimy i skieruje się w stronę transportowca, ma zostać zniszczony.

* * *

– Dlaczego pan to zrobił? – zapytał Ryan Townly’ego. Siedzieli teraz w samochodzie, patrząc za kołującym C-141 StarLifter z dwustu dwudziestoma trzema pasażerami na pokładzie.

Oficer wywiadu zanotował godzinę – była dziewiętnasta pięćdziesiąt.

– Dlaczego kazałem wszystkim pasażerom podpisać formularz wyrażający zgodę? – upewnił się pułkownik. Ryan skinął głową. – Zasada CST, czyli Chron Śwój Tyłek – wyjaśnił Townly. – Na wypadek, gdyby stało się coś złego. Zadbalem, żeby wszyscy podpisali oświadczenie, że zostali ostrzeżeni o charakterze ryzyka i że każdy zgłosił się na ochotnika. Jeśli oni zginą, zajmą się nami tłumy polityków i prawników... aż się pan zdziwi, że w ogóle tyłu istnieje. – Spiał plik kartek gumką i wrzucił je do teczki. – Obejrzyjmy start zw wzgórza Habu.

Ryan ruszył więc Perimeter Road i wjechał na parking na szczycie niewielkiego wzgórza, z którego rozciągał się dogodny widok na pas startowy.

– Czy to nie AWACS? – spytał, zobaczywszy podnoszącego się właśnie z ziemi szarego E-3 Sentry, czyli „Wartownika”. AWACS to gruntownie zmodyfikowany Boeing 707, z charakterystyczną anteną w kształcie talerza dziesięciometrowej średnicy, obracającą się powoli ponad kadłubem; jest samolotem ostrzegania i koordynowania działań z powietrza.

Tymczasem C-141 z ładunkiem cywilów toczył się jeszcze powoli po drodze do kołowania. Dwaj oficerowie patrzyli, jak transportowiec dojeżdża na miejsce, po czym czeka na zezwolenie na start.

– Jakoś mam poczucie osobistej odpowiedzialności za tych ludzi – odezwał się Ryan, czując, że go ściska w żołądku.

– Wszyscy jesteśmy za nich odpowiedzialni – odparł Townly. – To ja dokonuję ocen zagrożenia, na których opiera swoje decyzje generał.

W piętnaście minut po starcie AWACS-a transportowiec potoczył się po pasie i wznosił w czyste, zupełnie ciemne niebo. Z bunkrów hangarów wyjechały cztery F 15.

– Martini nic nie mówił o eskorcie dla C-141 – zdziwił się Ryan. Mężczyźni czekali w milczeniu; myśliwce przeszły przez ostatnią kontrolę przedstartową na początku pasa i przesunęły się na pozycje startowe, nie ruszały jednak. – Co się, u licha dzieje? – wymamrotał zniecierpliwiony doktor.

– Wygląda na to, że czekają w gotowości startowej na ewentualne ostrzeżenie z AWACS-a – wyjaśnił Townly. – Jedźmy do stanowiska dowodzenia, stamtąd będziemy mieli cały obraz sytuacji. – Ryan wrzucił więc bieg i samochód wy-

jechał z parkingu. Tymczasem za ich plecami cztery F 15 wzniosły się z hałasem w powietrze na dopalaczach.

– Cholera jasna! – zaklął pułkownik. – Gazu!

* * *

Pani major, dowódca załogi AWACS-a, stała w głównej kabine maszyn, tuż za podległym sobie kontrolerem środków walki. Kierowała czterema myśliwcami, które wystartowały właśnie z Kadeny. Jej słuchawki były podłączone do urządzeń kablem na tyle długim, żeby mogła swobodnie biegać za poszczególnymi pulpitemi radarowymi i koordynować misję.

– Z czym mamy do czynienia? – spytała.

– Na razie wygląda to na osiemnaście J-8 – odpowiedział kontroler przestrzeni powietrznej, siedzący przy pulpitem w tylnej części kabiny. Namierzył startujące z Kumejimy myśliwce. J-8 jest chińską wersją starego radzieckiego MiG-a 21. Jednak, wyposażony przez Chińczyków w dwa silniki oraz amerykański system kierowania ogniem, przy zasięgu bojowym zwiększonym do sześćsiuset mil, stanowi spore zagrożenie. Dowódca załogi rozkazała więc polecić Kadenie, aby wysłano więcej F 15. Tymczasem wpatrywała się w ekran i rozważała możliwości działania. Najbliższe pięć minut zadecyduje o wszystkim.

– Pani major – odezwał się przez interkom kontroler przestrzeni powietrznej – leć prosto na C-141, jak stado wilków.

– Zawracamy – rozkazała major. – Skierujcie transportowiec na północny wschód, z maksymalną prędkością. My skręcimy razem z nim. – AWACS znajdował się w tym momencie około czterdziestu mil na północ od C-141. Obydwa samoloty skręciły, aby oddalić się od nadlatujących „bandytów”. Piloci obu maszyn zwiększyli obroty silników do maksymalnych i opuścili dzioby maszyn, aby zniżając się stopniowo zyskać jeszcze na prędkości i uciec napastnikom.

Dowódca załogi AWACS-a wykonywała szybkie obliczenia, aby podjąć właściwą decyzję co do sposobu użycia F 15. Miała już teraz jaśniejszy obraz sytuacji. Osiemnastu „bandytów” z całą pewnością ścigało C-141, znajdując się sześćdziesiąt mil za nim i lecąc jak gdyby wzdłuż podstawy trójkąta. Cztery F 15 były na południe od nich i od transportowca, stanowiąc trzeci wierzchołek trójkąta. Major sprawdziła względne prędkości wszystkich samolotów i liczyła w pamięci. „Bandyci” lecieli o dwieście pięćdziesiąt mil na godzinę szybciej niż transportowiec, co znaczyło, że dościgną go za czternaście minut. Jednocześnie, aby osiągnąć tak wysoką prędkość, J-8 musiały korzystać z dopalaczy, co zwiększało czterokrotnie ich zużycie paliwa. Major poczuła się lepiej – jeśli Chińczycy będą gonić w ten sposób C-141, w końcu nie starczy im paliwa na powrót do Kumejimy. Chyba że piloci lecieli na misję samobójczą...

– Rozdzielić F 15 – rozkazała. – Niech dwa osłaniają transportowiec, a dwa atakują bandytów.

Kontroler środków walki przekazał polecenie:

– Nóż jeden i dwa, lećcie we dwóch na osiemnastu bandytów, kierunek dwa-osiem-pięć, odległość pięćdziesiąt mil. Nóż trzy i cztery – spotkać się ze 141 i eskortować.

– Dzięki wielkie – mruknął Nóż trzeci, z wyraźnym rozczarowaniem w głosie.

– Nóż jeden widzi liczne cele na wprost, odległość czterdzieści dwie mile – zameldował dowódca pierwszej dwójki.

– To twój cel – potwierdził kontroler środków walki. – Macie zezwolenie na atak, powtarzam: macie zezwolenie na atak.

– Potwierdzam zezwolenie na atak – powtórzył błyskawicznie Nóż jeden. – Numer dwa, odstęp bojowy.

Dowódca załogi AWACS-a wpatrywała się w ekran, na którym dwa F 15 odsunęły się od siebie i pognały ku napastnikom, a pozostała dwójka sunęła ku transportowcowi. Zameldowano jej właśnie, że z Kadeny startowało już dwanaście kolejnych F 15, a na pas kołowały następne cztery, aby pozostać tam w gotowości. Major rozkazała więc kontrolerowi środków walki skierować nowe myśliwce za pierwszą dwójką, ku Chińczykom. Tymczasem Noże pierwszy i drugi zbliżały się już do nich na odległość pozwalającą użyć rakiet średniego zasięgu AMRAAM.

– Biedne sukinsyny... – mruknęła major, wcale nie mając na myśli swoich rodaków.

Jak na zawołanie, dwaj piloci zameldowali jednocześnie:

– Lis jeden! – Oznaczało to, że ku nieprzyjacielowi pomknęły właśnie cztery rakiety powietrze – powietrze. AMRAAM to rakietka sterowana automatycznie, tak że piloci F 15 mogli swobodnie manewrować i przygotować się do kolejnego ataku, tym razem przy użyciu rakiet AIM-9 Sidewinder, czyli „Boczny Wiatr”. I znów meldunki o odpaleniu rakiet nadeszły niemal jednocześnie:

– Lis dwa! – Major obliczała teraz, kiedy powinna rozkazać dwom pilotom wyłączenie się z walki, aby mogło do niej wkroczyć dwanaście nadlatujących maszyn.

– Tallyho! – zawołał tymczasem Nóż jeden. Oznaczało to kontakt wzrokowy z nieprzyjacielem. Musiał zobaczyć co najmniej jedną z chińskich maszyn. – To J-8. Lis trzy! – Tym razem pilot użył działka. Na ekranach AWACS-a obrazy dwóch F 15 złączyły się teraz z „bandytami”.

Ponieważ panowała noc, Noże pierwszy i drugi nie próbowali nawiązywać bezpośredniej walki powietrznej z nieprzyjacielskimi pilotami. Minęli ich, aby zająć pozycje z drugiej strony i zaatakować ponownie. Na ekranach AWACS-a zrobiło się spokojniej. Major mogła jednak teraz naliczyć tylko trzynaście czerwonych, odwróconych „V” oznaczających wrogie maszyny. Dwa F 15 popisały się więc... i zamierzały jeszcze atakować.

– Nóż jeden i dwa, nadlatuje dwunastu naszych, za cztery minuty – poinformował kontroler środków walki.

– Strzelamy i spadamy – odparł Nóż jeden.

Amerykanie zaatakowali ponownie, tym razem wybierając odległe od siebie cele. Chińczycy stracili zupełnie kierunek lotu i spójność szyku. Teraz już żaden z nich nie ścigał samotnego transportowca. Piloci dwóch F 15 zadali kolejne ciosy i odmeldowali się. Tym razem na ekranach pozostało tylko dziesięć czerwonych, odwróconych „V”.

– Chyba mamy asa – skomentował szef kontrolerów.
– Zaczynicie dzielić na dwójki drugą falę – poleciła major, zdeterminowana zniszczyć jak najwięcej nieprzyjacielskich myśliwców.
– O cholera! – zawołał przez interkom kontroler środków walki, widząc, że jeden z Chińczyków podąża, jak gdyby nigdy nic, śladem C-141. Wcisnął nogą umieszczony w podłodze przycisk nadawania i rzucił:
– Nóż trzy i cztery, macie bandytę, prędkość dwa macha, kierunek dwa-trzy-pięć, odległość trzydzieści osiem mil; leci na was. Zestrzelcie go, powtarzam: zestrzelcie go.

Piloci osłaniającej transportowiec dwójki potwierdzili odebranie komunikatu i pomknęli ku samotnemu Chińczykowi.

– Leci z prędkością dwóch macha – powtórzył kontroler środków walki z AWACS-a. – To nie może być J-8. – Chińczycy przerzucili na Kumejimą jednego Su-27 z okrętu „Przewodniczący Mao” i wysłali go w grupie atakującej C-141. – Jak dobrze, że pani kazała osłaniać transportowiec – pochwalił oficer swoją panią dowódcę.

Major słuchała teraz, co się zdarzy. Noże trzeci i czwarty kierowały się na „Flankera” – jak nazywano w amerykańskim lotnictwie Su-27. Pierwszy z dwójki pilotów namierzył go już na radarze i odpalił rakietę AMRAAM. Nic się jednak nie wydarzyło. Elektroniczne systemy defensywne flankera pokonały system sterowania rakiety. Samoloty zbliżały się nadal do siebie z prędkością ponad dwóch tysięcy mil na godzinę.

– Lis dwa – zameldował Nóż trzy, odpaliwszy sidewindera. Sześć sekund później taki sam meldunek złożył Nóż cztery. Dwie kierowane na podczerwień śmiertelne rakiety pomknęły ku Su-27. Chiński pilot dostrzegł w ciemności płomień pierwszej z nadlatujących rakiet i szarpnął maszyną w górę, zamykając błyskawicznym ruchem przepustnicę. Następnie wykonałszy przewrót zanurkował, dając tym razem maksymalne obroty silników. Rakietą przeleciała o ponad pięćset stóp nad nim. Drugi sidewinder dopadł go jednak, wlatując z przodu do lewego silnika i eksplodując.

– Skierować 141 do Yokoty – poleciła dowódca załogi AWACS-a. Jej ludzie przekazali polecenie i bezpieczny już transportowiec skierował się na północ. Tymczasem dwanaście myśliwców F 15 podzieliło się na klucze po dwa samoloty i zaatakowało resztę Chińczyków. Major zanotowała godzinę ataku, dodając słowa: „Jak strzelanie do kaczek”.

* * *

Ryan poszedł za Martinim i Townlym do budynku dwunastego dywizjonu myśliwskiego, aby posłuchać zdających raport z misji. Na korytarzach panował gwar, żołnierze śmieli się, radzi ze zwycięstwa. Jakiś radosny kronikarz namalował sprayem na ścianie dużą liczbę „15”. Ryan przepchnęła się przez tłumek ku biorącym udział w akcji. Szefowa obsługi naziemnej jednego z samolotów przycisnęła się po drodze do doktora, chwyciła go w pól i pocałowała namiętnie w usta. Miała mocne rumieńce od poczucia triumfu.

– To był mój samolot! – zawołała. – Mamy piątkę na koncie! – Ryan uśmiechnął się grzecznie i rozejrzał za Martinim. Zobaczył, że Townly niknie w drzwiach pomieszczenia, w którym zdawano raporty. Ruszył więc za nim.

Generał siedział przy stoliku z dwoma pilotami, tymi, którym przydzielono kody Nóż jeden i Nóż dwa. Na ekranie telewizora widać było obraz sfilmowany przez kamerę samolotu Noża jeden.

– Teraz właśnie dopadłem piątego – komentował pilot spokojnym głosem, kontrastującym z podekscytowanymi, radosnymi okrzykami, dobiegającymi z zewnątrz. – Oni nie byli zbyt dobrzy, sir. Wystarczyło mi przeciążenie cztery g, żeby usiąść mu na ogonie.

Martini pokiwał głową, widząc, jak chiński J-8 niezdarnie próbuje wykonać jakikolwiek manewr, cały czas znajdując się na środku wyświetlanego przez projektor HUD celownika. Przez drzwi wsadził głowę jakiś kapitan.

– Sir! – zawołał. – Szesnaście! Zestrzeliliśmy ich szesnastu!

Generał podniósł się i uśmiechnął.

– Gratuluję wam – powiedział pilotom.

– Panie generale – odparł Nóż jeden – to było aż za łatwe; bułka z masłem... – Pilot mówił poważnym tonem, a jego ściągnięta twarz przypominała Ryanowi pysk zawstydzonego psa. Martini znowu skinął głową. Rozumiał tego pilota. Wyszedł, a za nim Townly i Ryan.

– Teraz czeka nas trudniejsza część całego przedsięwzięcia – mruknął generał.

A co w tym takiego trudnego? – zapytał się w myśli Ryan. Przecież nie trzeba całe życie myśleć tylko o tym, że zabiło się pięciu ludzi. Wewnętrzny głos w głowie doktora krzychał radośnie, że C-141 wylądował bezpiecznie w Yokocie. Ciężar, który do niedawna przytłaczał Ryana, zniknął. Teraz major mógł się cieszyć – ponad dwustu ludzi, za których odpowiadał, zostało ocalonych.

Waszyngton, USA

Prezydent Turner wyszła ze swojej przebieralni przy łazience. Maura O'Keith popatrzyła na córkę z niepokojem.

– Wyglądasz na zmęczoną, Maddy – odezwała się i natychmiast pożałowała tych słów. Kryzys na Dalekim Wschodzie trwał już dziesiąty dzień i Madeline była nim wyczerpana.

– Nie jestem rannym ptaszkiem, przecież wiesz, mam – odparła zirytowana prezydent. – Czy już przyszli?

– Czekają w jadalni – odpowiedziała Maura. – Pomyślałam sobie, że będzie miło, jeśli podamy im śniadanie, skoro wyznaczyłaś spotkanie tak wcześnie.

– Dzięki. Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła ... albo bez nich. – Pani Turner ruszyła korytarzem. Jej asystentka, Jackie Winters, czekała na nią jak zwykle z notatnikiem w ręku.

– Pani prezydent, William Knowles przechodzi na emeryturę; dzisiaj jest jego ostatni dzień – poinformowała.

– Knowles? – powtórzyła nazwisko Madeline, nie kojarząc go z twarzą.

– William, lokaj, który służy pani rano.

– Ach, William... Cóż, zrób wszystko, co zwykle się robi i zadbaj o to, żebym podpisała, co trzeba...

– Zwykle prezydent pisze osobisty list; wystawia się też oprawiony w ramki certyfikat – wyjaśniła Jackie. Stały już przy drzwiach jadalni. – Poza tym dziekan Akademii chciałby porozmawiać z panią w sprawie Briana.

– Maura się tym zajmie – zdecydowała Turner i weszła do sali. Jackie zamknęła za nią drzwi i czekała na korytarzu, podczas gdy pani prezydent naradzała się ze swoim „kuchennym gabinetem”.

Wszyscy zebrali się przy jednym końcu stołu.

– O rany, kobieto – powitała donośnie wchodzącą Noreen Coker. – Nigdy nie wstaję przed siódmą. W moim wieku ciało flaczeje po tym na cały dzień. A jak ma się tyle tego ciała... – Uśmiechnęła się. – Witam, pani prezydent, już mi lepiej – dodała. Napięcie minęło, zebrani usiedli. William wtoczył wózek ze śniadaniem. Przez parę minut przy jedzeniu rozmawiano lekko o drobiazgach. Turner sączyła kawę i słuchała, nabierając siły i zaufania do swoich doradców. W końcu z niechęcią musiała wrócić do konkretów, kiedy Sam Kennett zaczął opisywać problemy powstałe w Kongresie w związku z reformą podatkową.

– Z jakiegoś powodu pomysł zreformowania podatków dotknął kongresmanów do żywego – mówił wiceprezydent. – Jeszcze nigdy czegoś takiego nie widziałem. Już się zorganizowali i zajęli pozycje obronne. Zdaje się, że stoją za nimi czyjeś wielkie pieniądze. – Kennett przeszedł do listy kongresmanów, którzy wytaczali armaty przeciw pani prezydent. Swoje wprowadzenie zakończył sugestią, że może by tak zwolnić prace nad reformą do czasu uspokojenia się sytuacji na Dalekim Wschodzie.

Coker była jednak zdania, że na to już za późno.

– Piłka w grze, kochanie – powiedziała – i teraz musimy dobrze ją rozegrać. Jak się wycofamy, damy im tylko czas na wzmocnienie się. – Parrish, sekretarz skarbu, był jednak przeciwnego zdania i poparł wiceprezydenta. Turner słuchała doradców jeszcze przez chwilę, po czym przeszła do tematu Dalekiego Wschodu. Tu wszyscy zgodzili się z Maurą, kiedy powiedziała, że lepsza ostrożność niż zabici amerykańscy żołnierze.

William wtoczył tymczasem wózek ze świeżą kawą. Madeline uśmiechnęła się do niego i zagadnęła:

– Jackie mówi, że przechodzisz na emeryturę.

– To prawda, proszę pani – odparł krótko stary lokaj. Plotki krążące wśród pracowników Białego Domu były zbyt głośne, aby mógł je ignorować. Miał teraz nadzieję, że prezydent zada mu właściwe pytanie. Turner życzyła mu jednak tylko wszystkiego najlepszego i znowu zwróciła się do gości, czekając aż William wyjdzie. Tak mi przykro, pani prezydent, pomyślał, zamykając za sobą drzwi, te sukiesyny chcą panią zniszczyć, a ja nie mogę tak się temu przyglądać.

Minął go Shaw, nie zatrzymując się tym razem, żeby zapytać, co też powiedziała pani prezydent. William pomyślał, że to najlepszy upominek, jaki mógł otrzymać ostatniego dnia pracy. Shaw zapukał dwukrotnie i wszedł do jadalni.

– Pani prezydent – zaczął od progu – niedaleko Okinawy odbyła się walka powietrzna z udziałem naszych samolotów. – Turner pobladła i podniosła się z miejsca. – Nie ma ofiar po naszej stronie – kontynuował Shaw, odpowiadając na nie zadane jeszcze pytanie. – Generał Overmeyer będzie tu za piętnaście minut. Powiedziałem mu, żeby kierował się od razu do Gabinetu Sytuacyjnego.

– Czy generał Bender jest u siebie w biurze? – zapytała prezydent. Shaw przytaknął. – To proszę go tu zawołać. – Zamilkła na chwilę. Nie znosiła pozbawionego okien Gabinetu Sytuacyjnego, w którym panowała surowa, wojskowa atmosfera. Gabinet Sytuacyjny w Białym Domu był jak podziemna „jaskinia wojny”. Madeline czuła, że potrzebne jej jakieś miejsce, gdzie wpada światło słońca, a okna pozwalają wyjrzeć na świat. – Patricku, spotkajmy się w Gabinetecie Ovalnym – zdecydowała. Odczekała, aż Shaw zamknie za sobą drzwi. – Będę forsować reformę podatkową – oznajmiła przyjaciółom. – Ani Chińczycy, ani nikt inny nie będzie kierował moim rządem.

* * *

Hazelton siedziała akurat u Bendera, kiedy zatelefonowała sekretarka Shaw polecając generałowi spotkać się z panią prezydent w Gabinetecie Ovalnym.

– Coś tu nie gra – skomentowała Mazie. – Dlaczego Chińczycy postanowili zaatakować akurat pierwszy samolot, na pokładzie którego byli cywile? – Chodziła tam i z powrotem po pokoju. – Panie generale, potrzebuję trochę czasu, ale dowiem się tego.

– Ile to pani zajmie? – spytał Bender.

– Czy mogę skorzystać z telefonu? – odpowiedziała tylko Hazelton. Zamiast przesuwać telefon w jej stronę, generał wstał i wskazał na swój fotel. Usiadła i wystukała numer.

– Dzwonię do swojego człowieka w Agencji Bezpieczeństwa Narodowego – wyjaśniła. Po paru chwilach rozmawiała już z człowiekiem odpowiedzialnym za śledzenie przekazów radiowych na Dalekim Wschodzie. Przekręciła kluczyk z boku aparatu, włączając kodowanie sygnału. Bender słuchał uważnie, słabo jednak rozumiejąc techniczny żargon, jakim mówiła. W końcu rozłączyła się i wstała. – Mają coś – poinformowała. – Większa część tekstu nie została jeszcze przetłumaczona; będą przekazywać mi na bieżąco kolejne przechwycone komunikaty do centrum telekomunikacyjnego w piwnicy.

– To daleko od Gabinetu Ovalnego – zauważył generał. Szybkość działania i wymagania bezpieczeństwa niezbędne podczas kryzysu zdecydowały niegdyś o umieszczeniu obok siebie Gabinetu Sytuacyjnego i centrum telekomunikacyjnego.

– Tym razem nie liczy się każda sekunda – uspokoiła go Hazelton. – Mogę przecież przekazać panu wszystko, co ważne, w ciągu trzech, czterech minut. – Zacisnęła usta, rozważając następne słowa. – Panie generale, proszę, żeby pan

wstrzymał się z wypowiedziami, zanim dopasuję do siebie wszystkie szczegóły – poprosiła. Spojrzała na Bendera z niepokojem i wyszła.

* * *

Madeline Turner w Gabinetce Owalnym usiadła w fotelu na biegunach, obok stojących naprzeciw siebie kanap. DCI – dyrektor wszystkich amerykańskich central wywiadowczych – streszczał jej przebieg wydarzeń. Bawiła się nerwowo długopisem, zaniepokojona niepełnym obrazem sytuacji. Czy to zawsze tak wygląda? – zastanawiała się. Muszę zareagować na sprawy zaistniałe niezależnie ode mnie. I podjąć decyzję w zbyt krótkim czasie, opartą na zbyt małej ilości informacji. Czas jest tu ostatecznym wyznacznikiem i jeśli popełnię błąd, nie będę mogła go naprawić. Dlaczego Robert nic do tej pory nie powiedział? Siedzi tylko jak mysz pod miotłą i robi notatki. Czy to nasi generałowie umyślnie wywołali tę sytuację? Jeśli tak, postawię ich przed sądem. Ale jak? Patrick będzie wiedział. Patrick. Jak ja mam z nim postępować?

– Zanim to się stało, robiliśmy postępy na polu dyplomatycznym – odezwał się sekretarz stanu, Francis. – Rada Bezpieczeństwa ONZ omówi tę sprawę w środę, a w przyszłym tygodniu powinna odbyć się debata całego Zgromadzenia Ogólnego.

– Czy musimy przypominać panu sekretarzowi – odparł generał Overmeyer – że to Chińczycy rozpoczęli atak, a nie my? – Pochylił się do przodu, nie przyzwyczajony do głębokiej kanapy, i oparł złożone ręce na kolanach. – Pani prezydent, ile jeszcze czasu potrzeba, aby przekonać panią do zdecydowanych działań? Niech pani ewakuuje natychmiast naszych cywilów z Okinawy, zanim staną się zakładnikami, a potem użyje marynarki do przerwania blokady.

A ilu ludzi zginie, jeśli posłucham tej rady? – zapytała się w myślach Madeline. Przed jej oczyma stanął obraz generała sił powietrznych galopującego na koniu, z rewolwerem wykładanym masą perłową w dłoni.

– Generale – odparła – moment tego ataku nie daje mi spokoju. Czy Martini rozmyślnie naraził życie cywilów?

Overmeyer nie spieszył się z odpowiedzią.

– Działał zgodnie z dyrektywami, którym podlega, pani prezydent – zaczął w końcu. – Na Okinawie wybuchają bunty głodowe, a i nasi żołnierze spodziewają się braków żywności. Loty transportowe odbywały się jak dotąd bez przeszkód, dlatego generał Martini poprosił, żeby ochotnicy opuścili wyspę.

– Może powinniśmy zastąpić Martiniego jakimś wyżej postawionym generałem – zasugerowała Turner – zdolnym podejmować rozsądniejsze działania. – Przerwała, widząc, że do gabinetu wchodzi Mazie Hazelton. Kobieta zamieniła kilka słów z Banderem i podała mu sześć stron przechwyconych i przetłumaczonych chińskich meldunków. Dobrze im się współpracuje, pomyślała prezydent. Pokazała na pusty fotel za plecami Shawa i powiedziała: – Proszę do nas dołączyć. – Hazelton usiadła, zaskoczona. Turner poczuła się jakoś lepiej, kiedy w pomieszczeniu znalazła się jeszcze jedna kobieta.

– Pani prezydent – odezwał się teraz Bender – to wszystko było zaplanowane. – Odczytał kolejne komunikaty radiowe i rozmowy telefoniczne przechwycone przez Radę Bezpieczeństwa Narodowego. Wynikało z nich jasno, że Chińczycy śledzili aktywność w bazie Kadena i poczekali na pierwszy samolot z ewakuowanymi. – To była zasadzka – zakończył generał.

– To absurdalne! – skomentował Francis. – Przecież dobrze wiedzą, że to tylko pogarsza ich sytuację.

– Wiedzą? Czyżby? – sprzeciwił się Bender. – Wysłali w powietrze te myśliwce, żeby zestrzeliły transportowiec. Tylko natychmiastowa reakcja generała Martiniego uratowała życie obecnych na pokładzie pasażerów.

– Dlaczego mam wrażenie – wtrąciła się prezydent – że to generał Martini kieruje przebiegiem wydarzeń?

– Nie w tym rzecz – zaprotestował Bender. – On znajduje się po prostu na linii frontu. Jego praca polega na nieustannym ocenianiu zagrożenia i szybkim reagowaniu na nie.

– Pani prezydent, to była kolejna sonda ze strony Chińczyków – dorzuciła swoje trzy grosze Mazie. – I będą kontynuować takie próby do czasu, aż pani powie „dość!”. Jednak mają nadzieję, że do tego czasu w znaczący sposób zmniejszą równowagę sił za zachodnich wybrzeżach Pacyfiku.

– Równ wierzę w to – stwierdziła krótko prezydent.

Hazelton nie poddawała się jednak.

– Proszę zadać sobie takie pytanie, pani prezydent: gdyby C-141 został zestrzelony, a Chińczycy ogłosiliby, że to straszliwa tragedia, czy wtedy odpowiedziałaby pani siłą? Czy kontynuowałyby pani negocjacje?

Madeline Turner poczuła skurcz w żołądku. Cała jej osobowość była nastawiona na negocjacje; jednak jeśli Hazelton miała rację, prowadziłyby to tylko do coraz bardziej agresywnych ataków ze strony Chin.

– Może jednak – odezwała się w końcu – najlepiej będzie, jeśli Martiniego zastąpi jakiś starszy stopniem generał.

– Bez zwiększenia naszych sił na Okinawie oznaczałoby to wysłanie Chinom niewłaściwego sygnału – ocenił Bender. – Dowódców zastępuje się innymi, kiedy ponoszą klęskę albo zrobią coś niewłaściwego. Generał Martini to nie kowboj. Proces selekcji w wojsku eliminuje takich, chroniąc przed zdobyciem przez nich generalskich szlifów. Jeśli zastąpi pani Martiniego, da do zrozumienia Chińczykom, że nasz generał źle zrobił, broniąc transportowca.

– Czy jest pan o tym przekonany? – odpowiedziała pytaniem prezydent.

– Zawsze jest margines niepewności – przyznał Bender.

Turner rozejrzała się po zebranych.

– Co mi w takim razie radzicie zrobić? – zapytała. Odpowiedziała jej Hazelton:

– Przez najbliższe dwadzieścia cztery godziny – nic. To oni powinni odpowiedzieć jakoś na zaistniały incydent, nie my.

Madeline słuchała dalszej dyskusji. Im dłużej jednak rozważała sprawę, tym bardziej podobała jej się rada pani Hazelton. Dawała jej jedną, jakże cenną rzecz: czas. Prezydent podjęła więc decyzję i oznajmiła:

– Na razie będziemy czekać. Zbierzemy się ponownie po południu. – Spotkanie zakończyło się i Gabinet Ovalny szybko się opróżnił.

Już za drzwiami generał Overmeyer zaczął Mazanę:

– Proszę pani, bardzo się cieszę, że zrobiła pani to, co zrobiła. Gdybyśmy to my powiedzieli dokładnie to samo, prezydent nie posłuchałaby nas.

– Czy sugeruje pan, że poszła za moją radą, ponieważ jestem kobietą? – upewniła się Hazelton.

– Dokładnie.

– Myli się pan, sir. Być może czuła się raźniej w towarzystwie drugiej kobiety; jednak jeśli moja rada okaże się błędna i Chińczycy nie odezwą się wkrótce, moja noga nie zostanie więcej w Białym Domu.

Dwie godziny później do prezydent Turner zadzwonił przewodniczący Komunistycznej Partii Chin, Lu Zoulin. Prosił o spotkanie generała Bendera z Wang Mo-tsunem w Paryżu, w celu przedyskutowania „niepokojących obie strony spraw”. Mazie Hazelton ocalała więc skórę.

* * *

Liz Gordon kroczyła przez park Lafayette’a mówiąc do trzymanego w rękę mikrofonu. Ben cofał się przed nią z kamerą, uważając, aby w tle cały czas znajdował się Biały Dom.

– Najmroźniejszej być może zimy, jaka się zdarzyła w tym mieście, w pobliżu Białego Domu zagnieździła się na dłużej grupa demonstrantów – mówiła spikerka. Ben pokazał teraz stojącego samotnie Indianina, owiniętego w gruby koc; obok niego na ziemi leżał bęben. Po chwili jego miejsce zajął inny, podobnie ubrany mężczyzna. – Na państwa oczach odbyła się właśnie zmiana warty – komentowała Gordon. – Dzieje się tak co godzinę, dwie lub trzy, w zależności od temperatury i stanu pogody. Jak dotąd nikt nie wie, co chcą osiągnąć ci ludzie. Dołączyła za to do nich inna demonstracja – ciągnęła Liz – tym razem o bardziej sprecyzowanych celach. – Teraz Ben pokazał niewielką grupę kobiet niosących jednakowe tablice z napisami:

TURNER – ZDRAJCZYNI!

TURNER – STOP!

MADDY, JESTEŚMY TWOIMI PIERWSZYMI WYBORCAMI!

Na widok odwracającego obiektyw kamery Bena kobiety zaczęły śpiewać:

– Maddy *come home*, Maddy *come ho-o-ome** – parafrazując słowa słynnej antywojennej piosenki Lennona. Ben pokazał Elizabeth znak zakończenia ujęcia i podał jej telefon komórkowy. Dzwonili ze stacji telewizyjnej. Liz zamieniła parę słów z kierownikiem swojego programu i pokiwała głową.

– Chodź! – przywołała Bena, ruszając w stronę indiańskiego dobosza. Kiedy Ben przygotował kamerę, przemówiła do Indianina i do mikrofonu:

* Maddy, wracaj do domu

– Przepraszam pana, czy wie pan o tym, że nasze myśliwce zestrzeliły sześć chińskich samolotów nad Morzem Wschodniochińskim? – Podstawiła Indianinowi mikrofon pod usta.

Ten bez słowa podniósł z ziemi bęben i przerzucił sobie przez ramię gruby, skórzany pas, na którym bęben wisiał. Zaczął uderzać weń powolnym rytmem. Liz odwróciła się więc znów do kamery. Tymczasem kobiety za jej plecami śpiewały:

– *No more wars, Maddy! No more wars!**

Liz otrzymała konkretne zlecenie i miała już w głowie gotową historyjkę.

– Oto w tym niezwykłym sojuszu widzimy być może narodziny nowego ruchu antywojennego – powiedziała. Tymczasem odgłos bębna przeleciał nad Pennsylvania Avenue i dotarł do Białego Domu.

* Nigdy więcej wojen – „Nigdy więcej wojen”.

Rozdział szesnasty

Paryż, Francja

– I jak się pan czuje po locie przez ocean? – spytała Mazie Hazelton. Był późny poranek. Odbywała razem z Benderem nagłą podróż do stolicy Francji.

– Kiedy tylko mogę położyć się spokojnie i spać, nie mam z tym problemów – odparł generał.

– To ma pan szczęście. Ja tracę apetyt, nie mogę spać i robię się nerwowa – poinformowała Mazana. Wyjrzała przez okno limuzyny marki Lincoln. Wyjeżdżali właśnie poza obręb Paryża, kierując się do jednego z zamków, w którym czekał Wang Mo-tsun. – Sądzę, że robimy sobie zbyt wielkie nadzieje – stwierdziła. – Prawdopodobnie powtórzy się w przybliżeniu scenariusz poprzedniego spotkania, tak żeby Wang przynajmniej częściowo mógł odzyskać twarz.

– A zatem nie sądzi pani, żeby udało nam się wynegocjować korytarz powietrzny?

– Bardzo wątpliwe – przyznała Hazelton. – Choć byłby to bardzo pozytywny krok, który mógłby prowadzić do dalszych postępów.

– Zobaczę, co będę mógł zrobić.

Jechali w ciszy aż do zameczku. Czekala na nich ta sama grupka młodych mężczyzn w ciemnych garniturach co poprzednio. Tak jak ostatnim razem Bender wszedł do pokoju, w którym miało odbywać się spotkanie, w tej samej chwili, w którym wkraczał do niego z drugiej strony chiński wysłannik. Kiedy usiedli, amerykański generał rozpoczął od przyjętych formuł powitalnych. Wang najwyraźniej uczył się jednak z innego scenariusza i zaczął długi monolog, w którym oskarżał Stany Zjednoczone o dokonanie nieuzasadnionej agresji. Bender słuchał mamroczącego mu w ucho tłumacza. Wang podniósł głos, zrobił małą pauzę, odechnął i wypalił:

– Chińska Republika Ludowa czeka na wasze przeprosiny, generale Bender.

– Zapomniał pan dodać „jankeski piracie powietrzny” – odparł zjadliwie Robert.

Po drugiej stronie stołu rozległ się jazgot chińszczyzny. Bender zaryzykował rzut oka na swoją towarzyszkę. Mazie Hazelton siedziała z kamienną twarzą, jednak w jej oczach widać było rozbawienie.

– Nie zrozumieliśmy terminu „jankeski pirat powietrzny” – odparł Wang.

– Wietnamczycy z Północy lubili nas tak nazywać – wyjaśnił Bender. – Przekażę, oczywiście, pańskie komentarze mojemu rządowi. – Zamknął notatnik i zakreślił wieczne pióro.

– Panie generale, jeśli dobrze zrozumieliśmy, przyjechał tu pan negocjować w imieniu swojego rządu, a nie po to, by przekazywać mu wiadomości – odezwał się Chińczyk.

– Moje pełnomocnictwa równają się pańskim i mogę negocjować w sprawach, które niepokoją wzajemnie nasze rządy. Jednakże nie przyleciałem tu na wykład propagandowy. – Wstał z miejsca, wyraźnie zbierając się do wyjścia. – Jeśli dobrze zrozumieliśmy, korytarz powietrzny pomiędzy Okinawą a główną częścią Japonii był ustalaniem na zasadzie *de facto*, skoro nie wspomniał pan o nim podczas naszego pierwszego spotkania. Życzymy sobie uniknąć przyszłych nieporozumień podobnego rodzaju. Proszę przekazać swojemu rządowi, że bardzo żałujemy całego incydentu, ponieważ można go było uniknąć, ustalając wszystko od razu tutaj.

Wang pobladł. Jeśli miał przeżyć, musiał przedstawić swoim mocodawcom w Pekinie jakieś osiągnięcia, a tymczasem Bender miał nad nim dyplomatyczną przewagę; w dodatku był tego świadom i naciskał dalej:

– Jak pan wie, panie ministrze – mówił – jestem pilotem myśliwskim. Czuję się bardzo przygnębiony, kiedy tak wielu dobrych pilotów ginie w bezsensowny sposób. Jednak, biorąc pod uwagę, że najwyraźniej zaszło nieporozumienie, jeśli mam kontynuować negocjacje z panem, muszę przedstawić mojemu rządowi jakiś znak waszych dobrych intencji.

– Co pan sugeruje? – spytał Wang.

– Mogę podpisać porozumienie uznające nienaruszalność wszelkich istniejących korytarzy powietrznych nad wodami międzynarodowymi.

– Rzecz jasna także tych korytarzy *de facto*, które prowadzą na Okinawę... – uzupełnił Chińczyk, uśmiechając się nieznacznie. – A jaką korzyść odniósłby z tego mój rząd, generale?

Bender popatrzył na Wanga najgroźniej, jak tylko umiał.

– Zyskałby naszą zgodę na powstrzymanie się od embarga na międzynarodowe loty waszych samolotów cywilnych.

– Wspólnota międzynarodowa nigdy na coś takiego nie pozwoli – odparł wykrętnie Wang.

– Chciałem jedynie zasygnalizować, że takie embargo jest rozwiązaniem – znowu patrzył zimno – które rozważymy. – Zapanowała przytłaczająca cisza. Dwaj mężczyźni spoglądali na siebie.

– Wkrótce przekazemy panu odpowiedź – odezwał się w końcu Chińczyk.

I kto tu okazał się posłańcem? – pomyślał sobie Robert. Może czas, żebym to podkreślił.

– Och, oczywiście – powiedział protekcjonalnym tonem. – Rozumiem. Jutro przed południem wylatuję z powrotem do Waszyngtonu. Jeśli nie będziecie mieć gotowej odpowiedzi do tego czasu, proszę przesłać ją zwykłymi kanałami dyplomatycznymi.

Spotkanie na tym się zakończyło. Mazana podążyła za generałem do limuzyny. Usadowiła się na tylnej kanapie, odczekała, aż opuszczą podwórze zameczku, i odezwała się:

– Dał się pan Wangowi we znaki.

– Mazie, jeśli się nie mylę, ten facet wyszedł ze spotkania na miękkich nogach.

– Jego początkowe uwagi niewiele znaczyły, a kiedy zakończył żądaniem przeprosin, liczył, że pan zrobi to samo. Tymczasem pan w ogóle go zignorował i jeszcze sprawił mu największe baty, jakie w życiu dostał.

– Tak mi się zdaje – zgodził się Robert. – A zatem, według pani, jak wpłynąłem na szanse wynegocjowania przez nas korytarza powietrznego?

– Nie wiem – przyznała Hazelton. – Wang jest w bardzo złym humorze. A pan zaproponował, że możemy nie zrobić czegoś, czego i tak nigdy byśmy nie zrobili.

– Mówi pani o groźbie embargo na loty samolotów cywilnych? – upewnił się Bender.

– Wang prawdopodobnie wyczuł, że nastroszył pan tylko pióra.

– W takim razie pokpiłem sprawę w tym punkcie.

– Jeszcze za wcześnie na ocenę. Jednocześnie mógł pan dać Wangowi argument do przekonania chińskiego rządu o potrzebie wyrażenia zgody na korytarz powietrzny z Pekinu do reszty świata... – Wyciągnęła rękę i dotknęła dłoni generała. – Bardzo mi się podobał ten tekst o „jankeskim piratacie powietrznym”. – Rozparła się wygodnie i wybuchła szczerym śmiechem, jaki nie przystoi damie. – Ależ mieli miny!

No właśnie, jakie? – zastanawiał się Bender uśmiechając się nieznacznie w odpowiedzi.

Baza Sił Powietrznych Andrews, stan Maryland, USA

Bender stał przy przednich drzwiach C-137C i czekał, aż schodki podjadą na miejsce. Wyjrzał przez okno starego Boeinga 707, który niegdyś służył jako prezydencki Air Force One i ze zdumieniem spostrzegł obok schodków samochód należący do Białego Domu. Wysiadł z niego kierowca, a po nim jeden z młodych asystentów.

– Po co nam to? – spytał Mazanę generał.

– Takie rzeczy dostaje się razem z tą robotą – wyjaśniła Hazelton. – Przyzwyczaj się pan.

To prawda, przyznał w duchu Robert. Samolot, limuzyny, pokoje dla VIP-ów, służący – wszystko za publiczne pieniądze – tak, to było bardzo kuszące; można się było od tego uzależnić. To są pułapki władzy – przypomniał sobie Bender. Jako generał, przyzwyczajony był do samochodów sztabowych i adiutantów gotowych na każde zawołanie. Jednakże ich funkcją było zwiększenie skuteczności jego działania, a nie rozpieszczanie go. Spartańska część natury generała przywróciła go do rzeczywistości. To już przesada – powiedział sobie w myślach, podczas gdy w wyobraźni mignął mu obraz Shawa otoczonego pochlebcami, młodymi asystentami, pięknymi kobietami. To nie było dla niego, Roberta Bendera.

– Niech pani rusza przodem, Mazie – powiedział, idąc tymczasem do kabiny pilotów, aby zamienić z nimi parę słów i w ten sposób powrócić do normalnego świata.

Kiedy Robert schodził po schodkach z samolotu, pani Hazelton stała przy drzwiach limuzyny drżąc z zimna.

– Mazie, niech pani wsiada! – zawołał, zły na siebie, że nie przewidział obowiązujących wszechwładnie zasad protokołu dyplomatycznego.

– Tak, sir – odpowiedziała Mazana. – Bagaż załadowany, możemy ruszać. – Teraz, zgodnie z protokołem, wsiadła pierwsza, aby piastujący wyższą funkcję Bender mógł pierwszy wysiąść. Zamieniła parę słów przez telefon z siedzącym z przodu asystentem i poinformowała:

– Pani prezydent wyjechała z Waszyngtonu organizować poparcie dla swoich propozycji podatkowych. Czeką natomiast na pana sekretarza stanu. – Hazelton wyciągnęła z teczek oprawiony w skórę notatnik i podczas jazdy oboje przejrzyli jej zapiski. Limuzyna pojechała prosto do Departamentu Stanu, zatrzymując się przed wejściem do piwnicy. Czekał tam mąż Mazany.

Wentworth Hazelton wyglądał jak typowy przedstawiciel amerykańskiego establishmentu ze Wschodniego Wybrzeża: miał nienagannie skrojony garnitur, stare, lecz starannie wypastowane buty z zadartymi czubkami i włosy przystrzyżone na podobieństwo fryzury Kennedy’ego. Był niewiele po trzydziestce – młodszy od Mazie – i uważano go za jednego z przyszłych filarów Departamentu Stanu.

– Sekretarz Francis spotkał się z chińskim ambasadorem i jest teraz wściekły – oznajmił Wentworth. – Nie wiem dlaczego, ale musi to mieć związek z waszym Paryżem. – Odprowadził ich do dużego, urządzonego z przepychem biura sekretarza. – Bądźcie ostrożni – ostrzegł.

Przywitali się z Barnettem Francisem. Kiedy nalewano herbatę, nic nie zdradzało złożości sekretarza stanu. Wentworth Hazelton usiadł z boku i przygotował czarne wieczne pióro firmy Mont Blanc.

– Cóż, generale Bender – zaczął wreszcie Francis, uznając widać, że pora wyjaśnić powód nagłego spotkania. – Jak się zdaje, działamy przeciw sobie. Kiedykolwiek wydaje mi się, że robię postęp w rozmowach z Chińczykami, pańskie negocjacje w Paryżu psują mi szyki. To musi się skończyć.

Bender nie odpowiadał, słuchając przedstawianej przez Francisza listy kłopotów.

– Z całym szacunkiem – odezwał się w końcu generał – ale Chińczycy chcą negocjować, jednocześnie zabierając kawałek po kawałku Japonii. Żądam od nich oznak dobrej woli, zamiaru przerwania taktyki „salami”.

– Nie podpisuję się pod tą całą pańską „taktyką salami”, jak ją pan nazywa. Chińczycy mają dla swoich działań uzasadnione historycznie powody. Tajwan zawsze był częścią Chin.

– Ale nie Okinawa – zauważył Bender. – Była niezależnym królestwem, aż do czasu aneksji przez Japonię w 1879.

– Biorąc pod uwagę silne elementy chińskie w kulturze Okinawy – nie ustępował sekretarz – chińskie pretensje wobec tej wyspy nie są bezzasadne. – W podobnym tonie mówił dalej o możliwości pokojowego kompromisu pomiędzy obydwojema krajami. Nagle Robert podniósł głowę, rozumiejąc, ku czemu zmierza przemowa sekretarza. Zerknął na notatnik Mazie. Było tam wypisane wielkimi literami:

MAMY KORYTARZ POWIETRZNY

– Panie sekretarzu – odezwał się generał – jak rozumiem, mamy korytarz powietrzny...

– Nie – odparł Francis. – Ale prezydent dostała wiadomość od przewodniczącego Lu. – Mazie podkreśliła słowa w swoim notatniku.

* * *

Sala jadalna w Departamencie Stanu ciągle była pełna ludzi. Kończyła się właśnie popołudniowa przerwa na herbatę. Bender siedział przy stoliku naprzeciw Mazie i Wentwortha, zastanawiając się, czy on sam i Nancy też byli kiedyś tacy jak Hazeltonowie. Ta para dbała o to, żeby zachowywać się wobec siebie oficjalnie, jak przystało na osoby zajmujące wysokie stanowiska; widać jednak było, że pod spodem skrywa się prawdziwe namiętne uczucie. Przelotne dotknięcia dłoni, ukradkowe spojrzenia, uśmieszki w reakcji na jakieś celne powiedzonko – wszystko to rzucało się w oczy. Czy po nas też tak było widać? – zastanawiał się generał.

– Dlaczego Francis zareagował z taką złością na korytarz powietrzny? – zapytał.

– Dlatego, że Departament Stanu nic tu nie wskórał – wyjaśnił Wentworth. – Dał pan sekretarzowi w prezencie przyklepaną umowę i na pana spadła cała sąsuga. Dla niego została tylko papierkowa robota.

Bender pokręcił głową, zdegustowany.

– Niech sobie bierze całą sąsugę, bylebyśmy mieli ten korytarz – powiedział.

– Ale to lokuje go w pańskim obozie – ciągnął Wentworth. – Departament Stanu podzielił się w tym przypadku na dwie frakcje. Jedna jest prochińska i naciska, aby kontynuować negocjacje; frakcja projapońska natomiast domaga się bezpośredniej interwencji.

– Wielu krótkowzrocznych, głównie niższych urzędników, popiera Chiny, ponieważ są nastawieni antyjapońsko i uważają, że ten kryzys może dać Japończykom nauczkę.

– Niezgoda w tej sprawie jest bardzo głęboka; już niemal dochodzi do wzajemnego rzucania sobie kłód pod nogi – kontynuowała Mazie.

– Zdaje się, że polityka wewnątrz departamentu kieruje polityką zagraniczną tego kraju... – skomentował Bender.

– W podobny sposób działa większa część naszego rządu – zgodził się Wentworth. – W rzeczywistości problem wygląda o wiele gorzej, niż przedstawiła to Mazie. Rozgrywa się prawdziwa krwawa walka.

Generał rozejrzał się po sali, patrząc na przyszłych dyplomatów, ćwiczących przydatne w tym zawodzie maniery.

– Nie wydaje mi się, żeby ktokolwiek tutaj znajdował się w dużym niebezpieczeństwie – ocenił. – W przeciwieństwie do naszych ludzi na Okinawie.

* * *

Kiedy prezydent nie było w Waszyngtonie, Biały Dom funkcjonował jak dobrze naoliwiony automat. Wykonywano rutynowe działania; przez pokoje sprawnie przeprowadzano wycieczki; budynek tętnił życiem. Brakowało jednak prawdziwego napięcia, iskry, ducha aktywności, który emanował zwykle z Gabinetu Ovalnego. Wiadomość, że pani prezydent wraca wcześniej, wywołała w pracownikach Białego Domu nagły skok poziomu adrenaliny. Teraz wszyscy czekali w pełnym niepokoju skupieniu na jej powrót.

Dla Bendera cała sytuacja była okazją do niezbędnego rozruszania mięśni. Poszedł do sali gimnastycznej, żeby poćwiczyć koszykówkę z Chuckiem Sanfordem – starszym z dwóch agentów Secret Service przydzielonych na stałe do jego ochrony. Fizyczna aktywność wpływała dodatnio na samopoczucie Roberta; w dodatku Sanford starał się grać tak, żeby wygrać, co podobało się generałowi. Pot spływał mu z twarzy, gdy minął agenta i ruszył na kosz. Sanford zdołał jednak zablokować mu drogę i odebrać piłkę agresywnym ruchem. Odbiegł parę kroków, po czym wykonał udany dwutakt. Piłka przeleciała przez kosz.

– Przegrywa pan o dwa. Teraz nie ma pan już szans, generale – sapnął agent. Miał rację; po chwili zaliczył kolejne dwa punkty. Kiedy wychodzili z sali, w drzwiach czekał Brian, ubrany w dres; odbijał piłkę.

– Porzucamy sobie do kosza? – zagadnął chłopak.

– Jasne, czemu nie? – odparł Bender. – Mam trochę czasu. – Skinął głową na Sanforda, żeby agent zadzwonił do sekretarki generała i polecił przełożyć jego najbliższe spotkanie. Robert wrócił z Brianem na salę, a ten wykonał parę rzutów dla rozgrzewki. Generał rzucił pierwszy raz i trafił. – Jak tam szkoła? – spytał.

– Chyba w porządku – odpowiedział syn pani prezydent. Bender czekał; wiadać było, że chłopak chce z nim pomówić. – Czy zna pan dziewczynę, która ma na imię Shalandra?

– Znam – odparł Robert, trafiając po raz drugi.

– Mówi, że chcecie ją adoptować.

– Sponsorujemy ją – uściślił Bender. – Nie wiem, czy można to nazwać adopcją. – Rzucił i trafił po raz trzeci.

– To dobrze – stwierdził Brian. – Jeden z moich kumpli mówi, że to kurwa, i że ją pieprzył.

Tym razem generał spudłował.

– Chłopcy zawsze mówią takie rzeczy – powiedział, łapiąc piłkę. Dziewięć dni! – myślał sobie. Przetrwiała żałosne dziewięć dni... – To jeszcze nie znaczy, że jest dziwką – powiedział w końcu. – Czy ten twój kumpel dał jej za to pieniądze? – Brian pokręcił głową. – Czy ty też to zrobiłeś?

Brian popatrzył na niego wzrokiem błagającym o zrozumienie. Powoli pokręcił głową.

– Ale chciałem... Chłopaki nazywają mnie pedałem, bo tego nie zrobiłem.

Cholerne szczeniaki! – pomyślał z wściekłością Robert. Chciałby powiedzieć Brianowi, że koledzy chcą dobrać mu się do skóry ze względu na jego matkę.

– Czy wszyscy uprawiali z nią seks? – spytał.

– Wszyscy tak mówią, ale ja im nie wierzę.

Bender zmusił się do śmiechu.

– Mądrze to rozegrałeś – powiedział. – Shalandra to dziewczyna o wielkich możliwościach i wielkich problemach. Jeżeli ci chłopcy, którzy mieli z nią stosunek, uważają ją za dziwkę, to są głupszy niż noga stołowa; to, co zrobili – podał piłkę Brianowi, który zamierzył się do rzutu – wcale – generał złapał znów piłkę – nie świadczy o nich zbyt dobrze. – Zrobił parę kroków w bok i trafił z daleka. – Czy mówiłeś o tym jeszcze komuś? – Znowu odpowiedziało mu powolne kręcenie głową. – Zajmę się tym. – Podał chłopcu piłkę i pozwolił mu wykonać dwutakt. – Świetnie. Chcesz zacząć uprawiać koszykówkę na poważnie?

– Zastanawiam się nad tym.

– Zrób to – poradził Bender.

– Sir – zawołał tymczasem spod ściany Sanford – przyjechała pani prezydent. Spotkanie za czterdzieści minut.

– Już idę – odparł Robert, pozwalając Brianowi zaliczyć kolejny celny rzut. Wyszli z sali. – Dobrze postąpiłeś, Brianie – powiedział jeszcze. – Zostaw seks dla kogoś, kogo będziesz kochał. Nie pożałujesz.

W pokoju sąsiadującym z Gabinetem Ovalnym czekał generał Overmeyer razem z najważniejszymi doradcami. Bender i Overmeyer skinęli głowami na swój widok, ale nie podeszli do siebie – był to znak zmienionego statusu Bendera w Białym Domu. Wokół panował ożywiony ruch; asystenci wchodzili i wychodzili pospiesznie, napędzając maszynę prezydenckiego biura. Z Gabinetu Ovalnego wyszedł najważniejszy formalny doradca pani Turner w towarzystwie Shawa; rozmawiali z ożywieniem.

Osobisty wgląd Bendera w sprawę Białego Domu był ograniczony do tego, co związane było z bezpieczeństwem Stanów Zjednoczonych. Był tylko małą częścią wszystkiego, co działo się wokół pani prezydent. Dowodził jednak i służył w wystarczająco wielu sztabach, żeby potrafić rozpoznać sztab dobrze działający. Wewnętrzny głos mówił generałowi, że Maddy Turner odcisnęła na Białym Domu własny ślad i zadomowiła się tu na dobre. Drzwi Gabinetu Ovalnego otworzyły się znowu – stała w nich Jackie Winters.

– Panowie, wasza kolej – oznajmiła.

Bender zwrócił się do jednej z sekretarek:

– Proszę poprosić w moim imieniu panią Hazelton, żeby przyszła do mnie zaraz po zakończeniu spotkania. – Wszedł do Gabinetu Ovalnego jako ostatni.

* * *

Kiedy generał wrócił do własnego biura, Mazana czekała już na niego. Skiniął na swoje dwie sekretarki, Normę i Elle, żeby podały za nim.

– Lecimy z panią Hazelton do Paryża – oznajmił. Przebiegł listę spraw do załatwienia. – Macie jeszcze jakiś pomysł? – zakończył.

– Jutro są urodziny pana żony – przypomniała Norma. – Mogę posłać jej kwiaty.

Robert sięgnął do szuflady biurka i wyciągnął z niej płaskie, prostokątne pudełko.

– Czy może to pani zapakować i wysłać razem z kwiatami? – poprosił. – Proszę także zadzwonić do mojej żony. Muszę się z nią zobaczyć przed odlotem. – Sekretarki wypadły z biura, aby wykonać polecenia. Norma wróciła po chwili, informując, że Nancy zajmuje się w szpitalu pacjentem i że zostawiła dla niej wiadomość.

– Będę się musiał spakować sam – westchnął Bender, żałując w tym momencie, że nie ma służącego. – Mazie, gryzie mnie jedna rzecz. Powiedz, dlaczego Chińczycy są teraz tacy chętni do rozmów i podpisania zgody na korytarz powietrzny?

Pani Hazelton milczała chwilę.

– W tej chwili mogę tylko zgadywać – odezwała się w końcu. – Może chcą umowy na piśmie, żeby umocnić swoją obecną pozycję?

– Coś nam tu umyka – ocenił generał. – Jeśli nie będziemy ostrożni, możemy przegrać sprawę. – Rozparł się w fotelu i starał się przypomnieć sobie, co Turner mówiła podczas spotkania. Sekretarz Francis zdał jej sprawę z wiadomości od Lu Zoulina, który prosił o podpisanie w Paryżu tajnego porozumienia, gwarantującego bezpieczeństwo międzynarodowego ruchu powietrznego. Nic w tym szczególnego nie ma – zdecydował generał. Tymczasem przyszło mu do głowy coś innego. Czy w ten sposób pieczętowali przejście przez Chiny Ludowe Tajwanu?

– Mazie, ktoś robi z nas durniów – powiedział. – Jakie ruchy wykonują w tej chwili Japończycy?

– Starają się bez powodzenia znaleźć jakieś spójne politycznie wyjście z sytuacji.

Bender patrzył przed siebie. W końcu domyślił się, o co tu chodzi.

– Niech no się pani dowie, co robią japońskie Siły Samoobrony. Tak mocno skupiliśmy uwagę na Chinach, że być może przeoczyliśmy działania trzeciego aktora w tym przedstawieniu.

– Nie sądzę, żeby Japończycy mieli zamiar rozegrać to samodzielnie – oceniła Mazana.

– Sprawdźmy, czy są w stanie podjąć działania na własną rękę. Ktoś w piwnicach CIA czy DIA musi to wiedzieć. Jeśli nie wiedzą, to niech lepiej Narodowe Biuro Rozpoznawcze skieruje nad Japonię jednego z satelitów Keyhole. – Nazwa satelity zwiadowczego Keyhole oznacza „dziurka od klucza”.

– Narodowemu Biuru Rozpoznawczemu wcale się to nie spodoba – odparła pani Hazelton. – Będą musieli zmienić pozycję satelity, żeby obserwować Okinawę. Zmiana orbity oznacza zużycie dużej ilości paliwa.

Bender zbierając się do wyjścia podsumował:

– Tak czy owak przed rozmową z Wangiem musimy dowiedzieć się, co robią Japończycy. Niech ktoś się tym zajmie. Spotkamy się na lotnisku za dwie godziny. – Spojrzał na Mazanę zachęcająco i wyszedł.

– Nie ma dla mnie nic niemożliwego, jeśli tylko mam do tego ludzi...! – mruknęła pod nosem Hazelton, biegnąc do swojego biura.

Po jej wyjściu dwie sekretarki wymieniły spojrzenia.

– Ciekawe, co też kupił żonie na urodziny?... – zagadnęła Ella, zerkając na płaskie pudełko.

– Nie nasza sprawa – zbesztła ją Norma.

– Może zapomniał odkleić cenę... wiesz, jacy są mężczyźni.

Norma zgodziła się z nią i ostrożnie otworzyła pudełeczko. W środku znajdowała się czarna, jedwabna haleczka.

– Popatrz na metkę... – szepnęła sekretarka, podnosząc prezent. Haleczka była długa, dyskretnie zdobiona i pochodziła z firmy Christian Dior. Odślaniała wdzięki, a jednak była w pewien sposób poważna; chociaż w spokojny sposób elegancka – wydawała się nieopisanie zmysłowa. – Musiał wydać na to fortunę.

– Nie chciałabym, żeby znaleźli mnie w czymś takim, kiedy umrę – oznajmiła Ella.

– Jestem pewna, że nie chciałabyś również umrzeć z powodu przyłapania cię na tym, że ją założyłaś!... – ostrzegła koleżankę Norma. Ella westchnęła. Musiała przyznać jej rację.

* * *

Bender zapinał swoją starą, wystrzępioną zieloną torbę do noszenia na ramieniu – standardowy model Sił Powietrznych. Przeleciała z nim już niezliczone tysiące mil i nadawałaby się do muzeum. Generał nie wyrzucał jej jednak przez sentymenty. Wiele razy była już naprawiana.

– Dostałam twoją wiadomość – powiedziała Nancy, wchodząc do mieszkania. Robert podniósł wzrok. Żona miała zaczerwienioną z emocji twarz, widać było, że jechała najszybciej jak mogła do domu, żeby zdążyć się z nim spotkać.

– Znowu lecę do Paryża – poinformował ją. – Nie wiem, kiedy wrócę; a musimy porozmawiać. Nie chciałem mówić o tym przez telefon. – Usiadł na krześle przy łóżku i opowiedział o Brianie i Shalandrze.

– Chłopcy w tym wieku bywają nieprzystosowani społecznie! – warknęła Nancy z wściekłością. – Są tak strasznie niedojrzali i impulsywni. – Zamachała ręką, jak

gdyby odganiała od siebie jakiegoś natarczywego owada. – Nie mogę w to uwierzyć. Takie chłopaczki i seks!

– To tkwi w genach... – próbował jakoś załagodzić sytuację Robert, zaskoczony gwałtownością reakcji żony.

– Nie opowiadaj mi tu bzdur o biologicznym podłożu ich zachowania. Czternastoletni chłopcy to pozbawione moralności półgłówki, którymi sterują gruczoły płciowe.

Bender chciał odpowiedzieć, że właśnie poparła tezę, którą krytykuje, ale w ostatniej chwili się powstrzymał. Powiedział natomiast:

– Wydaje mi się jakoś, że Brian nie skłamał. Ale lepiej sprawdź to.

– Co mam sprawdzić? – odburknęła Nancy. – Jakies szyte grubymi nićmi kłamstwa? – Spojrzała na męża błagalnym wzrokiem. – Robercie, powinienes ją zobaczyć. W szkolnym mundurku wygląda tak... tak inaczej; i wreszcie zaczęła normalnie jeść.

– Sprawdź to – powtórzył Bender. – Ja już jadę.

– Teraz muszę wrócić do szpitala.

– Przepraszam, że mnie nie będzie w dniu twoich urodzin.

– Nie pierwszy raz – zauważyła Nancy. Podniosła torbę męża, przypominając sobie, jak to kiedyś Laurie dźwigała ją do samochodu. To było tak dawno temu.

Paryż, Francja

Bender usłyszał stukot obcasów Mazie Hazelton na długo przed tym, zanim dotarła do drzwi jego tymczasowego biura, oddanego mu do dyspozycji w ambasadzie. Generał wstał, gotów jechać na spotkanie z Chińczykami.

– Niech pani wchodzi, Mazie – zawołał, nim zdążyła zapukać.

– Przez te obcasy słyhać mnie z daleka – powiedziała Mazana. – Hałasuje jak stado słoni.

– Nie, wyczułem pani perfumy.

– Akurat! – uśmiechnęła się. Rzuciła mu przed nos teczkę z pieczęcią „Ścisłe tajne”. – Właśnie nadeszło. Miał pan rację co do Japończyków. – Robert otworzył teczkę. – Zatoka Kagoshima, w południowej części wyspy Kiusiu. Trzysta pięćdziesiąt mil morskich od Okinawy. – Generał rozłożył przed sobą serię satelitarnych zdjęć przedstawiających najbardziej wysuniętą na południe z głównych wysp japońskich. – Analitycy naliczyli szesnaście niszczycieli, dwadzieścia jeden fregat i osiemnaście kutrów patrolowych dalekiego zasięgu – mówiła Hazelton. – Wszystkie mają nowoczesne środki do zwalczania samolotów i okrętów podwodnych i mogą dopłynąć do Okinawy w ciągu piętnastu godzin. Inny raport wskazuje, że Japończycy wysyłają jeszcze inne okręty nawodne w stronę Kagoshimy.

– Gdybym był Chińczykiem i stacjonował na Kumejimie, to bym się zaniepokoił – ocenił Bender.

– Toteż przypuszczam, że się niepokoją – zgodziła się Mazie. – Dlatego chcą posadzić nas przy stole rokowań, zanim Japończycy w nich uderzą.

– Mazie, potrzebujemy tego korytarza powietrznego, żeby prezydent pozwoliła nam ewakuować ludzi, zanim zaczną się strzelanina.

– Dostaniemy go. Tylko ciekawe, za jaką cenę?

– Jedźmy się przekonać – zakończył Robert.

* * *

Tłumacz wypowiadał monotonicznie kolejne słowa w ucho Bendera. Wang wygłaszał właśnie długi monolog. Robert nie rozumiał ani słowa po chińsku, jednak tempo i ton wypowiedzi brzmiały pojednawczo. W końcu nadeszła jego kolej.

– Doceniamy przychylnie rozważenie przez pana przewodniczącego Lu naszej propozycji zagwarantowania bezpieczeństwa międzynarodowego ruchu powietrznego – powiedział. – Oczywiście przekażę jego słowa naszej pani prezydent.

– Jeśli dobrze zrozumiałem – odezwał się Wang – przyleciał pan tu po to, aby parafować umowę pomiędzy naszymi rządami.

Generał pokiwał poważnie głową.

– To prawda. Jednak nie widzę przed sobą żadnego dokumentu, nie przedstawiono mi żadnych konkretnych gwarancji i mimo że zgadzamy się co do samej istoty zagadnienia, najwyraźniej potykamy się wciąż o szczegóły. – Jak na zawołanie, na stole pojawił się cienki, oprawiony w skórę dokument. Jego widok przypomniał Benderowi o ugodzie, na mocy której w ręce Chin Ludowych wpadł Tajwan. Generał przejrzał uważnie tekst, nie zdradzając niczego wyrazem twarzy. W zamian za korytarz powietrzny, Chińczycy domagali się uznania za chiński leżącego w pobliżu Tajwanu, a posiadanego przez nich *de facto*, łańcucha wysp Yaeyama, do których należy Iriomote.

– Jak pan widzi, panie generale – odezwał się chiński wysłannik – wycofamy się z Kumejimy w ciągu sześćdziesięciu dni od chwili rozpoczęcia przez Japonię poważnych negocjacji.

– Pani prezydent Turner z pewnością zechciałaby przestudiować waszą... propozycję – odparł Bender. – Jednak na razie nasze cele są bardziej ograniczone. – Po tych słowach generał wyjął amerykańską wersję ugody. Miała tylko dwie strony i głosiła, że układające się strony gwarantują bezpieczeństwo wszelkich przelotów odbywających się ponad wodami międzynarodowymi. – Uważamy to za pierwszy krok – oznajmił. – Jest to przede wszystkim wyraz wzajemnej dobrej woli, niezbędny do kontynuowania tych negocjacji.

Wang pobladł i teraz dopiero zaczęło się prawdziwe targowanie. Kiedy spotkanie zbliżało się do końca, Wang oznajmił, że nic więcej nie można zrobić. Bender spojrział na niego z udawanym smutkiem; powiedział, że zrobili wszystko, co mogli zrobić na tym poziomie, i że być może powinno się skierować całą sprawę do rozważenia przez Zgromadzenie Ogólne ONZ. Pięć minut później Wang parafował amerykańską wersję ugody. Kiedy Robert wychodził z pokoju, pani Hazelton popatrzyła na niego z głębokim szacunkiem.

– To może być jedna z najszybciej wynegocjowanych umów międzynarodowych w historii – odezwał się, jako pierwszy, generał.

– Powtarza się sytuacja z przejęciem Tajwanu – ostrzegła Mazie. – Raz im się udało i mieli nadzieję, że uda się po raz drugi. Zapłacili teraz cenę za kontynuowanie tajnych negocjacji.

– Myśli pani, że będą przestrzegać tej ugody?

– Dopóki nie zaczną się strzelaniny – odparła Hazelton.

– Zanim to nastąpi, trzeba zabrać stamtąd naszych cywilów – przypomniał generał.

Mazana milczała, dopóki nie dojechali do ambasady. Wtedy odezwała się:

– Panie generale, zyskał pan sobie osobistego wroga.

– W czyjej osobie? – zapytał zdumiony Robert.

– Wanga. Nie potrafi dotrzymać panu kroku i prawdopodobnie ma w Pekinie wielkie kłopoty. Następnym razem przyślą innego negocjatora.

– A będzie następny raz?

– Och, z pewnością.

Waszyngton, USA

Oboje jesteście równie zmęczeni, ocenił Bender. Był wczesny sobotni wieczór. Generał siedział w Gabinetce Owalnym wraz z prezydentem Turner i jej najważniejszymi doradcami. Miał już dość; wykończył go nocny lot z Paryża i długie dyskusje, wysłuchiwanie raportów wywiadu i spotkania, jakimi wypełniony był cały dzień. Teraz trzeba było podjąć decyzję.

– Pani prezydent – powiedział – najważniejsze w tym wszystkim jest, że mamy bezpieczny korytarz powietrzny. Możemy wykorzystać go do ewakuacji amerykańskich cywilów z Okinawy, a jednocześnie dostarczania tam niezbędnych zapasów, na podobieństwo mostu powietrznego do Berlina Zachodniego.

– Jednak nawet pan przyznaje, że nie można być pewnym, jak długo Chińczycy będą przestrzegać umowy i powstrzymać się od atakowania naszych samolotów – przypomniała prezydent.

– Pani prezydent – wtrącił się sekretarz obrony, Elkins – pokazaliśmy już naszą determinację, a także możliwości obrony transportowych samolotów. Chińczycy nie odważą się drugi raz.

Turner zagryzła dolną wargę, aż uświadomiła sobie, że zebrani mężczyźni przyglądają jej się uważnie, i przestała.

– Chciałabym być tego pewna. – Logika nakazywała jej wykorzystać otwarte na krótko okno i ewakuować z Okinawy tylu ludzi, ilu tylko się zdąży. Ale czy będzie to oznaka, że zamierza wycofać się z Okinawy? Czy też raczej sygnał, że będzie bronić Japończyków wszelkimi siłami? Nie chciała pokazać Chinom ani jednego, ani drugiego. A przede wszystkim, co będzie, jeśli uda im się zestrzelić któryś z samolotów? Ile kobiet i dzieci zginie z powodu pod-

jętej przez nią decyzji? Czy to po to została prezydentem? Aby posyłać niewinnych ludzi na śmierć?

Spojrzała na stojący na biurku zegar. Była za dwadzieścia dziewięć wieczór. Turner zamknęła leżącą przed nią teczkę i przycisnęła ją do piersi. Nigdy nie czuła się mniej „prezydencko” niż teraz – właśnie w chwili, kiedy miała podjąć tak brzemienną w skutki decyzję. Czekano na nią.

– Panowie, proszę szykować samoloty – powiedziała w końcu. – Decyzję przekażę wam rano. – Wstała i wyszła, pozostawiając za sobą otwarte drzwi. Jackie Winters czekała w sąsiednim pokoju, chcąc rozwikłać jak najwięcej drobnych spraw, kłopotliwych każdego prezydenta.

Madeline próbowała skupić się na tym, co mówi asystentka, jednak jej umysł zaprzątnęły słowa Elkinsa, które nagle usłyszała:

– Nie potrafi podjąć decyzji.

– Nie potrzebujemy decyzji natychmiast – odpowiedział sekretarzowi Bender. – Dajmy jej trochę czasu.

Robert wcale nie musi mnie bronić! – pomyślała z wściekłością Turner. Jestem prezydentem Stanów Zjednoczonych, a Elkins jest podległym mi pracownikiem! Złość minęła jednak równie szybko jak nadeszła i Madeline zabrała się znowu do roboty pod niemałą presją Winters. Mimo wszystko, Turner poczuła się lepiej – Robert rozumiał stojący przed nią dylemat.

– Pani prezydent – odezwała się znowu Jackie – w Akademii są kłopoty. Chodzi o kolegów Briana i o pewną dziewczynę – stypendystkę.

– Czy Brian ma w tym udział? – zapytała Madeline. Usłyszawszy, że jej syn był tylko biernym świadkiem, odpowiedziała: – Niech na razie zajmie się tym moja matka.

* * *

Stojący w rogu prywatnego gabinetu Madeline Turner zegar po babci wybił trzecią. W kominku dogasał powoli ogień. Prezydent leżała zwinięta w kłębek w rogu kanapy i wpatrywała się w rozżarzone głownie. Była niedziela, 27 stycznia, nad ranem; szesnasty dzień kryzysu. Turner nie spała od dwudziestu jeden godzin. W drzwiach pokoju stała jej matka. Weszła po cichu i usiadła koło Madeline.

– Myślałam, że może zasnąłś – powiedziała. Turner potrząsnęła tylko głową. – Aż tak źle? – spytała Maura. Martwiła się bardzo o córkę; jeszcze nigdy nie widziała jej takiej zmęczonej i zmartwionej. Madeline straciła na wadze; dres, którego używała zwykle do ćwiczeń, zwisał z jej szczupłego ciała. Przez chwilę Maura zastanawiała się, czy nie rozpocząć rozmowy o kłopotach w szkole Briana, ale pomyślała, że lepiej tego nie robić.

Turner wstała i podeszła do kominka. Dotknęła lekko dzwonek, który niedgdyś stawiała na swoim pulpicie w senacie stanu Kalifornia. Wydawało się, że od tamtych czasów upłynęły całe wieki.

– Wtedy było o wiele łatwiej – mruknęła sama do siebie. Po chwili dodała głośniej: – Domagają się ode mnie, żebym... – Przerwała. Nikt niczego się od

niej nie domagał. Przedstawiali jej tylko możliwe opcje działania. – Muszę zdecydować, czy powinnam ewakuować amerykańskich cywilów z Okinawy, czy ich tam zostawić. Jedno i drugie wiąże się z ryzykiem.

Maura знаła dobrze swoje dziecko.

– Nie chcesz być odpowiedzialna za śmierć niewinnych ludzi – powiedziała. Madeline pokiwała głową. – Nie jestem wykształconą kobietą, Maddy – ciągnęła matka. – Ale wiem, że Biblia uczy nas, że niektórzy muszą cierpieć.

– Niestety, w Biblii nie jest napisane, jak decydować, którzy to mają być.

– Jeśli musisz podjąć tak trudną decyzję, zaufaj własnej ocenie sytuacji. Nie cofaj się przed poświęceniem jednego czy dwóch ludzi, jeśli możesz ocalić przez to setki. Ale walcz o życie każdego. – Maura podniosła wzrok na córkę. – Czy będzie wojna? – spytała.

– Nie, jeśli zdołam jej zapobiec – odpowiedziała Madeline. – Połóż się spać, mamo. – Wyszła z pokoju i skierowała się do Gabinetu Ovalnego. Dyżurujący agent Secret Service podniósł wzrok i mruknął do swojego „szepcane go” mikrofonu”:

– Magic zmienia pozycję.

Na świetlnej tablicy na stanowisku dowodzenia prezydencką służbą ochrony, umieszczonym bezpośrednio pod Gabinetem Ovalnym, pojawiały się informacje oznaczające położenie prezydent Stanów Zjednoczonych. Przechodziła przez łącznik do zachodniego skrzydła Białego Domu. Po chwili zapłonęła lampka oznaczająca, że Turner weszła do Gabinetu Ovalnego. Odbyto krótką rozmowę telefoniczną i po chwili dyżurujący kucharz zaparzył świeżej kawy na wypadek, gdyby była potrzebna. Madeline nie usiadła za biurkiem, tylko zaczęła przechadzać się po pomieszczeniu, zatrzymując się w końcu przed należącym niegdyś do Kennedy’ego fotelem na biegunach. Przesunęła dłonią po szczycie oparcia, a potem zakotyssała drewnianym meblem. W końcu usiadła, zapadając w fotel i zamknęła oczy, kołysząc się powoli. Jestem taka samotna! – pomyślała. Taka samotna...

Rozdział siedemnasty

Okinawa, Japonia

Sierżant sztabowy Lancey Coltrain, młodsza kontroler stanowiska dowodzenia, która akurat miała dyżur, usłyszała, że nadchodzi jakaś wiadomość. Była to wiadomość pilna, a nadawano ją z Dowództwa Pacyfiku. Podoficer rutynowo zapisała datę i godzinę – była sobota, dziesiąta wieczorem, szesnasty dzień kryzysu. Alfanumeryczny kod nadchodził jednostajnym strumieniem, ona jednak zapisywała litery i cyfry po cztery, co stanowiło niezbędny element procedury uznawania komunikatu za oryginalny. Otworzyła książkę kodową na właściwej stronie i odszyfrowała wiadomość.

– Dzięki Bogu! – powiedziała tylko siedzącemu obok przełożonemu. Zamknęła oczy i odetchnęła głęboko, podczas gdy oficer potwierdził prawidłowe odszyfrowanie przez nią komunikatu.

– Wiadomość jest ważna – stwierdził. – Przekażę generałowi. Zaraz się tu zagotuje.

Sierżant Lancey Coltrain zrobiła wydech i zapadła w fotel. Jej szczupłe ciało drżało z ogarniającego ją uczucia ulgi.

– Najwyższy czas – powiedziała. Miała zabrać swoje dzieci do domu.

Martini odczytał rozkaz bez komentarzy, po czym oznajmił swojemu sztabowi:

– CINC PAC zarządził ewakuację. Proszę wezwać tu majora Ryana i organizować samoloty. – Skinał na podległych mu dowódców, aby wspólnie ocenić liczbę lotów niezbędną do ewakuowania dwudziestu sześciu tysięcy cywilów i zbędnego personelu. Wyglądało z grubsza na to, że trzeba będzie wykonać sto lotów, i że da się ich przeprowadzać po dwadzieścia dziennie. – Chcę, żeby zostali ewakuowani szybciej, jeśli będzie to możliwe – polecił na zakończenie.

Osiemnaście minut później przez drzwi stanowiska dowodzenia wpadł major Robert Ryan. Ubierał się w takim pośpiechu, że źle zapiął połowy mundur i teraz próbował dopasować właściwe guziki do dziurek. Martini poinformował go, że admirał kierujący Dowództwem Pacyfiku zarządził ewakuację NEO i że pierw-

szy transportowiec ma przylecieć za sześć godzin. – Chcę, żeby poleciało nim przynajmniej dwieście pięćdziesiąt osób i żeby od tego czasu co godzinę było gotowych kolejnych dwieście pięćdziesiąt.

Ryanowi na moment zabrakło tchu. Opracował już szczegółowy plan gromadzenia ludzi w punktach zbornych, przewozu autobusami do trzech centrów kontrolnych, a następnie przemieszczania do samolotów. Jednakże tempo, jakiego domagał się Martini, rujnowało ten plan całkowicie.

– Sir – odezwał się Ryan – mówiąc prawdę, po prostu nie mamy środków do przewożenia i obsługiwanego takiego mnóstwa ludzi w takim tempie. Nie sądzę, aby było to możliwe.

– Na litość boską! – sapnął zirytowany generał. – Niech pan przestanie głądzić i spróbuje coś zrobić. Jeśli nie będzie pan w stanie, proszę wtedy do mnie przyjść i powiedzieć, co konkretnie jest panu potrzebne, żeby wykonać zadanie. Jasne? – Major skinął głową, nieco oszołomiony, po czym wybiegł czym prędzej z pomieszczenia, święcie przekonany, że Martini zupełnie zatracił zdolność realistycznej oceny sytuacji. Ten człowiek postępuje irracjonalnie, pomyślał.

Gniew kipiący w Ryaniu zelżał jednak, kiedy okazało się, że stworzony przez niego system działa dobrze; a kiedy pierwsze pięć autobusów odjechało ku czekającemu C-17 Globemaster III, major był już w stanie granicznym z ekstazą. A niech go, tego Martiniego! – myślał sobie. Dokonam tego! Sześć minut później zadzwoniono z placówki dowodzenia. Telefonował generał; chciał wiedzieć, dlaczego pierwszym samolotem leci tylko dwustu trzydziestu ośmiu pasażerów.

– Dlatego, sir, że ma tylko tyle foteli – wypalił w odpowiedzi major.

– Niech wsiedzie jeszcze dziesięć osób. Nie obchodzi mnie, jak pan to robi. Mogą sobie siedzieć na kolanach albo w kabinie pilotów. – Martini wyłączył się.

– Cholera! – zaklął na cały głos Ryan. Czy nie potrafi nic zrobić tak, jak tego od niego wymagają? Udało mu się jednak sprawić, że C-17 poleciał z dwustu czterdziestoma ośmioma pasażerami na pokładzie, bez opóźnienia.

Po południu w kolejce do stanowiska kontroli, urządzonego w sali gimnastycznej bazy, czekała rodzina starszego sierżanta Ralpha Contreraza – jednego z szefów obsługi F 15. Ryan patrzył, jak Contreraz przedziera się przez tłum, aby uściskać na pożegnanie swoje dzieci.

– Kiedy wrócę, ma być posprzątane i pozmywane! – ostrzegła jego żona. Przytuliwszy się do męża zaczęła płakać, po czym, powstrzymując łzy, obiecała: – Wrócę, jak tylko będę mogła.

– Dobra – mruknął tylko zrzędlawy sierżant. Pocałował żonę i pomógł jej wsiąść z dziećmi do autobusu. To ten sam Contreraz, którego tak lubiła Laurie, pomyślał Ryan. Laurie uważała sierżanta za najlepszego podoficera spośród całej obsługi naziemnej, a może i w ogóle w bazie.

Major usłyszał za sobą zdenerwowane głosy z kolejki. Westchnął. Dlaczego ludzie nie potrafią współdziałać?

– Nikt nie zabierze moich dzieci ode mnie! – krzyczała jakaś kobieta. Ryan podbiegł do stolika, żeby zobaczyć, co się dzieje. Kolejkę blokowała sierżant

sztabowa, którą teraz niejasno kojarzył. Do jej nogi przyciskał się z całych sił trzylatek; na rękach trzymała roczne niemowlę. Ryan próbował odczytać z nazwyki nazwisko kobiety, jednak malutka dziewczynka zasłaniała ją.

– Jak się pani nazywa? – zapytał major.

– Sierżant sztabowa Lancey Coltrain.

– Pani służy w placówce dowodzenia, prawda?

– Zgadza się. Ten debil tutaj twierdzi, że nie mogę zabrać stąd moich dzieci!

– Ewakuacja NEO dotyczy tylko cywilów i zbędnego personelu – wyjaśnił Ryan. – Personel placówki dowodzenia zalicza się do niezbędnego. Przydzielimy osobę, która będzie opiekować się pani dziećmi podczas lotu.

– CINC PAC zarządził, że sama mogę stąd zabrać dzieci! – krzyknęła Lancey. – Widziałam ten pieprzony rozkaz i nikt nie może mnie powstrzymać! – Kobieta była w stanie granicznym z histerią.

– Proszę się uspokoić – powiedział ciepło Ryan. Pokazał na pobliskie pomieszczenie. – Przejdźmy tam porozmawiać.

– Nie wyjdę z tej kolejki! – krzyczała sierżant. – Odlatujemy! Mój mąż lata na F 15. Tylko jedno z nas musi tu zostać.

Starszy sierżant Contreras stojący za plecami Ryana pokręcił głową z niesmakiem. Major sobie nie radzi. Contreras znał męża Lancey, a w ogóle nieraz już widział, co się działo, kiedy małżeństwo służyło razem w US Air Force. Oczekiwali, że będą traktowani w sposób specjalny, ponieważ stanowią rodzinę. Siły Powietrzne starały się zresztą zazwyczaj iść małżeństwom na rękę, jednak kiedy zanosilo się na walkę, potrzeby lotnictwa musiały przeważać. Teraz sytuacja była właśnie taka.

– Może pomogę, panie majorze – odezwał się Contreras. – Współpracuję z mężem sierżant Coltrain.

Kobieta spojrzała na Contrerasa z wdzięcznością. On wytłumaczy wszystko majorowi. Tymczasem jednak Contreras zapytał:

– Kto został przydzielony do opieki nad dziećmi sierżant Coltrain?

Na te słowa z kolejki wystąpiła nauczycielka szkoły średniej, która zgłosiła się na ochotnika. Ta rosła kobieta o krótkich włosach i sympatycznej twarzy pracowała dwadzieścia sześć lat w szkołach dla dzieci pracowników departamentu obrony; uwielbiała zarówno swoją pracę, jak i dzieci, a także wojsko.

– Nie pozwolę, żeby jakieś stare babsko dotykało swoimi łapskami moich dzieci! – histeryzowała Lancey.

Nauczycielka przeprowadziła już w życiu tyle rozmów z rodzicami krnąbrnych uczniów, że wiedziała, kiedy najlepiej zignorować czyjś gniew. Wyciągnęła rękę i chłopczyk podbiegł do niej, znajdując ciepłe schronienie.

– Będzie ci ze mną dobrze – powiedziała do dziecka czule. Z łatwością przytrzymała go jedną ręką, podczas gdy drugą wyciągnęła wizytówkę i dała ją Lancey. – Proszę, z tyłu jest mój adres w Stanach i telefon. Proszę podać mi swój numer, to zadzwonię do pani, kiedy tylko odwiozę pani dzieci do ich dziadków. Ja mam dwoje dorosłych dzieci i jestem już babcią.

Lancey bez słowa odebrała jej swojego synka i ruszyła szybko do autobusu, ciągnąc chłopczyka za sobą.

– Nie wolno pani lecieć! – zawołał za nią Ryan. – Zapewnimy pani dzieciom właściwą opiekę.

– Straciła zdrowy rozsądek – ocenił Contreras. – Czy mam ją stamtąd wyciągnąć? – Major przytaknął i sierżant ruszył za panią Coltrain. Przez chwilę dyskutowali przy drzwiach; kobieta potrząsnęła głową, aż rozsypały jej się włosy, i kopnęła Contrerasa w nogę. – Pani mnie nie słucha! – wrzasnął Contreras, aż było go słychać z zewnątrz; wycelował groźnie palcem w czoło sierżant. – Zabieraj dupę z tego autobusu, ale już!

Lancey wygramoliła się niechętnie; pośrodku jej czoła widniało zaczerwienione kółeczko.

– Uderzył mnie! – krzyknęła żałośnie.

– Szturchnąłem panią, żeby zwrócić na siebie pani uwagę – burknął Contreras, wysiadłszy. – Kiedy mówię: wysiadać, pani ma wysiadać.

Contreras cieszył się istotnie odpowiednią reputacją. Burza emocji, która szarpała sierżant Coltrain, zaczęła teraz szybko ustępować miejsca strachowi. Zdołała jednak powiedzieć cichutko:

– Niech pan poczeka, aż mój kongresman się o tym dowie.

– Panie majorze – odezwał się do Ryana Contreras – proszę rozkazać kierowcy ruszać i niech pan wezwie żandarmów. Ta pani musi zostać aresztowana. – Lancey Coltrain otworzyła szeroko usta i zaczęła płakać.

Ryan nie wiedział, co robić. Obok stało co najmniej trzysta osób, które gapily się na nich, słyszały każde słowo i komentowały półgłosem to, co się dzieje. Musiał odzyskać panowanie nad sytuacją, zanim ludzie odgradzą nieszczęsną sierżant i zamienią się we wzburzony, niemożliwy do opanowania tłum. Nagle podjął decyzję, która okazała się dziwnie oczywista.

– Niech pani wsiada do autobusu – polecił Lancey. – Leci pani do domu. – Tłum milczał jak zaklęty.

Contreras cofnął się i przyjrzał wsiadającej kobiecie. Stał nieruchomo, dopóki autobus nie odjechał.

– Nie ma sensu jej tu trzymać – odezwał się Ryan, usprawiedliwiając swoją decyzję.

– Złożyła tę samą przysięgę co pan i ja – burknął Contreras w odpowiedzi. – I kto, u licha, przejmie jej obowiązki? Ja nie umiem. A może pan? – Po tych słowach sierżant odwrócił się na pięcie i odszedł.

* * *

Przybyłem, zobaczyłem, zwyciężyłem, pomyślał Ryan czekając, aż stanie przed obliczem generała. Jednak Martini znowu zapewne dobierze mu się do skóry. Major spojrzął na zegarek. To będzie długi dzień, uświadomił sobie.

– Pozwolenie sierżant Coltrain na odlot było decyzją błędną – oznajmił generał monotonnym głosem, nie zdradzając, że aż się w nim gotuje.

– Pomyślałem, że to najlepszy sposób na rozładowanie sytuacji, sir – wyjaśnił doktor. Nie zrobiło to jednak na Martinim wrażenia. Major wytoczył więc swój najmocniejszy argument: – Sam pan rozumie, panie generale, co by się

stało, gdyby dziennikarze dowiedzieli się, że oddzieliliśmy dzieci od obojga rodziców.

Martini zabębnił palcami w stół. Ewakuacja szła dobrze. Ryan według wszelkich kryteriów zasługiwał na pełne uznanie. Generał porównywał wagę tego faktu do znaczenia incydentu z sierżant Coltrain. Jak duże szkody dla dyscypliny i porządku spowodowało jej wypuszczenie? Dlaczego musiało się to stać akurat teraz, kiedy dyscyplina równała się przeżyciu? Przez chwilę Martini rozważał zastąpienie Ryana kimś innym, jednak szybko odrzucił tę myśl. Nie mógł poświęcić nikogo innego na zajmowanie się zadaniami przydzielonymi majorowi, a poza wszystkim doktor świetnie się spisał. Postanowił więc dać Ryanowi kolejną szansę.

– Nie zajmujemy się tym, co myśli prasa – powiedział. O mało nie wpadł w belferski ton, chcąc wyjaśnić wszystkie silne i słabe punkty współczesnych sił powietrznych, nie miał jednak na to czasu. Wygłosił więc poradę praktyczną: – Pańskim zadaniem jest dbać o to, żeby cały system funkcjonował, i do tego zgodnie z obowiązującym regulaminem. Kiedy Coltrain nazwała nauczycielkę „starym babskiem” powinien pan być zabrać ją na bok i upomnieć. Jednocześnie zyskałby pan czas na wezwanie bezpośredniego przełożonego Coltrain. Sierżant byłaby już w tym czasie odizolowana od pozostałych ludzi. Następnie mógł pan wezwać prawników, którzy przykazałoby wstrzymać wszelkie działania, a o to właśnie panu chodziło. Później złożyłby pan propozycję nie do odrzucenia: ponieważ trzeba uporządkować ten cały bałagan, jej dzieci mogą polecieć następnym samolotem. Co zrobiłaby jako matka? Trzymałaby tu dzieci w niebezpieczeństwie? Puściłaby je do samolotu, kazalibyśmy jej się zameldować i wróciłaby do swoich obowiązków. I po sprawie.

Ryan był zaszokowany sposobem, w jaki Martini potrafił manipulować z zimną krwią przepisami i ludźmi.

– A co teraz będzie? – zapytał doktor.

– Kiedy tylko samolot wyląduje w Yokocie, będą na nią czekać uzbrojeni żandarmi, którzy przywiozą ją z powrotem. Przedstawię jej wybór – albo zostanie uwięziona w barakach, albo będzie mogła powrócić do pełnienia obowiązków, a my rozpoczniemy postępowanie sądu wojennego. Możliwy zarzut to nieobecność bez przepustki. Jeśli okaże się rozsądna, zacznie współpracować i wykonywać swoje zadania, wycofam oskarżenie sądowe i zastosuję karę dyscyplinarną – kilkaset docłów do zapłacenia plus degradacja stopnia wojskowego. Jeżeli będzie zachowywać się wzorowo, mogę to nawet zawiesić. A następnym razem, jeśli zdarzy się coś podobnego, proszę użyć swojego rozumu.

Ryan pomyślał, że odwróci uwagę generała od własnego błędu, opowiadając, jak Contreras wbił Coltrain palec w czoło. Nie wspominał przy tym, że to ona pierwsza go kopnęła.

– Co z tym zrobimy? – zapytał wyzywająco.

– Contreras powinien postępować mądrzej. Jak mocno ją uderzył? – spytał Martini.

– Zobaczyłem tylko małe zaczerwienienie. Zaraz znikło – wyjaśnił Ryan. Chciał dodać, że Coltrain po wyjściu z autobusu jakby odzyskała nieco rozsądku; jednak

przyznałby w ten sposób, że fizyczne zastraszenie wpłynęło na zachowanie się sierżant, a przecież z punktu widzenia lekarza i psychiatry takie postępowanie to barbarzyństwo.

– Jest pan lekarzem i widział pan, że Contreras przynajmniej zdołał ją w ten sposób nakłonić do wyjścia z autobusu, zanim komukolwiek coś się stało. A kto wie, jak zareagowałyby, gdyby żandarmi musieli ją stamtąd wyciągać. – Generał uśmiechnął się nieznacznie. – Założę się, że wyskoczyła z tego autobusu w mgnieniu oka.

– Rzeczywiście, sir.

Martini zabębnił kolejny raz palcami w stół.

– Trzeba było posłuchać rady Contrerasa: odesłać autobus i wezwać żandar-mów. – I znów zabębnił. – Ale jednak nie powinien był jej dotykać. Pogadam z nim.

Ryan popełnił w tym momencie gruby błąd i zamiast dać spokój tematowi, skomentował wypowiedź generała:

– Sir, to nie fair. Postawi pan Coltrain przed sądem wojennym, a z Contrera-zem tylko „pogada”.

Martini przeszył go zimnym spojrzeniem. O co temu majorowi chodzi? Dobry sierżant wie, jak i kiedy pokazywać żołnierzowi swoją przewagę w przypadkach, kiedy nie ma czasu na dozwolone przepisami cywilizowane uprzejmości, obowiązujące we współczesnym społeczeństwie. Generał spróbował jeszcze raz pouczyć Ryana:

– To nie Contreras wywołał całe zajście, za to bardzo bezpośrednio przyczynił się do szybkiej zmiany sytuacji. Następnym razem proszę słuchać, co mówią pańscy podoficerowie. Zdziwiłby się pan, jak szybko potrafią rozwiązywać proble-my. – Przyjrzał się majorowi uważnie. – Mam nadzieję, że nauczył się pan przez to czegoś. Niech pan zawsze pamięta: kiedy wokół zaczynają latać kule, reguły gry się zmieniają. A teraz niech pan wraca do pracy.

Ryan wyszedł szybkim krokiem z budynku, przekonany, że Martini traci kon-takt z rzeczywistością. Gdzie on tu widział latające kule? – pomyślał.

Waszyngton, USA

– Ben – zawołała Liz Gordon do swojego kamerzysty – czy możesz wyciszyć ten cholerny bęben? – Robili w parku Lafayette’a kolejny reportaż na temat rosnącej liczby demonstrantów dołączających do samotnego dobosza. Indianin tymczasem uderzał monotonnie w bęben, stojąc koło pomnika Lafayette’a. Ben pokręcił regulatorami dźwięku i poradził Liz, żeby ustawiła się plecami do bębna, zasłaniając go i tłumiąc jego dźwięk. Pomogło. Zgromadzeni współpracowali tymczasem z dzienni-karzami, wymachując transparentami.

– Jest z nimi Pani Hydrant – zauważył Ben.

– Dziwisz się? – odparła Liz. Popatrzyła w tłum, aż wyłowiła wzrokiem przy-wódczynię demonstrantów, Quellę O’Malley. O’Malley była niską, kręłą kobie-

ta, przypominającą z figury amerykański hydrant przeciwpożarowy, występujący z reguły w czerwonym kolorze. Cierpiała na wyjątkowy brak poczucia jakiegokolwiek stylu; miała za to wielki talent do pogarszania niespokojnych sytuacji. Obecność O'Malley zawsze gwarantowała wzrost oglądalności programu, a dziennikarze wprost ją uwielbiali za ostentacyjny sposób bycia i krzykliwe, jaskrawe ubrania. Nazywali ją na swój użytek – lecz nigdy na antenie – „Panią Hydrant”. Żaden jednak z reporterów nie podejrzewał nawet, że była ona jednym z najlepiej opłacanych i najbardziej cynicznych „rozrabiaków” na amerykańskiej scenie politycznej.

– Pokaż tę jej tablicę – poleciła Gordon. Ben stanął na ławce i zrobił zbliżenie na O'Malley. Pani Hydrant trzymała tablicę z nowym tekstem:

PO PIERWSZE RODZINA.

* * *

Ben przejechał teraz obiektywem po demonstrantach, wyregulował ostrość na Liz i pokazał jej, żeby zaczęła mówić.

– Pierwsza przerwa pomiędzy śnieżycami, jakie wyludniły Waszyngton, przyniosła w jasny środowy poranek nową falę protestujących – zaczęła Gordon. – Oto mamy dziewiętnasty dzień kryzysu, który w kuluarach został już ochrzczony przez polityków „Podrabianym Kryzysem”; napięcie opada, gdyż z Okinawy ewakuuje się coraz więcej cywilnych Amerykanów i rodzin wojskowych. Jednocześnie do Okinawy został przerzucony swoisty most powietrzny, na podobieństwo dawnego mostu do Berlina Zachodniego czy też bośniackiej operacji „Przywrócić Nadzieję” – samoloty transportowe dostarczają na wyspę niezbędne zapasy.

Do dobosza pokoju i demonstrantek na rzecz praw kobiet dołączyła nowa grupa. Teraz Ben skierował kamerę na samą tablicę, trzymaną przez O'Malley, bez pokazywania Pani Hydrant.

– Troska o rodzinę jest odpowiedzią na gorzkie doniesienia o groteskowym wprost wydarzeniu – ciągnęła Liz. – Pewna sierżant została siłą oddzielona od swoich dzieci podczas ewakuacji rodzin wojskowych z Okinawy. Jak dotąd zarówno Biały Dom, jak i Pentagon odmówiły skomentowania tego incydentu. Mówiła Elizabeth Gordon, CNC News, w relacji na żywo spod Białego Domu.

Ben opuścił kamerę systemu Betacam.

– Hydrant idzie w naszą stronę – zameldował. – Chcesz mieć z nią wywiad?

– Nie tym razem. Chodźmy. – O'Malley spojrzała groźnie na umykającą parę reporterów. Była to kolejna osobista zniewaga, jaką dołączyła do swojej wciąż wydłużającej się listy.

Turner wyszła z Sali Gabinetowej i skierowała się do Gabinetu Owального. Tuż za nią kroczyli wiceprezydent i Jackie Winters; Shaw włókł się w tyle.

– Spóźnia się pani – poinformowała Jackie. – Ma pani tylko dziesięć minut na spotkanie z doradcami do spraw bezpieczeństwa, przed odjazdem na przemówienie podczas lunchu w Amerykańskim Stowarzyszeniu Bankierów. Mówi tam

pani o reformie podatkowej przez dwadzieścia minut. Przemówienie jest gotowe, podobne w treści do tego, jakie będzie pani wygłaszała jutro w Seattle.

– Przejrzą je po drodze – rzuciła prezydent i weszła do Gabinetu Ovalnego. Czekali tam na nią Bender, Elkins i DCI, czyli dyrektor służb wywiadowczych. Winters odbiła do swojego biurka; Kennett i Shaw także weszli i zamknęli za sobą drzwi. – Cóż, panowie – zaczęła Turner, siadając w bujanym fotelu koło kanap – czy nadeszły dzisiaj jakieś dobre wiadomości?

– Bez zmian – odparł krótko szef wywiadu.

– Dziś mamy trzeci dzień ewakuacji – zaczął sekretarz Elkins – i wyprzedzamy plany. Do tej pory Okinawę opuściło ponad piętnaście tysięcy członków rodzin żołnierzy oraz cywilów. Powinniśmy zakończyć całą operację w ciągu czterdziestu ośmiu godzin.

– A ten incydent z sierżant Coltrain?

– Potraktujemy to jako rutynowy przypadek wyegzekwowania dyscypliny wojskowej – odpowiedział Elkins. – Jeśli Coltrain wróci do służby, Martini wycofa oskarżenie i ukarze ją karą pieniężną oraz degradacją. Niestety, na razie sierżant sprawia kłopoty i odmawia powrotu do swoich obowiązków. Stanie wobec tego przed sądem wojskowym.

– Twierdzi także, że była napastowana fizycznie przez starszego stopniem podoficera – dodał Sam Kennett.

– Kiedy wreszcie ci wojskowi nauczą się zachowywać? – westchnęła Turner.

– Według relacji świadków – włączył się w rozmowę Bender – wsiadła bez zezwolenia do autobusu z ewakuowanymi. Podoficer rozkazał jej wysiąść, a wtedy kopnęła go. Odpowiedział na to wpychając jej palec w czoło i krzycząc. Wtedy wysiadła.

– Przypuszczam, że jest od niej o sto funtów cięższy... – mruknęła prezydent.

– Nie powinna była znaleźć się w tym autobusie – przypomniał Bender. – I wstrzymywała cały lot. Oficer kierujący ewakuacją nie powinien był w ogóle...

– Po pierwsze, dlaczego my na ten temat dyskutujemy? – przerwała mu Turner.

– Omawiamy to, ponieważ ktoś podburza demonstrantów i opłaca dziennikarzy, żeby naginali informacje – odpowiedział Sam Kennett – a oni postanowili narobić wokół tej sprawy jak najwięcej szumu.

– Sprawa wymyka nam się spod kontroli – wtrącił Shaw. – Musimy ją jak najszybciej załagodzić.

– Jakież pomysły? – zapytała prezydent. Słuchała, aż w drzwiach pojawiła się Jackie Winters, trzymając zimowy płaszcz i szalik. Madeline podjęła decyzję i poleciła:

– Niech Pentagon wypuści informację prasową o wycofaniu wszelkich oskarżeń przeciwko sierżant Coltrain. I ma zostać przewieziona do swoich dzieci. – Spotkanie się zakończyło. Mężczyźni wstali, a Turner wyszła.

– Cóż – odezwał się jako pierwszy Kennett – to rozwiązuje problem.

– Czyżby? – zaprotestował Bender.

Morze Wschodniochińskie

Ryan oparł się o czerwone nylonowe taśmy, z których składał się fotel dla skoczek spadochronowego. Słuchał jednostajnego warkotu turbośmigłowych silników czterosilnikowego C-130 Hercules. Jest piątek rano, pomyślał major. Prawie dolecieliśmy do domu. Uniósł się nieco i wyrzwał przez niewielki iluminator. Słońce już wstało; można było dostrzec ciemną masę wyspy Yoron, leżącej na północ od Okinawy. Doktor wracał z medycznej misji ewakuacyjnej do bazy lotniczej Yokota, w Japonii. Kiedy wyląduje, na Okinawie rozpocznie się piąty – oby ostatni – dzień ewakuacji. W gruncie rzeczy Ryan nie był już do niczego potrzebny, ponieważ cała operacja funkcjonowała teraz niczym dobrze zaprogramowany automat.

Coraz częściej doktor nie miał nic do roboty; do Yokoty polecał z sześcioma pacjentami szpitala, przypiętymi do noszy. Martini wysłał go także po to, żeby sporządził raport oceniający organizację odbioru ewakuowanych w Yokocie.

– Sir – odezwał się dowódca ładowni – proszę zapiąć pas. Za kilka minut lądujemy. – Ryan wyprostował się, delektując się tą chwilą. Jeszcze jeden dzień, myślał sobie. Ja to zorganizowałem.

Kiedy hercules zatrzymał się na płycie lotniska, czekały już na niego dwa autobusy z rodzinami żołnierzy i cywilami. Ryan, towarzysząca mu pielęgniarka i sierżant przystanęli i patrzyli, jak z autobusów wysypują się dzieci i wbiegają po tyłnej rampie do wielkiego transportowca.

Major machinalnie sprawdził listę pasażerów. Odlatywały kolejne dziewięćdziesiąt cztery osoby.

– Szczęściarze – mruknął sierżant. Doktor przyznał mu rację. Wsiedli do jednego z pustych autobusów i odjechali. Śmigła C-130 zaczęły obracać się coraz szybciej. Kierowca jechał ku głównej części bazy; zbliżali się właśnie do wzgórza Habu.

– Sir – odezwał się sierżant – czy możemy obejrzeć start herculesa? – Ryan skinął głową i kierowca wjechał autobusem na wzgórze.

Transportowiec C-130 Hercules, który właśnie kołował, został wyprodukowany przez koncern Lockheed w 1969 roku. Dźwigał ładunki i żołnierzy podczas wojny wietnamskiej, potem w czasie inwazji na Grenadę w 1983, Panamę w 1989, później służył podczas wojny w Zatoce Perskiej w 1990, a także w operacji bośniackiej w 1996. Wylatał już ponad czterdzieści tysięcy godzin. Dobrze służył amerykańskim siłom powietrznym; dawno już przekroczył okres eksploatacji, na jaki został zaprojektowany.

Ryan wiedział jednak tylko tyle, że dopiero co polecał nim z sześciorgiem chorych do Japonii, wrócił na Okinawę, a teraz transportowcem leciało kolejnych dziewięćdziesięciu czterech ewakuowanych. Doktor wysiadł z autobusu i oparł się o barierkę na szczycie wzgórza. Patrzył na czterośmigłowego olbrzyma, jak toczy się po pasie i odrywa od ziemi, rozpoczynając tego wspaniałego, tropikalnego poranka kolejną z niezliczonych rutynowych misji. Hercules wspiął się na wysokość pięciuset stóp ponad powierzchnię Morza Wschodniochińskiego, po czym zakręcił, aby przyjąć właściwy kierunek lotu.

Wtedy właśnie pękł główny dźwigar lewego skrzydła maszyny. Przyczyną awarii było zmęczenie materiału, wywołane wieloletnim użytkowaniem. Skrzydło złamało się pomiędzy silnikami numer jeden i dwa. Ciągłe kręcące się śmięło wraz z silnikiem i większą częścią skrzydła przekreśliło się i zaczęło odpaść. Ryan patrząc na to stał jak wryty. Maszyna skręciła płasko w lewo, przyhamowana nagłym wzrostem oporu powietrza z tej strony; słychać było, że jeden z silników ryknął na maksymalnych obrotach. Skrzydło ciągle odpadało, a jeden silnik pracował głośniejsze niż inne, gdy samolot uderzył kadłubem w morze, wzbijając ogromną fontannę wody. Fala zasłoniła na dłuższą chwilę widok. Pierwszą konkretną myślą doktora było, że znajdujący się na pokładzie ludzie przeżyli i trzeba będzie spróbować ich wszystkich zabrać, zanim maszyna utonie. Niestety, po chwili zobaczył tylko wysoki statecznik pionowy, sterzący z wody niczym płetwa rekina.

Doktor opadł na kolana i usiłował złapać oddech. Nie udało mu się.

Ryan znał ten zapach: węglan amonu i roztwór amoniaku – sole trzeźwiące.

– Nic się panu nie stało? – zapytała pielęgniarka. Major pokręcił głową, odzyskując powoli przytomność. Leżał na ziemi, koło metalowej barierki na wzgórzu. Pielęgniarka i sierżant, z którymi przedtem przyleciał pochyłali się nad nim. Musiał zemdleć.

– Co z tym herculesem? – wymamrotał z trudem.

Pielęgniarka patrzyła tylko na niego, bojąc się cokolwiek powiedzieć. Podniosła prawą rękę, w której nadal trzymała sole trzeźwiące, i wykonała nieokreślony gest w kierunku morza. Ryan spróbował wstać, opierając się o pomocną barierkę. Powierzchnia wody była gładziutka, nie pływało po niej nic; zupełnie jakby ten samolot nigdy nie istniał. Słychać było wyjące syreny. W stronę miejsca, gdzie zdarzyło się nieszczęście, płynęła szybko motorówka.

– Dlaczego?... – wyszeptał doktor. To wydawało się bez sensu.

* * *

Martini stał na środku stanowiska dowodzenia ze specjalnym awaryjnym telefonem komórkowym przy uchu. Wypadek, który przed chwilą się zdarzył, był pierwszą naprawdę tragiczną sytuacją, jaka ich spotkała. Generał słuchał, podczas gdy ze skrzydła składano kolejne meldunki o katastrofie. Lotnicy byli dobrze wyszkoleni, jednak żadne ćwiczenia, choćby najbardziej wszechstronne, nie są w stanie zagwarantować prawidłowej reakcji w przypadku rzeczywistego zagrożenia. Słychać było napięcie w głosach relacjonujących, chociaż na szczęście nie panikę. Przynajmniej tym, którzy zostali na ziemi, nic złego się nie stało. Martini, z wysiłkiem powłócząc nogami, podszedł powoli do stanowiska koordynacji transportu powietrznego. Dyżurny sierżant popatrzył na niego błędnym wzrokiem; miał zaczerwienioną, ściągniętą twarz.

– Proszę odetchnąć głęboko parę razy – powiedział generał. – Pomaga. Sierżant rzeczywiście wziął głęboki oddech.

– Nic mi nie będzie, sir.

– Wiem. – Martini ruszył dalej po sali, starając się zebrać na siebie całe napięcie i przywrócić podwładnych do rzeczywistości. W końcu znalazł się przy stanowisku kontroli.

– Wysłaliście wszystkie niezbędne komunikaty? – zapytał kontrolerów.

– Tak jest – odpowiedział ich przełożony. Zawahał się. – Sir; na pokładzie tego herculesa była sierżant sztabowa Lancey Coltrain... – dodał.

– Cholera! – zaklął generał. – Dajcie mi CINC PAC-a na telefonie kodującym. Odbiorę w kabinie operacyjnej. – Po chwili dorzucił: – Chcę też jak najszybciej porozmawiać z dowódcą męża Coltrain. Poza tym sprowadźcie mi tu majora Ryana. – Rozmowa z naczelnym dowódcą sił Pacyfiku była krótka. Sierżant sztabowy Donald Coltrain będzie mógł towarzyszyć zwłokom swojej żony w locie do Stanów, natychmiast, kiedy będzie to fizycznie możliwe.

Kilka minut później do głównej sali placówki dowodzenia wszedł Ryan, wciąż chwiejąc się na nogach. Podszedł do kabiny operacyjnej i zapukał w szklane drzwi. Martini machnął na niego ręką i nalał sobie kawy.

– Nie wiem jak pan, ale ja potrzebuję kawy – zagadnął generał pokazując palcem na krzesło. Ryan usiadł. – Napije się pan? – Doktor z wdzięcznością przyjął propozycję. Martini podał mu kubek gorącego, czarnego napoju.

– Widziałem to – odezwał się Ryan. Generał skinął głową i słuchał w milczeniu, podczas gdy doktor plastycznie opisywał katastrofę. Starał się hamować świeże emocje, ściskając kubek obiema dłońmi. Powiedział między innymi o silnikach i o tym, jaki dźwięk wydawały.

Martini naszkicował schemat herculesa widzianego z góry i dodał poszarpaną linię pomiędzy lewymi silnikami. Zakreślił wewnętrzny.

– Zdaje się, że pilot dał maksymalne obroty drugiego silnika i wyłączył pozostałe dwa. Próbował w ten sposób wyrównać samolot i odzyskać panowanie nad nim. Dlatego zresztą nie zwalili się na bok. – W głosie generała słychać było respekt dla zmarłego pilota. – Walczył do samego końca. Niech pan to zapamięta.

– To ja kierowałem NEO – odezwał się teraz Ryan. – Kierowałem tą operacją – powtórzył – i byłem odpowiedzialny za wydostanie stąd tych ludzi. – Głos mu drżał. – Zginęły dziewięćdziesiąt cztery osoby. Dziewięćdziesiąt cztery...!

Martini odezwał się teraz cicho, tonem zwykłego strapionego człowieka. Surowy generał gdzieś zniknął.

– Dziewięćdziesiąt dziewięć, bo jeszcze załoga. Ale niech pan patrzy na całość. Ponad dwadzieścia tysięcy ludzi jest teraz bezpiecznych dzięki pańskiej pracy. A tych sześcioro, których odwoził pan do Yokoty?

– Każdy lekarz mógłby to zrobić – mruknął Ryan.

– Ale p a n zrobił. Pan zrobił to wszystko.

Do pomieszczenia wszedł dowódca komórki awaryjnej.

– Panie generale... – zaczął i przerwał, niezdolny dokończyć meldunku. Podobnie jak Ryan, ledwie panował nad sobą. – Sir... – Martini czekał spokojnie, nie chcąc bardziej go denerwować. Nie była na to pora. W końcu przybysz zdołał wykrztusić: – Sir, nikt nie przeżył katastrofy. W wodzie są rekiny.

Major złapał haust powietrza i zakrył twarz dłońmi.

– Ogon... widziałem ogon herculesa w wodzie. Wyglądał jak płetwa rekina.
– Co za bzdury! – warknął teraz generał. – To był ogon samolotu. Nic więcej.
Doktor nie był w stanie podnieść oczu na swojego dowódcę.

– Na pokładzie było trzydzieścioro ósmioro dzieci – mówił. – Widziałem listę pasażerów. Widziałem, jak wsiadały.

Martini sięgnął po swój telefon i uruchomił radiowęzeł.

– Proszę wszystkich o uwagę – powiedział. Jego głos odbił się echem po pomieszczeniach budynku, a wszystkie twarze na stanowisku dowodzenia zwróciły się ku niemu. – Zameldowano mi właśnie, że nikt nie przeżył katastrofy. Będziecie teraz słyszeć różne wstrętne plotki; niektóre z nich będą nawet prawdziwe. Jednak nie poddawajcie się im; patrzcie dalej niż sięga plotka, poszukujcie prawdy. A prawda jest taka, że otrzymaliśmy ciężki cios, i to w sposób, którego nikt z nas nie oczekiwał. Cios dotknął naszych ukochanych, naszych najbliższych. Nie dopuszczajcie do siebie myśli, że ten wypadek nie miał nic wspólnego z sukinsynami, którzy nas blokują. To z ich powodu członkowie naszych rodzin zginęli. Nie zapominajcie tego nigdy. Mamy teraz pracę do wykonania. Wykonajmy ją więc. – Generał wyłączył radiowęzeł i odłożył telefon na stół.

W tej chwili w Ryanie obudził się zawodowiec. Doktor wiedział, o co chodzi Martinemu. Starał się zdjąć ze swoich ludzi wszelkie poczucie winy lub zbyt szeroko pojęte poczucie odpowiedzialności, jakiego mogli doznawać w związku z katastrofą. Próbował przerzucić winę na nieprzyjaciela. Generał przyjrzał się Ryanowi uważnie.

– To nieprzyjaciel ich zabił, doktorze – oznajmił. – Nie pan, nie zmęczenie materiału, nie bezduszny przypadek. To oni doprowadzili do tej sytuacji, nie my. Mam nadzieję, że wleje to w pana serce trochę nienawiści.

Major próbował wydobyć się jakoś z ogarniającej go rozpacz.

– Dlaczego oni? – jęknął. – Dlaczego to oni, a nie ja? Chwilę przedtem wysiadłem z tego samolotu. Dopiero co nim leciałem!

Lata niedobrych doświadczeń nauczyły Martiniego odpowiedzi na pytanie Ryana. Czy doktor będzie w stanie ją zaakceptować?

– Dlatego, że pana akurat tam nie było.

Ponad śródkowym zachodem USA

Bender spał, wyciągnięty wygodnie na rozkładanym fotelu w tyle prezydenckiego Air Force One. Miał za sobą długi dzień; podróżowali tak od wczesnego ranka. Teraz był już wieczór, czwartek. Prezydencki samolot wiozł Turner z powrotem do Waszyngtonu. W pewnej chwili jedna z pięknych asystentek Shawa obudziła generała delikatnie i zapytała, czy mógłby pójść do sali konferencyjnej na spotkanie z szefem gabinetu pani prezydent. Bender wstał, poprawił starannie krawat i włożył marynarkę. Wolałby mieć na sobie mundur, jednak w cza-

sie gdy służył za prezydenckiego doradcę do spraw bezpieczeństwa narodowego, miał bezpłatny urlop z wojska. Będzie więc nosił ciemny garnitur, białą koszulę i krawat.

– Właśnie to otrzymaliśmy – odezwał się bez żadnych wstępów Shaw, podając generałowi długą wiadomość.

Bender włożył okulary. Kiedy czytał, ogarnęła go gorycz, jakiej doznawał już nieraz.

– Czy prezydent wie? – zapytał.

– Nie. – Shaw potrząsnął głową. – Może będzie najlepiej, jeśli pan jej to powie. Jest w swoim gabinecie.

Richard zaczął dobierać w myśli odpowiednie słowa, którymi opisie Turner katastrofę. Zdarzyła się niecałe dwie godziny temu, a więc na Okinawie było wtedy tuż po wschodzie słońca następnego dnia. To będzie długa noc, pomyślał. Zapukał do gabinetu prezydent. Zapaliło się zielone światelko, odliczył więc do trzech i wszedł. Madeline odpoczywała przy oknie na jednym z dwóch ustawionych naprzeciw siebie miękkich, lotniczych foteli.

– Proszę, niech pan zamknie drzwi – odezwała się. W kabinie nie było nikogo więcej. Bender usiadł naprzeciw prezydent i pochylił się naprzód, składając dłonie pomiędzy kolanami.

– Coś się stało, Robercie?

– Tak, pani prezydent – zaczął. – Na Okinawie rozbił się hercules wiozący dziewięćdziesięcioro czworo ewakuowanych i pięcioro członków załogi. Wśród pasażerów było trzydzieścioro ośmiorgo dzieci.

Madeline wyprostowała się i zamrugała oczami, chcąc powstrzymać napływające łzy.

– Czy ktoś przeżył? – zapytała.

– Nie, pani prezydent. – Słowa uwięzły generałowi w gardle. Jesteś taka piękna, pomyślał sobie. I taka krucha, tak bardzo bezbronna... Odrzucił od siebie te myśli. Turner była także prezydentem Stanów Zjednoczonych i jego dowódcą. Miał obowiązek powiedzieć jej o wszystkim. Kontynuował więc: – Samolot spadł zaraz po starcie. Świadkowie mówią, że lewe skrzydło urwało się w połowie. Pilot zachował częściowe panowanie nad maszyną, która spadła płasko do morza. – Zawahał się teraz, nie mogąc znaleźć odpowiednich słów. Pomyślał, że może lepiej będzie, jak Turner sama to przeczyta.

– Niech pan mówi – poprosiła go. Widać było, że wiadomość ogromnie ją wzburzyła, odezwała się jednak spokojnym, niemal opanowanym tonem: – Muszę znać prawdę.

– C-130 Hercules to górnopłat. Natychmiast zatonął do poziomu skrzydeł, pływając tak przez kilka minut. Najwyraźniej dowódca ładowni zdołał wydostać pewną liczbę ludzi, którzy przeżyli upadek, na skrzydło, poprzez właz w górnej części kadłuba. Wtedy samolot zatonął. W wodzie były rekiny i rozszarpały ocalonych.

– O Boże! – szepnęła prezydent. Pochyliła się naprzód, krzyżując ramiona na piersi, jak gdyby chciała utulić siebie samą; niemal zetknęła się czołem z twa-

rzą Bendera. – To moja decyzja ich zabiła, moje rozkazy!... – powiedziała. Zaczęła powoli kołysać się w przód i w tył. W końcu przestała, podniosła wzrok i uniosła ręce. – Co ja powiem ich rodzinom?!...

Trzęsła się cała; generał wyciągnął więc rękę i dotknął jej dłoni. Ten nieoczekiwany gest był tak niesłychany w świetle obowiązujących zasad, tak arogancki, że Bender sam poczuł się zaszokowany własną zuchwałością. Jednak nagle stało się tak, że Bender trzymał jej obie dłonie.

– Powie im pani prawdę, pani prezydent – odpowiedział na retoryczne pytanie Madeline.

– Osobiście zadzwonię do wszystkich...

– Może to dobry pomysł; ale dopiero kiedy poznają prawdę. Kiedy minie pierwszy szok – ocenił Bender.

Madeline przestała się trząść, nie wyzwała jednak rąk.

– Nie wiem, czy będę w stanie to zrobić – powiedziała.

– A ma pani wybór?

– Nie, chyba nie mam... – Mówiła już normalnie, ale nadal z rękami w dłoniach Richarda. Generał czuł ciepło i delikatność tych rąk... aż za mocno. – Wyobrażam sobie ich twarze – szepnęła prezydent – okaleczone rodziny, stracone marzenia... – Urwała. W końcu oznajmiła: – Robercie, to ja jestem odpowiedzialna za śmierć ich wszystkich.

– Pani prezydent, i tak musi pani to zrobić – odparł tylko.

– Łatwo panu powiedzieć...

– Nigdy nie dźwigałem takiej odpowiedzialności jak pani, ale musiałem już nieraz oznajmiać rodzinom, że ich najbliżsi zginęli na posterunku. I musiałem dzielić z nimi ich żalobę, ich ból. To nigdy nie jest łatwe. – Teraz Turner zabrała ręce i wyprostowała się, splatając dłonie przed sobą. – Większość dowódców musi z tym żyć – uświadomił ją generał.

– A ja jestem naczelnym dowódcą ich wszystkich... – dodała Madeline.

– Tak jest, pani prezydent.

– Nigdy dotąd nie zdawałam sobie sprawy, co to tak naprawdę znaczy – stwierdziła Turner.

– Nikt nie zdaje sobie z tego sprawy, dopóki czegoś takiego nie przeżyje – odpowiedział Richard.

– Wątpię, czy i teraz do końca to rozumiem – przyznała się. Nacisnęła guzik interkomu umieszczony w poręczy fotela. – Patricku, bardzo proszę, niech pan zbierze reporterów w głównej kabinie. Wygłoszę oświadczenie na temat katastrofy.

– Pani prezydent – odezwał się głos Shawa – czy nie lepiej byłoby z tym zaczekać?

– Niech pan zrobi to zaraz – poleciła i wyłączyła się. Oparła się o fotel i popatrzyła na Bendera. Po dłuższej chwili zapytała: – Czy jest możliwe wydobycie pozostałych ciał z samolotu?

– Tak. Prawie na pewno. Jest jeszcze jedna rzecz, którą pani prezydent powinna wiedzieć. Na pokładzie tego samolotu była sierżant sztabowa Lancey Coltrain.

- Czy jej dzieci nie zostały ewakuowane wcześniej?
- Tak jest, pani prezydent. Jeśli się nie mylę, są już w tej chwili w Stanach. Turner wstała i podeszła do drzwi. Generał podniósł się i ruszył za nią.
- Nie będziemy mówili o tych rekinach, do czasu, aż wydobyte zostaną wszystkie ciała i zakończone śledztwo. – Wbiła wzrok w twarz Bendera. – Chyba że uważa to pan za polityczny przekręt.
- Nie, pani prezydent. – Richard pokręcił głową. – To po prostu oszczędzi ludziom większych cierpień.

Rozdział osiemnasty

Waszyngton, USA

Generał Bender obudził się raptownie, przekręcił się na bok i machinalnie spojrział na zegarek. Miał takie stare przyzwyczajenie, z którego Nancy poprzysięgła sobie go wyleczyć, kiedy już mąż przejdzie na emeryturę.

– Jest sobota – mruknęła, budząc się. – Święto Obsługi Naziemnej. Czy politycy przypadkiem dzisiaj nie świętują? Nie masz wolnego dnia?

– Chyba pomyliłaś z pierwszym kwietnia – skwitował Robert.

Nancy przekręciła się na bok i przytuliła się do pleców męża.

– Ciągłe nie mogę uwierzyć, że trzymałeś za ręce panią prezydent – powiedziała.

– Samemu trudno mi w to uwierzyć – przyznał Bender. – W tamtym momencie wydawało mi się to czymś, co należało zrobić. Chwila była naprawdę naładowana emocjami.

– Skoro już mówimy o emocjach – zamruczała Nancy – to bardzo podoba mi się ta hałeczka... – Przeciągnęła nogą wzdłuż nogi Roberta, czując, że jedwab unosi się na jej udzie i opada z niego. Poczowała, że ciało męża reaguje na jej ruch. Poranki były zawsze udane pod tym względem. Niestety, zadzwonił telefon. – Cholera!... – mruknęła pod nosem Nancy. Bender sięgnął po słuchawkę i słuchał bez słowa. Mięśnie jego pleców napięły się. Nancy westchnęła. Nic się nie zmieniło – Robert był już zupełnie skoncentrowany i właśnie zaczynał reagować na kolejną sytuację kryzysową w państwie. Usiadła i sięgnęła po szlafrok. – Bez ciebie świat nie może się kręcić nawet przez jeden dzień!... – skwitowała z niezadowolaniem.

Generał odchrząknął i wytoczył się z łóżka.

– Dzwonili z Białego Domu – poinformował. – Przewodniczący poprosił o spotkanie z prezydent dzisiaj rano. Muszę na nim być.

– O co tym razem chodzi Tennysonowi? – zagadnęła Nancy.

– Pewnie o to samo, co zwykle. O Turner – wyjaśnił Robert. Poszedł do łazienki wziąć prysznic i ogolić się. – A co z Shalandrą? – rzucił.

Nastąpiła dłuższa pauza.

- Rozmawiałam z jej psychologiem w Akademii. Nie jest dobrze.
- Chłopcy? – zagadnął generał.
- Wiesz, jacy są chłopcy. Jeden z tych gnojków nazwał ją „czarną pizdą”, a ona jego w odpowiedzi „pierdolonym białym skurwysynem”. Niezależnie od tego złożył jej propozycję seksualną.
- Słyszał o jej przeszłości?
- Nie, oczywiście, że nie. Ale sprawa zaszła za daleko. Ściągnęła mu spodnie i podrapała jądra. Na tym się skończyło.
- Czy Brian brał w tym jakiś udział? – zapytał Robert, skończywszy się ubierać.
- Raczej nie. Był w pobliżu, kiedy się zaczynało, ale potem odszedł.
- To syn prezydent – przypomniał Bender. – Niepotrzebne nam kłopoty z tym związane.
- Wiem. Ale kto zawsze przegrywa, kiedy jakiś biedny czarny dzieciak wda się w awanturę z bogatym, rozpieszczonym białym smarkaczem? – zapytała retorycznie Nancy.
- A które z nich zwykle zaczyna? – zauważył jej mąż.
- To nie była wina Shalandry.
- Nie wydaje mi się, żeby to się udało – ocenił generał.
- Uda się, Robercie, zobaczysz. Daj jej choć cię szansę.
- Muszę już iść. Zadzwonię z biura – zakończył rozmowę Bender.
- Będę w szpitalu... – Nancy miała ochotę płakać. Poranek zaczynał się tak dobrze, a potem wszystko diabli wzięli. Powróciło napięcie; sprawy, którym oboje służyli, weszły sobie w drogę. Co się z nami dzieje? – pomyślała.

* * *

Sztabowy samochód dowiózł Bendera do południowego portyku Białego Domu. Młody człowiek w ciemnym garniturze otworzył drzwiczki wozu. Słychać było dudnienie bębna niosące się ponad parkiem Lafayette’a.

- O której rano zaczynają bębnić? – spytał Robert.
 - Bębnią przez całą dobę, na okrągło, sir – wyjaśnił asystent. – Od północnej strony jest jeszcze głośniejsze. Ale przynajmniej w budynku prawie nie słychać.
 - Czy generał Overmeyer już przyjechał?
 - Jeszcze nie, sir. Według planu ma być za piętnaście minut.
- Wartownicza w mundurze US Marines, stojąca przed wejściem, zasalutowała i otworzyła Benderowi drzwi. Nieświadomie generał obrzucił panią kapral wzrokiem od stóp do głów, dokonując czegoś w rodzaju pobieżnej inspekcji. Jej mundur był w nieskazitelnym stanie, stała prościutko, a jednak jakiś podskórny instynkt ostrzegł Roberta, że coś jest nie w porządku. – Przystanął i powiedział: – Dzień dobry, pani kapral. – Tak jak się spodziewał, kobieta wyprostowała się jeszcze bardziej, jeśli było to w ogóle możliwe, i odpowiedziała gromko:
- Dzień dobry, sir!

Bender dostrzegł nerwowy tik powieki w kącie oka kapral; wychwycił także szczególny ton w jej głosie.

– Jak długo tu pani stoi? – zapytał Robert.

– Około godziny, sir.

– Czy ten bęben nie denerwuje pani?

– Nie, sir.

– Osobiście mam ochotę nadziać ten bęben na łeb faceta.

– Z radością pomogłabym panu generałowi.

– Dobra odpowiedź, żołnierzu – zakończył Bender. Wiedział już, co się dzieje.

Nieustanne bicie w bęben powodowało w ludziach narastające napięcie; niektórzy już ledwie panowali nad sobą, inni radzili sobie z tym lepiej. Generał porównał w myśli to zjawisko do wyczerpania walką. Ruszył do wschodniego skrzydła Białego Domu, gdzie znajdowały się biura zajmowane zwykle przez Pierwszą Damę, czyli żonę prezydenta USA. Podobnie jak cały Biały Dom, wschodnie skrzydło było utrzymywane w nienagannym stanie, a czystość można by sprawdzać w białych rękawiczkach o każdej porze dnia i nocy. Jednakże z powodu braku Pierwszej Damy w dotychczasowym tego słowa znaczeniu nie działo się tam teraz nic szczególnego, pracowali tylko ludzie zajmujący się utrzymaniem samego Białego Domu. Generał minął puste pomieszczenia i wszedł do Biura Wojskowego. Zobaczył siedzącego przy biurku kapitana marines.

– Czy pan jest oficerem dyżurnym? – spytał Bender.

Kapitan zerwał się na nogi.

– Nie, sir. Oficerem dyżurnym jest pan Terry, który weekendy spędza w domu pod telefonem.

Dla generała zabrzmiało to jak kpina. Funkcję oficera dyżurnego pełnił cywil, którego w dodatku nie było.

– Chciałbym rozmawiać z generałem Thomasem – oznajmił Bender. Thomas był generałem US Army, dowodzącym Biurem Wojskowym Białego Domu.

Kapitan wyglądał na zakłopotanego.

– Eee, pan generał Thomas otrzymał inny przydział; teraz kieruje nami pan Terry – wyjaśnił.

Tego już było dla Richarda za wiele.

– Proszę zmieniać wartę na zewnątrz budynku co trzydzieści minut – polecił.

– Sir, nie mogę tego zrobić – odparł kapitan. – To pan Terry zatwierdza plan warty.

– To proszę do niego zadzwonić. – Oficer wywołał numer i podał Benderowi słuchawkę. Generał wyjaśnił problem nadzwyczaj zirytowanemu panu Terry'emu, który stwierdził, że plan warty na weekend został ustalony i że przejrzę go na nowo w poniedziałek, kiedy będzie w pracy. Robert zastanowił się chwilę, zanim odpowiedział: – Czy mogę zasugerować panu, żeby przyszedł pan tutaj, stanął na dworze i posłuchał tego bębna przez godzinę? Wtedy zrozumiałby pan lepiej, co muszą tu znosić pańscy ludzie.

– Panie generale – odezwał się na to Terry – to nie są „moi ludzie”. Proszę nie wsadzać nosa w cudze sprawy, a ja nie będę czepiał się pańskich. – Po tych słowach odłożył z trzaskiem słuchawkę.

– Prawdziwe przywództwo to coś wspaniałego – skomentował Richard. – Kapitanie, pan Terry powiedział mi, że nie jesteście jego ludźmi. Wobec powyższego wydaję panu rozkaz: niech pan skoryguje plan warty tak, aby zmiana nastąpiła co trzydzieści minut.

– Tak jest! Ale co ja potem powiem panu Terry’emu?

– Proszę napisać notatkę dokumentującą tę rozmowę. Ja ją podpiszę i będzie czekała na jego biurku, kiedy przyjdzie do pracy w poniedziałek rano. Czy mogę zasugerować panu coś jeszcze?

– Częściej sprawdzać, co z moimi ludźmi? – uprzedził Richarda oficer.

Bender uśmiechnął się.

– Widzę, że rozumie pan, o co chodzi, kapitanie. – Odwrócił się na pięcie i ruszył teraz do zachodniego skrzydła, do biura Shawa.

Shaw słuchał relacji Bendera na temat zmiany planu warty bez komentarza.

– Stałem tam tylko trzy minuty i bęben bardzo mnie zdenerwował. Czy nie możemy coś z tym zrobić? – zakończył generał.

Prezydencki szef gabinetu zacisnął usta.

– Trele-morele, co pan nie powie? Denerwuje pana bęben? Daj pan spokój, słychać go nawet tutaj! – Dwaj mężczyźni zamilkli, a wtedy dobiegł ich niewyraźny, głuchy odgłos. – W głównej części Białego Domu słychać go jeszcze głośniejsze. To dlatego Maura i dzieci siedzą w weekendy w Camp David, a w ciągu tygodnia u Kennettów. – Przerwał i nasłuchiwał. Teraz odgłos bębna stał się znacznie głośniejszy i szybszy. – Cholera, chyba zaczął taniec wojenny!...

– Dlaczego Terry został mianowany szefem Biura Wojskowego? – zapytał Bender zmieniając temat.

– Maddy uważa, że za bardzo widać tu wojsko i chce „zmiękczyć” cały nasz *image*. – W tym momencie odezwał się interkom i sekretarka poinformowała Shawa, że demonstrantów z parku Lafayette’a pokazują w telewizji. Szef gabinetu zaklął szpetnie i włączył telewizor. Na ekranie pojawiła się wkraczająca do parku grupa demonstrantów. Z boku kroczyła Quella O’Malley, wymachując nową tablicą. – Nie pokazujcie tej suki! – warknął pod nosem Shaw. Jednak kamerzysta zrobił O’Malley zbliżenie, ukazując ją całym Stanom Zjednoczonym. Na tablicy było wymalowane:

PRZESTAŃCIE KARMIĆ REKINY NASZYMI RODZINAMI.

– Cholera! – jęknął Shaw. – Jak ona się o tym dowiedziała?! – Niestety, wiedział dobrze jak. – Chodźmy już – zakończył. – Czas pogadać z Maddy i przygotować się na spotkanie z Overmeyerem.

– Dlaczego przewodniczący poprosił o spotkanie? – chciał wiedzieć Bender.

– Nie słyszał pan? Maddy wstrzymała ewakuację.

Generał zacisnął zęby, żeby przypadkiem jego odpowiedź nie wydostała się na zewnątrz. Ruszył za to za Shawem w stronę Gabinetu Ovalnego. Był tam już Sam Kennett i sekretarz skarbu Parrish, a także kongresmenka Noreen Coker. Ze składu „kuchennego gabinetu” pani Turner brakowało tylko Maury, jej matki. Coker klepnęła dłonią w siedzenie kanapy.

– Siadaj tutaj, kotku – rzuciła w stronę Bendera. – Dobrze ci w tym garniturze. – Generał skorzystał z propozycji, Shaw wycofał się natomiast na fotel stojący w pobliżu kanap, pozostawiając drugi taki sam dla Overmeyera. Richard słuchał dyskusji na temat demonstracji w parku. W chwilach milczenia dochodził ich cichy, ale natarczywy odgłos bębna.

– Musimy coś zrobić z tym przeklętym bębniem!... – jęknął Parrish.

– I z Hydrant-O'Malley – dodała Coker. – Sam, czy ty nie miałeś z nią problemów, jak byłeś burmistrzem Filadelfii?

– Miałem ich tyle, że wołę o tym nie pamiętać – odpowiedział Kennett. Teraz zebrani usłyszeli kilka bardzo zabawnych historyjek o tym, jak Kennett poradził sobie z O'Malley wypuszczając na jej temat nieoficjalnie zjadliwe, dowcipne komentarze. Śmiechy przerwała Jackie Winters otwierając drzwi. Przyjechał Overmeyer.

Przewodniczący Połączonego Komitetu Szefów Sztabów wkroczył swoim zwyczajem wyprostowany jak świeca i usiadł, niezadowolony, że musi przebywać w towarzystwie cywilów. Popatrzył z dezaprobatą na ubranego w garnitur Bendera i od razu przeszedł do rzeczy:

– Pani prezydent, muszę wyrazić swój najgłębszy protest w związku z pani dyrektywą wstrzymującą ewakuację rodzin wojskowych z Okinawy. Pozostało ich już tylko niecałe cztery tysiące.

– Nie będę ryzykowała życiem kolejnych niewinnych ludzi – odparła Turner.

– Pani prezydent, sytuacja pozostaje nadal niepewna – wyjaśniał generał. – Ci ludzie więcej ryzykują pozostając na miejscu.

– Doprawdy? – spytała teatralnie Madeline. – Pan sekretarz stanu jest innego zdania – zakomunikowała. – Uważa, że kryzys minął już swój szczyt i że panujemy nad nim.

Bender zaniepokoił się. Czyżby Francis zawierał jakiś kolejny układ z Chińczykami? O czym jeszcze on, Richard Bender, nie wie?

Overmeyer nie miał zamiaru ustępować.

– Pani prezydent, proszę przynajmniej pozostawić im możliwość zgłoszenia się do ewakuacji na ochotnika – powiedział. – Niech pani nie robi z nich zakładników, postępując wbrew ich woli. – Zebrani popatrzyli na Overmeyera zaszokowani. Generał przekroczył w tym momencie uznane reguły.

Turner spojrzała na niego z kamienną twarzą. Odgłos bębna akurat zabrzmiał mocniej.

– Generale Overmeyer – odezwała się w końcu Madeline chłodno i zdecydowanie – ci ludzie nie są zakładnikami, a ja działam w ich najlepszym interesie. Czy ma pan jeszcze jakiś temat do poruszenia?

Generał podniósł się z miejsca.

– Pani prezydent, proszę panią o ponowne rozważenie pani decyzji – powiedział na odchodnym.

– Dziękuję panu, generale. Wysłucham opinii doradców w sprawie pańskiej prośby – zakończyła Madeline. Overmeyer skłonił się krótko, po wojskowemu, i odmaszerował, prosty jak kij od szczotki.

– Jest naprawdę bardzo zdenerwowany – skomentował Kennett, kiedy drzwi się zamknęły.

– No i co w związku z tym zrobi? Zwoła konferencję prasową? – rzuciła Coker.

– Robercie – odezwała się prezydent – zna pan przewodniczącego. Jak pan myśli, co generał teraz zrobi?

Wszystkie głowy zwróciły się w napięciu w stronę Bendera, czekając na odpowiedź.

– Powiem prawdę: nie wiem – przyznał się.

– Niedobrze, że Overmeyer należy do tych generałów, którzy nie rezygnują – mruknął Shaw.

Turner zakołysała się w swoim fotelu na biegunach.

– Cóż, zobaczymy – skwitowała. – A do tego czasu musimy coś zrobić z demonstrantami i z O’Malley. Wygląda na to, że O’Malley ma bezpośrednie połączenie z Białym Domem. Inaczej skąd by wiedziała o rekinach?

– Według ostatniego raportu wydobyto ciała ponad połowy ofiar – poinformował Bender.

– Niech pani nie zmienia strategii – poradził Parrish. – Niech pani dalej telefonuje do rodzin ofiar i zwoła konferencję prasową. Jeśli któryś reporter zapyta o rekiny, niech pani nie udziela odpowiedzi. Może pani powiedzieć, że nie będzie komentować plotek. Powie pani, że nadal wydobywamy ciała i że robimy wszystko co możliwe, żeby oszczędzić rodzinom dodatkowych cierpień. Proszę odwołać się do współczucia reportera dla pogrążonych w żałobie.

– Współpracujący reporter z poczuciem więzi międzyludzkich? – odezwała się ironicznym tonem Coker. – Chłopcze, ty chyba palisz za dużo trawy... A co do mnie, uważam, że ten bębniarz, to jest dopiero problem. Trzeba rozwalić mu ten cholerny bęben o jego złośliwy łeb.

– Niewiele możemy w tej sprawie zrobić – powiedział Shaw. – Żaden prezydent, nawet Johnson czy Nixon podczas największego nasilenia wojny w Wietnamie lub afery Watergate, nie zdołali nigdy powstrzymać demonstracji w parku Lafayette’a. To zbyt ryzykowne politycznie. Najlepsze, co możemy zrobić, to przetrzymać tego sukinsyna.

– Sam, miałeś już do czynienia z O’Malley. – Turner zmieniła temat. – Czy potrafiłbyś dobrać się do niej znowu?

– Pani prezydent – wtrącił szybko Shaw – po co wiceprezydent ma kalać sobie reputację mieszając się w to. Proszę zostawić ją mnie.

* * *

W jednej z najlepszych restauracji Waszyngtonu spożywano właśnie obiad. W lokalu panował spokój i cisza, posiłki i obsługa były na najwyższym światowym poziomie, wino wyśmienite, stoliki rezerwowane na cały wieczór, rachunki przerażająco wysokie, reportaże w kolorowych popołudniówkach zapewnione. Jednym słowem, było to dla Shawa wspaniałe publiczne miejsce, w którym mógł spotykać się z odpowiednimi osobami, w szczególności z Jessicą, która była jego łączniczką z grupą senatora Lelanda. Teraz Jessica sięgnęła ponad stołem i pogła-

skąła dłoń szefa gabinetu pani prezydent. Uśmiechnęła się w taki sposób, że temperatura ciała czekającego na ich skinienie kelnera wzrosła nagle o trzy stopnie. Poczul nieprzepartą chęć podsłuchania, co ta kobieta mówi; pożerał wzrokiem jej wargi, gdy artykułowały słowa w wyjątkowy sposób. Jednak dla zaspokojenia takiego pragnienia nie warto było ryzykować utraty pracy ani nawet napiwku, który będzie pewnie astronomiczny.

– Senator chce, żeby zdarzył się jakiś incydent z demonstrantami w parku – mruknęła tymczasem Jessica w ucho Shawowi, tak żeby nikt inny nie słyszał.

– Potrzebny mi będzie do tego wiarygodny powód – odparł szef gabinetu. – Cholemnie wiarygodny.

– Wymyślisz coś – szepnęła łagodzącym tonem kobieta. – Senator zasugerował wykorzystanie O'Malley. Spodobałoby mu się to.

– Wyobrażam sobie, że jest mnóstwo rzeczy, które spodobałyby się senatorowi, kochanie – mruknął Shaw. Na przykład ty w jego łóżku, dodał w myśli.

Jessica przeciągnęła paznokciem po grzbiecie jego dłoni. Znow posłała mu nieznaczny uśmiezek. Wiedziała, o czym pomyślał jej towarzysz.

– Ciągłe jest mężczyzną, pomimo wieku – skwitowała. Zobaczyła, że kelner przygląda się im, nachyliła się więc jak najbliżej ku Shawowi. – Senator niepokoi się o Kennetta – poinformowała. – Czy jesteś w stanie go zneutralizować? – Przesunęła po ustach koniuszkiem języka, sygnalizując, co może zdarzyć się później tego wieczora. Rozmowa na poruszane teraz tematy ekscytowała ją znacznie bardziej niż plectenie jakichś tam romantycznych bzdur.

– Mogę się zakręcić i skombinować jakieś brudy. Kennett będzie musiał się z nich otrząpać, chociaż pewnie nic do niego na dobre nie przyłgnie.

Jessica ujęła dłoń Patricka i obróciła ją wnętrzem do góry. Teraz zaczęła powoli kreślić na jego dłoni paznokciem nieduże kółka. Twarz jej płonęła.

– Senator mówi, że już czas – dodała. – Zrobi z niej miazgę.

– Czarujący facet – mruknął Shaw. Wycofał dłoń i sięgnął po kieliszek z winem. – Muszę zatelefonować.

* * *

Liz Gordon czekała w samochodzie Jeffa Bissella. Przed drzwi windy w parkingu budynku Watergate zajęchała limuzyna Shawa. Reporterka przyglądała się, jak szef gabinetu wysiada i wkłada klucz w gniazdko obok drzwi, żeby przywołać windę. Limuzyna odjechała, drzwi rozsunęły się i zasunęły za wchodzącym. Elizabeth czekała dalej. Po niedługim czasie drzwi windy rozsunęły się znowu i Shaw wyszedł z powrotem. Liz uruchomiła silnik samochodu i podjechała do szefa gabinetu.

– Odebrałam twoją wiadomość – powiedziała. – Gdzie jest ta twoja laska?

– A co za różnica? – odparł wymijająco Shaw. Gordon ruszyła w stronę wyjazdu z parkingu. – Dzieci powęszyły trochę w piwnicy – poinformował dość tajemniczym językiem jej towarzysz. „Dziećmi” nazywał swoich podwładnych. – Wiesz, jakie są dzieci. Znalazły tam parę ciekawych pamiątek.

– W jakiej piwnicy? – zainteresowała się Elizabeth.

Shaw podał jej dużą żółtą kopertę.

– Pana Samuela Kennetta – wyjaśnił.

– Pana „Czyste Ręce”? – Zjechała na bok, włączyła lampkę oświetlającą wnętrze samochodu i wyjęła z koperty zawartość. Szybko przejrzała dokumenty.

– Tylko się za bardzo nie podnieć – ostrzegł Shaw. – Różnie się to kończy.

– Absolutnie fascynujące! – oceniła Liz.

– Tak myślałem, że ci się spodoba.

– Particku, co mogę powiedzieć?

– Absolutnie nie wiąż tego ze sprawą, niech to wypłynie ot, tak sobie.

– Oczywiście – uspokoiła go Liz. Po chwili dodała: – Nie cierpię być sama w niedzielne poranki...

– Strasznie boli mnie głowa, kochanie – odparł na to Patrick. – Poza tym zaraz zrobi się jutro.

– Już jest jutro – uświadomiła go.

* * *

– Quella O’Malley to nic ciekawego – narzekał Ben, kamerzysta Elizabeth Gordon. Było niedzielne przedpołudnie. Stali na otwartym powietrzu, za ich plecami wznosił się strzelisty monument Waszyngtona.

– Dzisiaj będzie głównym punktem wiadomości – odpowiedziała mu Liz. Sprawdziła po raz ostatni włosy. – Już idzie. – Krępa kobieta toczyła się w poprzek Constitution Avenue, rzucając wyzwanie przejeżdżającym w dużych odstępach samochodom. Za nią postępował szereg ludzi, niosących tablice z napisami. Skandowali coś.

– Cholera – zaklął Ben. – Przyproceedziła ze sobą połowę ludzi z parku.

– Wszystko mi jedno, byle było dalej od tego bębna. – Tymczasem O’Malley zamachała i ruszyła w ich stronę, aby udzielić wywiadu, niczym zwycięski bohater podczas parady. – Dzień dobry, pani O’Malley! – zawołała Liz. Ben uruchomił kamerę. Początek wywiadu, jak większość z tych, których udzielała pani O’Malley, będzie zapewne szedł jak po grudzie.

Elizabeth przetrwała potok słów „Pani Hydrant”, dotyczący rzucańca niewinnych dzieci rekinom, postanawiając go wyciąć.

– Mówimy w imieniu bezbronnych i biednych, którzy nie są w stanie sami wołać o pomoc – ciągnęła O’Malley. – Bez nas nie byłoby w tym kraju sprawiedliwości.

– Skoro już mówimy o sprawiedliwości, pani O’Malley – wtrąciła się wreszcie Liz – od jak dawna jest pani płatnym informatorem FBI?

Przysadzista kobieta roześmiała się i odpowiedziała zgodnie z wyznawaną przez niektórych polityków zasadą, żeby nigdy się nie wycofywać ani nie usprawiedliwiać, tylko zawsze atakować:

– Kiedy ktoś ucieka się do obrzucania mnie błotem, wiem, że racja jest po mojej stronie. – Odwróciła się do swoich towarzyszy i podniosła rękę, pokazując w stronę Białego Domu. – Oni nas oskarżają, że pracujemy dla FBI! – zawołała. – Słuchajcie, może wyciągniemy pokwitowania za nasze wypłaty i porówna-

my je z ich wypłatami. – Zebrani zareagowali rozbawieniem. – Równa płaca za równą pracę! – krzyknęła. Ludzie roześmiali się głośniejsze, a „Pani Hydrant” wprost promieniała. Odniosła kolejny sukces.

– Dobrze poinformowane źródła – zaczęła znowu Gordon – twierdzą, że to pani dostarczyła dowodów przeciw filadelfijskiej Grupie Inicjatywnej „Sąsiedztwo”, co doprowadziło do oskarżenia jej członków o defraudację i niewłaściwe wykorzystanie publicznych środków.

O’Malley i tym razem wybuchnęła śmiechem. Teraz jednak zabrzmiał on na tyle sztucznie, że tłum zamilkł.

– Burmistrzem był wtedy Sam Kennett – powiedziała „Pani Hydrant”. – Ten sukinsyn zawsze próbował mnie zniszczyć. Mało razy udowodniłam, że to kłamca?

Popełniłaś błąd, pomyślała Liz. Nie trzeba było wspominać o Kennecie.

– Szczerze mówiąc, nigdy tego pani nie udowodniła – odparła. Podała O’Malley papiery. – Oto wyciągi z pani konta bankowego na Wyspach Bahama. Pochodzą sprzed paru lat. Sumy zakreślone kółeczkami zostały wpłacone na pani rzecz przez Międzypowiatową Regionalną Komisję Planowania. Ta komisja była oddziałem FBI, zorganizowanym w porozumieniu z burmistrzem Kennettem w celu oczyszczenia Filadelfii z różnych brudów.

O’Malley zajrzała w otrzymane papiery, po czym podarła je na strzępy. Uważała jednak, żeby pochować je wszystkie do kieszeni.

– Co za kłamstwa! – wykrzyknęła. Popatrzyła na swoje „owieczki”, szukając u nich wsparcia. – To było oszczerstwo, Gordon. Będzie pani miała do czynienia z moimi prawnikami!

– Chyba ma pani na myśli obmowę – poprawiła ją Liz – a skuteczną obroną przeciw obmowie jest prawda. Mam kopie tych dokumentów, na wypadek, gdyby były potrzebne pani prawnikom. *Apropos*, niektóre z sum, o jakie wzrosły pani konta, zostały wpłacone bardzo niedawno. Jest pani bogatą kobietą, pani O’Malley. Skoro już wspomniała pani o pokwitowaniach za wypłaty... czy uwzględniła pani ten dochód w ostatnim zeznaniu podatkowym?

– Co pani sobie wyobraża?! – syknęła O’Malley. – Może jest pani gwiazdą programu „Sześćdziesiąt Minut”?

– Nie, pani O’Malley. – Liz nie dawała się wyprowadzić z równowagi. – Jestem Elizabeth Gordon, z CNC News.

Tymczasem z tłumu nadleciał kamień, uderzając Elizabeth w tył głowy. Reporterka padła na ziemię. Wszyscy zamarli na moment. Ben błyskawicznie wyciągnął kasetę z kamery i włożył nową, na wypadek, gdyby tłum postanowił rzucić się na jego sprzęt. Przeszedł ponad leżącym bezwładnie ciałem Elizabeth i przejechał tam i z powrotem kamerami po twarzach. Dwaj mężczyźni i kobieta ruszyli w jego stronę. Przeraził się, sądząc, że za chwilę także znajdzie się na ziemi. Jednak trójka zatrzymała się, złapała za ręce i odgrodziła resztę tłumu od leżącej Liz, chroniąc ją.

– Czy nic jej nie jest? – rzuciła kobieta.

Ben opuścił kamerę i schylił się. Liz miała otwarte oczy i trzymała się za tył głowy. Na jej rękę widać było krew. Trzeba będzie założyć szwy.

- Nagrałeś wszystko? – zapytała.
- Tak. Wszystko – uspokoił ją.
- W porządku, jest przytomna – zawołała kobieta do zebranych.
- Gdzie Hydrant? – spytała teraz Gordon.

Kamerzysta rozejrzał się. Tłum rozchodził się spiesźnie, ale O'Malley już nie było.

– W Waszyngtonie jest już spalona – pocieszył szefową Ben, pomagając jej wstać.

* * *

Dla Bendera tak zwany przypadek był tylko rezultatem matematycznych reguł rachunku prawdopodobieństwa. Generał uwielbiał wzory, które ujmują rzeczywistość i przewidują szanse spotkania się w czasie i przestrzeni dwóch czy więcej przedmiotów lub zdarzeń. W rzeczywistym świecie oznacza to czasem katastrofę – jak na przykład zderzenie z ptakiem samolotu jego przyjaciela z zespołu akrobacyjnego „Thunderbirdów” podczas pokazu lotniczego. Jednakże zazwyczaj zbieg okoliczności nie powoduje bezpośredniego zagrożenia życia. Na przykład spotkanie w jednej z wind budynku Kongresu wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych.

– Odpowiadał pan na pytania którejs z komisji? – zagadnął Sam Kennett.

– Nie tym razem. Nakłaniałem paru ważnych senatorów, żeby przyspieszyli sprawę Okinawy. Słyszałem dzwonek zwołujący na głosowanie. Jak poszło?

Wiceprezydent zajmował się ostatnio forsowaniem pewnej ustawy i jako przewodniczący Senatu zarządził głosowanie, które miało na celu przerwanie trwającego impasu.

– Zdobyliśmy sobie kilku nowych wrogów – przyznał. – Ale poczyniliśmy kolejny krok w stronę wprowadzenia reformy podatkowej. – Zjechali w milczeniu aż do parkingu. – Może pojedzie pan ze mną – zaproponował Kennett. – Porównamy nasze notatki... – Generał zgodził się i kazał czekającemu Chuckowi Sanfordowi zabrać służbowy samochód na parking Białego Domu bez niego.

Agent otworzył więc przed Benderem drzwi limuzyny wiceprezydenta, po czym dosiadł się do kolegi, Wayne'a Adamsa, siedzącego za kierownicą samochodu generała.

– Jedziemy za nimi – oznajmił. Adams ruszył więc za limuzyną.

– Oglądał pan wczoraj wieczorem wywiad Liz Gordon z O'Malley? – zapytał tymczasem Kennett. – Liz zrobiła ją na szaro.

– Człowiek się cieszy, kiedy powinien się noga komuś, kto sieje spustoszenie – odparł Richard. – Przez chwilę myślałem tylko, że tłum wpadnie w szal. Ale z tego, co zrozumiałem, Gordon nic się nie stało?

– Nie, nic. Zachowanie tłumu zmieniło się nagle. Nigdy czegoś takiego nie widziałem. Ci ludzie są głęboko przeciwni naszej polityce, a jednak wciąż uważają naszą prezydent za swoją; być może dlatego, że jest kobietą. Wydaje mi się, że w tej chwili opinia publiczna skłania się z powrotem w naszą stronę.

– Szkoda, że nie możemy wzmocnić tego trendu – skomentował Bender.

Wiceprezydent pomyślał chwilę.

– A jeżeli możemy? – Włączył interkom, służący do rozmów z osobami na przednim siedzeniu. – Tom, wyrzuć nas, proszę, przy parku Lafayette’a. Rozruszamy trochę nogi.

Zaniepokojony agent Secret Service odwrócił się i popatrzył na swój skarb.

– Czy to na pewno rozsądne, panie wiceprezydencie? – spytał.

– Nikt nie strzela do wiceprezydentów – uspokoił go Kennett. – To tylko strata amunicji.

Agent natychmiast przekazał wiadomość o nieoczekiwanym przystanku Sanfordowi i Adamsowi.

– Co za idiotyczny pomysł? – Adams był zdziwiony. – Aż trudno sobie wyobrazić, że to Ranger na niego wpadł. – „Rangerem” dla potrzeb wzajemnej komunikacji nazywali wiceprezydenta.

– Jedźmy – rozkazał Sanford. – Trzeba ich będzie osłaniać. Parkuj koło tych samochodów. – Dwaj agenci wyskoczyli z nieprawidłowo zaparkowanej limuzyny tuż obok pilnującego ruchu policjanta i ruszyli biegiem przez ulicę do parku. Para leciała im z ust w zimnym powietrzu. Grube wojskowe kurtki, w jakie byli ubrani, nie rzucały się w oczy wśród ludzi. Sanford zameldował przez zainstalowaną w rękawie mikrofon o swojej obecnej pozycji. Teraz agenci zwolnili; przepychali się przez tłum demonstrantów, starając się nie zwracać na siebie uwagi. Zamiast zbliżyć się bezpośrednio do wiceprezydenta, ustawili się za nim w półkole. – Widzisz generała? – zapytał kolegę Sanford.

– Jest za Rangerem, na lewo od ciebie. Rozmawia z jakimiś dziećmi – odpowiedział Adams.

– Ten człowiek przesadza – ocenił Sanford.

Dwaj agenci obserwowali uważnie ludzi, starając się wyczuć panującą atmosferę. Jednocześnie wyszukiwali takich, których miny nie pasowały do ogólnego nastroju, którzy szli w przeciwną stronę niż inni lub też zbliżali się zbyt blisko do chronionych. Przez cały czas Adams i Sanford musieli zachować spokój i pozostać z boku. Nie było to proste, zwłaszcza przy jakby wzywającym do akcji bębnie.

– Tłum jest bardzo wzburzony – zauważył Adams.

– Nic nie będzie, jeżeli tylko Ranger da już spokój – odpowiedział Sanford. Jak na dany sygnał, Kennett zawrócił i ruszył w stronę Bendera i czekającej limuzyny.

– Popatrz, za generałem. Kobieta – rzucił szybko Adams. – Purpurowy płaszcz. Zielona wełniana czapka. Ciemne włosy. Niska, tęga. – Agenci skupili teraz uwagę na Quelli O’Malley, która szła skrajem grupy demonstrantów, poruszając się równoległe do wiceprezydenta. Wpatrywała się w niego, nie zwracając uwagi na otaczających ją ludzi. – Nie panuje nad sobą – ocenił Adams. Ruszył szybko w stronę Bendera, starając się doń zbliżyć, nie absorbując jednocześnie uwagi demonstrantów. Sanford szepnął do mikrofonu:

– Mamy podejrzaną. To Quella O’Malley. Jest na dziesiątej Rangera, dwadzieścia stóp od niego, idzie równoległe z nim. Generał jest pomiędzy nimi. Teraz

Ranger podchodzi do generała. – Sześciu innych agentów Secret Service znajdujących się w parku zareagowało z wyćwiczoną szybkością i precyzją. Adams ruszył sprintem ku Benderowi. Czterej agenci, którzy chronili Kennetta rzucili się na niego, aby osłonić go szczelnie niczym kokon owada. Sanford tymczasem pędził ku O'Malley. Kobieta spostrzegła najpierw Adamsa, odległego od Bendera już tylko o jakieś dziesięć stóp. Sięgnęła do kieszeni płaszcza i wyjęła z niej produkowany dla US Army pistolet maszynowy firmy Colt, kalibru 0,45. Odbezpieczyła go i chwyciła ciężką broń w obie dłonie.

Adams wpadł na Bendera i przewrócił go impetem. Padając, agent zdążył jeszcze pociągnąć pod siebie jedenastoletniego chłopca, który akurat znajdował się na linii strzału. O'Malley pociągnęła za spust. Pojedyncza kula uderzyła Adamsa w plecy, trafiła w kręgosłup, skręciła dalej odrobinę w lewo i przerwała główną aortę. Odrzut broni był bardzo silny, ale O'Malley uniosła ją znowu i zdążyła wystrzelić drugi raz. W tym momencie dwaj agenci przycisnęli się do wiceprezydenta. Strzelała po raz trzeci, kiedy wpadł na nią Sanford. Podbił jej pistolet i kula przeleciała ponad Białym Domem, spadając do rzeki odległej o ponad milę.

Było już po wszystkim. Wrzeszczący z przerażenia ludzie rozpierchli się. Pierwsza kula zabiła trzydziestoosmioletniego agenta prezydenckiej ochrony, Wayne'a Adamsa. Druga trafiła Sama Kennetta. Trzeciej nigdy nie odnaleziono.

Biegli sądowi stwierdzili później, że nastąpił niezwykle wprost zbieg okoliczności. Przewracając Bendera, Adams oczyścił O'Malley pole strzału. Odrzut po wystrzeleniu pierwszej kuli omal nie spowodował wypuszczenia przez kobietę broni. Kiedy odzyskała równowagę i podniosła pistolet znowu, zobaczyła kątem oka, że ktoś na nią pędzi – był to Sanford. W panice pociągnęła za spust ponownie, nie pamiętając tego później zupełnie; nie słyszała nawet wystrzału. Druga kula odbiła się od chodnika i przeszła pod lewą ręką agenta obejmującego Kennetta. Trafiła wiceprezydenta w lewe ramię, tuż ponad łokciem. Gdyby O'Malley wystrzeliła ułamek sekundy wcześniej, kula trafiłaby w rękę agenta, a nie chronionego. Gdyby strzeliła minimalnie później, wiceprezydent byłby już całkowicie osłonięty. Chodziło o niecałą sekundę i o jakieś półtora cala w pionie i poziomie.

Nagranie z kamery trzymanej akurat przez jednego z demonstrantów pokazywało kłęczącego Bendera, jak stara się uspokoić jedenastoletniego chłopca, a potem przekazuje go przerażonym rodzicom. Następnie generał ściągnął płaszczy i przykrył nim zabitego Adamsa – człowieka, który oddał życie, przyjmując kulę przeznaczoną dla niego. Richard stał wyprostowany, czekając na przybycie karetki, chłostany zimnym wiatrem. W tle słychać było wycie syren i bijący bęben. Wiceprezydenta odwieziono pospiesznie do szpitala.

* * *

Kawalkada pięciu samochodów podjechała do głównego wejścia szpitala marynarki wojennej Bethesda Naval Medical Center.

– Pan wiceprezydent ciągle znajduje się na sali operacyjnej – poinformowała przez telefon komórkowy Jackie Winters.

– Myślałam, że trafiło go tylko w ramię... – odpowiedziała Turner.
– Zdaje się, że kula ugodziła jednak w klatkę piersiową – wyjaśniła Winters. – W poczekalni jest pani Kennett. – Natychmiast podała kilka informacji na temat Barbary Kennett i jej dzieci. – Podobno potrafi się opanować – zakończyła.

– Szkoda, że nie znam jej lepiej – stwierdziła prezydent, podczas gdy jeden z agentów otwierał już drzwi samochodu. Wbiegła po schodkach. W holu czekali na nią Bender i Shaw.

– Robercie, nic ci się nie stało? – zapytała.

– Nic, pani prezydent – odparł generał. Ruszył za nią i szefem gabinetu do poczekalni. – Próbowałem skontaktować się z żoną Adamsa – powiedział – ale telefon odebrała sąsiadka, a ona nie chciała ze mną mówić.

– Chcę ją odwiedzić tak szybko, jak to tylko będzie możliwe – oznajmiła prezydent. – Patricku, proszę cię, dowiedz się jak czuje się pani Adams i jeśli możemy jej jakoś pomóc, zrób wszystko, co w naszej mocy. – Przystanęła i zrzuciła płaszcz. Shaw odszedł z nim do limuzyny, żeby zadzwonić do żony zabitego agenta. – Ciepło tu. – Winters podała jej małe lusterko, ale Madeline nie traciła czasu, tylko weszła od razu do sali, gdzie czuwała samotnie Barbara Kennett.

Bender wsunął się za nią i został przy drzwiach wraz z Winters. Dwie kobiety padły sobie w objęcia. Ależ one razem wyglądają... – przyszło na myśl Jackie. Pani prezydent i żona wiceprezydenta różniły się od siebie bardzo. Barbara była mocno zbudowaną, niebrzydką kobietą po czterdziestce. Nie miała jednak w sobie uroku niezbędnego kobiecie z waszyngtońskich kręgów rządowych. Panie usiadły i zaczęły rozmawiać, trzymając się za ręce. Generał słyszał tylko strzępki zdań, wyczuł jednak, że rozmówczynie wywierają na siebie pozytywny wpływ, wzajemnie umacniając się i pocieszając. Razem łatwiej znosiły ból. W pewnym momencie z sali operacyjnej wyszedł lekarz ubrany w zielony fartuch chirurga i stanął nad nimi, czekając, aż go zauważą.

– Co z nim? – spytała krótko Barbara.

Bender znowu niewiele usłyszał, jasne jednak było, że z wiceprezydentem jest źle. Barbara pobladła, nie mrugnęła jednak nawet okiem.

– Dziękuję, panie doktorze – powiedziała. – Muszę porozmawiać o tym z naszymi dziećmi. Czekają w domu.

– Jackie, jedź z panią Kennett – poleciła Turner. Bender otworzył wychodzącym kobietom drzwi.

Czekał tam Shaw. Korzystając z odpowiedniego momentu, wszedł i oznajmił:

– Pani prezydent, żonie zabitego agenta, Adamsa, podano środki uspokajające. O'Malley została aresztowana; podlega jurysdykcji federalnej. Poinformowano ją o jej prawach, odmawia rozmowy z prawnikiem. Woła, że Sam Kennett to faszystowska świnka, którą trzeba rzucić na pożarcie rekinom, i że cała sytuacja jest spiskiem przeciwko niej, zemstą za to, co stało się w Filadelfii.

– Zajmiemy się nią później – zdecydowała Turner. – Na razie dopilnuj, żeby Departament Sprawiedliwości podjął sprawę, a także żeby absolutnie przestrze-

gano jej praw. Zdarzyła się bardzo poważna rzecz. – Teraz zwróciła się do lekarza:

– Panie doktorze, chcę poznać dokładnie stan wiceprezydenta.

– Muszę panią ostrzec, pani prezydent, że to będzie bardzo... przykre – poszukał celnego słowa lekarz. Wprowadził Turner i jej towarzyszy do swojego pokoju i położył na przegłądarce rentgenowskie zdjęcia. Podał także prezydent kilka zdjęć wykonanych aparatem typu polaroid. Zaczął od prześwietlenia lewego ramienia wiceprezydenta i opisał, w jaki sposób kula strzaskała kość ponad łokciem, zanim ugrzęzła z lewej strony klatki piersiowej. Miała jeszcze wtedy dość energii, żeby złamać żebro, a następnie przebić lewe płuco. Madeline pobladła, gdy lekarz szczegółowo opisywał medycznym językiem uszkodzenia płuca. Ręce jej dygotały. – Kula przeszła trzy milimetry od serca, ale i tak dokonała dużego spustoszenia. Prawdopodobnie uratujemy płuco, ale być może wiceprezydent straci rękę. Na razie zresztą w ogóle niczego nie możemy być pewni.

– Spróbuje pan uratować rękę? – upewniła się Turner.

– Najpierw będę próbował uratować życie.

– Nie mogę w to uwierzyć, żeby jedna kula spowodowała aż tyle szkód!... – Madeline była zaszokowana.

– Tak się zdarza – wtrącił się Bender. Przyjrzał się jeszcze raz uważnie prześwietleniom. – Ta kula musiała zostać spłaszczona, jeszcze zanim ugodziła go w rękę. Czy to był rykoszet?

– Bardzo możliwe – odparł niepewnie lekarz.

– Dzięki Bogu.

– Dzięki Bogu?! – Shaw nie wytrzymał. – Jak można się z tego cieszyć?!

– Z tej odległości czterdziestka piątka ma straszliwą siłę rażenia – wyjaśnił Bender. – Kula musiała wytracić część energii, zanim trafiła wiceprezydenta. Inaczej...

– Co inaczej? – domagała się zakończenia Turner.

– Inaczej pan wiceprezydent już by nie żył – wyjaśnił chirurg.

– Jakie ma szanse przeżycia? – zapytał Robert.

– Nie najwyższe – przyznał doktor. – Oceniam je na mniej niż trzydzieści procent.

Madeline cofnęła się i stanęła koło biurka. Mężczyźni popatrzyli na nią, nie wiedząc, co powiedzieć czy zrobić.

– Jedna kula... – odezwała się. – Jeden pistolet w rękach szalonej... – starała się uspokoić. – W rękach wariatki. Mój Boże, dlaczego robimy sobie takie rzeczy? Jak ja mogę do czegoś takiego dopuszczać? – Patrzyła na swoich towarzyszy, domagając się odpowiedzi, której nie znali. – O'Malley... Czy działała sama, czy też ktoś jej pomagał? – zapytała.

– Nie wiemy – odparł Shaw.

Twarz Turner ściągnęła się.

– Patricku, niech demonstranci zostaną usunięci z parku. Jeszcze dzisiaj. Proszę posłać ich do domów.

Bender oczekiwał, że Shaw zaprotestuje. Nawet generał rozumiał dobrze, że decyzja prezydent jest niemądra i może spowodować poważne konsekwencje polityczne. Szef gabinetu milczał jednak, ciesząc się w duchu, że nie musiał sam prowokować zdarzenia, którego domagał się Leland.

– Pani prezydent – odezwał się w końcu Robert – to może być poważny błąd.

– Doktorze, proszę zostawić nas na chwilę – poprosiła Madeline. Lekarz szybko zebrał zdjęcia i wyszedł. – Robercie, chyba zapomina pan, że jestem prezydentem, którego polecenia pan wykonuje – upomniała. – Nie wolno panu podawać w wątpliwość moich decyzji w obecności osób postronnych.

– Proszę przyjąć moje przeprosiny, pani prezydent. Wykroczyłem poza swoje kompetencje. – Dlaczego ja się na to zgadzam? – pomyślał generał. Nie powiedział jednak nic więcej, gdyż ktoś zapukał do drzwi. Wszedł jeden z pracowników Białego Domu i podał Shawowi jakąś wiadomość.

Szef gabinetu wpatrywał się w nią w zdumieniu.

– Pani prezydent – powiedział. – Japońska flota... dopłynęła do Kagoshimy.

Rozdział dziewiętnasty

Okinawa, Japonia

Podpułkownik Peter Townly mówił tonem znudzonego nauczyciela ekonomii, tłumaczącego początkującym uczniom podstawy teorii podaży i popytu. Jednak żaden z profesorów w historii nie przykuł swoim wykładem uwagi słuchaczy w takim stopniu jak Townly. Oficer wywiadu wiedział, że nawija jak cholerny intelektualista, protekcyjnym i sztucznym tonem; był to jednak jedyny sposób, w jaki podpułkownik potrafił opanować ogarniającą go panikę. Znajdował się w głównej sali stanowiska dowodzenia; spoglądał ku kabynie operacyjnej, ciekawym, co mówią mężczyźni w szklanej klatce. Czerwony punkt laserowego wskaźnika podskakiwał, kiedy Townly wskazywał najważniejsze obiekty na wyświetlanej na dużym ekranie mapie. Sytuacja była w istocie prosta: nadciągała bitwa i tym razem nikt i nic jej nie powstrzyma.

– Według ostatniego meldunku, japońska flotylla podzieliła się na trzy kolumny i posuwa się w stronę Okinawy w formacji przypominającej grot strzały – mówił podpułkownik. – Każda z kolumn składa się z dziesięciu do dwunastu niszczycieli wspieranych przez zbliżoną liczbę fregat. Przed flotyllą płyną co najmniej trzy okręty podwodne. Japończycy dysponują stu sześćdziesięcioma ośmioma myśliwcami, które mogą posłużyć za osłonę powietrzną flotylli; stacjonują w tych oto bazach. – Podpułkownik zakreślił laserowym wskaźnikiem trzy lotniska znajdujące się w południowej części wyspy Kiusiu.

Martini chwycił podłączony do jego pulpitu mikrofon.

– Co jest w stanie podnieść w powietrze skrzydło stacjonujące w Naha? – zapytał szorstko.

Townly zrobił taką minę, jak gdyby miał za chwilę zwymiotować.

– Japończycy mają cztery zdadne do lotu F 4J, sir – poinformował.

Martini zabębnił palcami w blat.

– A Chiny Ludowe?

– Według ostatnich danych, ze strony chińskiej w operacji może wziąć udział ponad trzydzieści okrętów podwodnych, osiemnaście niszczycieli, dwa-

dzieńcia fregat, ponad sto kutrów torpedowych i raketowych oraz – przełknął z trudem – „Przewodniczący Mao”.

– Kiedy? – warknął krótko Martini.

– Japończycy są już od dawna w zasięgu rakiet Jedwabnik rozmieszczonych na Kumejimie, a przednie okręty obydwu flot powinny spotkać się w tym miejscu – zakreślił obszar na Morzu Wschodniochińskim, leżący około dwustu mil od Okinawy – za mniej więcej cztery godziny, czyli o dwudziestej.

– A nasza marynarka? – zapytał generał. Uspokajał się już.

– Zarówno jej położenie, jak i siły są nieznane, sir. Według ostatniego meldunku, prezydent wstrzymuje ich od podjęcia akcji.

Martini wstał. Nie dawał po sobie poznać frustracji, jaka go ogarnęła.

– Panie i panowie, za parę godzin będziemy świadkami największej bitwy morskiej od zakończenia drugiej wojny światowej – powiedział. – Postawić bazę w stan najwyższej gotowości, zawracać wszystkie kierujące się w naszą stronę transportowce. – Zastanowił się chwilę. Na lotnisku w Kadenie było jeszcze sześć transportowych samolotów. – Sprowadzić tu majora Ryana. – Po tych słowach skinął na swoich ludzi, żeby opróżnili kabinę operacyjną, i zatelefonował na specjalnej, chronionej linii do Dowództwa Pacyfiku w Honolulu. Po chwili rozmawiał już jednocześnie z dowódcą US Air Force na Pacyfiku i z naczelnym dowódcą Sił Pacyfiku. – Panowie, nasi dostaną po tyłku, a ja mam tu sześć transportowców, które powinny stąd odlecieć. Czy mogę ewakuować nimi rodziny żołnierzy? – zapytał.

– Nie – odpowiedział admirał. – Z rozkazu prezydent nie wolno ewakuować nikogo więcej.

– To co mam, do cholery, robić? – spytał po prostu.

– To samo, co wszyscy inni – odparł stanowczo admirał. – Przejść na najwyższą gotowość i czekać. Poza tym wydaje się nam, że Japończycy mają lekką przewagę.

– Jasne – mruknął Martini. – Może jeszcze Chiny nie mają broni atomowej...

– Waszyngton nie wierzy, żeby Chiny użyły w tym konflikcie broni jądrowej – uspokajał dowódca Sił Pacyfiku, czyli CINC PAC.

– Jeżeli Waszyngton się myli, to niewiele z niego zostanie – odpowiedział Martini. – A może poprosić ich, żeby ogłosili DEFCON 2 i dali Chińczykom na wstrzymanie?

– Wiem, o czym pan myśli – skwitował admirał. CIA przez lata bardzo się starała, żeby Chińczycy zrozumieli, że obniżanie stopnia gotowości DEFCON wiąże się bezpośrednio ze statusem amerykańskich sił jądrowych. Jednak ani w Chinach, ani w Japonii nie wiedziano o tym, że ogłoszenie DEFCON 2 dla Dalekiego Wschodu oznacza między innymi przemieszczenie w rejon potencjalnego konfliktu pewnej liczby taktycznych głowic jądrowych. – Prezydent nigdy na to nie pozwoli.

– Przynajmniej mógłby pan ją o to zapytać. – Martini nie chciał ustąpić. Dowódca Sił Pacyfiku zakończył rozmowę; stanęło na tym, że skontaktuje się z Narodowym Centrum Dowodzenia Wojskowego w Pentagonie.

Tymczasem Peter Townly przygotował się do następnego wystąpienia. W jednym ręku trzymał notatnik; widać było gołym okiem, że podpułkownik drży. Rozejrzał się po sali.

– Sir, Chińczycy odpalili z Kumejimy dziesięć rakiet Jedwabnik. Trafiono cztery japońskie okręty w przedniej części formacji. Mamy także doniesienie o zatopieniu jednego okrętu podwodnego nieznaney bandery.

Teraz odezwał się do swojego mikrofonu oficer koordynujący obronę powietrzną:

– Taktyczne Centrum Operacyjne w Naha prosi, żebyśmy ustanowili osłonę powietrzną Okinawy.

– Panowie – oznajmił na to Martini – wygląda, że Japończycy chcą nas w to wciągnąć, choćby wbrew naszej woli.

Major Ryan wpadł na stanowisko dowodzenia akurat w chwili, kiedy generał wydawał rozkaz przejęcia odpowiedzialności za osłonę powietrzną wyspy. Co się dzieje?! – pomyślał z niepokojem doktor, wchodząc do kabiny operacyjnej. Martini nie bawił się we wstępy.

– Ilu jeszcze naszych cywilów pozostało na Okinawie?

Ryan znał dokładnie odpowiedź.

– Trzy tysiące dziewięćset siedemdziesięciu sześciu.

– Dzieci?

– W tym dwieście osiemdziesięcioro sześciu dzieci. – Teraz zajrzał do notatnika. – Nie wliczając w to dwustu dziewięciorga nastolatków, z których większość to ochotnicy pomagający w różnych pracach w obrębie bazy.

Teraz generał obrócił się z fotelem, żeby popatrzeć na wiszącą zwykle za jego plecami mapę bazy. Pokazał na wielki obszar magazynów amunicyjnych zajmujący północną część bazy.

– To jest rejon magazynów amunicyjnych Czterysta MUNS – powiedział. – Wszystkie bunkry w jego części zachodniej są puste. Proszę schronić tam wszystkich cywilnych Amerykanów oraz tyłu mieszkańców Okinawy, ilu się zmieści.

Doktor wydawał się zdumiony.

– Sir, czy to nie tam znajdują się magazyny broni jądrowej? – spytał zaniepokojony.

– Na Okinawie nie ma broni jądrowej od 1972 roku – wyjaśnił generał.

– Ale to rejon magazynów amunicyjnych. Nie można tam gromadzić cywilów – nie ustępował Ryan.

Martini zabębnił palcami w stół, jak zwykle, kiedy musiał szybko rozwikłać jakiś problem. Major ma rację, myślał. Nagle przypomniał sobie. OSI, czyli Biuro Zbierania Informacji Specjalnych, przedstawiło rozwiązanie w swoim ostatnim raporcie. Chińczycy trafnie uznawali, że przemieszczanie posiadanej broni stanowi ostrzeżenie o ataku. Agenci OSI wykryli ostatnio drużynę chińskich informatorów śledzących rejon magazynów amunicyjnych. Generał aż parsknął z zadowolenia. Wiedział już, jak można dostarczyć przeciwnikowi takich informacji, jakie się chce przekazać.

– Ogłosimy ten teren schronem dla cywilów. Oświetlimy go jak choinkę na Boże Narodzenie. Chińczycy rozumieją, o co chodzi – powiedział.

– Jednak mimo wszystko, rejon ten pozostaje w bezpośrednim sąsiedztwie wykorzystywanych magazynów amunicyjnych, które są uznawane przez prawo międzynarodowe celem wojskowym – zaprotestował doktor.

Martini zaśmiał się krótko. Przypominało to szczeknięcie.

– Widać, że niewiele pan wie o schronach do przechowywania broni atomowej, majorze – skomentował. – Może mi pan wierzyć, to najbezpieczniejsze miejsce na całej wyspie. A teraz do dzieła.

Ryan wybiegł z budynku dowodzenia, przekonany, że generał nie wytrzyma napięcia. Nie było jednak po nim widać żadnych charakterystycznych oznak zachwiania równowagi psychicznej, poza szaleńczym pędem ku wojnie. I ciągnięciem ku niej ze sobą niewinnych cywilów.

Waszyngton, USA

Bender nie mógł się skoncentrować. Szef operacji morskich streszczał prezydent Turner przebieg rozwijającej się na Morzu Wschodniochińskim bitwy. Jak zwykle, Madeline czuła się skrepowana swoją obecnością wśród samych mężczyzn w Gabinetnie Sytuacyjnym. Dlaczego jest taka niespokojna, siedząc tutaj w piwnicy? – dziwił się Robert. Skarcił się jednak za odbieganie myślami od tego co najważniejsze. Skupił teraz całą uwagę na dowódcy amerykańskiej marynarki. Używa zbyt technicznego języka i Madeline umykają najważniejsze rzeczy – ocenił.

– Panie admirale – odezwał się – proszę mi wybaczyć, ale pośród tych szczegółów tracę obraz całości. – Madeline spojrzała na niego z wdzięcznością.

Admirał zauważył to i zrozumiał, o co chodzi Benderowi. Wziął więc duże kolorowe strzałki, żeby wyjaśnić ruchy dwóch wrogich flotylli. Trzy niebieskie strzałki symbolizowały teraz posuwające się na południe okręty japońskie, podczas gdy pojedyncza czerwona – zdążające na północ chińskie.

– W tej chwili na Morzu Wschodniochińskim jest wtorek, ósma wieczór – mówił szef operacji morskich. – Wszystkie nasze placówki wywiadowcze i czujniki automatyczne wskazują, że bitwa została rozpoczęta. – Zakreślił obszar położony około dwustu mil na północny zachód od Okinawy.

– Dlaczego walczą w nocy? – spytała prezydent.

– Ponieważ Japończycy tak wyliczyli moment swojego przybycia na miejsce, żeby móc rozpocząć walkę po ciemku – wyjaśniał admirał. Bardzo się starał, żeby jego odpowiedź nie okazała się zbyt skomplikowana. – Elektronika, jaką Japończycy dysponują, jest znacznie lepsza od chińskiej, a to oznacza istotną przewagę podczas ciemności. – Bender słuchał, jak szef operacji morskich opisuje bitwę w potocznym języku. Robert wyczuwał rosnące zniecierpliwienie Overmeyera. W pewnym momencie na jednym z ekranów telewizyjnych pojawiły się naj-

świeższe informacje. Admirał przerwał; wszyscy zaczęli czytać. Meldowano, że chińskie rakiety Jedwabnik zatopiły cztery japońskie okręty i poważnie uszkodziły trzy inne. Uległy zniszczeniu także co najmniej trzy okręty podwodne, w wyniku działań innych okrętów podwodnych; nie można jednak było sprawdzić, pod czyimi banderami pływały jedne i drugie. Aby wesprzeć swoją flotę, Chińczycy podnosili teraz w powietrze samoloty zarówno z lotniskowca „Przewodniczący Mao”, jak i z Kumejimy.

– Japonia także wyśle swoje samoloty, pani prezydent – skomentował Overmeyer.

– Jakie jest zadanie samolotów?

– Zaatakować okręty wroga, pani prezydent – tłumaczył admirał.

– Czy nasze siły na Okinawie biorą udział w tym, co się dzieje, lub są zagrożone?

– Nie, pani prezydent – odpowiedział teraz sekretarz obrony, Elkins.

– Jednakże Japończycy przenieśli na nas odpowiedzialność za obronę powietrzną Okinawy – dodał Overmeyer. – Istnieje możliwość, że nasze samoloty...

Turner wstała; jej twarz poczerwieniała od gniewu.

– Jak mogło się to stać bez mojego pozwolenia?!

– Pani prezydent – wyjaśniał Overmeyer – to jest standardowa procedura postępowania, wypracowana wiele lat temu. Decyzję taką podejmują lokalni dowódcy na podstawie oceny zagrożenia oraz aktualnych możliwości operacyjnych posiadanych samolotów.

– Znów ten Martini! – mruknęła pod nosem Turner. – Proszę dobrze zrozumieć moje słowa: nie wmieszamy się w tę bitwę, chyba żeby Chińczycy bezpośrednio nas zaatakowali. – Popatrzyła na Overmeyera, żeby przekonać go o powadze swojej decyzji, po czym usiadła z powrotem.

Teraz to przewodniczący Komitetu Szefów Sztabów poczerwieniał ze złości jak burak. Z trudem powstrzymywał się przed wybuchem.

– Pani prezydent – zaczął jednak spokojnie – generał Martini reaguje na bieżąco na zmieniającą się sytuację. To nasz człowiek, zależy od niego wiele i na pewno nie zrobi niczego niemądrego.

– Chciałabym być tego pewna – odburknęła Turner.

– Zawsze może pani pozbawić go dowództwa – odezwał się z końca stołu dyrektor agencji wywiadowczych.

– Już raz była o tym mowa – przypomniał Overmeyer. – W tym momencie przyniosłoby to katastrofalne skutki. – Popatrzył Turner prosto w oczy i oznajmił: – Pani prezydent, i tak prędzej czy później zostaniemy w tę bitwę wciągnięci. Dlatego namawiam panią z całą mocą: podejmijmy działania, zanim będzie za późno. Jeśli nie zechce pani zrobić nic więcej, przykażmy chociaż Chińczykom stanowczo, żeby trzymali się z dala od Okinawy.

– Zadzwoń na linii specjalnej do przewodniczącego Zoulina – zgodziła się Madeline. Bender pokręcił głową. – Robercie, czy sądzisz, że to niedobry pomysł?

Uważaj na słowa! – ostrzegł się w duchu Bender.

– Nie, pani prezydent – odpowiedział. – Pomyślałem tylko o momencie, w którym chce pani to zrobić i zastanawiałem się, czy Zoulin wysłucha teraz słownego ostrzeżenia.

– Zawsze robił na mnie wrażenie wyjątkowo rozsądnego człowieka – odparła Turner.

– Doprawdy? Osobiście nie sędzę, żeby postrzegał świat podobnie jak my; on będzie odkrawał sobie plasterki po plasterku, aż dostanie wszystko, na co ma ochotę – oznajmił Richard. – Zoulin zareaguje tylko na rzeczywiste działania, nie na słowa.

– A jakie konkretnie działania panowie sugerują? – pragnęła dowiedzieć się Madeline.

Overmeyer popatrzył na Bendera z wdzięcznością. Tak bardzo chciał, żeby prezydent zadała to pytanie.

– Niech pani ogłosi DEFCON 2 dla rejonu Zachodniego Pacyfiku, odczeka dwanaście godzin i wtedy zadzwoni do Zoulina – powiedział przewodniczący Komitetu Szefów Sztabów. – Powie mu pani, że odwoła DEFCON 2 natychmiast, kiedy walki zostaną przerwane.

– I to przekona go, żeby nie tykał Okinawy? – powątpiewała Turner.

– Tak, ponieważ Chińczycy wiedzą, że DEFCON 2 oznacza zmianę statusu naszych sił jądrowych – tłumaczył Overmeyer. – Specjalnie pozwolimy im zobaczyć, że zamykamy nasze bazy i wzywamy z przepustek cały personel. Chińscy agenci doniosą, że wszystkie nasze boomery i okręty pomocnicze wyszły w morze.

– Boomery?

– Przepraszam panią; boomerami nazywamy okręty podwodne przenoszące broń jądrową. To wystarczy, żeby Chińczycy zrozumieli, że mówimy poważnie.

– Jak poważnie? – dopytywała się prezydent.

– Nasze międzykontynentalne rakiety balistyczne zostaną nastawione na odpowiednie cele, a w bezpośrednim towarzystwie pani prezydent cały czas będzie znajdował się oficer z „piłką futbolową”. – Madeline zbladła na myśl o szczególnego kształtu teczce z czarnej skóry, w której znajdowały się kody niezbędne do odpalenia rakiet atomowych. – I jeszcze jedno – kontynuował Overmeyer. – Nie-wielka ilość taktycznej broni jądrowej zostanie przeniesiona w sąsiedztwo rejonu konfliktu.

– Czy to aby na pewno potrzebne? – zastanawiała się Turner.

– Tylko jeśli chce pani zachować wszystkie możliwości działania – odpowiedział teraz Bender. Zapadła martwa cisza. Ona nie jest w stanie podjąć tej decyzji, pomyślał Robert. Myśl o tym, że może swoim słowem sprowadzić na ziemię piekło zagłady, jest dla niej nie do zniesienia. Tymczasem rozległ się elektroniczny pisk i na monitorze pojawiły się kolejne informacje. Oto Japończycy wystali swoje ostatnie cztery samoloty z bazy Naha na Okinawie.

– Ośmiu dzielnych lotników poleciało ku śmierci... – odezwał się szef operacji morskich. – Oni już nie wrócą.

– Skąd może być pan tego taki pewien? – rzuciła Turner.
– Stąd, że polecieli ku „Przewodniczącemu Mao” – odparł admirał.
– Jak możecie zachowywać w tej sytuacji zimną krew?! – wybuchnęła prezydent. – Co to, rozgrywacie sobie jakiś mecz? Mistrzostwa futbolu amerykańskiego?!

– Zapewniam panią, że to nie zabawa – próbował uspokoić ją Bender. Wyczuł, że zbliża się moment podjęcia przez Madeline decyzji. – Proszę przypomnieć sobie sytuację sprzed dwudziestu pięciu dni, kiedy wszystko się zaczynało – ciągnął – a „Przewodniczący Mao” płynął ku Okinawie. Byliśmy świadkami jednoznacznej odpowiedzi na podjęte przez nas działania: Chińczycy wycofali się, żeby nie doprowadzić do walki z nami. Tylko raz bezpośrednio nas zaatakowali. . .

– Kiedy chcieli zestrzelić ten transportowiec z ewakuowanymi – przerwała prezydent.

– Dokładnie. – Bender chciał jeszcze dodać, że wyglądało to jak strzelanie do kaczek, ale pomyślał, że byłby to z jego strony błąd.

– Zaobserwowaliśmy wtedy skokowy wzrost liczby przesyłanych przez nich informacji – dodał dyrektor central wywiadowczych, czyli DCI.

– Nie mówiąc już o ustępstwach, jakie wynegocjował generał Bender w Paryżu – dorzucił Elkins.

Prezydent Stanów Zjednoczonych powstała, żeby obwieścić swoją decyzję.

* * *

Maura O’Keith zabrała Sarah do jadalni na śniadanie. Dziesięcioletka wskoczyła na krzesło i sięgnęła po szklankę z sokiem pomarańczowym. Pijąc patrzyła ponad szklanką na swoją matkę.

– Wyglądasz na bardzo zmęczoną, mamó – powiedziała.

– Nie spałam całą noc – wyjaśniła Madeline.

– Z powodu pana Kennetta?

– Też. I jeszcze innych spraw.

– A co z Samem? – zapytała Maura.

– Przyplątała się infekcja. Jego stan ciągle jest krytyczny. – Przyszedł Brian i Maura zmieniła temat rozmowy na szkołę i pracę domową. Na kilka chwil Turner znowu mogła stać się matką i zajmować się zwykłymi, bezpiecznymi sprawami.

Maura jednak także była matką i wyczuła, że jej córce doskwiera coś bardzo ważnego. Odczekała, aż dzieci wyjdą do szkoły i wtedy powiedziała:

– Nie możesz tak dalek funkcjonować. Musisz więcej odpoczywać.

– Wiem. – Madeline nie protestowała. Pociągnęła łyk kawy. – Dręczą mnie niektóre rzeczy, jakie muszę robić, a których nie noszę.

– Dlaczego nie siądziesz nad nimi z Noreen i Richardem? – zaproponowała Maura. Madeline zawsze czuła się swobodniej porozmawiawszy ze swoimi prywatnymi doradcami.

– Nie tym razem. – Przerwała na moment. – Szkoda, że Sam nie może w tym brać udziału.

– Czy jego rady są aż tak cenne?

– Tak. Nie. – Turner poczuła, że musi to wytłumaczyć. – Widzisz, mamó, po prostu dzisiaj rano musiałam podjąć bardzo trudną decyzję. I Sam, i ja w podobny sposób postrzegamy rzeczywistość. Poza tym, ufam mu.

– A komu jeszcze ufasz? – zainteresowała się pani O’Keith.

– Robertowi.

Maura ucieszyła się, że jej córka nie wymieniła niejakiego Patricka Flanery’ego Shawa.

– Ale nie zawsze słuchasz rad generała – zauważyła.

– To mężczyzna, mamó.

Maura знаła swoją córkę. Widać było, że Madeline coś gnębi i że musi komuś się zwierzyć, zanim przejdzie nad tym do porządku dziennego.

– Maddy, jesteś dzisiaj jakaś inna. Co się stało?

– Jeżeli wyjrzyysz teraz na korytarz – zaczęła Turner – zobaczysz młodego komandora porucznika marynarki. Bardzo przystojnego. Do nadgarstka ma przykutą łańcuchem czarną teczkę. Czy wiesz, co w niej jest, mamó? – Nie czekała na odpowiedź. – Kody startowe rakiet, które mogą sprowadzić na nas koniec świata. A ja jestem jedyną osobą, której wolno to zrobić. Oficer siedzi tu, ponieważ zarządziałam stan gotowości bojowej DEFCON 2, który umożliwi nam rozpoczęcie w razie czego wojny atomowej.

Maura starała się nie okazać przerażenia, ale nie udało jej się.

– Mój Boże! – jęknęła. – Czyżbyśmy byli tak blisko wojny?

Jej córka potrząsnęła głową.

– Nie. Nie wydaje mi się. Musiałam to zrobić z powodu, z powodu... – szukała właściwych słów – to jest jak gra, której reguły zostały ustalone wiele lat temu. To jedyny sposób, w jaki umiemy teraz w nią grać. Wiesz, mamó, zostałam politykiem, żeby to zmienić, żeby pomagać ludziom, a nie ich niszczyć.

– Maddy, jeżeli to, co mówisz, jest prawdą, jeżeli tylko ty możesz uruchomić rakietę, to w czym kłopot? – odpowiedziała teraz starsza pani. – Nie ruszaj ich. – Popatrzyła córce w oczy. – Po prostu nie zaglądamy do tych kodów. To proste.

Okinawa, Japonia

Zazwyczaj budynek dowodzenia tętnił życiem; dzwoniły telefony, po korytarzach krzatali się ludzie. Teraz jednak w głównej sali panowała cisza, przerywana tylko od czasu do czasu pojedynczym telefonem, który zawsze odbierano już po pierwszym sygnale. Następnie rozmówca wypowiadał półgłosem kilka słów i odkładał słuchawkę. Generał Martini spoglądał przez okno kabiny operacyjnej w stronę kabiny kontroli, gdzie dwaj oficerowie dyżurni pochwycili ołówki i nachylili się nad pulpitem. Najwyraźniej nadeszła pilna wiadomość.

Trzasnęło w głośnikach, po czym w sali rozbrzmiał głos starszego stopniem kontrolera:

– Proszę zwrócić uwagę na tablicę stanu gotowości. – Wszystkie głowy obróciły się ku tablicy wiszącej na lewej ścianie stanowiska dowodzenia. Martini poczuł przypływ ulgi. Prezydent zarządziła DEFCON 2.

– Wreszcie – mruknął generał. Tymczasem do jego szklanego pokoiku wkroczył sierżant przynosząc nowiutkie „księgi działań nadzwyczajnych”, jak je nazywano, oznakowane ŚCIŚLE TAJNE. Martini i podlegli mu dowódcy grup podpisali odbiór przynależnej każdemu książki, po czym złamali pieczęcie i rozpoczęli działania, które przygotowywały bazę do ewentualnej wojny. Kiedy skończyli, była prawie północ. – Proszę powiedzieć majorowi Ryanowi, że przed wschodem słońca wszyscy pozostali na wyspie członkowie rodzin wojskowych oraz cywile mają być ukryci w bunkrach – rozkazał wówczas generał. Zdał swoje stanowisko zastępcy i oznajmił sztabowi: – Idę się rozejrzeć, a potem kimnąć się parę godzin. Zróbcie to samo, jeśli będziecie mogli.

Przyjął sobie pas z pistoletem i założył kamizelkę przeciwodłamkową, poprosił o uzbrojoną ochronę i wyszedł na dwór. Owiąła go łagodna nocna bryza. Wziął głęboki oddech. Na generała czekało dwóch żandarmów.

– Chodźcie – powiedziała. – Jedziemy na wzgórze Habu. – Mężczyźni wsiadli do terenowego humvee i ruszyli okrążającą bazę drogą w stronę wzgórza.

Kiedy generał wysiadł na szczycie, znowu poczuł bryzę, tyle że tym razem niosła ze sobą wyraźny zapach morza. Podeszedł do barierki i rozejrzał się. Rejon bunkrów, w których umieszczano cywilów, stanowił prostokąt jasnych świateł. Poza tym baza pogrążona była w ciemności. Nagle, daleko na horyzoncie, na północnym zachodzie, zaświeciła w jednym miejscu niewyraźna, czerwona-wa poświata. Przyglądał się jej jak urzeczoną, kiedy stopniowo bladła. Po chwili pojawiła się druga i także powoli zgasła. Generał wyteżył słuch, ale nic nie usłyszał. Dwieście mil, pomyślał.

– Czy to Japsy i Chinole poszli na całość? – upewnił się jeden z żandarmów.

– Japończycy i Chińczycy – poprawił go Martini. – Mnóstwo dobrych żołnierzy tam ginie.

Zaczął modlić się po cichu: Boże, proszę Cię, pomóż mi rozegrać to tak jak powinienem...

* * *

Martini wszedł do budynku dowodzenia dokładnie o siódmej rano. Był szósty lutego, środa, dwudziesty szósty dzień kryzysu. Generał był wypoczęty, umyty i ogolony. Jego zastępca zameldował mu o zmianach sytuacji, jakie zaszły w ciągu nocy, otworzył mu pachnącą świeżością książkę i wskazał na jedną sprawę, która nie była jeszcze zakończona:

– Za dwie godziny ma przylecieć z Guam C-141.

Martini odchrząknął i usiadł.

– Dobrze się pan spisał – pochwalił. – Gdzie, do cholery, jest Townly? Potrzebne mi aktualne dane wywiadu.

– Sir, pułkownik Townly jest w budynku operacyjnym Habu; czeka na lądowanie SR-71. Maszyna miała przelecieć o świcie nad rejonem walk; lądowanie spodziewane za dziesięć minut.

SR-71 nie mógł wprawdzie przekazywać danych w czasie rzeczywistym, jednak nie był od tego daleki. Generał chciał obejrzeć film nakręcony ze zwiadowczego samolotu. Ucieszył się, że ma powód, żeby wyjść i zobaczyć swoją bazę za dnia. Poprosił znów o eskortę i wyszedł, akurat na czas, żeby zobaczyć lądowanie SR-71.

Kiedy generał wkroczył do pozbawionego okien budynku na północnych krańcach bazy, czekali na niego Townly oraz zgarbiony kapitan pracujący tam na stałe.

– Film powinien być gotowy za kilka minut – poinformował Townly. Martini czekał, przechadzając się po pomieszczeniu, aż z maszyny do wywoływania wysuną się pierwsze klatki długiej na sześćset stóp błony. Minuty dłużyły się w nieskończoność. Dwaj oficerowie nie zwracając uwagi na swojego generała pochylili się nad filmem, usiłując coś na nim zobaczyć. W końcu podnieśli głowy.

– Sir – odezwał się Townly – zanim wszystko dokładnie rozpracujemy, czeka nas masa pracy. Jednak na oko wydaje się, że mamy remis.

– Chyba trwa on już długi czas... – odparł Martini.

– Według tych zdjęć – odezwał się teraz kapitan – okręty manewrują po wielkim obszarze. Stosują taktykę pojedynczego ataku i ucieczki. Chyba że jedna ze stron zaczyna w jakimś rejonie wyraźnie przegrywać... wtedy wycofuje się.

Townly przyglądał się tymczasem dalszym zdjęciom.

– Sir, musimy przekazać to analitykom, ale nos mówi mi to, co powiedziałem na początku.

– Wspaniale, pułkowniku – skomentował Martini. – Ocena wywiadu oparta na nosie wywiadowcy...

Nagle Townly podekscytował się czymś wyraźnie.

– Przepraszam, sir, ale muszę wracać do bunkra wywiadu, żeby sprawdzić inne źródła – oznajmił. Jego głos stracił pod koniec na pewności; Townly patrzył teraz błagalnie na generała.

– Dobrze – rzucił Martini. Pułkownik złapał hełm i kamizelkę przeciwodłamkową i wybiegł na zewnątrz. Generał także wyszedł. Chroniący go żandarmi czekali z informacją, że C-141 z Guam wylądował bezpiecznie i że w tej chwili jest rozładowywany koło budynku magazynu paliwa, przy wschodniej krawędzi płyty lotniska. – Ruszajmy – odparł Martini.

Kiedy terenowy humvee podjechał do transportowca, z tylnej rampy C-141 zjeżdżały właśnie dwie ostatnie palety. Na każdej z nich znajdowały się po dwa zewnętrzne zbiorniki z paliwem lotniczym. Każdy z nich miał pojemność ponad dwóch tysięcy litrów. F 15 zabierały na loty bojowe po jednym takim zbiorniku podwieszonym pod kadłubem; w przypadku podjęcia walki odrzucały go. Wyglądało na to, że odbył się rutynowy lot zaopatrzeniowy. Przenośnik widłowy zabrał palety do magazynu paliwa. Martini poszedł do budynku za „widłakiem” i patrzył, jak wieszają cztery zbiorniki przy użyciu VTSS – Vertical Tank Storage System, czyli Systemu Pionowego Przechowywania Zbiorników. VTSS składał się z trzech szyn, które bardzo przypominały stojak na ubranie w pralni chemicznej. Jednakże te „stojaki” były monstrualnie wielkie, a zamiast ubrań wisiały na nich w rzędach dwudziestostopowej długości zbiorniki.

Do transportowca podjechało teraz pięć niebieskich autobusów wypełnionych członkami rodzin żołnierzy. Z jednego z nich wyskoczył Ryan i podszedł do Martiniego. Zerknął do wnętrza magazynu, którego wrota zamykały się już za generałem. Co takiego ciekawego jest w tych zbiornikach? – pomyślał doktor.

– Sir – odezwał się – mam dwustu pięćdziesięciu ochotników, którzy chcą odlecieć tym samolotem. Potrzebna tylko zgoda pana generała.

Martini zamyślił się głęboko. Zabroniono im tego. Nie miał wyboru.

– Nie mogę udzielić zgody, jeśli nie otrzymam zezwolenia z Białego Domu – stwierdził.

– Wszyscy zostali poinformowani o niebezpieczeństwie – nie ustępował Ryan. – Znają ryzyko i podpisali stosowne formularze. – Generał nie odpowiadał. – I co ja mam im, u licha, powiedzieć? – Doktor wymownie pokazał na autobusy.

Czy wydaje się panu, że ja ich chcę tu trzymać?! – pomyślał z wściekłością Martini. Był jednak karnym oficerem.

– Proszę im powtórzyć dokładnie to, co powiedziałem panu. – Złagodził ton. – Niech pan im powie, że robię wszystko, co mogę, żeby ich stąd wydostać. – Odwrócił się na pięcie i wszedł do czekającego humvee. – Budynek dowodzenia! – rzucił.

Ryan popatrzył za odjeżdżającym szybko samochodem.

– Sukinsyn! – krzyknął, właściwie do nikogo. Podeszli do niego dwaj żandarmi w mundurach polowych, uzbrojeni w karabiny maszynowe M-16, i polecieli odejść od magazynu.

Martini wpadł na stanowisko dowodzenia w podłym nastroju. Czekał tam Pete Townly, który natychmiast zauważył stan ducha generała. Instynkt samozachowawczy nakazywał mu zniknąć, jednak, czując się niczym samobójca, powiedział:

– Sir, mam coś, co powinien pan zobaczyć...

– Czy to nie może zaczekać?! – warknął generał.

– Potem to będzie już nieaktualne, sir.

Martini zeszytniał. Co takiego Townly miał w zanadru, skoro zrobił się nagle taki stanowczy?

– Niech to lepiej będzie ważne!... – ostrzegł generał, ruszając do bunkra wywiadu. Nie rozczarował się. Cztery minuty później wpadł z powrotem na stanowisko dowodzenia. Zastępca Martiniego szybko opróżnił jego miejsce w kabine operacyjnej. Generał zrzucił hełm i kamizelkę przeciwodłamkową i opadł na fotel.

– Panowie – oznajmił – wywiad twierdzi, że nadarzyła się nam świetna okazja. Losy bitwy wiszą na włosku i każda ze stron może okazać się zwycięska. Tymczasem Townly uważa, że wystarczy, żebyśmy „zamknęli” pas startowy na Kumejimie. W ten sposób Chińczycy powinni zostać pozbawieni osłony powietrznej, a japońskie myśliwce mogłyby dotrzeć do chińskiej floty i użyć swoich rakiet dalszego zasięgu. Wierzę Townly’emu. Jednak warunkiem powodzenia

jest podjęcie natychmiastowych działań. – Generał zwrócił się teraz do podległego sobie dowódcy grupy operacyjnej: – Myślę, że nasze F 15 poradzą sobie z tym. Niech Czterdzieste Czwarte szykuje samoloty, a ja w tym czasie spróbuję uzyskać na to zezwolenie.

Waszyngton, USA

Bender dziobał swoją porcję sałatki widelcem, aż w końcu odsunął ją na bok. Był wtorek, późny wieczór. Generał siedział w swoim biurze próbując myśleć tak, jak powinien myśleć prezydencki doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego. Patrz na całościowy obraz sytuacji, przykazywał sobie. Mimo że miał własne spojrzenie na świat i to, co się na nim działo, zarówno w moralnym jak i rozumowym sensie, akceptował to, że jego zadaniem jest pomagać Maddy Turner realizować jej wizję. Ale jak ona widzi świat? Robert skarcił się w duchu za to, że nie wie... i że nigdy o to nie pytał. A w ogóle dokąd on zmierza, jeśli myśli o prezydent Stanów Zjednoczonych jako o „Maddy”?

Sfrustrowany, zamknął oczy i skoncentrował uwagę na toczącej się na Morzu Wschodniochińskim bitwie. Mamy północ; tam jest już druga po południu jutrzejszego dnia, a oni ciągle walczą, myślał. Siedzący w Pentagonie futurologi zajmujący się przyszłością wojen uważali, że bitwy morskie staną się podobne do współczesnych działań wojsk lądowych – czyli będą krótkie i „bardzo ekscytujące”. Mylili się jednak. Bitwa, jaka miała teraz miejsce, przeciągała się niczym walka ślimaków. Dowódcy okrętów manewrowali z dużymi prędkościami po wielkim obszarze oceanu, aby uchronić swoich ludzi i maszyny. Brzęczyk telefonu przywołał Bendera do rzeczywistości. Dzwoniła Hazelton z Gabinetu Sytuacyjnego.

– CINC PAC chce zaatakować chińskie lotnisko na Kumejimie – poinformowała. – Mówi, że to bardzo pilne i domaga się natychmiastowej odpowiedzi. Jest tu pan Shaw; nie chce pozwolić na obudzenie prezydent. Mówi, że pani prezydent jest bardzo zmęczona i że wydała konkretną dyrektywę, żeby nie interweniować, chyba że zaatakują bezpośrednio nas.

Robert wstał, tłumiąc przekleństwo. Uderzył otwartą dłonią w biurko, wyładowując w ten sposób frustrację. Zaczepił przy tym końcami palców o widelec, który podskoczył, ozdabiając krawat generała dodatkowymi wzorkami z sałatki.

– Już tam idę! – rzucił do telefonu. Wypadł z pokoju, przykładając do krawata serwetkę.

Hazelton czekała przy drzwiach Gabinetu Sytuacyjnego. Podała wiadomość od dowódcy Sił Pacyfiku i czekała. Robert przeczytał kartkę i spytał:

– Jak pani widzi całą tę sytuację?

Mazana przypomniała mu treść wiadomości, jakie nadeszły ostatnio, i podsumowała:

– Wszystko pasuje. Przez najbliższe dziesięć, dwanaście godzin Kumejima będzie pozostawać najważniejszym miejscem dla rozstrzygnięcia całej bitwy. Jeśli jesteśmy w stanie wyeliminować to lotnisko, Japończycy będą mogli zaatakować chińską flotę z powietrza, przy użyciu rakiet dalszego zasięgu. Gdybyśmy zdołali także zneutralizować rozmieszczone w Kumejimie baterie rakiet Jedwabnik, wynik bitwy powinien zostać przesądzony. Warunkiem jest natychmiastowa decyzja prezydent.

– A dlaczego nie mogłoby to poczekać? – wtrącił się Shaw używając słodkiego południowego akcentu. – Walczą już od ponad dwunastu godzin i nie wygląda na to, żeby robili wiele więcej niż tylko straszili się nawzajem.

– Ściśle rzecz biorąc, bitwa trwa już szesnaście godzin – poprawił Robert. – To jest długo. – Popatrzył na monitor. – Zatonęło sześć okrętów nawodnych, cztery płoną lub unoszą się na wodzie unieruchomione, zniszczono także pięć okrętów podwodnych, ponad trzydzieści samolotów... To jest o wiele, wiele więcej niż tylko „straszenie się nawzajem”!...

– W takim razie dlaczego nagle stało się takie ważne, żebyśmy akurat teraz się w to włączyli? – chciał wiedzieć Shaw.

Generał postanowił po prostu zignorować go.

– Proszę skontaktować się z NMCC – miał na myśli Narodowe Centrum Dowodzenia Wojskowego – i sprawdzić, czy można się połączyć z generałem Overmeyerem – polecił. – Musimy z nim pomówić. – Teraz zwrócił się do Shawa: – Niech pan obudzi prezydent. Potrzebna nam jej decyzja.

Szef gabinetu przybrał beznamiętny wyraz twarzy.

– Pierwszy raz od poniedziałku miała możliwość odpocząć trochę – powiedział. Przechylił głowę filuternie, zauważając plamy na krawacie generała. – Miły obiad, zgadłem? – Uśmiechnął się, widząc jak Robert się czerwieni.

– Sir, mam połączenie z generałem Overmeyerem – poinformowała Hazelton. – Mogę przełączyć na głośnik.

– Nie trzeba – rzucił Shaw. – Wszyscy mamy swoje rozkazy, a ja nie będę budzić Maddy z powodu idiotycznego żądania jakiegoś admirała, który chce mieć swoje piętnaście minut sławy.

Bender zagroził szefowi gabinetu drogę do wyjścia.

– Niech pan obudzi prezydent – powiedział najsurowiej, jak tylko mógł.

Shaw był już w podobnych sytuacjach i postawa generała nie zrobiła na nim wrażenia.

– Nie – odparł krótko.

– W takim razie ja to zrobię.

Szef gabinetu uśmiechnął się.

– Jeżeli wejdzie pan na piętro dzisiaj w nocy, naśle na pana całą Secret Service; skoczą jak pitbullterriery na francuskiego pudelka.

Mazana otworzyła szeroko oczy. W jej obecności rozgrywała się znacznie poważniejsza batalia niż rywalizacja dwóch dumnych mężczyzn. Chodziło o to, kto ma prawdziwą władzę oraz dostęp do prezydent Stanów Zjednoczonych. Na twarzy Shawa zagościł na chwilę uśmiezek.

– Lepiej będzie, jeżeli w to uwierzysz, synu – rzucił jeszcze szef gabinetu. Bender uznał, że nie ma wyjścia; cofnął się i przepuścił go. Hazelton spuściła wzrok, bojąc się spojrzeć na swojego zwierzchnika, który przegrał.

– Sir – odezwała się. – Pan generał Overmeyer ciągle czeka...

Bender wcisnął guzik mikrofonu zbierającego dźwięk z całego pomieszczenia i zapytał przewodniczącego Komitetu Szefów Sztabów o jego ocenę sytuacji.

– Zgadzam się z CINCPAC-em – oznajmił Overmeyer. – Ale musimy to zrobić w ciągu kilku najbliższych godzin, i to najlepiej w nocy, zanim Japończycy będą musieli wycofać się dla uzupełnienia paliwa i amunicji. Potrzebna nam natychmiastowa decyzja.

– Nie mogę dotrzeć do prezydent – stwierdził Robert.

– Co tam się u was, do cholery, dzieje? – zdenerwował się przewodniczący.

– Nie mogę ominąć Shawa, który się uparł – przyznał Bender.

– Drugi raz taka okazja się nie powtórzy.

– Wiem... Coś panu powiem, generale: ciągle mamy trochę czasu. Może niech pan zaplanuje atak i każe wszystko przygotować, a ja spróbuję uzyskać pozwolenie pani prezydent rano, kiedy tylko się obudzi. – Robert rozłączył się i powiedział Mazie, żeby poszła sobie do domu. – Będę śledził uważnie sytuację – uspokoił ją. – Mam nadzieję, że nie straciliśmy jedynej szansy na zakończenie tej zawieruchy przy minimalnym rozlewie krwi.

– Obawiam się, że straciliśmy, sir – rozczarowała go Hazelton. Zebrała swoje rzeczy i poszła, zostawiając Bendara samego w Gabinetce Sytuacyjnym.

Generał zapadł w fotel i złożył dłonie pomiędzy kolanami, zwieszając nisko głowę.

– Sir – odezwał się głos młodego oficera – nadeszły nowe meldunki o bitwie. – Robert wiedział, że powinien wypocząć, jednak musiał pracować dalej. Popatrzył na monitory i spróbował skoncentrować się na informacjach pochodzących z satelitów i samolotów zwiadowczych, stacji radarowych oraz nasłuchowych.

Może, pomyślał, może mamy więcej niż dziesięć godzin. Wiedział, co musi zrobić.

– Pułkowniku, pójdę do swojego dawnego pokoju kimnąć się trochę – powiedział. – Proszę obudzić mnie za cztery godziny. – Poprosił dyżurującego lokaja o poduszkę i koc i ruszył do pustego biura, które niegdyś zajmował. Po kilku minutach spał już, rozciągnięty na podłodze.

* * *

Turner zajęła swoje miejsce w Gabinetce Sytuacyjnym dokładnie o szóstej trzydziestej rano. Wyglądała na całkiem wypoczętą.

– Dzień dobry, panowie – powitała obecnych. – Mam nadzieję, że macie dla mnie jakieś dobre wiadomości.

– Niezupełnie, pani prezydent – odparł Overmeyer. Wziął pilota i pokazał Turner na ekranach ostatnie meldunki wywiadu, jednocześnie streszczając wydarzenia. – Bitwa osiągnęła punkt krytyczny i w ciągu najbliższych godzin może

rozstrzygnąć się na korzyść każdej ze stron – powiedział. – Kluczem do pomyślnego rozwiązania jest Kumejima. Jeśli zdołamy zneutralizować tę bazę, Japończycy prawdopodobnie zwyciężą.

– A jak możemy to zrobić? – spytała Madeline. Overmeyer zarysował jej plan uderzenia z powietrza, które czekało tylko na jej akceptację. – Rozumiem... – mruknęła pod nosem.

– W Kadenie czeka dwanaście F 15E Strike Eagle, zatankowanych, uzbrojonych i gotowych do startu – powtórzył generał. – Musimy wyeliminować Kumejimę teraz, kiedy Japończycy są jeszcze w stanie to wykorzystać.

– Czy Chiny zagroziły lub zaatakowały Amerykanów? – zapytała Turner. Overmeyer przyznał, że bitwa nie doszła do Okinawy. – Robercie – spytała prezydent – jak odpowiedzą Chińczycy, jeżeli zaatakujemy Kumejimę?

– Zbrojnie nie mogą zareagować, ponieważ są zajęci Japończykami – odpowiedział Bender. – Spodziewałbym się ogromnych protestów dyplomatycznych, a także wymachiwania szabelką, ale wiele więcej nie zrobią.

– Czy możemy być tego pewni?

– Nie, pani prezydent – odezwał się sekretarz stanu. Szef wywiadu przyznał mu rację.

– W takim razie nie wtrącamy się. To nie nasza wojna – oznajmiła Turner. Overmeyer spał się.

– Pani prezydent – powiedział – błagam panią o ponowne rozważenie tej decyzji. Prędzej czy później i tak zostaniemy wciągnięci w konflikt. Lepiej, żeby nastąpiło to wcześniej i na naszych warunkach.

– Moja decyzja jest ostateczna – odparła Madeline i wyszła z pomieszczenia, kończąc spotkanie.

Bender pokręcił głową, sfrustrowany.

– Wyjdę na dwór zaczerpnąć trochę powietrza – mruknął. Ruszył powoli po schodach i ze spuszczoną głową dotarł do Ogrodu Różanego.

Przechodził tamtędy ogrodnik, którego Robert pamiętał; zdawało mu się, że ostatni raz widział go całe wieki temu.

– Dzień dobry, panie generale – powitał go mężczyzna.

– Dzień dobry, Stan – odpowiedział automatycznie Bender. Czy ja dobrze zapamiętałem jego imię? – zastanowił się. Uśmiech na twarzy ogrodnika oznaczał pozytywną odpowiedź na to pytanie. Robert ruszył dalej, zakładając ręce za plecami. Tak niewiele brakowało... – rozpaczął. Powstrzymanie się od uderzenia w dogodnym momencie gwarantowało, że zginie nieporównanie więcej ludzi. Robert nie był w stanie przeforsować czegoś, co miałoby istotne znaczenie. Może wobec tego pora zająć się czymś innym?

Tymczasem z Białego Domu wyszła szybkim krokiem Mazie Hazelton, krocząc ku Benderowi.

– Panie generale – zawołała – jest pan proszony do środka. Generał Overmeyer złożył rezygnację.

Rozdział dwudziesty

Waszyngton, USA

Turner wpadła do Gabinetu Owального i stanęła za swoim biurkiem, spoglądając groźnie na Bendera.

– Sukinsyn! – wypaliła. – Bawi się w politykę. Nie mógł zrezygnować w gorszym momencie!... – Patrzyła na swoich doradców. Tylko Shaw widywał ją już w gniewie i wiedział, jak silny potrafi być ten gniew, kiedy już nadejdzie. Jedy-
nym możliwym sposobem przetrwania wybuchu Madeline było przeczekanie go.

Bender odważył się odezwać:

– Pani prezydent, generał zrezygnował, ponieważ nie zgadzał się z pani decyzją o nieudzieleniu wsparcia Japończykom. Przypominam, że zobowiązaliśmy się kiedyś do tego.

– Zrobił to akurat w momencie, kiedy jest mi potrzebne bezwzględne poparcie wojska! – warknęła prezydent.

– Nadal ma pani pełne poparcie wojska – uspokoił Bender.

– A więc teraz je mam... a kiedy go nie miałam?!

Teraz i w Robercie się zagotowało. Pohamował jednak emocje i odpowiedział spokojnie:

– Departament Obrony popierał panią i wykonywał pani wolę równie lojalnie jak wszystkie inne departamenty.

– Co ja słyszę? Jeśli sobie dobrze przypominam, jedyną radą, jaką otrzymałam od Pentagonu, było: działać. Mamy już odpowiedni plan, proszę wprowadzić go w życie, zanim będzie za późno... Przepraszam bardzo, a dlaczego to jakiś tam plan ma być traktowany jak świętość? Dlaczego miałabym wszystko przyspieszać? – Wyładowywała złość na Benderze, a ten nie odpowiadał. Nigdy nie podejrzewał, że Madeline Turner ma i takie oblicze. Spodziewał się łez, a tymczasem w oczach prezydent była ta sama wściekłość i determinacja, którą słychać było w głosie. – Uwielbiam sposób, w jaki działacie! Posuwa się sprawę po kolejnych szczeblach w górę, aż w końcu ląduje na moim biurku. Wy jesteście tylko dobrymi żołnierzami wykonujący-

mi rozkazy. Nie ponosicie odpowiedzialności za życie waszych ludzi. Ja ją ponoszę!...

– Nie wyobraża sobie pani, jak ucieszyłby się generał Martini, usłyszawszy coś takiego... – mruknął Bender.

– A co to ma znaczyć?! – krzyknęła Turner. – Chce pan powiedzieć, że zwykły generał brygady...

– Chcę powiedzieć, pani prezydent, że ten zwykły generał brygady to ktoś, kto już wielokrotnie podejmował trafne decyzje dotyczące życia swoich ludzi, podczas gdy nikt inny nie chciał ich podjąć. Nigdy nie zawahał się przed działaniem ani też nie próbował „posuwać sprawy w górę”, jak się mawia. I jeszcze jedno, pani prezydent. On zrobi dokładnie to, co pani prezydent mu rozkaże, nie będzie się skarżył i nie pobiegnie do prasy, kiedy się nie powieździe. Rozumie, co to jest lojalność, w przeciwieństwie do niektórych pani współpracowników...

Shaw nadstawił uszu. Co za chwilę powie Bender? Czyżby wiedział o grupie Lelanda? Może wywiad Pentagonu dobrał się do moich spraw? Albo też Leland mnie wykiwał? Szef gabinetu dostał naglej zadyszki. Zmusił się do zwolnienia oddechu, zastanowiwszy się nad prawdopodobieństwem tego, że Bender wie, iż on, Shaw, przestał trzymać z Maddy. Przestałem z nią trzymać – powtórzył sobie w myśli eufemizm. Uspokoił się. W najgorszym razie generał może to tylko podejrzewać, uznał. Za bardzo dbał o zacieranie za sobą śladów.

– Niech pan nie prawi mi kazań o lojalności!... – burknęła jeszcze Turner, jednak złość już jej minęła. Usiadła. – W porządku, a teraz powiedzcie mi, co mam zrobić z Overmeyerem? Niepotrzebna mi publiczna dyskusja na temat powodów jego rezygnacji... w takim momencie.

Sekretarz obrony Elkins odchrząknął i powiedział:

– Generał Overmeyer ma ręce związane przepisami. Pozostanie przy swoim biurku i będzie wykonywał rutynowe obowiązki do czasu, aż pani prezydent przyjmie jego rezygnację. Wtedy dostanie oficjalnie urlop, dopóki nie zostaną dopełnione formalności niezbędne do przeniesienia go na emeryturę. Przez cały ten czas będzie miał zamknięte usta. Dopiero potem może sobie pozwolić na rozmowę z prasą czy napisanie książki.

– Każdy z nich chce napisać książkę... – mruknął Shaw. – Niech pani rzuci mu ochłap, pani prezydent. Może pani ogłosić w prasie, że „niechętnie przyjmuje jego rezygnację”. Następnie powie pani parę razy przy nadarżających się okazjach, że Overmeyer był dobrym oficerem, który wedle własnego mniemania działał w najlepszym interesie naszych sił zbrojnych. Ja tymczasem przekażę mu, że jeżeli w ciągu najbliższych dwunastu miesięcy odezwie się publicznie, dam mu się we znaki tak, że popamięta.

– To byłby błąd – ocenił Bender.

– To rozgrywka pierwszej ligi – zaoponował Shaw. – Kiedy kopie się dołki pod prezydentem, samemu się w nie wpada.

– Ważniejszym problemem jest to, kto zastąpi Overmeyera – odezwiała się Madeline.

– Przedstawię pani jak najszybciej odpowiednią listę – zobowiązał się Elkins. – Jak długa ma być? To znaczy, jak nisko mogę schodzić po szczeblach dowodzenia? – zapytał. Wszyscy czekali na odpowiedź. Zdarzało się już, że prezydenci mianowali przewodniczącym Połączonego Komitetu Szefów Sztabów generała niższego szczebla, który miał poglądy polityczne zbieżne z panującą administracją.

– Proszę sięgać tak nisko jak potrzeba, żeby znaleźć generała, który będzie popierał moją politykę – poleciła Turner.

– Czy mogę zasugerować, żeby doktor Elkins zaczął od obecnych szefów sztabów? – odezwał się Bender.

– Proszę poszukać niżej! – warknęła Madeline, ucinając dyskusję. W tym momencie weszła Jackie Winters.

– Pani prezydent, następne spotkanie już za trzy minuty – poinformowała. – Będzie pani rozmawiać z Radą Doradców Gospodarczych oraz z przewodniczącym Komisji Rezerw Federalnych w sprawie reformy podatkowej.

– Dziękuję ci, Jackie – odparła Turner i wyszła.

* * *

Elizabeth Gordon stała przed pomnikiem Lafayette’a. Kiedy Ben uruchomił kamerę, uniosła mikrofon i powiedziała:

– W Parku Lafayette’a panuje teraz spokój i cisza; nie ma już dobozsa pokoju ani demonstrantów. Jednak echa zamachu na wiceprezydenta Kennetta ciągle pobrzmiwają. Czy prezydent Turner złamała prawo, usuwając we wtorek nad ranem demonstrantów z parku? Kongres domaga się odpowiedzi na to pytanie, a Senat, na wniosek senatora Johna Lelanda, rozpoczął w tej sprawie śledztwo.

Przerwała, żeby studio nadało fragment pokazujący Lelanda, przygotowany wcześniej. Leland najgoręcej ze wszystkich potępił łamanie gwarantowanego przez konstytucję prawa do demonstracji i zażądał od Departamentu Sprawiedliwości wyznaczenia niezależnego prokuratora. Po chwili Liz włączyła się znów:

– Tymczasem kryzys na Dalekim Wschodzie wszedł w kolejną fazę. Generał Tennyson Overmeyer, przewodniczący Połączonego Komitetu Szefów Sztabów, złożył dzisiaj rano rezygnację. Wiarygodne źródła twierdzą, że generał zrezygnował w proteście przeciw sposobowi, w jaki prezydent reaguje na kryzys. Wielu wtajemniczonych zadaje sobie prywatnie pytanie: czy Madeline Turner nie utraciła przypadkiem zdolności sprawowania władzy? Spod Białego Domu mówiła Elizabeth Gordon, CNC News.

– To było dobre – pochwalił Ben, wyłączwszy kamerę. – Co to za wtajemniczeni, o których wspomniałaś?

– Zmyśliłam to. Ale mogę się założyć, że ktoś zadał już sobie to pytanie.

* * *

Shaw zaklął szpetnie. W żaden sposób nie mógł znaleźć prywatnej drogi prowadzącej do pewnej farmy w Wirginii. Prezydencki szef gabinetu miał liczne talenty, ale orientacja przestrzenna do nich się nie zaliczała. Od czasu jego pierwszej

wizyty stopniał śnieg i teraz wszystko wyglądało zupełnie inaczej. Shaw przeklinał teraz bez przerwy, żałując, że zniszczył wskazówki, które umożliwiły mu trafienie za pierwszym razem. Nie chciał jednak, żeby karteczka dostała się w niepowołane ręce. Zobaczył czarnego jaguara ze zdejmowanym dachem, jadącego w przeciwnym kierunku; mignęła mu burza jasnych włosów. Kiedyś zaprzętnęłoby to jego uwagę, ale teraz...

Patrzył w ciemność i próbował przypomnieć sobie drogę. Przecież to było niecały miesiąc temu, a ja nic nie pamiętam! – jęknął w duchu. Z tyłu zbliżyły się szybko reflektory jakiegoś wozu, którego kierowca błysnął następnie długimi. Shaw zjechał na bok, żeby go przepuścić. Był to ten sam czarny jaguar, a blondynka okazała się Jessicą – łączniczką Shawa z grupą Lelanda. Zatrzymał wóz. Jessica opuściła szybę i spytała:

– Zabłądziłeś?

Uśmiechnął się kwaśno, jak to on. Po chwili ruszył za nią i dojechali razem na miejsce. Ciekawe, ilu jeszcze osób uwagę zwróciłem? – pomyślał. Do samochodu podszedł jeden z młodych asystentów Lelanda i otworzył Shawowi drzwi, a następnie pokazał mu drogę do wiejskiego domu. Tym razem owa rustykalna kryjówka pełna była ludzi. Odbywała się istna narada wojenna.

– A więc to jest Grupa... – wyrwało mu się.

Leland wstał na jego widok i podali sobie ręce. Szanujący się wzajemnie przeciwnicy stali się nagle sojusznikami – tak to już w polityce bywa.

– Zna pan, jak sądzę, wszystkich obecnych – odezwał się Leland.

Shaw zamarł. Obok Gwen Anderson – sekretarz zdrowia i usług socjalnych, której uniemożliwił zostanie wiceprezydentem, zobaczył doktora Johna Weavera Elkinsa – sekretarza obrony.

– Cholera!... – mruknął. – Ludzie skaczą z łóżka do łóżka w takim tempie, że sam nie wiem, kto kogo pieprzy, jeżeli to akurat nie ja...

Leland stanął tymczasem przy kominku.

– W ciągu ostatnich kilku miesięcy – odezwał się donośnym głosem – przyglądaliśmy się, jak prezydent poświęca kraj na ołtarzu kompromisu, głupoty i bierności. – Zrobił pauzę dla zwiększenia efektu. – Nie wspominając już o niezgodnych z konstytucją próbach wprowadzenia reformy podatkowej.

Głowy zebranych pochyliły się na znak zgody.

– Zdrajczyńi... – mruknął nawet ktoś z kąta. Zdaje się, że niektórzy podchodzą do tego bardzo emocjonalnie, pomyślał Shaw.

Leland uśmiechnął się.

– Cierpliwości, przyjaciele, cierpliwości – powiedział. – Prowadzone na nasze zlecenie badania opinii publicznej wskazują, że wzrasta liczba przeciwników prezydent. – Shaw nadstawił uszu. Leland wkroczył właśnie w prywatną domenę Shawa. Szef gabinetu postanowił nakazać własnym ekspertom przeprowadzenie niezależnych badań. – Rozkład opinii jest taki, że możemy już podjąć działanie – kontynuował Leland. – Dlatego właśnie się tu dziś zebraliśmy. Zaczniemy od tego: jaki jest stan wiceprezydenta?

– Ciągłe krytyczny – odpowiedział Shaw. – Wystąpiła infekcja, grozi mu także utrata lewej ręki i lewego płuca.

– A zatem wiceprezydent jest skutecznie wycofany z gry – stwierdził senator. – To pozwala nam ruszyć do akcji, biorąc pod uwagę, że pozbawiliśmy Turner większej części jej bazy politycznej w Kongresie. Trzeba teraz jeszcze sprawić, żeby nie miała oparcia we własnej administracji.

– Mogę opóźnić znalezienie następcy Overmeyera – odezwał się teraz Elkins. – Poza mną, przewodniczący Komitetu Szefów Sztabów jest jedynym łącznikiem prezydent z Departamentem Obrony.

– Jak długo może pan zachować w tej sprawie stan obecny? – chciał wiedzieć Leland.

– Przez tydzień, może dziesięć dni – odparł sekretarz.

– Świetnie. To więcej niż nam trzeba. Teraz pozostaje tylko kwestia odpowiedniej osoby. Czy wiecie państwo, że osobista asystentka Turner, Jackie Winters, jest lesbijką?

– To nigdy nie było specjalną tajemnicą – odparł Shaw. – Winters zawsze była bardzo dyskretna i przez tyle lat nie była eee... aktywna.

– Chce pan przez to powiedzieć, że Winters nie ma kochanki – uściśliła Gwen Anderson.

– A ja nic o tym nie wiedziałem – przyznał Elkins. – Gdybym wiedział, od razu bym zrezygnował.

– Wygląda na to, że wszyscy tu zrezygnowaliśmy – mruknął Shaw.

Anderson uśmiechnęła się do niego:

– Każdy na swój sposób – powiedziała.

Leland przechadzał się tymczasem tam i z powrotem, podekscytowany perspektywą najbliższej przyszłości.

– Jesteśmy już tak blisko. Tak blisko... – powtórzył. Przystanął i popatrzył prosto na Shawa. – Społeczeństwo ma prawo wiedzieć, że ich prezydent zadaje się z osobą moralnie zdegenerowaną.

Szef gabinetu omal nie wybuchnął śmiechem. Nazwanie Jackie Winters osobą moralnie zdegenerowaną brzmiało jak dobry tekst komediowy. Winters była samotną kobietą w średnim wieku, a praca stanowiła jedyną treść jej życia.

– Ona i Bender mogliby walczyć o pierwsze miejsce w konkursie na największe niewiniątko roku – powiedział. Spodobał mu się własny żart; będzie musiał go jeszcze powtórzyć. Nagle włączył się jego instynkt politykiera. Shaw nie miał oporów przed zniszczeniem Winters, jednak tak się zwykle działo, że w ostatecznym rozrachunku prawda szkodziła tym, którzy usiłowali nagiąć ją dla swoich celów. W świecie postrzeganym przez Shawa zarówno prawda, jak i wierutne kłamstwa były niebezpieczne; jednego i drugiego należało unikać. Znacznie lepiej było działać stosując różne wykręty, nieścisłości, wiodące na manowce sugestie. Niech inni mają do czynienia z prawdą, pomyślał. – To nie może wyjść ode mnie – zastrzegł się.

– Czyżby bał się pan prawdy? – spytał Leland.

Zgadłeś, pomyślał Shaw.

– Jeśli wezmę w tym jakikolwiek udział, Maddy domyśli się wszystkiego i natychmiast mnie zwolni – wytłumaczył. – To absolutnie pewne. A jest wam po-

trzebny ktoś blisko prezydent. – Omal nie dodał ostrzeżenia, że nie należy lekceważyć Maddy Turner, ale pomyślał, że nie zabrzmiałoby to dobrze. Leland mógłby zapytać, dlaczego do nich przystał, skoro tak uważa.

– Na kim jeszcze w tej chwili Turner może się opierać? – zapytał senator.

– Na swoim „kuchennym gabinecie” – odparł Shaw. Dorzucił do tego nazwiska kilkorga senatorów i członków gabinetu. – To wszystko płotki – ocenił.

– A Bender? – zapytała Gwen Anderson.

– Bender jest nikim – wyjaśnił Shaw. – Nie ma bazy politycznej, jest wyobcowany spośród generałów. Mało może.

– Nie wiadomo, co w nim drzemie – nie ustępowała Anderson. – On mnie niepokoi.

– Patricku, czy możesz usunąć na bok Bendera przed weekendem? – spytał Leland.

Szef gabinetu zaniepokoił się poważnie. Wydarzenia toczyły się w tempie, na którym nie potrafił w żaden sposób zapanować. Mógł tylko próbować za nimi nadążyć. Miał nadzieję, że wsiadł do właściwego pociągu.

– Da się zrobić – obiecał.

Leland przyjął pozę, która przywiodła Shawowi na myśl jakiegoś mściwego proroka.

– Jeszcze tylko jeden incydent, przyjaciele – powiedział senator. – Wystarczy nam tyle. Czas już usunąć ze sceny tę kobietę i ocalić nasz wielki kraj. – Shaw rozparł się wygodnie, patrząc na żywiołową reakcję zebranych. Tymczasem Jessica popatrzyła na niego podekscytowana, a w jej wzroku zobaczył pożądanie.

Okinawa, Japonia

Martini zwolnił, przejeżdżając obok bramy bazy. Ruch był spory; przybywający i wychodzący mieli na sobie polowe mundury, hełmy, kamizelki przeciwoodłamkowe. Niektórzy jedli coś po drodze, inni nieśli jakieś paczki. Przeszła także nastoletnia para w cywilnych ubraniach, trzymająca się za ręce. Generał pojechał teraz do budynku dowództwa w zachodniej części bazy. Ku swojemu zdziwieniu zastał w biurze swoją cywilną sekretarkę, układającą jak gdyby nigdy nic na długim stole stosiki dokumentów.

– Nigdy nie zdoła pan nadgonić zaległości – oceniła, zerkając na masę papierów, jakie przychodziły dzień w dzień do amerykańskiego generała. Życie wedle wszelkich danych wracało do normalności.

Na Martiniego czekał także szef Biura Zbierania Informacji Specjalnych bazy, czyli w angielskim skrócie OSI. Był to młodo wyglądający człowiek, ubrany po cywilnemu. Nosił kamizelkę fotografa.

– Jak bardzo przyglądają się nam Chińczycy? – zapytał generał.

– Zidentyfikowaliśmy trzy niezależne drużyny – odparł agent OSI. Wyciągnął mapę o małej podziałce, przedstawiającą południową część Okinawy, i za-

kreślił na niej trzy obszary. – Każda z drużyn zajmuje się swoim terenem. Śledzą między innymi starty i lądowania samolotów oraz pojazdy wjeżdżające i wyjeżdżające z rejonu magazynów amunicyjnych. Czasami tracimy ich z oczu, ale zawsze pojawiają się na nowo w ciągu jednego czy dwóch dni. – Przerwał. Ile jeszcze powinien powiedzieć generałowi? – Zidentyfikowaliśmy także czterech agentów japońskich, którzy nas obserwują.

– Dziwi to pana? – odparł Martini. Nie było odpowiedzi. – Chcę, żebyście zneutralizowali drużyny Chińczyków, z wyjątkiem tej, która obserwuje ruch w magazynach amunicyjnych.

– Czy chce pan, żebyśmy sami to zrobili, czy też przekazali zadanie Japończykom?

– A kto zrobi to skuteczniej?

– Japończycy. Oni nie martwią się o to, co jest prawnie dozwolone.

– Niech więc zrobią to Japończycy.

– Ucieszą się, sir.

* * *

Major Robert Ryan siedział w prowizorycznym biurze urządzonym w budynku, który niegdyś służył do obsługi bunkrów z bronią jądrową. Kiedy usłyszał na korytarzu jakieś zamieszanie, ruszył w stronę hałasu, zastanawiając się, co to może być. Nagle zatrzymali go dwaj uzbrojeni wartownicy.

– Przykro nam, sir – odezwał się jeden z nich – ale żeby iść dalej, musiałyby pan mieć przepustkę klasy A oraz dwie inne osoby dla kontroli. – Ryan wrósł w ziemię. Wiedział, że przepustki klasy A oraz dwuosobowe kontrole potrzebne są w miejscach związanych z bronią atomową.

– Przecież cały ten teren to teraz schron dla cywilów... – zaprotestował.

– Ta część budynku nie – wyjaśnił wartownik.

– Proszę się nie niepokoić, panie majorze – powiedział drugi strażnik. – Usuwamy z bunkrów ostatnie pozostałości pewnego sprzętu. Za parę minut będzie pan miał wszystko do dyspozycji. – Doktor zobaczył ręczny wózek pchany przez dwóch żołnierzy; były na nim skrzynki z narzędziami i przyrządy kontrolne. Napiecie ustąpiło.

* * *

Pete Townly miał dobry dzień. Wypoczął, wziął prysznic; po raz pierwszy od trzech dni czuł się jak człowiek. Duży bunkier wywiadu tętnił życiem; nie było już jednak śladu paniki, która dawała się we znaki przez dwa pierwsze dni bitwy na Morzu Wschodniochińskim, jak nazwał ją teraz CINC PAC. Nagle otworzyły się zielone drzwi do pokoju ściśle tajnej łączności i wypadł z nich podekscytowany sierżant, trzymając w ręku wydruk. Townly popatrzył na wiadomość i nagle dzień stał się jeszcze lepszy. Sprawdził dokładnie datę i godzinę nadania informacji: sobota, dziewiątego lutego, piąta trzydzieści siedem czasu miejscowego. Wiadomość pochodziła zatem sprzed niecałych czterdziestu minut. Wybiegł z bunkra i pobiegł do stanowiska dowodzenia.

Wpadł do kabiny kontroli bez pukania.

– Sir! – zawołał. Martini chciał przywołać go do porządku, ale powstrzymał się. – Japończycy zatopili „Przewodniczącego Mao”! – zakomunikował spokojniejszym już głosem.

– Najwyższy czas – burknął generał. – Jakież szczegóły?

– Zdarzyło się to o piątej trzydzieści siedem dziś rano. Trzy japońskie okręty podwodne przedostały się przez eskortę lotniskowca i trafiły go czterema torpedami. Złamał się na pół.

– A co się stało z tymi okrętami podwodnymi?

– Jak się zdaje, wszystkie zostały zniszczone...

Martini wsparł głowę na łokciach. Bitwa trwała od trzech i pół doby, myślał. Osiemdziesiąt dwie godziny piekła na ziemi. Zamknął oczy i wyobraził sobie całą akcję. W końcu podniósł wzrok. Był smutny.

– Trzy okręty podwodne to bardzo wysoka cena – powiedział do Townly’ego. – Oni określają tam, jak ma wyglądać współczesna bitwa morska; mam nadzieję, że nasi robią z tego notatki. – Wyprostował się i zabębnił palcami w stół. – Instynkt mówi mi, że Japończycy wygrają tę bitwę bez naszej pomocy. A jak tam twój nos, Townly?

– Mój nos?...

– Co ci teraz mówi?

– Jeszcze się to dla nas nie skończyło, panie generale.

Waszyngton, USA

Na ekranie Gabinetu Sytuacyjnego wyświetlano nieruchome, czarno-białe zdjęcie. Było niewyraźne; przypominało Benderowi gazetowe zdjęcie płonącego okrętu z czasu drugiej wojny światowej. Jednak ta fotografia została wykonana niecałe dwie godziny temu. Donośny głos DCI dopełniał obrazu, opisując sytuację, która wydawała się jak ze snu:

– Nasze satelity wykryły przekaz radiowy z jednego z okrętów eskortujących „Mao”. Nadawali do Pekinu nagranie wideo, pokazujące zatonięcie lotniskowca. – Teraz na ekranie pojawiły się kolejne zdjęcia dokumentujące agonię wielkiego okrętu.

– Ilu ludzi zginęło? – zapytała Turner.

– W tej chwili jeszcze nie wiadomo. Chińczycy nie martwią się ofiarami w ludziach tak jak my. Uważają ludzkie życie za coś w rodzaju naturalnego bogactwa, z którego można czerpać. O wiele większą wagę przywiązują do obiektów materialnych, w szczególności takich jak „Przewodniczący Mao”.

– Czy bitwa się zakończyła? – dopytywała Madeline.

– Jak się wydaje, obie strony wycofują się – odezwał się szef Operacji Morskich. – Ale to jeszcze nie jest całkowite zaprzestanie walk. Zetrą się znowu.

– Kiedy wreszcie skończą to szaleństwo? – rzuciła prezydent. Zebrani wokół niej mężczyźni nie potrafili odpowiedzieć na to pytanie. – Myślałam, że wojny z licznymi ofiarami w ludziach to już przeszłość.

– To błędny osąd, oparty na doświadczeniach wojny w Zatoce Perskiej – stwierdził Bender. – Kiedy obydwie strony dysponują zbliżoną siłą i poziomem technicznym, wtedy współczesna wojna okazuje się bardzo krwawa.

Turner odwróciła wzrok od ekranu.

– Musimy to powstrzymać – oznajmiła. – Jest już piątek wieczorem. – Podeszła do drzwi. – To był trudny tydzień. Wszyscy panowie zasługujecie na odpoczynek i spędzenie wieczoru z rodzinami. Wrócimy do tych spraw jutro rano.

Za drzwiami czekała Jackie Winters; odprowadziła Madeline do Gabinetu Ovalnego.

– Pani prezydent, muszę z panią porozmawiać na osobności – powiedziała.

Turner usłyszała cierpienie w głosie swojej asystentki, usiadła więc z nią na kanapie. Jackie opowiedziała prezydent, czego się dowiedziała: przyjaciółka ostrzegła ją, że Narodowa Sieć Gejów i Lesbijek zamierza podać do prasy informację, że ona – Jackie – jest lesbijką.

– Jackie, nie martw się tym – pocieszyła ją Madeline. – Zawsze byłaś przyzwyczajona, ciężko pracującą, oddaną asystentką, a twoje sprawy prywatne nigdy nie miały znaczenia dla naszych wzajemnych stosunków. Nie zamierzam nagle robić z tego bomby. W końcu mamy już dwudziesty pierwszy wiek.

– Ale klimat polityczny jest teraz tak pani nieprzychylny... a w polityce nie przebacza się... – Winters zamilkła na chwilę. – Byłabym dla pani problemem, na który nie może sobie pani pozwolić. Złożę rezygnację.

– Jackie, nie zrobiłaś absolutnie nic złego, a ja nie pozwolę ci zrezygnować – zaprotestowała Madeline. – To wszystko.

* * *

Godzinę później Ella – młodsza z sekretarek Bendera – odebrała telefon z biura Shawa. Szef gabinetu chciał się widzieć z doradcą do spraw bezpieczeństwa. Sekretarka przekazała więc generałowi wiadomość i zapytała Normę, dlaczego Shaw nie zadzwonił do Bendera bezpośrednio, tak jak zwykle robił.

– Chyba pan generał będzie miał jakieś kłopoty – przewidziała starsza z sekretarek.

Robert wszedł do biura szefa gabinetu, ale nie siadał. Shaw rozparł się w fotelu, bawiąc się przyrządem do otwierania listów.

– Prezydent poprosiła mnie, żebym z tobą pomówił – oświadczył. – Być może przypominasz sobie tę uroczą pogawędkę, którą odbyliście z nią w środę rano?

– Kiedy generał Overmeyer złożył rezygnację?...

– O to-to, synu – potwierdził protekcyjnie Shaw. Zobaczył, że generał zaciska zęby, postanowił więc poznać się nad nim jeszcze trochę. – Pamiętaj. – Trudno byłoby mu teraz mówić w inny sposób. Pozwalał triumfować swojej pokrętej naturze. – Wiesz, synu, czasami wydaje mi się, że musisz cierpieć na nieuleczalny przypadek głupoty.

Bender był naprawdę zmęczony, a Shaw nazwał go właśnie „synem” o jeden raz za dużo. Robert zapłonął gniewem. Miał ochotę wbić ten otwieracz do listów pomiędzy pośladki szefa gabinetu, i to najlepiej w poprzek. Opanował się jednak i zaczął z udawaną grzecznością:

– Panie Shaw, czy mógłbym uprzejmie pana prosić o zaprzestanie zwracania się do mnie w tak protekcyjny sposób? Widzi pan, nie jestem pańskim synem, co można szybko ustalić za pomocą zwykłego testu DNA, ponieważ nie byłem modyfikowany genetycznie. A jeśli chodzi o głupotę, to zdaje się, że to bardzo zakaźna choroba...

– Nie pasujesz tu... – Głos szefa gabinetu zamarł pod straszliwym spojrzeniem generała.

– Proszę, proszę, panie Shaw. A więc zrozumiał pan to wreszcie...

W tym momencie cała nienawiść szefa gabinetu do Bendera, jaką hodował w sobie od początku, wypłynęła na zewnątrz. Wszystko brało się stąd, że ten generał jest człowiekiem, którego on, Shaw, nie będzie nigdy w stanie zdominować ani wodzić za nos. Patrick poczerwieniał, a jego oczy ciskały błyskawice. Teraz jego kontrolowany południowy akcent zniknął zupełnie.

– Jesteś najbardziej aroganckim, niesubordynowanym sukinsynem, jakiego w życiu spotkałem!... – bluźnął.

– Ze względu na osobę mówiącego uważam to za komplement – odparł Bender.

Shaw zastanowił się chwilę, co ma powiedzieć. Powrócił do pierwotnego tematu:

– Wracając do środowego poranka...

– Czyżby miał pan trudności ze skupieniem uwagi na omawianym temacie, panie Shaw? – przerwał generał.

Nie będziesz kierował tą rozmową! – pomyślał Patrick. Ja tu rządę.

– Zapomina pan chyba, że Maddy jest prezydentem, któremu pan podlega! – rzucił.

– Rozumiem. A zatem prawidłową formą nazywania jej jest „Maddy”, a nie „pani prezydent”?

– Nie dyskutuje się ani nie krytykuje prezydenta! – Shaw był już gotów na kolejną ostrą replikę ze strony Bendera, ale generał tym razem milczał, wbijając w niego wzrok. – Zrobił to pan o jeden raz za dużo, chociaż był pan już w tej sprawie ostrzegany!... – Szef gabinetu powrócił do grzecznościowej formy zwracania się do doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego.

– Rzeczywiście, przypominam sobie, że panna Winters wspominała mi coś o tym – odpowiedział Robert. – Nie wiedziałem jednak wtedy, że mówi w imieniu prezydent.

– Ja mówię w imieniu prezydent – oznajmił Shaw.

– I pan oskarża mnie o arogancję i niesubordynację? – Bender uniósł dłoń. Czy miał na myśli zawieszenie ognia? – Proszę, panie Shaw, niech pan powie mi, co ma do powiedzenia, bez całej tej teatralności. Tak będzie o wiele szybciej.

– Prezydent poprosiła o pańską rezygnację – skłamał Patrick. – Może pan podać jako powód nie pozwalające na współpracę różnice poglądów.

– Ach, zupełnie jak przy rozwodzie...
Szef gabinetu wytoczył teraz swoją najcięższą artylerię:
– Pańska niezdolność do poprawnej współpracy i zwracania się do pani prezydent w odpowiednim stylu to tylko połowa problemu. Jest jeszcze sprawa tej... jak to ona ma na imię? ...Shalandry.

* * *

Kiedy Bender wrócił do domu, żona gotowała późny obiad. Zawsze uspokajał go ten widok. Jednak widać było, że Nancy jest niespokojna.

– W porę przyjechałeś – burknęła. Normalnie Robert sięgnąłby do lodówki po piwo i przebrał się. Jednak teraz musieli najpierw omówić z Nancy ważne sprawy. Usiadł na stołku przy barku, na którym jadal śniadania. – Miałam zły dzień – powiedziała Nancy. – Shalandra uciekła ze szkoły.

– Nie dziwię się – odparł Robert takim tonem, że jego żona aż wypuściła nóż, którym kroила warzywa. Uniosła brwi. – Shaw powiedział mi o problemach Shalandry w Akademii.

– Chłopcy nie dają jej spokoju – stwierdziła Nancy.

– To samo on powiedział.

– Czy wiesz, że dwaj chłopcy zmusili ją do nagrania pornograficznego filmu wideo? – spytała. Bender skinął głową. – Dowiedzieli się o jej przeszłości i teraz nie dadzą jej żyć.

– A jak się o tym dowiedzieli?

Nancy wzięła nóż i powróciła do krojenia papryki na sałatkę.

– Brian im powiedział – odparła.

Bender popatrzył na nią zszokowany.

– A on skąd wiedział? – Pytanie było głupie. To oczywiste, że ktoś z Białego Domu musiał mu to wyjawić. Przed oczami Roberta stanął obraz uśmiechającego się złośliwie Shawa. To cholerny sukinsyn! – pomyślał z wściekłością generała. Łapy precz od naszych rodzin!

– Nie dano jej szansy spróbować żyć normalnie – powiedziała pani Bender. – Nie dano jej szansy... – powtórzyła.

Robert miał ochotę poradzić żonie, żeby dała sobie spokój z Shalandrą i skupiła uwagę na pracy, którą wykonywała. Nancy mogła teraz jedynie spróbować odsunąć od siebie kłopoty, jakie powodowała Shalandra, i mieć nadzieję, że może życie dziewczyny nie zakończy się tragicznie. Powiedział jednak tylko:

– Wiem, że chciałaś jej pomóc. Jednak nie sądzę, żebyś była w stanie wiele w tej sprawie zdziałać.

– Taka jestem wściekła! Wszystko, co dla niej zrobiłam, psu na budę się zdało! Nie umiałam jej zmienić. Ma zakodowane w głowie, że musi zmarnować sobie życie. Choćbym wychodziła ze skóry... Mogłam co najwyżej spróbować nią wstrząsnąć, tak jak chciałam wstrząsnąć Laurie, kiedy wstąpiła do lotnictwa... – Nagle, usłyszawszy własne słowa, Nancy doznała objawienia. – Nigdy nie chciałam, żeby latała, ale ona zawsze była twoją córką – oznajmiła. – Dlaczego wydawało mi się, że jestem w stanie ją zmienić albo zmienić Shalan-

dre? – Słowa otworzyły w Robercie dawną ranę. Czyżby oboje za dużo wymagały od tragicznie zmarłej córki? Wyciągnął rękę, żeby dotknąć Nancy, przekazać jej choć odrobinę ciepła. Odsunęła się jednak i odwróciła plecami, żeby nie było widać, jaka jest wściekła.

– Nie zapłakałeś ani razu, wiesz? – odezwała się. – Ani razu. Poznałabym to po tobie. – Nancy popatrzyła teraz na męża. – W porządku. Ja płakałam tyle, że starczyło za nas oboje. Czy zajmowanie się Shalandrą to sposób na uniknięcie myślenia o śmierci Laurie albo kompensacja poczucia winy? Nie wiem. Och, znam te wszystkie medyczne określenia, umiem je stosować do innych ludzi, a do siebie nie potrafię. Ale w tej chwili to chyba nie ma znaczenia, prawda? Shalandra uciekła i prawdopodobnie znowu znalazła się na ulicy. Trafi pewnie kiedyś na ostry dyżur, może nawet martwa, a przynajmniej pobita przez swojego alfonsa czy klienta. Oni zawsze to robią, wiesz?... – Łzy popłynęły pani Bender po policzkach. – Nie masz okazji, by się przekonać, co prostytutki i narkotyki robią z kobietami. Ja widzę to codziennie. O mój Boże, przecież ona ma dopiero czternaście lat! – Zaczęła ze złością dzielić leżącego przed nią kurczaka. – Dlaczego nie przebierasz się na obiad?...

Robert chciałby jakoś ulżyć żonie, nie wiedział jednak, co powiedzieć. Nie był pewien, czy Nancy w ogóle będzie chciała go słuchać. Poszedł więc na górę i machinalnie włączył telewizor na wieczorne wiadomości. Jak zwykle pokazywano morderstwa, przemoc, zniszczenia, przedstawiano problemy nie do rozwiązania. Nagle nadano elektryzującą wiadomość. Jedna z organizacji homoseksualistów ogłosiła, że osobista asystentka prezydent Stanów Zjednoczonych jest lesbijką. To dlatego Jackie chciała dzisiaj porozmawiać z Maddy na osobności, pomyślał generał. Chciała ją ostrzec.

Przełączył kanał. Na ekranie ukazała się twarz Petera Whiteside'a, przełożonego korespondentów akredytowanych przy Białym Domu. Stał teraz na schodach Kapitolu w towarzystwie senatora Lelanda.

– Panie senatorze, czy w dzisiejszych czasach oraz w obecnej sytuacji informacja o tym, że pośród współpracowników prezydent jest lesbijka, zasługuje w ogóle na naszą uwagę? – zapytał.

– W innym przypadku zgodziłbym się z panem – zaczął Leland – jednak tu ukrywano to przez całe lata... Dlaczego? Jaka była natura relacji pomiędzy Winters a prezydent? Co jeszcze dzieje się w Białym Domu zamieszkiwanym przez panią Turner? Co do tej pory ukrywa się przed ludźmi? Oto pytania, które zadaje sobie wielu pobożnych Amerykanów. Pytania te zasługują na uczciwe i pełne odpowiedzi.

Generał pokręcił głową, zde gustowany, i wyłączył telewizor. Zszedł na dół.

– Oglądałeś wiadomości? – zagadnęła Nancy.

– Owszem.

– Wiedziałeś, że Jackie jest lesbijką?

– Nie. Nie znałem jej aż tak dobrze.

– Co zamierzasz powiedzieć prasie?

– Nie mam nic do powiedzenia. Turner poprosiła o moją rezygnację. Formularz leży na biurku Shawa.

- Dlaczego dopiero teraz mi o tym mówisz?!
- Robert wzruszył ramionami.
- Czekałem na lepszy moment – wytłumaczył.
- Nancy nasunęła się pewna myśl.
- Czy Shalandra nie ma z tym nic wspólnego? – zapytała.
- To bez znaczenia – uciął Bender. – Wyjedźmy stąd na weekend, znajdziemy sobie jakiś wiejski zajazd, gdzie nikogo nie obchodzi, co dzieje się w Waszyngtonie.
- Do oczu Nancy Bender znowu napłynęły łzy.
- Robercie, jak my przez to wszystko przejdziemy? – powiedziała z bólem.

* * *

Nocna oficer dyżurna czuwająca w sekcji łączności Białego Domu odebrała telefon z policji. Nie wahając się, natychmiast zadzwoniła do Shawa. Tak jak się spodziewała, szef gabinetu rozżłościł się, że będą go piętnaście po trzeciej w nocy. Jednak wiadomość była nie do zignorowania.

– Niech pani obudzi prezydent – polecił. – Będę tam za dwadzieścia minut. – Był już po czternastu. Od razu skierował się do prywatnego gabinetu Turner. Zapukał dwukrotnie; drzwi otworzyła mu Maura.

Prezydent stała przy kominku, czytając jakąś wiadomość. Miała na sobie granatowy szlafrok; włosy zaciesała do tyłu. Takie zdjęcie byłoby warte z milion głosów! – pomyślał Shaw. Przez chwilę zastanowił się poważnie, czy nie wezwać fotografa. Jednak zaszkodziłby w ten sposób sprawie, a nie pomógł.

– Policja przysłała to parę minut temu – powiedziała bez żadnych wstępów Madeline. – To kserokopia. – Podała Shawowi kartkę. Przeczytał:

Droga Maddy!

Proszę Cię, wybac mi, ale zraniłam cię tak, że nie mogę tego wytrzymać. Nie mogę tak dalek funkcjonować. Zawsze będę Cię kochała.

Pod spodem widniał charakterystyczny podpis Jackie.

– Spalili ją na scenie politycznej – powiedziała Turner – a ona bała się, że reakcja opinii publicznej zaszkodzi i mnie.

– Gdzie ją znaleziono? – zainteresował się Shaw.

– Pojechała do małego parku nad Potomakiem, w górę rzeki – odpowiedziała Maura. – Wzięła tabletki nasenne. Znalazł ją strażnik parku.

Szef gabinetu przeczytał notkę jeszcze raz.

– Niedobrze – mruknął. – Znajdzie się sporo dupków, którzy powiedzą, że to dowód, że Jackie była pani kochanką.

– Niech pan nie opowiada bzdur! – obruszyła się Madeline.

– Wszyscy wiemy, jak było naprawdę, pani prezydent. Ale w polityce liczy się obraz publiczny danej osoby – nie ustępował Shaw. – Proszę o pozwolenie na uprzątnięcie jej biura.

– Nie! Nie ma tam nic do uprzątnięcia. Chcę, żeby zszedł pan do Secret Service i polecił im opieczetować biuro Jackie. Niech pan także zadzwoni po FBI i zostanie w pokoju Jackie do czasu ich przybycia.

– Już idę.

– Patricku, jeszcze jedno – zatrzymała Shawa prezydent. – Nie pozwolę nikomu, niezależnie od tego kto to będzie, naginać prawdy. Pierwsza osoba, która to robi, poczuje na swojej skórze, co to znaczy narazić się prezydent.

– To mogłoby pani zaszkodzić...

– Jeśli tylko będą trzymać się prawdy, nie będzie żadnego problemu, Patricku.

– Tak jest, pani prezydent – odpowiedział Shaw. – Mam postawić tę sprawę ostro.

– Masz rozsiekać wszystkich, którzy odważą się pisać inaczej.

Długa droga do zachodniego skrzydła pozwoliła szefowi gabinetu opanować nieco trawiący go niepokój. Jeśli nie zawodziły go polityczne instynkty, Leland wykorzysta samobójstwo Jackie do ostatecznego pokonania Maddy. Czy jednak Turner straciła już ochotę na kontratak? Nie wiadomo. Czy on, Shaw, poparł niewłaściwą stronę? Ocenił, że okaże się to w ciągu najbliższych czterdziestu ośmiu godzin. Wszedł do pokoju, który Winters dzieliła z sekretarkami prezydent, i pootwierał szuflady biurka, posługując się przy tym chusteczką. Zaczął grzebać w rzeczach, uważając, żeby nie zakłócić panującego w szufladach porządku. Podniósł zdjęcie wykonane aparatem typu Polaroid, które wydawało się nie pasować do otaczających je przedmiotów. Fotografia przedstawiała wiejski dom, w którym zbierała się grupa senatora Lelanda.

Teraz niepokój Shawa doszedł szczytu. Co oznaczało to zdjęcie?! Jeśli Maddy wiedziała o grupie Lelanda, to wiedziała i o nim, Patricku Shawie! A może nie wiedziała? Czy miał jeszcze czas na wymanewrowanie się z sytuacji, zanim zostanie wykryty? Oddychaj! – poradził sam sobie. Skoncentrował się przez chwilę na oddychaniu. Cholera, zrób coś! – myślał w panice. W końcu schował zdjęcie do kieszeni, zamknął szufladę i poszedł do swojego biura, starając się iść jak najspokojniej.

Otworzył zamykaną na klucz szufladę, w której trzymał majtki pozostawione niedługo przez Jessicę. Schował je do kieszeni i wrócił do pokoju Jackie. Znowu otworzył przez chusteczkę jedną z szuflad i wrzucił do niej damskie majtki. Jeśli będzie miał szczęście, przeprowadzą test DNA i udowodnią, że nie była to bielizna Jackie. Powstałoby wtedy pytanie, do kogo należała i dlaczego znalazła się w szufladzie Winters. Skandal seksualny w Białym Domu to było dokładnie to, czego pragnął Leland. Shaw ostrożnie zamknął szufladę.

Wyszedł na korytarz i skinął na jednego z dyżurujących agentów prezydenckiej ochrony.

– Proszę opieczętować to biuro – polecił. – Nie wpuszczajcie tu nikogo do czasu, aż przyjedzie FBI. – Wrócił do siebie. Musiał zadzwonić do Lelanda. Tylko skąd, bo na pewno nie z Białego Domu... Będzie trzeba z tym zaczekać.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Okinawa, Japonia

Martini wyczuł zmianę od razu, kiedy tylko wszedł do budynku dowodzenia. Pachniało inaczej. Wszyscy mieli na sobie świeżo wyprasowane mundury, a korytarze aż lśniły, wymyte po hucznej zabawie. Kiedy generał przechodził przez salę stanowiska dowodzenia, usłyszał w prowadzonych rozmowach ton ostrożnego optymizmu. Drzwi kabiny kontroli były otwarte. Widać było, że wewnątrz zostało dokładnie wysprzątane. Sztab zebrał się w szklanym pomieszczeniu na naradę. Pete Townly miał pod ręką duży notatnik.

– Dobry wieczór, panie generale – powitał wchodzącego. Była siódma wieczór, sobota, dziewiątego lutego – dwudziesty dziewiąty dzień kryzysu.

– Co tam masz, Pete? – zagadnął Martini. Townly opisał bieżącą sytuację na Morzu Wschodniochińskim. Obie strony wycofały się, aby lizać rany. Walka ustała.

– Kiedy znowu się zetną? – spytał dowódca grupy operacyjnej.

– Nieprędko – wyjaśnił Townly. – Obie strony zużyły zapasy paliwa i amunicji. Jeśli dodać do tego poniesione przez flotyllę straty, to nie wydaje mi się, żeby w najbliższym czasie mogło dojść do jakiejś poważniejszej akcji. Chińczycy tak się okopują na Kumejimie, że szykują się chyba na długą obronę. Jest jeszcze inna możliwość: następny cel możemy stanowić my.

Martini wypytał o kilka szczegółów dotyczących zajętej przez Chiny wyspy i zaniepokoił się, dowiedziawszy się, że okupanci kończą już prawie budowę bunkrów i umocnień. Zabębnił palcami w biurko.

– Panie i panowie, nie podoba mi się to – zakomunikował. – Przygotujmy się na atak raketowy, który może nastąpić w ciągu najbliższych czterdziestu ośmiu godzin.

W kącie siedział major Ryan.

– Panie generale – odezwał się – mamy problemy ze stłoczonymi w bunkrach ludźmi. Wielu domaga się powrotu do domów. Nie jestem pewien, jak długo jeszcze zdołam ich tam utrzymać.

– Proszę im powiedzieć, że nie mamy wyboru – poradził Martini. – Ciągłe naciskam, aby zezwolono na ich ewakuację. Być może teraz prezydent zmieni zdanie. – Zwrócił się do dowódcy grupy operacyjnej: – Proszę przygotować jednego F 15 i przenieść go do umocnionego bunkra najbliższego magazynu paliwa. – Rozejrzał się jeszcze po twarzach zebranych. – Są pytania? – Pytań nie było i odprawa zakończyła się.

Po co mu ten jeden F 15? – dziwił się doktor. Wracając do północnej części bazy, z ciekawości przejechał koło lotniska. Było już ciemno i gaszono powoli światła, rozpoczynając nocne zaciemnienie. Wkrótce jedynym oświetlonym obszarem był ten, w którym zgromadzono cywilów. To miejsce wskazuje Chińczykom drogę jak latarnia morska... – myślał Ryan. Jednak i te ostatnie światła wygaszono. Major sięgnął więc po okulary do jazdy nocnej i odczekał chwilę, aż wzrok przyzwyczał mu się do ciemności. Przejechał powoli koło magazynu paliwa. Zobaczył po drodze aż trzy pary wartowników przechadzających się za sznurkiem, którym odgradzono budynek.

– Cholera jasna... – mruknął. Przed oczyma stanął mu obraz wielkiej chmury w kształcie grzyba wiszącej ponad wyspą. – To niemożliwe, żeby... – Musiał się jednak upewnić. Podjechał do punktu kontrolnego przy sznurze. Podeszli do niego dwaj wartownicy i przyrzekli się mu uważnie, pomagając sobie osłoniętą latarką.

– Sir, żeby wjechać, musi pan mieć odznakę przepustki klasy A – poinformował go jeden z żołnierzy.

Podejrzania doktora potwierdziły się. Poczuł, że robi mu się niedobrze. W Kadencie, w dyspozycji Martiniego, znajdowała się broń jądrowa. Ryan był odcięty od świata, na wyspie, na której siedział człowiek opanowany żądzą władzy.

Waszyngton, USA

Shaw kroczył za lokajem po piętrze Białego Domu. Była sobota rano. Sześć gabinetu popatrzył na zegarek i zapukał do drzwi dokładnie o ósmej. Policzył do trzech i otworzył je.

– Dzień dobry po raz drugi, pani prezydent – powiedział. Usadowił się na zajmowanym przez siebie zwykle miejscu i podał Turner rozkład zajęć na rozpoczynający się dzień. Zachowywał się tak samo jak zawsze. – Wykroilem trochę czasu po południu na konferencję prasową – poinformował. – Chcę, żebyśmy przejęli inicjatywę w sprawie samobójstwa Jackie. Dziennikarze przyjdą na nasze zaproszenie i podamy im do wiadomości wszystko, nawet to, czego mogą się dowiedzieć na własną rękę. „Dzieci” pracują w nadgodzinach i robią sondaże opinii publicznej. – A także porównują je z sondażami Lelanda, dodał w myśli.

– Chcę w tej sprawie pokierować opinią publiczną – zgodziła się Madeline. Shaw podał jej teraz Dzienny Raport Prezydencki. Przeczytawszy go, po-

wiedziała: – Wygląda na to, że Chińczycy i Japończycy wyczerpali się bitwą. To może być świetny moment na rozpoczęcie ofensywy dyplomatycznej. – Szef gabinetu zanotował coś i podał prezydent listę ostatnich wydarzeń. Przy ostatniej informacji Madeline zamarła. Robert Bender złożył rezygnację ze stanowiska doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego.

– Dlaczego nie powiedział mi pan tego wcześniej? – rzuciła.

– Zobaczyłem rezygnację dopiero jakąś godzinę temu – odparł Shaw. – Dał ją mojej sekretarce wieczorem, już po moim wyjściu. – Podał Turner list.

– Generałowie pojmują lojalność w bardzo dziwny sposób – mruknęła. – Zaleca, żeby jego miejsce zajęła Mazie. Niech pan zadzwoni do niej jak najszybciej, proszę.

– Już to zrobiłem. Jest w swoim biurze i przygotowuje się na spotkanie z pani pozostałymi doradcami do spraw bezpieczeństwa. Za dwadzieścia minut.

– Chcę porozmawiać z agentem FBI kierującym śledztwem w sprawie śmierci Jackie. – Turner zmieniła temat.

– Cały czas jest w jej pokoju – poinformował Shaw. – Powinni właśnie kończyć. – Ruszył za prezydent do zachodniego skrzydła. – Musi pani wybrać sobie nowego asystenta.

– Zajmiemy się tym w przyszłym tygodniu.

Kiedy przyszli Turner i Shaw, FBI inwentaryzowało jeszcze szafę na dokumenty Jackie. Shaw przedstawił prezydent agentów; kierujący śledztwem zawiadomił, że właśnie kończą i poprosił o udzielenie wyjaśnień w sprawie kilku tezek. Przeprowadził zakłopotaniu z nogi na nogę. Zasady zabraniały mu wyjawiać czy dyskutować wyniki śledztwa w czasie jego trwania. Jednak naprzeciwko niego stała prezydent Stanów Zjednoczonych, a policjant był niezmiernie zakłopotany tym, co znalazł.

– Znaleźliśmy w biurku jedną rzecz, która mnie niepokoi – powiedział, po czym pokazał plastikową torebkę na dowody, w której znajdowały się podrzucone przez Shawa damskie majtki. – To nie pasuje nam zupełnie do reszty, dlatego raczej nas zaskakuje niż cokolwiek wyjaśnia.

Szefowi gabinetu spocili się ręce. Czyżby popełnił błąd? Był jednak doświadczonym politykiem i jego twarz nie zdradzała straszliwego niepokoju, który nim targnął. Zdaje się, że sprawy wymykają mu się spod kontroli...

– Być może będzie lepiej, jeżeli omówimy tę sprawę we właściwych warunkach – odparła Madeline. – Przyszłam powiedzieć, że macie panowie moje absolutne poparcie we wszystkim, co będziecie robić. Jeśli ktokolwiek z moich pracowników nie będzie z wami w pełni współpracował lub spróbuje się w jakikolwiek sposób wtrącać, proszę zwrócić się z tym do pana Shawa. A teraz proszę o wybaczenie, ale muszę iść na spotkanie.

W Gabinetcie Ovalnym zobaczyła dyrektora służb wywiadowczych stojącego pomiędzy Elkinsem i Francisem.

– Patricku, proszę, niech pan wezwie Mazie – poleciła. Szef gabinetu pobiegł do telefonu. – Cóż, Johnie, bez przewodniczącego staliśmy się znacznie mniejszym zespołem – zagadnęła. – Kiedy będę mogła zobaczyć pańską listę?

– Najpóźniej we wtorek – oznajmił Elkins. Miał nadzieję, że zdoła przeciągnąć sprawę na tyle, żeby zadowolić Lelanda. Wrócił Shaw.

– Mazie jest w pomieszczeniu łączności – powiedział. – Właśnie nadchodzą nowe komunikaty.

– No dobrze, panowie – rozpoczęła Turner. – Spodziewam się, że słyszeliście już o rezygnacji generała Bendersa? Pani Hazelton przejmie jego obowiązki. Jeśli się nie mylę, Chińczycy i Japończycy przestali się bić?

– Tak, pani prezydent – potwierdził DCI. – Chińczycy umacniają się teraz na wyspie Kumejima. Nasi analitycy interpretują to jednak jako krok defensywny.

– Barnett – zwróciła się teraz Madeline do sekretarza stanu – chcę, żeby rozpoczął pan dyplomatyczną ofensywę w celu doprowadzenia Chin i Japonii do stołu rokowań. – Francis zaczął w odpowiedzi przedstawiać swoje pomysły na realizację tego zadania. Tymczasem nadeszła Hazelton. Była zaczerwieniona i miała zadyszkę; widać biegła po schodach.

– Pani prezydent... Chiny wystosowały do Japonii ultimatum!... – wydobyła z siebie z trudem. Zebrani popatrzyli na nią zszokowani. Mazana opowiedziała, jak to Agencja Bezpieczeństwa Narodowego przechwyciła i rozkodowała wiadomość z Pekinu dla ambasadora Chin w Paryżu. Ambasador miał w ciągu dwóch godzin przedstawić ultimatum ambasadorowi Japonii. Głosiło ono, że jeśli Japończycy nie zaprzestaną wszelkich wrogich działań na Morzu Wschodniochińskim i nie scedują na rzecz Chin pięciu wysp archipelagu Yaeyama, włącznie z Iriomote, do północy w niedzielę czasu Greenwich, chiński rząd będzie zmuszony zastosować ostateczne środki.

– Cholera – jęknął Shaw. – Te różnice czasu doprowadzają mnie do szału. Za ile to będzie godzin?

– Około czterdziestu – wyjaśniła Hazelton. – Termin ultimatum upływa dokładnie o dziewiętnastej w niedzielę naszego czasu.

– Dlaczego domagają się wysp Yaeyama, a nie Kumejimy? – zapytała prezydent.

– O Kumejimą toczy się teraz batalia – tłumaczyła Mazana. – Tymczasem Chińczycy myślą, że uda im się „odkroić” wyspy Yaeyama, ponieważ roszczą do nich pretensje terytorialne od ponad trzystu lat, a archipelag jest odległy zaledwie o sto dwadzieścia pięć mil od Tajwanu. Poza tym chcą zachować twarz po stracie „Przewodniczącego Mao”.

– Co mogą mieć na myśli mówiąc o „ostatecznych środkach”? – zastanawiała się głośno Madeline. Nikt z obecnych nie mógł tego wiedzieć. – To co w takim razie robimy?

– Niewiele możemy zdziałać – odezwał się Barnett Francis. – To sprawa pomiędzy Chinami a Japonią. Japończycy będą musieli sami się do nas zwrócić.

– Jeśli to my odezwiemy się do Japończyków, Chińczycy dowiedzą się, że złamaliśmy ich kody – wtrącił szef wywiadu.

– A złamaliśmy? – upewniła się Turner.

– Możemy czytać wiadomości czyje tylko chcemy – odpowiedział DCI – także japońskie. To tajemnica, której nie chcemy wyjawić w żadnych okolicz-

nościach. Osobiście zresztą sędzę, że Chińczycy blefują, żeby zachować twarz, a Japończycy o tym wiedzą.

– Oba stronom bardzo zależy na zachowaniu twarzy – zauważyła Hazelton. – Wątpię, żeby Japonia poprosiła nas o pomoc; nie po tym, co się stało.

– Pani prezydent – odezwał się Shaw – powinniśmy poinformować kilku najważniejszych członków Kongresu, zobaczyć jak sprawa się rozegra i być gotowym na odpowiedź.

Madeline podjęła decyzję.

– Proszę wezwać ich do Białego Domu – poleciła. – Jednak chcę, żeby jedno było jasne: nie będę walczyć o tych kilka skał na oceanie, natomiast zaczną walkę, jeśli Chiny zagrożą Amerykanom na Okinawie. – Na tym spotkanie się zakończyło. Szef gabinetu odczekał, aż pozostali wyjdą. – Patricku, czy zwróciłeś uwagę, że doktor Elkins prawie nic nie mówił? – spytała prezydent.

Shaw wzruszył ramionami.

– Może akurat nic nie przychodziło mu do głowy... albo był zmęczony. – Zajrzał w jej rozkład zajęć. – Jacyś strażacy z Iowa czekają, żeby dostać nagrodę. – Przekazał Madeline pod opiekę sekretarki zajmującej się umawianiem spotkań i poszedł do siebie. Alice Fay, jego sekretarka, podała mu wiadomość od Jessiki. Ostentacyjnie usiadł na skraju biurka Alice i wystukał numer Jessiki.

– To ja, kochanie – powiedział głośno. – Mały obiad dziś wieczorem? – Uśmiechnął się na jej odpowiedź. – Będzie jak w dawnych, dobrych czasach – zakończył.

Miał nadzieję, że nie była to tylko czcza przechwałka.

* * *

Do południowego portyku Białego Domu podjeżdżały właśnie dwie czarne limuzyny. Było to wspaniałe tło dla Liz Gordon, która powiedziała do mikrofonu:

– Dzisiejsze spotkanie w Białym Domu potwierdziło wiadomości, że bitwa morska na Morzu Wschodniochińskim zakończyła się. Jednak w momencie, który dla prezydent Turner powinien być chwilą triumfu, stolica żyje pogłoskami na temat prawdopodobnego samobójstwa osobistej asystentki prezydent, panny Jackie Winters. Liderzy Kongresu – w tym momencie Ben zrobił najazd na limuzyny – zostali wezwani do Białego Domu, a wysoko postawione źródło utrzymuje, że podczas spotkania ma być omawiana jedynie sytuacja na Dalekim Wschodzie. Tymczasem doświadczeni obserwatorzy Białego Domu są zdania, że dzisiejszego cichego, sobotniego popołudnia rozpoczyna się tu jakiś poważny kryzys. Spod Białego Domu mówiła Liz Gordon, CNC News.

Ben opuścił kamerę i zaczął zwijać przewód mikrofonu.

– Czy ty w ogóle wiesz, co się dzieje? – spytał.

– Nie mam zielonego pojęcia. Ale myślę, że to się szybko wyjaśni.

* * *

Shaw rozparł się na kanapie i wyprostował nogi. Po długim dniu czuł się jak zбитy pies; wszystko, na co miał ochotę, to gorąca kąpiel i sen. Nadal jednak miał coś do wykonania.

– Miły pomysł, żebyśmy zjedli obiad u ciebie – pochwalił.

Jessica wyszła z kuchni, trzymając dwa kieliszki wina. Miała na sobie przejrystą, ciemnozieloną kreację, która w normalnych warunkach gwarantowała nagły skok tętna.

– Jest gotowy – odpowiedziała – a poza tym tu możemy porozmawiać. – Pozwoliła Patrickowi spróbować wina. – Senator przekonał marszałka Izby Reprezentantów, żeby w przyszłym tygodniu rozpocząć przesłuchania zmierzające do postawienia prezydent w stan oskarżenia – poinformowała z podnieceniem.

– Narobią co najwyżej dużo szumu. Nic nie mają – ocenił Shaw. – Maddy to tylko polityczna płotka błakająca się we mgle. Do licha, gdyby to było niezgodne z konstytucją, to połowa naszych prezydentów i sędziów Sądy Najwyższego powinna być zostać postawiona w stan oskarżenia.

Jessica zaprowadziła go do stołu i podała kurczaka w winie – danie, za które Francuz dałby się z radością zgilotynować.

– Senator zdaje sobie z tego wszystkiego sprawę – wyjaśniła. – Jednak mimo to uważa, że może zmusić ją do rezygnacji. Potrzebna mu tylko kropla, która przepęłniłaby czarę.

Shaw powiedział jej więc o znalezieniu przez FBI w szufladzie Jackie Winters damskich majtek. Nie wspominał o tym, skąd się tam wzięły, ani też o fotografii pewnego wiejskiego domu.

– To bardzo zawstydzające – ocenił – chociaż nie oznacza popełnienia przestępstwa.

– Musimy szybko wykonać jakiś ruch, bo inaczej nigdy nam się nie uda – stwierdziła Jessica. – Czy jest coś jeszcze?

Shaw spuścił głowę. Czuł się niczym Brutus przed zabiciem Cezara.

– Daleki Wschód wybuchnie i zniszczy ją – oznajmił.

Jessica podniosła się kocim ruchem z krzesła i stanęła za Patrickiem, masując mu ramiona.

– Kiedy? – mruknęła.

– Jutro o siódmej wieczorem – poinformował dokładnie szef gabinetu. Opowiedział o chińskim ultimatum.

– Jesteś pewien?

– Czuję to. – Mówił cicho, smakując z rozkoszą wino i królewskie jedzenie. Jego słowa, oddające logikę skomplikowanego, ciemnego świata, w jakim obracał się jego umysł, ekscytowały Jessikę bardziej niż jakikolwiek afrodyzjak.

– Musisz być wyczerpany – zamruczała. – Pozwól, że zrobię ci gorącą kąpiel. – Zaprowadziła go do łazienki i rozebrała, podczas gdy wanna napełniała się wodą. Shaw usadowił się w gorącej wodzie, a zielony jedwabny szlafroczek powędrował na podłogę. Jessica wyszorowała Patricka gąbką i delikatnie pomasowała mu szyję. W końcu sięgnęła pomiędzy jego nogi. Nic. – Potrzebujesz zdrowego snu – szepnęła. Wytrzeła go ręcznikiem i zaprowadziła do łóżka. Shaw zasnął w momencie, kiedy przyłożył głowę do poduszki. Jessica usiadła po turecku na krawędzi łóżka i zatelefonowała.

– Jutro wieczorem – powiedziała. Posłuchała chwilę i dodała: – Och, tak, jest pewien. Nie mogę dyskutować o tym przez telefon. Spotkamy się za czterdzieści minut. – Znowu posłuchała. – Nie będzie za mną tęsknił.

* * *

Cichy jęk przebił się przez podświadomość Bendera i obudził go. To Nancy mówiła przez sen, przeżywając jakiś koszmar; oddychała gwałtownie. Robert wyciągnął rękę, żeby ją obudzić i powiedzieć, że jest przy niej, że wszystko w porządku.

– Byliśmy wtedy szczęśliwi – mruknęła Nancy zwijając się w kłębek. Wycofał więc rękę i spróbował zasnąć. Jednak sen nie przychodził.

W końcu generał wstał i założył jeden z grubych szlafroków, jakie obsługa zajazdu dostarczała razem z pościelą i ręcznikami. Stał przy oknie. Łagodne, pokryte śniegiem wzgórza były skąpane w księżycowym świetle. Co za piękny widok, pomyślał, jednak nie odczuł żadnej emocji. Podeszedł do kominka i ostrożnie dołożył gruby kawałek drewna do wygasającego żaru. Wyprostował się i popatrzył na żonę. Co się dzieje? – zapytał się w duchu. Co weszło pomiędzy nas?

Gruba szczapa zaczęła się palić. Odblask ognia zamigotał na twarzy Roberta. Generał wpatrywał się w płomień. Dlaczego właśnie tracę żonę?! – pomyślał z wściekłością. I dlaczego tego nie rozumiem?! W jego głowie rozbrzmiewały wciąż słowa Nancy; przed oczyma stał mu obraz pogrzebu Laurie na cmentarzu Arlington.

– „Byliśmy wtedy szczęśliwi” – powtórzył na głos. Łzy popłynęły mu po policzkach i teraz już wiedział. Ani razu nie płakał po stracie córki. Starał się odgrodzić od bólu pracą, niezliczonymi zajęciami, jakich wymagała od niego służba. I przez to opuścił ukochaną kobietę, pozostawiając ją samą w żałobie.

Ogień ogrzał mu twarz i łyzy wyschły. Czy mógł się zmienić i ocalić swoje małżeństwo? Nie wiedział.

* * *

Mazie Kamigami Hazelton wstała. Prezydent Stanów Zjednoczonych wyszła z Gabinetu Sytuacyjnego. Była niedziela, trzynasta po południu. Spotkanie w sprawie Dalekiego Wschodu trwało niecałe trzy minuty i pokój szybko się opróżnił. Tylko sekretarz obrony ociągał się z wyjściem.

– Doktorze – odezwała się Mazana – nie podzielałam pańskiego przekonania, że Chińczycy i Japończycy wyczerpali się bitwą na tyle, że nie będą już więcej walczyć.

Elkins rzucił na nią protekcyjny spojrzenie.

– Pani Hazelton – powiedział z westchnieniem – postanowiłem uwierzyć CIA i szefowi całego naszego wywiadu. W końcu ocena zagrożenia i wydawanie ostrzeżeń wojennych leży w ich kompetencji.

– A jaka jest ocena Narodowego Centrum Wywiadu Wojskowego?

Hazelton drążyła temat zbyt stanowczo, więc sekretarz postanowił zakończyć rozmowę.

– Taka sama jak moja – odparł. – Czy mogę zasugerować, żeby przestała pani podejrzewać własny cień? – Przekrzywił głowę i skłonił się krótko, niczym wielki pan łaskawie akceptujący pracę swojego lokaja. Mazana nie była jednak kimś, kogo łatwo onieśmielić. Poczekala, aż sekretarz wyjdzie i przejrzała jeszcze raz stos informacji, jakie nadeszły ostatnio do Gabinetu Sytuacyjnego. Zgadzała się co do tego, że nie było zagrożenia Stanów Zjednoczonych ani nawet Okinawy. A przynajmniej ona takiego zagrożenia nie dostrzegała. Może Bender albo Overmeyer zdołaliby czegoś się dopatrzeć. Ona jednak nie wiedziała, co by to mogłoby być.

Sfrustrowana poszła do biura Shawa i odczekała dziesięć minut, zanim Alice Fay wprowadziła ją do środka. Od razu przeszła do rzeczy:

– Coś nam umyka. Musimy porozumieć się z Pentagonem.

– Po to siedzi tam Elkins – skwitował szef gabinetu.

– To cywil, zajęty polityką. Prezydent musi usłyszeć opinię fachowców – naciskała.

– Nie wydaje mi się, żeby Maddy wiązała ostatnio wielkie nadzieje z generałami – odparł na to Shaw. – Jeszcze nie widziałem plemienia, które uciekało-by tak szybko jak oni.

– Może próbują jej w ten sposób coś zakomunikować? – zasugerowała Hazelton.

– Ale gdzie oni są? – rzucił Patrick, bawiąc się otwieraczem do listów. – Mamy plan gry i trzymamy się go – zakończył rozmowę.

Mazana prawie pobiegła do swojego nowego biura. Była tam tylko Norma, starsza z sekretarek.

– Proszę skontaktować się z generałem Benderem – poleciła. – Muszę z nim pomówić. To bardzo pilne.

– Spróbuję, ale pan generał nie odpowiada na wiadomości zostawiane przez telefon komórkowy ani przez pager – odpowiedziała sekretarka. – Wyślę znowu kogoś do jego domu.

* * *

Shaw poparzył na zegarek. Była osiemnasta dwadzieścia dziewięć, niedziela wieczór. Ręce mu się spociły. Zapukał do drzwi i wszedł. Przystanął na widok spokojnej sceny rodzinnej. Turner grała z Sarah w jakąś grę planszową, Brian odrabiał lekcje, a Maura robiła na drutach, siedząc przy kominku. Nigdy już nie zobaczy takiego obrazka.

– Pani prezydent... – odezwał się cicho.

Madeline podniosła wzrok bez cienia niepokoju na twarzy.

– Jakież zmiany? – spytała.

– Nie, pani prezydent. – Patrick zamknął na moment oczy. Nie mógł odkładać tej chwili ani odrobinę dłużej. Miał nadzieję, że nie drży mu głos, kiedy mówił: – Pani prezydent, w Sali Gabinetowej czeka na panią delegacja Kongresu.

– Naprawdę? To niezwykła wiadomość. – Madeline była szczerze zdziwiona. Przedstawiciele Kongresu nie przychodzą do Białego Domu nie proszeni. – Biorąc pod uwagę sytuację, może lepiej by było, gdybym nie spotykała się...

– Pani prezydent, musi się pani z nimi spotkać – przerwał jej Shaw. Westchnęła.

– Chodzi o ultimatum, prawda?

Szef gabinetu próbował robić dobrą minę do złej gry.

– Będzie pani musiała uspokoić paru podenerwowanych facetów.

– Pewnie ma pan rację... – zgodziła się. – Zaraz wrócę, mam.

Zeszła z Shawem na dół; Patrick otworzył jej drzwi Sali Gabinetowej i cofnął się, aby weszła pierwsza. Sala była pełna mężczyzn, z których ani jeden nie wstał na widok prezydent Stanów Zjednoczonych. Madeline usiadła na swoim miejscu i powitała ich pytaniem:

– Czym mogę wam służyć, panowie?

Z końca stołu podniósł się senator Leland.

– Pani Turner – zaczął. Madeline uniosła brew, słysząc tak oczywiste złamanie zasad protokołu państwowego. – Przybyliśmy tu w sprawie kryzysu o ogólnopaństwowym znaczeniu.

– O jaki konkretnie kryzys panom chodzi? – zapytała Turner lodowatym tonem.

– Niszczy pani instytucję prezydentury Stanów Zjednoczonych – oznajmił Leland.

Madeline rozejrzała się po sali, przesywając każdego z przybyszów ostrym jak brzytwa spojrzeniem.

– Panowie, nasze spotkanie dobiegło końca – skwitowała i zebrała się do wyjścia.

– Nie, proszę pani! – zagrzmiął Leland. – To spotkanie nie skończy się, dopóki nie wysłucha pani, co mamy do powiedzenia.

– Proszę wysłuchać senatora – odezwał się Shaw.

Turner obróciła się na pięcie i popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

– Niech się pan streszcza – rzuciła Lelandowi.

– Zakłóciła pani normalny przebieg procesu politycznego swoimi nierozsądnymi próbami wprowadzenia reformy podatkowej – zaczął senator. – Pani decyzja o usunięciu demonstrantów z parku Lafayette’a była złamaniem zapisanego w konstytucji prawa do demonstracji, które przysięgała pani chronić. Opuściła pani w potrzebie ważnego sojusznika, którego przysięgliśmy bronić. Poświęciła pani życie dziewięćdziesięciorga czworga niewinnych kobiet i dzieci dla daremnej próby ewakuowania cywilów z Okinawy; ludzie ci zostali pożarci przez rekiny. – Gniew senatora stopniowo narastał. – A teraz mamy dowód niedozwolonego, skandalicznego, moralnie zdegenerowanego prowadzenia się pani pracowników w samym Białym Domu. Ile jeszcze spraw czai się w ukryciu?!

– Nie wymienił pan najważniejszego z zarzutów – odparła zimno Madeline. – Jestem kobietą.

– Dla dobra kraju, zanim pani doprowadzi instytucję prezydenta do całkowitej ruiny, wzywamy panią do złożenia urzędu – oznajmił Leland.

– A jeśli nie zrezygnuję?

– W takim razie zostanie pani postawiona w stan oskarżenia i usunięta ze stanowiska – wypalił senator.

– Jest pan idiotą, Leland, stojącym na czele gromady głupców! – skwitowała Turner.

O retę, pomyślał Shaw, ona, sama jedna, potrafi stawić czoło im wszystkim naraz.

– Wyjdźcie stąd, zanim rozkażę Secret Service was wyrzucić! – warknęła Madeline.

Patrick wpadł w panikę. Wiedział, że Maddy się nie zawaha.

– Pani prezydent, to byłby fatalny błąd – powiedział.

– Bardzo dobrze, pani Turner, proszę to zrobić! – wyzwał donośnie Leland.

Przez moment Madeline i Leland patrzyli na siebie groźnie przez stół. Jednak wtedy ktoś zapukał raptownie do drzwi i do sali wpadł komandor porucznik marynarki dyżurujący w pomieszczeniu łączności. Zatrzymał się na moment widząc niezwykłą scenę.

– Pani prezydent!... – zaczął i urwał. – Pani prezydent, chińska marynarka wojenna zdetonowała na Morzu Wschodniochińskim bombę atomową! – wypalił.

Leland sięgnął po kieszonkowy zegarek i otworzył wieczko. Termin ultimatum właśnie minął.

– Pani Turner, do tego jeszcze doprowadziła pani świat do wojny atomowej – skomentował. – Mogę jedynie powtórzyć to, co powiedział Oliver Cromwell w 1653 roku, kiedy „Długi Parlament” nie był już w stanie rządzić Anglią. – Przyjął pozę biblijnego proroka. – „Siedzieliście tu zbyt długo jak na wasze marne dokonania... W imię Boga – idźcie stąd!”

Część czwarta

Zwycięstwo

Politycy lubią walczyć ze smokami na odległość. To o wiele bezpieczniejsze niż próby pokonania tych, które wyhodowało się na własnym podwórku. Jednak w każdej walce ze smokiem obowiązuje jedna, niezmienna reguła: ma się tylko jedną szansę, a błąd powoduje tragiczne skutki.

ELIZABETH GORDON
CNC News

Rozdział dwudziesty drugi

Waszyngton, USA

Madeline Turner zamknęła oczy. Drżała jak w gorączce. Jedynym sygnałem, jaki dochodził z zewnątrz do jej świadomości, był szmer oddechów. Czy jej własnego, czy też otaczających ją w Sali Gabinetowej mężczyzn? Słowa brzmiały w jej mózgu bez przerwy. „...Bombę atomową!”. „W imię Boga, idźcie stąd!” Ilu ludzi przez nią zginęło? Ile jeszcze skazała na pewną śmierć? Poczuła na policzkach palące łzy. Jako prezydent poniosła całkowitą porażkę.

– Ile jest ofiar? – spytała oszołomionego oficera.

Zanim komandor zdołał cokolwiek odpowiedzieć, Shaw uciszył go ruchem ręki.

– Pani prezydent, może pani usiądzie – odezwał się. Machnął na oficera, żeby wyszedł.

– Żądamy odpowiedzi! – nalegał Leland głosem, w którym wyczuwało się zadowolenie z odniesienia zasłużonego triumfu.

Turner stała nieruchomo.

– Nie wiem, co powiedzieć... – wymamrotała.

Leland wyczuł swoje zwycięstwo. Tonem wielkiego męża stanu poradził:

– Wystarczy prosta notka, pani Turner. Podobna do tej, którą sporządził Nixon...

Shaw podniósł dłoń po raz kolejny i powiedział:

– Panowie, potrzebujemy chwilę na osobności. – Delikatnie wyprowadził Madeline za łokieć.

Kiedy wyszli z sali, zebrani mężczyźni wybuchnęli; prezydent słyszała wołania o odwetowe uderzenie nuklearne na Pekin. Umundurowany agent Secret Service zamknął drzwi i szepnął do mikrofonu w rękawie:

– Magic zmienia położenie. – Mruknął jeszcze parę innych słów.

– Wszystko będzie dobrze, Maddy – uspokajał Shaw. – Nie martw się. – Zaprowadził Turner do Gabinetu Owального. Opadła na kanapę. Szef gabinetu zadzwonił do kuchni, żeby przyniesiono herbatę i usiadł koło prezydent. – Wszystko

będzie dobrze – powtórzył. Drzwi otworzyły się i weszła Maura. – Bardzo proszę później, nie teraz. – Shaw pokręcił głową, aby dodać swoim słowom siły przekonywania.

Starsza pani zignorowała to jednak i usiadła koło córki.

– Wiedziałam, że coś się stało. Wyczułam to – powiedziała. Było to kłamstwo. Jeden z agentów prezydenckiej ochrony podsłuchał szeptane komunikaty radiowe kolegów i powiedział jej. Madeline wytłumaczyła matce, o co dokładnie chodzi Lelandowi.

– Zadzwoń po Noreen i Richarda – powiedziała pani O’Keith sięgając po telefon.

– Za późno teraz na „kuchenny gabinet” – wtrącił się Shaw i wyjął jej słuchawkę z ręki.

– Potrzeba jej trochę czasu i przyjaciół! – sapnęła zdenerwowana Maura.

– Nie ma już czasu – nie ustępował Shaw.

Nagle Turner wstała.

– Nie zrobiłam nic złego, Patricku, nic! – powiedziała.

– I nic nie rób, dopóki nie wrócę – rzuciła jej matka. Wypadła z pokoju i podbiegła do dyżurnego agenta ochrony. – Gdzie jest Chuck Sanford? – spytała. Agent powtórzył pytanie przez radio i poinformował, że Sanford dyżuruje w domu generała Bendera. – Muszę się z nim porozumieć! – oznajmiła. Pobiegła po schodach na stanowisko dowodzenia Secret Service, zlokalizowane bezpośrednio pod Ovalnym Gabinetem. Po paru sekundach prosiła już Sanforda: – Niech pan powie generałowi, że pani prezydent jest w tarapatkach i potrzebuje go.

* * *

Zapukano do tylnych drzwi. Nancy Bender podeszła i spytała:

– Co znowu? Jesteśmy zmęczeni.

– Muszę porozumieć się z panem generałem – oznajmił Chuck Sanford. – To ważne. – Nancy wpuściła więc agenta do salonu, gdzie jej mąż siedział przy kominku. – Panie generale, dzwoniła Maura O’Keith – poinformował. – Pani prezydent jest w tarapatkach i potrzebuje pana pomocy.

Bender pokręcił tylko głową.

– Nic pan nie wie. Poprosiła mnie o złożenie rezygnacji – wyjaśnił. – A teraz chce pomocy? Nie pozwolę, żeby ktoś się mną tak bawił. – Popatrzył w ogień. – Co się stało?

– Przyko mi, panie generale, ale wie pan, że nie mogę mieszać się w sprawy polityczne. Wolno mi tylko przekazywać podane wiadomości.

– Dziękuję, Chuck – mruknął Bender, nie ruszając się z miejsca.

Sanford służył już podczas kadencji dwóch prezydentów i czuwał nad słabnącym doradcą do spraw bezpieczeństwa narodowego, Williamem Gibbonssem Carrollem, kiedy ten umierał na stwardnienie zanikowe boczne, czyli chorobę ALS. Chuck był także świadkiem, jak jego wieloletni partner ginie od kuli posłanej dla Bendera. Zawsze pozostawał wierny złożonej przez siebie przysiędze.

Panie generale, niech pan postąpi jak należy! – apelował w myślach. Bender jednak siedział.

– Panie generale. – Sanford nie wytrzymał i złamał obowiązujące go zasady. – To prezydent naszego kraju!... – ponaglił.

Nany stanęła koło kominka i założyła ręce.

– Zrób to, co i tak zrobisz – powiedziała ze złością. – Ach, to twoje cholerne poczucie obowiązku! Zawsze tak postępowałeś i taki pozostaniesz!

Robert wstał. Chciał wytłumaczyć to jakoś żonie.

– Nie mam wyboru – wyznał.

– Wysługują się tobą! – zawołała jeszcze za nim Nancy.

Okinawa, Japonia

Głowy wszystkich obecnych na stanowisku dowodzenia zwrócone były na sierżanta technicznego z komórki reagowania na sytuacje awaryjne. Nawet Martini mógł tylko czekać, podczas gdy podoficer robił obliczenia kierunku i siły wiatrów. W pewnej chwili poprosił o potwierdzenie, że eksplozja miała siłę pięćdziesięciu kiloton i została przeprowadzona w powietrzu, sto dwadzieścia mil morskich na południowy zachód od Okinawy, nad Morzem Wschodniochińskim. Powrócił do pracy. W końcu sprawdził wszystko jeszcze raz.

– Układ wiatrów jest akurat rzadki jak na tę porę roku – oznajmił. – Generalnie wieje z zachodu, jednak główna część opadu radioaktywnego ominie nas. Opad będzie posuwał się na wschód i obejmą nas jedynie północne krańce pola. Pierwsze mierzalne ślady promieniowania powinniśmy wykryć za trzy godziny i dwadzieścia minut. Jeśli będziemy mieli trochę szczęścia, wiatr będzie wiał bardziej na południe i w ogóle nas minie.

– Do tego czasu spadnie już pewnie na nas druga bomba atomowa! – jęknął Robert Ryan.

Martini zachnął się.

– Wątpię! Gdyby chcieli uderzyć na nas bronią jądrową, już by to zrobili. – Wstał i przyjrzał się uważnie twarzom członków swojego sztabu. – To jedyna eksplozja nuklearna, jaką będziemy śledzić w najbliższym czasie. Mamy trzy godziny na przygotowanie się i ukrycie ludzi. Zorganizujcie centra dekontaminacyjne i niech każdy, kto będzie musiał wyjść na zewnątrz, zabiera ze sobą dozymetr. Zaplanujcie przebywanie pod ziemią przez tydzień, może dwa. Wszystko zależy od tego, jak „brudna” była ta bomba i jak dokładnie będzie wiało. Do roboty, panowie. – Zatrzymał Ryana ruchem ręki. – Majorze – powiedział – nie mam pretensji o to, że dał pan tu wyraz swoim lękom. Ale kiedy będzie pan mówił do ludzi w schronach, musi pan być cholernie pozytywnie nastawiony... Dzięki Bogu, że już tam są. To nie jest koniec świata i wyjdziemy z tego cało. To właśnie ma im pan powtarzać, prosto i bez wahanania. Zrozumiano?

– Tak jest! – odparł słuźbiście doktor, mając ochotę zniknąć generałowi z oczu. Zasalutował i wypadł z budynku. Skąd Martini może mieć pewność, że nic więcej nie wybuchnie? – myślał. Musi wiedzieć więcej niż powiedział. Nagle kolejna myśl aż zatrzymała Ryana w miejscu, tak była zaskakująca i przekonująca zarazem. Wszystko mu pasowało. To wcale nie Chińczycy zrzucili bombę, tylko Amerykanie!...

Waszyngton, USA

Shaw wyszarpnął list z maszyny i poszedł z nim do Gabinetu Owального.

– To wystarczy – powiedział.

Turner podniosła na niego oczy. Widać w nich było złość.

– Nie zrezygnuję – odparła krótko.

– Nie ma pani wyboru – stwierdził Shaw. – Pani baza polityczna...

– Pieprzę moją bazę polityczną! – zaklęła Madeline, co normalnie nigdy jej się nie zdarzało. – Jestem prezydentem Stanów Zjednoczonych i nie zrobiłam nic złego! – Patrzyła groźnie na szefa gabinetu. – Jeśli nie może pan poprzeć mnie w tej sprawie, to... – Nie dokończyła. – Proszę wezwać Noreen Coker i Richarda Parrisha. Niech natychmiast się tu zjawią.

– Ale pani prezydent – zaoponował Shaw – oni tam ciągle czekają, w Sali Gabinetowej...

– Niech sobie czekają do usranej śmierci!

Szef gabinetu zwrócił się teraz do Maury:

– Może pani zdoła przemówić jej do rozsądku. Pani prezydent zostanie postawiona w stan oskarżenia, jeśli nie zrezygnuje.

– W takim razie przypuszczam, że zostanie postawiona w stan oskarżenia – odparła zimno pani O’Keith.

Drzwi otworzyły się i stanął w nich nieruchomo Bender.

* * *

Elizabeth Gordon cisnęła na telefon poduszkę, chcąc stłamsić jego natarczywe dzwonicie. Sięgnęła ku głowie Bissella i oburącz poprowadziła ją w dół. Liza! przed chwilą jej pępek, a teraz schodził niżej.

– Nie przerywaj! – jęknęła. Bissell sięgnął mimo wszystko po telefon i podał jej słuchawkę, nie przerywając ani na chwilę tego, co robił. – Liz Gordon, słucham – powiedziała szybko Elizabeth i jęknęła nagle. Zamknęła oczy i skoncentrowała się na słuchaniu. Wycofała się gwałtownie, kopiąc Bissella w głowę i wyrzucając go w ten sposób z łóżka.

– Co jest?!... – Jeff trzymał się za lewą stronę głowy.

– Spotkam się z Benem przy wschodniej bramie. Już jadę – rzuciła Liz rozmówcy. Odłożyła z trzaskiem słuchawkę i wyskoczyła z pościeli. – Ubieraj się!

– Moja głowa! – protestował Bissell.

– Przepraszam. Reuter podaje, że ktoś przeprowadził wybuch atomowy ponad Okinawą.

– O cholera! – jęknął zdumiony Jeff i sięgnął po spodnie. Ubrali się pospiesznie i popędzili do windy. Na szczęście ruch nie był duży w niedzielne popołudnie, a żaden wóz policyjny nie mijął ich, gdy pędzili do Białego Domu, łamiąc wszystkie przepisy. Bissell podjechał do wschodniej bramy, gdzie czekał już Ben, kamerzysta Elizabeth. Liz wyskoczyła z samochodu i cała trójka weszła za bramę.

Ben w biegu podał szefowej wydruk komputerowy.

– To wszystko, co wiemy – poinformował.

– Zobacz, ile samochodów! – rzuciła zdyszana Gordon.

– Wartownik powiedział, że te samochody stoją tu od szóstej. Chwilę przed tobą przyjechał generał Bender.

– Bender! W takim razie to prawda! Czy jesteśmy tu pierwsi? – zapytała Elizabeth.

– Na to wygląda – odparł kamerzysta. Podał Liz mikrofon i pokazał ją na tle północnego portyku Białego Domu; przez okna widać było zapalone żyrandole.

– W Białym Domu panuje ożywiony ruch – zaczęła Gordon odpowiednio ponurym tonem. – Wszyscy słyszymy powtarzające się, choć ciągle nie potwierdzone doniesienia o wybuchu atomowym na Morzu Wschodniochińskim. O szóstej wieczorem zjechały tu liczne samochody i limuzyny z Kapitolu. Parę minut temu przybył także generał Robert Bender, prezydencki doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego. – Liz odwróciła się spoglądając na budynek.

– Jak na ironię, pierwsza prezydent nowego tysiąclecia i pierwsza kobieta piastująca w naszym kraju to stanowisko musi stawić czoło nuklearnemu zagrożeniu, niezależnie od zmagających się z innymi poważnymi problemami, jakie wokół narosły – ciągnęła. – Oto prawdziwy czas próby dla Madeline O’Keith Turner, chwila, gdy świat stoi na krawędzi wojny. Przed Białym Domem czeka Elizabeth Gordon, CNC News. – Liz opuściła mikrofon. Wpatrywała się wciąż w fasadę budynku. Ben nie wyłączał kamery, tylko zrobił zbliżenie twarzy reporterki, pokazując jej niepokój, wzburzenie, potargane włosy. – Niech ci się uda, Maddy... – szepnęła półgłosem Gordon, na tyle wyraźnie, aby się nagrało.

– Doskonale – odezwał się Ben. – Absolutnie perfekcyjnie. Nigdy nie wyglądałaś lepiej. Dostaniemy nagrodę Emmy, mówię wam.

Jeff Bissell pokręcił głową.

– Znowu podstawą stał się odpowiedni wygląd... – mruknął.

* * *

Głowa Shawa wędrowała w prawo i w lewo; to zerkał na Madeline, to znów na Bendera. O Jezus! – myślał z przerażeniem. Co będzie, kiedy on powie, że dowiedział się ode mnie, że kazała mu złożyć rezygnację? Jak z tego wybrnąć?!

– Panie generale, potrzebujemy pana – odezwał się w końcu szef gabinetu, próbując opanować sytuację. – Czy byłoby możliwe, żebyśmy wszyscy uznali przeszłość za niebyłą i żebyśmy podarł ten list?

– Naprawdę pana potrzebuję, Robercie – dodała Turner.

Bender przestąpił z nogi na nogę. Chciał podać warunki udzielenia prezydent pomocy – poprosić ją, żeby przestała ignorować swoich generałów i admirałów, żeby nie karała tych, którzy bronili swojej ojczyzny. Jednak nie mógł tego powiedzieć. Mimo wszystko, Turner pozostawała jego dowódcą, a dowódcy nie stawia się warunków.

– Niech pan go podrze – zgodził się. Wszedł i zamknął za sobą drzwi.

– Patricku, niech pan zadzwoni po Noreen i Richarda, a ja wprowadzę Roberta w ostatnie wydarzenia – poleciła prezydent. Shaw wyszedł na chwiejnych nogach, mając nadzieję, że może nie będzie już mowy o rezygnacji Bendera, ponieważ w całym zamieszaniu było aż nadto innych tematów do rozmowy. Tymczasem Madeline szybko opowiedziała generałowi o wizycie delegacji Kongresu z Lelandem na czele, która nastąpiła akurat w momencie upływu terminu chińskiego ultimatum. Wiadomość o wybuchu atomowym dała tylko Lelandowi kolejny argument przeciwko prezydent...

Robert zaczął przechadzać się po pomieszczeniu.

– Kto tam był? – zapytał na początek. Turner wymieniła wszystkich, których zapamiętała, włączając w to sekretarza obrony, Elkinsa. – Ale nie było żadnego generała czy admirała? – Madeline pokręciła głową. – A czy był DCI? – Znowu zaprzeczyła.

– Kiedy wychodziłam, wołali, żebym wystrzeliła raketę atomową na Pekin – dodała.

– Idioci! – mruknął Bender. – Kiedy w grę wchodzi broń jądrowa, nie więdą nawet, jakie pytania zadawać. Nie będziemy wariować z powodu jakiegoś jednego wybuchu.

– A jakie pytania powinno się zadawać? – zainteresowała się prezydent.

– Ile było eksplozji, o jakiej sile, kto to zrobił, gdzie, co zostało zniszczone?...

– Z tego co wiem – odpowiedziała Madeline – była tylko jedna eksplozja, gdzieś wysoko ponad morzem.

– To pieprzone sukinsyny! – zaklął generał, zaskakując Turner. – Stosują naszą własną doktrynę. – Sięgnął po słuchawkę. – Mogę? – upewnił się. Poprosił telefonistkę o połączenie z dyrektorem central wywiadowczych.

– Co to za doktryna? – dopytywała się prezydent.

– Polega na tym, że kiedy przegrywamy jakiś konflikt, detonujemy w powietrzu jedną małą bombę atomową, żeby dać tym do zrozumienia nieprzyjacielowi, że jeśli się nie wycofa, uciekniemy się do użycia broni jądrowej. Teraz Chińczycy wysłali taki sygnał nam.

Na twarzy Madeline pojawiła się ulga.

– To znaczy, że nie musimy zaczynać wojny atomowej? – zapytała.

– Na razie nie – odparł Bender. – Ale najpierw musimy się upewnić, że Chińczykom chodziło o to, o czym mówię. Dlatego trzeba porozumieć się z DCI. – Zrobił małą pauzę. – I z szefami sztabów.

– Czy mogę teraz ufać szefom sztabów? – spytała Turner.

– To Elkinsowi nie można ufać. Niech mi pani wierzy, żaden generał ani admirał z tych, których znam, nigdy nie złamałby złożonej przysięgi. – Telefo-

nistka uzyskała połączenie z DCI. – Mówi Bender – powiedział do telefonu generała. – Sądzę, że wie pan, co się stało. Dlaczego więc pana tu nie ma? – Posłuchał chwilę. – Siedzą w Sali Gabinetowej i uspokajają się, a prezydentem jest nadal Madeline O’Keith Turner – oznajmił. – Kiedy może się pana spodziewać? – Wyслуchał odpowiedzi i rozłączył się. – DCI już jedzie.

Madeline wstała i uniosła podbródek na widok wracającego Shawa.

– Patricku, zwołaj Komitet Szefów Sztabów. Niech zbiorą się natychmiast w Gabinetecie Sytuacyjnym.

Szef gabinetu wypadł z powrotem, a Maura zamknęła oczy i odetchnęła z ulgą. Jej córka znowu stała się sobą. Starsza pani nie wiedziała, czy Madeline zdoła zachować stanowisko prezydenta, ale cieszyła się, że przynajmniej wróciła jej zwykła energia. Pani O’Keith ruszyła więc do drzwi ze słowami:

– Sprawdzę, co z dziećmi.

– Robercie, proszę, niech pan skontaktuje się z generałem Overmeyerem. – Bender zadzwonił i podał jej słuchawkę. – Panie generale, potrzebuję pana – oznajmiła Overmeyerowi pani prezydent. – Czy zechciałby pan rozważyć ponownie swoją rezygnację? – Wysłuchała odpowiedzi bez mrugnienia okiem. – Dziękuję panu za uczciwość – powiedziała w końcu. – Rozumiem i doceniam pańską postawę. Kogo z szefów sztabu poleciłby pan na swojego następcę?... Dziękuję panu, generale. Jeszcze dziś wieczór zaproponuję mu objęcie stanowiska przewodniczącego. – Odłożyła słuchawkę. – Powiedział, że „lotnictwo zawsze dostawało po dupie najbardziej ze wszystkich” i polecił generała Charlesa.

– Dziki Wayne bardzo się ucieszy – mruknął Bender. – Ale będzie pani dobrze służył.

– Robercie, poradzę sobie z tymi idiotami z Sali Gabinetowej, ale co mam zrobić z szefami sztabów?

– Po pierwsze, niech pani wypyta o wszystko, tak żeby dokładnie wiedzieć, co się dzieje. Od tego jest DCI i cały wywiad. Następnie niech pani poprosi o ich opinię i wysłucha, co mają do powiedzenia. Wreszcie podejmie pani własną decyzję i poleci im wprowadzić ją w życie.

– To aż takie proste? – Nie spodziewała się odpowiedzi.

– Nie, pani prezydent, to nie jest proste. Ale nie chodzi tu o to, żeby wszyscy byli tego samego zdania; niech się pani nie obawia skrytykować zapędy jednego czy drugiego z nich, jeśli będzie stwarzał trudności. Oni rozumieją takie postawienie sprawy.

Madeline popatrzyła z niepokojem.

– Robercie, jak mam odpowiedzieć na ten chiński wybuch? – zapytała.

– Ma pani wiele możliwości do wyboru, ale jedną z podstawowych jest zdetonowanie podobnej bomby przez nas.

– Nie jestem pewna, czy potrafię się na to zdecydować. Ilu ludzi przez to zabiję? – Po policzku Turner spłynęła łza.

Robert rozumiał teraz swoją prezydent trochę lepiej. Płakała z żalu po czyjejś śmierci. Przedtem Bender zawsze uważał, że to po prostu oznaka przeżywanego przez nią gwałtownych emocji, co zresztą było prawdą. Jednak rzecz w tym,

że Madeline Turner całym sercem i duszą nienawidziła śmierci, zabijania bez potrzeby, bezsensownej destrukcji. Bolało ją, kiedy nie mogła tego powstrzymać i płakała z bólu, uważając, że każda śmierć, której mogła była zapobiec, oznaczała, że nie sprawdza się jako prezydent.

– Być może Madeline Turner nie byłaby w stanie podjąć tak trudnej decyzji, ale prezydent Turner z pewnością da sobie z nią radę – powiedział w końcu generał.

– Poświęcić niewielu dla dobra pozostałych... – szepnęła.

Tymczasem nadbiegł Shaw, czerwony jak burak.

– Pani prezydent, szefowie sztabów zaraz tu będą! – zameldował.

– Dobrze. Niech pan powie generałowi Charlesowi, że najpierw chcę powiedzieć z nim na osobności. Zaraz potem spotkam się ze wszystkimi w Gabinetu Sytuacyjnym. – Szef gabinetu skłonił głowę i wyszedł.

– Pani prezydent, muszę iść do swoich ludzi, żeby zbadać szczegóły – odezwał się teraz Robert.

– A ja chciałabym porozmawiać z samymi szefami sztabów – odpowiedziała Madeline. – Zadzwoń do pana, kiedy skończę. Jeszcze jedno... Robercie, proszę, niech pan wpadnie po drodze do Sali Gabinetowej i powie senatorowi Lelandowi i jego kolegom, że jestem zajęta i że muszą opuścić Biały Dom. Nie musi pan być uprzejmy.

– Z przyjemnością, pani prezydent. – Na korytarzu Bender cofnął się, żeby przepuścić generała Charlesa, który nadchodził w towarzystwie Shawa. Robert obejrzał się i zobaczył przez otwarte wciąż drzwi, że Madeline wstaje. Szef gabinetu rzucił mu zimne spojrzenie i zamknął drzwi za sobą. Bender dotarł do Sali Gabinetowej i wszedł bez pukania. Przyjrzał się uważnie zebranim tam mężczyznom, żeby zapamiętać ich twarze.

– Prezydent jest zajęta rozwiązywaniem nagłej sytuacji stanowiącej zagrożenie dla państwa – oznajmił. – Panowie nie są już mile widziani w jej domu i życzy sobie, żebyście wyszli. Jeśli mogę, chciałbym zasugerować od siebie, żeby zrobili to panowie natychmiast. – Obrócił się na pięcie i poszedł.

* * *

Turner w towarzystwie Shawa i generała Charlesa wyszła z Gabinetu Owального.

– Patricku, zjrzysz, proszę, do Sali Gabinetowej. Jeśli będą tam jeszcze jacyś ludzie, niech Secret Service wyprowadzi ich z budynku – poleciła. Poszła z generałem Charlesem do Gabinetu Sytuacyjnego, a Shaw pognął do Sali Gabinetowej. Na korytarzu przed salą zobaczył przechadzającego się samotnie Lelanda.

– Gdzie pan się, do cholery, podziewał?! – warknął senator.

– Turner rozmawia właśnie z Komitetem Szefów Sztabów – poinformował zamiast odpowiedzi szef gabinetu.

– Myślałem, że ją pan odizolował!...

– Benderowi udało się do niej dotrzeć.

Leland nachmurzył się.

– Doprowadzę tego sukinsyna pod sąd wojenny!... – oznajmił.

– Dopóki ona jest prezydentem, nie uda się to panu – stwierdził Shaw. – Jeszcze nigdy jej takiej nie widziałem. Rzuca gromy; nie jestem pewien, czy będę mógł ją dalej kontrolować.

– Ta suka nie może nas ignorować! – syknął senator. Szef gabinetu pokręcił głową.

– Muszę zorientować się, co się dzieje w Gabinetcie Sytuacyjnym – powiedział. – Lepiej, żeby pan wyszedł. – Odszedł, pozostawiając senatora samego. Biedny sukinsynu!... – pomyślał, bynajmniej nie o Lelandzie.

Wartownik – kobieta w mundurze marines – stojąca przed Gabinetem Sytuacyjnym wyprężyła się na baczność, widząc schodzącą ze schodów prezydent. Odczekała, aż Turner znajdzie się o dziesięć stóp, i otworzyła je szybkim ruchem.

– Proszę nie wpuszczać nikogo, dopóki pani nie powiem – poleciła Madeline. – Nawet pana Shawa.

– Tak jest, pani prezydent! – odparła wartowniczką z kamienną twarzą. Zamknęła drzwi i stanęła tuż przed nimi. Zanim przybrała zwykłą pozę, pozwoliła sobie na mały uśmieszek.

Nadbiegł Shaw.

– Z drogi! – mruknął.

– Pani prezydent zabroniła wpuszczać kogokolwiek aż do odwołania – poinformowała kobieta.

– Mnie to nie dotyczy – wyjaśnił szef gabinetu.

– Będzie pan musiał wyjaśnić tę sprawę z panią prezydent – odpowiedziała wartowniczką.

– A jak mogę to wyjaśnić, skoro pani mnie nie wpuszcza?

– Taki otrzymałam rozkaz z ust prezydent. – Shaw sięgnął do klamki. – Jeśli dotknę pan mnie albo drzwi – syknęła kobieta – obezwładnię pana. – Zrozumiałeś, dupku? – dodała w myśli, uśmiechając się grzecznie.

Madeline Turner stanęła u szczytu stołu i zaczęła:

– Panowie, generał Overmeyer zalecił, żeby jego następcą na stanowisku przewodniczącego Połączonego Komitetu Szefów Sztabów został generał Charles. Złożyłam generałowi Charlesowi taką propozycję, a on zaakceptował ją. Jeśli którykolwiek z panów nie zamierza dalej służyć pod rozkazami moimi czy też generała Charlesa, proszę o opuszczenie sali. – Czterej generałowie i admirał wymienili spojrzenia i zostali na miejscach. – Dobrze. Jeżeli, jak podejrzewam, Chińczycy dokonali pokazowej eksplozji w celu zastraszenia mnie – przeszła od razu do tematu Turner – gorzko pożałują swojego pomysłu. Proszę mi powiedzieć, z czym dokładnie mamy do czynienia i jakie są możliwości reakcji?

Dyskusja była długa. W końcu prezydent zakończyła ją uniesieniem dłoni.

– Zanim zdecyduję, co odpowiedzieć, muszę dostać więcej informacji – oznajmiła. – Przez ten czas proszę przygotować się do dokonania podobnej eksplozji.

– Jaki ma być cel? – spytał Charles.

– Ten sam atol – odparła Madeline bez wahania.

– Overmeyer będzie pluł sobie w brodę, że nie brał w tym udziału – mruknął szef operacji morskich w ucho komendanta Korpusu Piechoty Morskiej.

Rozdział dwudziesty trzeci

Okinawa, Japonia

Major Ryan przejeżdżał koło lotniska w towarzystwie Terrence’a Daguerre’a, młodego kapitana żandarmerii. Wysoki, kościsty Daguerre był niegdyś dobrze zapowiadającym się zawodowym graczem w futbol amerykański, jednak doznał kontuzji, która zniweczyła jego nadzieje na dalszą karierę sportową. Ciągle jednak grywał sobie amatorsko w sobotnie popołudnia; w ten sposób zresztą poznał Ryana. Doktor stwierdził, że Daguerre to fascynujący przedmiot badań, ponieważ odznaczał się klasyczną osobowością autorytarną.

– Dozymetry nie pokazały nawet śladu promieniowania – stwierdził Daguerre.

– Mamy szczęście. Wiatr skręcił i opad przeszedł bokiem – odpowiedział Ryan. – Drużyny reagowania na sytuacje awaryjne wykryły swoimi czułymi przyrządami minimalny wzrost natężenia promieniowania, ale dostaliśmy tyle, co przy zwykłym prześwietleniu.

– I dlatego moi ludzie ciągle chodzą w kombinezonach MOPP – mruknął kapitan. MOPP to skrót od Mission Operative Protection Posture, co oznacza „Kombinezon Ochronny Umożliwiający Wykonywanie Misji”. Chroni on przed bronią chemiczną, biologiczną i do pewnego stopnia przed radioaktywnym pyłem. Chociaż żołnierze Daguerre’a pocili się w nie przepuszczających powietrza kombinezonach, sam kapitan zdjął maskę przeciwgazową i rękawice. Przystanął teraz przy jednym z wartowników i opuścił szybę w drzwiach samochodu.

– Jak idzie, żołnierzu? – zapytał.

– Gorąco jak diabli!... – odpowiedział wartownik stłumionym przez maskę przeciwgazową głosem.

– Pij wodę – poradził Daguerre.

– Skończyła mi się.

– Po to, między innymi, masz radio – pouczył kapitan. Podniósł szybę i ruszył. – Zobaczymy, czy jest na tyle inteligentny, by się nim posłużyć – dodał.

– Z tego co słyszałem, widział pan wybuch – zmienił temat Ryan.

– Tak, widziałem. O, tam. – Daguerre pokazał palcem na południowy zachód, ponad wzgórzem Habu. – Horyzont rozjaśnił się jak przy wschodzie słońca. Jednak słońce już wstało, więc od razu wiedziałem, co to takiego. – Przejechali teraz koło pustych, otwartych na przestrzał stanowisk, gdzie podczas pokoju stały F 15. Wydawało się, że od tego czasu minął cały wiek. Mimo wszystko kapitan przydzielił dwóch wartowników do pilnowania tego miejsca. Ci także mieli na sobie kombinezony MOPP.

– Stanowisko dowodzenia powinno ogłosić odwołanie alarmu, żebyśmy mogli pozdejmować te kombinezony, bo inaczej ktoś może zemdleć z gorąca – narzekał doktor.

– Odwołają, ale dopiero kiedy będzie bezpiecznie – odpowiedział Daguerre. – Poza tym to dobre ćwiczenie. – Zobaczyli przed sobą drużynę obsługi naziemnej, holującą po drodze do kołowania pojedynczego F 15. Żołnierze mieli na sobie zwykłe mundury polowe i hełmy. – Kto nimi dowodzi? – spytał zdziwiony kapitan.

Ryan rozpoznał starszego sierżanta Ralpha Contreraza, tego, który wyrzucił z autobusu Lancey Coltrain.

– On. – Doktor pokazał na sierżanta palcem. Daguerre podjechał do Contreraza i opuścił szybę.

– Sierżancie, dlaczego poruszacie się po terenie bez kombinezonów? – zawołał. – Nie ogłoszono jeszcze odwołania alarmu. Założyć z powrotem kombinezony MOPP!

– Sir, pozwolono nam wychodzić bez kombinezonów na krótki czas – wyjaśnił Contreraz.

– Interesuje mnie tylko „tak jest”, sierżancie.

– Tak jest! – odpowiedział posłusznie Contreraz, po czym cofnął się i zsalutował.

Odjechali.

– Zobaczmy, co zrobi ten niesubordynowany sukinsyn!... – warknął kapitan. Zaparkował. Patrzyli z Ryanem, jak drużyna przemieszcza maszynę w kierunku magazynu paliwa. Wartownicy usunęli odgradzającą miejsce linę, wrota hangaru otworzyły się i F 15 wturlano tyłem do środka. Wrota się zamknęły, wartownicy rozpięli linę z powrotem.

– Co by się stało, gdybym przekroczył tę linę? – zagadnął z ciekawością Ryan.

– Wartownicy zastrzeliliby pana. Inaczej dobrałbym im się do skóry – odpowiedział Daguerre.

– Czy to dlatego, że w środku znajduje się broń atomowa? – zapytał cicho doktor.

– To jest informacja, której udziela się tylko w razie konieczności – odparł kapitan.

– A co by pan powiedział – spytał ostrożnie doktor – gdybym zasugerował, że to my, a nie Chińczycy, przeprowadziliśmy ten wybuch, który pan widział?

– Nie zdziwiłbym się.

- A gdybym powiedział, że Martini to człowiek o niezaspokojonym ego?
 - Daje się w to uwierzyć. – Daguerre nie protestował.
 - A gdybym dodał jeszcze, że po generale widać poważne symptomy zachwianej równowagi emocjonalnej i wyczerpania psychiki stresem?
- Kapitan patrzył prosto przed siebie, nawet nie mrugnawszy.
- To pan jest lekarzem – skwitował.

* * *

Martini ogłosił odwołanie alarmu w samo południe, w poniedziałek – pięć godzin po atomowym wybuchu. Niemał natychmiast poczuł napływ świeżego powietrza – otwarto kanały wentylacyjne budynku dowodzenia i powietrze nie musiało już przechodzić przez grube filtry. Odezwał się interkom, a migające światelko wskazywało na bunkier wywiadu.

- Są załogi, sir – zameldował Townly.

Martini w odpowiedzi burknął coś niezrozumiale, jak to on, i podniósł się z fotela.

– Muszę się trochę rozruszać – oznajmił wszystkim i nikomu. Przeciągnął się. W rzeczywistości czuł się świetnie, musiał jednak wkrótce zrobić coś, na co wcale nie miał ochoty. Zatrzymał się przy kabinie kontroli i złapał szefa budynku dowodzenia.

– Chciałbym, żeby pan zaznajomił załogi z procedurami odpalania – polecił. Podpułkownik, do którego się zwrócił, bardzo był dumny z tego, że jest odpowiedzialny za przechowywanie wszystkich meldunków, dokumentów i książek kodowych.

Townly czekał na Martiniego i podpułkownika w drzwiach bunkra wywiadu. Odprowadził ich do pomieszczenia planowania lotów. Koło ściennej mapy stali dwaj piloci i dwaj oficerowie uzbrojenia. Martini powitał ich krótkim ukłonem i usiadł.

– Proszę, siadajcie panowie. – Przeczytał sobie dossier pierwszej załogi, która miała wykonać misję. Chet Woods i Ray Byers byli doświadczonymi kapitanami; wylatali na F 15 ponad pięćset godzin. Martini pamiętał, że to Woods latał z Laurie Bender, zanim polecił zastąpić go Chrisem Lelandem. Byersa nie znał, chociaż to nazwisko z kimś mu się kojarzyło. Nagle przypomniał sobie. – Czy jest pan może spokrewniony z sierżantem Rayem Byersem? – spytał. Sierżant techniczny Raymond A. Byers cieszył się pośród podoficerów US Air Force dość dwuznaczną sławą. Nazywano go nieoficjalnie jedynym asem wśród sierżantów.

- To mój ojciec, sir.

Martini pokręcił głową.

– Po pierwsze, czy na pewno jesteście ochotnikami? – zapytał. Czterej mężczyźni odpowiedzieli twierdząco. – Cóż, panowie. Otrzymaliśmy rozkaz zaplanowania i przygotowania ostrzegawczej eksplozji jądrowej.

Lotnicy przyjęli wiadomość bez większego wzruszenia.

– Waszym zadaniem – ciągnął generał – jest zrzuć taktycznej bomby atomowej o niewielkiej sile nad tym samym celem, nad którym zrobiły to Chiny. Samo-

lot został przygotowany i przemieszczony do magazynu paliwa, gdzie teraz uzbraja się go w B-61. W tej chwili misja jest wstrzymana; mamy być w gotowości do jej przeprowadzenia. Mam nadzieję, że nigdy nie dostaniemy rozkazu wykonania. Jednak jeśli rozkaz nadejdzie, chcę, żebyście okopcili trochę wasz cel. Czy jesteście w stanie to zrobić? – Wszyscy czterej potwierdzili swoją gotowość. Chet Woods dorzucił, że cel będzie świecił w ciemności.

– Bardzo dobrze – odparł Martini. – Pułkowniku, proszę mówić – zwrócił się do szefa budynku dowodzenia.

Podpułkownik wstał i podał lotnikom potwierdzenia autentyczności rozkazu oraz kody.

– Ponieważ nie będziecie czekać w gotowości kabinowej – zaczął podpułkownik – zostaniecie wezwani na stanowisko dowodzenia i zobaczycie na własne oczy wiadomość Quebec Zulu. Jest to sprawa kluczowa, ponieważ częścią tej wiadomości jest kod PAL – *permissive action link* – bez którego nie możecie odbezpieczyć ani uzbroić bomby.

– Przepraszam, czy to znaczy, że mamy tu bomby, a nie mamy kodów PAL? – zapytał zdziwiony Woods.

– Tak właśnie funkcjonuje cały system – mruknął Martini. – Skoro nie ufają mi w kwestiach finansowych, to myślicie, że dałoby mi do wyłącznej dyspozycji bombę atomową? – Mężczyźni roześmiali się i napięcie minęło.

Byers spytał z kolei, dlaczego bomba jest ładowana w magazynie paliwa, który nie jest zbyt pewnym schronem.

– Rejon magazynów amunicyjnych i umocnionych bunkrów obserwują drużyny wywiadowcze, zarówno chińskie, jak i japońskie – wyjaśnił generał. – Z tego co wiedzą, na Okinawie nie ma broni jądrowej, a samolot został przeprowadzony do magazynu paliwa ze względów technicznych. Mam nadzieję, że uda nam się zaskoczyć jednych i drugich.

– Panie generale – odparł Byers – na razie udało się panu zaskoczyć m n i e.

– Czy jest pan w takim razie gotowy?

– Sir, nie dałbym sobie za nic odebrać takiej okazji.

Martini wiedział teraz, że ma przed sobą ludzi, jakich potrzebował do wykonania otrzymanego rozkazu.

Waszyngton, USA

Ben spał z tyłu niebieski blezer, który miała na sobie Elizabeth Gordon, żeby podkreślić jej szczupłą talię. Liz usiadła na jednym ze skórzanych foteli stojących wokół telewizyjnego studia. Założyła dla większego efektu nogę na nogę i przypięła sobie do klapy mikrofon. Była gotowa do dyskusji przy okrągłym stole, która miała się za chwilę zacząć. Po chwili dołączyli do niej dwaj inni reporterzy zajmujący się polityką. Dokładnie o szóstej pięćdziesiąt sześć rano z przebiegalni wyszedł główny spiker kanału CNC, Paul Ferguson, znany od lat ze swej charakterystycz-

nej sylwetki, w której dominowały wielkie pośladki. O siódmej reżyser programu dał mu znak i Ferguson zaczął mówić:

– Dzień dobry, Ameryko. Jest poniedziałek, siódma rano, a ja wraz z trójką moich kolegów znalazłem się tu, aby przeanalizować informacje na temat wybuchu atomowego, jaki miał miejsce dwanaście godzin temu na Morzu Wschodniochińskim. – Przedstawił kolejno wszystkich; Elizabeth była ostatnia. – Najpierw jednak zapraszamy do obejrzenia czegoś innego. – Nadano trzyminutowy zestaw reklam.

Po reklamach Liz była przez siedem minut biernym świadkiem dyskusji trzech mężczyzn, którzy wymądrzali się na temat kryzysu. Z trudem to przetrzymała; było jasne, że Ferguson plecie, co mu ślina na język przyniesie; pozostali nie byli wiele lepsi. Dwukrotnie próbowała dorzucić do dyskusji kilka faktów, jednak Paul nie pozwalał jej dojść do słowa. W końcu zaczęła mówić bez przerwy, zmuszając ich do milczenia:

– Paul, jak na razie rozmawiamy w ciemno. Wiemy tylko, że nad Morzem Wschodniochińskim został zdetonowany niewielki ładunek jądrowy, oraz że jeszcze przed eksplozją do Białego Domu przybyła delegacja liderów Kongresu i wysoko postawieni członkowie administracji rządowej. Takie są fakty; cała reszta pozostaje tylko spekulacją.

– Czy sugerujesz, że prezydent Turner spodziewała się ataku nuklearnego? – zapytał Paul.

– Nie, Fergy – odpowiedziała Elizabeth używając popularnego zdrobnienia nazwiska Fergusona, którego nie cierpiał – nie sugeruję tego. I nikt przy zdrowych zmysłach nie wysunąłby takiej tezy. To oczywiste, że prezydent pracowała po prostu nad rozwiązaniem trwającego kryzysu i rozmawiała w tej sprawie z przedstawicielami Kongresu.

Ferguson żywił szczerze przekonanie, że jego wypowiedzi dyktuje mu sam Pan Bóg Wszchemogący. Jeśli Liz próbowała choćby dać do zrozumienia, że jego, Paula Fergusona, kwestie nie mają obowiązującej mocy, porównywalnej z Dziesięciorgiem Przykazań, było to z jej strony ciężkie wykroczenie, wołające o natychmiastowe ukaranie uderzeniem pioruna. Zapytał jednak spokojnie:

– Co zatem konkretnie robi administracja? – Paul nigdy nie tracił na antenie rezonu, z czego słynął.

– Trudno być tego pewnym – zaczęła Liz – ale wyobrażam sobie, że analizują możliwe opcje działania, przygotowują różne odpowiedzi, z których będą mogli wybierać, ustanawiają nowe kanały wzajemnej komunikacji. Jednak na tym etapie najlepsze, co możemy zrobić dla amerykańskiej opinii publicznej, to trzymać się faktów i nie spekulować.

Reżyser zasygnalizował przerwę na reklamy.

– Nie pomagasz nam dzisiaj, Liz!... – skarcił Ferguson, kiedy wyłączono kamery.

– A twoi ludzie nie mają pojęcia, co się dzieje! – odbiła piłkę Elizabeth. – To zwykle bicie piany.

– Liz! – zawołał zza kamer Ben. – Biały Dom zwołuje na ósmą konferencję prasową!

Gordon wstała i odpięła mikrofon.

– Jeżeli chcecie uprawiać spekulację grupową... – z premedytacją powiedziała to tak, żeby zasugerować seksualną perwersję – ...to zróbcie to po konferencji prasowej.

* * *

W Gabinetcie Owalnym panowało kontrolowane zamieszanie. Maura poprawiała makijaż córki. Doradcy do spraw bezpieczeństwa siedzieli stłoczeni na dwóch kanapach; Shaw stał przy drzwiach, przekazywał informacje i wpuszczał ludzi.

– Pani prezydent, niech pani nie rozmawia z mediami – poradził. – Niech Harry poprowadzi konferencję.

– To byłby błąd – odparła Turner. – Będę mówić krótko i prosto.

– Nie zdążyliśmy pani przygotować – zaprotestował szef gabinetu. Tymczasem nadbiegł goniec i wręczył mu wiadomość z pomieszczenia łączności. Shaw przeczytał ją i przekazał sekretarzowi stanu.

– To od przewodniczącego Zoulina – poinformował. – Chce natychmiast powrócić do paryskich negocjacji.

Madeline wstała, a Maura poprawiała jej jeszcze apaszkę wokół szyi.

– Powinam była się tego spodziewać – powiedziała prezydent. – Robercie, jak szybko możecie z Mazie znaleźć się w Paryżu?

– Późnym wieczorem czasu paryskiego – wyjaśnił Bender. – Jeżeli natychmiast wylecimy.

– Bardzo dobrze. Francis, niech pan przekaże Zoulinowi, że generał Bender już tam leci. Niech pan prześle także Chinom oficjalnymi kanałami ostro sformułowany protest. Chcę, żeby znaleźli się w potrzasku. W którąkolwiek stronę spróbują się ruszyć, natkną się na siłę. Będziemy potajemnie negocjować, a jednocześnie oficjalnie wyrazimy oburzenie. Jak mogę wzmocnić moją siłę przekonywania?

– Może pani ogłosić DEFCON 1 dla obszaru Dalekiego Wschodu – zaproponował Charles.

Francis zbladł.

– To zbyt silny sygnał. Niech pani wezwie japońskiego ambasadora i wyda publiczne oświadczenie o wzajemnym wsparciu.

– Zróbcie jedno i drugie – poleciła Turner.

W rozmowę wtrącił się Shaw:

– Pani prezydent, a co zamierza pani zrobić z senatorem Lelandem?

– Nic – odpowiedziała krótko Madeline idąc ku drzwiom. Przystanąła i popatrzyła na Charlesa. – Kiedy możecie dokonać eksplozji ostrzegawczej?

– W Kadenie czeka już przygotowana taktyczna bomba atomowa – poinformował generał. – A kody odpalania są w „piłce futbolowej”.

Teraz Turner zbladła i zamknęła oczy. Odetchnęła krótko parę razy i wyprostowała się.

– Chcę, żeby wszystko było jasne – powiedziała. – Zmierzam do rozwiązania pokojowego. Nie pragnę odpowiadać w ten sposób. Jednak ta agresja musi

zostać powstrzymana. – Po tych słowach ruszyła na czele pozostałych na konferencję prasową.

Bender zbierał papiery, szykując się do wyjścia; popatrzył na Maurę porządkującą biurko córki i powiedział:

– Nigdy jeszcze jej takiej nie widziałem!...

– Tak bywa, kiedy doprowadzają ją do ostateczności – odparła O’Keith. – Coś w niej pęka. – Usiadła koło generała. – Maddy potrafi mieć bardzo silną wolę, tylko ukrywa to.

– Dlaczego? – zdumiał się Robert.

– Dlatego, że tak ją wychowałam – wyjaśniła starsza pani. – Była taką ładną małą dziewczynką i chciałam, żeby była miła.

* * *

Peter Whiteside, szef korpusu prasowego, siedział na swoim zwykłym miejscu w niewielkiej salce, w której od lat przeprowadzano konferencje prasowe. Wstał machinalnie na widok prezydent i zdziwił się, jak spokojnie i chłodno Turner wygląda.

– Proszę, siadajcie państwo – odezwała się Madeline, wchodząc na mównicę. Zaczęła od przedstawienia generała Charlesa jako pełniącego obowiązki przewodniczącego Połączonego Komitetu Szefów Sztabów. Następnie przeszła do sprawy atomowego wybuchu. – Wiemy już, że Chiny zdetonowały bombę o sile pięćdziesięciu kiloton, dokładnie o dwudziestej czwartej w niedzielę czasu Greenwich. Eksplozja miała miejsce nad atolem leżącym sto dwadzieścia pięć mil na południowy zachód od Okinawy, na Morzu Wschodniochińskim. Zebraliśmy dane używając samolotu zwiadowczego, a także innych źródeł będących w naszej dyspozycji. Celem przeprowadzenia jądrowej detonacji było zastraszenie Japonii i wymuszenie na niej przez Chiny korzystnego dla nich porozumienia. Kierujemy w stronę Chin bardzo ostry protest. Co więcej, nasze siły zbrojne zostały postawione w stan maksymalnej gotowości i są zdeterminowane odpowiedzieć na każde zagrożenie czy atak.

– Czy Chiny odpałą w nas rakiety? – zawołał jakiś reporter.

Teraz posypał się grad pytań. Prezydent uniosła dłoń, uciszając salę.

– Wystarczy mi czasu, żeby odpowiedzieć zaledwie na kilka pytań. Odpowiadam na pierwsze z nich: Chiny nie posiadają broni zdolnej sięgnąć Stanów Zjednoczonych. – Dała znak drugiemu reporterowi.

– Pani prezydent, czy atol był bezludny? – zapytał mężczyzna.

Madeline zamilkła na chwilę, bo ogarnęło ją przykre uczucie.

– Na wyspie znajdowało się kilka chat rybaków i według danych wywiadu były one w chwili eksplozji zamieszkane – odpowiedziała. – Nie znamy dokładnej liczby ofiar. – Turner wybierała teraz reporterów jednego po drugim, pozwalając każdemu zadać tylko jedno pytanie. W końcu wskazała na Petera Whiteside’a, zaznaczając, że jego pytanie będzie ostatnie.

– Pani prezydent, czy otrzymała pani jakiegokolwiek ostrzeżenie, że Chińczycy zamierzają przeprowadzić eksplozję jądrową? – zapytał.

Madeline rzuciła mu surowe spojrzenie.

– Żadnego – odparła krótko. – Dziękuję państwu. – Po tych słowach zeszła ze sceny.

– Czy brała pani choćby pod uwagę taką możliwość?! – zawołał jeszcze za nią Whiteside. Prezydent nie odwracała się jednak i reporterzy zaczęli wstawać z miejsc.

Liz Gordon wypadła z budynku i poczekała, aż Ben ustawi kamerę.

– Pewna siebie i przemawiająca z przekonaniem Maddy Turner nie pozostawiła wątpliwości, kto jest przy sterze – powiedziała. Obok niej mówił do swojego mikrofonu Peter Whiteside:

– Głęboko wstrząśnięta prezydent uciekła dziś rano przed twardymi pytaniami dziennikarzy. Ewidentny brak szczerości w odpowiedziach na wiele pytań umacnia nas tylko w przekonaniu, że mamy do czynienia z zatajaniem ważnych dla państwa spraw.

* * *

Nancy czekała w pomieszczeniu operacyjnym Bazy Sił Powietrznych Andrews. Miała ze sobą walizkę z ubraniami męża na zmianę. Podjechał samochód z Białego Domu, wyskoczył z niego Robert i podbiegł do niej.

– Bałem się, że nie odbierzesz w porę wiadomości – rzucił. – Muszę lecieć do Paryża.

– Potrzebny ci lokaj – odpowiedziała Nancy. – Byłam w kostnicy, a kiedy wychodziłam, sprawdziłam akurat przypadkiem, czy coś nie nadeszło.

Bender, zdenerwowany, pokręcił w zdumieniu głową.

– W kostnicy? Po co?...

– Znaleźli Shalandrę – oznajmiła bezbarwnym głosem. – Zmiażdżona czaszka. Jak dotąd nie ma podejrzanych. – Generał wyciągnął dłoń, żeby dotknąć policzka żony, ale uchyliła się. – Nie mogłam w żaden sposób jej ocalić. Ani jej, ani nikogo innego. Zresztą to w tej chwili bez znaczenia.

Nadbiegł sierżant i sięgnął po torbę Bendera.

– Panie generale, jest pani Hazelton – poinformował. – Silniki pracują i mamy zezwolenie na start.

– Już idę – odparł Robert. Zobaczył kątem oka Mazanę, czekającą na niego w drzwiach. – To ma znaczenie, naprawdę – zwrócił się do żony.

– Najlepiej już idź. – Nancy odsunęła się.

– Nancy...! – Nie mógł wykrztusić, że bardzo ją kocha i potrzebuje jej bardziej niż kiedykolwiek przedtem. Nie umiał tego powiedzieć, przynajmniej publicznie. – Tak mi przykro z powodu Shalandry... – bąknął tylko.

– Doprawdy? – Nancy odwróciła się i poszła.

* * *

Shaw siedział u szczytu stołu w Gabinetu Sytuacyjnym i bazgrał coś w notatniku, słuchając jednym uchem rozmowy Turner z doradcami. Musiał z niechęcią przyznać, że Charles okazał się trafnie wybranym następcą Overmeyera. Po-

rozumiewali się z prezydent bez kłopotów. A może po prostu Maddy nagle postanowiła go słuchać?

– Dlaczego nie możemy użyć pocisku samosterującego albo rakiety odpalonej z okrętu podwodnego? – pytała prezydent.

– Możemy – odpowiadał Charles. – Ale wtedy nie będzie to eksplozja o małej mocy. Większość naszej taktycznej broni jądrowej została wycofana, zostało nam jednak do wyboru parę typów o niewielkiej sile, takich jak B-61. A B-61 to bomba lotnicza.

– Chcę, żebyście użyli ładunku o jak najmniejszej energii. To sprawa podstawowej wagi – zaznaczyła prezydent.

– W takim razie B-61 jest jedyną bombą, która nadaje się tu do zastosowania.

– Czy piloci wyjdą z tego cało?

– Prawdopodobnie tak. Jeśli to panią interesuje, pani prezydent, mam tu wyliczone prawdopodobieństwa różnych rezultatów misji.

Madeline potrząsnęła głową.

– Chciałam tylko wiedzieć, czy jesteście w stanie to zrobić.

– Nie mogę dać pani prezydent absolutnej gwarancji, jednak z dużym stopniem prawdopodobieństwa bomba eksploduje nad celem.

Zadzwonił telefon obsługujący linię specjalną. Dzwonił Barnett Francis z Departamentu Stanu. Shaw, który odebrał, przełączył telefon na rozmowę przez głośnik i mikrofon zbierający dźwięki z całego pomieszczenia.

– Chiński ambasador właśnie odjechał – poinformował Francis. – Spotkanie nie było zbyt owocne; odrzucili nasz protest.

– Czy to tylko poza dla potrzeb opinii publicznej, czy też rzeczywiście takie jest ich stanowisko? – chciała wiedzieć Turner.

– Trudno mi w tej chwili powiedzieć.

– Grają na zwłokę – mruknął Charles.

– Niech kanały dyplomatyczne pozostaną otwarte – poleciła prezydent i rozłączyła rozmowę. – Zgadza się z generałem Charlesem – oznajmiła. – Grają na zwłokę, żeby zobaczyć, jak będzie się zmieniać opinia publiczna. Jednak nie zamierzam zostawiać im zbyt wiele czasu. Wystosuję osobisty list do Zoulina i poproszę Roberta, żeby przekazał go w Paryżu Chińczykom. Generale Charles, kiedy siły powietrzne zdadzą dostarczyć list generałowi Benderowi?

Charles popatrzył na zegarek.

– Jeżeli zdoła pani dać go nam w ciągu dwóch godzin, generał Bender otrzyma go, kiedy tylko się obudzi.

– Przekażę go w ciągu najbliższej godziny – obiecała Madeline. – Cóż, w tej chwili nie możemy zrobić wiele więcej, więc proszę panów o powrót do waszych rutynowych zajęć. Niech Chińczycy myślą, że nie roztrząsaliśmy sprawy zbyt długo.

– Będziemy nadal wysyłać co godzina komunikaty do Pentagonu – oznajmił Charles.

– I proszę cały czas informować media, że wojsko jest w stanie najwyższej gotowości – dodała Turner. – Dorzucicie im kilka szczegółów, żeby wiedzieli, że

nie jesteśmy zaniepokojeni i wiemy, co robić. – Wstała. – Spotkamy się jutro z samego rana.

Shaw wyszedł jako ostatni i poszedł na górę do swojego biura. Uprzątał biurko przez całą godzinę, po czym wezwał limuzynę, żeby zawiozła go do domu. Niechętnie przyznawał przed sobą, że decyzja Maddy, żeby nie działać zbyt nerwowo, była bardzo słuszna. Jednak już od dwudziestu czterech godzin media albo domagały się krwi, albo przewidywały natychmiastową atomową zagładę ludzkości. Ile jeszcze zostało czasu?

Prezydencki szef gabinetu jechał w milczeniu. Ulice były puste, jak gdyby wszyscy pochowali się przed nadchodzącą burzą. Nawet w podziemnym parkingu budynku Watergate nie było zwykłego ruchu. Patrick jechał windą sam. Otworzył drzwi do swojego apartamentu i poczuł zapach gotującego się gulaszu. Była u niego Jessica.

– Wcześniej wróciłeś – zawołała z kuchni.

Shaw westchnął.

– Czego teraz chce Leland? – spytał.

– Chce wiedzieć, co się dzieje.

– A jak myślisz, do cholery, co się dzieje? Oto Maddy radzi sobie z pieprzonym kryzysem, właśnie tak!

– Senator jest bardzo niezadowolony. Zapewniłeś go, że Daleki Wschód wybuchnie jej prosto w twarz.

– Rzeczywiście, przypominam sobie, że tak się wyraziłem.

– Wcale nam tym nie pomogłeś – zauważyła Jessica. – Senator boi się, że jeśli nie zrobimy czegoś natychmiast, stracimy jedyną okazję.

– Poradź mu, żeby zrobił to, co zawsze się robi w podobnych sytuacjach.

– Co takiego?

– Kiedy przegrywasz, zwijaj się i zacieraj za sobą ślady.

Rozdział dwudziesty czwarty

Paryż, Francja

Bender pozwolił kelnerowi zabrać zjedzone tylko do połowy śniadanie i sięgnął po filiżankę z kawą. Jak zwykle, obsługa i jedzenie w stołówce dla pracowników Ambasady Amerykańskiej w Paryżu były wprost wspaniałe. Generał delectował się wyśmienitą kawą, kiedy do sali weszła Hazelton i podeszła do jego stolika. Na drobnej Mazie wciąż jeszcze było znać ślady zmęczenia spowodowanego lotem przez ocean, jednak po paru godzinach odpoczynku wyglądała o wiele lepiej niż przedtem.

– Przywieziono właśnie list z Białego Domu – powiedziała. – Ma pan jak najszybciej przekazać go osobiście Chińczykom. – Bender odstawił filiżankę i poszedł za Mazie do ich tymczasowego biura.

– Jest ósma trzydzieści. Na którą może pani najwcześniej zorganizować spotkanie? – zapytał.

– Mam z tym kłopoty – przyznała. – Dzwoniłam do zameczku, jednak jak dotąd odbiera tylko służba, która nie może uzgadniać żadnych spotkań. – Popatrzyła z niepokojem. – Obawiam się, że ich negocjator jest po prostu nieobecny.

– Co się dzieje? Przecież to oni chcieli rozmów.

– Z jakiegoś powodu Chińczycy grają na zwłokę. Może w Pekinie rozgrywa się wewnętrzna batalia o władzę, a może chcą pokazać w ten sposób swoją siłę? – zastanawiała się głośno Mazana.

– Wydaje im się, że Maddy załamie się pod naciskiem, prawda? – Przystań nazywać prezydent „Maddy”! – zbeształ się w myśli generał.

– Prawdopodobnie tak.

– Zadzwonię do Białego Domu i powiem im, co się dzieje. Niepotrzebna mi wycieczka do Paryża w momencie, kiedy... – Bender urwał w środku zdania. Lubił Mazie i ufał jej, ale nie potrafił dyskutować z nią o swoich problemach rodzinnych. Jak mógłby przyznać przed kimkolwiek, że oddalają się z żoną od siebie? Że musi wracać, zanim będzie za późno i zlikwidować ten rozdzwięk, który powiększa się wciąż od chwili śmierci Laurie?

– Widziałam, jak rozmawiał pan ze swoją żoną w bazie Andrews... – odezwała się Mazana poważnie.

Wie wszystko, pomyślał Robert. Dlaczego kobiety potrafią wyczuć takie sprawy, podczas gdy mężczyźni niczego nie widzą? A może to tylko ja niczego nie widzę?...

– W Waszyngtonie jest prawie trzecia w nocy – powiedział. – Zobaczmy, kto o tej porze nie śpi w Białym Domu.

Waszyngton, USA

Jessica odebrała leżący przy łóżku telefon już po drugim sygnale. Podała słuchawkę Patrickowi. Podczas gdy on słuchał, przytuliła się do niego i przesunęła parę razy piersiami po jego plecach.

– Nie, niech pan jej nie budzi. To może zaczekać parę godzin – powiedział Shaw do telefonu. – Proszę zwołać doradców do spraw bezpieczeństwa do Gabinetu Ovalnego... nie, lepiej do Gabinetu Sytuacyjnego, na szóstą trzydzieści. Niech będzie tam koniecznie DCI i sekretarz stanu. – Wyłączył telefon i rzucił go na podłogę. – Cholera. Muszę jechać – mruknął.

– Tak szybko? – zapytała Jessica, głaszcząc jego genitalia. Żadnej reakcji.

– Przepraszam cię, Jess, ale Chińczycy rujną moje życie erotyczne – powiedział.

– Czy jesteś pewien, że to Chińczycy?...

Shaw zignorował pytanie i wstał.

– Powiedz Lelandowi, żeby zaciągnął do łóżka jakąś reporterkę i niech się zabawia. – Podniósł telefon i rzucił go Jessice. – Może go obudzisz?

– Nie trzeba się z tym aż tak spieszyć – odparła kobieta. – Pomogę ci przy prysznicu. – Stała za Patrickiem masując mu ramiona. – Wszystko będzie dobrze, nie martw się. – Pocałowała go w kark i poszła do łazienki. Nagle wróciła biegiem, rzucając się Shawowi na szyję. Trzymała go mocno, przyciskając twarz do jego piersi; miała nadzieję, że Patrick nie widzi jej łez.

– Dziecko, co ci się stało?

* * *

Mężczyźni przyglądali się Turner krążącej po Gabinetcie Sytuacyjnym. Doszła do ściany z monitorami i ruszyła z powrotem.

– Czy Japończycy odpowiedzieli już w jakiś sposób? – zapytała.

– Nadal są oszołomieni – odparł Barnett Francis. – Ale rośnie tam stronnictwo zwolenników wojny; domagają się odwetu.

– Czy Chińczycy zmienili swoją gotowość bojową?

– Nie, pani prezydent. – Teraz mówił DCI. – Żadnych zmian po żadnej ze stron.

– To dlaczego Chiny grają na zwłokę?

– Uważają, że im dłużej nie odpowiadamy im pokazem siły, tym mniej jest on z naszej strony prawdopodobny – ocenił Francis. Wziął głęboki oddech i dodał: – Być może myślą, że pani załamie się pod ich naciskiem, jeśli będzie trwał dostatecznie długo.

– Tak myślą? W takim razie ogłoszę całkowite zamrożenie wszystkich chińskich kont w Stanach Zjednoczonych i porozmawiam z naszymi sojusznikami w sprawie nałożenia embarga na Chiny.

– To powinno dać im do myślenia – skomentował Shaw.

Generał Charles patrzył na własne dłonie.

– To może nie wystarczyć – ocenił. – Demonstracja siły może być jedyną rzeczą, jaka przekona ich do wycofania się.

Shaw pokręcił głową.

– Sądzę, że najpierw powinna pani nawiązać paryskie negocjacje.

– Z kim? – rzucił retorycznie Francis.

Madeline usiadła i zapisała w notatniku kilka cyfr.

– Od czasu chińskiej eksplozji minęło już trzydzieści sześć godzin – powiedziała. – Ile jeszcze mam czasu? – Wysłuchiwała dyskusji, jaka wybuchła po tym pytaniu. W końcu zebrani doszli do zgodnej opinii, że Turner musi zadziałać szybko, jeśli w ogóle myśli o przejęciu inicjatywy. – Ile czasu trwa lot z Paryża do Pekinu? – zapytała więc.

– Około trzynastu godzin – odparł Charles – jeśli pozwolą im lecieć nad Rosją. Będą też musieli gdzieś zatankować, a to doda godzinę czy dwie.

– Prześlijcie Robertowi do Paryża nowe instrukcje. Chcę, żeby poleciał do Pekinu i osobiście przekazał mój list Lu Zoulinowi. Ma podkreślić, że to ostatnia szansa powrotu do normalnych stosunków. Jeśli nie otrzyma odpowiedzi w ciągu sześciu godzin, ma natychmiast opuścić Chiny.

Barnett Francis zbladł.

– Pani prezydent, czy zamierza pani postawić im ultimatum? – spytał.

– Dam im jeszcze dwadzieścia cztery godziny – odpowiedziała Turner.

Lotnisko imienia Charles’a de Gaulle’a, Francja

Samochód ambasady podjechał do czekającego C-137, czyli specjalnie zmodyfikowanego starego Boeinga 707, który służył niegdyś jako prezydencki Air Force One. Samolot miał już ponad czterdzieści lat, jednak ciągle błyszczał w słońcu, jak gdyby świeżo wyleciał z fabryki. Bender i Hazelton wysiedli z samochodu. Steward wniósł po schodkach do samolotu walizkę generała.

– Nadal jestem zdania, że powinnam z panem polecieć – odezwała się Mazie. – Potrzebny panu będzie tłumacz.

– Ambasada przydzieli mi tłumacza – odparł. Wyraz twarzy Mazany mówił, że to kiepska wymówka.

– Mazie, lecę tylko z podstawową, czteroosobową załogą, ponieważ to może być stracona podróż. Na razie nie mamy statusu dyplomatycznego ani nawet po-

zwolenia na wejście w chińską przestrzeń powietrzną. Chcę, żeby pani tu została i próbowała otworzyć dla nas kanał dyplomatyczny. Mam nadzieję, że zdoła pani uzyskać dla nas zezwolenie na lądowanie w Chinach do czasu, kiedy zaczniemy nabierać paliwa w Nowosybirsku. Potem proszę wracać do Waszyngtonu.

Mazana podała mu teczkę.

– Nie ufam Zoulinowi, a Wang Mo-tsun nienawidzi pana. Niech pan uważa na siebie.

– Będę uważał – odparł Robert, uśmiechając się najmilej jak umiał. Widział jednak, że Hazelton jest bardzo zaniepokojona. – Widzę, że się pani martwi ... – Mazana popatrzyła tylko na niego. – Mazie, gdyby rozmawiała pani z moją żoną, proszę jej powiedzieć, że... – Potrząsnął głową, ciągle niezdolny do wyrażenia swoich uczuć. Odwrócił się i ruszył szybko po schodkach.

– Że pan jej potrzebuje – dokończyła za niego Mazie. Nie usłyszał jej jednak, bo akurat rozpędzano silniki.

Waszyngton, USA

Słowo „satisfakcja” nabrało dla Paula Fergusona nowego znaczenia. Siedział teraz znowu z Liz Gordon w telewizyjnym studio i miał o czym mówić, dzięki przeciekom z grupy Lelanda. Wyrówna teraz rachunki z Gordon i udowodni raz jeszcze, że to on jest najlepszym komentatorem sceny politycznej w całej Ameryce, że stanowi siłę, z którą należy się liczyć. Przypiął sobie mikrofon i poprawił ubranie. Posłał Elizabeth protekcjonalne spojrzenie, jakie zwykle rezerwował dla reporterów prasowych. Reżyser dał sygnał i Ferguson zaczął:

– Dobry wieczór, Ameryko. Znowu siedzimy w studio z Elizabeth Gordon. Liz, ile jest prawdy w napływających z Kapitolu plotkach, że wielu kongresmanów domaga się postawienia Maddy Turner w stan oskarżenia?

– Paul, jak wiesz, słyszymy te plotki już od tygodni, a Kongres jest podzielony na zwalczające się frakcje. Dobrze poinformowane źródła twierdzą, że jest to element walki, jaką prowadzi z panią prezydent senator Leland. Najczęściej podnoszoną kwestią jest reforma podatkowa, ponieważ liczni poplecznicy Lelanda, którzy dokonali pokaźnych wpłat na fundusz jego kampanii wyborczej, zapłacą po reformie poważne kwoty w formie podatków za pobieranie subsydiów rządowych.

Paul zaprezentował teraz swoją sensację:

– A zatem owe plotki o postawieniu prezydent w stan oskarżenia nie mają nic wspólnego z faktem, że prezydent wiedziała o zbliżającym się ataku nuklearnym i nie zrobiła nic, aby mu zapobiec?

– Paul, wedle wszelkich źródeł, których opinii zasięgałam, ten tak zwany przez ciebie fakt jest tylko sztygą grubymi niemi plotką, rozpuszczoną w celu zdyskredytowania prezydent. – Teraz Liz przebiła go jeszcze większą sensacją: – Co w tej sprawie najbardziej niezwykle, to że zidentyfikowano źródło tej plotki

w osobie jednego z asystentów senatora Johna Lelanda. – Gordon podziękowała w duchu Jeffowi Bissellowi.

Paul wpadł we wściekłość. Liz odbierała mu inicjatywę, to ona nadawała tempo programowi.

– Trudno mi uwierzyć w to, żeby senator Leland, który jest jednym z najbardziej szanowanych mężów stanu w naszym kraju, przyczyniał się do rozpowszechniania tak wymyślnego kłamstwa... – skomentował.

Gordon uniosła brew, dając do zrozumienia, że podaje w wątpliwość zdrowie psychiczne swojego sławnego kolegi. Ta mina zaszkodziła mu bardziej niż najostrzejsze słowa. Nie można było tego wyciąć, ponieważ dyskusja prowadzona była na żywo.

– Paul, w tej chwili można ze spokojnym sumieniem powiedzieć, że awanturnicze politykierstwo forsujące partykularne interesy jest dla wielu większą wartością niż prawda.

Ferguson nie miał wyjścia, jak tylko ukryć złość i zapowiedzieć:

– Przechodzimy teraz do innych wiadomości.

Reżyser pokazał, że zesłi już z anteny.

– Jesteś świetną reporterką, Liz. Dzięki, że przysłaś – powiedział. Wszyscy obecni w studiu wiedzieli, że Gordon już nigdy nie zasiądzie na wizji razem z Pauliem Fergusonem.

Baza lotnicza Sha-he, Chiny

Srebrzystobłękitny C-137 kołował powoli wzdłuż długiego szeregu myśliwców. Wylądował właśnie w chińskiej bazie wojskowej, leżącej siedemdziesiąt mil na północ od Pekinu. Drugi pilot, kapitan Rodney Davis, uniósł kamerę wideo, żeby sfilmować stare chińskie odrzutowce.

– Niech pan schowa kamerę – poradził Bender. Pokazał na terenowy samochód, który wskazywał im drogę. – Prawdopodobnie obserwują nas stamtąd.

– Jeszcze nigdy nie widziałem MiG-a 19 – zaprotestował Davis.

– Chińczycy nazywają je J-6 – uściślił generał. – Ciągłe mają ponad trzy tysiące tych maszyn. – Naliczył trzydzieści siedem stojących rzędem myśliwców. Wszystkie wyglądały na zaniedbane, przydałoby się je umyć i pomalować, jednak nadawały się do użytku.

– Bardzo mały tu ruch – zauważył sierżant techniczny Otis Jenkins, czarnoskóry mechanik pokładowy.

– Jest pora lunchu – stwierdził Bender.

Pierwszy pilot, major Bill Courtland, roześmiał się.

– To by było zanadto cywilizowane! – Włączył interkom i wywołał stewarda. – Mówiliśmy właśnie o lunchu, Larry, co tam masz?

W słuchawkach rozległ się donośny głos starszego sierżanta Larry'ego Burke'a:

– Homara z Newberg.

Pilotujący pikap zwolnił i zatrzymał się. Wsiadła z niego kobieta w wymiętym mundurze i pokazała pilotowi miejsce postoju. Skrzyżowała nadgarstki ponad głową i pokazała „cięcie” na wysokości szyi. Courtland wyłączył więc silniki. Do przednich drzwi samolotu podjechały schodki; nadjechał też czarny samochód z amerykańskiej ambasady.

– Założę się, że jeszcze nigdy nie widzieli tu amerykańskiego samolotu – powiedział pilot.

– Och, przypuszczam, że jednak widzieli... – odparł Bender, przypominając sobie, że jego poprzednik wraz z byłym sekretarzem stanu wylądowali w tej samej bazie, aby sprzedać Tajwan. – Czy dolecimy stąd do Seulu bez tankowania? – zapytał, zmieniając temat.

Otis Jenkins, mechanik, sprawdził wskaźniki ilości paliwa.

– A jak to daleko? – zapytał.

– Osiemdziesiąt minut lotu – wyjaśnił drugi pilot, Davis.

– Spokojnie – oznajmił Jenkins.

– Świetnie. Proście o zezwolenie na start i bądźcie gotowi lecieć, kiedy tylko przyjadę z powrotem – polecił Bender.

Steward, Larry Burke, podał generałowi płaszcz, szalik i rękawiczki, a potem otworzył drzwi. Koło schodków czekał Amerykanin, mąż Mazie, Wentworth Hazelton.

– Miło mi znowu pana widzieć, panie generale – powitał Bendera z uśmiechem. Podali sobie ręce. Wentworth zaprowadził Roberta do samochodu. – Do Pekinu jedzie się stąd mniej więcej godzinę. Mamy eskortę, a przewodniczący Lu czeka na pana.

– Mazie nie uprzedzała, że pan tu będzie – powiedział zdziwiony Bender.

– Staramy się nie mieszać naszego życia prywatnego do spraw zawodowych – odparł Hazelton.

– A zatem pan należy do frakcji prochińskiej?... – zagadnął generał.

– Tak jak Mazie do projaapońskiej – upewnił go Wentworth.

– Musicie mieć z tego powodu ożywione dyskusje w domu...

Hazelton uśmiechnął się znowu.

– Negocjacje pokojowe są tego warte – wyznał. – Będę pana tłumaczem podczas spotkania z przewodniczącym Lu. Zoulin świetnie mówi po angielsku, ale udaje, że nie zna ani słowa. – Went otworzył teczkę. – Muszę zapoznać pana z bieżącą sytuacją polityczną w Chinach. Mamy do czynienia z poważną walką o władzę pomiędzy „jastrzębiami” a „gołębiami”, jak ich nazywają.

– Dlaczego dowiaduję się o tym dopiero teraz? – zdumiał się Bender.

– Sami zostaliśmy nie mile zaskoczeni – przyznał Wentworth. – Oczywiście wykluwało się to już od pewnego czasu, jednak wybuchło dopiero jakieś dwanaście godzin temu. Ponieważ rozmawiać z panem ma Zoulin, sądzimy, że to on w tej chwili rządzi. To dobrze, ponieważ, jak nam się zdaje, należy on do frakcji gołębi.

– To doprawdy zachęcające – mruknął Bender. – Nie można rozróżnić postaci bez programu przedstawienia w ręku... Kto z nich, u licha, w końcu postanowił dobrać się do Japonii?

– Lu Zoulin. Jednak wobec tego, co dzieje się w tej chwili, przypuszczamy, że zrobił to, aby uspokoić jastrzębi i zmniejszyć wewnętrzny nacisk polityczny na swoją osobę. Ale reakcja naszych sił na Okinawie najwyraźniej go zaskoczyła. Być może do tej pory błędnie odczytuje nasze intencje.

– Dlatego właśnie prezydent mnie tu przysłała....

Wentworth podał generałowi jakiś wydruk.

– Oto nasza aktualna ocena sytuacji. – Bender przeczytał analizę. – Dojechaliśmy – poinformował w końcu Hazelton, kiedy samochód zatrzymał się przed dużym, nie oznaczonym budynkiem w centrum Pekinu.

Przy wejściu czekała na nich niezwykle piękna kobieta. Zaprowadziła przybyszów do poczekalni na drugim piętrze. Hazelton przedstawił Bendera. Wymienił z kobietą parę miłych zdań mandaryńską odmianą chińskiego, a następnie przeszli na angielski, żeby generał mógł wziąć udział w rozmowie. W końcu Chinka wprowadziła ich do sporej sali. Wentworth zeszywniał, ale nic nie powiedział. Koło Zoulina siedział Wang Mo-tsun, negocjator z Paryża.

Lu Zoulin odezwał się pierwszy, witając Bendera. Went przetłumaczył szeptem. Generał był przekonany, że usłyszał w głosie chińskiego przewodniczącego pojednawczą nutę. Odpowiedział zwyczajowymi uprzejmościami, a następnie podał Zoulinowi list.

– Pani prezydent Turner obawia się, że pokój wymyka nam się z rąk i może zostać zniweczony na dobre, jeśli nie osiągniemy w najbliższej przyszłości akceptowanego przez obie strony rozwiązania – powiedział. Chciał wyrazić w języku dyplomatycznym stwierdzenie, że „czas się kończy i lepiej coś postanówcie, bo będzie źle”.

Wang odezwał się teraz po angielsku, nie czekając na tłumaczenie:

– Czy pani Turner wyznaczyła konkretny termin?...

Wentworth pobladł. Uprzejmości się skończyły i nagle rozpoczęły się twarde negocjacje.

– Poleciała mi przekazać osobiście list oraz odpowiedzieć na wszystkie ewentualne pytania – odparł Bender. – Mam czekać do szóstej wieczorem. Potem muszę wracać do Waszyngtonu, niezależnie od tego, czy otrzymam odpowiedź, czy nie.

– Przeczytamy ten list – zapewnił Lu Zoulin. Na tym spotkanie się zakończyło; ta sama kobieta co uprzednio odprowadziła Amerykanów do poczekalni.

Kiedy znaleźli się sami, Wentworth szepnął generałowi w ucho niezbyt dyplomatycznie:

– Cholera jasna! Co tu robił Wang? To przywódca jastrzębi.

* * *

Mam jeszcze pół godziny, pomyślał Bender. Popijał herbatę, siedząc w niskim, przesadnie zdobionym fotelu. Próbował się zrelaksować. Pokój do czekania był

całkiem przyjemny. Ściany pokrywały półki z książkami, w okna uderzał wprawdzie mroźny wiatr, jednak w środku było ciepło, a przytulne wnętrze zapewniało miły nastrój. Generał popatrzył na zegarek kolejny raz. Dwadzieścia dziewięć minut. Spojrzał na Hazeltona, który wydawał się zupełnie rozluźniony, jak gdyby mijający czas nie miał dla niego znaczenia. Bender nie wytrzymał.

– Ile jeszcze każą nam czekać na odpowiedź?

– Nie wiem, co jest w tym liście – odparł Wentworth. – Ale wyobrażam sobie, że Lu i Wang próbują dojść do porozumienia.

Drzwi otworzyły się i stanęła w nich znana im kobieta.

– Proszę przyjąć moje przeprosiny za opóźnienie – powiedziała. – Otrzyma pan odpowiedź na list waszej prezydent w ciągu godziny.

Zanim Bender zdążył otworzyć usta, Hazelton odparł za niego:

– Jak pani wie, generał Bender został poinstruowany przez prezydent, aby bezwzględnie wracać, niezależnie od tego, czy otrzyma odpowiedź. Nie może już dłużej czekać.

– Z pewnością godzina to niezbyt długi czas jak na sprawę tak olbrzymiej wagi – próbowała przekonywać kobieta. – Może zechcą panowie zjeść wczesny obiad?

– Mogę zaczekać tylko do szóstej – odezwał się Bender. – Wtedy będę musiał wyjechać. – Chinka uśmiechnęła się oszałamiająco i odeszła. – Robi wrażenie i potrafi panować nad sobą – zauważył generał.

– To przynęta – wyjaśnił Wentworth.

– Nie jestem zainteresowany.

– Nie dla pana, dla mnie. Z pewnością spotkam się z nią jeszcze w jakiejś bardzo intymnej sytuacji.

Umilkli. Minuty przeciągały się. W końcu czas minął i Bender wstał, zbierając się do wyjścia. Wracał do domu z pustymi rękami. Tymczasem drzwi otworzyły się i kobieta stanęła w nich znowu. Tym razem nie uśmiechała się; zaprowadziła Amerykanów z powrotem do sali, w której odbyło się spotkanie. Wyszła, zamykając za sobą drzwi. Za wielkim biurkiem siedział sam Wang.

– Wasza pani Turner jest bardzo naiwna – powiedział po angielsku. – W swoim liście żąda powrotu do stanu początkowego, a nie ofiarowuje nic w zamian.

– Poza pokojem... – zauważył Bender. Wang zignorował go.

– Oczekujemy ugody podobnej do tej, jaką zawarliśmy z prezydentem Robertsem w sprawie pokojowego powrotu Tajwanu do macierzy – ciągnął. – Obawiam się, generale Bender, że przyjechał pan tu z fałszywymi pretensjami i zajął pan tylko nasz cenny czas.

Generał przybrał kamienne oblicze.

– Dziękuję za waszą gościnność – odparł. – Przekazę pańskie uwagi pani prezydent. – Wang odpowiedział mu równie nieruchomym wyrazem twarzy, podnosząc z biurka jakiś papier. Wymiana zdań zakończyła się. Kobieta zaprowadziła Amerykanów do czekającego wciąż przed budynkiem samochodu.

Kiedy już znaleźli się w wozie, Wentworth uznał, że może swobodnie rozmawiać.

– Nikt nie traktuje w ten sposób specjalnego emisariusza prezydenta Stanów Zjednoczonych! – wybuchnął. – Muszę zameldować o tym ambasadorowi, a pan musi natychmiast wylecieć z Chin. – Zapukał w szybę oddzielającą ich od kierowcy i poprosił go, żeby odwiózł go po drodze do ambasady. Zanim wysiadł, przejrzał jeszcze teczkę Bendera, pozostawiając w spokoju tylko jego paszport. – Szkoda, że nie ma pan statusu dyplomaty – powiedział. – Radzę bardzo poważnie, żeby pan jak najszybciej opuścił Chiny. Nie zwlekajcie.

– A co się dzieje?

– Zmiana u steru władzy, w chińskim stylu. Nawet Machiavelli ani Kissinger nie byłiby w stanie przewidzieć, co teraz będzie. Niech pan jedzie. – Went minął wartownika w mundurze marines i wbiegł do ambasady.

Kierowca popędził do bazy lotniczej Shahe, gdzie podjechał prosto do czekającego samolotu. Bender wbiegł po schodkach do środka, a Larry Burke, steward, zamknął drzwi.

– Długo pana nie było. Niepokoił się – powiedział.

Robert ruszył do kabiny pilotów; rozpędzali silniki. Drugi pilot rozmawiał z wieżą kontrolną, ale odpowiadano mu po chińsku.

– Przedtem znali angielski! – powiedział.

– Niech to szlag! – zaklął Bill Courtland, który prowadził samolot. Zajęła mu drogę dwie ciężarówki. Wyspał się z nich oddział żołnierzy. – Obawiam się, że nie dostaniemy zezwolenia na start... – mruknął. Wstukał do nadajnika kod uruchamiający wysyłanie sygnału zagrożenia. W jego słuchawkach rozległ się donośny, zgrzytliwy pisk. Wyłączył je. – Nadają pisk; wyłącz słuchawki! – rzucił Jenkinsowi.

Waszyngton, USA

Madeline Turner oparła głowę o fotel i westchnęła. W Gabinetce Ovalnym panowało straszliwe napięcie; doradcy siedzieli jak zaczarowani, bojąc się odezwać. Niewielki zegar na biurku pokazywał dokładnie dziewiątą. Prezydent odwróciła głowę i wyjrzała przez okno. Na zewnątrz panował niezwykle jasny, świeży poranek. Środa, trzynasty lutego, pomyślała. Jak historycy będą wspominać tę datę? Co napiszą za, powiedzmy, pięćdziesiąt lat? Madeline czuła się stara i bardzo zmęczona.

– A więc pomyśleli, że wysłałam generała Bendera, żeby sprzedał Okinawę! – wydo była z siebie.

Barnett Francis wpatrywał się wciąż w wiadomość z pekińskiej ambasady, jak gdyby miał nadzieję, że wyczyta z niej jednak jakąś pomyślną informację. Nie było tam jednak nic takiego.

– Wang Mo-tsun nawiązał wprost do oddania im Tajwanu – powiedział.

– Rozumiem... Czy wiadomo, co dzieje się z generałem Benderem?

– Ostatnio jechał do bazy, w której czekał jego samolot. W tej chwili powinien już być w powietrzu.

- Czy Chiny zmieniły stopień gotowości bojowej? – wypytywała prezydent.
- Nastąpił nagły wzrost liczby przesyłanych komunikatów – odpowiedział DCI. – W dodatku posługują się nowym kodem; złamanie go zajmie nam parę dni, może tydzień.
- Pani prezydent, skoro używają nowego kodu, to sygnał, że szykują się do kolejnych działań – odezwał się generał Charles.
- Czy może to pan zagwarantować?... – rzuciła Turner, nie odwracając wciąż twarzy od okna.
- Nie, pani prezydent.
- Rozumiem... – Zamknęła oczy. – Na tym atolu, gdzie wypuścili bombę... jak zrozumiałam, nikt nie przeżył i teraz wyspa jest bezludna? – upewniła się.
- Z tego co wiemy, tak. Zbieramy wszelkie dostępne dane i możemy wysadzić tam na brzeg drużynę zwiadowczą. Pod warunkiem, że poziom promieniowania okaże się wystarczająco niski.
- Turner podjęła decyzję. Odwróciła się i spojrzała w oczy swoim towarzyszom.
- Generale Charles, gdzie jest oficer z „piłką futbolową”?
- Czeka w sąsiednim pokoju.
- Proszę go tu poprosić.

Okinawa, Japonia

Tuż przed północą Ryana obudził telefon. Wzywano go na stanowisko dowodzenia. Ubrał się pospiesznie i pognął samochodem do celu. Kiedy przeszedł przez potężne wrota przeciwatomowe, czekający na niego sierżant zaprowadził go do bunkra wywiadu, gdzie zgromadził się sztab bitewny. Po kilku minutach wszedł Martini. Machnął ręką, żeby wszyscy usiedli i oznajmił:

– Panowie, otrzymaliśmy ważną wiadomość o akcji. Mamy nakaz przeprowadzić ostrzegawczy wybuch jądrowy nad tym samym atolem, nad którym sześćdziesiąt godzin temu zrobili to Chińczycy.

– Najwyższy czas!... – mruknął dowódca grupy operacyjnej. Martini zignorował ten komentarz.

– Załogi pierwsza i zapasowa będą tu za parę minut, żeby osobiście potwierdzić odebranie ważnej wiadomości Quebec Zulu oraz wysłuchać odprawy. Proszę ograniczyć pytania do minimum. – Teraz zwrócił się do Ryana: – Proszę, aby przyjrzał im się pan uważnie, czy nie widać po nich jakichkolwiek oznak zachwiania równowagi psychicznej, które mogłyby zaszkodzić wykonaniu misji. – Rozejrzał się. – Dobrze, proszę ich wprowadzić. – Dowódca Czterdziestego Czwartego Dywizjonu Myśliwskiego otworzył drzwi i czterej kapitanowie weszli do bunkra.

Ryan słuchał odprawy w przerażeniu. Czuł się jak świadek egzekucji. Trudno mu było uwierzyć, że znajduje się w jednym pomieszczeniu ze zdrowymi psychicznie, racjonalnymi istotami ludzkimi. Nic w głosie czy zachowaniu Martinie-

go nie wskazywało na to, że za chwilę zbliży świat do atomowej zagłady. Doktor skupił się na obserwacji pierwszej załogi, która miała w rzeczywistości wykonać lot. Być może... być może okaże się jednak, że nie są w stanie tego zrobić. Może zdołały przekonać generała, że jeden z kapitanów jest za bardzo podniecony i opóźni akcję do czasu, aż nad sytuacją pochyla się jakieś rozumniejsze głowy. Patrzył na Cheta Woodsa, pilota, doszukując się jakiegoś tiku czy innych oznak nerwowości. Nic. Kapitan był spokojny jak skała; wyglądał, jak gdyby miał wykonać kolejny rutynowy lot. Ray Byers, oficer uzbrojenia, zachowywał się inaczej. Traktował swoją misję jak skrzyżowanie wyzwania intelektualnego z grą wideo.

Może to wystarczy, pomyślał Ryan. Mógł stwierdzić, że Byers wykazuje zachowanie dysocjacyjne i nie nadaje się do wzięcia udziału w misji. Zerknął teraz na załogę zapasową. Od razu wiedział, że sprawa jest beznadziejna. Obaj mężczyźni mieli ochotę na wykonanie zleconego bazie zadania i udowodnienie, że potrafią dać sobie radę. Z jakiej gliny ulepieni są ci ludzie? – zadziwił się.

Martini wstał.

– Panowie, powodzenia! – powiedział, kończąc odprawę. Schron szybko opustoszał.

To zajęło mniej niż dziesięć minut! – myślał zdumiony Ryan. Dziesięć minut wystarczyło, aby wprowadzić świat na drogę ku wojnie totalnej!... Tymczasem podszedł do niego szef komórki wywiadu, Pete Townly.

- Nic tu po nas – powiedział. – Pojedźmy to obejrzeć ze wzgórza Habu.
- A będzie stąd widać wybuch?
- W nocy? Oczywiście.

* * *

Wrota magazynu paliwa otworzyły się i z pogrążonego w ciemności budynku wydobyło się przypominające alarmową syrenę wycie. Był to odgłos rozrusznika samolotu, uruchomionego dźwignią przez Woodsa. Po chwili prawy silnik F 15E zaczął pracować; zaraz po nim zaskoczył i lewy. Jeden z wartowników usunął odgradzającą teren linę i samolot wyjechał na zewnątrz, niczym drapieźnik wychodzący z klatki. Pod skrzydłami i kadłubem zwisał komplet rakiet powietrze–powietrze. Na środku zwieszała się pojedyncza bomba. Była smukła, wyglądała jak błyszcząca strzała; miała dwanaście stóp długości i ważyła siedemset funtów. Urządzenia sterownicze bomby zostały ustawione na najmniejszą energię eksplozji – dziesięć kiloton, czyli tyle, ile energii wyzwoliłby wybuch dziesięciu tysięcy ton trotylu. To dwukrotnie mniej niż wynosiła energia bomby zrzuconej na Hiroszimę. W porównaniu do rakiet z głowicami termojądrowymi była to drobinka.

Jasna poświata księżycy rozświetlała ścieżkę do kołowania. Pilot przemieszczał szybko maszynę na położony po lewej pas numer dwadzieścia dwa. Wjechał na pas i nie zwalniając dał pełną moc silników. Ciemnoszary metalowy ptak pomknął w czyste rozgwieżdżone niebo, znacząc je płomieniami z dopalaczy. Dwaj mężczyźni stojący na szczycie wzgórza Habu patrzyli prosto przed siebie. Samolot mi-

nał ich na wysokości oczu, siedemdziesiąt pięć stóp nad powierzchnią ziemi. Utrzymał kierunek pasa, aż znikł w ciemności po stronie południowo-zachodniej.

– Nie będą się wznosić ani odrobinę wyżej – powiedział Townly. – Przez całą drogę.

* * *

Chet Woods uruchomił automatycznego pilota i nastawił prędkość na czterysta osiemdziesiąt mil na godzinę. Zbliżali się do położonego o sto dwadzieścia mil od Kadeny celu. Siedzący w tylnym fotelu Ray Byers spoglądał przez cały czas na cztery wyświetlane przed nim ekrany, wykonując kolejno według listy czynności kontrolne. Poprosił pilota o weryfikację kodu PAL. Cyfry odczytywane przez Cheta zgadzały się z otrzymanymi przez niego, Ray wstukał je więc do specjalnego urządzenia, znajdującego się po jego prawej stronie. Płonący na czerwono wskaźnik zmienił barwę na pomarańczową, informując, że bomba została odbezpieczona i może zostać uzbrojona.

Byers zerknął machinalnie na umieszczony po prawej monitor, na którym pojawiały się ostrzeżenia o wrogim radarze oraz informacje o innych zagrożeniach. Niezwykle czuła antena elektronicznego systemu taktycznego wykrywała jednak jedynie sygnał amerykańskiego radaru. Głośnik ostrzegawczy milczał. Dłoń kapitana zawisała nad przełącznikiem uzbrajania broni atomowej, znajdującym się obok urządzenia do wpisywania kodu PAL.

– Włącznik zgody na nuklearny – wypowiedział podręcznikową formułę.

Siedzący z przodu Woods zerwał plombę i otworzył klapkę osłaniającą przełącznik. Podniósł go.

– Włączony – odpowiedział koledze. Uzbrojenie bomby było możliwe jedynie przy współdziałaniu obydwu członków załogi. Byers przekreślił przełącznik uzbrajania na pozycję POWIETRZNY, oznaczającą także eksplozję. Czekał, aż pomarańczowe światelko ustąpi miejsca zielonemu. Nic się nie działo. Policzył więc do dziesięciu i odetchnął głęboko, kiedy lampka zazieleniła się. Bomba została uzbrojona.

– Myślałem, że to trwa krócej – mruknął sam do siebie. Uruchomił teraz radar APG-70, przeczesujący okolice pod nimi w celu skorygowania pozycji samolotu. Cel znajdował się dokładnie przed dziobem, w odległości sześćdziesięciu pięciu mil. – Zniż nas – powiedział Ray. Woods obniżył nastaw radaru chroniącego przed zderzeniem z ziemią na pięćdziesiąt stóp, po czym samolot automatycznie zszedł o dwadzieścia pięć stóp w dół. – Wygląda na to, że łatwo nam pójdzie! – skomentował oficer uzbrojenia. Wyłączył uruchomiony poprzednio radar o silnej wiązce. – Przyspiesz. – Woods popchnął odrobinę przepustnicę i po chwili lecieli z prędkością pięćuset czterdziestu mil na godzinę. Dwie minuty później Byers uruchomił radar ponownie i naprowadził krzyżujące się na ekranie linie, pionową i poziomą, na cel. Na wyświetlanym przed pilotem projektorze HUD zapalił się wskaźnik ataku. Pracował w trybie bombardowania. Byers był jednak gotowy użyć w razie potrzeby trzech innych trybów, gdyby spotkało ich coś niedobrego. Zaczął odliczać.

– Gotów, gotów, teraz!

F 15, ciągle prowadzony przez automatycznego pilota, wzniósł się gładko pod kątem sześćdziesięciu stopni. Komputer wypuszczający bomby miał zaprogramowaną balistykę B-61; przetwarzał także liczne informacje przekazywane mu przez radar oraz system nawigacji bezwładnościowej. W dokładnie wyliczonym momencie, kiedy wszystko się zgadzało – prędkość względem powietrza, odległość od celu, kąt wznoszenia, prędkość względem ziemi, przeciążenie oraz wysokość – bomba atomowa oddzieliła się od samolotu i poleciała.

– Bomba za burta! – zameldował Byers.

Woods błyskawicznie wyłączył autopilota i rozpoczął manewr ucieczki. Dał pełen gaz i odwrócił samolot na plecy, a następnie zawrócił, pikując ku odległej o dwa tysiące stóp powierzchni oceanu. Wyprowadził na wysokości czterystu stóp. Silniki i dopalacze rozpedziły teraz samolot do prędkości jeden i sześć dziesiątych macha.

– Szybciej już nie pójdzie – powiedział. Znow włączył autopilota. Dwaj mężczyźni opuścili na hełmy złociste szyby, które podczas atomowej eksplozji zamieniały się na nieprzezroczyste, aby uchronić oczy lotników.

Bomba osiągnęła wierzchołek swojej trajektorii i zaczęła opadać, kierując się prosto nad małą wysepkę, która została wybrana jako centrum wybuchu, tak zwane *ground zero*. Z ogona bomby wystrzelił spadochron o średnicy dwudziestu pięciu stóp; uruchomił się radar mierzący dokładnie wysokość nad celem. Na zaprogramowanej wysokości bomba eksploduje w powietrzu. Ognista kula nie sięgnie ziemi ani wody.

Ray Byers odliczał sekundy do mającej nastąpić eksplozji.

– Gotów, gotów, gotów... – Wokół nich widniały wciąż gwiazdy na nocnym niebie. Po paru chwilach powinien zaćmić je blask sztucznego słońca. Piloci czekali.

Rozdział dwudziesty piąty

Okinawa, Japonia

Dwaj oficerowie stali wciąż w ciemności na szczycie wzgórza Habu. Townly patrzył niespokojnie na południowy zachód, zerkając co chwila na zegarek.

– Atol jest odległy zaledwie o piętnaście minut lotu – powiedział. – Chyba jednak z tej odległości nic nie widać.

Ryan był tego samego zdania.

– Sto dwadzieścia pięć mil to bardzo daleko.

– Może ich zestrzelili... – zaniepokoił się Townly. Wykonał nieokreślony gest w kierunku lotu.

– Chodźmy – powiedział doktor.

Pułkownik popatrzył jednak jeszcze raz na zegarek. Była pierwsza trzydzieści pięć w nocy – pięć minut po zaplanowanym czasie detonacji.

– Może coś się stało z samolotem? Poczekajmy parę minut, żeby zobaczyć, czy wróca – zaproponował. Dwaj mężczyźni pozostali więc na szczycie wzgórza i każdy zajął się własnymi myślami. Mijały minuty. Townly pierwszy usłyszał odgłos odrzutowca i podniósł głowę. Samolot nadlatywał od południowego zachodu. Jaskrawe światło lądowania przeszło noc. Pilot przeleciał nad bazą na wysokości tysiąca pięciuset stóp w celu rozpoznania, szykując się do posadzenia maszyny na prawym pasie numer pięć.

– To oni. – Pułkownik uspokoił się. – Teraz jedźmy. – Wsiadł do samochodu i pojechali do budynku dowodzenia, żeby posłuchać raportów załogi. F 15 lądował.

* * *

Martini słuchał Woodsa i Byersa, bębniąc palcami w stół. Kiedy skończyli, zacisnął usta i polecił podpułkownikowi, szefowi budynku dowodzenia:

– Proszę przesłać raport Op Rep III. – Zwrócił się teraz do Ryana: – Majorze, proszę zabrać ich do centrum medycznego i pobrać próbki krwi i moczu. Potem niech im pan da coś na przeczyszczenie. – Podniósł dłoń, powstrzymując wszel-

kie protesty. – Nie spodziewam się wykrycia czegokolwiek, ale w poniedziałek rano dobiorą się nam do skóry i nie dadzą żyć. Potem niech pan tu jak najszybciej wróci i zamelduje mi szczegółowo o wynikach testów. – Op Rep III, czyli raport operacyjny sporządzany po misji, wywoła zamieszanie we wszystkich wyższych sztabach, przez które przejdzie.

– Zabierzcie samolot – polecił teraz generał dowódcy grupy operacyjnej – i niech sierżant Ralph Contreras ze swoją drużyną sprawdzą go dokładnie. Wszystkie systemy komputerowe, przyrządy, złącza, śrubki. Jeśli z tą maszyną jest cokolwiek nie tak, chcę o tym wiedzieć. – Przerwał i zastanowił się chwilę. – Proszę wezwać tu zapasową załogę. – Podwładni ruszyli, aby wykonać rozkazy. Generał wstał i oparł się o stół, spoglądając na salę dowodzenia. Nie-wykluczone, że wydałeś przed chwilą swój ostatni rozkaz... – pomyślał.

Waszyngton, USA

Generał Wayne Charles siedział w Gabinetecie Sytuacyjnym z łokciami opartymi o blat i twarzą ukrytą w dłoniach. Jeszcze nigdy w życiu nie czuł się tak zniechęcony. I po to zostało przewodniczącym Komitetu? – pomyślał. Powoli unióśł głowę i przeczytał raport Op Rep III jeszcze raz. W końcu podał go szefowi wywiadu. Doradcy Madeline Turner do spraw bezpieczeństwa przeczytali po kolei krótką wiadomość. Podawali ją sobie bez komentarza z rąk do rąk. Jako ostatni dostał ją sekretarz stanu, Francis.

– Tego bym się nigdy nie spodziewał... – mruknął.

– Ani ja – przyznał DCI.

– Zawsze były problemy z bronią atomową – odezwał się Charles. – Dlatego przeprowadzaliśmy podziemne próby i wycofywaliśmy część amunicji.

– Likwidowaliście broń atomową?! – Francis nie dowierzał.

– Oczywiście. – Popatrzył na główny zegar. Dochodziło południe, środa, trzynasty lutego. Nie mógł odkładać tego dłużej. Wstał więc i powiedział: – Lepiej będzie, jak poinformuję panią prezydent. – Czterej pozostali ociągając się powstali z miejsc i ruszyli za nim do Gabinetu Ovalnego.

W drzwiach czekał na nich Shaw; wprowadził ich do środka.

Madeline zdjęła okulary i oparła się wygodnie.

– Siadajcie, proszę. – Jednak usiadł tylko Shaw. Charles odchrząknął.

– Pani prezydent... – Przełknął. – Bomba... nie... eksplodowała...! – Prezydent Stanów Zjednoczonych wpatrywała się w niego z niedowierzaniem.

– Cholera!... – mruknął Shaw. – Niewypał?! – Generał skinął głową, nie wiedząc, co powiedzieć. Szef gabinetu wyraził głośno to, o czym myślała Turner:

– To znaczy chce pan powiedzieć, że wydajemy Bóg wie ile miliardów dolarów po to, żeby się okazało, że jak przychodzi co do czego, nie potraficie odpalić bomby?! – Zachnął się i rzucił przekleństwo.

Madeline przysunęła się z powrotem do biurka i założyła okulary. Złożyła przed sobą dłonie. Co to mówił jej Bender? Żeby mówiła generałom, co mają robić i nie bała się dać im popalić, kiedy będzie trzeba. Powiedziała więc:

– Generale Charles, ile jeszcze zbiegów okoliczności będę musiała zaakceptować?! Na szczęście nie jestem paranoiczką i nie wyznaję spiskowej teorii dziejów. Bo gdybym w nią wierzyła, to... – zrobiła małą pauzę – no cóż, powiedzmy po prostu, że nie życzę sobie więcej niepomyślnych zbiegów okoliczności, bo skutki tego mogą być bardzo nieprzyjemne. – Wstała. – Panowie, idę teraz na lunch z moimi osobistymi doradcami, a dokładnie za godzinę będę w Gabinetce Sytuacyjnym. Chcę wtedy dowiedzieć się dokładnie, co zawiodło i jakie mam w tej sytuacji możliwości działania. – Przyjrzała się stojącym przed nią mężczyznom. – Chcę, żeby opuszczono rejon celu. Niech Chińczycy jak najdłużej nie domyślają się, o co chodzi. I dowiedźcie się, co się stało z generałem Benderem. – Po tych słowach wyszła.

Okinawa, Japonia

Ryan powrócił do sali dowodzenia o trzeciej nad ranem; miał ze sobą wyniki badań krwi i moczu feralnej załogi. Ku jego zdziwieniu, oficerowie pracowali w skupieniu, zamiast kulić się przed ciosami gniewnego generała. Skierowano doktora do bunkra wywiadu, gdzie siedział Martini w towarzystwie dowódcy grupy operacyjnej, dowódcy Czterdziestego Czwartego Dywizjonu oraz Pete'a Townly'ego. Był tam także starszy sierżant Contreras; zdawał właśnie meldunek na temat dotychczasowych wyników inspekcji samolotu, który wrócił z nieudanej misji.

– Jak dotąd nie wykryliśmy niczego – mówił. – Wszystko działa jak nowe. Komputer uzbrojenia i obwody wypuszczania bomb są w porządku. System nawigacji bezwładnościowej pracuje jak należy. Krótko mówiąc, samolot jest w idealnym stanie i nadaje się do akcji.

– Szukajcie dalej – odpowiedział Martini głosem bardzo zmęczonego człowieka. Popatrzył na Ryana. – Jak załoga?

– Absolutnie czysta – odparł major. Zaskoczyły go podkrążone oczy generała. – Obaj są zdrowi jak konie.

– Jakież problemy emocjonalne?

– Nic, poza stresem, którego pan generał się spodziewał.

– Poddamy ich testowi na poligrafie w sprawie przebiegu zdarzeń podczas misji – oznajmił Martini. – Ponieważ to pan kieruje programem oceny niezawodności personelu, chcę, żeby był pan przy tym, razem z prawnikiem.

– Sir, ci mężczyźni są bardzo zestresowani i niezadowoleni z powodu tego, co się wydarzyło – zaoponował doktor. – Potrzebują czasu, żeby się uspokoić, a wyniki jakiegokolwiek testu przeprowadzonego tak szybko byłyby mocno podejrzanane. Na podstawie własnych obserwacji ufam im absolutnie.

Martini zaczął przyglądać się swoim dłoniom. Nie mógł powiedzieć oficerom, że pewien generał w Pentagonie stracił, przynajmniej na chwilę, rozum i rozkazał wykonać test na prawdomówność.

– Musimy wykryć, co było przyczyną porażki – powiedział. Jak kiepsko to zabrzmiało, pomyślał.

– Sir, muszę wyrazić swój najostrzejszy protest. Nie będę brał udziału w polowaniu na czarownice – nie ustępował Ryan.

– Niech pan to napisze! – rzucił generał. Potem dodał spokojniej: – Pański protest zostanie dołączony do raportu. Jednak musi pan być obecny w czasie testu. Odmeldować się. – Odwrócił się wraz z fotelem. Major zsalutował jego plecami i poszedł.

Ty żałosny sukinyś! – myślał sobie Ryan. Zrobisz wszystko, żeby tylko ocalić swoją karierę. Zniszczysz dwóch niewinnych ludzi. Wyszedł na zewnątrz i odetchnął głęboko świeżym powietrzem, próbując dopasować do siebie fakty. Co tu się dzieje? – myślał. A im dłużej myślał, tym bardziej obawiał się o Martiniego. Ten człowiek się po prostu rozsypuje, zdecydował. Jednak czy on, doktor Ryan, powinien przejść od spekulacji do konkretnych czynów? Może najpierw porozmawia o tym ze swoim przełożonym z centrum medycznego? Odrzucił jednak zaraz ten pomysł. Pułkownik był rzeczywiście dobrym lekarzem, ale nikim więcej. Teraz przyszło majorowi do głowy, żeby porozumieć się z miejscowym inspektorem generalnym, do którego należało zwracać się ze skargami. Jednakże reprezentantem inspektora w bazie był zastępca dowódcy skrzydła, jeden z żarliwych fanów Martiniego. Ryan zastanawiał się, czy przypadkiem nie jest jedynym człowiekiem w Kadenie, który postrzega generała takim, jakim jest on naprawdę...

Nagle z ciemności wyłonił się żandarm i major pokazał mu swoją odznakę – przepustkę.

– Czy kapitan Daguerre ma teraz dyżur? – zapytał doktor. Wartownik odpowiedział, że Daguerre patroluje właśnie bazę samochodem. – A może się ze mną spotkać? Muszę z nim pomówić – oznajmił Ryan.

* * *

Kapitan Terrence Daguerre siedział za kierownicą swojego terenowego samochodu i słuchał opowieści majora o misji i bombie, która nie wybuchła.

– Przypuszczam, że ma pan powód, żeby mówić mi o tym... – odezwał się Daguerre.

Ryan starannie dobierał teraz słowa, tak aby wywołały one pożądaną reakcję srogiego kapitana. Powiedział:

– Generał Martini załamuje się pod działaniem stresu. Jako lekarz, obawiam się o jego równowagę psychiczną.

– Jak bardzo? – spytał Daguerre.

– Wystarczająco mocno, żeby sądzić, że może nie wykonywać wiernie rozkazów wyższych szczebli dowodzenia.

– W takim razie powinien zostać pozbawiony dowództwa – stwierdził kapitan.

– Nawet nie wiem, do kogo mam się w tej sprawie zwrócić – ciągnął Ryan. – A jeśli się mylę?

– A myli się pan?

– Nie. Nie mylę się – odparł major z przekonaniem w głosie.

– Jeśli jest pan w stanie znaleźć jakikolwiek materialny dowód jego niestabilności, to właśnie rozmawia pan z właściwym człowiekiem – oznajmił Daguerre. – W przeciwnym razie robi pan tylko zamieszanie, a tego nie lubię.

Doktor poczuł nagle, że musi się szybko załatwić. Zmusił się jednak do spokojnego tonu – a był bardzo zdenerwowany – i odpowiedział:

– Właśnie dlatego z panem rozmawiam. Powiedział mi pan, co powinienem zrobić.

Daguerre był prawdziwą osobowością autorytarną. Był także dobrym gli-niarzem i nie chciał łatwo ustąpić.

– Niech pan posłucha, doktorze – zaczął – wszyscy mamy wątpliwości co do naszych szefów. To normalne. Jednak zwykle zatrzymuje się je dla siebie, ponieważ są to sprawy osobiste. Niech pan nie wtrąca się do pionu dowodzenia tylko dlatego, że nienawidzi pan Martiniego.

– Dostarczę panu dowód – obiecał Ryan.

Baza lotnicza Sha-he, Chiny

Sierżant techniczny Otis Jenkins drzemał wyciągnięty w fotelu drugiego pilota na pokładzie C-137. Rozbudził go wschód słońca. Ustawiony na czas Greenwich zegar pokładowy pokazywał dwudziestą pierwszą czterdzieści pięć. Jenkins dodał do tego osiem godzin. Za piętnaście szóstą, pomyślał. Włączył radio, mając nadzieję, że może uda mu się wywołać jakąś przyjazną im stację i przekazać siłom powietrznym meldunek o sytuacji. Usłyszał jednak wyłącznie głośny szum.

– Cholera – mruknął pod nosem. Ciągle ich zagłuszano. Wyjrzał na dwór. Słońce wznosiło się nad horyzont; niewyraźne cienie otaczające boeinga przybierały konkretne kształty. Wyprostował się nagle.

– Panie majorze! – zawołał. – Niech pan tu szybko przyjdzie!

Nadszedł zaspany Bill Courtland, przecierając oczy. Nie miał krawata, a kołnierz rozpiął na noc.

– O, do licha!... – mruknął. – Wołaj generała. Skąd one się tu wzięły? – Na płycie lotniska, na jego godzinie dziesiątej i drugiej, stały dwa lekkie, kołowe transportery opancerzone, z cekaemami wycelowanymi w samolot. Za każdym z karabinów czekali przygotowani strzelec i ładowniczy, w hełmach na głowach.

– Co się dzieje? – zapytał Bender wchodząc do kabiny. Courtland bez słowa cofnął się i pozwolił mu samemu wyjrzieć przez okna.

– Robi się ciekawie... – mruknął Robert. – Może dobrze będzie, jeśli zjemy solidne śniadanie i umyjemy się. Załóżcie galowe mundury. – Wycofał się w stronę kuchni, żałując, że sam nie zabrał munduru.

Był jeszcze w dawnej prezydenckiej łazience, kiedy po kadłubie rozległo się echo – ktoś zapukał donośnie do przednich drzwi samolotu. Generał założył więc szybko marynarkę i spojrzał po raz ostatni w lustro. Wyglądał tak dyplomatycznie, jak tylko się dało. Ruszył szybko ku drzwiom, przy których zgromadziła się załoga. Machinalnie ich zlustrował.

– Dobrze wyglądacie – ocenił. – Jenkins, niech pan otworzy drzwi – polecił.
– Dlatego, że jestem duży i brzydki? – zapytał sierżant.
– Dlatego, że jest pan czarny. Musimy wykorzystać wszystkie nasze możliwości – wyjaśnił generał. Powiedział szybko załodze, co chce dalej robić. Pukanie stało się głośniejsze.

Jenkins otworzył. Po drugiej stronie drzwi stało czterech bardzo zdziwionych chińskich żołnierzy, którzy na widok wielkiej twarzy Otisa aż opuścili karabiny. Jenkins minął ich wykorzystując chwilę zaskoczenia; przytrzymał na głowie lotniczą czapkę, gdyż wiało niemiłosiernie, i zszedł po schodkach na płytę. Znalazłszy się na dole stanął bokiem do schodków, wyprężył się na baczność i zawołał donośnie:

– Usunąć się ze schodów! – Chińczycy pogadali między sobą, najwyraźniej zmieszani. Nadszedł oficer i wydał po chińsku parę komend. Skośnoocy żołnierze rozdzielili się na dwie pary, ustawiając się prostopadle do drzwi; stanęli na baczność, prezentując broń.

– Major William L. Courtland! – zagrzemiał Jenkins. – Siły Powietrzne Stanów Zjednoczonych!

Courtland pojawił się na platformie schodków.

– Kto tu dowodzi? – zapytał głośno. – Muszę porozmawiać z waszym dowódcą w sprawie tego nie zapowiedzianego opóźnienia!

Stojący na dole porucznik zawołał na drugiego, powiedział mu coś, a tamten pobiegł w stronę zaparkowanych za boeingiem dwóch samochodów. Jeden z nich ruszył i podjechał pod schodki. Otworzyły się drzwiczki i z wozu wysiadł dobrze zbudowany Chińczyk w mundurze generała lotnictwa. Przystanął na chwilę i popatrzył w górę; samochód odjechał. Potem powoli ruszył po schodkach, nie spuszczać wzroku z otwartych drzwi samolotu. Wszedł do środka, a za nim wpadli czterej chińscy żołnierze.

Teraz nadjechał drugi samochód i zatrzymał się przed Jenkinsem. Sierżant aż zamarł na widok zjawiska, które wysiadło tylnymi drzwiami. Była to ta sama kobieta, którą widzieli Bender i Hazelton podczas rozmowy z Zoulinem i Mo-tsunem. Chinka patrzyła, jak dwaj żołnierze wymierzają w Otisa karabiny, a krzepki sierżant obezwładnia go uderzeniem w głowę kolbą.

* * *

– Potrzebuje lekarza – ocenił starszy sierżant Larry Burke.

Bender nachylił się nad pryczą, na której leżał Otis Jenkins. Był ciągle nieprzytomny, chociaż pokaźne rozcięcie na głowie przestało krwawić.

– Spieprzyłem to – mruknął Robert. Wyprostował się. Przynajmniej jego pozostali trzej towarzysze byli cali i zdrowi. Tak jak i jego samego, lekko ich tylko

poszturchiwano, kiedy Chińczycy wpadli do samolotu. Na szczęście, zanim ich wyprowadzono i zaciągnięto do celi, Burke zdołał chwycić zestaw pierwszej pomocy. Cella miała kształt litery L. Było tam brudno i smrodliwie po poprzednich lokatorach, a także bardzo zimno. Bender kazał pilotom przykryć sierżanta brudnymi siennikami z pozostałych prycz. – Niech pan dba, żeby mu było jak najcieplej – przykazał Burke’owi.

– Panie generale, chyba zamarnę na śmierć – odezwał się drugi pilot, Rod Davis. Była to tylko kolejna uwaga z długiej listy jego narzekań.

– Wszyscy marzniemy – odparł Robert, jak gdyby nie było to oczywiste. Podszedł do ciężkich stalowych drzwi na końcu dłuższej części celi. – Zostańcie wszyscy koło Jenkinsa, żeby nie było was widać – polecił. – Niech skupią uwagę na mnie. – Uderzył kilkakrotnie w drzwi pięścią.

– Strażnik! – zawołał. – Mamy tu kłopot! – Nie było odpowiedzi. Walił więc w drzwi dalej.

– Rozgniewa ich pan tylko! – jęknął Davis.

Prześtań jęczeć! – pomyślał generał.

– Ktoś idzie – zawołał zza rogu Courtland.

Robert przestał uderzać w drzwi i zaczął rozcierać sobie dłoń. Rzeczywiście słychać było, że ktoś nadchodzi. Szczękniętą zamek i drzwi się otworzyły. Stanęła w nich ta sama kobieta co zwykle, a za nią tłum strażników. Wróciła Smocza Dama, pomyślał Bender. Cofnął się i Chinka weszła do środka. Po raz kolejny uderzyło go jej piękno i elegancja. Tak bardzo kontrastowały one teraz z otoczeniem...

– Sierżant Jenkins jest poważnie ranny i potrzebuje pomocy lekarza – oznajmił Robert.

Kobieta machnęła tylko ręką na tę prośbę.

– Przybyliście tu z fałszywymi pretensjami! – obwieściła nieskazitelną angielszczyzną.

Najwyraźniej uczyła się z tego samego podręcznika co Wang, pomyślał Bender.

– Proszę pani, przylecieliśmy tutaj jako specjaliści przedstawiciele naszej prezydent i podróżujemy pod statusem dyplomatów – powiedział. – Żądam natychmiastowego uwolnienia nas.

– Nie macie statusu dyplomatycznego i nie możecie niczego żądać! – syknęła kobieta. – Ta wasza Turner przysłała was w ramach taktyki opóźniania wydażeń; nie miała najmniejszego zamiaru negocjować w dobrej wierze.

– Jeśli dobrze zrozumiałem pana Wang’a – generał nie poddawał się – oczekiwaliście, że nasza prezydent w zamian za pokój odda wam Okinawę.

– Tak uważaliśmy – zgodziła się Chinka. – Inaczej nigdy nie zezwolilibyśmy wam na przybycie do Chin.

– W takim razie cieszę się, że nieporozumienie zostało wyjaśnione – kontynuował Robert. – Samo to stanowi bez wątpienia jakąś wartość. A teraz muszę zażądać natychmiastowego wypuszczenia nas.

– Chińska Republika Ludowa nie wypuszcza szpiegów – zakomunikowała kobieta.

– Nie jesteśmy szpiegami, i dobrze o tym wiecie.

– Czyżby? Zebrane przez nas dowody mówią co innego. – Przemówiła po chińsku do jednego z wartowników, a ten przyniósł kamerę wideo należącą do drugiego pilota. – Znaleźliśmy to wśród rzeczy kapitana Davisa – poinformowała. – Prawdopodobnie widział ją pan już. – Żołnierz wcisnął kamerę w twarz Bendera i wyłączył odtwarzanie. Robert nie słyszał wprawdzie dźwięku, ale widział obraz przez wizjer. Zanim powiedział kapitanowi, żeby wyłączył kamerę, Davis zdążył sfilmować długi szereg stojących przy końcu pasa MiG-ów 19. – Słyszę tam pański głos, relacjonujący liczbę myśliwców. To robota szpiegowska – oznajmiła kobieta.

– Nie jesteśmy szpiegami – powtórzył Bender. Po chwili poczuł w ustach nieprzyjemny, metaliczny smak. Jakże miał jeszcze argumenty? – Trzymanie nas tu jako zakładników obróci się tylko przeciwko wam – powiedział.

– Doprawdy? – Kobieta wydała strażnikom jakiś rozkaz. Sześciu wpadło do celi. Jeden pchnął Roberta na ścianę i trzymał go tak, przyciskając mu do gardła długą drewnianą pałkę. Pozostała piątka znikła za rogiem celi; po chwili rozległy się głuchoe odgłosy, jak gdyby ktoś rzucał na ziemię worki z mąką.

– Niecee! – wrzasnął Davis. Strażnik pilnujący Bendera przycisnął pałkę mocniej, tak że generał nie mógł oddychać. Po chwili dwaj Chińczycy wyciągnęli zza rogu chwijającego się na nogach kapitana. – Panie generale! Pomocy! – zawołał Davis. Strażnik nacisnął gardło Bendera jeszcze mocniej i Robertowi zaczęły latać przed oczami ciemne płatki. Rozluźnił mięśnie, pokazując, że jest spokojny, i wtedy Chińczyk popuścił. Dwaj strażnicy trzymający Davisa opuścili go na klęczki i wyprostowali mu ręce za plecami, zmuszając go w ten sposób do opuszczenia głowy. Robert poczuł nieprzyjemny zapach świeżych ludzkich odchodów.

Kobieta wydała szorstką komendę i z korytarza wszedł sierżant. Wyciągnął pistolet maszynowy i przeładował. Wszystko rozgrywało się zdumiewająco szybko. Podoficer podszedł do Davisa czterema szybkimi krokami, przyłożył mu broń do głowy i nacisnął spust. Odgłos pojedynczego wystrzału odbił się echem po celi, a żołnierze puścili ręce zabitego.

– Czy muszę się powtarzać? – zapytała retorycznie Chinka. – Jesteście szpiegami i tak będziecie traktowani. – Ukłoniła się grzecznie Benderowi i wyszła, a za nią pozostali. Trzasnęły drzwi i teraz ciszę zakłócały tylko oddalające się odgłosy ciężkich kroków. Generał opadł na kolana, nie potrafiąc oderwać wzroku od nieruchomego ciała drugiego pilota. Zatrząsł się. Bynajmniej nie z zimna.

Rozdział dwudziesty szósty

Paryż, Francja

Zadzwoniono do amerykańskiej ambasady. Była dokładnie ósma rano, wtorek, czternastego lutego. Pierwszą reakcją Mazie było odmówić rozmowy, ponieważ, jak jej powiedziano, telefonował zwykły urzędnik z ambasady chińskiej. Z dyplomatycznego punktu widzenia było to jak policzek, jednak niechętnie podniosła słuchawkę. Czterdzieści minut później Hazelton znajdowała się już w zameczku, gdzie poprzednio prowadzono negocjacje. Jednak tym razem jej rozmówcą był chiński attaché wojskowy, który według protokołu stał wyżej od niej. Zmiana szeregowego pracownika na attaché musiała oznaczać jedno – Chińczycy mieli do przekazania wiadomość dla prezydenta Stanów Zjednoczonych, a Mazana miała zostać kurierką.

Mazie starała się używać przyjętych w dyplomacji sformułowań, jednak attaché mówił w imieniu nowego przywódcy Chin i nie bawił się w żadne protokoły. Perorował długo i zakończył zdaniem:

- Wasza prezydent musi zrozumieć, że mówimy to z całą stanowczością.
- A czego się domagacie? – spytała Hazelton.
- Okinawy, oczywiście.
- To jest nie do zaakceptowania.
- W takim razie dokonamy egzekucji waszych szpiegów – odpowiedział Chińczyk. Na potwierdzenie swoich słów rzucił na stół przesłane przez komputer zdjęcie. Wprawdzie transmisja zmniejszyła jego wyrazistość, jednak i tak widać było dobrze ciało kapitana Rodneya Davisa, leżące na podłodze w kałuży krwi i strzępkach móżdgu. – W Chinach sprawiedliwość wymierza się szybko – skomentował attaché.

Waszyngton, USA

Madeline Turner podparła brodę złożonymi dłońmi. Patrzyła zimno przed siebie, słuchając tego, co mówi sekretarz stanu.

– Oto wiadomość przesłana z Paryża przez panią Hazelton – zakończył, rozdając zebrany kopie tekstu. – Rozmawiała nieoficjalnie z chińskim attaché wojskowym niecałą godzinę temu. – Czekał niespokojnie, aż przeczytają. – Pani Hazelton potwierdziła, że w Pekinie toczy się walka o władzę i że zwycięża frakcja wojskowych.

– A zatem Lu Zoulin przeszedł do historii jako źródło błędów i wypaczeń – mruknął Shaw.

– Prawdopodobnie podzielił już los kapitana Davisa... – ocenił DCI.

– Jak śmieli zabić kapitana?!... – rzuciła w przestrzeń Turner. To nie było pytanie.

– Chińczycy zdają sobie sprawę z tego, co się tu dzieje – odpowiedział szef wywiadu. – Sądzą, że zajmuje się pani tym, jak przetrwać na stanowisku prezydenta; z ich punktu widzenia nie zareagowaliśmy na ich ostrzegawczy wybuch jądrowy, pozostaje zatem zapewne tylko kwestią czasu, kiedy zupełnie opuścimy Japonię. Najprawdopodobniej nowym przywódcą został Wang Mo-tsun i teraz pokazuje światu swoją potęgę igrając sobie ze Stanami Zjednoczonymi i plując pani w twarz. Ma być to lekcja pogładowa dla jego wewnętrznych oponentów.

– I dla Japończyków – dodał Shaw.

– Pani Hazelton utrzymuje także, że Wang szuka osobistej zemsty na generale Benderze za porażkę w paryskich rokowaniach – dorzucił Francis.

Turner zaczęła mówić szybko i zdecydowanie:

– Jeśli Wang myśli sobie, że posługując się zakładnikami może mnie nakłonić do sprzedania Okinawy, to grubo się myli. Generale Charles, chcę, żeby dokonano wreszcie tej ostrzegawczej eksplozji... nad tym samym celem. Tym razem niech to będzie rakietą tomahawk z okrętu podwodnego. Wystrzelimy ją natychmiast; chodzi mi o raketę o możliwie najśłabszej głowicy.

– Pani prezydent, zdaje pani sobie sprawę z tego, że ostrzegawczy wybuch atomowy dokonany przez nas w tym momencie spowoduje najprawdopodobniej zamordowanie generała Bendera?... – zauważył Francis. Madeline poblądła, ale nic nie powiedziała.

– Tak jest, pani prezydent, możemy to zrobić – mówił generał Charles. – Jednak mogą być pewne problemy. – Turner popatrzyła na niego, unosząc w zdumieniu brew. Generał brnął dalej: – Po pierwsze, większość chińskich okrętów podwodnych znajduje się w morzu. Jeżeli jeden z naszych okrętów odpali tomahawka, zdradzi tym samym swoją pozycję i sam może zostać zaatakowany. – Charles przełknął głośno. – Poza tym, nigdy nie testowano głowic tomahawków; wszystkie odmiany należą do większych typów. Można tylko ufać, że głowica eksploduje.

– Jakiego rzędu głowice mają tomahawki? – spytała prezydent.

– Możemy wybrać sto albo pięćset kiloton – odpowiedział generał. – Pięćset to pół megatony, czyli odpowiednik pięciuset tysięcy ton trotylu...

Madeline skrzywiła się na myśl o tak potężnej eksplozji.

– I może pan tylko „ufać”, że rakietą wybuchnie? To znaczy, nie wie pan tego na pewno?

– Ponieważ obowiązuje nas zakaz przeprowadzania prób jądrowych, możemy testować tylko ładunki wybuchowe służące za zapalniki głowic oraz przeprowadzać komputerowe symulacje eksplozji – wyjaśnił Charles. – Symulacje przebiegały tak, jak zaprojektowano.

Turner była nieubłagana.

– A więc dowodzi pan, że rakieta, która nie była testowana, zadziała. A co złego stało się z tą bombą, którą zrzuciliśmy?

– Projektanci sprzecząją się. Jedni uważają, że problem tkwił w samym ładunku jądrowym czy też w jego wieku, inni twierdzą, że źródłem awarii była mechanika albo elektronika. Bez możliwości dokonania podziemnej próby nie możemy być niczego pewni.

– Powrót do prób jądrowych jest poza wszelką dyskusją – dała do zrozumienia prezydent.

Shaw pokręcił głową.

– Brzmi to tak, jakbyśmy sędziowali w konkursie na fizyka roku. Jak mamy zdecydować, kto nim jest? – Było to, wbrew pozorom, całkiem poważne pytanie.

– Chcę użyć broni o najmniejszej możliwej sile – powróciła do najważniejszego wątku Madeline. – Ale dowiaduję się, że nikt nie może zagwarantować, czy zadziała. To co mam w takim razie zrobić?

Charles wyglądał na zawstydzonego.

– Prawdopodobieństwo detonacji jest jednym z czynników branych pod uwagę przy planowaniu celów – zaczął. – Zwiększamy szanse sukcesu wycelowując wiele głowic w ten sam obiekt. – Zdawał sobie sprawę z tego, że jeszcze nie odpowiedział na postawione pytanie. – Możemy zwiększyć prawdopodobieństwo eksplozji dokonując gruntownego przeglądu bomby.

– Mój fizyk jest mądrzejszy od pańskiego – mruknął tylko Shaw. Generał zaczerwienił się jak burak.

– Mamy paru znakomitych ekspertów w ośrodku Sandia Labs w stanie Nowy Meksyk, a także w Lawrence Livermore Labs w Kalifornii – powiedział. – Dokładne przebadanie tomahawka zajęłoby im zbyt wiele czasu, nie mówiąc już o załadunku rakiety na okręt i zajęciu przez niego odpowiedniej pozycji. Ale możemy przetrzasnąć zespół ekspertów na Okinawę, gdzie mamy jeszcze trzy B-61. Będą tam mogli przejrzeć wszystkie i wybrać najlepszą z nich. Cel znajduje się niecałe piętnaście minut lotu od Okinawy.

Turner zastanowiła się chwilę.

– Zróbcie tak. Chcę, żeby detonacja ostrzegawcza została przeprowadzona w ciągu dwunastu godzin.

– Nie da się tego zrobić tak szybko – zaprotestował generał. – Potrzebujemy co najmniej czterdziestu ośmiu godzin.

– Daję wam dwadzieścia cztery – zdecydowała prezydent. – Jeśli nie uda się wam do... – popatrzyła na zegarek – ...do jutra do siódmej rano, obciążę pana, a także każdego oficera i urzędnika związanego ze sprawą, pełną odpowiedzialnością. Wszyscy znajdziecie się na ulicy w poszukiwaniu pracy, a jako kolejne *ground zero* wybiorę Pentagon.

Charles wierzył jej.

– Przepraszam bardzo, pani prezydent, ale muszę iść i brać się do roboty – powiedział. Shaw popatrzył za wypadającym biegiem generałem.

– Zegar ruszył... – mruknął. Spojrzał na Maddy. Znowu opierała podbródek na dłoniach, tyle że tym razem były one złożone na kształt topora.

– Barnett, niech pan śle dalej protesty i groźby drogą dyplomatyczną – poleciła Turner. – Proszę także zatelefonować do Paryża, do pani Hazelton i przekazać jej wiadomość dla chińskiego attaché. Niech mu powie, że żądam natychmiastowego wypuszczenia generała Bendera i jego załogi, pod groźbą bardzo poważnych konsekwencji. I chcę, żeby Mazana wróciła jeszcze przed wieczorem.

– Nie ma czekać na odpowiedź? – upewnił się Francis.

– Jediną odpowiedzią do zaakceptowania przeze mnie jest wypuszczenie generała Bendera – wyjaśniła prezydent. Wstała i zaczęła przechadzać się po pomieszczeniu. – Patricku, trzeba poinformować panią Bender, co stało się z jej mężem...

– Przekażę jej to.

– Nie. Sama to zrobię. Niech pan umówi spotkanie na dziś, późnym wieczorem. Miejmy nadzieję, że do tego czasu będziemy już mieli dobre wiadomości. Proszę także powiadomić liderów Kongresu o tym, co się dzieje, oraz w dalszym ciągu informować prasę co godzinę. – Madeline usiadła. – Patricku, mamy jeszcze jeden problem...

– Jaki, pani prezydent?

– Potrzebny nam jakiś nietypowy sposób na przekazanie Chinom przekonywującej wiadomości.

– Może posłużymy się reporterem, który ma wejście do Białego Domu? – zaproponował Shaw.

– Dobrze, jeśli tylko będzie on wystarczająco popularny.

– Dam sobie z tym radę – zapewnił szef gabinetu.

Baza lotnicza Sha-he, Chiny

Jenkins odzyskał przytomność i podniósł się.

– Cholerne sukinsyny! – jęknął, łapiąc się za głowę.

Bender usiadł na pryczy obok niego.

– Pokpiłem sprawę – powiedział.

– Musieliśmy czegoś spróbować – usiłował ostrożnie go pocieszyć sierżant. – Czy ktokolwiek w normalnym świecie wie, co się z nami stało?

Generał popatrzył na zegarek. Była dziewiąta wieczorem, wtorek. W Waszyngtonie była więc ósma rano tego samego dnia. Minęło dwadzieścia siedem godzin od czasu, kiedy mieli wystartować.

– Do tej pory ktoś powinien już zacząć zadawać pytania – odparł.

Burke, steward, przyłożył ucho do ściany na końcu celi.

– Słyszę kroki! – powiedział. – Ktoś tu idzie. – Bill Courtland wstał i ruszył ku drzwiom.

– Ja to zrobię – rzucił Bender. Pilot cofnął się, zadowolony, że generał nie traci ducha i stawia czoło groźnym prześladowcom. Robert poszedł za róg i stanął obok ciała zabitego kapitana. Otwarto drzwi i do celi weszli dwaj strażnicy. Za nimi stanęła kobieta, którą nazwał w myślach Smoczą Damą. Popatrzyła na Bendera, a potem opuściła wzrok na ciało. Robert podążył za jej spojrzeniem.

– Ile jeszcze potrwa? – zapytał. Twarz Chinki była nieruchoma jak maska; rysy odcinały się ostro w świetle pojedynczej żarówki. No, odpowiedź! – zażądał w myśli generał. Zamierzał użyć ostatniego argumentu, jaki mu został.

– Ile co potrwa? – zapytała w końcu.

– Zanim zrozumiecie, że popełnicie poważny błąd.

– A popełniamy? – spytała.

Teraz to Robert zamilkł. Czas kolejnych wypowiedzi był sprawą bardzo istotną, ponieważ najbliższe słowa kobiety powinny być rozkazem dla żołnierzy, żeby zajęli się nim, Banderem. Obserwował uważnie jej twarz i kiedy zamierzała otworzyć usta, rzucił:

– Z całą pewnością. Niestety, pan Wang nie rozumie prezydent Turner. To może doprowadzić do straszliwej tragedii. Zupełnie niepotrzebnie. – Po wyrazie oczu Chinki można było poznać, że słucha.

– Przewodniczący Wang rozumie wszystko co ważne! – odpowiedziała.

– Ale nie wie, co teraz zrobi prezydent Turner...

– A pan wie?

– Z całą pewnością – powtórzył. – I może powinna pani powtórzyć przewodniczącemu, że wiem. – Patrzyli na siebie przez kilka sekund, które zdawały się godzinami. W końcu kobieta przemówiła do strażników, a ci zabrali ciało Davisa. Kiedy wychodziła, Bender dodał: – Potrzebne nam koce i jedzenie. – Drzwi zatrzasnęły się.

– Co pan robi? – spytał Courtland.

– Negocjuję.

– Ktoś idzie! – ostrzegł znowu nasłuchujący przy ścianie Burke. Otwarto z trzaskiem drzwi. Pierwszą rzeczą, jaka się w nich pojawiła, była lufa karabinu i przez moment Bender był pewny, że zaraz zginą. Tymczasem drugi strażnik rzucił im kłęb koców, a trzeci postawił na podłodze koszyk. Żołdacy wycofali się i zamknęli ich z powrotem.

Courtland przyniósł koce, a Burke zajrzał do koszyka. W środku były cztery plastikowe miski, cztery łyżki i przykryty pokrywką garnek.

– Negocjacje trwają – mruknął sam do siebie Bender. Skłamała, pomyślał. Wang wcale nie jest przewodniczącym. Jeszcze nie.

Ośrodek Lawrence Livermore Labs, Livermore, Kalifornia, USA

Tobias J. Malthus siedział przy pulpicie w sterowni budynku Nova Laser Facility. Toby Malthus był pulchnym, misiowatym brodaczem, niespełna sześćdzie-

sięcioletnim. Miał sześć stóp wzrostu, łagodne oczy i takiż sposób bycia. Kobiety miały ochotę przytulać się do niego i nazywały go czasem bułeczką. W skrytości ducha Malthus wolałby, żeby mówiły o nim raczej „niezły facet”; nie potrafił jednak zmienić tego, kim był – a był delikatnym człowiekiem, bawiącym się fuzją jądrową, czyli potężnym źródłem energii napędzającym słońce i inne odległe gwiazdy. Tego czwartkowego poranka Toby miał zamiar stworzyć własną małą gwiazdeczkę, która będzie istniała przez jedną bilionową sekundę.

Dał znak do rozpoczęcia trzyminutowego odliczania przed jeszcze jednym „strzałem”, jak nazywali tu swoje eksperymenty. Niewiele czynności trzeba było wykonać osobiście, ponieważ komputery sterowały automatycznie wszystkim co trzeba.

Dziesięć tysięcy kondensatorów znajdujących się w piwnicy budynku posłało potężny impuls energii elektrycznej do dziesięciu światłowodów laserowych. Każdy z nich miał średnicę dwudziestu pięciu cali, długość boiska piłkarskiego i wyglądał z wierzchu jak rurociąg ściekowy, którego odcinki połączono elementami przypominającymi z kształtu trumny. Światłowody były ułożone w bateriach po pięć. Nieobeznany gość mógłby pomyśleć, że znalazł się w warsztacie jakiegos cierpiącego na gigantomanię hydraulika. Każdym światłowodem popłynęła wiązka o mocy trzech trylionów watów. Wszystkie podążyły do komory, która z kolei wyglądała jak stary dzwon nurkowy. W komorze zawieszona była kuleczka paliwa wielkości ziarenka soli. Większość ludzi uznałaby, że to, co zdarzyło się następnie, niewiele różni się od magii. Laserowe wiązki sprężyły kuleczkę do gęstości dwudziestokrotnie przekraczającej gęstość ołowiu, zmniejszając ją trzydziestokrotnie, i wywołały reakcję jądrową.

Podczas spokojnych spacerów Toby Malthus obliczał w pamięci prawdopodobieństwo strzału, który wyzwoliłby z kuleczki całą zawartą w niej potencjalnie energię. Nie było wprawdzie niebezpieczeństwa, że nad Livermore pojawi się nagle atomowy grzyb, jednak synteza izotopów wodoru musiała spowodować nie tylko wyzwolenie się ciepła, ale i promieniowania. Co będzie, jeśli pewnego razu eksperyment okaże się zbyt udany i Nova Laser Facility zostanie napromieniowana ponad normę? Trzeba będzie powrócić do komputerów i desek kreślarskich. Jednak nawet w takim przypadku Malthus będzie o wiele bliższy ofiarowania światu czystego, bezpiecznego i nieograniczonego źródła energii... Bawiło go, że nadzieja na lepszą przyszłość spoczywała w tych samych wojskowych laboratoriach, w których projektowano głowice termojądrowych rakiet. Toby był człowiekiem bardzo zadowolonym z życia i z siebie.

Dyrektor ośrodka Lawrence Livermore zadzwonił do wejścia sterowni Nova Test Facility. Był to sympatyczny facet o inteligencji nieporównanie przekraczającej zdolności przeciętnego człowieka; lubił kosztowne garnitury, a w dodatku był świetnym naukowcem, który potrafił wyjaśniać zjawiska fizyki jądrowej nawet przedszkolakom, czyli także politykom.

– Toby, ma pan chwilę czasu? Chciałbym z panem porozmawiać.

– Eee... – Malthus wydał z siebie nieartykułowany dźwięk. Wiedział, jak wyglądają rozmowy z dyrektorem.

- Czy pan przypadkiem nie zajmował się głowicą W-40?
 - Zajmowałem się, kiedy byłem młody – odpowiedział Malthus. – To było na wiele lat przed pana przyjściem... – Będąc świeżo upieczonym fizykiem Toby przewidział, że głowica termojądrowa W-40 w pewnych warunkach nie eksploduje lub też eksploduje, osiągając jedynie reakcję niższego rzędu. Te obliczenia Malthusa wywołały kłótnię, gdyż znalazł się inny naukowiec, z którego obliczeń wynikało co innego. Gorący spór został rozstrzygnięty dopiero na poligonie atomowym w Nevadzie, głęboko pod powierzchnią pustyni. – To była jedna z ostatnich prób jądrowych przed wprowadzeniem zakazu – zakończył Malthus. – Myliłem się.
 - Słyszał pan, co zrobili Chińczycy?
 - A kto nie słyszał? – W świecie fizyków jądrowych wybuch atomowy przeprowadzony gdzieś na świecie był najdonioślejszym z możliwych wydarzeń.
 - Odpowiedzieliśmy im – poinformował dyrektor.
 - O, a o tym nie słyszałem!
 - Zrzuciliśmy B-61.
- Malthus domyślił się, co z tego mogło wyniknąć. Bomba B-61 była wyposażona w głowicę W-40, o której przed chwilą była mowa.
- Okazuje się, że miał pan rację – powiedział dyrektor, potwierdzając przypuszczenia Toby’ego. – Leci pan na Okinawę.
 - Kiedy?
 - Dwadzieścia minut temu. Niech pan się nie pakuje. Czeka już na pana śmigłowiec.

Waszyngton, USA

Ben stał w studiu telewizyjnym, oceniając wzrokiem praktykantkę obsługującą środkową kamerę. Była wysoka i szczupła i marzyła o karierze w telewizyjnych wiadomościach. Przypominała Benowi młodą Liz Gordon, która przyjechała dwanaście lat temu z Seattle, zupełnie zielona. Liz weszła teraz do studia i usiadła naprzeciw Fergusonowi, starzejącej się gwiazdy kanału CNC. Wymienili parę zdawkowych uwag; Ben aż się uśmiechnął widząc zachowanie Paula – starał się być miły i uśmiechał się od ucha do ucha. A Ferguson zapowiadał przedwczoraj, że Gordon właśnie się skończyła, pomyślał Ben. No cóż, świat idzie naprzód.

Dokładnie w samo południe reżyser dał znak rozpoczęcia nadawanego na żywo programu.

– Dzień dobry, Ameryko – zaczął tradycyjnie Ferguson. – Mija dziś czwarty dzień, odkąd Chiny zdetonowały nad Morzem Południowochińskim bombę atomową, stawiając świat na krawędzi nuklearnej wojny. Podczas gdy pozostałe kraje świata spoglądają na Stany Zjednoczone z nadzieją na nasze przywództwo, prezydent Turner jak dotąd nie odpowiedziała. Jest tu ze mną Elizabeth Gordon, która wprowadzi państwa w bieżącą sytuację. Liz, byłaś przy Białym Domu od samego początku. Czy potrafisz wyjaśnić ów paraliż decyzyjny, którego jesteśmy świadkami?

– Nie nazywałabym obecnej sytuacji paraliżem. Uczciwie mówiąc, jedyną osobą, która nie wpadła w panikę i domaga się natychmiastowej reakcji, jest pani prezydent. Wprawdzie rozwijało się to powoli, mamy jednak teraz do czynienia ze starannie przemyślaną strategią...

– Ale przecież prezydent nic nie zrobiła – przerwał Ferguson – poza wysłaniem wezwań o pokój.

– To jest oficjalna, widoczna na zewnątrz część jej strategii – sprostowała Gordon. – Jednak poza światłami reflektorów odbywa się potężna akcja dyplomatyczna i wojskowa. – Liz wymieniła pokrótce, co zostało dotąd osiągnięte. – Dzieje się jeszcze więcej. Na przykład, prezydencki doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego, generał Robert Bender, przeprowadza w tej chwili tajne negocjacje z Chińczykami.

Ona ma informatora w Białym Domu! – pomyślał Ben, przyznając swojej szefowej punkt. Rewelacja, którą przed chwilą obwieściła, będzie odbijać się echem w wiadomościach przez cały dzień.

– Pozostaje jednak faktem, że prezydent poddała się nuklearnemu szantażowi – bronił swojego stanowiska Ferguson.

– Źródła w Białym Domu twierdzą, że pani prezydent cały czas wykorzystuje wszelkie drogi, które mogą doprowadzić do pokoju. Są to jednak nieznanne wody i żeglujemy po nich powoli.

– W obecnej sytuacji uczciwie będzie postawić pytanie – odpowiedział Ferguson, specjalnie używając zwrotu ulubionego przez Gordon – czy prezydent w jakikolwiek sposób zadziała?

– Rozmawiając z członkami administracji rządowej, wyczułam, że coś się szykuje, Paul. Bardzo niedługo dostaniesz odpowiedź na swoje pytanie, prawdopodobnie w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin.

Ben roześmiał się. Znowu go pokonała! A jeśli okaże się, że ma rację, Paul Ferguson będzie chyba musiał ustąpić miejsca nowej gwiazdzie!

Rozdział dwudziesty siódmy

Baza lotnicza Sha-he, Chiny

– Słyszę kroki! – szepnął Larry Burke. Sierżant leżał na swojej pryczy z uchem przy ścianie. Słońce jeszcze nie wzeszło. – Idą tutaj! – Bender podniósł się i usiadł na krawędzi pryczy, nie zrzucając z ramion koca. Włożył buty i wstał; poprawił ubranie i zawiązał krawat. Drzwi otworzyły się gwałtownie, a żarówka w celi zapłonęła. W wejściu stała okrutna kobieta z dwoma strażnikami po bokach.

Generał machinalnie spojrział na zegarek – była druga piętnaście w nocy, piątek. W Stanach to jeszcze czwartek, pomyślał. Nancy pewnie wraca teraz z lunchu... Kobieta przemówiła dialektem mandaryńskim i dwaj strażnicy pochwycili Roberta, wykręcając mu ręce do tyłu, a trzeci założył mu kajdanki. Bender patrzył na Chinkę bez wyrazu.

– Dokąd idziemy? – spytał. Na jej rozkaz strażnicy wypchnęli go na zewnątrz i zatrzasknęli drzwi. – Potrzeba im więcej koców i wody do picia – odważył się jeszcze powiedzieć Robert.

Kobieta wydała komendę; jeden z oprawców zamachnął się i uderzył go w plecy pałką. Generał zachwiał się, ale nie padł.

– Będzie się pan odzywać tylko w odpowiedzi na zadane pytanie! – poinformowała Chinka. Następnie strażnicy zataszczyli Bendera do czekającej furgonetki i wpełnęli go do niej przez tylne drzwi. Kobieta wsiadła do stojącej obok limuzyny i pojazdy ruszyły. Robert, mając wciąż skute ręce, usiadł z trudem i wyjrzał przez okno. Zdziwił się widząc o tak wczesnej porze wielki ruch w bazie. Siedzący obok żołnierz przewrócił go jednak z powrotem na podłogę i warknął po chińsku jakąś komendę.

– Nawzajem, palancie – odpowiedział Robert możliwie posłusznym tonem. Strażnik podniósł jednak leżący w furgonetce gruby gumowy wąż i zdzielił go przez plecy. Zabolalo bardziej niż generał się spodziewał.

– Znam angielski – wyjaśnił żołnierz. Tym razem Bender skinął tylko głową. Jechali dalej w spokoju, aż dotarli do Pekinu, do tego samego budynku, w którym Robert rozmawiał z chińskimi przywódcami. Otwarto drzwi i kolejny żołnierz wy-

szarpnął generała za ramię z furgonetki, tak gwałtownie, że aż naderwał się rękaw. Bender miał ochotę powiedzieć: „Made in Hong Kong”, jednak widok gumowego węża w ręku pierwszego strażnika powstrzymał go. Pospieszenie wprowadzono go do budynku i dalej po schodach na górę. Już na pierwszym piętrze Chińczycy zaczęli dostawać zadyszki, generał przyspieszył więc, żeby ich zmusić do większego wysiłku. Kiedy dotarli na właściwe piętro, strażnik z wężem ciężko dyszał. Czekająca w korytarzu kobieta popatrzyła ostro na zziębniętych strażników. Następnym razem musi być inaczej! – postanowiła.

– Przewodniczący Wang życzy sobie z panem mówić – oznajmiła.

– Czy wymaga pani ode mnie odpowiedzi? – odezwał się Robert. Na daną komendę człowiek z wężem zamachnął się, ale że z trudem łapał oddech, cios nie był tak silny jak poprzednie. Bender tym razem udał, że oberwał bardzo mocno – stęknął i osunął się na podłogę. Zaczął udawać – nie wiedział tylko, czy dobrze – że wije się z bólu. Jednak drugi z pilnujących go Chińczyków kopnął go tylko w bok i generał szybko podniósł się na kolana. Oni na pewno wiedzą, jak to naprawdę wygląda... – pomyślał. Kobieta potwierdziła jego przypuszczenie:

– Więcej nie będzie pan kombinować, generale – oznajmiła. Strażnicy podnieśli go i wepchnęli do jakiegoś pokoju. Było to skromnie urządzone biuro – tylko stół i dwa krzesła. Przy jednej z gołych ścian stał pojedynczy regał na dokumenty. Kobieta usiadła na jednym z krzesel. Czekali. Założyła nogę na nogę i zapaliła papierosa.

– O czym pan myśli? – zagadnęła.

– Zastanawiam się, dlaczego taka piękna kobieta pali – skłamał.

– Nie wierzę panu!...

– Powiedziałem prawdę.

Skinęła na strażnika, a ten uderzył Bendera wężem. Odzyskał już całą siłę i cios naprawdę posłał teraz Roberta na kolana.

– Nie zadałam pytania – wyjaśniła Chinka. Następnie potoczyła się gra trwająca mniej więcej godzinę – kobieta mówiła do generała, a on odpowiadał tylko wtedy, jeśli usłyszał konkretne pytanie. Raz zawahał się zbyt długo przed odpowiedzią i otrzymał za to kolejne uderzenie.

– Co zajmuje przewodniczącemu tyle czasu?... – rzuciła w końcu kobieta, zdenerwowana.

– Nie mam pojęcia – odpowiedział Bender. Na komendę dostał wężem jeszcze raz.

– To było pytanie retoryczne, a nie do pana! – Chinka przechyliła głowę na bok i popatrzyła na niego wymownie, unosząc brwi. Robert zamknął oczy i po kiwał głową, jak gdyby mówił, że rozumie. Bo rozumiał. Kobieta „zmiękczała” go, aby był w pożądanym stanie ducha, kiedy stanie oko w oko z Wangiem.

– Co pan teraz myśli?

– Że jestem rozpracowywany przez pięknego motyla, który lubi krzywdzić ludzi. – Napiął się, szykując na kolejne uderzenie. Nie nadeszło.

– Wierzę panu – usłyszał.

Wtedy otworzyły się drzwi i do pokoju wkroczył Wang. Miał na sobie klasyczny szary strój wykonany na wzór ubioru Mao Tse-tunga; kazał sobie też ostrzyć włosy na podobieństwo wodza. Usiadł i założył nogę na nogę.

– Krzesło dla generała – rzucił.

Natychmiast pojawiło się trzecie krzesło i Bender usiadł, zaskoczony, jaką ulgę mu to sprawiło. Zaniepokoiło go to. Już myślę w kategoriach, kto tu jest dobrym, a kto złym gliniarzem! – ocenił.

– Może pan skończyć swoje gierki – oznajmił Wang. – Powiedziano mi, że ma pan wartościową informację.

– Nic z tego, jeśli pański żołdak będzie dalej bił mnie tym wężem. – Napiał się przed kolejnym ciosem, który nie przyszedł.

– Niech pan mi nie zajmuje zbędnego czasu. Co pan ma do powiedzenia? – zapytał Wang.

– Wiem, co teraz zrobi prezydent Turner!

– Nie ma znaczenia, co teraz zrobi prezydent Turner – odparł Chińczyk.

Och, tak? To po co tu jesteś? – pomyślał Bender.

– Zapewniam pana, że to, co interpretujecie jako oznakę słabości i niezdolności do działania, wcale tym nie jest – powiedział.

– Ciągłe słyszymy tylko zapewnienia!... – wtrąciła kobieta.

– Ale te są prawdziwe – nie ustępował Robert. Przyszedł czas na próbę sił. – Przykro mi, że to, co mam do powiedzenia, nie ma dla was znaczenia. Miałem nadzieję, że...

– Chce pan zawrzeć jakąś umowę? – przerwała mu Chinka.

– Pani znajomość angielskiego jest doprawdy znakomita – odparł.

– Nie będzie żadnych umów – odezwał się teraz Wang. – Targowanie się jest poniżej mojej godności.

Ale jednak tu siedzisz, myślał generał. Nie wiedział, czy za chwilę nie obierwie znowu wężem. Mo-tsun siedział tylko i patrzył na niego bez wyrazu. W końcu Robert dostrzegł, że Chińczyk zaczyna mrużyć oczy. Czas mi się kończy! – przestraszył się Bender.

– Niepokoję się o moją załogę – oświadczył.

– A nie o siebie? Co za altruizm! – zadrwiła kobieta.

– A o co konkretnie się pan niepokoi? – zapytał Wang.

Generał stwierdził, że znowu czuje się tak, jakby miał obok siebie dwóch gliniarzy, dobrego i złego.

– Niepokoję się, ponieważ moi ludzie powinni jak najszybciej powrócić do swoich rodzin – oznajmił.

– A dlaczego miałbym wypuszczać szpiegów? – odpowiedział pytaniem Wang.

– Oni nie są szpiegami – wyjaśnił Robert.

– A pan jest – dokończyła za niego Chinka. To nie było pytanie.

Bender, czując wagę tego, co powie, odparł:

– Od was zależy, co na ten temat postanowicie... w swoim czasie.

– Rozumiem – odezwał się Mo-tsun. – Załoga zostaje puszczona wolno, a pan zostaje. W zamian mówi pan nam, co teraz robi wasza prezydent... Cóż, może dojdziemy do porozumienia. Jeśli to, co pan nam powie, okaże się prawdą, wypuścimy pańską załogę. Ale dopiero wtedy.

Wyglądało na to, że więcej generał nie uzyska.

– Ufam, że dotrzyma pan obietnicy – powiedział. – Jeśli nie powrócicie do stanu sprzed kryzysu, prezydent Turner odpowie na wasze działania w odpowiednio zdecydowany sposób, aby to osiągnąć.

Wang roześmiał się tylko.

– Nie robi tego. Wasza prezydent to głupia kobieta. Boi się prawdziwego wojska, prawdziwej wojny i prawdziwej broni atomowej. I nie tylko ona – wasz naród aż się trzęsie ze strachu!

– Nietrafnie ją pan ocenia – zaproponował Robert. – Nie powinien pan wierzyć w to, co czyta pan w gazetach albo co mówi panu wasz ambasador.

Chińczyk był najwyraźniej rozbawiony.

– A kiedyż ona to zrobi? – spytał.

– Bardzo niedługo.

– Gdzie? – Generał nie odpowiadał.

– Wierzy pan mu? – spytała Wanga kobieta po chińsku.

– Nie – odpowiedział jej w tym samym języku.

– Czy przekaże pan to Zoulinowi? – zapytał Bender.

– Nie ma potrzeby – odparł Mo-tsun. – Wołałby tylko o ostrożność, a generałowie żądają, żebyśmy postępowali tak, jak zostało zaplanowane. Poza tym już za późno na przerwanie operacji.

Kobieta uśmiechnęła się okrutnie.

– Czy mam kazać ich zastrzelić? – spytała.

– Nie teraz. Jeszcze mogą się nam przydać.

– Ale jeżeli Bender mówi prawdę i ta amerykańska czarownica robi to, co on mówi; a generałowie dowiedzą się, że zostaliśmy ostrzeżeni, to będzie... eee... wielki wstyd...!

– W takim razie proszę natychmiast wykonać na nich egzekucję, wtedy generałowie nigdy się nie dowiedzą.

– Generale Bender, to była tylko strata czasu! – powiedziała kobieta po angielsku.

– Potrzebuje pan lekcji etykiety – dodał Wang. Wydał jakiś rozkaz strażnikom, a ci podnieśli Roberta i narzucili mu na głowę worek z grubego płótna. Następnie jeden z nich, ciągnąc za worek, sprowadził generała z powrotem do furgonetki. Uderzył kolaniem Bendera o krawędź drzwi samochodu z taką siłą, że generał o mało nie krzyknął. Kierowca ruszył, szarpiąc tak gwałtownie, że Robert potoczył się po podłodze, trzasnął tym samym kolaniem o nadkole i poczuł tak straszliwy ból, że omal nie stracił panowania nad pęcherzem.

Kobieta popatrzyła bez widocznych emocji za odjeżdżającą w pędzie furgonetką, po czym spokojnie wsiadła do limuzyny. Nie miała wątpliwości, że Bender mówił prawdę i że Wang powinien był wziąć sobie do serca jego ostrzeżenie. To był naprawdę poważny problem.

Robert próbował zorientować się, dokąd jadą, jednak widział tylko ciemność. Liczył mijające sekundy. Kiedy ocenił, że minęła mniej więcej godzina, pojazd zatrzymał się. Ktoś wyszarpnął go z furgonetki, a potem złapał za worek i z prędkością ściągnął mu go z głowy. Szorstkie płótno obtarło dotkliwie uszy, nos i resztę twarzy Bendera. Zamrugał, ujrawszy jasne światło. Znajdował się w towarzystwie czterech strażników przed swoją celą. Każdy z Chińczyków miał uczeponego pod paskiem gumowego węża lub drewnianą pałkę. Jeden z nich otworzył drzwi i wepchnął Roberta do środka. Strażnicy nie zostali jednak na zewnątrz – weszli za nim i użyli swoich narzędzi. Ciężki gumowy wąż rozkrwawił generałowi usta. Bender upadł na podłogę, zwijając się w pozycję embrionalną. Strażnicy bili go tak długo, aż się zmęczeni.

W końcu przestali i zdjęli mu kajdanki. Jeden kopnął go na koniec w bok – i już ich nie było. Nad leżącym generałem natychmiast nachylił się Burke; podbiegł także Courtland, sięgnąwszy po zestaw pierwszej pomocy. Jenkins także zszedł ze swojej pryczy, chociaż ciągle kręciło mu się w głowie.

– Ale pana pobili... – mruknął.

– Co się, do licha, stało? – spytał Courtland.

Robert zdołał jakoś usiąść. Wypłuł dwa zęby.

– Negocjacje... – wymamrotał z trudem.

Waszyngton, USA

Mazie weszła do biura Bendera, mieszczącego się w narożniku zachodniego skrzydła Białego Domu. Właśnie minęła szósta wieczorem. Hazelton była wyczerpana lotem z Paryża i zniechęcona niepowodzeniem. Rzuciła teczkę na jedno z krzeseł; Norma odebrała od niej płaszcz.

– Pani prezydent prosi panią jak najszybciej do siebie – poinformowała sekretarka. – Jest w Gabinetcie Ovalnym. – Dotknęła delikatnie ręki Mazany. – Co się stało z panem generałem? – spytała. – Słyszemy tu straszne plotki...

– Nie jestem pewna – odpowiedziała Mazie. – Przypuszczam, że to w związku z tą sprawą prezydent mnie wzywa. – Zerknęła w lustro i zdecydowała, że ma gdzieś, jak w tej chwili wygląda. Pobiegnęła korytarzem i zobaczyła Shawa wychodzącego z Gabinetu Ovalnego.

– Jest tam żona generała Bendera. Niech pani wchodzi – rzucił.

Mazana zapukała dwukrotnie i otworzyła drzwi. Na jednej kanapie siedziały Madeline Turner i Nancy Bender. Z drugiej podniosła się Maura.

– Wygląda pani na zmęczoną – powiedziała na powitanie. – Może zawołam, żeby przynieśli herbaty albo kawy?

– Poproszę. Czarną kawę. – Hazelton usiadła naprzeciw dwóch kobiet.

– Właśnie powiedziałam pani Bender o Robercie – oznajmiła prezydent. – Niestety, po wiadomościach od pani nie nadeszły już żadne inne informacje.

– Kiedy Chińczycy ich wypuszczą? – zapytała Nancy.

– Nie wiem, naprawdę... – odpowiedziała Mazana, biorąc od Maury filiżankę z kawą.

– To niesłychane, co oni wyprawiają! – Starsza pani zachnęła się. – Nie mogę uwierzyć, że mogli... – Urwała, powstrzymana ostrzegawczym spojrzeniem córki.

– Robert był już w niebezpiecznych miejscach. Da sobie radę – odezwała się Nancy.

– Robimy wszystko, co w naszej mocy, żeby ich stamtąd wydostać – powiedziała prezydent. Przyjrzała się uważnie Nancy Bender. Czy jest to jedna z tych kobiet, które trzeba chronić przed trudną do przełknięcia prawdą? Instyngt poradził Madeline mówić uczciwie. – Jednak jak dotąd, niewiele wskóraliśmy – dodała.

Kąciki ust pani Bender zadrgały. Czy miał to być uśmiech?

– Wyobrażam sobie, że Chińczycy mają z nim pełne ręce roboty – oznajmiła.

– Jak to? – spytała Maura, zdziwiona pomysłem, że zakładnik mógłby dawać się we znaki swoim porywaczom.

– Prawdopodobnie negocjuje, aby wypuścili jego ludzi – wyjaśniła Nancy.

– A jakie może mieć argumenty? – wtrąciła Mazie.

– Jakieś zawsze znajdują. Nie zna go pani. Zdoła ich stamtąd wydostać – zapewniła pani Benderowa.

– Nie chciałabym pani martwić, ale proszę nie robić sobie niepotrzebnie zbyt wielkich nadziei... – odezwała się Turner. Nancy popatrzyła na nią i powiedziała:

– Robert wie, że nie wolno pani poddać się szantażowi i że być może będzie pani musiała poświęcić... – Nie dokończyła. – Ale on potrafi to zaakceptować, jeśli tylko jego załoga powróci bezpiecznie do domu.

– Tak bardzo mu na nich zależy? – zapytała pani O’Keith.

– O, tak. – Czuła potrzebę mówienia o swoim mężu. – To jego ludzie, za których czuje się odpowiedzialny. Robert mawia, że odpowiedzialność rośnie wraz z zajmowanym terytorium. – Podniosła wzrok. Prezydent zrozumiała ją. – Czasem zapomina, że nie jest z kamienia i że jego także dotyczą emocje, które przeżywają inni. Kiedy jest zraniony albo rozczarowany, zamyka się w sobie. Nie puszcza pary z ust i odmawia przyjęcia pomocy. – Zaczerwieniła się nagle. – Robert spaliłby się ze wstydu, gdyby usłyszał, że to mówię.

Mazie miała ochotę zapewnić Nancy, że jej mężowi nic się nie stanie, nie byłoby to jednak uczciwe. Nachyliła się ku niej i spróbowała ją pocieszyć.

– Pani Bender, powinna pani wiedzieć o jednym – powiedziała. – On pani potrzebuje.

– Wiem. Ale jest tak strasznie... – Umilkła.

– Skryty – dokończyła za nią Turner. – Ja nigdy nie wiem, co on myśli. – Spojrzała na zegarek. – Przepraszam bardzo, ale muszę spotkać się z doradcami. Mamo, czy możesz dopilnować, żeby zawieziono panią Bender do domu?

– Dziękuję, pani prezydent. – Nancy wstała. – Poradzę sobie sama.

– Zawiadomimy panią, jak tylko czegoś się dowiemy – obiecała Madeline.

Jej matka wyszła z Nancy i przekazała ją pod opiekę sierżanta marines, który odprowadził ją do samochodu.

– Proszę jechać ostrożnie – pożegnał Nancy z troską w głosie, zamykając drzwi wozu.

Nancy oparła głowę o kierownicę.

– Och, Robercie!... – szepnęła.

* * *

Gabinet Sytuacyjny szybko zappełnił się ludźmi. Hazelton dołączyła do prezydenckich doradców, stając obok szefa wywiadu, za krzesłem Bendera. Liczba obecnych oraz panujące napięcie nie pozostawiały wątpliwości, że rozpoczyna się prawdziwa narada wojenna. Przy końcu stołu stał generał Charles; za jego plecami kręcili się pozostali członkowie Połączonego Komitetu Szefów Sztabów. Naprzeciwko Mazany znajdował się Barnett Francis i szef podległego Departamentowi Stanu Biura Dalekiego Wschodu. Wokół DCI zebrali się najważniejsi przedstawiciele amerykańskich służb wywiadowczych. Wszedł Shaw i oznajmił:

– Panie i panowie, prezydent. – Cofnął się i do Gabinetu Sytuacyjnego wkroczyła Turner. Usiadła i poprosiła pozostałych, żeby zrobili to samo.

DCI odsunął krzesło dla Mazany, co było niespotykanym gestem rodem ze starej Europy. Sam nie usiadł; zaczął mówić stojąc. Wszyscy słuchali go w absolutnej ciszy. Na ścianie naprzeciw prezydent pojawiła się mapa, której środek zajmowała Okinawa.

– Pani prezydent, na atolu, nad którym Chińczycy zdetonowali swoją bombę, wylądowali ich spadochroniarze. Zrzut rozpoczął się dokładnie godzinę temu; oceniamy, że jak dotąd wylądowało około pięciuset żołnierzy. Akcja trwa cały czas; w tej chwili zrzucany jest ciężki sprzęt i artyleria.

– Kiedy się o tym dowiedzieliśmy? – spytała Madeline.

DCI popatrzył na nagłówek faksu.

– Cztery minuty temu.

– Gdzie jest generał Bender? – zapytała stanowczym tonem. Odpowiedział jej szef Narodowego Biura Rozpoznawczego:

– Zdjęcia satelitarne zrobione dwie godziny temu pokazują, że jego samolot cały czas stoi na lotnisku w bazie wojskowej Sha-he. To niedaleko Pekinu.

– Wiem, gdzie jest Sha-he – warknęła Turner. – Kiedy Chińczycy rozpoczęli operację ze zrzutem?

– Z tego, co możemy przypuszczać, samoloty wystartowały z kontynentalnych Chin niecałe dwie godziny temu – wyjaśnił DCI.

Turner popatrzyła w ekran.

– Przypuszczam, że to jest ich odpowiedź na moje żądanie wypuszczenia generała Bendera i jego załogi – powiedziała.

– Pani prezydent, to pasuje do całościowego obrazu ich strategii – wtrącił sekretarz Francis.

– Taktyka „salami” – mruknął Shaw. Turner zignorowała go i zapytała:

– Generale Charles, jak wygląda sytuacja na Okinawie?
– Baza jest w stanie najwyższej gotowości. Za pięć godzin powinna przylecieć ekipa ze Stanów. Będą potrzebowali trochę czasu na inspekcję bomb, ale zmieścimy się w ustalonym przez panią czasie.

Madeline wycelowała pióro w sekretarza stanu i poleciła:

– Barnett, proszę kontynuować swoją ofensywę dyplomatyczną. Niech pan likwiduje wszelkie przeszkody. Ktoś powinien przemówić tym idiotom z Pekinu do rozumu. – Pióro przesunęło się na szefa wywiadu. – Proszę znaleźć generała Bendera. – Teraz wycelowała w Charlesa. – Ma pan dokładnie dwanaście godzin na przeprowadzenie tego wybuchu ostrzegawczego. Niech się uda.

– Pani prezydent – odezwał się Charles – możemy trafić w ten cel w ciągu czterdziestu minut międzykontynentalną rakieta balistyczną.

– Jest za duża – zdecydowała Turner. – Chcę wybuchu o mniejszej energii. A poza tym, jaki jest stopień prawdopodobieństwa, że taka rakietka eksploduje nad celem? Ile rakiet wam do tego potrzeba? – Odpowiedziała jej wstydlawa cisza.

– Pani prezydent, za pięć minut konferencja prasowa – przypomniał Shaw. Madeline wstała.

– Wiecie panowie, czego od was oczekuję. Dopilnujcie tych spraw. Spotkamy się ponownie jutro o piątej rano. Lub wcześniej, jeśli będzie trzeba. – Zrobiła pauzę, zastanawiając się, co ma jeszcze do powiedzenia. Zakończyła jednak na tym i szybko wyszła z sali.

* * *

„Kuchenny gabinet” Madeline Turner czekał na nią po konferencji prasowej w prezydenckiej jadalni na piętrze. Obiad z przyjaciółmi dawał prezydent możliwość tak potrzebnego jej wypoczynku. Wszyscy zasiedli przy jednym końcu stołu.

– O rety, dziecino, ależ to była konferencja! Tłoczyli się jak do samego Jezusa Chrystusa! – powiedziała Noreen Coker. Parrish roześmiał się.

– Czy to był ten sam dzwonek, którego pani używała w senacie stanowym? – upewnił się.

– Kiedy zaczynałam, byłam w tym senacie jedyną kobietą – wyjaśniła Madeline – i żaden z tych starych bęcwałów nie miał ochoty mnie słuchać. Używałam więc dzwonka, żeby zwrócić na siebie uwagę. Pomyślałam, że wezmę go teraz, żeby reporterzy przestali zadawać ciągle te same pytania.

Maura uśmiechnęła się.

– Podziało. Przez ostatnie parę minut nie musiałaś go używać ani razu. Przypominałaś nauczycielkę, która przywołuje do porządku rozbrykane dzieci. Myślę, że niektórych bardzo to rozzłościło.

– Ale i przyspieszyło sprawę – dorzuciła Coker.

Z rozmysłem nie rozmawiali o Chinach. Jedli i mówili o wszystkim innym, żeby dać prezydent odpocząć i nabrać sił. Czuli, pod jaką znajduje się presją i żalowali, że nie mogą temu zaradzić. Jednak najlepsze, co mogli jej dać, to oparcie

i choćby parę chwil milczącej, przyjaznej obecności. Kiedy zjedli, wniesiono kawę, a Turner powróciła do spraw zawodowych:

– Byłam bardzo zła, że ani jeden dziennikarz nie zapytał o stan Sama.

– Odwiedziłem pana wiceprezydenta dzisiaj po południu – oznajmił Parrish. – Niezłe się trzyma po amputacji. Lekarze mówią, że jego stan jest dobry; nie musieli obcinać mu aż tak dużej części ramienia, jak się spodziewali. Trochę się ciągle niepokoją infekcją płuc, ale to też już mija.

– A co teraz robi Leland? – zmieniła temat Madeline.

Krzesełko Noreen Coker skrzypnęło pod jej zmieniającym położenie ciężarem.

– Ten gad? – warknęła. – Na razie położył uszy po sobie. Ostatnio jego popularność podlega wahaniom.

– Nasza także – zauważyła Turner. – Czy macie pomysł, w którą stronę teraz ruszy?

– Nie wiem. – Coker potrząsnęła głową. – Może czeka na nowe wiatry?

Parrish odłożył filiżankę i zapytał:

– A co zamierza pani zrobić z Shawem?

– Nie mogę nic robić, zanim się to wszystko nie skończy – odpowiedziała Turner.

– Niech go pani odda mnie – zaofiarowała się Coker. – Kiedy z nim skończę, będzie śpiewał do końca życia sopranem.

* * *

Turner siedziała samotnie w swoim gabinecie, kiedy weszły Maura i Sarah. Dziewczynka była już w piżamie, gotowa do łóżka. Przytuliła się na chwilę do matki. Wpadł także Brian i zatrzymał się z poślizgiem.

– W telewizji! – sapnął. – Mówią o generale Benderze! Liz Gordon powiedziała, że Chińczycy trzymają go jako zakładnika!

– To prawda – przyznała Madeline. – Przetrywają go razem z załogą samolotu, którym poleciał do Chin.

– Po co? – spytał chłopak.

– Chińczycy mówią, że generał i jego załoga to szpieczy. Posłałam go na tajną misję, żeby przeprowadził z nimi rozmowy. Ale nie dałam im tego, czego chcieli, więc wzięli go na zakładnika.

Sarah rozplakała się.

– To niesprawiedliwe!...

– W życiu zdarza się wiele niesprawiedliwych rzeczy – pouczyła ją matka. – Ale robię wszystko co w mojej mocy, żeby ich stamtąd wydostać. – Rozmawiali jeszcze przez parę minut, po czym pani O'Keith odprowadziła wnuki do łóżek. Parę minut później wróciła i usiadła koło córki.

– Jak się czujesz? – zagadnęła.

– Tak się martwię, mam. Popełniłam tyle błędów... Nie chcę prowadzić wojny ani używać bomby atomowej.

– To nie rób tego.

– Nie mam wyboru...

- Zawsze ma się wybór, Maddy!... – pouczyła matka.
- Madeline pokręciła głową. Matka jej nie rozumiała.
- Nie, mamó – powiedziała. – Prezydent nie ma wyboru.

Waszyngton, USA

Shaw wrócił do zajmowanego przez siebie apartamentu w budynku Watergate i zastał tam Jessikę. Był zmęczony i miał ochotę jedynie na solidną szklankę burbona i wymoczenie się w swojej wielkiej wannie.

- Senator chce się z tobą widzieć – poinformowała Jessica.
- Nie dzisiaj, Jess. Jestem wykończony. Za parę godzin muszę tam wracać, a dzień był cholernie wyczerpujący. – Szkoda, że sama nie widziała! – pomyślał. W Białym Domu aż wrzało.

- Natychmiast! – rozkazała Jessica, podając mu płaszcz. – Ja poprowadzę.
- Nie do wiary!... – mruknął Patrick, ruszając za nią do windy. Jessica prowadziła jak szalona, wzbudzając w nim emocje, których nie doświadczał od czasu, kiedy był nastolatkiem. Dotarli do wiejskiego domu w łącie rekordowym czasie. Nikt na nich nie czekał, w oknach było ciemno. Shaw ruszył za kobietą do środka. Nie podobało mu się, że Jessica najwyraźniej dobrze zna ten budynek. To tylko kolejna fanka władzy, pomyślał. Można ją po prostu wykorzystywać, tak jak inne.

Leland czekał samotnie w najdalszym pokoju. Pokazał Shawowi krzesło i popatrzył znacząco na Jessikę, która na ten sygnał wyszła z pokoju.

- Niepokoisz mnie, synu – odezwał się senator.

Prezydencki szef gabinetu zjeżył się, słysząc ten protekcyjny ton. Próbowił usadowić się jakoś na krześle, ale obojętne w którą stronę się przekreślił, było mu niewygodnie i zjeżdżał do przodu. Był to stary trik, który Shaw sam nigdy nie stosował nagminnie w kontaktach z reporterami i przedstawicielami różnych grup interesów. A teraz Leland użył go wobec niego. Patrick wstał i oparł się o kominiek, stając na zrębie paleniska. Czas przejść do ofensywy, zdecydował.

- Sam mam ostatnio pewne wątpliwości... – zaczął.
- Zawsze wyznawałem zasadę: nagradzać przyjaciół, grzebać wrogów – oznajmił Leland. – Ale nie potrafię wydedukować, do której z tych grup należysz, człowieku. Zapewniłeś mnie pan, że kontrolujesz sytuację w Białym Domu i że Turner została osamotniona. Ale i jedno, i drugie okazało się nieprawdą, i niektórzy z naszych wspólnych przyjaciół zaczęli poważnie podawać w wątpliwość pańską lojalność.

Lojalność! – pomyślał Shaw. Skąd Leland i jego poplecznicy znają to słowo?

- Jak rozumiem, nasi „przyjaciele” tracą nerwy? – upewnił się. Jego połuniowy akcent zniknął, mówił teraz normalnie i surowo.

- Nie tracą żadnych nerwów. Czują tylko, że zmusił ich pan do... przedwczesnego działania przez swoje pochopne obietnice.

– Podałem wam na talerzu Jackie Winters – przypomniał Shaw.

– Czyżby? Pewien przyjaciel mówi mi, że FBI jest pewne, że... bielizna znaleziona w jej biurku została podrzucona, i prowadzą w tej sprawie dochodzenie. Ten ślad bez wątplenia doprowadzi do pana, a w rezultacie i tutaj. Zrobiłeś głupią rzecz, człowieku... – Leland uniósł rękę, żeby Shaw mu nie przerywał, i ciągnął:

– A teraz pozwól, że ci powiem, co masz zrobić. Obwieścisz światu, że nasza prezydent pieprzy się w Białym Domu ze swoim doradcą do spraw bezpieczeństwa narodowego, w dodatku żonatym mężczyzną.

Patrick usiłował wyobrazić sobie Bendera angażującego się w gorący romans. Nawet dla jego wygimnastykowanego umysłu okazało się to niemożliwe. Przed oczami stanął mu za to obraz Maddy, domagając się uwagi. Nie była pierwszym lepszym politykiem, którego Shaw poświęcał na ołtarzu własnej potęgi, ale młodą idealistką, którą niegdyś wziął pod swoje skrzydła; a także pogrążoną w żałobie wdową i troskliwą matką dwojga dzieci. Brian i Sarah. Co oni pomyślą o swojej matce, kiedy to zrobię? Dzieciaki! Od kiedy mają głos?... Roześmiał się sztucznie, bo nie było mu do śmiechu, i odparł:

– Maddy i Bender? To niemożliwe, nie ma szans.

Leland zignorował tę reakcję.

– Według naszych sondaży, byłby to ostatni gwóźdź do jej trumny.

Shaw skoncentrował się jeszcze bardziej. To on był królem badań opinii publicznej, a Białe Domy miały swoich ludzi, których jedynym zadaniem było wyczuwanie zmian nastroju społeczeństwa. Według ostatnich danych Patricka popularność Maddy była wprawdzie niewysoka, jednak trzymała się na stałym poziomie.

– Może szepniesz słówko w wielkie ucho Liz Gordon?... – podsunął Leland.

Szef gabinetu poczuł pierwsze objawy paniki. Czy senator wie o jego stosunkach z Gordon? Co jeszcze wie? Shaw zaczął szybko oceniać możliwe konsekwencje takiej sytuacji. Uspokoił się powoli, opanowując strach. Musiał dbać, żeby Leland spoglądał cały czas we właściwym kierunku.

– Po pierwsze, Bender zachowuje się jak prawiczek. Niech pan myśli co chce, ale między nimi nic nie ma – powiedział.

– Synu... – Leland powrócił do irytującej formuły – ...mówię o tym bardzo poważnie. Jeśli Turner ocaleje, to osobiście posiekam cię na kawałki i rzucę na pożarcie rekinom, czyli prasie. Będziesz skończony. – Nie była to czcza przechwałka. Senator był dość potężny, aby to zrobić, a dziennikarze z lubością by się na to rzucili.

Shaw znowu wpadł w panikę, tym razem już na serio. Zwalczył w sobie chęć pójścia do toalety.

– Senatorze, ścieraliśmy się już ze sobą – powiedział. – I obaj wyszliśmy z tego z bólem głowy.

– Nie mówię tylko za siebie – oznajmił Leland. – Mnóstwo porządnych ludzi będzie bardzo niezadowolonych. Mogą zrobić ci kuku na najróżniejsze sposoby, których nawet się nie domyślam. Gdybym był tobą, nie drażniłbym ich. – Prze-

rwał, żeby napięcie osiągnęło szczyt, po czym sięgnął po marchewkę. – Z drugiej strony, jeśli pan nam pomoże postawić tę sukę w stan oskarżenia i wykopać ją z Białego Domu... – Uśmiechnął się, nie precyzując oferty.

Shaw zeszywniał. Zapomniał o toalecie. Poczul niejaką ulgę; i to wcale nie z powodu składanej przez senatora propozycji, tylko tego, co usłyszał w podtekście. Wyczuł subtelną zmianę tonu, oznakę strachu. Leland przeszedł do defensywy. Dlaczego? Czyżby poparcie dla niego opadało pomalutku w dół, co przeoczyli ankieterzy Białego Domu? A może Maddy Turner zyskiwała zwolenników? Musiał to sprawdzić. Wymamrotał jakieś przeprosiny i wycofał się pospiesznie z pokoju, pozostawiając senatora samego przed kominkiem. Nie strasz starego Patricka! – pomyślał Shaw. Nie strasz, dopóki mam jeszcze możliwość ci oddać!...

Otworzyły się drzwi w drugiej ścianie i weszło przez nie czworo ludzi. Ostatnia szła Gwen Anderson, sekretarz zdrowia i usług socjalnych, której dalszą karierę Shaw zniszczył rewelacjami prasowymi o jej nawrotach depresji.

– I jak, posłuchał pana ten sukсын? – zagadnęła.

– Dostaniecie, czego się domagacie – odparł senator. – Ale opierał się, mówił, że między Turner i Benderem nic nie ma.

– Może nie zechce jej tego zrobić – odezwał się sekretarz obrony, Elkins. – Znają się już od tak dawna...

– Przecież mówimy o Patricku Shaw – przypomniała Anderson. – „Wszystko na sprzedaż”.

* * *

Shaw wrócił do czekającego jaguara. Jessica ruszyła dynamicznie; jej gołe nogi błyskały w poświacie z deski rozdzielczej.

– Wszystko w porządku? – zagadnęła.

– Ab-so-lut-nie! – odparł Shaw, oddzielając sylaby, żeby nie było żadnych wątpliwości. Wszystko, co jej powie, trafi do Lelanda w ciągu paru minut. – Mieśliśmy małą burzę mózgow. Wszystko gra. – Uśmiechnął się, zadowolony z siebie. Co za pieprzona sytuacja!... – pomyślał.

Jessica zatrzymała się na światłach i wyciągnęła dłoń do policzka Patricka.

– Wyglądasz na zmęczonego – powiedziała miękko, pełnym troski głosem.

– To, co wydarzyło się dzisiaj, mogłoby starczyć na miesiąc, Jess.

Rozdział dwudziesty ósmy

Okinawa, Japonia

Ryan i Townly stali na parkingu dla samolotów. Nadjeżdżał latający tankowiec, KC-10. Major przestępował z nogi na nogę, kiedy do samolotu podsuwano schodki. Otworzyły się drzwi i w gorące, wilgotne, południowe powietrze wkroczył brodacz, przypominający budową niedźwiedzia. Zszedł na ziemię, a za nim jeszcze siedmiu mężczyzn i kobieta. Townly wysunął się naprzód.

– Pan doktor Malthus? – zapytał. Broda podskoczyła w odpowiedzi. Pułkownik powiedział więc: – Major Ryan i ja czekaliśmy na pana. Mamy pana odprowadzić bezpośrednio do budynku dowodzenia, gdzie oczekuje generał Martini.

Martini stał w wejściu do budynku. Townly dokonał formalnego przedstawienia.

– Zorganizowaliśmy się w bunkrze wywiadu – powiedział generał. Zaprowadził cywilów wraz z Townlym i Ryanem na miejsce. – Otrzymaliśmy ważną wiadomość o akcji nadzwyczajnej, która ma być wykonana nie później niż o dwudziestej pierwszej czasu miejscowego. To za osiem godzin – poinformował.

Broda Malthusa dotknęła jego piersi.

– Nie wymaga pan wiele – odparł. – Okay, bierzmy się do pracy. Najpierw musimy się przekonać, ile wiecie. W czasie kiedy będziemy robić obliczenia, tych czterech facetów z Brand X – pokazał palcem na inżynierów z ośrodka Sandia National Laboratories – sprawdzi bombę i jej obwody. – Rozejrzył się po bunkrze. – Czy możemy pracować tutaj?

– Proszę bardzo – powiedział gościnnie Martini. – Jeśli będziecie państwo czegokolwiek potrzebować, wołajcie Pete’a. – Wskazał na Townly’ego. – Ma odpowiednie kompetencje, żeby dostarczyć wam wszystkiego co potrzebne. A doktor Ryan kieruje naszym Programem Oceny Niezawodności Personelu. Może jeździć z wami po całej bazie.

Malthus uśmiechnął się do majora.

- Jest pan psychiatrą? – spytał przyjaźnie.
- Lekarzem pokładowym – odpowiedział Ryan, nie potwierdzając i nie zaprzeczając. Poczul jednak, że z miejsca polubił potężnego naukowca.
- Zawsze dobrze, kiedy ktoś obserwuje chłopaków – mruknął Malthus. Otworzył teczkę i wyjął laptop. Pozostali uczyli to samo, po czym połączyli komputery w sieć. Ryan patrzył na nie w zdumieniu.
- A co, myślał pan, że ciągle używamy suwaków logarytmicznych? – zapytał ze śmiechem Malthus.
- Majorze, proszę zabrać panów z Sandia do magazynu paliwa – polecił Martini.

* * *

Szczęknął kołowrót i długi szereg zwieszających się pionowo zbiorników ruszył wzdłuż szyny.

– To jakaś pralnia... – skomentował wesoło jeden z cywilów, a zbiorniki kiwnęły się równolegle. Sterowniczy zatrzymał je i automatyczne ramię zdjęło z gracją jeden z nich. Dwaj sierżanci opuścili go ostrożnie na lawetę i popchnęli w kąt części hangarowej. Zasunęła się olbrzymia zasłona, zapewniając bardziej intymne warunki pracy. Zniknęli za nią czterej inżynierowie oraz laweta. Ryan czekał, słuchając przypominającego strzelanie z karabinów maszynowych odgłosu pneumatycznych kluczy. Po paru chwilach odsunięto na bok rozmontowany zbiornik.

– Widział pan kiedyś z bliska bombę atomową? – zagadnął jeden z cywilów. Major zaprzeczył ruchem głowy i wszedł za nim za zasłonę. Stał nagle jak wryty. Mężczyźni nachylali się nad smukłym, srebrzystym cygarem. Gdyby doktor nie wiedział, co to jest, powiedziałby, że jest piękna.

– Powinna mieć jedenaście stóp i dziewięć i pół cala długości i ważyć siedemset szesnaście i trzy dziesiąte funta – oznajmił inżynier.

– A jeśli się nie zgadza, to co?

– To będzie oznaczało, że mamy większe kłopoty niż myśleliśmy – odpowiedział mężczyzna.

Ryan cofnął się, a inżynierowie przystąpili do pierwszego testu. Było to zwykłe ważenie bomby. Zdumiewała go szybkość, z jaką wykonywali wszystkie czynności i swobodny sposób bycia w obliczu tak śmiertelnie niebezpiecznego obiektu. Wrota hangaru otworzyły się ponownie i major usłyszał charakterystyczny głęboki głos starszego sierżanta Contreraza. Na stanowisko obsługowe wjechał znowu pojedynczy F 15E. Metalowy ptak połykiwał podobnie jak bomba.

– Świeżo umyty – poinformował Contreras.

– Dlaczego? – spytał doktor.

– A dlaczego nie?

Baza lotnicza Sha-he, Chiny

– Ktoś idzie! – ostrzegł Burke. Odsunął się od ściany. – Jak myślicie, kto to? Bender spojrzął na zegarek. Druga po południu.

– Obiad – odpowiedział. Ciągłe boląły go usta; miał trudności z mówieniem.

Drzwi otworzyły się i jeden ze strażników wstawił do celi znany więźniom koszyk z garnkiem. W drzwiach stanęła kobieta, przyglądając się, jak Burke nakłada cienki kleik ryżowo-warzywny.

– Kogo Smocza Dama teraz zamorduje?... – mruknął steward.

– Jedz – poradził Bender.

Kobieta poczekała, aż skończyli jeść i strażnik zabrał koszyk.

– Nie jesteśmy barbarzyńcami – oznajmiła. Generał popatrzył na strażników i nic nie odpowiedział. Poczekaj na bezpośrednie pytanie. – Może pan mówić – poinformowała.

– Usta mnie bolą – wymamrotał.

Dotknęła jego posiniaczonej twarzy, nie pokazując po sobie żadnych emocji.

– Był pan zarozumiały – stwierdziła, zabierając rękę. – Ale poruszyła mnie bardzo pana troska o swoich ludzi. Dlaczego mielibyśmy ich wypuścić?

– Ponieważ pan Wang...

– Przewodniczący Wang – poprawiła kobieta.

– Jest przewodniczącym?... – Mięśnie na twarzy kobiety napięły się. Generał wypowiedział się nie proszony. Musiał się szybko poprawić, zanim weźże znowu pójda w ruch. – Ponieważ przewodniczący Wang obiecał, że ich wypuści.

Po raz pierwszy od chwili ich uwięzienia, Chinka uśmiechnęła się. Uśmiech był piękny, ale towarzyszyły mu mniej piękne słowa.

– Dlaczego miałby dotrzymać obietnicy złożonej szpiegowi? – odpowiedziała pytaniem. Teraz to Bender się uśmiechnął.

– Ponieważ powiedziałem mu prawdę – odparł. – Prędzej czy później przewodniczący Wang będzie musiał podjąć negocjacje z prezydentem Turner. Jeżeli puści wolno moją załogę, dowiedzie w ten sposób, że dotrzymuje słowa. – Czy kwestia ta zrobiła na Smoczej Damie wrażenie? Bender nie miał pojęcia.

– Żąda pan zbyt wiele za zbyt mało – usłyszał. – Przewodniczący Wang zasługuje na to, żeby poznać więcej szczegółów. Poinformował pan tylko, że prezydent odpowie w ten sposób, aby osiągnąć stan sprzed kryzysu. To nie wystarczy. Jeśli ma zamiar rzucić bombę atomową, musimy wiedzieć, kiedy i gdzie.

– Nie wiem.

Kobieta westchnęła.

– Jeśli zawiodę przewodniczącego, nie będzie ze mnie zadowolony. Mogłabym zacząć zabijać pana ludzi po jednym, do czasu aż pan powie.

– Mogę tylko skłamać.

Kobieta przemówiła mandaryńską odmianą chińskiego i dwaj strażnicy chwycili Courtlanda. Wyprostowali mu ręce za plecami i podnieśli je, jednocześnie po-

pychając go tak, żeby upadł na kolana. Na kolejną komendę do celi wpadł ten sam co poprzednio krzepki sierżant z pistoletem maszynowym.

– Wyspa Kumejima! – rzucił szybko Bender. – To najbliższe terytorium japońskie, które okupujecie, a większość cywilów opuściła je. – Sierżant zatrzymał się w miejscu i wszyscy popatrzyli na kobietę. Czy uwierzyła?

Warknęła coś po chińsku i oprawca wycofał się, opuszczając broń.

– Kiedy? – spytała.

– Powinna już to zrobić.

– Dlaczego miałabym w to uwierzyć?

– To dlatego miałem ściśle określony czas wylotu z Chin – wyjaśnił Bender. Znowu odpowiedziało mu bezbarwne spojrzenie.

– Przewodniczący Wang ma rację. Wasza prezydent nic nie robi, będzie tylko mówić.

– Nie doceniacie jej – zaoponował Robert.

– Czyżby? – Odwróciła się jednak do wyjścia. – Jeśli pan skłamał, osobiście pana zastrzelę. Strzelę w usta. – Uśmiechnęła się. – Chyba że przewodniczący Wang mnie uprzedzi. – Powiedziała coś jeszcze cicho po chińsku i wyszła. Strażnicy podążyli za nią, zatrzasnąwszy drzwi. Amerykanie czekali. Szczękniętą zamek. Burke podbiegł do swojej ściany i przyłożył ucho.

– Odchodzi – powiedział. – Rozróżniam jej kroki.

Courtland podniósł się, rozcierając ręce.

– Cholera! – mruknął. – Myślałem, że już nie żyję. Co się dzieje?

– Negocjuję, żeby was wypuścili – poinformował Bender.

– To całe negocjowanie wygląda mi na kolaborację... – mruknął Jenkins ze swojej pryczy.

– Czy to jest kolaboracja, kiedy mówi się im rzeczy oczywiste? – odpowiedział pytaniem Robert.

– Panie generale, ta kobieta zastrzeli pana, jeżeli pan ją okłamał – przypomniał Courtland.

Okinawa, Japonia

Toby Malthus wstał, wysuwając spod siebie nogą krzesło. Zrobił parę kroków i zapytał:

– I jak, Ev, co o tym myślisz?

Jedyna kobieta w zespole wstukała do komputera jakies polecenie i czekała. Była znakomitym fizykiem, nie gorszym od Malthusa, choć nikt by tego nie powiedział, patrząc na tę pulchną wesołą kobietkę. Ludzie często nabierali się na te pozory i widzieli w niej tylko ciężko pracującą, samotną matkę dwojga nastoletnich córek. Na szczęście Malthus znał ją lepiej.

– Jak na razie wszystko gra – odparła Ev. – A co słyhać u frajerów z Sandia? – Ośrodki Sandia i Livermore rywalizowały ze sobą od lat, choć sami naukowcy raczej przyjaźnili się ze sobą.

– Jak na razie obwody badanej przez nich bomby funkcjonują bez zarzutu. Już prawie skończyli i za parę minut powinni tu być z ostatecznymi wynikami przeglądu.

– Może po prostu przydarzyła się jedna sfuszerowana bomba – zasugerowała Ev.

– To możliwe – zgodził się Toby. – Łatwiej by nam było, gdyby ją znaleźli. Townly powiedział mi, że posłali nad atol SR-71, ale nie wykryli ani bomby, ani spadochronu. Ponieważ to miała być eksplozja powietrzna, ze spadochronem i przeprowadzona nad małym atolem, mogło się zdarzyć, że wiatr zwiął bombę nad ocean, kiedy już minął czas wybuchu.

– I wylądowała w wodzie – dokończyła Ev. – Wspaniale. Uzbrojona bomba atomowa, nastawiona na dziesięć kiloton, leży sobie na dnie i czeka!

– Jeżeli jest tak jak mówisz, to dowiemy się o tym w końcu – odpowiedział Malthus.

– „W końcu” to zbyt odległy termin – skwitowała jego koleżanka. Rozważyła teraz inną możliwość: – Jeśli nastąpiła detonacja niższego rzędu lub wybuchł tylko konwencjonalny zapalnik, powinniśmy być w stanie zmierzyć wzrost promieniowania w powietrzu i wyznaczyć ślad opadu.

Malthus sprawdził po raz kolejny te same notatki.

– Według badań próbek powietrza, pobranych przez samolot zwiadowczy przed i po wypuszczeniu bomby, nie nastąpił żaden wzrost promieniowania.

Ev popatrzyła na niego smutno.

– To znaczy, że błąd tkwi w pierwszym stopniu, prawda? – B-61 jest bombą dwustopniową. Pierwszy stopień to bomba atomowa, czyli taka, w której następuje jądrowa reakcja rozpadu. Służy ona tylko jako zapalnik właściwego drugiego stopnia, to znaczy bomby wodorowej – inaczej termojądrowej, czyli takiej, w której zachodzi reakcja fuzji jądrowej. – Co w takim razie powiemy generałowi? – zapytała Ev.

– Najpierw muszę porozmawiać z chłopakami z Sandia – stwierdził Malthus. Poczekali na powrót czterech inżynierów eskortowanych przez Ryana.

– Przegląd wypadł doskonale – powiedział szef zespołu. – Uważamy, że wszystkie bomby są gotowe do użytku.

Malthus sięgnął do notatek i ponownie przeczytał raport złożony przez załogę samolotu.

– Oficer uzbrojenia zameldował, że kiedy uzbrajał bombę, wskaźnik zmienił kolor dopiero po mniej więcej dziesięciu sekundach od chwili nastawienia przełącznika – poinformował. – Sprawdźcie panowie obwody uzbrojenia w samolocie. – Zadzwonił do Martiniego. Pozostali inżynierowie wyszli.

Generał szybko dotarł do bunkra. Malthus wyjaśnił mu, do czego doszli.

– Cholera!... – zmartwił się Martini. – Wiemy dokładnie tyle samo co dwa dni temu.

– Panie generale, mam propozycję – odezwał się Malthus. – Wiemy, że w bombie, która została sprawdzona jako ostatnia, obwody elektryczne i baterie są dobre. Podwieście ją i przygotujcie samolot do startu. W tym czasie...

– Toby, nie bierz się za to. Nie mamy odpowiedniego sprzętu – przerwała mu Ev.

Kolega uśmiechnął się do niej.

– Już to robiłem...

Martini był niecierpliwym człowiekiem i nie gustował w ogólnych dyskusjach.

– Co pan robił? – burknął.

– Mamy rozmontowaną bombę – zaczął wyjaśniać Malthus. – Jeśli wyrazi pan zgodę, otworzę rdzeń. Kiedy się okaże, że z nim wszystko w porządku, wtedy rzucicie bombę, która będzie już załadowana. – Opisał następnie, jak zamierza wdrzeć się do atomowego rdzenia i czego tam będzie szukał. – To zajmie jakieś trzy, cztery godziny. – Wszyscy jak jeden mąż popatrzyli na zegarki. Mieli jeszcze dokładnie cztery godziny i czterdzieści osiem minut.

– Czego pan potrzebuje? – zapytał Martini.

– Dużego dołu, paru ton żwiru, stalowej beczki i mnóstwa betonu – odpowiedział naukowiec. – Ev wie dokładnie, co i jak należy zrobić.

Generał zabębnił palcami w stół.

– Mamy gotowy betonowy dół – kanał w starym hangarze obsługiowym; może go pan wykorzystać.

– Panie generale, czy mam to zrobić? – Malthus nie wytrzymał. – To znaczy, rozmontować bombę...

– Dlaczego nie? Sam poprosiłem o te ścierwa. – Zamilkł na chwilę. – Proszę się tym zająć.

* * *

Ryan chodził tam i z powrotem przed starym hangarem obsługiowym. Jego podniecenie rosło z każdym krokiem. Był przekonany, że Martini uległ działaniu stresu i zaczął mieć omamy. Doktor zastanawiał się, czy dowództwo PACAF lub Pentagon wiedziały, co generał tu wyprawia. Najpewniej nie. Ryan podszedł do tęgiej kobiety i zapytał:

– Przepraszam, dlaczego musicie pracować w betonowym kanale? I po co kazała go pani przysypać żwirem?

Ev popatrzyła na niego z sympatią i spróbowała wytłumaczyć. Rozmontowywali „moduł fizyczny” bomby, wgrzyzając się w rdzeń pierwszego stopnia – kulę wielkości piłki do koszykówki. Dokładnie chodziło o zbadanie umieszczonego w środku emitera neutronów, inicjującego reakcję, oraz otaczającego go plutonu. Rdzeń był jednak pokryty ciemnym, woskowatym materiałem wybuchowym, znacznie silniejszym niż trotyl. Mogło się zdarzyć, że materiał ten przypadkowo wybuchnie. Gdyby się tak stało, radioaktywny pluton uległby rozproszoniu w powietrzu.

– Jeśli to się zdarzy, żwir uniesie się o jakieś trzy, cztery stopy i opadnie, zatrzymując eksplozję i promieniowanie – zakończyła kobieta.

– No a co się stanie z ludźmi pracującymi pod spodem? – spytał doktor.

– Nikt nie przeżyłby takiego wybuchu – wyjaśniła Ev. – Ale doktor Malthus wie, co robi, tak że nic nam specjalnie nie grozi. Kiedy już dobierze się do pluto-

nu, powstanie spora ilość radioaktywnego pyłu, który pozostanie w kanale. Będzie trzeba przeprowadzić pewną liczbę testów, ale nie będą one zbyt skomplikowane.

– Ale promieniowanie... – zaprotestował Ryan.

– Dlatego właśnie musimy pracować szybko. Jeśli będziemy mieli trochę szczęścia, nikt nie powinien otrzymać więcej niż jeden – dwa remy. Można z tym żyć.

– A co robicie z pozostałościami rdzenia, kiedy już jest po wszystkim?

– Materiał wybuchowy wysadzamy, podzespoly niszczymy, a kawałki samego rdzenia umieszczamy w specjalnym pojemniku, który zabieramy ze sobą do ośrodka Pantex w Teksasie, gdzie będzie sobie leżał.

– No a jeżeli ten pojemnik będzie przepuszczał, to co? – niepokoił się dalej major.

Ev była cierpliwą kobietą.

– W przypadku wykrycia jakiegokolwiek wycieku zatopimy pojemnik w wypełnionej betonem beczce. Jeżeli dalej będzie wyciek, umieścimy beczkę w kanale. Jest tam na dole masa radioaktywnego pyłu i sprzęt także będzie skażony, więc po wszystkim zalejemy to betonem. Nie ma problemu.

Nie ma problemu! – powtórzył w myśli Ryan. Wyobraził sobie zespół szalonych naukowców przy pracy... Zobaczył kątem oka, że z hangaru wychodzi sierżant i wsiada do furgonetki. Major przeprosił kobietę i machnął na ruszający pojazd niczym na taksówkę.

– Czy może mnie pan podrzucić do mojego samochodu? – spytał Ryan. Contreras kazał mu wsiadać i ruszyli. – Mają tam w hangarze wszystko, czego potrzebują? – zagadnął doktor.

– Och, tak. Generał traktuje ich jak bokserów wagi ciężkiej – odpowiedział podoficer. Zatrzymał furgonetkę koło wozu Ryana. – Dostają wszystko, czego chcą.

– Czy pańscy ludzie pomagają doktorowi Malthusowi?

– Siedzi tam sam jeden – wyjaśnił sierżant.

Major poderwał głowę. Nagle wyobraził sobie siebie jako odważnego samotnika, który powstrzymał szaleńczy pęd Martiniego ku wojnie atomowej.

– Dzięki za podwiezienie, sierżancie – rzucił. Wskoczył do swojego samochodu i popędził w kierunku wartowni. Musiał znaleźć kapitana Daguerre'a.

Waszyngton, USA

Shaw wyciągnął rękę i zdusił budzik, zanim ten się odezwał. Zielone, świecące cyfry przeskoczyły na czwartą. Patrick dalej leżał wciąż nieruchomo. Poczul na plecach dłoń Jessiki, która zaczęła go masować.

– Zmrużyłeś chociaż na chwilę oko? – zapytała.

– Nie. – Opuścił nogi na podłogę i usiadł. – Muszę jechać. Mamy spotkanie z samego rana. – Jessica przyglądała się, jak Patrick pospiesznie goli się i ubiera.

– Co chcesz, żebym powiedziała senatorowi? – spytała. Zachnął się.
– Co tylko sobie życzysz, kochanie.
– Może ci jakoś pomogę – zaofiarowała się.
– Nic nie możesz zrobić. – Prychnął. – Stary Patrick tym razem grubo się pomylił. – Roześmiał się. – Maddy zadziwiła nas wszystkich.

– Co teraz zrobisz?

To jest dobre pytanie... – pomyślał. Co ja teraz zrobię? Nagle już wiedział.

– A niech mnie...! Skoro stary Patrick raz zdradził, może zdradzić w drugą stronę. Kochanie, możesz powiedzieć panu senatorowi Johnowi Lelandowi, że zostaję przy Maddy. – Jessica wyskoczyła z pościeli i objęła go. Shaw podrapał ją w nagie plecy i nagle poczuł łyzy na jej policzkach. – Co ci się stało?... – spytał łagodnie.

– Leland cię zabije!... – powiedziała żałośnie.

– Kochanie, w tym mieście zabija się ludzi, ale nie na śmierć. Poza tym stary Patrick ma jeszcze w zanadru parę numerów. – Szeł gabinetu pognął do windy, czując w sobie energię, jakiej nie doświadczał od całych tygodni. W podziemnym parkingu czekała na niego limuzyna; usadowił się wygodnie na tylnym siedzeniu, aby za chwilę znaleźć się w Białym Domu. Wyglądał przez okno, próbując przewidzieć, co przyniesie dzień. Ciągłe jednak nachodziły go myśli o Jessice. A niech mnie...! – pomyślał, zdając sobie sprawę, że ma erekcję.

* * *

Kiedy Madeline wyszła z sypialni, w korytarzu czekał już na nią Shaw.

– Dzień dobry, Patricku. Wygląda pan na zmęczonego. Spał pan w ogóle tej nocy? – zagadnęła.

– Prawdę mówiąc, nie zmrużyłem oka. – Ruszyli szybko korytarzem.

– Particku, czy wszystko w porządku? Mówi pan tak jakoś inaczej.

– Wszystko w najlepszym porządku, pani prezydent. Ab-so-lut-nie.

Szli w milczeniu do Gabinetu Sytuacyjnego. Na schodach i w korytarzach roiło się od ludzi, gotowych wykonać każde polecenie przełożonych, przebywających w swoich pokojach. Przyciskali się do ścian, żeby przepuścić panią prezydent. Wartownik w mundurze marines otworzył drzwi. Shaw wszedł jako pierwszy i zaanonsował:

– Panie i panowie, prezydent. – Turner wkroczyła do sali, usiadła i powiedziała:

– Dzień dobry. Rozumiem, że wszyscy państwo dobrze dziś spali.

DCI odczekał, aż ucichnie chichot i zaczął:

– Pani prezydent, na atolu wylądowało dziewięćset osiemdziesięciu sześciu chińskich żołnierzy, którym zrzucono także artylerię przeciwlotniczą i rakiety ziemia–powietrze. Wiarygodne źródło zlokalizowało generała Bendersa i jego załogę. Przetrzemywani są w celi... – na monitorze pojawiło się zdjęcie bazy Shahe – ...w tym oto kompleksie. – Zakreślił laserowym wskaźnikiem kilka budynków w pobliżu centrum bazy. – Ich samolot został zamaskowany. – Pokazał teraz coś, co wyglądało jak niewielkie wzgórze.

– Barnett, czy zrobił pan jakieś postępy na polu dyplomatycznym?
– Nic wartego uwagi – przyznał sekretarz stanu. – Napotyamy ze strony chińskiej na zupełny brak zainteresowania rozmowami. Być może czekają na nowe instrukcje z Pekinu.

– Ale ja skończyłam już czekać – skomentowała Madeline. – Generale Charles?

– Nie ma żadnych meldunków z Okinawy. Ale nie odrzucili wiadomości o akcji nadzwyczajnej.

– Co to znaczy po angielsku? – zażądała wyjaśnienia prezydent.

– To znaczy, że zamierzają wykonać misję nie później niż o siódmej naszego czasu, tego ranka. Jeśli coś się przydarzy, na przykład nieprzyjaciel zbombarduje pas startowy albo okaże się, że nie mają samolotu...

– Lub bomby, która działa... – przerwał Shaw. Charles zignorował go.

– ...wtedy dowódca może odrzucić misję.

– Rozumiem. Jeżeli nie są w stanie tego zrobić albo... – Madeline wycełowała pióro w generała – ...będzie kolejny niewypał, chcę, żeby natychmiast wystrzelono na cel tomahawka z okrętu podwodnego. A jeśli i ten nie wybuchnie, to strzelajcie do skutku. – Wstała już.

– Pani prezydent... – zatrzymał ją szef wywiadu – ...Chińczycy prawdopodobnie zabiją w odwecie generała Bendera i jego załogę.

Madeline pobladła, przemówiła jednak twardym tonem:

– To byłby bardzo gruby błąd z ich strony! Niezależnie od tego, czy wypuszczą generała Bendera czy nie, daję Chinom dokładnie dwadzieścia cztery godziny od czasu przeprowadzenia naszej ostrzegawczej eksplozji na przekonanie mnie, żebym nie podejmowała dalszych kroków. A jeżeli je podejmę, to rozkażę marynarce zatopić każdy chiński okręt wojenny, jaki napotkają na Morzu Wschodniochińskim. Mam nadzieję, że US Navy potrafi to zrobić...!

– Tak jest, pani prezydent – odpowiedział szef operacji morskich.

– Czy są jeszcze jakieś pytania w sprawie moich zamiarów? – zapytała Turner. Pytań nie było, wyszła więc, ciągnąc swoim śladem Shawa.

– Zdaje się, że prezydent lubi dwudziestoczerogodzinne terminy... – mruknął Charles.

– Stosuje je w tempie co dzień jeden – dodała Hazelton.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Okinawa, Japonia

Kapitan Terrence Daguerre nachylił się do przodu nad swoim biurkiem w war-
towni.

– Czy to jest oficjalna skarga? – zapytał.

Ryan zagryzł wargi, bojąc się zrobić ostateczny krok, od którego nie będzie
odwrotu.

– Jako szef Programu Oceny Niezawodności Personelu naszego skrzydła –
zaczął wykrętnie – przychodzę do pana bardzo zaniepokojony.

– Rozmawialiśmy już o tym – odparł zniecierpliwiony Daguerre. – Ponie-
waż pana tak zwany niepokój dotyczy dowódcy skrzydła, nie zrobię nic, dopóki
nie złożą pan oficjalnej skargi i nie dostarczy konkretnego dowodu.

– Składam... – doktorowi załamał się głos – ...składam oficjalną skargę. Ge-
nerał Martini niszczy własność rządową i rozmyślnie łamie procedurę dwuosobo-
wej kontroli, niezbędną przy postępowaniu z bronią jądrową.

Daguerre pokręcił głową.

– Co konkretnie niszczy? – spytał.

– Bomby atomowe.

– A to sukinsyn! – Kapitan aż wstał z krzesła. – Ma pan na to dowód? – Ryan
przytaknął, nieco otepliały, ciesząc się, że Daguerre nareszcie zaczął działać. Ka-
pitan naciągnął beret i ruszył do drzwi. – Niech pan mi pokaże. – Odwrócił się. –
Ale lepiej by było dla pana, gdyby miał pan rację...!

* * *

Słońce już zachodziło, kiedy Malthus wylazł z kanału, trzymając w rękach stalową skrzynkę wielkości kubelka na śmieci. Wszedł do plastikowego namiotu rozstawionego ponad drabinką i drużyna dekontaminacyjna przystąpiła do pracy. Po paru chwilach zrzucił napyłony ołowiem fartuch, rękawice, maskę i ubranie. Kopnął to wszystko do kanału i wyszedł z namiotu, zabierając ze sobą skrzynkę. Ubrał się, a Ev sprawdziła w tym czasie jego dozometr.

Zerknęła ukradkiem na gołego kolegę z niezupełnie zawodowym zainteresowaniem.

– Nieźle – powiedziała. – ...Eee, to znaczy, dozometr pokazuje niecałe dwa remy. – Sprawdziła przyrządem z licznikiem Geigera stalową skrzynkę, w której znajdował się pluton z rdzenia bomby. – Trochę grzeje – skomentowała – lepiej wsadźmy ją do pojemnika.

Dwaj inżynierowie z ośrodka Sandia wstawili skrzynkę do większego, także stalowego pojemnika; w tym czasie inna grupa cywilów zaczęła pompować do kanału beton.

– Nieźle tam grzeje – rzucił zawodowym slangiem Malthus. – Ale beton powinien temu zaradzić.

– Znalazłeś coś?

– Nic – odparł Toby. – Wyciąłem i przetestowałem trzy próbki; wszystkie testy wypadły idealnie.

– Zatapiamy w betonie urządzenia pomiarowe za dwieście tysięcy dolarów, a nie dowiedzieliśmy się niczego? – jęknęła Ev. – I co teraz powiesz generałowi?

– Muszę się nad tym zastanowić.

* * *

Martini miał się po bunkrze jak tygrys po klatce.

– A więc chce mi pan powiedzieć, że ciągle tkwimy w tym samym miejscu?!

– Niezupełnie – odpowiedział Toby. – Jest jeszcze jedna rzecz... to opóźnienie w uzbrojeniu się bomby, o którym wspomniał kapitan Byers.

– Obwody uzbrojenia były sprawne – skomentował jeden z inżynierów z Sandia.

– Uzbroimy ją na ziemi – zaproponował Malthus. – Jeżeli wskaźnik zmieni się na zielony, niech lecą.

– Wiem, że aby bomba eksplodowała, musi jeszcze otrzymać informacje z komputera, że parametry lotu osiągnęły zaprogramowane wartości – odpowiedział Martini. – Ale czy słyszał pan o prawie Murphy’ego? Zdaje się, że u nas ono obowiązuje. Żadną miarą nie pozwolę, żeby jeden z moich samolotów startował z podwieszoną uzbrojoną bombą atomową. – Popatrzył na przybyszów groźnie. – Nie wysadzę mojej bazy...

– Uzbrajanie to proces dwukierunkowy – odezwała się na to Ev. – Załoga cofnie uzbrojenie bomby, kiedy już sprawdzimy, że działa. Jeśli nie uzbroi się jak należy, odwoła pan lot.

– Po tych wszystkich przeglądach i testach, które wykonaliśmy, w całym naszym systemie obronnym nie ma broni jądrowej, która dawałaby większe prawdopodobieństwo detonacji – dodał Malthus.

Martini zrobił minę sygnalizującą głęboki namysł. Jego wojskowa kariera osiągnęła swoją kulminację w chwili, gdy otrzymał wiadomość o akcji nadzwyczajnej. Wszystko, co do tej pory robił, było po to, aby móc podjąć w tym momencie odpowiednie decyzje. Miał za zadanie zrzucić bombę atomową na nieprzyjaciela, który zagrażał jego bazie i zabił ludzi, których generał znał, lubił

i podziwiał. Czy jednak posiada niezbędną do tego broń? Popatrzył na główny zegar, wiszący na ścianie. Nie było już czasu zwlekać.

– Zróbcie tak – polecił. – Wtedy wydam ostateczną decyzję, czy lecieć, czy nie.

* * *

Dwaj kapitanowie stanęli przed obliczem Martiniego. Pilot, Chet Woods, odezwał się:

– Chcielibyśmy spróbować jeszcze raz, panie generale. Prosimy pana o pozwolenie na wykonanie tej misji.

– Macie jakieś dobre uzasadnienie? – odparł pytaniem Martini.

Teraz mówił oficer uzbrojenia, Ray Byers:

– Panie generale, zdaje się, że skoro mamy próbować jeszcze raz, to znaczy, że skontrolował pan bombę i wszystkie systemy... Poprzednim razem jedyna rzecz, jaka nas zaniepokoiła, to ta świecąca kontrolka uzbrojenia bomby. Mógłbym się założyć, że w tym leżał problem i jeżeli wskaźnik opóźni się ponownie, my dwaj na pewno to zauważymy.

Martini bębnił palcami w stół.

– Argument jest dobry – zdecydował. – Lecicie.

* * *

– Tam! – Ryan pokazał na starszego sierżanta Contreraza. – On wszystko widział. – Daguerre zatrzymał samochód koło furgonetki sierżanta i skinął na niego.

– Sierżancie Contreraz, niech pan powie kapitanowi Daguerre'owi, co dokładnie widział pan w tym hangarze! – rozkazał major.

Contreraz popatrzył na oficerów z szacunkiem – było to spojrzenie, które rezerwował w swoim repertuarze na podobne okazje. Nauczył się je stosować w kontaktach z oficerami, których nie lubił albo uważał za niekompetentnych. Ryan podpadał akurat pod oba powyższe kryteria, chociaż przede wszystkim sierżant nie cierpiał tego kapitana żandarmerii.

– Tak jest. Jednak najpierw muszę zadać pytanie, czy jest konieczne, żeby pan kapitan dowiedział się tego?

– Sierżancie, pan major złożył oficjalną skargę w ramach Programu Oceny Niezawodności Personelu – wyjaśnił Daguerre. – W świetle regulaminu mam obowiązek przeprowadzić dochodzenie w tej sprawie.

Contreraz pomyślał, że nie warto się o to kłócić i opowiedział, co widział w hangarze.

– Doktor Malthus był w kanale sam, jednak kanał był przez cały czas pilnowany z góry – zakończył. – Więc w czym problem?

Daguerre podrapał się w czoło.

– To bardzo nietypowa sytuacja – powiedział. – Trudna do rozstrzygnięcia...

– A co w tym trudnego? – Ryan zniecierpliwiał się. – Mamy dowódcę, który nie daje sobie rady ze stresem. Ma odchylenia, i musimy coś z tym zrobić!

– Będę musiał opowiedzieć to mojemu szefowi – przyznał Daguerre. – Jeśli to kupi, przekaże sprawę zastępcy dowódcy, a ten zawiadomi PACAF.

– Nie mamy czasu! – krzyknął doktor.

– Co za bzdura!... – mruknął Contreras. Dwaj oficerowie popatrzyli na niego w zdumieniu. – Szkoda mojego czasu.

– Jaka znów bzdura? – chciał wiedzieć Daguerre.

– Nie będę udawał, że wiem o wszystkim, co się tu dzieje. I nie muszę wiedzieć, bo co mnie to obchodzi. Ale stary wierzy, że wykonuję swoją robotę najlepiej jak umiem. Nie mam czasu ani energii na to, żeby martwić się, jak on i reszta sztabu wykonują swoją.

– Ufa pan Martiniemu? – spytał Ryan.

– Zgadza się. Byłem szefem obsługi jego samolotu za czasów „Thunderbirdów”. Każdego dnia i z każdym jego lotem widziałem, jak bardzo ludzie mu ufają. Każdy pilot, każdy szef obsługi – wszyscy. Dlatego „Thunderbirdy” były tak cholernie dobre. – Wrzucił bieg. – I dlatego ta baza, to skrzydło jest tak cholernie dobre.

– Nie mogę tego tak zostawić! – zdenerwował się doktor.

– To niech pan spróbuje pogadać z generałem, panie majorze. On pana wysłucha. – Contreras puścił sprzęgło i odjechał.

– To było ważne, co sierżant powiedział – zdecydował Daguerre. – Niech pan pojedzie porozmawiać z generałem albo da sobie spokój.

– Ale on...

– Niech pan spróbuje mnie posłuchać – przerwał kapitan. – Proszę rozmawiać z generałem albo przestać się tym zajmować. W innym wypadku aresztuję pana za podżeganie do buntu. Czy użyłem jakichś słów, których pan nie zrozumiał?

Ryan pokręcił głową.

* * *

Prawy silnik F-15E odezwał się, wypełniając hałasem magazyn paliwa. Tłumek zebrany wokół odrzutowca cofnął się. Toby Malthus podłączył swoje słuchawki i zaczął rozmawiać z załogą, która przeprowadzała według listy czynności kontrolne. W końcu nadszedł czas. Byers wstukał kod PAL.

– Bomba odbezpieczona, mam pomarańczowe światło. Włącznik zgody na nuklearny.

– Włączony – odpowiedział po krótkiej pauzie Woods.

Oficer uzbrojenia wziął głęboki oddech i przekreślił przełącznik uzbrajania na pozycję POWIETRZNY. Kontrolka zmieniła kolor na zielony.

– Nie było opóźnienia w uzbrojeniu się bomby! – zameldował Malthusowi.

– Rozbroić i czekać – zarządził naukowiec. Podbiegł do wiszącego na ścianie telefonu, żeby zadzwonić na linii specjalnej do budynku dowodzenia.

– Zadziało! – zawołał do słuchawki.

* * *

Martini rozłączył się i popatrzył na ściśniętych w kabinie operacyjnej pułowników.

– Możemy jeszcze zdążyć nad cel – poinformował dowódca grupy operacyjnej.

Generał opuścił brodę. A jeżeli nie uda nam się po raz drugi, to co? – pomyślał. Ech, nieważne, musimy spróbować. Zawsze do tego się sprowadza: musimy spróbować.

Zamknął na chwilę oczy. Słyszał w wyobraźni oddychających szybko ludzi w kabinie F-15E. Otworzył oczy i rozkazał:

– Wykonać misję. – Przekazano rozkaz i generał popatrzył na wielkie tablice stanu akcji, wiszące na ścianie. Nie widział ich jednak. Był ze swoją załogą. Wreszcie powiedział:

– Wezwijcie tu doktora Malthusa. Muszę z nim pomówić.

* * *

Myśliwsko-bombowy F 15E Strike Eagle wystartował z prawego pasa numer pięć i poleciał prosto na północny wschód, oddalając się od celu. Po niecałych dwóch minutach wyspa Okinawa skończyła się i dwaj mężczyźni znaleźli się nad Pacyfikiem. Pilot wyłączył radiolatarnię samolotu, ostrzegającą przed kolizjami, oraz światła sygnalizacyjne, a następnie skręcił na południe. Zniżył się na wysokość stu stóp nad powierzchnię oceanu, okrążył południowy cypel Okinawy i skierował się prosto na atol. Przed nimi wyłoniły się ciemne zarysy wysepki Kerma-Retto. Wykonująca misję załoga wykorzystywała teraz mijane wysepki w celu maskowania.

Odezwał się TEWS, czyli Tactical Electronic Warfare System – „system taktycznej walki elektronicznej”. Wykrył wrogi radar przeszukujący niebo przed nimi.

– Nie namierzyli nas – uspokoił kolegę Byers. – Wyspy nas maskują.

– Niedługo to potrwa – odparł Woods z przedniego fotela. Zniżył odrzutowiec jeszcze odrobinę i obleciał pierwszą wysepkę. Piski z systemu TEWS stały się głośniejsze. – Uzbrajamy – rozkazał. Wykonali wszystkie kolejne czynności według wykazu, uzbrajając przenoszoną B-61.

– Kontrolka zazieleniła się tak jak powinna – poinformował Byers.

– Uzbrojona po zęby! – odparł pilot. Okrążyli teraz ostatnią z łańcucha wyspek i pomknęli do odległego o dziewięćdziesiąt mil atolu.

TEWS piszczał cały czas, ostrzegając, że wrogi radar już ich znalazł. Byers spojrzął na wyświetlane przez system symbole.

– To radar przeszukujący przestrzeń powietrzną – powiedział. – Sygnał pochodzi z atolu. – Teraz uruchomiła się defensywna część TEWS. System nie próbował zagłuszać radaru nieprzyjaciela; zamiast tego wysyłał mu fałszywe sygnały, podczas gdy F 15 zbliżał się do celu.

– Jeszcze osiem minut. – Woods popchnął przepustnice i prędkość względem mijanego powietrza wzrosła do sześćdziesięciu mil na godzinę, czyli dziewięćdziesięciu ośmiu setnych macha. Pędzili tak na wysokości zaledwie stu stóp nad gładką powierzchnią oceanu. Przy tej prędkości z każdą sekundą zbliżali się o tysiąc sto stóp do celu.

Na wskaźniku systemu TEWS błysnął symbol oznaczający sterowaną radarem baterię artylerii przeciwlotniczej.

– To im nie ocali tyłków... – mruknął Byers. Jednak bateria może stać się na krótki czas zagrożeniem, kiedy wypuszczą bombę i będą uciekać. Teraz zaświecił się nowy symbol.

– Ja pierniczę! – zawołał Byers. – Mają na tym atolu radar monoimpulsowy. Nie do wiary! To musi być Giez. Skąd u licha to wzięli?! – „Giez” to używana w NATO nazwa SA-11, groźnej rakiety ziemia–powietrze produkcji rosyjskiej. SA-11 ma zasięg dwudziestu jeden mil i może trafić w samolot lecący powyżej pięćdziesięciu stóp nad ziemią. Woods zniżył więc maszynę aż do takiej wysokości. – Czy możesz zejść jeszcze niżej? – spytał Byers. – Pięć minut.

Teraz oficer uzbrojenia uruchomił FLIR – Forward Looking InfraRed, czyli „podczerwony patrzący do przodu”. FLIR to system pasywny – nie wysłał żadnych sygnałów, nie mogąc tym samym zdradzić, tak jak radar, obecności samolotu. Jednak na tak minimalnej wysokości zasięg FLIR-a był wyjątkowo ograniczony.

– Będziemy musieli włączyć radar – powiedział Byers. – Jeszcze cztery minuty. – Oznaczało to, że cel znajduje się w odległości czterdziestu czterech mil.

– Zrób to szybko. – Woods aż stęknął. Pot spływał mu po twarzy, szczypiąc w oczy. Przed nimi na niebie pojawiły się pierwsze smugi pocisków z baterii przeciwlotniczej. – Nie ma nas tu, dupki!... – mruknął pilot. TEWS okazał się skuteczny, wysyłając wrogiej baterii złe namiary. Kiedy Amerykanie zbliżyli się na trzydzieści mil do celu, niebo rozświetliła istna zasłona ze smug. – Ale wiedzą, że nadlatujemy – powiedział Woods.

Byers zerknął za szybę i znów opuścił wzrok na swoje ekrany. Żałował, że zobaczył to, co zobaczył. Wcisnął przycisk EMIS uruchamiając radar. Oficer uzbrojenia szybko naprowadził krzyżujące się na ekranie linie na atol. Wcisnął guzik zapamiętywania, po czym szybko wyłączył radar. Radar pracował przez niecałe siedem sekund, jednak zdążył przez ten czas dostarczyć komputerom samolotu mnóstwo informacji. Teraz system bombardowania mógł już poradzić sobie bez radaru. Na wyświetlanym przed pilotem projektorze HUD pojawił się wskaźnik ataku.

Tymczasem radar należący do systemu SA-11 wychwycił sygnał radarowy F 15, i cztery zbudowane na samobieżnych transporterach wyrzutnie rakiet przekreśliły się na północny wschód, ustawiając swoje szesnaście rakiet na wprost nadlatującego samolotu.

Noc rozświetliły cztery jaskrawe smugi – cztery „Gzy” pomknęły ku samotnemu F 15. Woods podniósł maszynę na wysokość stu stóp, a następnie skreślił o dwadzieścia stopni w prawo. Kiedy upewnił się, że wrogie rakiety skreśliły wraz z nim, zszedł znów błyskawicznie nad sam ocean i skreślił pod kątem prostym w lewo. Pierwsze dwie rakiety próbowały powtórzyć manewr, ale przestrelili. Woods w tym czasie dał znów w prawo, wprowadzając maszynę w przeciążenie o wartości ponad sześć g. Trzecia rakiet zakręcając ustawiła się bokiem do kierunku lotu i plusnęła w morze. Czwarta błysnęła nad głowami Amerykanów i eks-

plodowała. Rdzeń z metalowych prętów znajdujący się w głowicy rakiety rozleciał się na wszystkie strony, siekąc w samolot.

Byers poczuł ostry ból w tyle szyi. Wiedział, że został ranny, choć nie orientował się jak groźnie.

– Jesteś, dziecinko? – wywołał kolegę.

– Taak – odezwał się zbolący głos. – Straciłem HUD-a.

– Bombardowanie ręczne – rzucił Byers. – Ciągnij na moje odliczanie. – Prowadził pilota głosem, podczas gdy zbliżali się do szalejących po niebie smug. – Pięć stopni w lewo, jeszcze pięć, trzymaj, trzymaj... ciągnij! – Woods pociągnął drążek sterowy, unosząc dziób samolotu pod kątem sześćdziesięciu stopni, i F 15 zaczął się wznosić. Byers patrzył na wskazania wysokościomierza. – Gotów, gotów, gotów, teraz! – Woods nacisnął przycisk wypuszczenia bomby i B-61 poszybowała w ciemność. Pilot wcisnął mocno przycisk jeszcze raz, na wszelki wypadek. – Bomba za burtą! – poinformował oficer uzbrojenia. Woods wykonał przewrót i zanurkował. Byers odwrócił się i sprawdził „godzinę słońca”.

Na niebie widać było mnóstwo smug pocisków artylerii przeciwlotniczej. Jedna z nich skierowała się wprost ku nim. Jednak tylko jeden pocisk, kalibru pięćdziesiąt siedem milimetrów, trafił ich w lewy statecznik pionowy.

– Cholera! – zaklął pilot, ujmując gazu i próbując odzyskać panowanie nad maszyną. Odrzutowiec szarpnęła dwukrotnie i wyrównał lot. Jeszcze żyli. Spośród szalejącego ognia zaporowego artylerii przeciwlotniczej wystrzeliły dwie kolejne smugi.

– Uciekaj w lewo! – zawołał Byers. – Dwa SAM-y!

* * *

Sztabowy samochód zatrzymał się na szczycie wzgórza Habu. Generał Martini podszedł do metalowej barierki i popatrzył na swoją bazę. Pograżona była w ciemności, jednak księżycowa poświata pozwalała dostrzec poruszające się pojazdy. Znad morza nadleciała łagodna bryza. Generał wciągnął w płuca świeże słonawe powietrze. Nadszedł Toby Malthus i stali tak w ciszy, każdy pograżony we własnych myślach.

– Ekspłduje? – zagadnął wreszcie generał.

– Powinna – zgodził się fizyk.

Martini nie dowierzał własnym uszom.

– To znaczy, że nie jest pan pewien?!

– Nie – odpowiedział prosto naukowiec. – W tym biznesie nigdy nie można być pewnym. – Nastąpiła długa chwila ciszy.

– Dlaczego pan się tym zajmuje? – zapytał w końcu generał. Tobias zastanowił się.

– Kiedy byłem w średniej szkole, pewien nauczyciel, którego bardzo szanowałem, powiedział, że fizyka jądrowa to najtrudniejszy przedmiot ze wszystkich. Myślę, że to stanowiło dla mnie wyzwanie.

– Ale został pan przy tej dziedzinie, więc chyba nie tylko o to chodzi?

Na brodatej twarzy Malthusa pojawił się mały uśmiezek.

– Czasami, kiedy otrzymujemy proste i pewne wyniki, człowiek czuje się, jak gdyby stanął oko w oko z Bogiem. – Toby roześmiał się. – Nie zdarza się to często. Ale kiedy się zdarzy, taka chwila wystarczy za całe lata pracy.

– Nie mówi pan chyba teraz o projektowaniu broni atomowej, prawda? – upewnił się generał.

– Nie. Zupełnie nie o tym mówię. Z tego, czego nauczyliśmy się przedtem, wynikało to, czym się teraz zajmujemy.

Południowo-zachodni fragment horyzontu rozświetliło jaskrawe sztuczne słońce. Dwaj mężczyźni odwrócili się w tamtą stronę, widząc na niebie rosnącą ognistą kulę. Nawet w ciemności i z tej odległości widzieli, jak kula zamienia się pomału w grzyb, a zaraz potem w chmurę jaskrawego błękitu – to ogrzane do olbrzymiej temperatury powietrze stygło w górnych warstwach atmosfery. Patrzyli z lękiem, jak błękit ustępuje z powrotem miejsca ciemności.

– O Boże! – szepnął generał.

– Nie ma w tym radości – powiedział Malthus.

Waszyngton, USA

Madeline Turner siedziała samotnie w Gabinetcie Sytuacyjnym. Wszystkie krzesła były zajęte, za jej plecami opierał się o ścianę Shaw, jednak ona była sama. NOWA WIADOMOSĆ – zaświeciło przed jej oczami na jednym z monitorów. Czekala. DCI wstał i odczytał na głos przewijający się po ekranie meldunek:

– Baza Sił Powietrznych Kadena, Okinawa. 10:05 GMT, 15 lutego. Zaobserwowano wybuch atomowy nad współrzędnymi celu, o 10:00 GMT. Czas, miejsce, energia eksplozji zgadzają się z parametrami misji ostrzegawczego wybuchu. – Kiedy przerwał na chwilę, zapanowała martwa cisza. – Stracono wszelki kontakt z wykonującym misję samolotem, prawdopodobnie załoga zginęła. Rozpoczęto misję poszukiwawczo-ratunkową. – Usiadł.

– Ofiary? – zapytała Turner. Odpowiedziała jej cisza. Wtedy Mazie Hazelton opuściła głowę i przemówiła głośno i wyraźnie:

– Pilotem samolotu był kapitan Chet Woods, a oficerem uzbrojenia kapitan Raymond Byers junior. Według naszej ostatniej oceny na atolu było dziewięciuset osiemdziesięciu sześciu chińskich żołnierzy. Możemy przypuszczać, że wszyscy zginęli.

Ton Madeline nie zdradzał w najmniejszym stopniu tego, co czuła. Dodała:

– A także: kapitan Rodney Davis. Sierżant techniczny Otis Jenkins. Starszy sierżant Larry Burke. Major William Courtland. – Po pauzie: – Generał brygady Robert Bender. – Wstała. – Znałam tylko jednego z tych ludzi.

Zebrani podnieśli się z miejsc i prezydent wyszła z gabinetu, w dalszym ciągu samotna.

Baza lotnicza Sha-he, Chiny

– Ktoś idzie! – szepnął spod ściany Larry Burke. – To ona! – Popatrzył na Bendera ze strachem w oczach.

Generał zbliżył się do drzwi, poprawił krawat i koszulę. Zdażył jeszcze obciągnąć marynarkę, kiedy zamek szczęknął i drzwi się otworzyły. Chinka stała w wejściu, ubrana w wojskowy mundur bez baretek. Za nią czekało ośmiu strażników z wyciągniętymi pistoletami maszynowymi. Patrzyła takim wzrokiem, że Robert znieruchomiał.

– Mieliśmy umowę... – odezwał się możliwie spokojnym głosem.

Nie odpowiadała przez chwilę, która wydawała się wiecznością.

– Okłamał mnie pan – powiedziała w końcu.

– Dopiero wtedy, kiedy zapytała pani o szczegóły; inaczej musiałbym zdradzić moją ojczyznę. Jednak mówiłem prawdę, kiedy powiedziałem, że prezydent Turner użyje odpowiednich środków, żeby uzyskać stan sprzed kryzysu.

Milczenie. W końcu Chinka rzuciła:

– Pańska załoga może lecieć.

Generał popatrzył znacząco na wychodzących mężczyzn. To wystarczyło. Teraz pozostało jeszcze tylko pytanie, kiedy? Ale tego się dowie on sam. Popatrzył na ścianę, wysoko ponad głową kobiety. Och, Nancy! – pomyślał. – Tak się boję!

– Generale Bender? – Głos Chinki jak zwykle nie zdradzał żadnych emocji. – Generale Bender? – powtórzyła. Opuścił wzrok. Kobieta trzymała w dłoni białą kopertę. – Przewodniczący Lu rozkazał, żeby dostarczył pan ten list waszej prezydent. – Uśmiechnęła się. – Być może wspomni pan także o tym, że dotrzymujemy słowa.

– Z całą pewnością...

Epilog

Okinawa, Japonia

– Niech pan wchodzi, panie majorze.

Ryan próbował odczytać coś z wyrazu twarzy sekretarki. Nic z tego. Napiął mięśnie i wszedł do pokoju generała.

– Major Ryan melduje się według rozkazu! – rzucił i zaszalutował sprężyscie.

Martini niedbale oddał mu honory i pokazał krzesło. Kiedy doktor usiadł, generał podał mu jednostronicowy meldunek.

– To nadeszło z żandarmerii – wyjaśnił.

Major przełknął z trudem i przeczytał. Meldunek wymieniał szczegółowo zarzuty, jakie Ryan wysuwał na temat Martiniego. Podpisany był przez niejakiego kapitana Terrence’a Daguerre’a.

– Sir, chciałbym się porozumieć z prawnikiem... – wybąkał doktor.

Generał patrzył na niego przez chwilę z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

– Kiedy będzie potrzebny panu prawnik, zorientuje się pan – powiedział. – Czy pamięta pan, kiedy przykazałem panu obserwować mnie? – Ryan przytaknął. – Sam byłem bardzo zaniepokojony swoim zmęczeniem, jednak w chwili, kiedy naszły pana wątpliwości, powinien pan być natychmiast do mnie przyjść i powiedzieć o tym. Gdyby nie był pan w stanie tego zrobić, należało pójść do mojego zastępcy. To on jest miejscowym przedstawicielem inspektora generalnego i przyjmowanie skarg należy do jego obowiązków.

– Sir – stęknął Ryan, próbując się jakoś bronić – nie posłuchałby mnie pan! A czy zastępca dowódcy pozwoliłby młodszemu oficerowi krytykować dowódcę?

– Ma pan rację co do tego pierwszego – przyznał Martini. – Byłem przez pewien czas potwornie zajęty. Jednak on wysłuchałby pana, bo inaczej wyrzuciłbym go na zbity pysk. Z tego co widzę, omal nie przeszkodził pan w wykonaniu misji w najbardziej krytycznym momencie.

– Sir, chciałbym porozumieć się z prawnikiem.

Generał wbił w doktora wzrok. Nie miał zamiaru wysuwać przeciwko majorowi oskarżeń, choć miał wielką ochotę posłać go do domu. Na długo.

– Świetnie – powiedział. – Ale najpierw posłucha pan mnie. Ryan, jest pan znakomitym lekarzem, a pańska praca ma znaczenie dla całej bazy. Bardzo duże znaczenie. Ale najwyraźniej nie potrafi pan przestać być egocentryczną primadonną, jeśli ktoś nie da panu porządnego kopa w tyłek. – Uniósł rękę, z miejsca ucziszając doktora. – Może pan wystąpić z Sił Powietrznych za mniej więcej sześć miesięcy. Może byłoby lepiej, gdyby poszukał pan jakiegoś innego zatrudnienia. To nie jest miejsce dla pana.

Ryan nie mógł się powstrzymać.

– Dlaczego?

– Dlatego, że nie jest pan z tej samej gliny, co Chet Woods i Ray Byers – wyjaśnił generał. Pokręcił głową, widząc zakłopotany wyraz twarzy majora. – Na pewno pamięta pan, o kim mówię. To ci, którzy zrzucili bombę. – Ryan pamiętał. – W Siłach Powietrznych nie chodzi ani o pieniądze, ani o sławę, majorze. My zajmujemy się konkretnymi zadaniami. A wykonujemy je dzięki służbie, poświęceniu i obowiązкови, które przedkładamy ponad osobiste zachcianki. Woods i Byers rozumieli to. Pete Townly to rozumie. Sierżant Contreras to rozumie. A pan nie. A teraz może pan sobie iść i pogadać z prawnikiem.

Doktor zasalutował i odwrócił się do wyjścia. Kiedy był już przy drzwiach, Martini dodał:

– Ryan, każdy służy jakoś tej ziemi. Jedni żyjąc na niej, inni – umierając i pozostawiając wolne miejsce. Ciągłe ma pan czas na dokonanie wyboru.

Waszyngton, USA

Ben uśmiechnął się do Elizabeth Gordon, która właśnie wchodziła do telewizyjnego studia wiadomości. Liz zerknęła na kamerzystę, odpowiadając mu uśmiechem, i zaraz odezwała się do reżysera. Ben widział już takie rzeczy. Gordon przeniosła się teraz na inny poziom, do którego on, Ben, nie sięgał – nigdy już nie będą razem pracować. Słuchał, jak Liz i reżyser dyskutują o tym, jaką część nóg powinna pokazać.

– Nogi nie są twoim największym atutem – mruknął Ben sam do siebie. W końcu postanowiono, że koło fotela Liz stanie małe biurko, żeby mogła obracać się do kamery, kiedy będzie mówić; natomiast w chwilach poprzedzających przerwy na reklamy może odwracać się przodem do biurka, pokazując profil. Bardzo dobrze, ocenił w myśli Ben.

Zapalono reflektory, reżyser dał znak i Gordon odwróciła się ku kamerom, sama jedna, stanowiąc centrum zainteresowania w najlepszym czasie antenowym. Zaczęła mówić:

– Dokładnie sześć miesięcy temu cały naród oglądał w oszołomieniu pierwszą konferencję prasową prezydent Turner, którą urządziła po śmierci prezydenta Roberta. Zapytałam wówczas: kim jest Madeline O'Keith Turner? Po prostu nie wiedzieliśmy. Tymczasem zaledwie po paru tygodniach

urzędowania Madeline Turner była zmuszona stawić czoło pierwszemu poważnemu kryzysowi.

Ben słuchał jednym uchem, podczas gdy Liz przywoływała w skrócie najważniejsze wydarzenia z pierwszych sześciu miesięcy sprawowania przez Turner urzędu; montażysta wstawiał klipy i zdjęcia ilustrujące opowieść Liz. Nowa praktykantka, którą Ben już kiedyś widział, wsunęła się do studia i stanęła obok niego. Słyszał strzępki wypowiedzianych przez Gordon słów.

– Po aferze z oddaniem Tajwanu prezydent Turner musiała natychmiast odpowiedzieć na agresywne, ekspansjonistyczne zapędy Chin... Chin, w których toczy się wciąż walka o władzę... zaangażowała się w niez mordowane wysiłki zachowania pokoju... odpowiedziała na nuklearny szantaż pojedynczym, zdecydowanym pokazem siły, dyskredytując chińskich generałów domagających się kontynuowania agresji... pośród chaosu Lu Zoulin, umiarkowany przywódca chiński, odzyskał ster władzy i wyblagał od nas pokój.

Ben przyglądał się praktykantce. Nie wydawała się taka chłodna jak poprzednio i zaczynała wyglądać jak reporterka. Może potrzebny jej kamerzysta, pomyślał. Podobał mu się ten pomysł. Teraz Ben skupił uwagę na Liz. Potrafiła przyciągać obiektyw kamery, a pewnie także spojrzenia widzów.

– W końcu Madeline Turner ustanowiła w Białym Domu własny styl sprawowania władzy – mówiła Gordon. – Znany wszystkim Partick Shaw został przeniesiony na stanowisko szefa łączności Białego Domu, a Richard Parrish – uprzednio sekretarz skarbu i długoletni przyjaciel prezydent – został nowym szefem gabinetu.

Przeniesienie Shawa na niższe stanowisko to doprawdy była ważna wiadomość. Ben omal nie wybuchnął głośnym śmiechem. Turner dobrała się draniowi do skóry, pomyślał. Wyobrażenie Shawa rzuconego do czyścica w piwnicy Białego Domu było bardzo sugestywne. Przestał już być lalkarzem pociągającym z góry za sznureczki. Być może on, Ben, razem z praktykantką mogliby dostać przydział na zrobienie wywiadu z Shawem. Postanowił to zbadać.

Kamerzysta filmujący Gordon zrobił jej zbliżenie. Kończyła.

– Kim jest Madeline O'Keith Turner? Odpowiedź jest prosta – Madeline O'Keith Turner jest prezydentem Stanów Zjednoczonych!

Bethesda, stan Maryland, USA

Limuzyna Shawa utknęła w gęstym ruchu milę od słynnego szpitala marynarki Bethesda. Jessica złapała go za rękę.

– Niepokoisz się? – spytała.

– Po prostu przemęczenie – odparł. Kierowca przyspieszył, bo nareszcie się przerzedziło. – Od lat nie miałem czasu na coś takiego. Najwyższa pora... – Uśmiechnął się do Jessiki. – Nic się złego nie dzieje w starej dobrej maszynierii.

Kobieta uśmiechnęła się.

– Wiem. Myślę, że to chyba z powodu stresu – odpowiedziała.

– To jest miła strona funkcji szefa łączności Białego Domu – wyznał niepewnie Shaw. – Nie ma stresu. – Zadumał się na moment. Ani wpływów, ani władzy, pomyślał. – Nie wiem, jakim sposobem Maddy mnie przyuważyła. Myślałem, że lepiej zacierałem za sobą ślady.

– Przynajmniej nie przestałeś pracować w Białym Domu – pocieszyła Jessica.

– Ale znalazłem się zupełnie poza kręgiem władzy. – Roześmiał się smutno. – Kiedy człowiek zostaje przyłapany, zupełnie sam, bezbronny jak Kopciuszek po wybiciu północy, wtedy musi brać to, co mu dają. *Sic transit gloria*. Ale stary Patrick jeszcze powróci. Szybciej niż ci się zdaje.

– Masz może czarodziejską różdżkę, żeby to osiągnąć? – spytała.

Nie odpowiedział jej. Ostatnio dobrał się do zespołu tajnych badań opinii publicznej, prowadzonych przez grupę Lelanda. Wszystko, co robił senator, czy to w zakresie planowania ogólnej strategii, czy też podejmowania decyzji, opierał na wynikach swoich sondaży. Fałszowanie wyników, tak aby dostarczano Lelandowi błędne informacje, okazało się zdumiewająco łatwe. Shaw po prostu przekupił geniusza, który zarządzał obrabiającymi wyniki komputerami. Prędej czy później zdoła to wykorzystać.

– Nie powiesz mi, prawda? – zamruczała Jessica. – Co musiałabym zrobić, żeby cię do tego przekonać?

Limuzyna zatrzymała się przed wejściem szpitala i Patrick wysiadł.

– Kochanie, ostatnio nie musiałś robić zbyt wiele – odparł.

Waszyngton, USA

Noreen Coker była pierwszym z członków „kuchennego gabinetu” prezydent Turner, który przybył do zajmowanego przez Richarda Parrisha narożnego biura w zachodnim skrzydle Białego Domu. Czarna kongreswoman usadowiła swoje potężne ciało w fotelu.

– Nie potrafię sobie wyobrazić, że Shaw mógł tym wszystkim zaryzykować... – powiedziała. Wkroczył wiceprezydent w towarzystwie Maury. Pusty lewy rękaw marynarki miał wciśnięty do bocznej kieszeni; twarz Sama wydawała się blada i ściągnięta. Coker zerwała się z miejsca, zaskakując wchodzących szybkością i gracją.

– Dziecko moje, siadaj tutaj. – Wskazała Kennettowi swój fotel, a wiceprezydent skorzystał z propozycji. Odczekali chwilę, aż uspokoi oddech.

– Jesteśmy już wszyscy – odezwał się Parrish. Poprowadził małą procesję do Gabinetu Ovalnego, dostosowując tempo marszu do skromnych możliwości Kennetta. Zapukał dwukrotnie; na jego twarzy pojawił się mimowolny uśmiech. Kiedy weszli, Coker roześmiała się widząc na twarzach Maury i Kennetta praw-

dziwy szok: zobaczyli Gwen Anderson – sekretarz zdrowia i usług socjalnych – siedzącą na kanapie obok prezydenckiego fotela na biegunach.

– A niech mnie...! – wymamrotał Kennett. – Myślałam, że przeszła pani do obozu Lelanda.

– Przeszłam – przyznała Anderson.

– To ja ją poprosiłam – wyjaśniła Turner. – Jackie była moją łączniczką; przekazywały sobie informacje.

Wiceprezydent skinął głową, rozmyślając o asystentce Madeline, która popełniła samobójstwo.

– To bardzo sprytnie, umieścić kogoś wewnątrz takiej grupy – pochwalił.

– Opłaciło się – dodała Anderson – kiedy pojawili się tam Elkins i Shaw.

– Skoro już mówimy o żalonych sukinsynach – wtrąciła się Coker – to gdzie jest Shaw?

– Zdrowieje po operacji – wyjaśniła Turner. – Rak prostaty. Guz był poważny, musieli usunąć całą prostatę. Lekarze mówią, że nowotwór nie był złośliwy, jednak prawdopodobnie Shaw zostanie impotentem.

Coker zarżała radośnie.

– Skazany na wygnanie do piwnic Białego Domu, piastujący byle jakie stanowisko, a teraz jeszcze nie będzie mu stawał? A więc istnieje sprawiedliwość na tym świecie!

– Nigdy nie zrozumieję, dlaczego go tu trzymasz... po tym wszystkim – odezwała się Maura. Coker i Kennett mieli te same odczucia.

– Sądzę, że Gwen wie – odparła Turner.

– Kiedy przyszło do ostatecznego starcia, Shaw nie był w stanie opuścić pani prezydent – wyjaśniła Anderson. – A już to, co robi Lelandowi, jest wprost bezcenne.

– A co mu robi? – zainteresowała się Coker.

Anderson roześmiała się.

– Nie pytajcie mnie o szczegóły, ale zdaje się, że fałszuje wyniki przeprowadzanych przez Lelanda sondaży opinii publicznej. A wiecie dobrze, jak nasz senator pilnie ich strzeże. Wyniki jego sondaży trochę rozbiegają się teraz z tym, co ludzie naprawdę myślą. Leland ma wobec tego błędne zdanie o kluczowych sprawach i w dodatku nie orientuje się dlaczego. Szkoda tylko, że nie wiem, jak Shaw to robi.

– Cóż, Gwen, dopóki należysz do obozu senatora... – Madeline nie dokończyła.

– Będę przyglądać się wszystkiemu – obiecała Anderson. – Potrzebuję tylko nowego łącznika. Gdybym przychodziła tu nie tylko na spotkania gabinetu, byłabym spalona.

– Trudno będzie zastąpić Jackie... – westchnęła Turner.

– Czy ktokolwiek znalazł to zdjęcie z polaroida, które jej dałam? – spytała Anderson. – Dostała ode mnie fotografię tego wiejskiego domu, w którym te sukinsyny się spotykają.

Nikt nie przypominał sobie podobnego zdjęcia.

– To nie ma znaczenia, jeśli tylko zdjęcie nie leży u Shawa – stwierdził Kennett. – Prędzej czy później doszedłby do tego, kto i co. Już go słyszę. – Spróbował naśladować południowy akcent byłego szefa gabinetu i powiedział: – A niech to, pani prezydent, w dzisiejszych czasach nie można już nikomu ufać!...

Maura popatrzyła z zadowoleniem na córkę. Pokonałaś tych drani, myślała. Ciesz się, Maddy. Raduj się swoim zwycięstwem. Wtedy zobaczyła, że twarz Madeline drgnęła i pojawiło się na niej coś na kształt rozbawienia. Madeline O'Keith Turner cieszyła się z odniesionego triumfu. Przetrwiała pierwsze pół roku urzędowania i wyszła z trudnego kryzysu silniejsza, bardziej pewna siebie, gotowa stawić czoło czyhającym na horyzoncie bitwom. Ale na razie delektowała się sukcesem.

Baza Sił Powietrznych Langley, stan Wirginia, USA

Martini przeciskał się przez zatłoczony klub oficerski. W recepcji pełno było dygnitarzy, którzy oglądali pierwszy w tym sezonie pokaz „Thunderbirdów”. Generał wystawił wprawdzie akrobatycznemu zespołowi wysokie noty za opanowanie nowego myśliwca F-22 Lightning, czyli „Błyskawica”, uważał jednak, że jego zespół, latający na starych F-16, był lepszy. Minął Thunderbirdów, którzy stali jeszcze w swoich lotniczych kombinezonach, otoczeni tłumem wielbicieli. Rozpoznał syna prezydenta, Briana Turnera, który powtarzał ruchy dłoni jednego z pilotów, pokazującego jak wykonuje się manewr powodujący duże przeciążenie.

– Będzie z niego pilot myśliwski – odezwał się głos zza jego pleców. Martini odwrócił się i zobaczył wysokiego, siwego generała armii.

– Dzień dobry, panie generale. Jestem generał Martini – przedstawił się. Podali sobie ręce, bo dotychczas nie mieli okazji się poznać. – Gratuluję panu awansu i objęcia nowego dowództwa. – Dwa dni wcześniej Bender został dowódcą ACC – Air Combat Command, czyli Dowództwa Powietrznych Sił Bojowych. – Wyobrażam sobie, że będzie się tam panu bardziej podobało niż w Białym Domu...

– Jestem o tym przekonany – odparł Bender.

– Słyszałem plotkę, że prezydent rozgląda się za nowym doradcą wojskowym.

– To prawda – przyznał Robert.

– Biedny sukinyś!.. – mruknął Martini.

– Poleciałem jej pana.

Martini aż posiniał.

– Przecież ona mnie nawet nie zna! – prychnął.

– Będzie musiała pana poznać – skwitował Bender, pozostawiając brygadiera, któremu odebrało mowę. Robert rozejrzał się w poszukiwaniu Nancy; odnalazł ją przy Brianie.

– Robercie, naprawdę musimy już jechać – powiedziała. – Brian musi wrócić do Waszyngtonu, a my jesteśmy zaproszeni na obiad do generała Charlesa. – Bender skinął głową i cała trójka ruszyła w stronę drzwi. Zablokowała im jednak drogę procesja złożona z czterech kelnerów i dwóch Thunderbirdów pchających wózek z ogromnym tortem.

– Naprawdę musimy już jechać! – powtórzyła Nancy.

Robert gapił się z kamienną twarzą na tort i zbierających się wokół niego pilotów.

– Czas się ruszyć... – mruknął.

– Robercie! – syknęła jego żona. – Nie rób tego! Daj spokój! – Generał zignorował jednak jej uwagi i podszedł do Thunderbirdów, którzy rozstapili się na jego widok.

– Co się stało? – spytał Brian. – Czy on zwariował?

Nancy położyła chłopcu dłoń na ramieniu.

– Thunderbirdowie mają taką tradycję, że prawy skrzydłowy rozbija tort ciosem karate. Mój mąż uważa to za dziecinne i zawsze mówił, że zabroniłby tego, gdyby tylko mógł. Wiedzą, że tego nie znosi. – Poczuela, że musi go wytlumaczyć. – Czasami... – poszukiwała odpowiednich słów – mój mąż potrafi być taki... taki sztywny i pruderyjny.

Bender powiedział coś do prawego skrzydłowego, któremu przypadał w udziale zaszczyt rozbicia tortu. Młody kapitan, najwyraźniej rozczerowany, usunął się na bok.

– Panie i panowie – zawołał Bender – za Thunderbirdów i za nowy sezon! – Po tych słowach zamachnął się i uderzył ręką w tort. Popatrzył na zaskoczonego kapitana kamiennym wzrokiem i pouczył: – Tak należy to robić, kapitanie.

Nancy podeszła do męża i zamrugła oczami, żeby strząsnąć z rzęs łzy.

– Robercie, może ci się uda...!

* * *

MĄDROŚCI I POWIEDZONKA PARTICKA FLANNERY’EGO SHAWA

• Polityka jest jak show-biznes – daj im, czego chcą, a będą ciągle do ciebie przychodzić.

• Biały Dom jest jak ciasna para spodni – za mało miejsca na zabawę.

• Niech się z ciebie śmieją. Ale jeśli jesteś inteligentny, będą to robić, patrząc w innym kierunku.

• Kiedy ktoś popełni błąd w polityce, urywają za to jaja albo cycki – z tym że niekoniecznie temu, kto popełnił błąd.

• Pieniądze to matka polityki (za Jesse Unruh).

• Każdy ma swoją furę gnoju, który chce rozrzucić wokół. Nie stawaj za furą i nigdy nie denerwuj właściciela. Może będziesz musiał wszystko posprzątać.

• Większość wybieranych polityków to zawodowcy. To amatorzy mnie przerażają. Oni chcą robić to, co jest słuszne.

• „Coś za coś” zawsze przynosi ci szkodę.

- W polityce możesz kogoś zabić, chociaż nie na śmierć.
- Lojalność to waluta, którą wymienia się na władzę.
- Większość polityków jest jak przejrzałe melony – walnij w takiego lekko, a od razu pęka.
- Nigdy nie ufaj politykom, których nie można kupić. Nie wiedzą, ile są warte.
- Oprócz przegrania wyborów, najgorsza rzecz, jaka może ci się przydarzyć, to przyłapanie cię w łóżku z martwą dziewczyną albo żywym chłopcem.
- Najlepsi z kongresmanów to tacy krętacze, że gdyby któryś połknął gwóźdź, to wysrałby śrubę.
- Nigdy nie graj w baseball, jeśli nie jest przewidziana zmiana, w której będziesz trzymał kij.
- Z kapitałem politycznym jest jak z benzyną w samochodzie. Im więcej spalasz, tym pręcej stajesz.
- Kiedy mijasz toaletę, zawsze odlej się na wszelki wypadek. Nigdy nie wiadomo, kiedy będziesz mieć kolejną szansę.
- Wiedz, k i e d y przesiąść się z dodge'a w porządny wóz.
- Zawsze wiedz, j a k przesiąść się z dodge'a w porządny wóz.
- Najlepiej zacząć grać w politykę, kiedy jest się młodym, głupim i łakomym na baby, dlatego, że dwie z tych cech nie są złe.
- Cała prawda mówi za siebie. Trzymaj się półprawd, żebyś też mógł sobie pogadać.
- Kiedy zaczynasz przegrywać, kryj się i zacieraj za sobą ślady.
- Kiedy przeprowadzasz sondaż, zawsze uzyskuj najlepsze wyniki, jakie można kupić.
- A teraz trwaj przy władzy, mając informacje, pieniądze i dostęp do prezydenta. Ale z tych trzech rzeczy najważniejsza jest ta ostatnia.

Słowniczek nazw i skrótów

ACC – Air Combat Command, czyli Dowództwo Powietrznych Sił Bojowych. Operacyjna gałąź US Air Force, której podlega lotnictwo bojowe na terenie kontynentalnych Stanów Zjednoczonych.

AMRAAM – *the advanced, medium-range air-to-air missile*, czyli Zaawansowana Rakieta Powietrze–Powietrze Średniego Zasięgu. AMRAAM ma zasięg około trzydziestu mil i jest sterowana automatycznie. Bardzo nowoczesna i groźna dla „bandytów”.

AWACS – *airborne warning and command system*, czyli latający system ostrzegania i dowodzenia. Zapewnia kontrolę przestrzeni powietrznej i łączność pomiędzy dowódcami. Urządzenia zbudowane są na samolocie E-3 Sentry – „Wartownik” – który jest znacznie zmodyfikowaną wersją pasażerskiego Boeinga 707, wyposażoną w antenę radarową o średnicy trzydziestu stóp.

Bandyta – tak amerykańscy piloci nazywają samolot, który został zidentyfikowany jako nieprzyjacielski.

BDU – *battle dress uniform*, czyli mundur polowy.

Biuro Zarządzania i Budżetu – oryg.: *Office of Management and the Budget*, lub: OMB. Jedna z agend Białego Domu, zajmująca się sporządzaniem projektu budżetu, który jest następnie przedkładany Kongresowi do przyjęcia.

Bogie – tak amerykańscy piloci nazywają samolot, który nie został jeszcze zidentyfikowany.

CAP – *combat air patrol*, czyli bojowy patrol powietrzny. Misja, której celem jest odnalezienie i zniszczenie samolotów nieprzyjaciela.

CINC – *commandor in chief*, czyli naczelny dowódca (czegoś).

CINC PAC – naczelny dowódca Sił Pacyfiku (dokładnie: Pacific Unified Defense Command, czyli Zjednoczonych Sił Obrony Pacyfiku).

DCI – *director of Central Intelligence*, czyli dyrektor Centralnego Wywiadu. Kieruje wszystkimi agencjami wywiadowczymi USA, w tym CIA. DCI jest mianowany przez prezydenta, a następnie akceptowany przez Senat.

DEFCON – Defense Condition, czyli Stan Obrony. Stopnie gotowości sił zbrojnych, która jest podwyższana w związku z ewentualnością wojny. Jest pięć stopni DEFCON, od 5 – zwykła gotowość, do 1 – najwyższa gotowość.

DIA – Defense Intelligence Agency, czyli Agencja Wywiadowcza (Departamentu) Obrony.

Dzienny Raport Prezydencki – oryg.: President's Daily Brief, lub: PDB. Streszczenie najważniejszych i najlepiej sprawdzonych informacji wywiadowczych, sporządzany codziennie przez CIA dla prezydenta. Dostęp do niego ma tylko niewielka liczba najważniejszych osób w administracji USA.

Ewakuacja zbędnego personelu – patrz: NEO

Flanker – używana w NATO nazwa radzieckiego Su-27, który powstał przez skopiowanie przez Rosjan F 15. Istnieje także Su-33 – wersja dla lotniskowców.

Fulcrum – Używana w NATO nazwa radzieckiego MiG-a – 29. Przypomina z wyglądu F 15, jednak jest mniejszy, mniej więcej rozmiarów F 16.

HUD – *head-up display*, dosł. wyświetlacz z głową do góry. Przezroczysty ekran przed pilotem, wyświetlający najrozmaitsze potrzebne informacje, umożliwiającą jednocześnie obserwowanie widoku przed kabiną – na przykład nieprzyjacielskiego samolotu.

J-8 – chińska, dwusilnikowa wersja MiG-a – 21, o prędkości maksymalnej około 1,4 macha i zasięgu bojowym pięćset mil.

Jedwabnik – chińska rakietka do zwalczania okrętów. Notorycznie niecelna, ma zbyt krótki zasięg. Wersja opisana w tej książce nie istnieje. Jeszcze.

KS-1 – chińska rakieta ziemia–powietrze o zasięgu około dwudziestu pięciu mil.

Lis jeden – oryg.: *Fox one*. Kod używany przez amerykańskich pilotów, oznaczający odpalenie kierowanej radarem rakiety powietrze-powietrze.

LAW – Ludowa Armia Wyzwolenia – oficjalna nazwa sił zbrojnych Chińskiej Republiki Ludowej.

Lis dwa – j.w., z tym, że chodzi o odpalenie rakiety powietrze-powietrze kierowanej na podczerwień.

Lis trzy – j.w., z tym, że chodzi o użycie karabinu (-ów) maszynowych lub działka.

MiG-29 – patrz: Fulcrum.

MOPP – *mission operative protection posture*, czyli kombinezon ochronny umożliwiający wykonywanie misji. Ochronny kombinezon przeciwchemiczny wraz z maską przeciwgazową. Jest w nim bardzo gorąco i niewygodnie.

Narodowe Biuro Rozpoznawcze – oryg.: *National Reconnaissance Office*, lub NRO. Supertajna agencja amerykańska odpowiedzialna za satelity zwiadowcze.

Narodowe Centrum Dowodzenia Wojskowego – oryg.: *National Military Command Center*, lub NMCC. Główne centrum dowodzenia wojskami USA, znajdujące się w Pentagonie.

NEO – *nonessential personnel evacuation operation*, czyli operacja ewakuacji zbędnego personelu. Nazwa operacji ewakuacji rodzin wojskowych oraz zbędnego personelu z wysuniętych naprzód baz, przeprowadzanej przed wybuchem walk.

Oficer uzbrojenia – oryg.: *weapon system officer*, lub WSO, nazywany także „Wizzo”. Drugi członek załogi dwumiejscowych myśliwców. Z natury rzeczy, bardzo godna zaufania osoba.

PACAF – Pacific Air Forces, czyli: Siły Powietrzne Pacyfiku. Część US Air Force zajmująca się operacjami bojowymi w rejonie Pacyfiku.

PAL – Permissive Action Link, czyli dosł.: Połączenie Akcji Zezwalającej. Jest to system zabezpieczający przed uzbrojeniem i użyciem broni jądrowej przez niepowołane osoby, na przykład terrorystów.

Połączony Komitet Szefów Sztabów – oryg.: *joint chiefs of staff*, lub JCS. Dowódcy poszczególnych rodzajów amerykańskich sił zbrojnych plus przewodniczący komitetu, czyli głównodowodzący wojsk USA. Pozostali członkowie nazywają się:

Szef Sztabu Armii
Szef Sztabu Sił Powietrznych
Szef Operacji Morskich
Komendant Korpusu Piechoty Morskiej.

Popeye – dosł.: Wyłupiastooka – nazwa rakiety AGM-142 „Have Nap” – „Zdrzemnij się”. Jest to automatycznie kierowana rakietą średniego zasięgu, nabyta przez USA od Izraela. Trafia z dużą precyzją, ma zasięg pięćdziesięciu mil, głowicę o masie siedmuset pięćdziesięciu funtów, cała waży trzy tysiące funtów.

Program Oceny Niezawodności Personelu – oryg.: *personnel reliability program*, lub PRP. Jest to amerykański program śledzenia równowagi psychicznej personelu pracującego przy broni atomowej.

Rada Bezpieczeństwa Narodowego – oryg.: National Security Council, lub NSC. W USA składa się ona z prezydenta oraz jego najważniejszych doradców do spraw polityki zagranicznej.

SAM – *surface-to-air missile*, czyli: rakietą ziemia-powietrze.

Sidewinder – dosł.: Boczny wiatr. Nazwa amerykańskiej rakiety powietrze-powietrze AIM-9 kierowanej na podczerwień. Najnowsze wersje są wyjątkowo skuteczne.

Szef Operacji Morskich – oryg.: *chief of naval operations*, lub.: CNO. Naczelny dowódca US Navy. Członek Połączonego Komitetu Szefów Sztabów.

Su-27 – patrz: Flanker.

Tallyho – kod stosowany przez amerykańskich pilotów oznaczający fizyczne dostrzeżenie celu, zwł. nieprzyjacielskiego samolotu.

VTSS – *vertical tank storage system*, czyli system pionowego przechowywania zbiorników. Szyna, pod którą przesuwają się na zasadzie transportera podwieszane zbiorniki, przypominająca powiększone urządzenie znane z pralni, służące do przechowywania ubrań. VTSS używany jest do odrzucanych dodatkowych zbiorników paliwa dla amerykańskich myśliwców.

WATCHCON – rodzaj „zawiadomienia o tym, żeby czuwać”, wydawane z Pentagonu amerykańskim siłom zbrojnym w wypadku zagrożenia. Najniższym stopniem WATCHCON jest III.

Zasady Podejmowania Walki – ZPW, oryg.: *rules of engagement*. Zazwyczaj jest to zbiór dobrych pomysłów, stworzonych po to, żeby piloci myśliwców wrócili żywi do domów. Bywają psute przez polityków.

Podziękowania

Zaciągnąłem dług wdzięczności wobec trzech przyjaciół, którzy niestrudzenie ofiarowali mi swój czas i pomoc, aby ta książka mogła się ukazać. Emerytowany podpułkownik US Air Force Mel Marvel poruszył niebo i ziemię, żebym uzyskał potrzebne mi odpowiedzi na dwa proste pytania. Emerytowany generał brygady US Air Force Robert Beckel zapoznał mnie z zespołem „Thunderbirdów”, rzucając mi tym samym wyzwanie, którego nie mogłem zignorować; otwierał dla mnie wszystkie drzwi i sprawił, że zacząłem głęboko zazdrościć tym, którzy służyli pod jego dowództwem. Mogę jedynie żałować, że ja nie miałem na to szansy. William P. Wood z humorem i cierpliwością poprowadził mnie poprzez skomplikowany świat ogólnokrajowej polityki. Bez jego wiedzy pogubiłbym się nie wiadomo ile razy.

Na Okinawie – pułkownik James „Jammer” Jackson, jego piloci z Czterdziestego Czwartego Dywizjonu Myśliwskiego, starszy sierżant John Clancy z obsługi naziemnej Dwunastego Dywizjonu Myśliwskiego oraz personel Osiemnastego Skrzydła z Bazy Sił Powietrznych Kadena nauczyli mnie ponownie starej lekcji: maszyny i technika mogą się zmieniać, ale ludzie ciągle mają znaczenie. I naprawdę znajduje się tam wzgórze Habu.

Dwaj fizycy jądrowi z Lawrence Livermore National Laboratory, w Livermore, stan Kalifornia, doktorzy Ron Lehman oraz Bill Dunlop, otworzyli przede mną ekscytujący świat fuzji jądrowej oraz projektowania broni atomowej. Mam nadzieję, że nie przedstawiłem go zupełnie na opak.

Wszystkim wam mogę jedynie powiedzieć: dziękuję.

I wreszcie – bez cierpliwości, zrozumienia i nieskończonej miłości mojej żony, Sheili, nie napisałbym ani jednego słowa.

